

ŚWIADECTWA  
NIEMCY **XX** WIEK

# MASSAQUOI

## *Neger, Neger...*

*Opowieść o dorastaniu czarnoskórego chłopca  
w nazistowskich Niemczech*





ŚWIADECTWA  
NIEMCY **XX**WIEK

# HANS-JÜRGEN MASSAQUOI

*Neger, Neger...*

*OPOWIEŚĆ O DORASTANIU CZARNOSKÓREGO  
CHŁOPCA W NAZISTOWSKICH NIEMCZECH*

Z angielskiego przełożyła  
Anna Bańkowska

Warszawa 2016

Hans-Jürgen Massaquoi, *Destined to Witness: Growing Up Black in Nazi Germany*,  
Perennial, an Imprint of HarperCollins Publishers, New York 2001  
© Copyright by Katharine Massaquoi, 2016  
© Copyright for this edition by Ośrodek KARTA, 2016  
© Copyright for the Polish translation by Anna Bańkowska, 2016

**TEŁUMACZENIE Z ANGIELSKIEGO** Anna Bańkowska

**REDAKCJA I KOORDYNACJA PROJEKTU** Maria Krawczyk

**WSPÓŁPRACA REDAKCYJNA** Hanna Antos

**POSŁOWIE** prof. dr hab. Anna Wolff-Powęska

**OPRACOWANIE GRAFICZNE SERII** rzeczyobrazkowe

**SKŁAD** tandem studio

**ZDJĘCIE NA OKŁADCE**

Hamburg, 1933. Hans-Jürgen Massaquoi na dziedzińcu szkolnym.

*Fot. z kolekcji H.-J. Massaquoia*

**DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW**

Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Ministerstwo  
**Kultury**  
i Dziedzictwa  
Narodowego



NARODOWY  
PROGRAM  
ROZWOJU  
CZYTELNICTWA

Fundacji im. Róży Luksemburg



FUNDACJA  
IM. RÓŻY LUKSEMBURG  
PRZEDSTAWICIELSTWO  
W POLSCE

Ośrodek KARTA

ul. Narbutta 29, 02-536 Warszawa

tel. (+48) 22 848-07-12, faks (48) 22 646-65-11

e-mail: [ok@karta.org.pl](mailto:ok@karta.org.pl), [kolportaz@karta.org.pl](mailto:kolportaz@karta.org.pl)

[www.karta.org.pl](http://www.karta.org.pl), [ksiegarnia.karta.org.pl](http://ksiegarnia.karta.org.pl)

Wydanie I

Warszawa 2016

ISBN 978-83-64476-49-5

**SKŁAD WERSJI ELEKTRONICZNEJ**

Tomasz Szymański

**virtualo**

[konwersja.virtualo.pl](http://konwersja.virtualo.pl)

# SPIS TREŚCI

Od Wydawcy

Podziękowania

Prolog

Posłowie

Przypisy

Ilustracje

## OD WYDAWCY

**H**istoria życia Hansa-Jürgena Massaquoia (1926–2013) nie różniłaby się zapewne zbytnio od życiorysów innych chłopców urodzonych w Niemczech u progu objęcia władzy przez Adolfa Hitlera, gdyby nie jeden szczegół – miał on czarną skórę.

Massaquoi był synem niemieckiej pielęgniarki Berthy Baetz i liberyjskiego studenta prawa Al-Haj Massaquoia. Pierwsze lata życia chłopiec spędził otoczony miłością i przepychem we wspianym domu swego dziadka – dawnego króla afrykańskiego ludu Vai, konsula generalnego Liberii w Niemczech – Momolu Massaquoia. Cudowne dzieciństwo Hansa-Jürgena skończyło się nagle w 1929 roku, gdy afrykańska rodzina z powodów politycznych musiała wrócić do Liberii. Ze względu na słabe zdrowie syna, Bertha postanowiła zostać w Niemczech. Z braku pieniędzy, przeniosła się do robotniczej dzielnicy Hamburga – Barmbek, gdzie chłopiec po raz pierwszy zetknął się z biedą i szukanami.

Hans-Jürgen dorastał wśród nazistowskich defilad i porywających mów Führera. Jako prawdziwy patriota, starał się z całą dziecięcą żarliwością włączyć w budowanie III Rzeszy. Niemcy były jednak jego nieosiągalnym marzeniem – im gorliwiej chciał służyć swojemu krajowi, tym brutalniej był wykluczany ze wspólnoty. Jednoznacznie utożsamiał się z ojczyzną matki – był niemieckim obywatelem, a język, kulturę i historię kraju uważał za swoje – szybko jednak został sklasyfikowany jako wróg. Jego sytuacja diametralnie pogorszyła się w 1935 roku, po wprowadzeniu Ustaw norymberskich, ograniczających prawa nie-Aryjczyków. A być nie-Aryjczykiem w kraju owładniętym nazistowską ideą czystości rasy oznaczało zostać pozbawionym praw obywatelskich i żyć w ciągłym zagrożeniu sterylizacją, eksperymentami paramedycznymi, więzieniem czy obozem koncentracyjnym, wreszcie śmiercią. Przez te wszystkie lata zmagania Hansowi-Jürgenowi towarzyszyła matka – osoba pełna dobroci, mądrości i życiowej zaradności.

Bohater przeżył koszmar nazizmu oraz blisko dwustu alianckich nalotów na Hamburg. Niedługo po zakończeniu wojny wyruszył z Niemiec do Liberii – ojczyzny swego ojca, gdzie zetknął się z egzotyczną kulturą, ale i postkolonialnym rasizmem. Jednak krajem, w którym znalazł spełnienie, były dopiero Stany Zjednoczone. To tam zdobył wykształcenie, studiując

na University of Illinois, założył rodzinę oraz zrobił karierę dziennikarską, zostając redaktorem naczelnym miesięcznika „Ebony” (Heban) – amerykańskiego pisma skierowanego do Afroamerykanów i współtworzonego przez nich. Jako wzięty dziennikarz miał okazję przeprowadzać wywiady z wieloma czarnoskórymi sławami świata polityki, sztuki czy sportu, tym samym włączając się w wielki ruch na rzecz zniesienia dyskryminacji rasowej w Stanach Zjednoczonych.

Autor pisał swe wspomnienia w języku nowej ojczyzny – po angielsku. Wyszły one nakładem wydawnictwa HarperCollins pod tytułem *Destined to Witness: Growing Up Black in Nazi Germany* (Powołany na świadka: Dorastanie czarnoskórego w nazistowskich Niemczech) w 1999 roku. Książka została zauważona w Stanach Zjednoczonych, jednak prawdziwy sukces odniosła w Niemczech. Tłumaczenie, wydane jeszcze w tym samym roku, zatytułowane słowami z dziecięcej piosenki *Neger, Neger, Schornsteinfeger* (dosł. Murzynie, Murzynie, kominiarzu) trafiło na listę bestsellerów „Der Spiegel”, na której utrzymywało się przez kilka miesięcy. Na podstawie historii Hansa-Jürgena Massaquoia nakręcono w 2005 roku film fabularny emitowany przez kanał ZDF niemieckiej telewizji publicznej.

Książka *Neger, Neger...* ukazuje się po polsku w wielotomowej serii „Świadectwa”, prezentującej najważniejsze zapisy XX wieku. Wyjątkowość tej opowieści tkwi w opisie unikatowego doświadczenia bycia obcym wśród swoich. Poprzez wspomnienia, Autor chciał przekazać nie tylko swoje zakorzenione w historii XX wieku spotkanie z nazizmem. Podkreślał, że rasizm jest złem, które w każdym momencie może przybrać gwałtownie na sile – niezależnie od miejsca czy okoliczności – a jego doświadczenie ma stanowić uniwersalne *momento*.

Choć Massaquoii opisuje skrajnie trudne czasy, nie epatuje cierpieniem, nie ma w nim nienawiści. I mimo że Niemcy były krajem, w którym przeżył pasmo upokorzeń i gdzie funkcjonował w stanie ciągłego zagrożenia życia, do końca mówił o nich jako o swej ojczyźnie. W jego opowieści nie brak za to pełnych życia i humoru scen, z których przebija obraz człowieka o wielkiej inteligencji, otwartości i dobroci.

*Maria Krawczyk*



## PODZIĘKOWANIA

**W** odróżnieniu od spłodzenia dziecka, aby wydać na świat książkę, potrzeba zwykle całej „wioski” życzliwych krewnych, przyjaciół oraz profesjonalistów. *Neger, Neger...* bynajmniej nie jest wyjątkiem. Bez pomocy nielicznej, lecz oddanej kadry pomocników, pozostałyby tylko niedościgłym marzeniem w odległych zakamarkach mojego umysłu.

Za wsparcie w przekształceniu pomysłu w książkę wiele uznania należy się mojej żonie i najlepszej przyjaciółce Katharine, która podczas kolejnych etapów powstawania tekstu znosiła kaprysy „geniusza przy pracy”, biorąc na siebie liczne obowiązki muzy, pierwszej czytelniczki, znakomitej kucharki, kierowcy, krytyczki i tak dalej. Wielokrotnie ratowała sytuację, stając w szranki z moim wyjątkowo upartym komputerem i nieodmiennie naginając go do swojej woli, kiedy zachciało mu się strajku.

Takie same pochwały kieruję do moich synów – doktora nauk medycznych Steve’a G. Massaquoia, profesora w Massachusetts Institute of Technology (MIT) oraz mecenas Hansa J. Massaquoia jr., współnika w kancelarii prawniczej Lewis and Munday w Detroit. Pomimo obciążeń zawodowych znaleźli czas, aby zaangażować się w mój projekt, poczynawszy od krytycznej lektury tekstu aż do (w przypadku mecenas Hansa jr.) darmowej (jak sądzę) porady prawnej przy sporządzaniu umów z wydawcami i agentami oraz zabezpieczeniu praw autorskich.

W identycznym stopniu na moją wdzięczność zasłużyli sobie brat i siostra mojej żony, Numa Rousseve z White Plains w stanie Nowy Jork i Elaine Thompson z San Jose w Kalifornii oraz mój przyjaciel Ed Morris, profesor Columbia College w Chicago. Każde z nich wzięło na siebie trud przeczytania i redakcji tekstu, traktując to jako dzieło miłości i dzieląc się ze mną cennymi uwagami.

Spóźnione wyrazy wielkiego uznania kieruję do mojego zmarłego przyjaciela, Alexa Haleya. Zaledwie kilka miesięcy przed swoją przedwczesną śmiercią 10 lutego 1992 zwrócił mi niedokończony jeszcze tekst, który uprzejmie zgodził się zrecenzować i opatrzyć bezcennymi sugestiami.

Nie mógłbym zakończyć tych podziękowań bez wzmianki o moim przyjacielu na całe życie Ralphie Giordano z Kolonii, od którego zaczął się „cały ten bal”, że się tak wyrażę. Najpierw przez wiele lat namawiał mnie na spisanie wspomnień, aż wreszcie pewnego dnia oznajmił mi przez telefon, że jest umówiony z ważnymi niemieckimi wydawcami, więc jeżeli szybko dostarczę mu egzemplarz książki (która wciąż była w trakcie pisania!), to postara się, aby trafiła do odpowiednich ludzi. Wkrótce po spełnieniu jego życzenia otrzymałem wiadomość, że wydawcy wyrazili zainteresowanie *Neger, Neger...* i praca nad publikacją ruszyła pełną parą.

Przy okazji chciałbym podziękować za cenne informacje profesorowi Raymondowi J. Smyke'owi z Morges w Szwajcarii, autorowi biografii mojego dziadka, czcigodnego Mollu Massaquoia (1870–1938).

Za wprowadzenie w arkana sztuki wydawniczej składam podziękowanie mojej agentce literackiej Sarah Lazin z Sarah Lazin Books w Nowym Jorku, która przekonała mnie, że pisanie książki to łatwizna, a następnie nieustrudzenie pilnowała moich interesów zarówno w Europie, jak w Stanach. Jestem też głęboko wdzięczny Claire Wachtel, naczelnej redaktorce w wydawnictwie William Morrow, za wiarę, że moje dzieło ujrzy światło dzienne. Czuję się dłużnikiem redaktora Grega Villepique'a, którego czujne oko i wprawne palce nadały mojej książce ostateczny szlif.

Ostatnie, ale niepoślednie miejsce na tej liście zajmują moi wierni towarzysze: teriery walijskie (Don) Kichot i Sancho (Pansa). Dziękuję im za cierpliwe czuwanie wraz ze mną w długie, samotne noce, które są udziałem każdego, kto porywa się na przygodę z pisaniem.

*Hans-Jürgen Massaquoi*

*Mojej matce Bercie Nikodijevic (1903–  
1986)  
z głęboką wdzięcznością*

## PROLOG

*Pisać o sobie tak, aby nie narazić się na zarzut słabości, próżności i egotyzmu, to zadanie, któremu poddają tylko nieliczni; niewiele mam podstaw, by i siebie zaliczyć do tej garstki szczęśliwców.*

Frederick Douglass

Mógłbym podpisać się oburącz pod powyższymi odczuciami, wyrażonymi tak trafnie ponad wiek temu przez wielkiego abolicjonistę we wstępie do własnej autobiografii pod tytułem *My Bondage, My Freedom*. Jeżeli jednak, podobnie jak pan Douglass, postanowiłem opublikować historię mojego życia, ryzykując, że narażę się na opinię słabeusza i próżnego egocentryka, to postąpiłem tak wskutek usilnych nacisków ze strony osób, których smak literacki zawsze uważałem za nieskazitelny. Mam na myśli Alexa Haleya, autora *Korzeni*, Ralpha Giordano z Kolonii, autora *Die Bertinis*, oraz mojego dawnego zwierzchnika i mentora, wydawcę magazynu „Ebony” Johna H. Johnsona. Każdy z nich potrafił mnie przekonać, że doświadczenia czarnoskórego chłopaka, który dorastał i wkraczał w wiek męski w nazistowskich Niemczech, naocznego świadka i ofiary zarówno prześladowań na tle rasowym, jak alianckiego bombardowania, który następnie spędził kilka lat w Afryce, są tak niezwykle, że jako dziennikarz mam obowiązek podzielić się swym specyficznym spojrzeniem na Holocaust. Alex uważał, że jako niemiecki obywatel, a jednocześnie – paradoksalnie – zagrożony niebezpieczeństwem outsider, patrzyłem na pewne tragiczne wydarzenia w Trzeciej Rzeszy pod szczególnym kątem. Nalegał też, abym zapisał moje równie niezwykle przygody, związane z poszukiwaniem afrykańskich korzeni.

Obok pogromów moich żydowskich współobywateli w Niemczech oraz prześladowań na tle rasowym afroamerykańskich braci i sióstr w Stanach Zjednoczonych, istniało też moje osobiste piekło, na które złożyły się cztery podstawowe aspekty:

Jako czarnoskóry osobnik w „białych” Niemczech wyraźnie rzucałem się w oczy, nie mogłem więc ani uciec, ani się ukryć, że sparafrazuję idola mojego dzieciństwa Joego Louisa<sup>1</sup>.

W przeciwieństwie do Afroamerykanów, nigdy nie korzystałem z dziedzicznych technik przetrwania, stworzonych i wciąż ulepszanych przez kolejne pokolenia uciskanych ludzi.

Musiałem jednak z konieczności kluczyć po polu minowym potencjalnych katastrof i rozwijać moje własne instynkty. Im to bowiem zawdzięczam fizyczne i psychiczne przetrwanie w kraju, w którym nienawiść rasowa jawnie zmierzała do likwidacji wszystkich nie-Aryjczyków.

Nazistowscy rasiści, inaczej niż amerykańscy, nie popełniali swoich okrucieństw anonimowo, pod osłoną nocy i białych prześcieradeł. Nie realizowali, jak tamci, swoich rasistowskich programów za pomocą chytrze zaszyfrowanych słów w rodzaju „niesprawiedliwe kontyngenty”, „dyskryminacja pozytywna” i „prawa stanowe”. Rasiści z hitlerowskich Niemiec wykonywali swoją brudną robotę jawnie i bezwstydnie, we współpracy i z pełnym błogosławieństwem rządu, który skażenie aryjskiej krwi domieszką innej, „gorszej”, uważał za kardynalny grzech przeciwko narodowi.

Na dobrą sprawę – pomimo odważnego i niezłomnego wsparcia mojej matki, Niemki, która nie tylko nie straciła wiary w moje możliwości, ale potrafiła mi ją wpoić – przez cały czas żyłem w obliczu zagrożenia czystką etniczną. Zmagalem się z nim samotnie, bez poczucia bezpieczeństwa i przynależności, jakie ludzka istota otrzymuje zwykle od członków swojej grupy, nawet tej osaczonej przez wroga. Z powodu braku czarnoskórych kobiet oraz narzuconego przez rząd zakazu mieszania się ras, po osiągnięciu dojrzałości nie miałem możliwości legalnego nawiązania stosunków towarzyskich. Dziś w Republice Federalnej Niemiec żyją tysiące Afrykanów i tak zwanych *Mischlingskind* (ze związków amerykańskich czarnoskórych żołnierzy z Niemkami), ale za panowania Hitlera populacja czarnych po prostu nie istniała, przynajmniej ja na nikogo takiego nie trafiłem. Dopiero długo po wojnie dowiedziałem się, że niewielka liczba czarnych Niemców – tak zwanych bękartów Nadrenii, spłodzonych pod francuską i belgijską okupacją w czasie I wojny światowej – została poddana eksterminacji w hitlerowskich obozach śmierci.

Ponieważ po Niemcach mojego pokolenia oczekiwano jasnej skóry i aryjskiego pochodzenia, musiałem do znudzenia wyjaśniać, dlaczego ktoś o brązowej karnacji i czarnych, kędzierzawych włosach mówi po niemiecku bez obcego akcentu i podaje Niemcy jako swoje miejsce urodzenia. Niech mi więc będzie wolno powtórzyć, że urodziłem się w roku 1926 w Hamburgu, ponieważ mój dziadek, ówczesny konsul generalny Liberii w tym drugim co do wielkości mieście Niemiec, przywiózł ze sobą swoją liczną rodzinę. Moim ojcem, wskutek intensywnych zalotów do niemieckiej pielęgniarce, został jego najstarszy syn. Krótko przed dojściem Hitlera do władzy dziadek wraz z ojcem wrócili do Liberii, zostawiając moją matkę i mnie własnemu losowi w coraz bardziej wrogim, rasistowskim społeczeństwie.

Koszmar naszego życia w ciągłym strachu zarówno przed gestapowskimi oprawcami, jak i alianckimi bombami dobiegł końca wiosną 1945, kiedy nazistowski gauleiter Karl Kaufmann poddał aliantom niemal doszczętnie zburzone miasto, wbrew rozkazom Hitlera, aby bronić Hamburga „do ostatniego człowieka”. To, co Studs Terkel<sup>2</sup> w swojej mówionej historii II

wojny światowej nazywa *the Good War* [dobrą wojną], było wszystkim, tylko nie tym, zwłaszcza dla mojej matki i dla mnie. Tylko cudem bowiem uniknęliśmy śmierci w hamburskim piekle, przeżywszy około dwustu brytyjsko-amerykańskich nalotów, w których zginęło ponad czterdzieści jeden tysięcy cywilów, a ponad połowa budynków, w tym nasz, uległa zniszczeniu.

Trzy lata po wojnie, w roku 1948, wyjechałem do Liberii, gdzie mieszkał mój ojciec. Podczas pobytu w Afryce zapoznałem się nie tylko z jej cenną kulturą, ale także z rasizmem kolonialnym, w wydaniu zarówno francuskim, jak i brytyjskim. W roku 1950, dzięki rocznej wizie studenckiej, otrzymałem zgodę na wjazd do Stanów Zjednoczonych. Niecałych dziewięć miesięcy później, w trakcie „konfliktu” koreańskiego, ja, bezpaństwowiec, wskutek ewidentnej pomyłki urzędnika zostałem wcielony do wojska i odsłużyłem dwa lata jako spadochroniarz w 82. dywizji powietrznej.

Zarówno w wojsku, jak w cywilu miałem liczne okazje, by przyjrzeć się mrocznej stronie Stanów Zjednoczonych, doświadczyć rasizmu w wydaniu amerykańskim i porównać go z nazistowskim. Zwłaszcza jeden incydent jasno pokazuje, że rasizm nie sprowadza się do praw Jima Crowa<sup>3</sup>, jak się to często głosi. W roku 1966 wziąłem udział w marszu przeciwko segregacji rasowej pod wodzą Martina Luthera Kinga w typowej chicagowskiej „białej” dzielnicy Gage Park. Podczas tej pokojowej, modlitewnej demonstracji zostaliśmy obrzuceni kamieniami i przekleństwami przez rozwścieczoną białą społeczność, którą ledwie udało się utrzymać w ryzach policji.

Drugi incydent miał miejsce, kiedy w mundurze wojskowym jechałem pociągiem z Chicago do Fayetteville w Karolinie Północnej, wracając na mój posterunek w Fort Bragg. Biały konduktor zaatakował mnie, ponieważ zasnąłem i nie zauważyłem, że pociąg minął linię Masona–Dixona, kiedy to powinienem przenieść się do wagonu dla kolorowych. „Bierz swoją czarną dupę w troki i wynoś się do innych czarnuchów!” – wrzeszczał za mną biały, wysuszony mężczyzna, wyganiając mnie kopniakami z przedziału. Wolałem nie ryzykować linczu za pobicie białego, na co miałem wielką ochotę, więc powściągnąłem gniew, zabrałem swój worek i spełniłem jego żądanie.

Takie zniewagi niemal przekraczały moją wytrzymałość, ale dość wcześnie nauczyłem się, że nazwa tej gry brzmi „przetrwanie”. Nagrodą za cierpliwość stał się G.I. Bill<sup>4</sup>, który zachęcił mnie do nauki w college’u, do czego w nazistowskich Niemczech nie miałem prawa. W trakcie studiów udało mi się zdobyć serce i rękę młodej pracownicy socjalnej z St. Louis. Chociaż po czternastu latach małżeństwo zakończyło się rozwodem, zdążyło pobłogosławić nas dwoma wspianymi synami, którzy dodali mi wielu bodźców do osiągnięcia skromnego sukcesu i związanej z tym satysfakcji.

Uzbrojony w dyplom dziennikarstwa i komunikacji społecznej University of Illinois, pracowałem na podrzędnych stanowiskach w branży wydawniczej, aż wreszcie przystąpiłem do

Johnson Publishing Company jako współwydawca tygodnika dla czarnych „Jet”. Niecały rok później przeniesiono mnie na podobne stanowisko w ilustrowanym miesięczniku „Ebony” – okręcie flagowym spółki.

W ciągu jednej nocy stałem się aktywnym uczestnikiem, obserwatorem i reporterem największego społeczno-politycznego ruchu stulecia – walki czarnych o równość rasową w latach pięćdziesiątych, sześćdziesiątych i siedemdziesiątych na terenie Stanów Zjednoczonych, kolonialnej Afryki i Indii Zachodnich. Podczas mojej blisko czterdziestoletniej pracy w „Ebony” awansowałem na stanowisko redaktora naczelnego i zostałem członkiem kolegium redakcyjnego. Dzięki temu śledziłem z pierwszego rzędu najważniejsze wydarzenia historyczne, a podczas licznych wyjazdów w Stanach, Afryce, Europie, Azji i na Karaibach miałem możliwość rozmawiać z najbardziej znanymi osobistościami naszych czasów, w tym z trzema prezydentami Stanów Zjednoczonych (Carterem, Reaganem i Bushem). Szeroki wachlarz moich zadań obejmował wywiady na wyłączność z politykami, w tym z prezydentami Nigerii (Nnamdi Azikiwe), Botswany (Seretse Khama), Liberii (William Tolbert) i Namibii (Sam Nujoma), premierami Jamajki (Michael Manley i Edward Seaga), działaczami walki o prawa obywatelskie (dr Martin Luther King, wielbny Jesse Jackson i Malcolm X), a także znaczną liczbą „żywych legend”, takich jak Lena Horne, Diana Ross, Shirley Temple, Joe Louis, Max Schmeling i Muhammad Ali.

Dokumentując i relacjonując przez tak długi czas osiągnięcia czarnoskórych osób, otrzymuje się wiele nagród. Dla mnie tą najważniejszą jest możliwość odnalezienia własnej psychologicznej przystani po dwunastu latach odczłowieczającego i poniżającego maltretowania pod rządami nazistów. Było to rozwiązanie konfliktu, którego doświadcza tak wiele dzieci z mieszanych par w związku ze swoją rasową tożsamością. Nie mógłbym stać się żywym świadkiem ciągłej heroicznej walki czarnych o przetrwanie i równość w rasistowskiej Ameryce, dokumentować w kolejnych artykułach niezliczonych osiągnięć czarnych w obliczu ogromnych przeciwności, gdybym sam nie czuł dumy z mojej przynależności rasowej. Moim najcenniejszym, najbardziej zaszczytnym wspomnieniem z czasów walki o prawa obywatelskie dla czarnych jest marsz na Waszyngton w roku 1963, podczas którego stałem przy pomniku Lincolna, słuchając niezapomnianego przemówienia dr. Kinga *Mam marzenie*.

Jako młody chłopak, dorastający wśród zwykłych niemieckich robotników, byłem świadkiem powstania jednego z najbardziej opresyjnych rządów wymyślonych przez człowieka, a także – po dwunastu mijających boleśnie wolno latach – jego zasłużonego, katastroficznego upadku. Ze swojej dogodnej pozycji obserwowałem, jak nazistowska trucizna, przygotowana przez Hitlera i wciskana ludziom przez sprytnego manipulatora Josepha Goebbelsa, ministra oświecenia publicznego Trzeciej Rzeszy, wolno, lecz skutecznie dokonuje swego haniebnego dzieła. Jak zmienia uczciwych i wrażliwych obywateli w fanatycznych rasistów, dążących do unicestwienia każdego, kto nie pasuje do ich wizji nowego porządku światowego i nie bierze

dosłownie ich narodowego hymnu *Deutschland, Deutschland über alles*. Fakt, że Niemcy z najwyższą skwapliwością wykonywali rozkazy bandy pozbawionych skrupułów politycznych oportunistów pod wodzą żądnego krwi szaleńca, często wymienia się jako dowód skazania winą całego narodu. Ja się z tym nie zgadzam. Wiem, że mimo presji przywódców i wbrew obowiązującym trendom znaczna liczba Niemców – niestety niewystarczająca, by miała znaczący wpływ na rzeczywistość – pozostała uczciwymi ludzkimi istotami. To dzięki tym jednostkom, które oparły się pokusie pójścia z prądem rasowego szaleństwa i nigdy nie uważały mnie za mniej wartościowego z racji koloru skóry, przetrwałem ten ciężki okres niemal bez szwanku.

Jeżeli ja, autentyczny nie-Aryjczyk, uniknąłem eksterminacji, sterylizacji czy medycznych eksperymentów w którymś z hitlerowskich obozów śmierci, to stało się tak głównie dzięki dwóm szczęśliwym przypadkom. Po pierwsze – małej, w stosunku do Żydów, liczbie czarnych, których przesunięto na dalsze miejsce w kolejce do eksterminacji. Po drugie – nieoczekiwane szybkie postępy wojsk alianckich, które wymusiły na Niemcach skupienie się na walce o przetrwanie. W wielu przypadkach hitlerowscy kaci zostali zlikwidowani, zanim zdążyli zakończyć czystki rasowe. Tak oto przedostałem się przez sito najszerszej zakrojonego i najbardziej metodycznego systemu masowych morderstw w nowoczesnej historii, dzięki czemu nadal żyję i jestem w stanie opisać koleje mojego losu.

Cofając się o ponad siedem dekad, polegałem przede wszystkim na własnej pamięci i osobistych zapiskach, a w przypadku wydarzeń poprzedzających moje narodziny czy wykraczających poza zdolność zapamiętywania – na wspomnieniach mojej matki i innych członków rodziny w Niemczech, Stanach Zjednoczonych i Liberii. Ponieważ nie wszystkie opisywane fakty są pochlebne, zmieniłem niektóre nazwiska, aby zainteresowanym oszczędzić zakłopotania.



## Jeden taki moment

Pewnego pięknego letniego poranka 1934 roku Herr Grimmelhäuser, nasz wychowawca w trzeciej klasie podstawówki, poinformował nas, że na polecenie dyrektora, Herr Wriedego, wszyscy uczniowie i nauczyciele mają zgromadzić się na dziedzińcu szkolnym. Tam, ubrany w brunatny nazistowski mundur, jak zawsze na specjalne okazje, Herr Wriede obwieścił nam, że oto nadszedł „najważniejszy moment naszego młodego życia”, ponieważ los wybrał nas na szczęśliwców, którzy dostąpią przywileju oglądania na własne oczy „naszego ukochanego Führera Adolfa Hitlera”. Zaszczytu tego, jak nas zapewnił Herr Wriede, będą nam kiedyś zazdrościć nasze dzieci i wnuki. Miałem wtedy osiem lat i w głowie mi nie powstało, że zwracając się do niemal sześciuset uczniów, dyrektor ma na myśli wszystkich, oprócz mnie jednego.

Cała szkoła aż wrzała z radosnego oczekiwania na ten wolny od zajęć dzień. Od dawna uporczywie wbijano nam do głów, jak bohatersko Führer dążył do władzy i jak nadludzkie wysiłki podejmował, aby wyprowadzić Niemcy ze stanu zniewolenia, w który popadły po klęsce w I wojnie światowej, a następnie przywrócić im dawną chwałę. Wszechobecność Führera zdążyliśmy już odczuć, ponieważ wszędzie widywaliśmy jego podobizny – w szkołach, budynkach publicznych, na plakatach i znaczkach pocztowych, nie wspominając o gazetach i kolorowych magazynach. Jeszcze bardziej frapował nas jego – teraz już dobrze znany – głos w radiu i na ekranie dzielnicowego kina, gdzie przemawiał do nas w cotygodniowych kronikach filmowych. I oto teraz mieliśmy ujrzeć na własne oczy owego legendarnego zbawcę i dobroczyńcę *Vaterlandu!* Większość uczniów, w tym ja, na samą myśl o tym była wprost nieprzytomna z emocji.

Na fali entuzjazmu, maszerowaliśmy pod okiem nauczycieli przez niemal godzinę do miejsca zbiórki przy Alsterkrugchaussee, głównej arterii prowadzącej do hamburskiego portu lotniczego na przedmieściu Fuhlsbüttel. Wzdłuż całej trasy przejazdu kolumny samochodów – z lotniska do szacownego hamburskiego *Rathausu* w centrum – tłoczyły się tysiące ludzi w stanie bliskim hysterii. Od wtargnięcia na jezdnię powstrzymywał ich nieskończenie długi, żywy łańcuch połączonych rąk „brunatnych koszul”. Usadzeni wzdłuż krawężnika za oddziałami SS i SA, czekaliśmy przez długie godziny, aż wreszcie, kiedy nasza niecierpliwość sięgnęła szczytu, ryk tłumu wzniósł się nagle do ogłuszającego *crescendo*. Fanfary orkiestry SS zaintonowały *Badenweiler Marsch*, ulubiony utwór Hitlera, oficjalny sygnał jego przybycia. Moment, na który wszyscy czekali, nastąpił. Wyprostowany jak struna obok kierowcy czarnego otwartego mercedesa, z prawą ręką wyciągniętą w znanym nazistowskim salucie, Führer przejechał koło nas w tempie zbliżonym do marszu z oczami bez wyrazu, utkwionymi w przestrzeni.

„Najważniejszy moment naszego życia”, do którego dyrektor Wriede tak starannie nas przygotowywał, trwał zaledwie kilka sekund, ale mnie wydały się one wiecznością. Ja, ósmioletni chłopiec o kędzierzawych włosach i brązowej skórze, wśród morza niebieskookich blond dzieci, stałem tam, przepełniony dziecięcym patriotyzmem, wciąż jeszcze pod osłoną parasola błogiej nieświadomości. Razem ze wszystkimi wiwatowałem na cześć człowieka, który każdą godziną swego życia dążył do destrukcji „parszywych nie-Aryjczyków”, takich jak ja. Człowiek ten, zaledwie kilka lat później, miał doprowadzić swój naród do największej katastrofy w jego długiej historii, a cały świat niemal na skraj zagłady.

## **Momolu Massaquoi**

Opowieść o tym, jak znalazłem się w tym fanatycznie wiwatującym tłumie, bynajmniej nie zaczęła się w dniu moich narodzin 19 stycznia 1926. Ani – jak można by się spodziewać – w Hamburgu, mieście, gdzie przyszedłem na świat. Stało się to pięć lat wcześniej w odległym o prawie 5 tysięcy kilometrów mieście Monrovia, stolicy Liberii, kiedy prezydent tego zachodnioafrykańskiego państwa sprytnie postanowił pozbyć się potencjalnego rywala politycznego Momolu Massaquoia, mojego przyszłego dziadka.

Charles Dunbar King, czternasty prezydent Liberii, już od dłuższego czasu uważał rosnącą popularność ambitnego Massaquoia za potencjalne zagrożenie. Wykształcony w Ameryce rywal był dawniej dziedzicznym władcą narodu Vai, który zamieszkiwał tereny graniczące z Liberią oraz przyległą kolonią brytyjską, Sierra Leone. Kiedy w wieku trzydziestu lat, po pięciu latach panowania jako Momolu IV, został w plemiennej dyspacji zmuszony do abdykacji i złożenia odziedziczonej po rodzicach – królowi Lahai i królowej Sandimannie – korony, zaczął szukać szczęścia jako polityk w Monrovi. Niemal mu w tym pomogło pozbycie się pięciu plemiennych żon i ślub z młodą piękną Rachel Johnson, która – szczęśliwym zbiegiem okoliczności – okazała się panną o świetnych koneksjach politycznych i finansowych, była bowiem wnuczką Hilary’ego W.R. Johnsona, pierwszego urodzonego w Liberii prezydenta tego kraju. Małżeństwo spełniło nie tylko bezgraniczne oczekiwania Massaquoia wobec kobiecej urody, ale także jego ambicje, dało mu bowiem coś, bez czego nikt w Liberii nie mógł liczyć na polityczny sukces – towarzyską akceptację „amerykanoliberyjskiej” klasy rządzącej. „Amerykanoliberyjczyk” to ulubione określenie stosowane przez potomków amerykańskich niewolników. To oni w roku 1847 założyli republikę Liberii, po czym wprowadzili tam ścisły system kastowy, który narzucono autochtonom w celu utrzymywania ich w stanie ciągłej impotencji politycznej i ekonomicznej.

Dzięki swej smykałce do polityki, urokowi osobistemu i surowej, męskiej powierzchowności, Massaquoi szybko awansował na kolejne rządowe stanowiska, w tym ministra do spraw interioru. To ostatnie wiązało się z odpowiedzialnością za zbliżenie wodzów plemiennych z rządem liberyjskim, rozpatrywanie plemiennych skarg i organizację międzyplemiennych

dysput. Przy szerokim poparciu ze strony zarówno swojej nowej amerykańskiej klasy, jak i współplemieńców z ościennego terytorium, Massaquoi wyrósł na polityczną, powszechnie uznaną potęgę. Stał się też przedmiotem zainteresowania wyższych kręgów władzy, które widziały w nim kolejnego rezydenta pałacu prezydenckiego. Niektóre z owych pogłoszek dotarły do prezydenta Kinga, ten zaś uznał, że najwyższa pora położyć im kres, pytanie tylko – jak? Na odpowiedź nie musiał długo czekać. Nasunęła się sama w formie pierwszej po wojnie oficjalnej wizyty przedstawiciela rządu niemieckiego, za prezydentury Friedricha Eberta. Niejaki doktor Bussing, poseł nadzwyczajny i minister pełnomocny Niemiec, spotkał się z prezydentem Kingiem w jego siedzibie, aby przedyskutować ściślejszą współpracę obu państw. W rozmowie wziął udział minister do spraw interioru Momolu Massaquoi.

Kiedy niski, lekko otyły poseł wkroczył do gabinetu Kinga, na jego powitanie podnieśli się z miejsc prezydent i Massaquoi. Niemiec miał na sobie wygnieciony, biały garnitur z lnu i cały czas wachlował się kaskiem tropikalnym, bezskutecznie próbując zaznać odrobiny ulgi od dusznej, afrykańskiej spiekoty.

W odróżnieniu od gościa, na Liberyjczykach upał zdawał się nie robić wrażenia. Zarówno wysoki, elegancki King z sumiastym wąsem, jak i mocno zbudowany, gładko wygolony Massaquoi, prezentowali się nienagannie w swoich grafitowych garniturach od londyńskiego krawca i modnych wysokich kołnierzykach, których niepokalana biel ostro kontrastowała z ciemnymi twarzami.

Zaraz po zapaleniu cygar i zajęciu miejsc Niemiec przeszedł do sedna. Płynną, lecz naznaczoną ciężkim, germańskim akcentem angielszczyzną wyjaśnił, że prezydent Ebert i minister spraw zagranicznych Walther Rathenau poprosili go o przekazanie prezydentowi Kingowi wyrazów wdzięczności za gotowość wysłuchania ich propozycji. Jego rząd uznał, iż nadszedł czas, aby Niemcy i Liberia ustanowiły stosunki dyplomatyczne poprzez wymianę konsulów generalnych. Wymiana taka, dowodził doktor Bussing, przyniesie obopólne korzyści. Ułatwi otwarcie bardzo pożądanego rynku zbytu dla liberyjskich surowców i produktów takich jak guma, kakao i olej palmowy, Niemcom zaś zapewni nieskrępowany dostęp do tych dóbr, który utracili wskutek przegranej wojny i ogołocenia przez aliantów ich afrykańskich kolonii.

Prezydent King nie tylko wyraził zainteresowanie propozycją, ale uznał, że należy ją jak najszybciej wprowadzić w życie. Na to poseł zauważył, że sukces całego planu zależeć będzie w znacznej mierze od wyboru właściwej osoby na owo eksponowane stanowisko. Musi to być człowiek o wyjątkowych kwalifikacjach – wybitnie inteligentny, elokwentny i doskonale wykształcony. Powinien też posiadać dużą wiedzę o Afryce w ogólności, a o Liberii i jej kulturze w szczególności. Wreszcie – aby osiągnąć sukces w Niemczech, kraju o wysokim stopniu świadomości klasowej – musi wykazywać się doskonałymi manierami i obyciem towarzyskim. „Chyba znam człowieka, który odpowiada ściśle pańskim wymaganiom – odpo-

wiedział prezydent, obrzucając swojego ministra znaczącym spojrzeniem. – Właściwie z całą pewnością go znam.”

Sześć miesięcy po wizycie niemieckiego emisariusza, 12 czerwca 1922, Momolu Massaquoi, nowo mianowany liberyjski konsul generalny w Niemczech, objął swoją misję w Hamburgu, dokąd przybył z żoną Rachel, synami – siedemnastoletnim Nathanielem i rocznym Arthurem – oraz dziesięcioletnią córką Fatimą na pokładzie SS „Wigbert”, należącym do niemieckiego Woermann-Linie. Pięciu jego synów z poprzednich małżeństw: Jaiah, Manna, Jawa, Bei James i Abraham zostało w Afryce. Najstarszy syn Al-Haj studiował już wtedy w Dublinie.

## **Hermann Baetz**

W słoneczny, lecz wyjątkowo mroźny niedzielny poranek w lutym 1905 majster w kamieniołomie Hermann Baetz przedzierał się jak wiele razy przedtem przez zimową scenerię lesistych gór Harzu w pobliżu miasteczka Uftrungen. Zmierzał do magazynku z prochem, gdzie składowano duże ilości dynamitu, aby pobrać kilka lasek do eksplozji zaplanowanych na następny dzień. Wyrobisko od magazynku dzieliła nieduża odległość, ale teraz, przy śniegu po kolana, Baetz posuwał się bardzo powoli. Krzepkiej budowy i średniego wzrostu, jak większość szanujących się Niemców swojej epoki, nosił gęste wąsy uważane za symbol męskości.

Tego szczególnego ranka nękały go złe przecucia i to nie bez powodu. W ciągu ostatniego miesiąca dwukrotnie otarł się o śmierć. Za pierwszym razem wspinał się po sznurkowej drabinie w kamieniołomie, aby zaznaczyć w stromej ścianie miejsca do wywiercenia otworów na ładunki wybuchowe, gdy nagle pękła jedna z dwóch głównych lin. Na szczęście miał dość siły, by uchwycić się szczebla i poczekać, aż robotnicy go wyciągną. Kilka dni później, kiedy spadający gład minął go zaledwie o centymetry, Baetz doszedł do wniosku, że to nie mógł być przypadek. Staranne badanie zarówno pękniętej liny, jak i gładu potwierdziło jego podejrzenie: ktoś wyraźnie przy nich majstrował. Ktoś chciał jego śmierci.

Jeszcze przed tymi incydentami żona Martha przestrzegala go, by miał się na bacności. Odkąd zwolnił z pracy sześciu włoskich robotników, aby przyjąć na ich miejsce bezrobotnych Niemców, bała się o jego bezpieczeństwo. Chociaż nie czuł niechęci do cudzoziemców, był niemieckim patriotą o prostych zasadach, w tym takiej, że dobroczynność zaczyna się od własnych ziomeków. Włosi pracowali w kamieniołomie od lat, bo wtedy jeszcze roboty starczało dla wszystkich. Ale – zgodnie z niepisaną zasadą – w kolejce do zatrudnienia cudzoziemcy zajmowali ostatnie miejsca, a w miarę ubywania miejsc pracy wylatywali jako pierwsi. Czując się niepożądanymi albo w najlepszym razie tylko tolerowanymi jako zło konieczne, Włosi mieli pretensje do Niemców, chociaż sprytnie zachowywali swoje uczucia dla

siebie. Mieszkali w najgorszych domach na przedmieściach, a kontakty z miejscowymi ograniczali do niezbędnego minimum, co odpowiadało obydwu nacjom.

Pamiętając o żoninej przestrodze, majster Baetz zbliżał się do magazynku z wielką ostrożnością. Ledwie wszedł do środka, leśną ciszę rozdarł huk ogłuszającej eksplozji, od której zatrzęsała się ziemia, a wielokrotne echo dało się słyszeć w promieniu kilku kilometrów przez wszystkich... z wyjątkiem majstra Baetza.

Martha, słysząc wybuch, natychmiast zrozumiała, że coś strasznego stało się z jej mężem. Mimo że była w ósmym miesiącu ciąży, zgarnęła trójkę najmłodszych z ośmiorga dzieci – dwuletnią Berthę, pięcioletnią Friedę i siedmioletniego Karla – po czym wszyscy co sił w nogach pobiegli do miasteczka po pomoc. Tam okazało się, że robotnicy zdążyli już zorganizować niewielką ekspedycję ratunkową. Martha chciała się do nich przyłączyć, ale zatrzymała ją współczujące kobiety. Ich mężowie wrócili późną nocą, twarze mieli posępne, a wieści jeszcze gorsze od tego, czego spodziewała się Martha. Na miejscu magazynku znaleźli jedynie gigantyczny lej, kilka kawałków bali, z których zbudowano chatę, oraz część przepiłowanego łańcucha. Po majstrze Baetzu nie pozostał żaden ślad, z wyjątkiem perłowego guzika od kamizelki i makabrycznych szczątków palucha prawej stopy.

Jak wykazało przeprowadzone nazajutrz śledztwo, Hermann Baetz padł ofiarą jednego lub kilku morderców, którzy za pomocą nieznanymi środków spowodowali eksplozję, w momencie gdy majster wszedł do magazynu. Istniało silne podejrzenie, iż był to akt zemsty ze strony zwolnionych robotników włoskich, ale nie znaleziono żadnego wiarygodnego dowodu, toteż nikogo nie oskarżono.

Po kilku tygodniach szok po katastrofie osłabł i życie w Ufrungen wróciło do normy. Jednakże Marcie i jej dzieciom eksplozja w ten lutowy poranek 1905 roku zniszczyła całe życie. Dzień po pogrzebie nikłych szczątków męża kazano jej opuścić należący do firmy domek, ponieważ miał się tam wprowadzić nowy majster z rodziną. Na dodatek liczna gromadka dzieci powiększyła się wkrótce o jeszcze jedną malutką dziewczynkę – Clarę, co w sumie dawało dziewiątkę. A jednak mimo tylu przeszkód, zdawałoby się nie do pokonania, czterdziestoletnia Martha zacisnęła zęby i wychowała swoje dzieci najlepiej, jak potrafiła. Przenosząc się z miasta do miasta, gdzie tylko mogła znaleźć pracę i mieszkanie, na które było ją stać, sprzątała domy, przyjmowała pranie, pomagała przy chrzcinach, weselach i stypach. Wreszcie osiadła wraz z dziećmi w Nordhausen, malowniczym średniowiecznym miasteczku, gdzie wróciwszy do dawnego zawodu położnej, sprowadziła na świat wielu małych mieszkańców, dzięki czemu mogła zapewnić rodzinie wygodne życie.

Kiedy w lipcu 1914 wybuchła I wojna światowa, blisko pięćdziesięcioletnia Martha prawie osiągnęła swój cel: wychowała dzieci na uczciwych, samowystarczalnych ludzi. Najstarsza Anna, lat trzydzieści jeden, była szczęśliwą żoną zamożnego rzeźnika i miała własne dzieci. Hermann, lat dwadzieścia osiem, pracował jako brygadzysta na dużej farmie. Martha, lat

dwadzieścia pięć, została wykwalifikowaną krawcową. Hedwig, lat dwadzieścia cztery, zarabiała na życie jako kucharka w bogatym domu. Osiemnastoletni Paul właśnie zdał egzamin na czeladnika w branży cukierniczej, a szesnastoletni Karl terminował u krawca. Z Martha mieszkały jeszcze tylko trzy najmłodsze: czternastoletnia Frieda, jedenastoletnia Bertha (która w swoim czasie zostanie moją matką) i dziewięcioletnia Clara. Chociaż dzieci różniły się upodobaniami, temperamentem i podejściem do życia, wszystkie odziedziczyły nieuleczalną podejrzliwość swojej matki wobec Włochów.

W miarę trwania wojny młodzi Baetzowie jeden po drugim zasilili szeregi armii jego cesarskiej mości Wilhelma II. Hermann wstąpił do artylerii, Paul do piechoty, a Karl został kawalerzystą. Wszyscy trzej służyli dzielnie, odznaczając się na polach bitewnych Francji, tak jakby sobie tego życzył ich ojciec. Hermann za swe zasługi otrzymał Krzyż Żelazny I klasy, ale stracił prawe oko.

Kiedy w 1918 roku Niemcy skapitulowały, a *Kaiser* znalazł azyl w Holandii, bracia wrócili do cywila. W kraju szalało wtedy bezrobocie, przyszłość rysowała się ponuro, toteż najbardziej przedsiębiorczy Hermann postanowił poszukać szczęścia w Stanach Zjednoczonych, kraju nieograniczonych możliwości. Tam, jak słyszał, robota „sama pcha się w ręce”. Plan zakładał, że gdy tylko zaczepi się w Nowym Świecie, sprowadzi resztę rodziny.

Na początku 1920 roku Hermann odpłynął do Nowego Jorku, skąd przeniósł się do Chicago, gdzie obiecano mu pracę „człowieka do wszystkiego” w niemieckiej restauracji. Po trzech latach odkładania każdego wolnego centa zaoszczędził dość pieniędzy, by wywiązać się z obietnicy i sprowadzić Paula, Marthę, Hedwig i Clare. Karl i Frieda mieli jechać jako następni, ale założyli rodziny i zdecydowali się zostać w Nordhausen z matką, której dolegliwości cukrzycowe tak się ostatnio nasiliły, że emigracja do Stanów nie wchodziła w rachubę.

Bertha, która dopiero co ukończyła praktykę jako pomoc pielęgniarska w miejscowym szpitalu i także zamierzała przyłączyć się do rodzeństwa w Ameryce, nagle zmieniła zdanie. Usłyszawszy, że w Hamburgu otwiera się mały prywatny szpital, oznajmiła, że to nadmorskie miasto zawsze ją fascynowało, spakowała więc walizkę, pożegnała matkę i swoje małomiasteczkowe życie, po czym wskoczyła do pierwszego pociągu do Hamburga.

## **Pierwszy afrykański „Ambasador”**

Utworzona po I wojnie Republika Weimarska, w której nowo mianowany konsul generalny Massaquoi zadebiutował jako dyplomata wiosną 1922, była nieprzewidywalnym wulkanem na granicy erupcji. Do codzienności należały zamieszki uliczne spowodowane wysokim bezrobociem i galopującą inflacją. Wciąż powtarzały się utarczki między politykami opozycyjnych partii, od skrajnej lewicy po skrajną prawicę. Nacjonałści, rozwścieczeni karnymi warunkami traktatu wersalskiego, dawali upust swojemu gniewowi, atakując Żydów, których piętnowali jako zdrajców i konspiratorów.

Niecałe dwa tygodnie po objęciu przez Massaquoia misji w Hamburgu ofiarą antysemitycznych fanatyków padł Walther Rathenau, Żyd z pochodzenia, który jako minister spraw zagranicznych odegrał kluczową rolę przy wypłatach reparacyjnych narzuconych przez traktat. Zginął od kuli podczas przejazdu otwartym samochodem do ministerstwa. W tym samym roku, w listopadzie, nikomu nieznanemu Austriakowi nazwiskiem Adolf Hitler usiłował obalić rząd Bawarii i rząd centralny w Berlinie, inicjując „pucz piwiarniany” – jedną z wielu prób destabilizacji i tak słabnącej Republiki Weimarskiej.

Mimo tak trudnych warunków, świeżo upieczony liberyjski dyplomata czuł się w kwitnącej hanzeatyckiej metropolii jak ryba w wodzie. Jako pierwszy oficjalny reprezentant Afryki od czasu utraty przez Niemcy około 2 milionów kilometrów kwadratowych tamtejszych terytoriów z ponad czternastoma milionami mieszkańców, Momolu Massaquoi stał się najbardziej wyrazistą osobistością na kontynencie europejskim. W ciągu kilku lat utwierdził się na pozycji jednego z najpopularniejszych członków hamburskiego korpusu konsularnego i najbardziej pożądanego gospodarza dla wielu prominentnych rezydentów i gości tego nadmorskiego miasta. Przyjazną atmosferę willi Massaquoia przy Johnsallee 22, w ekskluzywnej dzielnicy Rotherbaum, nieopodal rzeki Alster, szczególnie upodobali sobie na tajne strategiczne spotkania afrykańscy nacjonaliści, którzy – jak na przykład Jomo Kenyatta z Kenii – zwalczali kolonializm na uchodźstwie w Europie. Gościem liberyjskiego dyplomaty chwalili sobie także działacze na rzecz praw obywatelskich, artyści, intelektualni i sportowcy ze Stanów Zjednoczonych. Do najwybitniejszych należeli: śpiewak, aktor i działacz Paul Robeson, współzałożyciel NAACP<sup>5</sup> W.E.B. Du Bois, poeta Langston Hughes, gwiazda jazzu Louis Armstrong, były mistrz świata wagi ciężkiej Jack Johnson, śpiewak koncertowy Roland Hayes i uczyony Alain Locke. Niektórych z nich Momolu poznał jeszcze za swoich studenckich czasów w Stanach Zjednoczonych.

Niezależnie od licznych obowiązków konsularnych, Massaquoi znajdował czas na pisanie, nauczanie i wykłady na temat języków afrykańskich (zwłaszcza vai), w różnych uczelniach, między innymi na prestiżowym Uniwersytecie Hamburskim, oraz na tłumaczenie Biblii na vai. Wyprzedziwszy znacznie swą epokę w dziedzinie *public relations*, napisał i opublikował ładnie zilustrowaną broszurę pod tytułem *Republika Liberii*, która zapewniła jego państwu trwałe miejsce w świadomości Niemców. Dwujęzyczna, angielsko-niemiecka książeczka, w przejrzysty sposób wyrażała cel autora: „Wyjaśnić, jakim krajem jest Liberia, jakimi ideałami się kieruje i co może zaproponować rynkowi światowemu dla utrzymania postępu cywilizacji i rozwoju rasy ludzkiej”. Oprócz zjednywania Liberii przyjaciół i wpływania na opinię czytelników, broszura ujawnia niewątpliwy zmysł autora do polityki i dyplomacji. Całą stronę tytułową zajmuje portret prezydenta Kinga we wspianym fraku i przy orderach, podczas gdy skromną fotografię Momolu w zwykłym garniturze można obejrzeć dopiero na stronie 25.

W tym samym czasie sprawy związane z moim rychłym przyjściem na świat zmierzały powoli do finału. Aby jednak doszło do czegoś tak dziwaczego, jak moje narodziny w Niemczech, przeznaczenie potrzebowało jeszcze kilku lekkich kuksańców. Jeden z nich objawił się w formie zapalenia migdałków, na jakie zapadł mój przyszły dziadek. Podczas krótkiego pobytu w szpitalu celem ich usunięcia, szarmancki VIP zawojował z kretesem lekarzy i pielęgniarki, szybko zyskując status faworyta oddziału, a co za tym idzie, najczulej hołubionego pacjenta. Po wyjściu ze szpitala ekskról uznał, iż królewska opieka wymaga takiego samego rewanzu i zaprosił na wystawny jubel w swej willi cały personel medyczny.

Na przyjęciu znalazł się też – i to był kolejny kuksaniec losu – najstarszy syn Momolu, dwudziestosześcioletni Al-Haj, mający chwilową przerwę w studiach na Trinity College w Dublinie. Rozpieszczany od niemowlęctwa przez oboje rodziców, wykształcony w Londynie piękny „Amerykanoliberyjczyk” wyrósł na zepsutego, egocentrycznego młodzieńca, który przywykł do stawiania na swoim. Miał jednak to szczęście, że – jako dodatek do raczej negatywnych cech nabytych – odziedziczył sporo intelektualnych zdolności swego ojca, a także jego urok osobisty, dzięki któremu zjednywał sobie ludzi, szczególnie płeć przeciwną. Krążąc wśród zaproszonych gości, wypatrzył ładną panienkę o brązowych oczach, ledwie u progu dorosłości, podpierającą samotnie ścianę w kącie zatłoczonego salonu.

– Jestem Al-Haj Massaquoi – przedstawił się, ubawiony skrępowaniem dziewczyny, wyraźnie nienawykłej do zaczepiania przez obcych. – Mówi pani po angielsku?

Pokręciła przecząco głową.

– *Es tut mir leid. Ich verstehe nicht.* [Przykro mi, nic nie rozumiem.]

– W takim razie będzie nam musiał wystarczyć mój kulawy niemiecki – odrzekł płynną niemieczyzną z mocnym akcentem. – Jak pani na imię?

– Bertha – wykrztusiła, przyglądając się nieśmiało wytwornemu Afrykaninowi w nieskazitelnie skrojonym garniturze z Savile Row.

Miał przystojną twarz koloru czarnego aksamitu, czarne, ostrzyżone przy samej skórze włosy i wypielęgowane wąsy. Szczególną uwagę Berthy zwróciły ładnie ukształtowane, wyraźnie silne dłonie i oślepiająco białe zęby. Jakże się różnił od tych topornych, nieokrzyszanych chłopaków z jej rodzinnego Nordhausen! Większość tych, z którymi chodziła na tańce, trudniła się pracą na roli albo handlem.

– Nie musisz się mnie bać – przekonywał Al-Haj. – Ja nie gryzę. Nie wiem, co ci naopowiadano o Afrykanach, ale zapewniam cię, że nie jestem ludożercą.

Zakłopotana, że wzięła jej powściągliwość za strach, zapewniła go pospiesznie, że nic takiego nie przeszło jej nawet przez myśl. I dlatego od razu się zgodziła, kiedy zapytał, czy nie przejechałaby się z nim jutro jego nowym samochodem – prezentem od dobrego tatusia. Przejazdźka ta, po której nastąpiło wiele innych, stała się zaczątkiem błyskawicznych zalotów, podczas których Al-Haj kompletnie zawrócił w głowie prostodusznej Bercie.



Kursując między Dublinem a Hamburgiem tak często, jak tylko studia mu na to pozwalały, zabierał ją do wszystkich popularnych nocnych knajp przy Reeperbahn w St. Pauli, na wyścigi konne, do teatru, opery, a nawet na mecze bokserskie. Od czasu do czasu podróżowali też do innych miast, w tym do Berlina. W ferworze tych frapujących zajęć Al-Haj ciągle odkładał dawno obiecaną wyprawę do ołtarza, tłumacząc Bercie, ilekroć wracała do tego tematu, że z powodu przygotowań do egzaminów brakuje mu czasu, aby zorganizować wesele godne syna konsula generalnego Liberii.

Los jednak miał w zanadrzu jeszcze jeden kuksaniec. Na debiut bez fanfar i heroldów, w dodatku o dwa miesiące za wcześnie, zdecydowałem się we wtorek 19 stycznia 1926, w *Krankenhausie* w dzielnicy Eppendorf. Matka nazwała mnie Hans-Jürgen, zgodnie z panującą wówczas modą na podwójne imiona, ja zaś – w stosownym czasie, jak większość niemieckich dzieci – zacząłem mówić do niej *Mutti*. Niezwykłym zbiegiem okoliczności, za ledwie sześć miesięcy później, 31 lipca, żona Momolu Rachel powiła mu kolejnego syna, mojego malutkiego stryjka imieniem Fritz.

Tymczasem moja babka ze strony matki, poważnie chora na cukrzycę Martha Baetz, wybrała się jednak do Stanów Zjednoczonych na swoją „ostatnią wizytę” u dzieci, które zdążyły się już osiedlić w Chicago i okolicach. Zanim wiadomość o moich narodzinach dotarła za ocean, Mutti otrzymała od jednej z siostr list w czarnych ramkach, z informacją, że ich matka zmarła i została pochowana w Chicago.

## Jedwabne życie nad Alsterem

Momolu, który zdążył już polubić moją matkę, dość szybko namówił ją, aby przeniosła się ze mną do willi przy Johnsallee, jako że ojciec większość czasu spędzał w Irlandii, kontynuując swoje studia prawnicze i zapewne nie tylko. W jednej chwili rezydencja podzieliła się pod względem językowym: z matką i ze mną wszyscy rozmawiali po niemiecku, ale między sobą po angielsku. Wkrótce dom trząsł się od wrzasków dwóch rozwydrzonych maluchów, a matka, która ze względu na mnie rzuciła pracę w szpitalu, starała się łagodzić ciągle awantury między „wujkiem” Fritzem a mną i trzymać nas z daleka od Momolu. Ponieważ Fatimę oddano do jakiejś ekskluzywnej szkoły z internatem za miastem, a Nat i Arthur chodzili jeden do gimnazjum, a drugi do przedszkola, Fritz i ja mieliśmy dom dla siebie. Trwało to do czasu, kiedy po ukończeniu przez nas dwóch lat rodzina powiększyła się o siostrę Fritza, a moją „ciocię” imieniem Fasia – nowe oczko w głowie Momolu.

Jeśli zaraz po wyrośnięciu z pieluch nabrałem przekonania, że świat kręci się wokół niezwykle rzadkiego klejnotu, czyli mojej bezcennej osoby, to doszedłem do tego wniosku w zupełnie uczciwy sposób. Nie było bowiem dnia, żeby ktoś nie wykrzyknął na mój widok: „*Ist der nicht süß?*” [Czyż on nie jest słodki?] albo: „*Wie niedlich!*” [Jaki uroczy!]. Czasem podczas spacerów z Mutti te pochlebstwa przybierały namacalną formę, gdyż przechodnie

dawali mi cukierki, owoce, a nawet pieniądze. Matka jednak, ku memu rozżaleniu, absolutnie nie pozwalała mi niczego przyjmować. Szybko do mnie dotarło, że skupiam na sobie znacznie więcej uwagi niż inne dzieci w moim wieku, zapytałem więc Mutti, dlaczego tak się dzieje. W odpowiedzi usłyszałem, że po prostu wszyscy podziwiają moją „piękną brązową skórę i czarne kręcone włosy”. Nie przyszło mi wtedy do głowy, że są to cechy, które odróżniają mnie od innych, w tym od własnej matki. Nagle uświadomiłem sobie z całą ostrością różnicę między rasą europejską a afrykańską. Ponieważ centralne miejsce w moim świecie zajmował zdecydowanie czarny dziadek, wszyscy zaś biali grali w nim podrzędne lub neutralne role, uznałem czarną karnację i kędzierzawe włosy za atrybuty ważnych osób, a fakt, że składano mi publiczne hołdy, za coś, co mi się naturalnie należy.

Dziadek Momolu uwielbiał dzieci i spędzał z nami tyle czasu, na ile pozwalały mu obowiązki konsula. W gruncie rzeczy widywałem go znacznie częściej niż ojca, który kończył studia w Dublinie, a jednocześnie pracował w różnych hamburskich firmach, w tym w Woermann-Linie, aby nabrać doświadczenia w branży eksport–import.

Ponieważ zarówno Momolu, jak my z Fritzem lubiliśmy wcześniej wstawać, zaczęliśmy każdy dzień od śniadania (melony i owsianka) na oszklonej werandzie z widokiem na zadrzewione podwórze. Przy jedzeniu zabawiałem dziadka niemieckimi wierszykami dla dzieci, w tym przerażającym *Struwwelpeterem*<sup>6</sup>. Matka tak często czytywała mi je z ilustrowanej książki, że wiele umiałem już na pamięć. Największe wrażenie wywierał na dziadku wierszyk *Die Drei Tintenjungen* [Trzej atramentowi chłopcy], o białych dzieciach, które z czasem szcerniały. Za to, że drwili z przechodzącego w pobliżu młodego „czarnucha” w przepasce na biodrach, Święty Mikołaj wrzucił ich do ogromnej butli z atramentem, przez co stali się jeszcze czarniejsi od obiektu swych kpin. Za każdym razem, kiedy recytowałem ów obrzydliwie rasistowski wierszyk, mój dziadek ryczał ze śmiechu na cały dom. W rewanżu za moje wysiłki opowiadał mi historie o starych afrykańskich królestwach. Raz nawet wyznał, że sam był kiedyś królem, co wydało mi się czymś absolutnie nie do uwierzenia, dopóki nie pokazał mi swojej fotografii z lat młodości w królewskiej szacie i koronie. Wyjaśnił mi, że zostawił koronę w Liberii i jak kiedyś pojedziemy tam razem, to będę mógł ją zobaczyć. I chociaż tłumaczył mi bez końca, że przekazał swój tytuł i koronę młodszemu kuzynowi, bo znudziło mu się panowanie, nigdy nie pojąłem, jak ktoś przy zdrowych zmysłach może nie chcieć być królem.

W każdą niedzielę po południu Momolu zabierał Arthura, Fritza i mnie na przechadzkę do parku nad Alsterem. Stanowiliśmy imponującą grupę – dziadek w homburgu, palcie z futrzanym kołnierzem i modnych getrach, my w marynarskich granatowych ubrankach i kapelusi-kach, które wówczas były ostatnim krzykiem mody. Te spacerki często kończyły się w jakiejś małej, ekskluzywnej kafejce czy cukierni, gdzie powietrze przesycił zniewalający aromat gorącej czekolady, świeżo parzonej kawy oraz ciastek i gdzie przy obowiązkowych

dźwiękach walców wiedeńskich, granych na skrzypcach i pianinie, chłoniliśmy ową wyjątkową atmosferę, którą Niemcy określali słowem „*Gemütlichkeit*”. Ledwie zdążyliśmy wejść, wyrastał jak spod ziemi usłużny, wyfraczony *maitre d'* i, kłaniając się w pas, sadowił nas przy jednym z „lepszych” stolików, specjalnie zarezerwowanym dla *Seine Excellenz*. Goście przy sąsiednich stolikach dyskretnie się nam przyglądali, a dziadek nieodmiennie prosił mnie o zamawianie różnych smakołyków, aby zaprezentować moją nieskazitelną niemczyznę. Nic nie sprawiało mu większej przyjemności niż śledzenie zdumionych min innych gości, ja zaś, w pełni świadom ważności swojej osoby, zawsze entuzjastycznie stawałem na wysokości zadania.

Czasem zdarzało się nawet, że Momolu kazał matce budzić mnie ze snu, aby móc się popisać moją lingwistyczną sprawnością przed jakimiś zaproszonymi na kolację Niemcami czy Afrykanami. Przy takich okazjach prosił mnie zwykle o zaśpiewanie piosenki, na przykład *Hänschen Klein Ging Allein* [Mały Hans chodzi sam], co spełniałem z największą przyjemnością. W nagrodę mogłem się pławić w pochlebstwach gości, którzy nigdy nie omieszkali wyrazić swego zachwytu nie tylko dla mojej pozbawionej obcego akcentu niemczyzny, ale także dla nieomylnie hamburskiej wymowy.

Dla mnie Momolu był po prostu nieskończenie dobrym i pobłażliwym *Opa* [dziadziem], którego jedynym celem w życiu zdawało się spełnianie każdej mojej zachcianki. Dopiero znacznie później przekonałem się, jak wybitnym był mężem stanu i jak niezwykle ważną, pionierską rolę odegrał jako rzecznik Afryki w ogóle, a Liberii w szczególności.

Niestety międzynarodowy skandal dotyczący Liberii, jaki wydarzył się w tym czasie, pociągnął za sobą dalekosiężne konsekwencje dla mojego dziadka, a w końcu dla wszystkich członków rodziny Massaquoi, ze mną włącznie. Już pod koniec lat dwudziestych napływały raporty, które na całym świecie wywołały falę oburzenia i zagroziły istnieniu pierwszej w historii współczesnej republiki afrykańskiej pod rządami jej rdzennych mieszkańców. Utrzymywano, że liberyjski rząd z prezydentem Kingiem na czele nie tylko akceptował, ale aktywnie uczestniczył w skrajnie lukratywnym eksporcie ludzi z liberyjskich plemion do hiszpańskiej kolonii na wyspie Fernando Po nieopodal wybrzeży Kamerunu w charakterze przymusowej siły roboczej. Liberia, państwo założone przez oswobodzonych niewolników jako ich azyl, państwo, którego motto brzmiało „Sprowadziło nas tu umiłowanie wolności”, zostało oskarżone o praktykowanie niewolnictwa.

Dążąc do oczyszczenia swego nazwiska i honoru kraju, prezydent King zażądał powołania bezstronnej komisji Ligi Narodów i skrupulatnego zbadania wszystkich zarzutów. W rezultacie intensywnego śledztwa komisja doszła do wniosku, że zarzut niewolnictwa – tak jak je określa Konwencja w sprawie niewolnictwa – jest nieuzasadniony. Mimo to potępiła Liberię za praktykę „zastawiania ludzi”, która polegała na tym, że rodziny oddawały swoich członków, a zwłaszcza dzieci, do pracy w domach zamożnych Amerykanoliberyjczyków pod pre-

tekstem „edukacji”. Dzieci te pracowały bez żadnego wynagrodzenia, jedynie za najbardziej prymitywne zakwaterowanie i wyżywienie. Choć „zastawianie” szeroko praktykowano i akceptowano w całej Afryce Zachodniej, włącznie z ogromnymi koloniami brytyjskimi, francuskimi i portugalskimi, to tylko Liberia, mała republika czarnych, została wyróżniona międzynarodowym potępieniem. W rezultacie pojawiły się naciski (zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii), aby prezydent King i wiceprezydent Allen Yancy ustąpili ze stanowisk.

Zaczęły się wówczas w Monrovi dzikie przepychanki zmierzające do wypełnienia politycznej próżni po ewentualnej rezygnacji Kinga. Wiele z tych zakulisowych gier toczyło się daleko od Liberii, w jej hamburskim konsulacie generalnym, tuż pod moim kilkuletnim nosem. Z kraju non stop przyjeżdżali do nas czołowi członkowie opozycyjnej Partii Ludowej, którzy próbowali wmówić mojemu dziadkowi, że jest jedynym sensownym kandydatem do przeprowadzenia Liberii przez jedną z najczarniejszych godzin jej historii. Dopiero po pewnym czasie zdołali go przekonać do kandydowania na prezydenta, zwłaszcza że oznaczało to wypowiedzenie politycznej lojalności rządzącej Prawdziwej Partii Wigów i podjęcie walki z wieloletnim przyjacielem i sojusznikiem politycznym, sekretarzem stanu Edwinem Barclayem. Kiedy jednak prezydent King poprosił Momolu o powrót do Liberii i objęcie stanowiska generalnego naczelnika poczty, dziadek uznał to za szczęśliwy omen i wyraził zgodę, gotów stawić czoło wszelkim ewentualnym wyzwaniom politycznym. Ósmego grudnia 1929 roku Momolu Massaquoi wypłynął na pokładzie SS „Livadia” linii Hamburg–Afrika do Monrovi na spotkanie z niepewną przyszłością.

Po moim ojcu, jako jego najstarszym synu, spodziewano się, że w tym ciągle jeszcze tajnym wyścigu dziadka do prezydentury odegra aktywną rolę. Oznaczało to koniec studiów w Dublinie i powrót do Liberii, co posłużyło mu później za kolejny pretekst do odłożenia ślubu. Kiedy dziadek poprosił, abyśmy wyjechali z Niemiec wraz z resztą rodziny, matka odmówiła. Choć wcześniej snuła plany naszego przyszłego życia w Afryce, szybko zmieniła zdanie, gdyż nasz lekarz rodzinny surowo przestrzegł ją przed tak drastyczną zmianą klimatu dla chorowitego dziecka. Rzeczywiście w krótkim czasie przeszedłem całą serię chorób: dyfteryę, koklusz, szkarlatynę, otarłem się też o zapalenie płuc i ledwie uszedłem z życiem. Doktor przekonał matkę, że w najbardziej niezdrowym z klimatów, w kraju, gdzie panuje malaria i inne choroby tropikalne, a opieka medyczna jest jeszcze w powijakach, narazi mnie na pewną śmierć. To jej wystarczyło. Nie zasięgając drugiej opinii, oznajmiła dziadkowi, że przynajmniej na razie zostanie razem ze mną w Niemczech, a jej decyzja jest nieodwołalna. Nie chcąc ryzykować moim życiem, rozstała się bez wahania ze swym długo hołubionym marzeniem o przyszłości w Liberii, mimo niekorzystnych konsekwencji dla naszej sytuacji finansowej, a także jej stanu cywilnego.

## Nowy kolo na dzielni<sup>7</sup>

Wraz z odjazdem dziadka, ojca i innych członków rodziny, nasze jedwabne życie w jednej z najelegantszych rezydencyjnych dzielnic Hamburga gwałtownie się urwało. Z rodu Massaquoi pozostała w Europie jeszcze tylko moja ciotka Fatima, w owym czasie uczennica szkoły z internatem w Bernie.

Mutti, zdana praktycznie na własne siły, musiała jakoś sobie poradzić, czyli znaleźć pracę i takie mieszkanie, na które mogłaby sobie pozwolić. Na szczęście miejsce dla pomocy pielęgniarzkiej znalazło się w klinice laryngologicznej dużego rządowego szpitala St. Georg blisko centrum Hamburga. Z polecenia szpitalnej koleżanki matce udało się wynająć malutkie, jednopokojowe mieszkanie (bez ciepłej wody) na poddaszu trzypiętrowej kamienicy czynszowej w Barmbek, rozwijającej się robotniczej dzielnicy w północno-wschodniej części miasta. Wchodziło się tam po najbardziej stromych i skrzypiących schodach, jakie w życiu widziałem. Nasz nowy adres brzmiał: Stückenstrasse 3. Oprócz znośnego czynszu matkę skusił także fakt, że piętro niżej mieszkała starsza wdowa, Frau Elizabeth Möller, która za skromną tygodniową opłatą zgodziła się zapewnić mi opiekę i wyżywienie w godzinach pracy matki, pod warunkiem, że będę ją nazywał *Tante* [ciotka].

Życie „nowego na dzielni” nigdy nie jest łatwe, ale ja w swojej byłem nie tylko nowy: wyróżniałem się dodatkowo najbardziej egzotycznym wyglądem. W związku z tym musiało upłynąć sporo czasu, zanim moi sąsiedzi do mnie przywykli i – co równie ważne – ja przywykłem do nich. W ekskluzywnym kosmopolitycznym środowisku mojego dziadka czarnoskórych ludzi traktowano z najwyższym szacunkiem, toteż nauczyłem się uważać moje rasowe cechy za powód do zazdrości. Tymczasem tutaj odnoszono się do mnie tak drastycznie inaczej, jakby były one raczej powodem do wstydu. Zamiast przyjaznych spojrzeń i pochlebnych uwag pojawiła się niezdrowa ciekawość i obraźliwe komentarze. Najgłębiej dotyczyły mnie zwłaszcza dwa dotąd zupełnie nieznanne słowa, które – jak szybko odkryłem – dotyczyły wyłącznie mojej aparycji. Pierwsze z nich to *Mischling*. Przyparta do muru Mutti wyjaśniła mi, że oznacza ono kogoś, kto – tak jak ja – ma rasowo różnych rodziców. To drugie, *Neger*, według Mutti, nie odnosiło się do mnie, bo określano nim tylko czarnoskórych Amerykanów. Ale uliczne łobuziaki, moi najwięksi dręczyciele, najwyraźniej o tym nie wiedzieli, a jeśli nawet, to nie bawili się w takie subtelności. Na mój widok zaraz zaczynali swoją stałą śpiewkę: „*Neger, Neger, Schornsteinfeger*” (Murzynie, Murzynie, idź grzebać w kominie) i z sadystycznym uporem nie przestawali, dopóki nie zniknąłem im z oczu.

Na szczęście z czasem dziwne spojrzenia i kpiny zdarzały się coraz rzadziej, bo i mój egzotyczny wygląd wyraźnie się opatrzył. Ci sami chłopcy, którzy krzyczeli najgłośniejsze, stali się nagle moimi najlepszymi kumplami. Ku mojej wielkiej uldze, zupełnie przestali dostrzegać różnice, które dotąd tak nas dzieliły.

Wciąż jeszcze zdarzało mi się tęsknić za dawnym życiem pod kloszem w Rotherbaum – za codziennym śniadaniowym rytuałem w towarzystwie dziadka, za spacerami nad Alsterem i poczuciem, że jestem pępkiem świata. Ale jeśli nawet został mi jakiś ślad nostalgii, to nie miał nic wspólnego z naszym drastycznie obniżonym standardem życia, bo prawie nie zda- wałem sobie z tego sprawy. Z mojego punktu widzenia nasze nowe środowisko wiązało się z odmiennym, ale nie gorszym stylem życia.

Zamiast ciepłej i zimnej wody w kranie mieliśmy tylko zimną, co oznaczało brak codzien- nych pryszniców i kąpieli w wannie. Teraz musiałem czekać do sobotniego wieczoru, kiedy matka grzała na węglowej kuchni ogromny gar wody i wlewała ją do cynkowej balii, na- miastki wanny. Najpierw pozwalała mi się przez kilka minut odmoczyć, potem namydłała mnie starannie gąbką, a na koniec – i to lubiłem najbardziej – urządziła mi zaimprovizowany prysznic za pomocą kilku dzbanków ciepłej wody. W ciągu tygodnia musiałem poprzestać na „myciu jak ptaszek” zimną wodą w kuchennym zlewie.

Oprócz tego bardzo brakowało nam telefonu i lodówki. Tej ostatniej zresztą nie posiadała większość niemieckich gospodarstw domowych w okresie przed II wojną, toteż do codzien- nych obowiązków należały wyprawy na zakupy. Prywatne telefony także widywało się tylko w zamożnych domach. Natomiast tym, co wyróżniało nasze poddasze wśród wszystkich mieszkań w budynku, był brak instalacji elektrycznej, przez co musieliśmy korzystać z oświetlenia gazowego. Nie było to dla mnie problemem, przeciwnie, z przyjemnością ob- serwowałem, jak matka co wieczór przykładła zapaloną zapalkę do lampy na suficie, odkre- cała gaz i czekała, aż rozbłyśnie jasne światło.

Uważałem moje nowe życie za znacznie bardziej frapujące niż stateczną ciszę rodzinnej willi w spokojnej, parkowej okolicy. W naszym obecnym sąsiedztwie przeważały głównie stare, obskurne czynszówki, czasem z balkonami albo małymi podwórkami na zapleczu, oraz ustawione tarasowo piętrowe segmenty. Dopiero znacznie później przyjął się zwyczaj malo- wania fasad na różne kolory, co w powojennych Niemczech nadało miastom charaktery- styczny posmak zamożności i „cudu gospodarczego”. W robotniczych dzielnicach przedwo- jennego Hamburga budynki pokrywała gruba patyna brudu, dzięki której wszystkie wyglą- dały jednakowo szaro. Ale mimo odpychających murów, mieszkania w Barmbeke lśniły nie- skazitelną czystością, gdyż niepracujące żony przez cały dzień zajmowały się wyłącznie czyszczeniem, zamiataniem, odkurzaniem, polerowaniem i praniem.

Tu, w przeciwieństwie do cichych bulwarów Rotherbaumu, ulice tętniły życiem ludzi zaj- mujących się różnymi fascynującymi sprawami, które rozpały do czerwoności ciekawość pięcioletniego chłopca. Większość wycieczek po najbliższych okolicach odbyłem, wlokąc się codziennie za moją opiekunką, Tante Möller, na zakupy – do nabiałowego, spożywczego, mięsnego i zieleniaka, a raz w tygodniu – do rybnego. W każdym z tych, przeważnie rodzin- nych, sklepów Tante Möller wiodła długie dyskusje z właścicielami praktycznie na każdy te-

mat – od pogody po reumatyzm i od wysokich kosztów utrzymania po „stare dobre czasy” sprzed I wojny. W każdym sklepie uprzejmi sprzedawcy mieli dla mnie jakiś drobny poczęstunek w postaci kawałka sera, cukierka, kiełbaski czy owocu. Ta szczodrość jeszcze bardziej wzrosła, kiedy Tante Möller poinformowała właścicieli, że mimo mojego wyglądu jestem rodowitym hamburczykiem, a nie jak przypuszczali, jakimś *Quiddje*, co było pogardliwym, slangowym określeniem pechowców, którzy nie mieli szczęścia urodzić się w naszym mieście.

W typowy poranek na zakupach z Tante Möller patrzyłem zafascynowany przez okno wystawowe, jak krawiec szył garnitur, siedząc na stole z nogą na nogę, jak kowal w zadmionej kuźni przybijał ogromnemu gniadoszowi nowe podkowy, jak lodziarz wyładowywał z ciężarówki przed tawerną olbrzymie bryły lodu, jak pokryty sadzą kominiarz w cylindrze balansował niebezpiecznie na dachu, opuszczając obciążoną szczotkę do otworu komina. Od czasu do czasu dźwięki klaksonu i dzwonek sygnalizowały zbliżanie się flotyli wozów straży pożarnej z załogą w błyszczących hełmach. Z naszą *Stückenstrasse* sąsiadowała główna arteria *Am Markt* z piszczącymi przy hamowaniu tramwajami, górą przejeżdżały ze szczękiem kół wagony kolei nadziemnej, zwanej *Hochbahn*. Nienawykli do całonocnych hałasów, budziliśmy się z matką za każdym przejazdem pociągu, ale już po kilku tygodniach przestało to robić na nas wrażenie.

Do najbardziej intrygujących wydarzeń należał widok pędzącego na syrenie wozu policyjnego, na który z powodu zielonego koloru mówiono *Grüner August*. Tante Möller, zawsze skłonna do przesady, tłumaczyła mi, że ich zadaniem jest łapanie przestępców i wtrącanie ich do więzienia. W rzeczywistości ci okoliczni „przestępcy” byli przeważnie praworzádnymi, ciężko pracującymi obywatelami, którzy po kilku piwach w gospodzie zachowywali się zbyt głośno.

Dokładnie naprzeciwko naszego domu znajdowało się tylne wyjście Europa Palast, dzielnicowego kinoteatru, który szybko stał się moim ulubionym miejscem dzięki niedzielnym porankom. Nieco dalej stał czteropiętrowy ceglany budynek *Waffelfabrik*. Pomimo paskudnego wyglądu wszystkie okoliczne dzieciaki darzyły go wielką estymą. Ja też wkrótce się dowiedziałem, że wystarczy pokonać kilka schodków i nacisnąć dzwonek, żeby otworzyło się okienko, przez które starsza pani wydawała za 5 fenigów ogromną torbę z pysznymi skrawkami wafli.

Ponieważ na zakupy musieliśmy chodzić codziennie, nie tylko przywykłem do przeważnie zimnej, dżdżystej i mglistej aury Hamburga, ale nawet ją polubiłem. Jest to cecha, która wyróżnia hamburczyków od olbrzymiej większości ludzi i zwierząt na całej kuli ziemskiej. Dzięki Tante Möller stałem się smakoszem takich miejscowych rarytasów jak wędzony węgorz, ryż z cukrem i cynamonem, zupa gruszkowa, wieprzowe ryje i nóżki, flądra smażona na boczku, smażone, surowe i wędzone śledzie oraz *Rote Grütze*, czyli deser z czerwonych

owoców. Przy niej zacząłem też myśleć i czuć jak hamburczyk, a jeśli czegoś mnie nauczyła, to tego, że urodzeni tu ludzie mają szczęście mieszkać w najpiękniejszym, najbardziej interesującym i pożądanym mieście na świecie.

Mniej więcej raz w miesiącu jeździliśmy na zakupy do centrum tramwajem linii numer 6. Odwiedzaliśmy wtedy duże domy towarowe, takie jak Karstadt, Toedt, Epa i Woolworth – najnowszy import ze Stanów Zjednoczonych – i oglądaliśmy kolorowe witryny i wystawy wewnątrz sklepów. Nasze wycieczki nieodmiennie kończyliśmy w eleganckim Alsterpavillon przy Jungfernstieg (hamburski odpowiednik nowojorskiej Piątej Alei) albo w ogrodzie na dachu domu towarowego Karstadt, gdzie próbowaliśmy przeróżnych wyrobów cukierniczych. Czasem zamiast tramwajem wracaliśmy promem przez Alster, a potem w domu składałem matce obszernie sprawozdanie ze wszystkiego, co widziałem i słyszałem. Niestety te wyprawy urwały się, kiedy pewnego dnia starzejąca się wyraźnie Tante Möller upadła przy wysiadaniu z tramwaju. Wypadek wywołał wielkie zamieszanie, od razu zebrał się przy nas tłumek gapiów, znalazł się też policjant, który pomógł Tante Möller się podnieść. Chociaż nic poważnego jej się nie stało, straciła zapal do wędrówek po mieście i już nigdy nie wsiadła do tramwaju.

Raz w pobliżu domu natknęliśmy się na trzy kobiety o śniadej cerze i ostrych rysach. Miały czarne rozwiane wiatrem włosy i długie do ziemi kolorowe spódnice. Biegły za nimi dzieciaki, które wyśmiewały je tak samo, jak jeszcze niedawno mnie, ale zamiast o czarnym kominiarzu wykrzykiwały coś o „Cyganie, co sra w gacie”. Kiedy zapytałem Tante Möller, kim są te dziwne panie, odpowiedziała szeptem, że to Cyganki. Ona wprawdzie nie pochwała tego, co robią te dzieci, ale – jak mówiła – Cyganie sami są temu winni. To bardzo niebezpieczni ludzie: nigdzie nie zagrzeją miejsca, nie pracują i kradną wszystko, co nie jest przybite do podłogi, a zwłaszcza małe dzieci.

Patrzyłem ze zgrozą na trzy zbliżające się kobiety, gdy nagle jedna z nich odwzajemniła moje spojrzenie ciemnymi, przenikliwymi oczami. O mało nie umarłem ze strachu. Ja także głęboko wierzyłem w germański przesąd, że Cyganie kradną dzieci – szczególnie te jasnowłose – i wychowują je jak własne, aby wnieść „świeżą krew” do swych „plemion”. Chociaż uświadomiłem sobie, że przy moich czarnych włosach nie stanowią szczególnie pożądanego łupu dla cygańskich kidnaperów, wolałem nie ryzykować i zawsze trzymałem się od nich w bezpiecznej odległości.

Wkrótce Tante Möller zaczęła mnie wypuszczać samego na ulicę, gdzie mogłem bawić się z innymi dziećmi, ale z surowym poleceniem, że mam pozostawać w zasięgu jej głosu, który niósł się przez całą okolicę pomiędzy Stückenstrasse, Am Markt, Haferkamp i Langenrehm. Znaczyło to, że mam być w domu w ciągu kilku minut od wezwania z okna. Jeśli zdarzyło mi się znaleźć poza zasięgiem głosu albo zabawa tak mnie pochłonęła, że nie odpowiedziałem na jej donośne wołanie: „Haaans-Jüüürgen!”, uznawała to za ucieczkę i przychodziła po mnie



osobiście. W takich przypadkach czekała mnie nieunikniona kara w postaci zakazu wyjścia następnego dnia – wyrok, od którego nie było odwołania.

Tante Möller ostrzegła mnie też zawsze, bym miał się na bacności przed *Mitschnackerem*, specjalną hamburską odmianą porywaczy dzieci. Nazwę tę zawdzięczali swojemu *modus operandi*: zwabianiem dzieci w odludne miejsca. Czując jeszcze ciarki na plecach po spotkaniu z trzema Cygankami, przyrzekłem solennie nie przyjmować żadnych zaproszeń od obcych, a od *Mitschnackera* w szczególności.

Tym, czego musiałem się nauczyć w przyspieszonym tempie, był respekt wobec rzeczowego stosunku Tante Möller do dyscypliny. Po śmierci męża w słynnej bitwie pod Verdun wychowała samotnie trzech synów i córkę na szanowanych ludzi, mogła więc uważać się za eksperta od kształtowania dziecięcych charakterów. Dla mojego własnego dobra szybko wybiła mi z głowy przekonanie, że jestem pępkiem świata. Jednocześnie była osobą o miękkim sercu i mimo pewnej szorstkości w obejściu, nigdy nie spuściła mi lania ani nie ukarała fizycznie, nawet jeśli przekroczyłem wyznaczoną granicę. Zresztą nie musiała, gdyż na tego rodzaju – wcale nierzadkie – okazje miała w zanadru niezawodny środek. Cytując stare niemieckie przysłowie: „Kto nie słucha, musi poczuć”, sięgała do schowka po swoją słynną *Rute*, czyli różgę z pęku cienkich witek, którą ponoć specjalnie na ten cel zostawił jej Święty Mikołaj. Wystarczyło, że pomachała mi nią przed nosem, bym natychmiast wrócił w podskokach na prostą i wąską ścieżkę grzeczności.

## Dobre czasy

Chociaż naprawdę lubiłem Tante Möller i nie miałem nic przeciwko spędzaniu z nią czasu w dni robocze, zawsze z niecierpliwością wyczekiwałem wieczornego powrotu Mutti z pracy, a jeszcze bardziej niedzieli, kiedy mieliśmy dla siebie cały dzień (przed II wojną w Niemczech obowiązywał sześciodniowy tydzień pracy). Zgodnie z niemieckim obyczajem, matka stroiła mnie wtedy obowiązkowo w *Sonntagsanzug* (niedzielne ubranko) i wychodziliśmy na miasto. Często wybieraliśmy się do parku miejskiego na obrzeżach miasta, gdzie w weekendy zbierały się tłumy hamburczyków spragnionych świeżego powietrza. Do dyspozycji mieli różnego rodzaju łódki, boiska do piłki nożnej, korty tenisowe, można było puszczać latawce, urządzać pikniki, jeździć na koniach i na rowerach, a nawet pływać w wielkim otwartym basenie. Ale większość bywalców robiła dokładnie to, co my – po prostu spacerowała i przyglądała się zabawom innych.

Kiedy zmęczyło nas chodzenie i zgłodnieliśmy, siadaliśmy na jednej z wielu drewnianych ławek przy stoliku i raczyliśmy się pysznymi kanapkami, które matka przygotowywała w domu. W ramach deseru pozwalała mi kupować lody w rożku u obwoźnego sprzedawcy z trzykołowym wózkiem – ogromna podwójna porcja waniliowo-truskawkowych kosztowała grosze.

Do innych popularnych miejsc rozrywki w letnie niedziele należało Blankenese – z ciągnącymi się kilometrami piaszczystymi plażami i tłocznymi kafejkami nad Łabą – odległe o niecałą godzinę jazdy pociągiem. Wraz z innymi miłośnikami słońca przebieraliśmy się w kostiumy kąpielowe, budowaliśmy zamki z piasku, obserwowaliśmy majestatyczne liniowce, które pojawiały się i znikwały za horyzontem, albo po prostu leżeliśmy brzuchami do góry, gapiąc się na niebo i przesuwane się chmurki. Przed rozpoczęciem podróży z powrotem wspinaliśmy się po niezliczonych zygzakowatych schodkach na górny poziom Blankenese i podziwialiśmy urocze domki na zboczach.

Od czasu do czasu uczestniczyliśmy też w specjalnych imprezach, jak popularne pokazy lotnicze w pobliżu hamburskiego lotniska w dzielnicy Fuhlsbüttel. Tysiące widzów obserwowało tam legendarnego asa przestworzy z czasów I wojny, Ernsta Udet, który ryzykował życie w akrobacjach powietrznych i skokach spadochronowych. Zaledwie kilka lat później Udet objawił się jako jeden z głównych twórców sławnej Luftwaffe, która ośmieliła Hitlera do wyruszenia na podbój świata. Często wracałem wtedy myślą do owych beztroskich czasów w Fuhlsbüttel pod bezchmurnym niebem, gdy z zapartym tchem śledziłem wyczyny jednego z pierwszych idoli moich młodych lat.

## **„Pokaz kulturowy”**

Jedną z najpopularniejszych atrakcji zarówno dla młodych, jak starych mieszkańców Hamburga był światowej sławy *Tierpark* (park zoologiczny) Hagenbecków na przedmieściu Stellingen. Nazwa pochodziła od nowatorskiego założyciela Carla Hagenbecka, który jako pierwszy na świecie wprowadził zwyczaj trzymania dzikich zwierząt na przestronnych wybiegach, naśladujących ich naturalne środowisko, a nie w ciasnych klatkach i za kratami. Jako zdeklarowany fan Hagenbecka, skwapliwie przyklasnałem Mutti, gdy ta pewnego dnia zaproponowała kolejną wizytę w zoo. Tym razem miała z nami jechać córka jej koleżanki ze szpitala, trochę smarkata, ale milutka Ingeborg.

Gdy tylko przybyliśmy na miejsce po dość długiej jeździe tramwajem, Ingeborg zaczęła się domagać, byśmy poszli obejrzeć *Indianer* (rdzennych Amerykanów). Ani matka, ani ja nigdy nie słyszeliśmy, aby w zoo wystawiano ludzi tak jak zwierzęta, ale Ingeborg zapewniała, że ostatnim razem widziała tam prawdziwych, żywych Indian. Matka zapytała więc o nich przewodnika, na co ten odpowiedział, że Indian na razie nie mają, ale nieco dalej jest równie interesująca wystawa afrykańska. Wyjaśnił przy tym, że ekspozycje „prymitywnych ludów” stanowią część słynnych „pokazów kulturowych” Hagenbecka.

Ingeborg i ja czuliśmy się zawiedzeni, bo spodziewaliśmy się zobaczyć Indian we wspaniałych pióropuszcach, ale ostatecznie zgodziliśmy się na wystawę afrykańską, chociaż żadne z nas nie wiedziało, czego się spodziewać. Po obejrzeniu małp, żyraf, lwów, słoni i innych dzikich zwierząt, doszliśmy do „afrykańskiej wioski”, złożonej z kilkunastu glinianych, kry-

tych strzechą chat i zaludnionej przez „autentycznych Afrykanów”. Podobnie jak wybiegi zwierząt, „wioskę” ogrodzono wysokim do ramienia drewnianym płotem, aby oglądający nie mogli tam wejść, a oglądani wyjść. Od wybiegów zwierzęcych różnił ją tylko brak głębokiej fosy.

Poza kolorem skóry i włosami Afrykanie na wystawie w niczym nie przypominali moich krewnych ani żadnych innych mieszkańców tego kontynentu, znanych mi z domu dziadka. Wszyscy byli bosi i mieli na sobie jakieś znoszone łachy. Dwie kobiety rytmicznie tłukły coś w moździerz drewnianą pałką. Przewodnik wyjaśnił nam, że ucierają mąkę kukurydzianą, potrzebną do przygotowania posiłku. Mężczyźni siedzieli w małych grupkach, pilnie obserwując widzów. Gwarzyli między sobą w jakimś niezrozumiałym języku między jednym a drugim pyknięciem z prymitywnych fajek. Trudno powiedzieć, kto kogo bardziej ciekawił – Afrykanie Europejczyków czy odwrotnie. Każda grupa uważnie przyglądała się przez płot tej drugiej z takim samym nieskrywanym zainteresowaniem.

Nagle stało się coś, czego obawiałem się od chwili, w której mój wzrok padł na to miejsce. Mimo że usilnie starałem się trzymać z tyłu i jak najmniej rzucać w oczy, jeden z Afrykanów wypatrzył mnie w tłumie i od razu przyciągnął uwagę całej wioski. Kobiety przestały tłuc pałkami, mężczyźni wyjęli z ust fajki. Wszyscy wytykali mnie palcami, szczerząc zęby w uśmiechu, jak gdyby zobaczyli dawno niewidzianego krewnego.

Desperacko próbowałem schować się za jednym z widzów, ale bezskutecznie. Ktoś z tłumu obrócił się we wskazanym kierunku i zrozumiałwszy powód ożywienia Afrykanów, sam wyciągnął ku mnie gruby paluch. „Zobacz! – krzyknął do swojej towarzyszki. – Tu jest ich dzieciak!” Uruchomił w ten sposób reakcję łańcuchową i po chwili już wszyscy się na mnie gapili – zarówno Afrykanie, jak Niemcy. Już myślałem, że umrę ze wstydu, gdy nagle Mutti złapała mnie i Ingeborg za ręce i mimo protestów tej ostatniej spokojnie wyprowadziła z tłumu.

Wieczorem, gdy zostaliśmy sami w domu, wytłumaczyła mi, że nie miałem czego się wstydzić. Ci Afrykanie to prości, ale poczciwi ludzie z buszu, którym należy raczej współczuć niż się z nich wyśmiewać. Ona sama przypuszcza, że jakiś spryciarz namówił ich do opuszczenia rodzinnego kraju i podstępem wyłudził zgodę do pokazania się na wystawie. Powinienem jednak zrozumieć, że nawet jeśli nie uprowadzono ich do Niemiec siłą, to i tak wystawianie w zoo ludzkich istot na równi ze zwierzętami jest czymś bardzo złym. „Nie pojmuję mentalności ludzi, którzy dopuszczają do czegoś takiego i nie widzą w tym nic naganego” – powtarzała raz po raz.

I chociaż oboje lubiliśmy zoo, tego dnia przysięgliśmy sobie, że nasza noga nie postanie więcej w *Tierparku* Hagenbecków.

## **Detronizacja króla**

Na moje częste pytanie: „Kiedy wróci tata?”, Mutti zwykle reagowała bezradnym wzruszeniem ramion i standardową odpowiedzią: „Nie mam pojęcia”. Mówiła prawdę. Tym, czego mi nie przekazała, była zła wiadomość z Liberii, która nadeszła za pośrednictwem Tante Fatimy. Dopiero kilka lat później pokazała mi ten list, przysłany z Berna. Chodziło w nim z grubsza o to, że dziadkowi nie udało się zostać prezydentem, że został aresztowany pod sfingowanym zarzutem sprzeniewierzenia funduszy pocztowych, że mój ojciec z kilkoma braćmi ukrywa się gdzieś w liberyjskim buszu wśród swoich ziomeków z plemienia Vai i że stryj Nat siedzi w więzieniu pod zarzutem spisku na życie nowo wybranego prezydenta Barclaya i chęci obalenia rządu. Podczas procesu Nat nie przyznał się do udziału w morderczym spisku, natomiast potwierdził, że grupa młodych ludzi, której pomógł się zorganizować, dążyła do ukrócenia monopolistycznej polityki Amerykanoliberyjczyków i zastąpienia jej rządem złożonym z tubylców.

List od Tante Fatimy zawierał sążnisty opis okoliczności, w których od rodu Massaquoi odwróciło się szczęście. Podobno prezydent King i wiceprezydent Yancy, stojąc wobec perspektywy pozbawienia Liberii niepodległości i oddania jej w zarząd Ligi Narodów w związku z zarzutem praktykowania niewolnictwa na Fernando Po, w dniu 3 grudnia 1930 roku zrezygnowali ze swoich funkcji. Tego samego dnia minister Edwin Barclay został zaprzysiężony jako prezydent do końca obecnej kadencji. W wyraźnym zamiarze zniszczenia swego najsilniejszego politycznego rywala i dawnego przyjaciela, Barclay natychmiast wszczął vendettę przeciwko rodzinie Massaquoi, co w szczytowym momencie doprowadziło do uwięzienia zarówno dziadka, jak i stryja Nata.

Na zakończenie Fatima zapewniła, że to już absolutnie wszystkie złe nowiny. Wskutek utraty stanowiska głównego naczelnika poczty i konieczności obciążenia hipoteki wszystkich nieruchomości, w celu zebrania funduszy na kampanię polityczną, Momolu został zrujnowany finansowo. Pozbawiony zarówno posady, jak i wpływów politycznych, nie miał z czego spłacać swoich zobowiązań.

Dla Fatimy oznaczało to, że musi zdać się na hojność licznych europejskich przyjaciół Momolu, ale moja matka w tym momencie pożegnała się z nadzieją, że pewnego dnia ojciec i dziadek zaczną chociaż w skromnym zakresie przyczyniać się do mojego utrzymania.

## **Skandal**

Dzięki dość wygodnemu życiu z wdowiej renty Tante Möller mogła sporo czasu poświęcać jedynej pasji, jaka jej pozostała, czyli zbieraniu i rozsiewaniu plotek. W tym celu założyła Czwartkowy Klub Robótkowy i stała się jego najbardziej szanowaną członkinią. W każdy czwartek kolejno u każdej z kilkunastu starszych pań odbywały się zebrania, na których przy kawie i ciastkach robiono na drutach, szydełkowano i – co najważniejsze – raczono się najświeższymi nowinkami.

Dla mnie te cotygodniowe spotkania stanowiły miłe urozmaicenie codzienności. Wyczekiwałem ich z niecierpliwością, zwłaszcza z dwóch powodów. Po pierwsze, zawsze mogłem liczyć na opychanie się do woli pysznym ciastem. Po drugie (i równie ważne), miałem okazję pobawić się z Eriką. Była to o rok młodsza ode mnie niesforna rudowłosa wnuczka Frau Häselich, jednej z członkiń Klubu. Tak się składało, że ojciec Eriki, Walter Schmedemann, pracował w szpitalu mojej matki. Wykonywał niewdzięczną pracę w rodzaju rozwożenia dwukółką posiłków z kuchni na oddziały. Później dowiedziałem się, że Onkel Walter pełnił prominentną funkcję w antyhitlerowskiej partii socjaldemokratycznej.

W ten szczególny czwartek na Tante Möller wypadła kolejka przyjmowania gości. Jak zawsze, kiedy Erika i ja opróżniliśmy nasze talerze, wyeksmitowano nas z *Gute Stube* (paradnego pokoju) i zabroniono hałasować. Udaliśmy się więc do przyległej sypialni i przez jakiś czas bawiliśmy się w różne dziecięce gry. W końcu nas to znudziło i wtedy Erika – zawsze skora do psot – oznajmiła, że ma pewien pomysł. Zanim zorientowałem się, o co tu chodzi, ściągnęła majtki, uniosła spódniczkę, obróciła się na pięcie i zaprezentowała mi niczym niezamącony obraz dolnej części damskiej anatomii. Przez całe cztery lata życia nic jeszcze tak mnie nie ubawiło, toteż ryknąłem śmiechem na całe gardło. Wkrótce przyłączyły się do mnie radosne piski zachwyconej moją reakcją Eriki. I dokładnie w tym momencie, kiedy nasza wesołość sięgnęła szczytu, otworzyły się drzwi i do sypialni wkroczyła Frau Häselich.

– Co wy tu wyprawiacie, na miłość boską? – wykrzyknęła, kiedy minął jej pierwszy szok.

Erika, przyłapana bez majtek przez zaskoczoną babcię, błyskawicznie przeszła od śmiechu w płacz. Z zalaną łzami buzią wyciągnęła ku mnie oskarżycielski palec.

– To on! To Hans-Jürgen kazał mi zdjąć majteczki! – darła się co sił w płucach.

Wzięty z zaskoczenia i oburzony niesłusznym oskarżeniem, kompletnie zapomniałem języka w gębie.

– No i co na to powiesz, mały nicponiu? – chciała wiedzieć sina z gniewu Frau Häselich.

Stopniowo odzyskiwałem mowę. Urywaniem, ledwie słyszalnym głosem przedstawiłem własną wersję wydarzeń zwołanemu naprędce sądowi polowemu, który natychmiast podzielił się na dwie frakcje. Jedna, pod wodzą Frau Häselich, uznała mnie za winnego. Druga, której przewodziła Tante Möller, orzekła, że Erika to mała cwaniara, która zwiodła biednego Hansa-Jürgena na manowce. Przez chwilę zanosilo się na to, że zwycięży ta pierwsza, gdyż Erika poparła swoje zeznania nowym potokiem krokodylich łez, ale Tante Möller postawiła na swoim. Przekonawszy wszystkie panie, z wyjątkiem Frau Häselich, że świadectwo Eriki jest mocno podejrzanym, gdyż nie po raz pierwszy przyłapano ją na opowiadaniu bzdur, doprowadziła do umorzenia sprawy. Wkrótce potem Klub odroczył sesję do następnego czwartku, zostawiając oglupiałego czterolatka, którego pogląd na kobiety – i to nie tylko z jednego powodu – nigdy już nie był taki sam.

Z tego traumatycznego interludium wysnułem następujące wnioski: między chłopcami i dziewczynkami jest wyraźna różnica anatomiczna; z tą różnicą wiąże się coś, co z niewyjaśnionych powodów dziwnie krępuje dorosłych; przez dziewczynkę chłopiec może mieć mnóstwo kłopotów. Ponieważ swoje już odebrałem, w przyszłości będę wiodł wygodne, samotne życie, unikając dziewczyn jak zarazy. Ale że „najmądrzejsze plany myszy, ludzi krzyżuje los”<sup>8</sup>, tak też się stało z moimi.

## Iść do Tante Tilli

Jedyną naszą sąsiadką na poddaszu była chuda, siwa stara panna w nieokreślonym wieku, cioteczna babka mojej koleżanki Eriki. Wszyscy nazywali ją Tante Tilli. Zajmowała się polewowaniem wiecznych piór w miejscowej fabryce firmy Mont Blanc należącej – podobnie jak nasz dom – do jej zamożnej niegdyś rodziny. Kiedy ciężkie czasy zmusiły właścicieli do sprzedaży budynku, ci uzgodnili z nabywcą, że Tilli do końca życia zachowa swoje małe mieszkanie bez żadnych opłat.

Ponieważ do mankamentów naszego jednopokojowego mieszkania należał między innymi brak toalety, została zawarta umowa, na mocy której dostaliśmy klucz do jej mieszkania wraz z nieograniczonym dostępem do owego przybytku. Po pewnym czasie hasło „iść do Tante Tilli” stało się naszym domowym kodem na wizytę w toalecie, bez względu na to, gdzie się takowa znajdowała. Chociaż matka powtarzała mi w kółko, że jeśli będę musiał „pójść do Tante Tilli”, mam zrobić to jak najszybciej i najdyskretniej, udawało mi się zwykle zamanifestować moją obecność, zamykając za sobą drzwi nieco głośniejszy, niż należało. Miałem po temu powody.

Po każdym wyjściu z łazienki starsza pani niezawodnie częstowała mnie cukierkami i ciasteczkami z wielkiej papierowej torby. Czekaając na nią, rozglądałem się ukradkiem po słabo oświetlonym lampą naftową pokoju. Pod ścianami, a także na wszystkich meblach, łącznie z łóżkiem, leżały stosy toreb z brązowego papieru, wszystkie starannie poskładane i ułożone według rozmiarów, oraz sterty gazet, które miejscami sięgały sufitu. Kiedyś zapytałem, co zamierza zrobić z tym całym składem makulatury. Odpowiedziała, że jeszcze nie wie, ale udzieliła mi rady: „Nigdy nie wyrzucaj niczego, co nie jest *kaput*. Nigdy nie wiadomo, do czego ci się to przyda”.

Tante Tilli, mimo swego wieku (a według niepotwierdzonych plotek miała wtedy około sześćdziesięciu pięciu lat), namiętnie lubiła piesze wycieczki i pływanie. Wszystkie weekendy spędzała samotnie w wynajętej plażowej chatce na północnym brzegu Łaby. Zgodnie ze swoim ascetycznym, pustelnicznym stylem życia, o świcie wychodziła do fabryki, a wróciwszy o zmierzchu, nie opuszczała już mieszkania. Kiedy wieczorem szła z pracy, za jej wysoką, kanciastą sylwetką w ciężkiej pelerynie z kapturem z ciemnozielonego lodenu, w której wyglądała jak kapucyn, nieodmiennie snuły się chmary łobuziaków. Szybko odkryli miękkie

serce Tante Tilli i raz spróbowałszy wyłudzić od niej cukierki, już nigdy nie doznali zawodu – zawsze miała je dla nich w brązowej torbie pod peleryną. Kochała dzieci, za to nie potrzebowała towarzystwa dorosłych i konsekwentnie ograniczała kontakty z nimi do niezbędnego minimum.

Wszyscy dorośli, włącznie z moją matką, uważali Tante Tilli za nieco dziwną, ale jak dla mnie była zupełnie w porządku. Jakimś sposobem wyczuwałem, że jest z innej bajki, a otaczająca ją aura przygody i wolnego ducha zawsze do mnie przemawiała.

Poza mroźnymi, zimowymi dniami Tante Tilli wszystkie weekendy spędzała na pływaniu i odpoczynku w swojej plażowej chatce. Ponieważ wystrzegą się korzystania z jakiegokolwiek formy transportu publicznego, zawsze chodziła tam pieszo, a miała do pokonania w sumie ponad 30 kilometrów.

Ta miłość do wody omal nie stała się przyczyną jej zguby. Pewnej sobotniej nocy obudziło ją w chatce wycie wiatru, bębnienie deszczu o dach i dziwne bulgoczące odgłosy. Zamiast świateł łodzi sunących tam i z powrotem po rzece, dojrzała przez okno jedynie atramentowo-czarną noc. Stopniowo uświadomiła sobie, że znajduje się w środku powodzi. Chatę ze wszystkich stron otaczała woda, której poziom sięgał niemal do jej koi i ciągle się podnosił. Tante Tilli wydostała się przez okno na zewnątrz i wdrapała na dach. Popłynięcie do brzegu nie wchodziło w rachubę, gdyż w nieprzeniknionych ciemnościach łatwo mogła stracić orientację i pomylić kierunek. I tak, przy wciąż wznoszącej się fali, spędziła całą noc uczepiona kurczowo dachu, trzęsąc się z zimna w przemoczonym ubraniu. Dopiero o świcie ktoś z łodzi rybackiej wypatrzył ją i odwiózł na brzeg.

Pamiętam ten niedzielny poranek. Dwaj policjanci przywieźli ją wozem patrolowym i odprowadzili pod nasze drzwi, wciąż mokrą i roztrzęsioną, bo za nic nie chciała jechać do szpitala. Po wysuszeniu, zapakowaniu do łóżka i napojeniu gorącą herbatą matka kazała jej przyrzec, że poleży przynajmniej kilka dni, ale nic z tego. Już w poniedziałek przed świtem usłyszeliśmy, że – jak zawsze – wychodzi do pracy.

Wreszcie firma Mont Blanc zdecydowała się wysłać ją na emeryturę i wtedy Tante Tilli przeprowadziła się do domu starców. Ponieważ bardzo potrzebowaliśmy dodatkowej przestrzeni, matka skorzystała z okazji i wynajęła jej opuszczone mieszkanie. Niezależnie od tego, nam obojgu – a zwłaszcza mnie – żal było rozstawać się z tą dobrą sąsiadką. Przed samym wyjazdem, Tante Tilli wzięła mnie na bok i dała jeszcze jedną dobrą radę: „Zawsze rób, co uważasz za słuszne, bez względu na to, co powiedzą inni”. Mimo młodego wieku zrozumiałem, że mówi z własnego doświadczenia.

Nie wiem, co się stało z tymi tysiącami gazet i papierowych toreb, ale kiedy je spakowała i wyjechała, jej sypialnia przypadła mnie i – dzięki Bogu – już nigdy nie wyglądała tak samo.

## **Obóz letni na wyspie Föhr**

Pozornie ni stąd, ni zowąd matka zapytała mnie pewnego dnia, czy chciałbym spędzić kilka tygodni na dziecięcym obozie letnim. W pierwszej chwili myślałem, że miałbym się z nią rozstać choćby na jeden dzień, wydała mi się zbyt przerażająca, by w ogóle wziąć ją pod uwagę, ale kiedy wytłumaczyła mi, że będzie tam mnóstwo dzieci w moim wieku, i to tylko po to, żeby się dobrze bawić, zmieniłem zdanie.

Tak więc, mając zaledwie pięć lat, wyruszyłem pociągiem i promem wraz z kilkoma setkami dzieci na maleńką wysepkę Föhr na Morzu Północnym, gdzie w miasteczku Wyk znajdował się wielki *Kinderheim* (dom dzieci). Zaraz po przybyciu na miejsce podzielono nas na grupy wiekowe i miła, rudowłosa, młoda kobieta wyznaczyła nam sypialnię. Po raz pierwszy w życiu wymagano ode mnie ścisłego przestrzegania codziennego rozkładu zajęć. Wstawaliśmy o siódmej, po prysznicu i pościeleniu łóżka, punktualnie o ósmej siadaliśmy do śniadania w wielkiej sali jadalnej, po czym zaczynały się zorganizowane zabawy. Budowaliśmy zamki z piasku, zbieraliśmy muszelki, brodziliśmy w wodzie i graliśmy w piłkę nożną. Wieczorem, przed snem pani czytała nam przez pół godziny książkę *Emil i detektywi*, po czym punktualnie o dziewiętej gasiła światło.

Najbardziej lubianą postacią na obozie był kierownik – wysoki, chudy Fryzyjczyk, nazywany przez wszystkich Onkel Tamm. Uwielbiałem tego „wujka”, bo gdy tylko się na niego natykałem, zawsze częstował mnie cukierkami. Raz poprosił naszą panią, by mu mnie „wypożyczyła” na kilka godzin. Poszliśmy na spacer do miasta złożonego głównie z malowniczych, krytych strzechą domków. W jednym z nich Onkel Tamm, jak mi wyjaśnił, urodził się i wychował. Weszliśmy do środka, gdzie przedstawił mnie swoim starym rodzicom, którzy patrzyli na mnie jak na przybysza z Marsa. I chociaż przedtem czułem się niesamowicie dumny z tej szczególnej uwagi, jaką darzył mnie Onkel Tamm, gdyż sądziłem, że po prostu lubi mnie najbardziej ze wszystkich, to teraz nie mogłem oprzeć się wrażeniu, iż dobry wujek urządza swoim rodzicom coś w rodzaju prywatnego „pokazu kulturowego”, na wzór tego w zoo.

## **Pierwszy dzień szkoły**

Pierwszy dzień po świętach wielkanocnych 1932 roku stał się kamieniem milowym w moim życiu. Tradycyjnie w Niemczech był to początek roku szkolnego, a dla mnie pierwszy dzień szkoły. Jak większość moich rówieśników, równie intensywnie obawiałem się go i o nim marzyłem. Z jednej strony perspektywa przedzierzgnięcia się z dziecka w ucznia napępiała mnie poczuciem sukcesu i dumą. Z drugiej – przerażał mnie ten nowy i – przynajmniej w moich oczach – mocno wrogi świat.

Według starszych chłopaków z naszej ulicy, szkoła to bynajmniej nierozrywkowe, poważne miejsce, gdzie – jeśli człowiek podpadnie nauczycielowi – nie pomogą ani rodzice, ani sam Bóg. Po wysłuchaniu setek szczegółowych i barwnych opowieści na temat straszliwych



czynów nauczycieli, nabrałem przekonania, że jest to jakiś sadystyczny gatunek podludzi, który czerpie przyjemność wyłącznie z bicia dzieci. Przypomniałem sobie ze zgrozą grube, czerwone pręgi na pośladkach Eugena Brauna, ośmioletniego syna kowala z sąsiedztwa. Eugen zaprosił nas kiedyś na specjalny pokaz, aby nam udowodnić, że jest w stanie wytrzymać wszystko, co tylko wymyśli jego nauczyciel. Od tej chwili wyzbyłem się jakiegokolwiek ambicji. Nie zamierzałem zaznajamiać się z tym grubym bambusowym kijem, który, zdaniem Eugena, należy do standardowego wyposażenia nauczyciela, na równi z tablicą i kredą.

Ale strach przed nauczycielem, dzielony z większością rówieśników, był tylko jednym z moich problemów. W skrytości ducha najbardziej obawiałem się tych setek obcych dzieci i ich kpín na tle rasowym. Abym się jak najmniej wyróżniał, matka (z ciężkim sercem) każała fryzjerowi ostrzyć moje bujne afro – nie cierpiałem tej fryzury tak samo mocno, jak matka ją kochała. Wyczuwając moje rosnące zdenerwowanie, Mutti próbowała mnie zapewnić, że nie mam się czym przejmować i że polubię szkołę, gdy tylko się z nią zżyję. Ale jej słowa nie brzmiały przekonująco i wiedziałem, że – podobnie jak ja – jest pełna obaw.

I oto nadszedł wielki dzień. Ponieważ Mutti nie mogła zwolnić się z pracy, obowiązek odprowadzenia mnie do szkoły spadł na Tante Möller. Wyszorowany od stóp do głów, wystrojony w nowiutki szkolny mundurek, z nowym skórzanym tornistrem na plecach, wlokłem się z ponurą miną do szkoły położonej przy Hufnerstrasse, dwie przecznice za Am Markt, mijając po drodze szacowną, krytą strzechą chatę gospodarza Lembcke – jedyną pamiątkę po wiejskiej przeszłości Barmbeku. Żeby mnie czasem nie wzięto za maminsynka, nie pozwoliłem trzymać się za rękę, z wyjątkiem przechodzenia przez jezdnię, przy czym Tante Möller się upierała.

Chociaż za wszelką cenę próbowała mnie rozweselić opowieścią o jej własnym „cudownym” pierwszym dniu szkoły, nic z tego nie wyszło. Mimo wysiłków w żaden sposób nie umiałem sobie wyobrazić siwej, zgarbionej staruszki jako małej uczennicy. Im bliżej byliśmy szkoły, tym podlej się czułem. Nawet widok kilku towarzyszy niedoli zmierzających w tę samą stronę nie zdołał mnie pocieszyć. Jak wszystkie niemieckie dzieci rozpoczynające naukę, dzierżyłem w ręku tradycyjną *Ostertüte* – kolorowy kartonowy stożek, prawie tak duży jak ja, który życzliwi sąsiedzi i znajomi wypełnili wielkanocnymi zajęciami, jajkami z marcepanu i innymi łakociami. Była to największa *Ostertüte*, jaką udało się matce znaleźć, ale nawet myśl o chwili, kiedy dorwę się do jej rozkosznej zawartości, nie poprawiała mi nastroju. Już za najbliższym rogiem stanęliśmy przed budynkiem, który od dziś miał stać się moim drugim domem. Jak każda hamburska szkoła publiczna, nosiła nazwę swojej ulicy i składała się z dwóch skrzydeł – dla chłopców i dziewcząt. Patrząc po raz pierwszy z bliska na potężne mury starej, podobnej do fortecy czteropiętrowej budowli, wyczuwałem wyraźnie jej szczególną, nieprzychylną aurę. Nagła świadomość, że przez następne cztery lata większość dnia mam spędzać w tym posępnym gmaszysku, napełniła mnie niemal namacalną grozą.

Jak się zdawało, moje uczucia podzielał przynajmniej jeden z nowych kolegów. Wrzeszczał na całe gardło, że nie pójdzie do żadnej szkoły, niech sobie matka czy kto tam gadają, co chcą. Ja jednak, chociaż doskonale go rozumiałem, postanowiłem nie robić scen i absolutnie nie ściągać na siebie niczyjej uwagi. Korzystając z zamieszania, wręczyłem Tante Möller moją *Ostertüte*, szybko wbiegłem na schody i, nie oglądając się za siebie, wkroczyłem w progi przepastnego gmachu. Tam, razem z innymi nowicjuszami, poprowadzono mnie nieskończenie długimi korytarzami do klasy na parterze, gdzie zamiast srogiego, wymachującego różgą nauczyciela powitała nas miła, pulchna pani o krótko ostrzyżonych siwych włosach.

– Dzień dobry, chłopcy! Jestem Fräulein Beyle, wasza wychowawczyni – powitała nas, uśmiechając się przyjaźnie. – Przede wszystkim chcę was poprosić, abyście znaleźli sobie miejsce w ławkach i usiedli.

Wybrawszy miejsce na samym końcu, zerkałem ukradkiem na innych chłopców, żeby się zorientować, czy któryś z nich nie zdradza niepożądanego zainteresowania moją osobą. Ku mojej wielkiej uldze, rozpoznałem kilku kumpli ze Stückenstrasse. Był tam Karl Morell, który mieszkał w zaułku tuż za rogiem, i Karl-Heinz Ratje z mojej ulicy. Co do reszty, to wydawali się zbyt wystraszeni nowym otoczeniem, by robić sobie pośmiewisko ze mnie czy kogo innego.

– Zapamiętajcie, że jesteście w klasie 1A – kontynuowała nasza pani. Od tej pory nie możecie rozmawiać ani zmieniać miejsca czy klasy bez mojego pozwolenia. Jeśli chcecie o coś zapytać czy wyjść do toalety, która znajduje się na korytarzu po prawej stronie, podnosicie rękę i czekacie na mój znak. Czy wszyscy zrozumieli?

Teraz sprawdzimy, czy są tu wszyscy, którzy być powinni. Kiedy usłyszycie swoje nazwisko, podnosicie prawą rękę, wstajecie, tak żebym was widziała, i odpowiadacie: „Obecny”.

Następnie zaczęła odczytywać listę. Kiedy przyszła moja kolej, kilku chłopców obejrzało się i zaczęło chichotać.

– Ci z was, którzy się śmiali, są po prostu bardzo niemądrzy. Właściwie są tak niemądrzy, że nie powinni być w mojej klasie – skarciła ich Fräulein Beyle. – Następnym razem ten, kto będzie się śmiał z Hansa-Jürgena czy kogoś innego, będzie musiał wyjść za drzwi i czekać na korytarzu do końca lekcji. – I zwróciwszy się do mnie, dodała: – Mam nadzieję, że te głupoty nie popsują ci humoru. Jesteś świetnym chłopakiem i nie daj sobie wmówić, że jest inaczej.

Mógłbym ją uściskać za to, że pokazała moim prześladowcom, gdzie ich miejsce, ale oczywiście nic takiego nie zrobiłem i tylko bąknąłem cichutko:

– Dobrze.

Kiedy odezwał się dzwonek na koniec lekcji, Fräulein Beyle poleciła nam opuścić klasę w ciszy i przejść parami korytarzem na podwórze na przerwę. Mimo tamtego drobnego „in-

cydentu” pierwsza lekcja całkiem przypadła mi do gustu i poczułem, że niepokój związany ze szkołą ustępuje. Jeśli tak ma to wszystko wyglądać – myślałem – to może nie będzie tak źle. Ale ledwie dotarłem na podwórze, wypatrzył mnie jakiś ryży chłopak o paskudnej gębie, o głowę wyższy ode mnie, i od razu zaintonował: „Neger, Neger, Schornsteinfeger”.

Zaraz przyłączyli się do niego inni i w ciągu kilku sekund znalazłem się w centrum uwagi całej szkoły. Nagle owo „Murzynie, Murzynie...” stało się wiecowym hasłem skandowanym przez setkę chłopaków, aż podwórze wokół mnie zatrzęsło się od ogłuszającego *crescendo* znienawidzonej śpiewki.

Daremnie rozglądałem się w gęstej ciżbie, szukając drogi ucieczki. Widząc, że sytuacja jest beznadziejna, w pierwszej chwili miałem chęć po prostu się rozpłakać. Ale uczucie desperacji i upokorzenia szybko zastąpiła ślepa furia, kiedy nagle ten wstrętny duży chłopak podszedł bliżej i zaczął udawać, że głaszcze mnie po głowie. „Dlaczego Murzyni mają owcze runo zamiast włosów?” – zapytał, ku rozbawieniu tłumu.

W tym momencie prawa noga odskoczyła mi sama do tyłu i, zatoczywszy szeroki łuk, kopnęła z całej siły odsłoniętą nogę mojego prześladowcy. Wszyscy słyszeli odgłos uderzenia twardego skórzanego buta w jego piszczel, co musiało sprawić mu straszliwy ból. Chłopak upadł na ziemię, jak rażony piorunem. Wciąż trząsałem się ze złości, ale ośmielony efektem mojej „terapii z buta”, rozejrzałem się za innymi potencjalnymi napastnikami, gotów zaaplikować im to samo lekarstwo. Ku mojemu zaskoczeniu, a nawet rozczarowaniu, nie dostrzegłem chętnych. Przeciwnie, ci sami chłopcy, którzy minutę wcześniej ze mnie drwili, skierowali swoje szyderstwa ku wijącemu się z bólu na ziemi osiłkowi.

Nagle śmiechy ucichły, bo na scenie ukazała się Fräulein Beyle. Zorientowawszy się w sytuacji, zwróciła się do mojego prześladowcy, który trzymał się za obolałą i spuchniętą nogę.

– Co ci się stało? – zapytała.

– On mnie kopnął – odparł, wskazując mnie palcem.

– Jak myślisz, dlaczego to zrobił?

– Nie wiem.

– Jak się nazywasz?

– Gerhard Rademeier.

– Kto jest twoją wychowawczynią?

– Fräulein Rodewald.

Następnie odwróciła się do mnie.

– Hans-Jürgen, czy naprawdę go kopnąłeś?

– Tak.

– A mogę wiedzieć dlaczego?

– Bo dotykał moich włosów, wyśmiewał się ze mnie i przezywał mnie.

– Czy rzeczywiście dotykałeś jego włosów i go przezywałeś? – kontynuowała swoje śledztwo Fräulein Beyle.

– Tak, ale go nie uderzyłem ani nic... – przyznał mój przeciwnik, wyraźnie przyciśnięty do muru.

– No to dostałeś, na co zasłużyłeś. Nie masz prawa nikogo przezywać i wyśmiewać się z tego, jak ktoś wygląda. Jeśli jeszcze raz zaczepisz Hansa-Jürgena, poproszę Fräulein Rodewald, żeby cię ukarała i wezwała na rozmowę twoich rodziców. Teraz uciekaj i żebym cię nigdy więcej nie przyłapała na dokuczaniu kolegom!

Kiedy mój adwersarz, zdruzgotany fizycznie i moralnie, pokuśtykał w swoją stronę, Fräulein Beyle pouczyła mnie surowo, żebym nie brał prawa w swoje ręce – czy, ściślej rzecz biorąc, nogi – tylko każdy przypadek dokuczania zgłaszał jej albo najbliższemu nauczycielowi. Tego rodzaju napomnień nie byłem w stanie ani nie zamierzałem słuchać. Krewki, gwałtowny charakter zawsze wyzwał we mnie odruch natychmiastowego odwetu. A poza tym uświadomiłem sobie, że mój niespodziewany atak na łydkę przeciwnika zdecydowanie wyrównał wynik gry i – zamiast niemal pewnej klęski – dał mi zwycięstwo.

Rozejrzawszy się po szkolnym podwórzu, które tymczasem wróciło do normalnego stanu, Fräulein Beyle kiwnęła na wysokiego, przystojnego nastolatka. Chłopak zdecydowanie wyróżniał się w grupie swoich rówieśników wzrostem i bardzo jasnymi włosami.

– Pozwól no tu, Wolfgang.

Kiedy podszedł, przedstawiła nas sobie:

– To jest Hans-Jürgen, który właśnie rozpoczyna naukę w naszej szkole, a to Wolfgang Neumann, który zaczynał dokładnie siedem lat temu, także trafił do mojej klasy. Poprosiłam cię tu, bo wygląda, że Hansowi-Jürgenowi przyda się opiekun. Jak by ci się podobała rola ochroniarza?

Wolfgang odrzekł, że bardzo.

– No więc tak to widzę: na każdej przerwie będziesz go miał na oku i dopilnujesz, żeby nikt mu nie dokuczał. Jeśli zdarzy się jakaś sytuacja, w której nie dasz sobie rady, zawiadomisz dyżurnego nauczyciela albo przyjdiesz do mnie.

– Może pani być spokojna, Fräulein Beyle, włos mu z głowy nie spadnie. Moja w tym głowa.

– Wiem, że mogę na tobie polegać. A ty, Hans-Jürgen, pamiętaj, żebyś zwracał się do Wolfganga, jeśli przydarzy ci się taki problem jak dzisiaj. Jest mi naprawdę przykro, że cię to spotkało. Tyle głupoty jest na tym świecie... tyle głupoty... – powtarzała bardziej do siebie niż do nas.

Uścisnęliśmy sobie ręce i od tej chwili Wolfgang został moim idolem i ochroniarzem.

Dzwonek obwieścił koniec przerwy i wróciliśmy do klas. Ledwie wszedłem do swojej, oczy wszystkich zwróciły się na mnie. Przez chwilę obawiałem się wyzwisk, ale – ku memu

z dumieniem i wielkiej uldze – cała klasa zaczęła wiwatować i bić mi brawo, że powaliłem tamtego osiłka na kolana. Wrzawa trwała aż do nadejścia Fräulein Beyle. Nie zapytała o powód tych wrzasków, ale miałem wrażenie, że doskonale go zna.

Po paru dniach nikt już zdawał się nie pamiętać o tamtej paskudnej scenie. Nikt z wyjątkiem tamtego łobuza i mnie. Od czasu do czasu widywałem go na podwórzu albo w holu; patrzył wtedy na mnie spode łba albo w ogóle odwracał wzrok. Po bolesnej nauczce starał się trzymać poza zasięgiem moich butów. Wolfgang zaś dotrzymał słowa i nie spuszczał mnie z oka aż do wiosny, kiedy ukończył szkołę. Od tej pory byłem zdany na własne siły, ale zdążyłem już na tyle okrzepnąć, by nie potrzebować ochroniarza.

Wbrew moim wcześniejszym oczekiwaniom, polubiłem, a nawet pokochałem szkołę, szkoła zaś najwyraźniej polubiła mnie. Miałem dobre stosunki z kolegami, a kilku z nich zostało moimi bliskimi przyjaciółmi. Polubiłem także nauczycieli, a szczególnie Fräulein Beyle, która odkryła przede mną radość nauki. Jednocześnie ceniłem sobie respekt i pozycję, które zawdzięczałem swojej nowo nabytej wiedzy i zdolnościom. Zrozumiałem, że istnieje ścisła zależność między dobrymi wynikami w szkole a szacunkiem i akceptacją otoczenia. Ponieważ nauka przychodziła mi z łatwością, miałem wszelkie powody, by czuć, że sobie radzę. Pogląd ten zdawała się podzielać Fräulein Beyle, gdyż mój pierwszy rok w szkole oceniła, jak następuje:

„Hans-Jürgen jest wybitnym uczniem, który dobrze zaadaptował się w szkole. Wykazuje niezwykle talent do czytania, pisania, rysunku, muzyki i sportu. W arytmetyce jest przeciętny, ale potrafi znaleźć poprawne odpowiedzi, pomagając sobie palcami. Jest urodzonym przywódcą, zawsze chętnym do pomocy słabszym kolegom. Ponieważ z początku duczano mu i musiał się bronić, stał się nieco zbyt agresywny. Sądząc z tego, jak sobie radził w tym pierwszym roku, spodziewam się po nim dobrych wyników. Hans-Jürgen otrzymuje promocję do następnej klasy i z przyjemnością powitam go znów w mojej klasie”.

Zanim Mutti zdążyła odczytać moją pierwszą szkolną opinię wszystkim przyjaciółkom i znajomym oraz każdemu, kto chciał słuchać, mogłem tę laudację Fräulein Beyle recytować z pamięci.

## **Incydent w piwiarni**

30 stycznia 1933, trzy miesiące przed moją promocją do drugiej klasy, Adolf Hitler został kanclerzem Niemiec. Wydarzenie to nie wywołało żadnego oddźwięku w Barmbeku, dawnym bastionie komunistów.

Wiele razy dochodziły do mnie takie słowa jak „Hitler” i „nazistowski”, a także skrót NSDAP (Narodowosocjalistyczna Niemiecka Partia Robotników), ale z początku nic dla mnie nie znaczyły. Wprawdzie my, jako dzieci, nie mieliśmy pojęcia, o co chodzi z tymi wszystkimi partiami politycznymi, z czasem jednak zaczęliśmy wybierać sobie faworytów na

tej samej zasadzie, co drużyny piłkarskie – to znaczy, na podstawie opinii zasłyszanych w domu, w szkole i na ulicy. I aniśmy się obejrzeni, jak niepozorny człowieczek z chaplinowskim wąsikiem przestał być przedmiotem żartów. Jak na ironię, właśnie ja, w wieku zaledwie siedmiu lat, zostałem zdeklarowanym zwolennikiem nazistów głównie dlatego, że urządzali najbardziej widowiskowe parady, mieli wspaniałe mundury, świetne orkiestry wojskowe i najlepiej wymusztrowane kolumny marszowe. Wszystko to razem mocno przemawiało do mojego pączkującego poczucia męskości. Komuniści, podobnie jak socjaldemokraci, wyglądali przy nich jak banda rozwydrzonych obszarpańców, gdyż bardziej niż z pruskim drylem woleli się kojarzyć z przasnym do przesady proletariatem. Tak więc, kiedy wpadł mi w ręce haftowany emblemat ze swastyką, wymogłem na niewiele mądrzejszej Tante Möller, by mi go przyszyła do swetra. Obnosiłem się z nim, dopóki matka mi go nie odpruła, nie bacząc na moje gorące protesty.

Na naszej ulicy wielka zmiana dała o sobie znać jedynie poprzez coraz liczniejsze flagi ze swastyką w oknach czynszówek. Gdy tylko nazistowski rząd zdelegalizował wszystkie inne partie, te z sierpem i młotem błyskawicznie zniknęły, podobnie jak baner socjaldemokratów z trzema żelaznymi strzałami.

W szkole za symbol czczonego ojca narodu i wielki autorytet uchodził Reichspräsident Paul Hindenburg, sędziwy feldmarszałek, przedstawiciel starej wojskowej arystokracji, który w czasach swojej chwały w I wojnie rozniósł armię rosyjską w bitwie pod Tannenbergiem. Kiedy zmarł w roku 1934, zaczęto wprowadzać zmiany. Od tej pory oficjalną formą pozdrowienia stało się *Heil Hitler*, a w całym gmachu szkolnym portrety Hindenburga zastąpiono wizerunkami Hitlera. Ze ścian wszystkich klas, korytarzy i gabinetów każdy nasz krok śledziły jego przenikliwe niebieskie oczy, jakby chciały wprowadzić nas w hipnotyczny trans. Zanim zdołaliśmy sobie to uświadomić, twarz Führera stała się nam tak bliska jak twarz Fräulein Beyle, która nadal była naszą wychowawczynią. Ale jeszcze bardziej niż portrety wrył się nam w świadomość jego niezwykle, gardłowy głos – osobliwość pod względem skali, wytrzymałości i dynamiki. Ilekroć Führer przemawiał do narodu, co zdarzało się coraz częściej, nauka zamierała. Podobnie jak we wszystkich szkołach w kraju, uczniowie i nauczyciele gromadzili się w audytorium, aby wysłuchać transmitowanego przez radio wystąpienia. Większość mów Hitlera trwała ponad godzinę, a chociaż niewiele z nich rozumieliśmy, nigdy nie czuliśmy się znudzeni, tak nas fascynował sam dźwięk jego głosu. W jednym momencie był to niski, wyważony i krzepiący baryton, którym Hitler opowiadał o swojej trudnej i pełnej poświęcenia drodze do władzy. Lecz zaraz potem wybuchał piskliwym, gniewnym *crescendo*, którym chłostał grupy i jednostki uważane za wrogów jego samego i Niemiec. Najczęściej i najzacieklej atakował Żydów, nie-Aryjczyków, marksistów, komunistów, liberałów, reakcjonistów i demokratów. Chociaż nie zawsze rozumieliśmy znaczenie tych słów, czuliśmy bijącą od mówcy moc; ta nowo objawiona postać wszechpotężnego

ojca, który mężnie stawia czoło wszystkim przeciwnikom Niemiec, napawała nas wielką dumą.

Kiedy tradycyjną nazwę placu przed ratuszem zmieniono z Rathausmarkt na Adolf-Hitler-Platz, musiało upłynąć kilka miesięcy, zanim ją sobie przyswoiliśmy. Niebawem także przestał nas dziwić salut, towarzyszący pozdrowieniu *Heil Hitler*, które zastąpiło zwykłe *Guten Tag*. Stosunkowo szybko nabraliśmy zwyczaju stawania na baczność, siadania na komendę i stukania obcasami. Podobnie jak żołnierze, mieliśmy nabijane gwoździami, „podkute” buty z blaszkami na obcasach i wkrótce szkoła i ulice dudniły pod naszymi nogami. Musieliśmy także przywyknąć do czegoś takiego jak poranne apele w każdy poniedziałek na szkolnym dziedzińcu. Staliśmy wtedy na baczność z wyciągniętymi prawymi rękami, podczas gdy „gwardia honorowa” Hitlerjugend wciągała na maszt dwie nowe flagi narodowe: tradycyjny czarno-biało-czerwony sztandar przedweimarskich Niemiec i nazistowską flagę z *Hakenkreuzem*. Potem śpiewaliśmy dwa niemieckie hymny narodowe: *Deutschland, Deutschland über alles* i *Das Horst-Wessel-Lied*. Ten ostatni wziął nazwę od swojego kompozytora, młodego bojówkarza SA, zastrzelonego przez komunistów podczas zamieszek ulicznych w Berlinie w roku 1930. Nauczono nas go czcić jako męczennika ruchu nazistowskiego numer jeden. Męczennikiem numer dwa, jak się dowiedzieliśmy, był Albert Leo Schlageter, oficer Freikorps w okupowanym przez Francję Zagłębiu Ruhry po I wojnie, stracony przez Francuzów za sabotaż i szpiegostwo.

Aby rozbudzić w nas podziw dla hamburskich tradycji morskich i zainteresowanie niemiecką flotą, zorganizowano dla całej szkoły wycieczkę nowo zbudowanym trójmasztowcem „Gorch Fock”, przeznaczonym do szkolenia kadetów. Jednostka ta otrzymała swą nazwę na cześć renomowanego poety i autora morskich opowieści Gorcha Focka (pseudonim literacki Johanna Kinaua), który poległ w słynnej bitwie morskiej z Brytyjczykami pod Skagerrakiem w I wojnie. W trakcie wycieczki jeden z nauczycieli, weteran marynarki wojennej, wygłosił godzinny wykład na temat świetlanej przyszłości tych niemieckich chłopców, którzy u progu życia zdecydują się na karierę w marynarce. Zastanawiałem się, czy Gorch Fock, zabity w wieku trzydziestu sześciu lat, podzieliłby jego zdanie, ale uznałem, że lepiej zachować te myśli dla siebie.

Od chwili, gdy Hitler przejął władzę, w Hamburgu nie sposób było się nudzić. Każdy tydzień przynosił nowe wielkie wydarzenia i sensacje. Nikt nie odczuwał tego tak mocno jak dzieci, zwłaszcza że nauczyciele potrafili rozdmuchać nasz młodzieńczy zapał do granic szaleństwa. I naprawdę było czym się entuzjasmować. Odbywały się nieustanne pochody oddziałów SS, SA i Hitlerjugend, które maszerowały przez miasto w takt tradycyjnych pruskich melodii i nowych nazistowskich pieśni wojskowych, a także nocne parady z pochodniami i pokazy fajerwerków nad Alsterem. W parku miejskim i na Moorweide, wielkim placu przed dworcem kolejowym Dammtor, organizowano masowe demonstracje. Różne szychy par-

tyjne wygłaszały przy tych okazjach przemówienia, prześcigając się w pochlebstwach dla niemal boskiego już Führera.

W żadnej z tych imprez nie dostrzegąłem szczególnego zagrożenia dla siebie, dopóki pewnego dnia omal nie padłem ofiarą jej uczestników. Zdarzyło się to w trzeciej klasie, na początku roku 1934. Wtedy to, w wieku zaledwie ośmiu lat, po raz pierwszy nabrałem podejrzeń, że reżim nazistowski może mi przysporzyć problemów.

Przedziwnym zbiegiem okoliczności nowo utworzony miejscowy oddział nazistowski wybrał na cotygodniowe mityngi tawernę Zanolettiego i salę konferencyjną przylegającą do naszej kamienicy. Przez kilka miesięcy nasi nowi sąsiedzi i ja żyliśmy w nieświadomości swojego istnienia, ponieważ zebrania nazistów odbywały się nocami, kiedy już spałem. Aż wreszcie pewnej pięknej, wiosennej niedzieli wydarzyło się to, co musiało. Zaczęło się od wielkiej paramilitarnej parady. Przez ponad dwie godziny przez naszą dzielnicę maszerowały kolumny „brunatnych koszul” SA i umundurowanych na czarno oddziałów SS. Pretekstu, który wtedy nie miał dla mnie znaczenia, dostarczyło jedno z osławionych lipnych referendów Hitlera. Niemcom ostentacyjnie dawano możliwość wypowiedzi, czy akceptują bądź odrzucają nazistowską propozycję przez głosowanie *Ja* lub *Nein* w jawnie sfabrykowanych pod program nazistów referendach, po czym jeszcze mocniej zaciskano im rękę na gardle.

Kolorowy pochód przyciągnął tłumy gapiów, którzy ustawili się wzdłuż trasy przemarszu na Am Markt, przecinającej zwykle spokojną Stückenstrasse. Wraz z innymi dziećmi pobiegłem oglądać paradę i jak wszyscy dałem się ponieść entuzjazmowi. Szczególnie ucieszył mnie widok Wolfganga, mojego dawnego „ochroniarza”, maszerującego na czele oddziału Hitlerjugend. Omal nie pękłem z dumy, kiedy wypatrzywszy mnie w tłumie, pomachał mi ręką z uśmiechem. Nie ruszyłem się z miejsca, dopóki nie przeszedł ostatni oddział szturmowy i tłum nie zaczął się rozpraszać.

Idąc do domu, usłyszałem głośne śpiewy i wrzaski w sąsiednim budynku. Zaciekawilo mnie to, więc spróbowałem zajrzeć do środka przez otwarte na oścież drzwi do sali konferencyjnej Zanolettiego. Wypełniał ją zbity tłum „brunatnych koszul”, który świętował zwycięstwo w sfalszowanym głosowaniu, drąc się na całe gardło i rechocząc przy piwie, w kłębach papierosowego dymu. Nikt z tego towarzystwa nie zwracał na mnie uwagi, a przynajmniej tak mi się zdawało. Nagle poczułem, że dwie potężne łapy chwytają mnie z tyłu i unoszą w powietrze. Odruchowo zacząłem prostować się i wyginać, wijąc się jak ryba na haczyku. W końcu wyrwałem się i wiałem co sił w nogach, byle dalej od napastnika. Oglądając się co jakiś czas przez ramię, widziałem, że ściga mnie jakiś potężnie zbudowany bojówkarz SA, o jasnych, ostrzyżonych na jeża włosach i wrednych oczkach osadzonych w czerwonej od piwską gębie. I pewnie udałoby mi się uciec, gdyby nie dwóch innych, którzy w odpowiedzi na wrzaski mojego prześladowcy zagroździ mi drogę. Wtedy bojówkarz spadł na mnie



jak jastrząb i tym razem nie poluzował chwytu, chociaż wierzgałem, wyrywałem się i gryzłem.

Przez gęstą cizbę pijanych kumpli powłókł mnie triumfalnie w stronę podium na końcu sali. Zrobiło mi się niedobrze ze strachu, kakofonii grubiańskich ryków oraz odoru piwa i dymu tytoniowego. Nadludzkim wysiłkiem opanowałem panikę i zdusiłem w sobie odruch krzyku, przeczuwając, że nic mi to nie pomoże, a tylko jeszcze bardziej rozjuszy tłum. Na szczęście przy słabym oświetleniu i wyraźnym zamroczeniu alkoholowym zebranych prawie nikt nie uświadamiał sobie dramatu. Bojówkarz już miał mnie postawić na platformie, zapewne jako eksponat *Rassenschande* (skażenia rasy), kiedy napotkał wściekły wzrok jakiejś kobiety.

Mutti spędziła niedzielny ranek na zasłużonym odpoczynku od obowiązków szpitalnych. W przeciwieństwie do mnie mało wagi przywiązywała do wydarzeń związanych z referendum i tylko od czasu do czasu wyglądała przez okno, daremnie próbując wypatrzeć mnie w tłumie. W miarę upływu godzin przytłaczająca liczba „brunatnych koszul” napełniała ją coraz gorszym przeczuciem. W końcu nie mogła znieść napięcia i zaczęła mnie szukać. Ledwie wyszła na schody, wpadła na Tante Möller, która zdyszczanym głosem poinformowała ją, że przed chwilą widziała, jak jakiś drab z SA wciąga mnie do pobliskiej piwiarni. Mutti nie czekała. Z furią tygrysicy chroniącej swoje młode zbiegła na dół i, przedarłszy się przez uliczny tłum, wpadła do piwiarni. Tam z niepowstrzymanym impetem utorowała sobie łkciami drogę wśród pijanych mężczyzn i dotarła do platformy. Zaskoczony bojówkarz na widok roztrzęsionej, lecz wyraźnie nieustraszonej kobiety, na chwilę rozluźnił chwyt. Zanim on, ja czy ktokolwiek inny zrozumiał, co się dzieje, znów byłem wleczony – tym razem nie przez pijacką cizbę, tylko przez własną matkę, która ciągnęła mnie do względnie bezpiecznego zacisza naszego domu.

Chociaż przygoda w piwiarni Zanolettiego prześladowała mnie jeszcze miesiącami, a może nawet latami, wciąż jeszcze nie docierał do mnie w pełni związek tamtych wrzaskliwych i zapijaczonych typów z SA z człowiekiem, którego nam, dzieciom, coraz częściej przedstawiano jako zbawcę Niemiec. To on, jak wmawiali nam nauczyciele, miał przywrócić naszemu krajowi właściwe, dominujące miejsce w świecie. Zarówno dla mnie, jak i praktycznie dla wszystkich moich rówieśników, Hitlera otaczała niemal boska aura, która stawiała go ponad wszelką krytykę. Nawet nie przeszło mi przez myśl, że brutalność, jakiej doświadczyłem ze strony nazistów w wieku ośmiu lat, była zaledwie nikłym przejawem okrutnej polityki rasowej, wymyślonej przez tego samego Adolfa Hitlera, przedmiot mojej adoracji.

Od tamtej niedzieli jednak moje bezkrytyczne uwielbienie dla Hitlera i nazistów zmieniło się w dziwną mieszaninę strachu i fascynacji. Zaczynałem wyczuwać, że „brunatne koszule”, swastyka czy marsze wojskowe to zwiastuny zagrożenia.

## **Raj utracony**

Dopiero po pewnym czasie zrozumiałem, że incydent w piwiarni nie był przypadkową burdą wszczętą po paru piwach przez SS-chuliganów w nazistowskich mundurach, tylko rezultatem knowań rządowych, wymierzonych w pewną grupę ludzi, do których i ja się zaliczałem. Do tego druzgoczącego odkrycia doszedłem kilka tygodni później w najmniej spodziewanym miejscu, mianowicie na pobliskim placu zabaw. Jak zwykle poszedłem tam po szkole. Do najpopularniejszych atrakcji należała tam chybotka, do której zawsze ustawiały się kolejki. Cierpliwie odczekaliśmy swoje z kolegą i już mieliśmy zająć miejsca, kiedy drogę zagroziła mi jakaś matka z małym synkiem.

– Co ty sobie wyobrażasz? – wsiadła na mnie piskliwym z oburzenia głosem.

Nie miałem pojęcia, dlaczego kwestionuje moje zupełnie oczywiste prawo, ale bezradnie spojrzałem na chybotkę, gdzie jej synek zdążył już zająć moje miejsce.

– Teraz moja kolej – zaprotestowałem bez przekonania.

– Co znaczy „moja”? Wy już mieliście swoją kolej, teraz jest nasza! Ciebie w ogóle nie powinno tu być, nie umiesz czytać? – i pokazała mi tablicę przy wejściu na plac, której przedtem tu nie zauważyłem. Scenie przypatrywało się kilka innych matek, ale chociaż zdawały się mi współczuć, żadna nie stanęła w mojej obronie.

Zmieszany i zdruzgotany odszedłem. Zanim opuściłem plac na dobre, przestudiowałem tablicę wzrokiem zmaconym przez łzy. Stało tam czarno na białym:

### **NICHTARIERN IST DAS BETRIETEN DIESES SPIELPLATZES STRENGSTENS VERBOTEN**

**(Nie-Aryjczykom wstęp na plac zabaw surowo wzbroniony)**

Chociaż już przedtem słyszałem określenie nie-Aryjczyk, nigdy nie sądziłem, że ma ono coś wspólnego ze mną. Niestety kobieta miała rację. Nie-Aryjczyk to ja. Wciąż jednak nie rozumiałem, czemu tak na mnie napadła, poza tym, że z jakiegoś niejasnego powodu skazano mnie na banicję z placu, na którym spędziłem tyle szczęśliwych godzin i który zawsze uważałem za własność wszystkich dzieci, a więc także i moją.

Wieczorem, kiedy matka wróciła z pracy, zapytałem ją prosto z mostu:

– Czy ja jestem nie-Aryjczykiem?

Wzięta z zaskoczenia Mutti chciała wiedzieć, czemu mnie to interesuje. Kiedy opowiedziałem jej, co się zdarzyło na placu zabaw, przyznała, że Afrykanie rzeczywiście należą do rasy, którą nazistowski rząd zaklasyfikował jako niearyjską.

– Twój ojciec jest Afrykaninem, więc i ty, jako jego syn, nie możesz być uznany za Aryjczyka.

– A ty jesteś Aryjką?

– Tak.

– Dlaczego?

– Bo nie pochodzę z Afryki, tylko z Europy.

– To dlaczego ja nie mogę być Aryjczykiem, skoro jestem tak samo twoim synem, jak taty? – próbowałem dochodzić swoich racji. – I dlaczego nie-Aryjczykom nie wolno wchodzić na plac zabaw?

– Zgadza się, że to bez sensu – przyznała Mutti. – Jutro porozmawiam ze stróżem. Na pewno zrobi dla ciebie wyjątek i pozwoli ci się tam bawić.

– Nie chcę, żebyś z nim rozmawiała! I już nigdy więcej nie chcę tam chodzić!

Mimo moich protestów rozmowa się jednak odbyła. Stróż powiedział matce, że mam w ogóle nie zważać na tę tablicę. Ale żadne namowy nie zdołały mnie przekonać do złamania słowa i więcej moja noga tam nie powstała.

## Rodzinne spory

Chociaż dokładałem wszelkich starań, aby przygoda w parku nie zrujnowała mi życia, zauważyłem, że nie da się przejść do porządku i nad samym wydarzeniem, i nad jego implikacjami. Po pierwsze, ilekroć do Tante Möller przychodzili jej dorośli synowie, nieodmiennie wszczynali burzliwą dyskusję na temat polityki. Otto, zwolennik Hitlera, ale jeszcze nie członek partii, niemal rwał się do bicia młodszego brata Fritza, zagorzałego komunisty, kiedy ten sugerował, że wszyscy naziści to banda oprychów, która wkrótce dostanie za swoje.

– Podziwiałem cię dawniej, bo myślałem, że jesteś inteligentny – darł się Fritz – ale już z tym koniec! Jak możesz być taki głupi i pozwalać, żeby te męty mydliły ci oczy?

– Złożę na ciebie raport i każę zamknąć za takie nieodpowiedzialne uwagi!

Tante Möller, jak poprzednio przy takich okazjach, kazała im albo zaprzestać kłótni, zwłaszcza w mojej obecności, albo wyjść, bo jej już się robi niedobrze od słuchania zarówno o nazistach, jak i o komunistach. Z szacunku dla matki panowie powściągali języki, by następnym razem podjąć spór od nowa.

Ku rozgoryczeniu Fritza, Willi, najstarszy z braci, miał nastawienie zdecydowanie antykomunistyczne. Podczas I wojny mieszkał w Stanach i słabo orientował się w niuansach niemieckiej sceny politycznej, ale coraz bardziej skłaniał się ku poglądom Ottona. Ten nie posiadał się z radości, kiedy Willi, główny steward na statku pływającym na trasie Hamburg–Ameryka, oznajmił o swoim wstąpieniu do Marine SA – formacji oddziałów szturmowych, stworzonej dla dawnych marynarzy floty handlowej. Ponieważ cieszyłem się jego względami, wziął mnie ze sobą, kiedy wybierał się na zakup munduru: brunatnej koszuli, granatowych bryczesów, takiej samej czapki z daszkiem, brązowego pasa do spodni i na ramię oraz wysokich butów.

Pierwszą wielką imprezą po wstąpieniu Williego do Marine SA był maraton *Gepäckmarsch*, podczas którego różne jednostki SA, SS, NSDAP i Hitlerjugend demonstrowały swoją wytrzymałość na obciążenie plecakami połowymi. Willi, kawał chłopca o wzroście ponad 180 centymetrów, wyglądał imponująco w nowym mundurze, kiedy wpadł rano do matki przed dołączeniem do oddziału. Jak zawsze wytworny, a teraz dodatkowo dumny ze swojej militarnej aparycji, wypinał pierś i prężył się przed lustrem, ja zaś pękałem z dumy, kiedy odprowadzałem ów wzorzec żołnierza za róg, do tramwaju. Marzyłem w duchu, żeby zobaczyć mnie w tej chwili któryś z koleżków, ale jak na złość, żadnego nie udało mi się spotkać. Przed rozstaniem Willi podał mi przybliżoną godzinę, w której jego oddział powinien dotrzeć do Am Markt, żebym mógł zobaczyć, jak maszerują.

Prawie całe popołudnie obserwowałem zlane potem formacje przechodzące koło mnie w zwartym szyku. Kiedy ukazała się pierwsza – wyróżniająca się strojem – jednostka Marine SA, skupiłem się na wypatrywaniu wujka Williego, ale chociaż bardzo się koncentrowałem, nie udało mi się go wypatrzeć. Wreszcie, kiedy przemaszerował ostatni żołnierz, dałem za wygraną i ruszyłem do domu, zameldować Tante Möller, że Onkel Willi zaginął. Już dochodziłem na górę, kiedy przykuśtykał mój bohater. W odróżnieniu od dumnego rycerza, z którym zegnałem się rano, przedstawiał iście żałosny widok: mocno spocony, jęczał z bólu za każdym krokiem. Na domiar złego akurat napatoczył się Fritz – w samą porę, by być świadkiem niechlubnego powrotu brata i nawymyślać mu za to, że dał się namówić Ottonowi na taką głupotę.

Problem Williego dał o sobie znać niecałą godzinę po rozpoczęciu marszu. Nowiutkie, jeszcze nierozchodzone buty zaczęły go uciskać. Z każdym krokiem rosło poczucie, jakby jakieś żelazne imadło ścisnęło mu coraz mocniej stopy. Wreszcie, nie mogąc dłużej wytrzymać, opuścił szereg wśród buczenia i kpin kompanów, co dotknęło go znacznie mocniej niż ból stóp.

Fritz próbował ściągnąć bratu buty sprawdzoną metodą: usiadł mu okrakiem na jednej nodze, podczas gdy Willi kopał go w tyłek drugą, ale nic to nie dało. Każde szarpnięcie sprawiało mu nieznośny ból. W końcu miał tego dość i kazał bratu rozciąć buty wielkimi nożycami matki. Nie mogłem pojąć, jak można niszczyć nowiuteńkie obuwie, dopóki nie zobaczyłem stóp Williego – opuchniętej, pokrytej pęcherzami krwawej masy.

Po kilku tygodniach Willi znowu mógł chodzić bez bólu w normalnych butach, ale przykre doświadczenie, a zwłaszcza fakt, że koledzy z oddziału go wyśmiali, wystarczył, by wyzbył się pronazistowskich skłonności. Ku wielkiemu żalowi Ottona i równie wielkiej radości Fritza, nie poszedł więcej na żaden mityng SA i na dobre porzucił aktywną politykę.

## **Niedziele w kinie**

W niedziele, zarówno słoneczne, jak i deszczowe, jednym z moich ulubionych sposobów spędzania czasu były wyprawy na poranki dla dzieci w Europa Palast – naszym pobliskim kinoteatrze w stylu art déco. Bilet kosztował 30 fenigów, a ponieważ zdaniem Mutti, pieniądze nie rosły na drzewach, starała się ograniczyć moje zakusy do jednego filmu na miesiąc. Ten plan jednak od początku nie miał szans powodzenia, bo Mutti rzadko potrafiła oprzeć się moim błaganiom, zwłaszcza kiedy mówiłem, że wszyscy koledzy idą.

Jednej gwiazdzie jednak nawet Mutti nie mogła się oprzeć. Ilekroć pokazywano film z Shirley Temple, miałem bilet jak w banku, bo Mutti nie tylko chciała, żebym poszedł, ale wręcz upierała się, by mi towarzyszyć. Uroczą dziewczynką z dołeczkami, o kręconych włosach gwarantowała długie kolejki przed kasami i bilety wyprzedane do ostatniego miejsca. Wszyscy w Niemczech mieli fioła na punkcie Shirley, ja także. Ponieważ amerykańskie filmy były dubbingowane, nie zdawałem sobie sprawy, że Shirley nie jest Niemką. Obojętne, czy grała nieustraszoną sierotkę w *Bright Eyes* (Błyszczące oczy), gdzie spopularyzowała piosenkę *On the Good Ship Lollipop*, czy partnerkę stepującego tancerza Billa Robinsona w epickim obrazie o wojnie secesyjnej *The Littlest Rebel* (Mały buntownik) – kiedy Shirley się śmiała, ja się śmiałem, kiedy płakała, płakałem razem z nią.

Gdyby ktoś mi wtedy powiedział, że pewnego dnia nie tylko poznam małą idolkę mojego dzieciństwa, ale będę z nią rozmawiał i nawet tańczył, uznałbym tę osobę za niespełna rozum. A jednak tak właśnie się stało. W roku 1975 z ramienia „Ebony” pojechałem do Akry, stolicy Ghany, na wywiad z amerykańskim ambasadorem. Okazało się, że jest nim, ni mniej, ni więcej, tylko pani Shirley Temple Black, desygnowana na tę funkcję przez prezydenta Geralda Forda. Podczas sążnistego wywiadu opowiedziała mi, jak wielkiego szoku doznała w dzieciństwie, gdy się dowiedziała, że jej czarnemu partnerowi Billowi Robinsonowi, którego bardzo lubiła, prawa Jima Crowa zakazują pobytu w tym samym co ona hotelu na Florydzie. Wieczorem, czyniąc honory jako ambasador, dawna dziecięca gwiazda zaprosiła mnie do tańca. Jak bardzo żałowałem, że moi kumple ze Stückenstrasse tego nie widzą!

Równie mocno jak same filmy frapowały nas tygodniowe kroniki, które wyświetlano przed seansem. Kiedy głos spikera cedził uroczyście formułkę Foxa: „Przedstawiamy państwu najciekawsze i najświeższe wiadomości ze wszystkich krajów świata, w obrazie i dźwięku”, przez salę zawsze przebiegał szmer oczekiwania. To dzięki kronikom filmowym otrzymałem pierwszy, chociaż opaczny, obraz „kraju nieograniczonych możliwości”, jak nazywano Stany Zjednoczone. Aby usprawiedliwić to określenie, kroniki skupiały się na różnych pokazach i wyczynach, począwszy od absurdalnych czy groteskowych, aż do czystego wariactwa, w rodzaju koronacji Miss Ameryki, spaceru na linie rozciągniętej na niebotycznej wysokości między dwoma drapaczami chmur bez siatki zabezpieczającej, karkołomnego spływu wodospadem Niagara w stalowym bębnie czy próby pobicia rekordu utrzymania się na czubku drzewca sztandaru. Dzięki lansowaniu takich tematów szybko nabrałem preko-

kania, że Stany Zjednoczone to kraj zgrywusów, którzy niczego nie traktują serio i tylko ciągle goniliby za sensacją. Obraz prezydenta Franklina D. Roosevelta tylko ugruntowywał to wrażenie. Ze swoim wystającym podbródkiem, cygarniczką i szerokim uśmiechem gwiazdora filmowego był dla mnie uosobieniem owego niefrasobliwego ducha Ameryki. Tylko od czasu do czasu wyświetlano poważniejsze materiały, które pozwalały mniemać, że nie wszystko w Stanach jest takie śmieszne, a tamtejsze życie nie składa się z samej zabawy. Relacje z sensacyjnego porwania i morderstwa dwuletniego synka międzynarodowego bohatera Charlesa Lindbergha w roku 1932 oraz równie sensacyjnego procesu, który cztery lata później zakończył się egzekucją oskarżonego o tę zbrodnię niemieckiego imigranta Brunona Hauptmanna, miały swój wyraźny cel.

Nawet jeśli urojony świat z Europa Palast mocno różnił się od rzeczywistości, wciąż cenię sobie wspomnienia z tych niedzielnych seansów, podczas których na dwie magiczne godziny zapomniałem o Stückenstrasse i Barmbeku, aby wkroczyć w czarodziejski świat bandytów i herosów, gangsterów i policjantów, kowbojów i Indian, rycerzy i czarnych charakterów, gdzie granice czasu i przestrzeni wyznaczała jedynie ludzka wyobraźnia.

## Żydzi

Po dojściu Hitlera do władzy coraz częściej do moich uszu docierało słowo *die Juden*. Z tego, co mi wiadomo, nigdy przedtem nie widziałem żadnego Żyda, ale zauważyłem, że matka mówiła o nich ściszym głosem. Raz podsłuchałem, jak opowiadała przyjaciółce, że jakiś lekarz z jej szpitala stracił pracę przez to, że był Żydem. „Co za hańba! To taki cudowny człowiek i do tego świetny lekarz.”

Wysnułem stąd wniosek, że Żydzi to normalni, mili ludzie, którzy z jakiegoś niewyjaśnionego powodu są prześladowani i dlatego zasługują na współczucie. Ten pogląd zmienił się dość szybko, gdy mój wrażliwy umysł zaczął coraz silniej nasiąkać ideologiczną trucizną, szerzoną przez Ministerstwo Oświecenia Publicznego i Propagandy, z doktorem Josephem Goebbelsem na czele, za pośrednictwem naszych nauczycieli. Na wszelki wypadek naziści zarządzili natychmiastowe zwolnienia „niepewnych politycznie”, a więc nieodpowiednich pedagogów. Represje dotyczyły osób pochodzenia żydowskiego, dawnych działaczy partii antynazistowskich, takich jak komuniści i socjaldemokraci, oraz tych, którzy jawnie odmówili zapisania się do Narodowosocjalistycznego Związku Nauczycieli.

Jako jedna z pierwszych ofiarą tej czystki padła nasza dobra wychowawczyni Fräulein Beyle. Pod koniec drugiej klasy poinformowano nas po prostu, że przeniesiono ją do innej szkoły, a jej miejsce zajmie Herr Grimmelhäuser. Nigdy nie dowiedziałem się, co się z nią stało i czy rzeczywiście pozwolono jej kontynuować pracę w szkolnictwie. Bardzo mi jej brakowało, gdyż to ona, jako pierwsza z nauczycieli, obudziła we mnie chęć wykorzystania do maksimum moich zdolności.

Chociaż nigdy nie poinformowano nas otwarcie, o co chodzi, wyczuwaliśmy wyraźnie jakąś dziwną atmosferę, która w tajemniczy sposób wiązała się ze zniknięciem jeszcze kilku innych nauczycieli. Ci, którzy zostali, prześcigali się w demonstrowaniu swojego prohitlerowskiego zapału, mając nadzieję, że dzięki temu zachowają posadę. Niemal codziennie słyszeliśmy z ich ust poniżające uwagi o Żydach, a ponieważ – z tego, co wiem – nie mieliśmy kolegów Żydów, z którymi moglibyśmy się przyjaźnić, łatwo uwierzyliśmy tej ordynarnej propagandzie.

„Gdyby nie Żydzi – grzmiał Herr Grimmelhäuser – Niemcy z łatwością wygrałyby wojnę.” Herr Grimmelhäuser, wysoki, tyczkowaty, o czarnych, falujących włosach i w czarnych, rogowych okularach, próbował nam w ten sposób objaśnić „cios w plecy” – pojęcie powszechnie przyjęte przez Niemców jako prawdziwa przyczyna klęski wojennej. Według jego wersji, Żydzi tak długo rozsiewali wśród ludności cywilnej kłamstwa na temat złej sytuacji militarnej Niemiec, aż wreszcie przekonali wszystkich, że dalsze wysiłki nie mają sensu. W ten sposób pozbawili naród zaplecza moralnego i materialnego, a zwycięskie do tej pory oddziały straciły wolę walki. Pokonano je bowiem nie na polu bitwy, tylko wskutek zdradzieckiego, wyreżyserowanego przez Żydów „ciosu w plecy”.

Herr Grimmelhäuser uwielbiał czytać nam artykuły z prominentnych nazistowskich gazet takich jak „Der Stürmer”, „Der Völkischer Beobachter” i „Der Angriff”, które wręcz zachłystywały się zaszczuwaniem Żydów. Typowa gazetowa historyjka przedstawiała eksmisję porządnej niemieckiej rodziny, na którą uwziął się zły żydowski gospodarz w typie Scrooge’a z *Opowieści wigilijnej*, bo z powodu choroby ojca zalegała z czynszem. Takie dziennikarskie perełki, przekazywane ustami wychowawcy, szybko odniosły skutek, wpajając naszym niewinnym sercom głęboką nienawiść do Żydów.

Ale najgorsze miało dopiero nadejść. Pewnego dnia Herr Grimmelhäuser zapowiedział, że zaraz obejrzymy ważny film, który pozwoli nam jeszcze lepiej poznać, kim naprawdę są Żydzi. Rzeczywiście w tym krótkim filmie odmalowano ich jako kłamliwe, przesadnie gestykujące, moralnie i fizycznie nieczyste istoty. Była to znacznie łagodniejsza wersja dokumentu pod tytułem *Wieczny Żyd*<sup>9</sup>, który trafił na ekrany kilka lat później i został oceniony jako najbardziej perfidny, antysemitowski film propagandowy. Ukazywał on Żydów w zatłoczonych gettach, miotających się jak w gorączce w różnych niecznych zamiarach. W następnej scenie kamera przenosiła się do kolonii obrzydliwych szczurów, które w taki sam sposób uganiały się, wygrzebując ze śmietników resztki pożywienia. Aby upewnić się, że publiczność właściwie rozumiała porównanie, spiker wyjaśniał, iż Żydzi jak szczury, uznane szkodniki, roznoszą choroby, powodują epidemie i dlatego, jeśli społeczeństwo ma być zdrowe, należy ich z niego usunąć.

Obydwa filmy zrobiły na nas ogromne wrażenie. Kilka tygodni po wyświetleniu pierwszego z nich wciąż wzdragaliśmy się z obrzydzenia na samą myśl o fizycznym kontakcie

z Żydem, którego uważaliśmy teraz za istotę fizycznie odrażającą, moralnie skorumpowaną, tchórzliwą, bezczelnie nieuczciwą, upośledzoną na umyśle, a jednocześnie skrajnie przebiegłą i dlatego niebezpieczną. Zdeklarowanym celem Żydów – jak kazano nam wierzyć – jest totalna destrukcja szlachetnej rasy germańskiej oraz jej równie szlachetnej kultury. Cel ten próbują osiągnąć podstępem albo przemocą, a gdyby żaden z tych środków nie pomógł – poprzez skażenie szlachetnej aryjskiej krwi domieszką ich własnej.

– To dlaczego policja ich nie aresztuje i nie zamknie w więzieniu? – chciał wiedzieć jeden z moich kolegów.

– Cierpliwości, chłopcze – poradził Herr Grimmelshäuser urażonemu uczniowi. – Jestem pewien, że w swoim czasie Führer znajdzie jakieś rozwiązanie.

## **Hitler uderza**

Matka zwykle wracała z pracy w radosnym nastroju, gotowa spędzić ze mną kolejny miły wieczór, jednak pewnego dnia zamiast zwyczajnym uśmiechem powitała mnie prawie we łzach. Kiedy zapytałem, co się stało, odpowiedziała bez owijania w bawełnę, że właśnie zwolniono ją z pracy.

Nie od razu pojąłem, jak ta wstrząsająca wiadomość wpłynie na naszą sytuację, ale po prostu nie umiałem sobie wyobrazić Mutti poza szpitalem. *Krankenhaus* stanowił centrum nie tylko jej życia zawodowego, ale też towarzyskiego, które dotyczyło także mnie. Pracowały tam jej wszystkie najbliższe koleżanki, przyjaźniłem się z ich dziećmi i często razem wychodziliśmy do miasta.

Aby oszczędzić mi przykrości, matka wołała nie zdradzać, że jej zwolnienie jest w jakiś sposób związane z moją osobą. Zamiast tego tłumaczyła mi mętnie coś na temat dużych redukcji personelu szpitalnego. Jeśli chodzi o nią, to straciła pracę w wyniku nowej polityki, która nakazywała usunięcie z rządowych posad Żydów oraz innych „politycznie niepewnych osób”.

Czystki z przyczyn politycznych i rasowych, przeprowadzane w całym kraju we wszystkich agendach i zakładach rządowych, potężnie odbiły się na całym personelu szpitala St. Georg – od pracownika fizycznego po wysoko kwalifikowane kadry medyczne. Każdego, kto nie mógł wykazać się świadectwem „czystości rasowej”, zmuszano do odejścia. Bezpośredni szef matki, główny pielęgniarz nazwiskiem Craemeyer, latami przechwalał się swoim żydowskim pochodzeniem. Kiedy administracja szpitala zaczęła go sprawdzać, tylko fuksem udało mu się prześliznąć przez sito, bo okazało się, że jego ostatni żydowski przodek urodził się przed przełomem wieków, co było dla nazistów datą graniczną. Potem Herr Craemeyer już nigdy nie wspominał o żydowskich przodkach.

Tuż po zwolnieniu Mutti obeszała wszystkich, którzy w szpitalnej hierarchii mieli coś do powiedzenia, żeby uzyskać zmianę wyroku. Każdy powtarzał to samo: decyzja jest nieodwo-



łalna i nic w tej sprawie nie da się zrobić. W końcu poprosiła na piśmie (i uzyskała zgodę) o spotkanie z jedną z najwyższej postawionych osób. Kiedy w wyznaczonym dniu weszła za recepcjonistką do przestronnego gabinetu, spotkała ją przykra niespodzianka. Za ogromnym biurkiem siedział niski, krępy mężczyzna w nazistowskim mundurze. Mutti natychmiast rozpoznała w nim faceta, który jeszcze do niedawna pracował w szpitalnej pralni i którego ohydne propozycje seksualne konsekwentnie odrzucała. Jak wielu funkcjonariuszy nazistowskich w tym okresie, za swoją aktywność polityczną został nagrodzony błyskawicznym awansem na kierownicze stanowisko.

Zerwał się z miejsca i powitał moją matkę wylewnie, jak gdyby zawsze byli parą najbliższych przyjaciół:

– Wejdz, Bertho, usiądź, proszę. Jak miło znów cię zobaczyć. Czym mogę ci służyć?

Kiedy ochłonęła z pierwszego szoku, przypomniała mu, że chociaż nigdy nie angażowała się w działalność polityczną, została zwolniona właśnie z „przyczyn politycznych”. Wyjaśniła też, że chociaż odwoływała się do wszystkich, którzy mogliby jej pomóc, nie przyniosło to żadnego skutku.

– Zwróciłaś się do właściwej osoby. Twój przypadek nie jest ani trochę tak beznadziejny, jak ci się wydaje – odrzekł z życzliwym uśmiechem. – Jestem przekonany, że uda mi się przywrócić cię do pracy... Rozumiesz jednak, że nie mogę nadstawiać karku dla osoby z twoją... hmm... przeszłością bez odrobiny... nazwijmy to: współpracy z twojej strony. *Eine Hand wäscht die andere* (Ręka rękę myje).

Matka, która zaczynała już wyczuwać pismo nosem, zapytała z miejsca, co jej interlokutor rozumie przez „współpracę”, a wtedy krępy człowieczek natychmiast zrzucił swą maskę dobrego wujka.

– Nie zgrywaj mi tu pierwszej naiwnej – prychnął. – Doskonale wiesz, co mam na myśli.

W tym momencie matka uznała, że usłyszała już dość, i zaczęła zbierać się do wyjścia, ale dyrektor niczym rozwścieczony pitbull wyskoczył zza biurka i zagroził jej drzwi. Zanim zorientowała się, co się dzieje, wymierzył jej kilka mocnych policzków.

– Taka jak ty powinna być wdzięczna, że niemiecki mężczyzna chce się z nią w ogóle zadować! – wrzasnął. – A teraz się wynoś i żebym cię tu więcej nie widział!

Później matka opowiedziała o tym incydencie kilku koleżankom, zwierając się im także z twardego zamiaru wystąpienia na drogę sądową. One jednak stanowczo odradziły jej podejmowanie jakichkolwiek kroków prawnych. Pozywanie funkcjonariusza nazistowskiego za obecnego reżimu to, ich zdaniem, czysty absurd. Ostrzegły ją, że w ten sposób zwróciłyby niepotrzebnie uwagę na swoją sytuację, narażając się na odwet potężnej władzy. „Stoisz na przegranej pozycji i jeśli chcesz tego, co jest dobre dla ciebie i chłopaka, to postaraj się zapomnieć o całej sprawie.” Niechętnie, acz bez wątpienia mądrze, matka zastosowała się do tej rady.

## Mój przyjaciel Klaus

Córce wdowy, która własną ciężką pracą wyprowadziła na ludzi dziewięcioro dzieci, zwracanie się o pomoc do opieki społecznej po prostu nie mieściło się w głowie. Aby przetrwać jakoś do czasu, aż znajdzie nową pracę, matka chętnie godziła się sprzątać w domach dawnych znajomych ze szpitala, którzy chcieli jej pomóc w trudnej sytuacji. Jedną z takich osób był żydowski lekarz, także zwolniony z pracy w czasie nazistowskiej czystki. Pozwolono mu wprawdzie nadal prowadzić prywatną praktykę, ale tylko dla nie-Aryjczyków.

Mieszkał z żoną i siedmioletnim synkiem Klausem w dużym, luksusowym apartamencie przy Grindelallee, głównej arterii przecinającej hamburską dzielnicę wyższej klasy średniej, przeważnie pochodzenia żydowskiego. Chociaż matka była teraz tylko sprzątaczką, państwo ci traktowali ją jak dawną koleżankę i zapraszali razem ze mną po pracy i w weekendy. W rezultacie Klaus i ja zostaliśmy przyjaciółmi.

Pewnego dnia, kiedy razem z matką szliśmy do nich na kolejne sprzątanie, zauważyliśmy grupy SA i SS ustawiające się po obu stronach ulicy. Wielu z tych bojówkarzy niosło transparenty z napisem „*DEUTSCHE, KAUFN NICHT BEI JUDEN*” (Niemcy, nie kupujcie u Żydów). Na ten widok zwierzyłem się matce, że ja też nienawidzę Żydów, bo zdaniem moich nauczycieli, są odrażający. Matka przez dłuższą chwilę przyglądała mi się ze smutkiem, a potem zapytała, czy lubię Klause. Nie rozumiałem, co Klaus ma wspólnego z moją antypatią do Żydów, ale odpowiedziałem, że bardzo go lubię. Wciąż badając mnie tym samym smutnym spojrzeniem, wyznała:

– Klaus jest Żydem, podobnie jak jego rodzice.

Zaniemówiłem. Jak mój drogi przyjaciel Klaus i jego dobrzy rodzice mogli być tymi obrzydliwymi Żydami, których widziałem w kinie? Nagle okazało się, że już nic nie ma sensu.

Widząc moje zmieszanie, matka próbowała mnie uspokoić:

– Żydzi różnią się od nas tylko tym, że chodzą do innego kościoła, który nazywa się „synagoga”. Ale to nie czyni ich gorszymi ludźmi. Naziści, tak samo jak Żydów, nie lubią Afrykanów i w obu przypadkach się mylą.

– Ale co oni złego widzą w Żydach i Afrykanach? – drążyłem temat.

– Po prostu uważają się za lepszych od wszystkich innych. Dla nich wszyscy nie-Aryjczycy, a szczególnie Żydzi, to ludzie niższego rzędu. Niestety naziści są teraz u władzy i nic na to nie poradzimy.

– Czy Führer uważa tak samo?

– Jestem o tym przekonana – przyznała, wyraźnie skrepowana kierunkiem, jaki przybrała ta rozmowa.

Mogłem się zgodzić, że w rządzie rzeczywiście jest kilku złych ludzi, ale Hitler? Człowiek, którego nauczyłem się czcić jako zbawcę Niemiec, miałby być zdolny do choćby najmniejszej podłości? To nie mieściło mi się w głowie.

Zauważywszy moją konsternację, matka ostrzegła mnie, żebym nigdy z nikim nie rozmawiał na ten temat, bo możemy oboje wpaść w poważne tarapaty. Dałem jej więc na to słowo honoru, które przypięczętowałem uroczystym uściskiem dłoni. Niemiecki chłopak, jak wbijano mi do głowy od dzieciństwa, nigdy nie łamie danego słowa, żeby nie wiem co. Matka jeszcze raz obrzuciła mnie długim, poważnym spojrzeniem, wyrażając w ten sposób zaufanie, że zachowam jej sekret dla siebie.

Kiedy przybyliśmy do celu, ojciec Klause otworzył nam drzwi. „Bertho, widziałas na ulicy te wszystkie *Dreckschweine* (zasrane świnie)?” – zapytał, wyraźnie mając na myśli tych z transparentami. Podczas gdy wraz z żoną rozmawiali z matką w salonie ściszymi głosami, poszedłem z Klausem do jego pokoju, gdzie szybko pochłonęła nas ulubiona zabawa w ustawianie żołnierzyków w szyku bojowym. Wieczorem pożegnaliśmy się jak zawsze, obiecując sobie, że spotkamy się za tydzień. Ale po tygodniu matka oznajmiła mi, że ojciec Klause dostał posadę w innym szpitalu i przeprowadził się z całą rodziną do Berlina. Nie powiedziała mi wtedy, aby mnie nie przestraszyć, że rodzice Klause poradzili jej zerwać z nimi kontakty. Jak wszyscy niemieccy Żydzi, byli pod ścisłą obserwacją Gestapo, nie powinna więc pogarszać swojej i tak trudnej sytuacji, podtrzymując znajomość z nimi. Wyznali jej też, że swego czasu zamierzali wyjechać z Niemiec, ale za długo z tym zwlekali i okazja wymknęła się im z rąk.

O Klause i jego rodzicach nie słyszałem więcej aż do osławionej Nocy Kryształowej 9 listopada 1938, kiedy to naziści po raz pierwszy dopuścili się masowego, zakrojonego na skalę krajową ataku na Żydów. Zburzono wtedy praktycznie wszystkie synagogi, w tym dwieście sześćdziesiąt siedem znanych świątyń, ale liczba ta wzrosła do ponad tysiąca, kiedy doliczono małe, nieoficjalne miejsca kultu. Splądrowano ponad siedem tysięcy sklepów, zabito dziewięćdziesięciu jeden Żydów, a około trzydziestu tysięcy aresztowano. Akcja wzięła nazwę od okruszków mieniącego się jak kryształ szkła, którym pokryły się ulice po wybiciu większości szyb wystawowych. Organizując ją, rząd posłużył się pretekstem, jakim było zamordowanie w Paryżu niemieckiego dyplomaty Ernsta vom Ratha przez siedemnastoletniego Żyda nazwiskiem Herschel Grynszpan. Dodatkowo Noc Kryształowa zbiegła się z piętnastą rocznicą nieudanego puczu monachijskiego, podczas którego poniosło śmierć osiemnastu nazistów.

W związku z szeroko relacjonowanymi nocnymi wypadkami wybrałem się po szkole z paroma kolegami na spacer po Hamburger Strasse, głównej ulicy handlowej Barmbeku, żeby na własne oczy obejrzeć szkody, o których tyle się słyszało. Raporty okazały się nieprzesadzone. Chodniki po obu stronach arterii pokrywała przez całe kilometry warstwa tłuczonego szkła. Wszystkie pozbawione szyb sklepy należały do Żydów.

„Szkoda, że was tu wczoraj nie było – chwalił się jakiś chłopak. – Moglibyście «kupować», co dusza zapagnie bez żadnych pieniędzy.” Wiadomo, co miał na myśli, bo wystawy,

dawniej pełne towaru, świeciły teraz pustkami, podobnie jak półki wewnątrz sklepów. Kilku kolegów wyraziło satysfakcję, że Żydzi wreszcie dostali zasłużoną karę za całe zło wyrządzone Niemcom. Chciałem im powiedzieć, że nie wszyscy Żydzi są źli, ale przypomniałem sobie o obietnicy złożonej matce i zmilczałem.

Po powrocie do domu zastałem matkę we łzach. Kiedy zapytałem, co się stało, wyznała, że historia o rzekomym wyjeździe z Hamburga rodziny Klause nie była prawdziwa. Właśnie dowiedziała się, że wszystkich troje znaleziono w ich mieszkaniu martwych, prawdopodobnie po zażyciu śmiertelnej dawki jakiegoś środka z apteczki doktora. Matka przez wiele miesięcy nie mogła się otrząsnąć z żalu, dla mnie jednak śmierć wciąż była zbyt abstrakcyjnym pojęciem, bym mógł zrozumieć jego znaczenie.

## Tante Fatima

Okresowym, ale nieuniknionym kłopotem, przynajmniej dla mnie, były wizyty ciotki Fatimy, najstarszej siostry mojego ojca, która po powrocie ze Szwajcarii robiła dyplom w Helene-Lange-Oberrealschule. Ta niska dwudziestokilkuletnia kobietka w oczach wszystkich (także swoich własnych) uchodziła za geniusza. Mówiła biegle po angielsku, niemiecku, francusku, hiszpańsku i włosku, nie licząc ojczyzstego vai, świetnie znała matematykę, chemię i biologię, a do tego mimo poważnej niesprawności prawej ręki, grała na skrzypcach na poziomie wirtuozerskim.

Wizyty Tante Fatimy działały mi na nerwy bynajmniej nie dlatego, że jej nie lubiłem, tylko po prostu mieliśmy diametralnie różne podejście do życia. Ja zawsze dążyłem do tego, żeby jak najmniej zwracać na siebie uwagę; chciałem za wszelką cenę uniknąć upokorzeń i drwin. Tante Fatima przeciwnie: uwielbiała być ośrodkiem powszechnego zainteresowania, toteż ubierała się i zachowywała tak, aby nikt przypadkiem jej nie przeoczył. Na długo przed moim odkryciem, że czarne jest piękne, nosiła ogromne afro, jakiego mogliby jej pozazdrościć mieszkańcy Fidżi. A na wypadek, gdyby mimo to ktoś jej nie zauważył, nie ruszała się z domu bez swojego wytartego żółtego futerka z lamparciej skóry – najbardziej ekstrawaganckiego okrycia w naszej konserwatywnej dzielnicy.

Gdy tylko zjawiała się u nas, obowiązkowo zabierała mnie do jakiejś pobliskiej *Konditorei* na ciastko z bitą śmietaną. I nieodmiennie witały nas tam zdziwione spojrzenia, chichoty i obraźliwe słowa w rodzaju *Neger*, po których najchętniej zapadłbym się pod ziemię. Wcale nie było nam do śmiechu, kiedy w jednej z cukierni kelnerka złośliwie zaproponowała nam popularne firmowe ciastka z czekoladową polewą o nazwie *Negerküsse* (pocałunki Murzyna) czy *Mohrenkopfe* (głowy Maura).

Dostawałem szału, gdy ludzie brali Fatimę za moją matkę. Nieraz wdawałem się w bójki z kumplami, którzy widząc mnie w jej towarzystwie, upierali się, że to ona jest moją prawdziwą matką, skoro jesteśmy tacy do siebie podobni, a tamta biała kobieta na pewno tylko

mnie adoptowała. Zwłaszcza ten ostatni pomysł mnie złościł, bo w bardzo młodym wieku sam miałem takie podejrzenie, dopóki matka nie przekonała mnie kilkoma przykładami ze świata zwierząt, że białe matki mogą rodzić dzieci o brązowej skórze, jeśli ojciec jest czarny.

Czasem Tante Fatima zabierała mnie do Blankenese, gdzie ostentacyjnie odwiedzała pastora Heydorna, rektora historycznego zboru St. Katharinen. Ten wieloletni przyjaciel dziadka Momolu i wybitny liberał założył jedną z pierwszych opozycyjnych partii w nazi-stowskich Niemczech o nazwie Menschheits (człowieczeństwo). Tak naprawdę Fatima przychodziła zobaczyć się z jego przystojnym najstarszym synem Richardem, z którym nawet w moich niedoświadczonych oczach zdawała się utrzymywać dość bliskie stosunki. Kiedy spacerowali, trzymając się za ręce, po leśnym parku ogromnej posiadłości Heydorna, ja ze znużoną miną włókłem się z tyłu. Większość spraw, które omawiali, kompletnie nie mieściła się w mojej siedmioletniej głowie, ale dyskutowali także na temat swojej wspólnej przyszłości w Liberii, gdzie Richard zamierzał zostać misjonarzem.

Wieczorem, po powrocie do Hamburga, słyszałem, jak Fatima skarżyła się matce na obraźliwe uwagi, które padały z ust oburzonych nazistów, ilekroć pokazywali się razem publicznie. W tamtym czasie uważałem, że Fatima sama je prowokuje swoim przesadnie egzotycznym wyglądem i że wystarczyłoby, aby pozbyła się afro i tego paskudnego lamparciego futerka. Musiało upłynąć kilka lat, zanim spojrzałem na to z szerszej perspektywy i zdałem sobie sprawę z nieposkromionej nienawiści, jaką budził w nazistach taki międzyrasowy romans.

Raz nieświadomie stałem się dla Fatimy przyczyną co najmniej tak wielkiego kłopotu, jak ona dla mnie. Ponieważ zbliżało się Boże Narodzenie, zapytała, co mogłaby mi z tej okazji podarować. Do najbardziej popularnych zabawek w owym czasie należały zestawy kilkucentymetrowych plastikowych figurek żołnierzy SA i SS w brązowych i czarnych mundurach. Miałem już ich cały pluton i spędzałem wiele godzin na odgrywaniu miniparad, ale do pełni szczęścia brakowało mi jeszcze kompletu przywódców – Hitlera, Göringa i Goebbelsa – do nabycia w każdym sklepie z zabawkami. Figurki nie tylko przypominały do złudzenia pierwowzory, ale miały też ruchome ręce, które można było podnosić i opuszczać jak w prawdziwym hitlerowskim salucie.

I rzeczywiście w wigilię Bożego Narodzenia pod choinką czekały na mnie wymarzone trzy figurki. Dopiero wiele tygodni później Tante Fatima opowiedziała nam, co musiała wycierpieć w związku z tym zakupem. Kiedy już wychodziła ze sklepu, sprzedawca ryknął tak, żeby wszyscy słyszeli: „Tylko niech ci nie przyjdzie do głowy wbijać igieł w figurki, tak jak to macie w zwyczaju! Bo jeśli cokolwiek złego stanie się Führerowi, Göringowi czy Goebbel-sowi, to już my cię znajdziemy i pociągniemy do odpowiedzialności!”. Fatima w pierwszym odruchu chciała rzucić paczuszką w sprzedawcę i opuścić sklep. Zreflektowała się dopiero na

myśl o pieniądzach, które już wydała, i moim rozczarowaniu, gdybym nie dostał wymarzonego prezentu.

Pewnego dnia Fatima, która po zdaniu *Abitur* zapisała się na wydział medyczny Uniwersytetu Hamburskiego, otrzymała długi list od Momolu. Zawiadamiał ją, że został oczyszczony z zarzutu defraudacji i uwolniony z więzienia, a vendetta prezydenta Barclaya przeciwko rodzinie Massaquoi straciła nieco na sile, chociaż nadal utrudnia im prowadzenie interesów. Z wyjątkiem Nata, który wciąż siedzi, wszyscy mężczyźni z rodziny wyszli z ukrycia i mieszkają w różnych częściach Liberii. Mój ojciec czasowo przebywał na uchodźstwie w stolicy Nigerii Lagos, gdzie mieszka też jego matka z drugim mężem, ale teraz także przeniósł się do Monrovii.

Momolu usprawiedliwiał się, że na razie nie może służyć Fatimie większą pomocą finansową, natomiast radził, aby wykorzystała swoje talenty lingwistyczne do uzupełnienia skromnego zasiłku, który jej posyła. Bez wchodzenia w szczegóły, wyraził swój głęboki niepokój „rozwojem wydarzeń politycznych” w Niemczech i oznajmił, że czyni starania, by mogła jak najszybciej wyjechać do Stanów, gdzie przy pomocy takich przyjaciół, jak W.E.B. Du Bois, działacz na rzecz praw obywatelskich dla czarnych, będzie miała możliwość kontynuowania studiów. Przez „rozwój wydarzeń politycznych” rozumiał niewątpliwie bezustanny „szczęk szabel” Hitlera i coraz bliższe widmo wojny. Jeśli, co było wysoce prawdopodobne, Momolu czytał *Mein Kampf*, to świetnie zdawał sobie sprawę z niebezpiecznej sytuacji Fatimy na Uniwersytecie Hamburskim. W swojej strategii dla Trzeciej Rzeszy, skreślonej w więzieniu w Landsbergu, gdzie odsiadywał karę za nieudany pucz monachijski, przyszły dyktator nie zostawiał cienia wątpliwości, co sądzi na temat czarnych z uniwersyteckim wykształceniem.

„Od czasu do czasu – pisał w *Mein Kampf* – niemiecki kołtun dowiaduje się z ilustrowanych pisemek, że tu i tam pierwszy Murzyn został adwokatem, nauczycielem, wręcz pastorem, nawet bohaterskim tenorem czy kimś podobnym. Podczas gdy głupawe mieszczaństwo przyjmuje to z osłupieniem do wiadomości, żywiąc pełny respekt dla bajecznego rezultatu dzisiejszej sztuki wychowania, Żyd z wielką przebiegłością umie skonstruować z tego nowy dowód na słuszność swojej teorii o równości ludzi, którą wbija do głowy narodom. Nie dociera do tego zdeprawowanego mieszczańskiego świata, że chodzi tu naprawdę o grzech popełniany na każdym rozsądku, że jest to jakiś zbrodniczy obłęd: półmałpę z urodzenia tresuje się tak długo, aż się uwierzy, że można z niej zrobić adwokata. Tymczasem miliony osób przynależnych do najwyższej kultury rasowej muszą pozostawać w całkowicie niegodnych warunkach. Jest to przewina wobec woli Wiecznego Twórcy, jeśli pozostawia się na zmarnowanie w dzisiejszym proletariackim bagnie setki tysięcy jego najzdolniejszych istot, a w tym samym czasie tresuje się Hotentotów i zuluskich Kafrów, aby podjęli oni prace umysłowe. A przecież chodzi tu o tresurę, taką samą jak dla pudła, a nie o naukowe «wykształcenie».

Gdyby dołożyć takiego samego wysiłku i troskliwości w stosunku do rasy inteligentnej, osiągnęłoby się u poszczególnych osób te same efekty tysiąc razy szybciej.”<sup>10</sup>

Dopiero w roku 1937 Momolu był w stanie wywiązać się z obietnicy wydostania Fatimy z Niemiec i umożliwienia jej studiów na Fisk University w Nashville, w Tennessee.

W czasie jej pożegnalnej wizyty u nas, czułem, że nieprędko się zobaczymy i nagle uświadomiłem sobie, że będzie mi jej brakowało. Była przecież jedynym namacalnym ogniwem łączącym mnie zarówno z dziadkiem Momolu, jak i z ojcem, który odkąd opuścił Niemcy, nie odezwał się do nas ani słowem. Miałem już jedenaście lat i zdążyłem wyrosnąć ze skrupowania ekstrawaganckim wyglądem Fatimy, jej superafro czy wyleniałym lamparcim futerkiem. Z dumą, ale i smutkiem odprowadziłem ją na dworzec, gdzie rozpoczynała swą długą podróż przez Szwajcarię do Stanów.

## **Letnie rozrywki w Salzie**

Długotrwały i ogromnie w Hamburgu popularny, sponsorowany przez rząd program socjalny *Ferienzug* (pociąg wakacyjny) dawał tysiącom miejskich dzieci okazję spędzenia czterech letnich tygodni u krewnych na wsi w różnych częściach Niemiec. Począwszy od szóstego roku życia, wyczekiwałem niecierpliwie na sześciogodzinną podróż do rodziny brata matki – wujka Karla, który z żoną Grete i czteroletnią córeczką Trudchen mieszkał w małej wiosce Salza koło Nordhausen, u podnóża malowniczych gór Harzu.

Kilka tygodni przed podróżą należało dokonać rejestracji, po czym w wyznaczonym dniu matka odprowadzała mnie na dworzec główny i przekazywała opiekunce, zwykle pracownicy socjalnej, która mnie i walizkę oznaczała specjalnym identyfikatorem z nazwiskiem i adresem zarówno moim, jak i wujka Karla. Musiałem mieć go na szyi przez całą podróż. Ponieważ ani my, ani nasi krewni nie mieli telefonu, matka podawała wujkowi listownie dokładną godzinę mojego przyjazdu.

Po kilku godzinach pociąg, który z Hamburga ruszał wyładowany dziećmi, zaczynał się stopniowo opróżniać. Na ostatniej stacji przed Salzą opiekunka uprzedzała mnie, że na następnej wysiadam. Już z daleka widziałem na peronie tęgą sylwetkę Onkela Karla, chudą jak patyk Tante Grete i pulchniutką Trudchen. Opiekunka życzyła mi miłych wakacji i przypominała wujkowi, że zgłosi się po mnie za cztery tygodnie.

W porównaniu ze zgiełkiem Hamburga, życie w małej Salzie płynęło idyllicznie, spokojnie i monotennie. Automobile były tu rzadkością, natomiast do powszednich widoków na jedynej brukowanej ulicy należały krowy i owce. Mieszkańców sąsiedniej wioski w Salzie uważano niemal za cudzoziemców, a co dopiero przybysza o egzotycznym wyglądzie z tak odległego miasta jak Hamburg. To wywołało wielką sensację.

Przed moją pierwszą wizytą Tante Grete uprzedziła wszystkich w wiosce, że jej siostrzeniec z Hamburga jest synem i wnukiem wielkiej afrykańskiej szychy, przez co stałem się

jeszcze większą atrakcją. Mimo ogromnych różnic środowiskowych, a może właśnie z ich powodu, natychmiast dogadałem się z miejscowymi chłopakami, którzy nigdy nie mieli dość moich tylko trochę przesadzonych opowieści o życiu w wielkim mieście. Z rozdziawionymi gębami słuchali o dziesięciopiętrowych domach, tak wysokich, że na szczyt wjeżdżało się windą, o promach, które wozły ludzi po całym mieście rozległą siecią kanałów, o statkach większych niż domy, o lunaparku wiele razy większym od Salzy, z karuzelami, występami magików, stoiskami z kiełbaskami, pokazami najwyższego mężczyzny i najgrubszej kobiety na świecie, a także „kobiety-mały”, o ciele pokrytym długimi włosami, przypuszczalnie pojmanej w dżungli na Borneo.

Jeśli echa dużego miasta sprawiły, że czułem się bardziej wyrafinowany w porównaniu z prostymi chłopakami z Salzy i ich wiejskim sposobem bycia, nic bardziej nie uświadamiało mi przepaści między moim a ich światem niż dziwny budynek na tylnym podwórku dwupiętrowego domu moich krewnych. Dopiero po kilku dniach, bliski wewnętrznej eksplozji, przewyciężyłem wstręt do wykorzystania wychodka zgodnie z przeznaczeniem. Po prostu nie sposób było osłonić nozdrza przed straszliwym smrodem buchającym z okrągłej dziury w desce do siadania. Niżej znajdował się prawie pełny metalowy pojemnik, w którym roiło się od much, a wokół niego dziobały w najlepsze kury w swym niepokohamowanym ohydny pościgu za żarciem. Obiekt był odpowiednio wyposażony, a jakże – na gwoździu w ścianie wisiały starannie przycięte w kwadrat kawałki gazet. To właśnie w takich momentach – wdychając ów potworny odór i czując z tyłu dotyk sztywnej, podobnej do papieru ściernego gazety – najbardziej brakowało mi Hamburga. Ale z drugiej strony, bawiłem się w Salzie o wiele za dobrze, by tęsknić za domem.

Onkel Karl, Tante Grete i Trudchen traktowali mnie jak syna i brata. Wuj, jako mistrz krawiecki, lubił mieć mnie przy sobie, kiedy siedząc na roboczym stole, modelował męskie garnitury z pasów tkaniny. W Salzie, jak wszędzie w Niemczech, ludziom brakowało pieniędzy, więc Onkel Karl umawiał się z niektórymi klientami, jak miejscowi farmerzy czy handlarze, na wymianę usług. Trzy razy w tygodniu składał mu wizytę fryzjer, który profesjonalnie go golił i w razie potrzeby, strzygł, za co raz na rok otrzymywał wysokiej jakości garnitur.

Jedyną skazą na tych idyllicznych wakacjach było przekonanie Tante Grete, że powinienem przytyć. Wyraźnie utożsamiając pulchność męża i córeczki ze zdrowiem, za wszelką cenę próbowała dodać mi parę kilogramów. Nie zważając na moje tłumaczenia, że żołądek nie pomieści mi takich gór jedzenia, upierała się, że wszystko ma zniknąć z talerza. W rezultacie po każdej kolacji miałem dodatkową odsiadkę przy kuchennym stole, gdzie musiałem się napychać aż do ostatniego kęsa ogromniastymi kanapkami.

W każdą niedzielę, głównie ze względu na mnie, wyruszaliśmy całą rodziną – pieszo albo pociągiem – w najbardziej malownicze miejsca gór Harzu, w tym do różnych fortec i zamków. Z każdej takiej wyprawy wracałem poruszony do głębi historią Niemiec i starymi legen-



dami, z których moja żywa wyobraźnia tkła całe zaczarowane królestwo, budząc tęsknotę za dawno minionymi czasami rycerzy i magicznych wyczynów.

Pod koniec czwartego tygodnia w Salzie odczuwałem już przesyt wiejskim życiem i cieszyłem się na rychły powrót do miasta. W dniu wyjazdu Tante Grete pilnowała, żebyśmy wszyscy stawili się na peronie z odpowiednim wyprzedzeniem, żebym miał związane sznurówki i stosowne przywieszki na szyi i na walizce. Zgodnie z obietnicą pociąg, a w nim moja opiekunka, nadjechał punktualnie. Po ciągnących się w nieskończoność pożegnaniach, uściskach i pocałunkach Tante Grete (miałem nadzieję, że dzieciaki z pociągu tego nie widziały) wsiadłem do wagonu, by natychmiast stać się częścią żywiołowej hałastry, która przekrzykiwała się nawzajem, kłócąc się, kto miał najwięcej przygód i najwięcej zobaczył. Nie wątpiłem, że moich przeżyć, miejsc, które odwiedziłem, i widoków, które oglądałem, nie mógłby przebić nikt z tej bandy.

Było już ciemno, kiedy pociąg wtaczał się na przepastny, jasno oświetlony hamburski *Hauptbahnhof*. Wypatrzywszy twarz matki w morzu oczekujących rodziców, czułem nieopisaną radość i szczęście. I chociaż odkąd poszedłem do szkoły, bardzo starałem się nie okazywać publicznie żadnych emocji, tym razem zrobiłem wyjątek i pozwalałem matce do woli ścisnąć mnie i całować. W tym momencie odkrywałem starą prawdę: nieobecność rozpala w sercach czułość.

## Nadciągą Wriede

Oglądając się wstecz, potrafię przypomnieć sobie kilka osób, które mi dokuczyły w czasach dzieciństwa, ale żadna z nich nie wykazała się taką bezwzględnością, jak okrutny i konsekwentnie pełen złej woli Herr Heinrich Wriede, nasz nowy dyrektor. W odróżnieniu od swojego poprzednika, który w pierwszym roku mojej nauki tak bardzo trzymał się w cieniu, że nie pamiętam ani jego nazwiska, ani twarzy, Wriede nie należał do ludzi, którzy pozwalają o sobie zapomnieć. Ten ryży olbrzym po czterdziestce był kuzynem pisarza Gorcha Focka i sam też uchodził – przynajmniej we własnym mniemaniu – za poetę. Poza tym fanatycznie wielbił Hitlera, dając temu wyraz identycznie przyciętym wąsikiem.

Herr Wriede wkroczył do mojego życia mniej więcej w połowie drugiej klasy, kiedy to objął stanowisko dyrektora szkoły. Na początek postanowił się nam zaprezentować. W tym celu kazał wszystkim uczniom i nauczycielom zebrać się na dziedzińcu, gdzie odziany w olśniewający mundur *Amtswaltera*, nazistowskiego funkcjonariusza średniego szczebla, wysokie buty i bryczesy, przechadzał się krokiem generała lustrującego swoje oddziały. Dobitnie zapowiedział, że w naszej *Kätnerkampschule* powiał nowy wiatr i od tej pory wszystko będzie się tu odbywać tak, jak on, Wriede, sobie życzy, jeśli wiemy, co ma na myśli. Oczywiście nie mieliśmy o tym pojęcia, ale z samego tonu wywnioskowaliśmy, że nie ma powodu do zachwyty.

Nagle, kiedy tak przed nami paradował, wypatrzył w szeregach uczniów moją skromną osobę i, niczym wąż hipnotyzujący ofiarę, utkwił we mnie pełne nienawiści spojrzenie. „Zamierzam wpoić uczniom tej szkoły dumę z faktu, że są młodymi Niemcami w narodowosocjalistycznej Rzeszy – wyrecytował, nie spuszczać ze mnie wzroku.”

Pod tym świdrującym spojrzeniem robiło mi się coraz bardziej nieswojo, ale kiedy już miałem spuścić wzrok, Wriede przeszedł dalej i spokojnie kontynuował swoją mowę. Wracając do klasy, nie mogłem pozbyć się niepokojącego wrażenia, że właśnie spotkałem swojego osobistego wroga, kogoś, kto naprawdę źle mi życzy. Nie musiałem długo czekać, by moje przecucie się potwierdziło.

Po raz pierwszy Wriede dał namacalne świadectwo swojej antypatii, kiedy przyszedł na zastępstwo za naszego chorego nauczyciela gimnastyki. Zarządził *Mutprobe* – test odwagi, aby oddzielić tchórzy od „chłopaków z ikrą”. Nie miałem z tym problemu; nawet ucieszyłem się z okazji do wykazania się sprawnością, bo zawsze wierzyłem – i nie raz się to potwierdziło – że mam tyle samo „ikry”, co przeciętny chłopak z mojej klasy.

Wprowadziwszy nas do sali gimnastycznej, Wriede kazał nam zbudować tor przeszkód z ustawionych w kręgu różnych przyrządów: poręczy, kozłów, równoważni, zostawiając między nimi tyle wolnego miejsca, żeby przeskoczenie z jednego przyrządu na drugi wymagało pewnego wysiłku. Jedną lukę kazał zostawić szerszą od innych, aby można było ją pokonać tylko metodą „na Tarzana”. Polegało to na tym, żeby w trakcie skoku pochwycić grubą linę zwisającą z sufitu i rozbujać się na niej tak, by dosięgnąć nogami następnego przyrządu. W celu zwiększenia trudności Wriede polecił jednemu z chłopców utrzymywać linę w ciągłym ruchu za pomocą długiego pręta.

Przyjrzałem się torowi i, nie przewidując poważniejszych trudności, ufnie czekałem na swoją kolej. Kiedy nadeszła, większość kolegów ukończyła już ćwiczenie, kilku jednak odpadło i tych Wriede odesłał na „ławkę tchórzy”. Ja sporą część toru pokonałem z łatwością i właśnie przymierzałem się do przeszkody z liną, gdy nagle chłopca z prętem zastąpił sam Wriede. Zamiast poruszać liną tam i z powrotem, przytrzymał ją w takiej odległości, że znalazła się całkiem poza moim zasięgiem. Czekałem, aż ją puści, ale on wrzasnął: „*Feigling! Kein Mut!* (Tchórz! Zero odwagi!) Z drogi!”

W pierwszej chwili nie mogłem uwierzyć w taką niesprawiedliwość, więc odczekałem jeszcze kilka sekund w nadziei, że jednak puści tę linę. Ale Wriedego tylko to rozjuszyło. „Z drogi! Daj innym wykazać się odwagą! Jazda na «ławkę tchórzy»!”

Z ociąganiem dołączyłem do grupki nieudaczników, czując się jak zbity pies. W gruncie rzeczy bicie nie bolałoby mnie tak bardzo, jak ta niesłusznie przyczepiona łatka tchórza.

Aż do tego momentu zabiegałem o przychylność Wriedego, mimo że ten wyraźnie mnie odrzucał. Czułem nawet ukłucia zazdrości, widząc, jaki jest dobry i troskliwy dla innych chłopców z mojej klasy, zwłaszcza tych o jasnych włosach i niebieskich oczach, czyli ce-

chach stanowiących dla nazistów ideał rasy. Ale nagle ta perwersyjna wręcz chęć przypodobania się dyrektorowi zamieniła się w czystą, acz bezsilną nienawiść.

Nie opowiedziałem matce o incydencie na gimnastyce, obawiając się, że zechce interweniować i tylko pogorszy sytuację. Zamiast tego postanowiłem nie pozwolić, aby bez względu na to, co Wriede powie lub zrobi, jeszcze raz wyprowadził mnie z równowagi. Ale jak się wkrótce przekonałem, nie było to takie proste.

Pewnego dnia, kilka miesięcy przed swoim „przeniesieniem”, Fräulein Beyle zapowiedziała przygotowania do dorocznej tradycyjnej wieczornicy dla rodziców, podczas której uczniowie wszystkich klas popisują się zabawnymi skeczami, wystawiają krótkie utwory sceniczne, deklamują wiersze i wykonują utwory muzyczne. Po wybraniu prostej sztuki, napisanej w dialekcie Hamburger Platt, o chłopcu, który niecierpliwie czeka na pierwszy śnieg, Fräulein Beyle urządziła przesłuchanie do trzech ról. Główna przypadła mnie, przy czym okazało się, że muszę nauczyć się jej na pamięć w ciągu dwóch tygodni. Nie mogłem się doczekać, kiedy powiem o tym Mutti. Ta, poczuwszy się dumną matką przyszłego gwiazdora, natychmiast zawiadomiła o moim debiucie Tante Möller i wszystkie najbliższe przyjaciółki. Ponad dziesięć z nich oświadczyło, że z największą przyjemnością przyjdą na spektakl, prosząc, abym zawczasu załatwił im bilety, których koszt wynosił 30 fenigów.

Fräulein Beyle, nie chcąc ryzykować, do każdej roli wyznaczyła dublera i wszystkich nas dotąd męczyła próbami, aż opanowaliśmy co do słowa cały tekst i mogliśmy recytować go w tę i z powrotem. W wigilię wielkiego dnia, kiedy byliśmy w trakcie próby, do klasy wszedł Herr Wriede. Dał ręką znak Fräulein Beyle, że ma sobie nie przeszkadzać, i usadowił się dokładnie naprzeciwko mnie. Aż do tego momentu nie wiedziałem, co to trema, ale ledwie spojrziałem w zimne, nieprzyjazne oczy Wriedego, ogarnęło mnie dziwne uczucie paniki. Szybko jednak się opanowałem, mówiąc sobie w duchu, że nie mam czego się bać, bo przecież świetnie znam rolę, i dokończyłem próbę bez żadnej wpadki.

Przed wyjściem z klasy Wriede poprosił Fräulein Beyle na korytarz. Po powrocie wyglądała na zdenerwowaną, ale nic nie powiedziała. Ja jednak nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że jej dziwna mina ma coś wspólnego z wizytą Wriedego i ze mną osobiście. Nie mógłbym mniej się mylić. Po skończonej lekcji Fräulein Beyle kazała mi zostać.

– Nie wiem, jak mam ci to przekazać – zaczęła przeproszającym tonem po dłuższym namyśle – ale Herr Wriede chce, żebym główną rolę powierzyła Gerdowi (mojemu jasnowłosemu i niebieskookiemu dublerowi). Uważa, że on się lepiej nadaje.

– Skąd wie, że Gerd będzie lepszy, skoro go nawet nie widział w tej roli? – spytałem nieśmiało, w nadziei, że zamiast tego mętnego zarzutu usłyszę jakiś racjonalny argument.

– Ja się z tą opinią nie zgadzam, inaczej od razu dałabym rolę Gerdowi, ale nic nie poradzę. Herr Wriede jest dyrektorem i muszę słuchać jego poleceń.

Kiedy powiedziałem Mutti, co się stało, zawrzała gniewem, ale zarazem ostrzegła mnie, żebym nie pozwolił, aby okrucieństwo Wriedego mnie dotknęło, a nade wszystko abym z jego powodu nie przestał lubić szkoły. „Szkoła to cudowne miejsce, a większość nauczycieli jest uczciwa, jak na przykład Fräulein Beyle. Prędzej czy później Wriedego spotka zasłużona kara, masz na to moje słowo.”

Potem skontaktowała się z Tante Möller i innymi przyjaciółkami, które wybierały się na przedstawienie, i zaproponowała im zwrot kosztu biletów. One jednak nie chciały o tym słyszeć, zwłaszcza kiedy dowiedziały się o prawdziwej przyczynie odwołania mojego występu. Tante Möller, która nigdy nie owijała w bawełnę, wyraziła się szczególnie obrazowo: skoro jej małemu Hansowi-Jürgenowi odebrano rolę, to niech sobie „wsadzą te 30 fenigów w swoje nazistowskie dupy”.

Następnym razem Wriede przyczepił się do mojego stroju. Zatrzymał mnie na korytarzu i w obecności kilku kolegów dźgnął palcem w pierś. „Masz więcej nie przychodzić do szkoły w tej koszuli” – warknął bez dalszych wyjaśnień. Koszula w kolorze khaki, podarunek urodzinowy od Tante Möller, przypominała te noszone przez członków Hitlerjugend. Prawdopodobnie dyrektorowi było nie w smak, że mam na sobie część nazistowskiego munduru.

Kiedy nazajutrz matka zjawiała się u dyrektora, żeby zapytać, o co mu chodziło, ten natychmiast na nią naskoczył: „Mundur Hitlerjugend symbolizuje nasze dumne młode pokolenie Aryjczyków – wrzeszczał. – Pozwalając synowi go nosić, szydzi pani ze wszystkiego, co ten mundur oznacza. Dlatego radzę dopilnować, aby chłopak nigdy więcej nie pokazywał się w szkole w tej koszuli”.

Po tej tyradzie matka sięgnęła do torby, wyjęła świeżo upraną sporną sztukę garderoby i spokojnie położyła ją na biurku. Szybko stało się jasne, że koszula nie stanowiła części regulaminowego munduru, tylko była zwykłą koszulą w kolorze khaki. Wriede jednak ani myślał przeproszać. Starał się pokryć zmieszanie, upierając się, że sama możliwość wystąpienia takiej pomyłki wystarczy, żebym nie nosił więcej tej koszuli.

I w tym momencie matka nie wytrzymała. „Powiedziałam mu – relacjonowała mi później – że dopóki nie wyjdzie wyraźny zakaz noszenia koszul khaki przez nieuprawnione osoby, będziesz w swojej chodził do szkoły, czy mu się to podoba, czy nie.”

Znając Mutti, nie miałem wątpliwości, że to właśnie mu powiedziała, jeśli nie o wiele więcej. Sprawę koszuli jednak zostawiła do mojej decyzji, ja zaś – wiedząc, że nic bardziej Wriedego nie wkurzy – postanowiłem nosić ją jak najczęściej. Niestety po paru miesiącach kolor spłowiał od ciągłego prania, a materiał całkiem się wytarł, więc Mutti uznała, że czas się jej pozbyć.

## **Cesarz Henryk w Canossie**

Jako zagorzały arcy nazista, Wriede był cały czas gotów tępić wszystko, co kolidowało z jego głębokim przekonaniem o niemieckiej wyższości. Jedną z takich okazji nadarzyła się, kiedy zastępował nauczyciela historii. Zgłębialiśmy właśnie kłopoty cesarza Henryka IV, którego – zgodnie z naszym podręcznikiem – papież Grzegorz VII obłożył ekskomuniką wskutek jakiegoś sporu jurysdykcyjnego. Wiązało się to z wypowiedzeniem władcy posłuszeństwa przez wasalów. Aby odzyskać ich lojalność i pełnię cesarskiej władzy, Henryk miał ukorzyć się przed papieżem i błagać go o zdjęcie klątwy. Uczynił to, podróżując jako prosty pielgrzym do ówczesnej rezydencji papieskiej na zamku Canossa w północnych Włoszech.

Przed przybyciem Wriedego dyżurny – zgodnie z poleceniem naszego stałego nauczyciela – zawiesił wielką ilustrację przedstawiającą cesarza Henryka, który w cienkiej pokutnej szacie stoi boso przed zamkiem w głębokim śniegu. Z wieży patrzył na niego papież, w całym blasku swego majestatu. Artystyczna interpretacja owego faktu historycznego miała służyć jako typowa wizualna pomoc na użytek niemieckich szkół publicznych, ale cenzorzy nazi-stowskiego ministerstwa edukacji najwyraźniej przegapili jej sens.

Wriede na widok ilustracji dostał szału. Przedarł ją na pół i rzucił na podłogę, wrzeszcząc: „*Lügen, Lügen, nichts als Lügen!*” (Kłamstwa, kłamstwa, nic, tylko kłamstwa.).

Przez resztę lekcji argumentował, że cały epizod został „sfabrykowany przez bandę kłamliwych mnichów”. Żaden niemiecki cesarz nie poniżyłby się tak przed włoskim papieżem. Jeśli dziś czytamy takie bzdury w podręcznikach, to tylko dlatego, że w tamtych czasach mało kto, poza katolickimi mnichami, umiał czytać i pisać, zatem to im przypadł obowiązek dokumentowania tak zwanej historii. Mnisi jednak nie opisywali wydarzeń w sposób odpowiadający prawdzie, tylko zgodnie z własnymi wyobrażeniami.

Mimo mojej osobistej antypatii do Wriedego, jego sprzeciw wobec wszystkiego, co przeczyło germańskiej supremacji, uznałem wówczas za bardzo sensowny. Świadomość, że „nasz” cesarz nie zachował się jednak jak mięczak, mile łechtała moje budzące się poczucie patriotyzmu.

Ustawiczne dążenia Wriedego do zniechęcenia mnie i wykończenia atakami słownymi odnosiły wręcz odwrotny skutek. Im bardziej mi dokuczał, tym stawałem się hardszy, aż wreszcie poczułem, że potrafię znieść wszystko, czym zechce mi dokopać. Na szczęście wśród nauczycieli, z którymi stykałem się w czasie ośmiu lat nauki w hamburskiej szkole publicznej, tacy jak Wriede należeli do wyjątków. Większość, a byli to prawdziwi profesjonalści, traktowała mnie tak samo, jak innych chłopców, a kilkoro – jak Fräulein Beyle – schodziło nawet z utartego szlaku i starało się ułatwić mi życie, wczuwając się w moją szczególną sytuację.

Wśród tych ostatnich był także Herr Schneider, mężczyzna z kozią bródką o wyprostowanej, żołnierskiej sylwetce. Uczył nas zoologii, botaniki, a także w wymijający sposób tego o „ptaszkach i pszczołkach”. Ten bohater I wojny, który odznaczył się jako porucznik pie-

choty na froncie zachodnim, wydawał się najłagodniejszą duszą na świecie, kiedy wprowadzał nas w świat flory i fauny. Zyskał moją dozgonną miłość, gdy tłumacząc nam, jak wyglądają mieszkańcy Indii, powiedział: „Mają taką samą piękną brązową karnację jak wasz kolega Hans-Jürgen”. Odtąd – przynajmniej dla mnie – mógł robić, co chciał, nawet trzymać nas godzinami po szkole, abyśmy obserwowali, jak para ptaszków karmi swoje pisklaki.

## Herr Gosau

Innym nauczycielem, który nie krył się z sympatią do mnie, był Herr Gosau, nasz chórmistrz, przystojny gnom o łagodnych manierach, z nienagannie ostrzyżonymi siwymi włosami i krótkim wąsikiem. Jako jedyne ustępstwo wobec nazistowskiego reżimu uznawał obowiązkowy salut *Heil Hitler* na początku i na końcu lekcji. Nie pytając Wriedego o zgodę, zakwalifikował mnie do chóru, gdyż z uporem twierdził, że mam nie tylko dobry głos, ale i ponadprzeciętne zdolności muzyczne. Oprócz muzyki Herr Gosau prowadził lekcje „religii”, które w gruncie rzeczy dotyczyły historii biblijnej.

Nigdy nie poruszał tematu rasy, ale instynktownie wyczuwałem, że trzyma moją stronę. Stało się to szczególnie widoczne po incydencie, który wydarzył się podczas weekendowej szkolnej wyprawy do rozległego Jugendparku na przedmieściu Langenhorn. Uczniowie mieli tam zabawiać rodziców występami pod gołym niebem. Po wykonaniu z chórem kilku pieśni, zająłem miejsce obok matki na widowni. Na zakończenie popisu Wriede zapowiedział „żartobliwą piosenkę z towarzyszeniem tańca” w wykonaniu najstarszej klasy, w układzie choreograficznym samego dyrektora.

Na początku szereg chórzystów z ósmej klasy maszerował w stronę widowni, nucąc murmurando jakąś melodię. Nagle linia rozstała się w środku i wyskoczył niski chłopak, cały wysmarowany czarną farbą, w spódniczce z trawy i kąpielówkach. Przy wtórze tam-tamów – *ersatz* Afryki – rozpoczął pokaz dzikich skoków i wirowania, podczas gdy chór buczał bełkotliwie, udając niby to afrykańskie dźwięki.

Ledwie zaczął się ów *Negertanz*, wiele oczu licznej widowni zwróciło się na mnie i moją matkę. W pierwszej chwili Mutti chciała wyjść, ale zaraz się rozmyśliła, być może uważając, że w ten sposób zwróciłaby na nas jeszcze większą uwagę. Przesiedzieliśmy więc cały występ, który zdawał się ciągnąć w nieskończoność. Kiedy wreszcie dobiegł końca, Herr Wriedego nagrodzono owacją na stojąco.

Wciąż zdruzgotani poniżającym spektaklem, pogrążeni każde w swoich myślach, wracaliśmy do domu kolejką miejską, gdy nagle podszedł do nas Herr Gosau. Przedstawił się matce jako nauczyciel muzyki i bez słowa komentarza na temat rasistowskiego popisu dodał:

– Pani syn jest bardzo uzdolniony muzycznie.

Takich właśnie słów potrzebowała.

– Cieszę się, że pan, ekspert w tej dziedzinie, to mówi, bo zawsze czułam, że Hans-Jürgen ma talent.

W trakcie dalszej rozmowy Herr Gosau zaproponował, że może mi w wolnym czasie dawać za darmo lekcje gry na skrzypcach, jeśli tylko matka kupi mi instrument. Nie pytając mnie o zdanie, obiecała, że będę miał skrzypce i nie później niż za dwa miesiące stawię się na pierwszą lekcję.

Zupełnie nie przypadło mi to do gustu. W opinii moich rówieśników skrzypce były dla maminsynków. Na samą myśl, że miałbym się pokazać na ulicy z futerałem, nazywanym przez nas pogardliwie „trumienką”, czułem ciarki na plecach. Ale nie miałem nic do gadania, matka uparła się, że będę brał te lekcje, i basta.

Najtrudniejszą częścią przedsięwzięcia było zdobycie pieniędzy na zakup kosztownego instrumentu. Chociaż Mutti już wcześniej znalazła stałą pracę w pobliskiej fabryce wyrobów gumowych (New-York Hamburger Gummi-Waaren Fabrik), ledwie wiązała koniec z końcem. W systemie akordowym płacono jej od sztuki, mogła więc najwyżej przyspieszyć tempo, pracując na granicy wytrzymałości. I tak się stało: zmuszając się do pracy nad siłą, oszczędzając i zaciskając pasa, dopięła wreszcie swego i wręczyła mi z dumą skrzypce – całkiem przyzwoite, muszę przyznać – razem ze smyczkiem i „trumienką”. Kupiła je na raty w pobliskim sklepie z używanymi rzeczami. Ponieważ nie chciałem ranić jej serca ani odrzucać wspaniałomyślnej propozycji Herr Gosaua, nie pozostało mi nic innego, jak zrobić dobrą minę do złej gry i zdać się na łaskę losu. Raz w tygodniu, po szkole, przez prawie rok uczestniczyłem wraz z innymi trzema „szczęściarzami” w intensywnych lekcjach. Ale chociaż naprawdę kochałem muzykę, nie cierpiałem straszliwych dźwięków, jakie wychodziły spod mojej ręki. Ostatecznie, po wyjątkowo skręcającej kiszki sesji, podczas której daremnie usiłowałem dostosować uparte palce do instrumentu zgodnie ze wskazówkami nauczyciela, Herr Gosau wziął mnie na bok i bez cienia zdenerwowania oświadczył, że się poddaje. „Masz naprawdę niezwykły talent – zapewnił mnie – i powinienes go koniecznie rozwijać w ten czy inny sposób, ale skrzypce raczej nie są dla ciebie odpowiednim instrumentem.”

Amen. Nie mógłbym bardziej się z nim zgodzić. Niemniej czułem się podle, rozczarowując starszego pana, a zwłaszcza matkę, która musiała porzucić swoje sekretne marzenie o synu, który kiedyś zostanie wirtuozem skrzypiec. Wieczorem powiedziałem jej, że przerywam lekcje. Wyraźnie posmutniała, ale pogodziła się z tym, co nieuniknione, bez żadnych wymówek. Powiedziała tylko: „Pamiętaj, żeby podziękować Herr Gosauowi za jego dobroć”.

## **Herr Harden**

Do niechlubnych wyjątków należał także Herr Harden, mój pierwszy nauczyciel angielskiego, prawdziwy tyran, który był klasą sam dla siebie. Jako najbardziej pozytywną z jego cech zapamiętałem to, że innych chłopców nienawidził tak samo jak mnie. Był to otyły męż-

czyzna o byczym karku, zdumiewająco podobny do karykatury Johna Bulla, z wyjątkiem oczu za grubymi szklami, które zdawały się składać z kilku koncentrycznych pierścieni. Należał do fanatycznych zwolenników zasady „kto oszczędza różgę, psuje dziecko” i – mając za sobą system, który tolerował, a nawet popierał kary fizyczne – całą swoją pedagogikę opierał na biciu. W rezultacie uczniowie go nie cierpieli i każdy starał się zejść mu z drogi. Herr Harden był też pierwszym, któremu udało się dobrać i do mojej skóry.

Właściwie nie mogę winić nikogo prócz siebie za to spotkanie ze straszliwą bronią Herr Hardena. Lekcje angielskiego, francuskiego czy hiszpańskiego były całkowicie dobrowolne i stanowiły swego rodzaju przywilej zarezerwowany dla uczniów z najlepszymi ocenami z języka niemieckiego. Gdybym nie zapisał się na angielski, nasze drogi nigdy by się nie skrzyżowały i oszczędziłbym sobie wielu cierpień. Ale tym, co się zapisali, nie wolno było się już wycofywać.

Nie minęło wiele czasu, a zorientowałem się, że popełniłem katastrofalny błąd. Z każdym wybuchem złości Herr Hardena mój entuzjazm do nauki angielskiego słabł, aż wreszcie pożałowałem, że ten język w ogóle istnieje. Ilekroć przy głośnym czytaniu źle wymówiliśmy jakieś słowo, Herr Harden natychmiast wpadał w szal i korygował nas, drąc się tak, jakby miał przed sobą klasę głuchych. Wyciągając w naszą stronę kciuk, ryczał raz po raz: „*This is the thumb! This is the thumb! A nie: Zis is ze sumb!*”.

Jeśli ktoś z jakiegokolwiek powodu nie odrobił lekcji i dał się na tym przyłapać, Herr Harden bez żadnych wyjątków wzywał nieszczęśnika na środek klasy, zmuszał do dotknięcia palcami podłogi i wymierzał trzy uderzenia swoją metrową szpicrutą. Słyszając świst bata zmieszany z krzykami ofiary, poprzysiągłem sobie nigdy nie dać Hardenowi powodu do wypróbowania na mnie tej broni. Ale los zdecydował inaczej.

Żeby uczyć się na angielski musieliśmy – ku swemu żalowi – dwa razy w tygodniu wstać o godzinę wcześniej, gdyż wszystkie lekcje języków odbywały się przed regularnymi zajęciami, aby nie zakłócać ich toku. W zimie przychodziliśmy do szkoły po ciemku i czekaliśmy na dworze, aż Herr Harden wpuści nas do budynku. Zwykle nadjeżdżał na rowerze kilka minut przed siódmą, czyli godziną rozpoczęcia zajęć, po dość długiej drodze z przedmieścia.

Od dawna karmiliśmy się cichą, acz gorącą nadzieją, że pewnego ranka Herr Harden wpadnie pod ciężarówkę albo chociaż zaśpi. Zgodnie ze szkolnym regulaminem, jeśli nauczyciel nie pokaże się przez dwadzieścia minut od początku lekcji, zajęcia automatycznie zostają odwołane. Kilka razy już myśleliśmy, że się uda, bo na wieży kościelnej wybiła siódma, a Harden nie nadjeżdżał, ale zawsze w ostatniej chwili zza zakrętu wyłaniała się jego potężna sylwetka, pochylona nad kierownicą roweru.

Pewnego fatalnego ranka dopięliśmy jednak swego. Było już piętnaście po siódmej, a Hardena ani widu, ani słyhu. Ponieważ żaden z nas nie miał zegarka, a po ciemku nie widzieli-



śmy dobrze tego na wieży, mogliśmy polegać tylko na własnym wyczuciu, że upłynęło brakujące pięć minut. W końcu jednogłośnie orzekliśmy, że czas minął, i rozpierzchliśmy się jak szczury z tonącego okrętu.

Nasza radość miała krótki żywot. Dwa dni później, kiedy spotkaliśmy się z Hardenem w klasie (tym razem zjawił się punktualnie co do minuty), dostał ataku takiej furii, że zaczęliśmy się bać o jego zdrowie i nasze życie. Z nabrzmiętymi na czole żyłami wrzeszczał, że jego cierpliwość do nas wreszcie się wyczerpała, a jeśli uważamy, iż uda się nam wystrychnąć go na dudka, to się grubo mylimy. Upierając się, że rozeszliśmy się tamtego dnia znacznie przed siódmą dwadzieścia, kazał całej dwudziestce, rząd po rzędzie, wystąpić naprzód i odebrać zasłużoną „nagrodę”.

Z pewnością nawet niezbyt rozzagnięci koledzy natychmiast zrozumieli, co Harden ma na myśli. Z rosnącym przerażeniem patrzyłem, jak macha swoim batem – trzy razy na ucznia – aż klasę wypełniło wycie chłopców, trzymających się za obolałe siedzenia. Niczym skazaniec przed masową egzekucją obserwowałem moich kolegów, padających jeden po drugim pod okrutną ręką oprawcy. Wreszcie przyszła i moja kolej zapłacić za udział w „spisku”. Nim się zorientowałem, było po wszystkim. Z początku poczułem tylko trzy ostre ukłucia, które jak sądziłem, dam radę wytrzymać. Ale po kilku sekundach ból stopniowo narastał, aż cały tył ciała zdawał się płonąć żywym ogniem. Natychmiast zrozumiałem, skąd te krzyki i wycie wokół mnie, sam jednak postanowiłem nie płakać i dopiąłem swego.

Niestety nie było to moje ostatnie zetknięcie z karą fizyczną. Wypadki, które doprowadziły do drugiej konfrontacji z tym barbarzyńskim aspektem niemieckiej edukacji, wydarzyły się wskutek starego hamburskiego zwyczaju ulicznego o nazwie *Kloppe* (burda). Bójki między chłopakami z sąsiednich dzielnic wybuchają wtedy niczym natychmiastowy zapłon. Żadna z walczących stron nie wie (ani nie chce wiedzieć), o co się bije ani kto zaczął, chodzi tylko o radość ze skopania tyłka. Zaczyna się to zwykle od tego, że ktoś ni z gruszki, ni z pietruszki woła: „*Kloppe!*”, po czym wszyscy rzucają się do broni. W ruch idą drewniane trzonki, miotły, pałki – słowem wszystko, co się nadaje do posiniaczenia czy skaleczenia przeciwnika. My, młodszy, odbieraliśmy bojowe rozkazy od starszych chłopaków i zwykle zajmowaliśmy pozycje na czatach, donosząc o zbliżaniu się nieprzyjaciela albo co nie daj Boże *Schako*, czyli w hamburskim slangu policjanta.

Przy tej szczególnej okazji dwóm moim kolegom z klasy i mnie powierzono wyjątkowo niebezpieczną misję. Każdy z nas dostał po butelce wody i mieliśmy czaić się w zasadzce, aż „żołnierze” wroga zbliżą się na odległość rzutu, a potem cisnąć butelkami o bruk tuż przed ich nosem. Pełni zapału do wykazania się odwagą, spełniliśmy rozkaz z zadziwiającym sukcesem. Gdy butelki eksplodowały na chodniku, naszych przeciwników zasypał grad szklanych odłamków, co zmusiło ich do pospiesznej ucieczki.

Rano w szkole, wciąż pławiąc się w chwale nowo zdobytego statusu bohatera, zostałem bezceremonialnie wezwany do klasy Herr Siegla, gdzie ku memu obrzydzeniu, trwało właśnie coś w rodzaju sądu wojskowego. Kilku świadków, w tym nasi uliczni wrogowie, zeznało, że widzieli mnie (tylko mnie!), jak rzucałem butelkami z wodą niczym granatami, po czym Herr Siegel udzielił mi surowej reprimendy i podkreślił, że miałem szczęście, bo nikt nie stracił oka ani nie został poważnie ranny.

Z perspektywy lat muszę przyznać, że uwagi Herr Siegla brzmiały bardzo rozsądnie, tylko że do ukarania (trzy smagnięcia) wytypowano jedynie mnie. Kiedy zapytał, czy mam coś do powiedzenia na swoją obronę, uznałem, że zakapowanie współników byłoby nieetyczne, a poza tym nic by mi nie dało. Zakwestionowałem natomiast jurysdykcję Herr Siegla, czyli jego prawo do wymierzania mi kary za coś, co wydarzyło się po lekcjach i poza terenem szkoły. On jednak skwitował moje obiekcje machnięciem ręki. Zawsze uważałem go za uczciwego gościa, zbyt cywilizowanego, by miał się zniżać do poziomu Herr Hardena, ale kiedy zlał mnie po tyłku, z żalem doszedłem do wniosku, że się myliłem.

Jak zwykle matka miała rację. Często ostrzegała mnie, żebym nie dawał się wciągać w różne draki, nawet jeśli inni chłopcy biorą w nich udział. „Bo potem – mawiała – wszyscy będą pamiętać tylko ciebie.”

## **Ratunek w książkach**

Nieustanny zalew propagandy nazistowskiej nie zdołał jednak na zawsze zmącić mi umysłu. Zawdzięczam to nawykowi, który z czasem osiągnął natężenie czynności kompulsywnej. Gdy tylko nauczyłem się czytać, matka dotąd podsyciała moje zainteresowanie lekturami, aż w wieku ośmiu lat popadłem w całkowite uzależnienie od książek. Wszystkich książek. Ponieważ wychowałem się w okresie przedtelewizyjnym, to one stały się dla mnie pierwszym źródłem rozrywki, ucieczki od świata i informacji. Każdego feniga, którego udało mi się zrobić bieganiem na posyłki albo który dorośli wręczali mi na cukierki, wydawałem na książki. Matka, także kompulsywna czytelniczka, założyła mi kartę biblioteczną, a do tego na wszystkie urodziny i święta otrzymywałem głównie książki.

Dzięki moim eklektycznym gustom literackim, które nie odróżniały dobrej literatury od złej ani tej dla dorosłych i dla dzieci, czytałem z równym entuzjazmem wszystko, co mi wpadło w ręce. W rezultacie – mimo nazistowskiego restrykcyjnego i jednowymiarowego totalitaryzmu – trafiłem do ogromnego, wielowymiarowego i kolorowego świata na długo przedtem, nim mogłem fizycznie uciec z mentalnego więzienia nazistowskich Niemiec. Jeśli intencją doktora Goebbelsa było utrzymanie naszych młodych umysłów na kursie wewnętrznego nacjonalizmu, to ze mną mu się nie udało. Dżin wiedzy w formie dziesiątek książek o wyświechtanych brzegach wymknął się z butelki i wypełnił mi głowę niezwykle obrazami, te zaś wzbudziły tęsknotę za przygodą znacznie wykraczającą poza ciasne granice Niemiec.

Po stronicach książek mogłem odbywać podróże w czasie i przestrzeni, poznawać zarówno rzeczywistość, jak i krainę fantazji. Jeszcze przed ukończeniem czternastego roku życia przemierzałem przestrzeń międzyplanetarną i odbywałem wielomilowe podwodne rejsy z Julesem Verne’em, na długo przed tym, jak atomowe łodzie podwodne i podróże kosmiczne przestały być tylko fikcją. Z Jamesem Fenimore’em Cooperem paliłem fajkę pokoju w wigwamie indiańskiego wodza wiele lat przed tym, kiedy zobaczyłem na własne oczy prawdziwego rdzennego Amerykanina. Zanim zwiedziłem Koloseum i inne pamiątki starożytnego Rzymu, oglądałem razem z Henrykiem Sienkiewiczem chrześcijan rzuconych na pożarcie lwom i Nerona sycącego wzrok pożarem Rzymu. Dzięki Harriet Beecher Stowe cierpienia niewolników na południu dalekiej Ameryki wzbudziły we mnie dziwne uczucie empatii, w którym jednak nie rozpoznałem wówczas braterskiej solidarności. Miguel de Cervantes kazał mi trzymać kciuki za obłąkanego Don Kichota w jego dążeniu do rycerskich zaszczytów. Charles Dickens unaoczniał mi straszliwy los osieroconego dziecka w „starej, wesołej Anglii” za czasów rewolucji przemysłowej. Sir Arthur Conan Doyle zachęcił mnie do wędrówek we mgle wąskimi, brukowanymi uliczkami dziewiętnastowiecznego Londynu, by w towarzystwie Sherlocka Holmesa i jego pomocnika doktora Watsona tropić ślady tajemniczej zbrodni. Mark Twain zaprosił mnie na rejs tratwą po Missisippi razem z Huckleberrym Finem i niewolnikiem Jimem na długo, zanim miałem okazję zobaczyć najpotężniejszą z rzek Ameryki Północnej. Victor Hugo przyprowadził mnie o dreszcz, ukazując makabryczną pracę gilotyny na rzecz wolności obywatelskich we Francji. No i jeszcze na długo zanim udało mi się odwiedzić tropikalne rajskie wyspy na luksusowym rejsie wycieczkowym, zabrał mnie tam Robert Louis Stevenson, dzięki któremu żeglowałem przez siedem mórz z korsarzami i innymi awanturnikami na poszukiwanie ukrytych skarbów.

Paradoksalnie, wśród moich ulubionych książek w owych latach, jakże ważnych dla kształtowania osobowości, znalazły się stare germańskie legendy, na których w znacznym stopniu oparła się rasistowska mitologia narodowych socjalistów. Zarówno u Zygryda, jak i innych walecznych rycerzy najbardziej fascynował mnie żelazny kodeks honorowy, przestrzegany nawet w obliczu śmierci. Ale moim zdecydowanym faworytem wśród teutońskich bóstw był Thor, bóg wojny, który gdy się rozniewał, krążył po niebiosach, miotając gromy i błyskawice ze swego magicznego młota.

Dzięki książkom mogłem w każdej chwili uciec od różnych przykrych sytuacji w mojej codziennej egzystencji i znaleźć się w świecie wprawdzie pełnym niebezpieczeństw, ale sprawiedliwym, gdzie nagradzano dobrych i karano złych. Czytanie stało się dla mnie skutecznym buforem przeciwko ciągłym rasistowskim atakom ludzi pokroju Wriedego. I chociaż nie w pełni zdawałem sobie z tego sprawę, było moim niezawodnym sposobem na przetrwanie.

## **Matczyne mądrości**

Wśród wielu charakterystycznych cech mojej matki najbardziej rzucał się w oczy nieuleczalny optymizm. Przejawiał się on zwłaszcza w wielkich ambicjach, jakie wiązała z moją osobą mimo ponurych perspektyw narzuconych przez nazistowskie prawa rasowe. Nic nie mogło zachwiać jej przekonaniem, że niezależnie od rasy, mam wyjątkowy potencjał i kiedyś z pewnością zrobię z niego użytek.

Dowiedziawszy się od Tante Fatimy, że w Liberii brakuje wykształconej kadry technicznej, zdecydowała, iż w przyszłości zostanę inżynierem i pomogę Liberyjczykom zbudować tak potrzebne mosty oraz drogi. Chociaż stopień z matematyki miałem najslabszy na całym świecie, i tak potrafiła mi wmówić, że kariera inżyniera leży w zasięgu moich możliwości, jeśli tylko naprawdę się postaram. Zachęcała mnie do tego, przywołując starą mądrość: „Kto chce zostać haczykiem, musi wcześniej zacząć się zginać”.

Przepojona silną awersją do religii (z czasem objawiła się ona i u mnie), uważała, że można pilnie chodzić do kościoła, godzinami leżeć krzyżem i znać Biblię na wyrywki, a i tak nie być dobrym człowiekiem. Jedynym sposobem, by to osiągnąć, jest sprawiedliwe traktowanie bliźnich i zwierząt. Sama nie uczestniczyła regularnie w nabożeństwach. Zamiast religijnych dogmatów zawsze miała na podorędziu niewyczerpany zapas przysłów i maksym, których się trzymała. Na każdą okoliczność, z którą człowiek styka się w życiu, miała coś stosownego: radę, jak zdobyć pieniądze, jak traktować przyjaciół, dlaczego warto być punktualnym i tak dalej. Wiedzę tę odziedziczyła po matce i koniecznie chciała mi ją wpoić.

Zaczynając pierwszą klasę, wiedziałem już, że „kłamstwo ma krótkie nogi”, zwłaszcza od chwili, gdy mnie na nim przyłapała. Chcąc mi wskazać korzyści z prawego życia, mówiła: „Czyste sumienie to najlepsza poduszka”. Skromność i grzeczność wpajała mi słowami: „Z kapeluszem w ręku objedziesz cały kraj”. Aby powstrzymać mnie od dokuczania kolegom, ostrzegała: „Kto pod kim dołki kopie, ten sam w nie wpada”. Kiedy wydawałem się niezadowolony ze zbyt skromnej sumy otrzymanej w prezencie: „Kto nie ceni feniga, nie zasługuje na markę”. Chociaż w odróżnieniu od dziesięciu przykazań ludowym mądrościom niemieckim brakowało boskiego poparcia, nie straciły dla mnie nic ze swej wartości i jako dorosły już mężczyzna próbowałem je wpoić moim synom. Dziś z największą radością słucham, jak cytują swoją Omi (babcię) albo mnie, żeby dowieść swoich racji.

Mutti miała duże poczucie humoru i potrafiła szczerze śmiać się z zabawnych historyjek, nawet jeśli żartowano z niej samej. Uwielbiała opowiadać je w kółko, jak na przykład tę z freudowską wpadką, kiedy zwróciła się do profesora z wyjątkowo dużym organem powonienia „Profesorze Nase” (Nos).

Uwielbiała też śpiewać – wszystko, od arii operowych po melodie filmowe, operetkowe i piosenki ludowe. Od dziecka miała znakomity słuch, ale często narzekała, że brakuje jej pięknego głosu. Być może miała rację, co nie przeszkadzało jej wypełniać naszego miesz-

kanka śpiewem podczas dziergania, szydełkowania czy prania. „Zakładaj dom tam, gdzie muzyka, bo źli ludzie nie mają pieśni” – mawiała.

Wspaniałomyślna bez granic, nie szczędziła wysiłków, by pomóc komuś w potrzebie. Nie raz odstępowała własne łóżko koleżance, która miała problemy małżeńskie. Ktokolwiek prosił ją o przysługę, mógł z góry uważać sprawę za załatwioną. Z drugiej strony, była odważną i upartą bojowniczką, która nie bała się konfrontacji z nikim, bez względu na pozycję, jeśli tylko wyrządził krzywdę jej samej albo mnie. Ale kiedy ktoś, komu ufała, poważnie się jej naraził, wykreślała go raz na zawsze ze swojego życia bez możliwości powrotu, bo „hołota raz się bije, raz godzi”.

Nieograniczona odporność sprawiała, że przez całe długie życie radziła sobie z przeciwnościami losu. Silna i zdeterminowana, kiedy ktoś wychwalał jej zdolność do odbijania się od dna, mawiała: „Złego diabli nie biorą”.

Chociaż zawsze mówiła prawdę bez ogródek, nie oszczędzając nikogo, była bardzo lubiana i sama lubiła ludzi. Często w weekendy nasze małe poddasze pękało w szwach od jej przyjaciół, głównie koleżanek ze szpitala czy fabryki, które zbierały się na *gemütlichen Abend* (przyjemny wieczór), żeby pogadać, pośpiewać, pośmiać się przy kawie i czymś dobrym. To był jej ulubiony sposób spędzania wolnego czasu. W chłodne zimowe wieczory rozgrzewała czasem zebranych szklaneczką napitku z wina, gorącej wody, soku z cytryny, cukru i gałki muszkatołowej, co wszystkich zachęcało do śpiewów. Dopiero kiedy ożywienie sięgało szczytu, a ja musiałem już kłaść się spać, goście dziękowali Mutti za wspaniały wieczór i rozchodzili się do domów.

## Ścisłe kółko Mutti

Mimo zdeklarowanego nastawienia antykatolickiego, wpojonego przez matkę jeszcze w dzieciństwie, za najbliższą przyjaciółkę i powierniczkę Mutti obrała sobie zagorzałą katoliczkę – biuściastą, rudowłosą Rosel Genseder o posągowych kształtach. Wysnułem stąd wniosek, że okazjonalne uwagi Mutti o tym, jak to nie należy ufać katolikom, to po prostu zwykłe gadanie, którego nie trzeba brać na serio. Rosel pochodziła z Bawarii i mówiła trudno dla mnie zrozumiałym dialektem. Kiedy razem z Mutti zaczynała pracę w fabryce wyrobów gumowych, dopiero co przeniosła się z bawarskiej wsi do Hamburga.

Kolejna jej bliska przyjaciółka, dawna pomoc pielęgniarska Liesbeth Schroeder, miała w życiu tylko jeden cel: wyjść za mąż. Bez przerwy uganiała się za mężczyznami, co z czasem przerodziło się w obsesję i często przeczyło zdrowemu rozsądkowi. Chociaż niewątpliwie lubiana towarzyszka, nieszczęsna Liesbeth bywała niekiedy męcząca. Całymi latami tak bardzo lgnęła do mojej matki, że ta nie potrafiła się od niej odczepić. Dla Liesbeth nie istniało słowo „nie”, nigdy nie przyjmowała odmowy i po prostu wciąż nas nachodziła, aż wreszcie i ona trafiła do ścisłego kółka towarzyskiego Mutti.

Należała do niego także Erna Schmedemann, matka małej Eriki, tej, która wślawiła się striptizem. To właśnie między innymi Tante Erna namawiała Mutti, żeby nie robiła sobie niepotrzebnie wrogów, walcząc o przywrócenie do pracy w szpitalu. Wiedziała, o czym mówi. Kilka miesięcy wcześniej Gestapo aresztowało jej męża Waltera, który przed dojściem Hitlera do władzy pełnił ważną funkcję w Niemieckiej Partii Socjaldemokratycznej (SPD). Zawsze wiedziałem, kiedy matka dyskutowała z Tante Erną o losie wujka Waltera, swojego dawnego kolegi ze szpitala. Mówiły ściszymi głosami, wyraźnie starając się, żeby nic nie doszło do moich uszu, a Tante Erna popłakiwała. Oczywiście w ten sposób tylko zwiększały moją ciekawość. Udając, że w ogóle mnie to nie interesuje, łowiłem dość informacji, żeby wyrobić sobie pogląd na to, co się stało. Podobno dwaj panowie w cywilnych ubraniach zabrali wujka w nocy do więzienia na przedmieściu Fuhlsbüttel. Siedział tam nadal, bez żadnego procesu, rzekomo za rozpowszechnianie antynazistowskich ulotek.

„Wiem, że go bili – mówiła Tante Erna – bo na ostatnim widzeniu miał na twarzy siniaki.” Podejrzewała też, że trzymali go w kajdankach na rękach i nogach, bo kiedy kazano mu się przebrać w więzienny uniform, zabrała jego osobiste rzeczy i na mankietach koszuli oraz spodniach zauważyła plamy z rdzy.

Wciąż nie mogłem zrozumieć, za co Onkel Walter został ukarany, skoro – jak Tante Erna powtarzała wiele razy – nie zrobił nic złego. Wreszcie nie wytrzymałem i zapytałem o to matkę, a wtedy wytłumaczyła mi najlepiej, jak umiała, że uwięziono go nie dlatego, że popełnił zbrodnię, tylko za to, że nie zgadza się z rządem.

Takie wyjaśnienie wywołało w mojej głowie jeszcze większy zamęt, bo przecież każdy wiedział, że rząd – czyli Hitler – ma zawsze rację. Całkiem zdezorientowany, zapytałem, dlaczego Onkel Walter się z nim nie zgadza? Matka obiecała odpowiedzieć mi na to, jak trochę podrosnę, bo wtedy lepiej to zrozumieć. Tymczasem poprosiła, żebym nie rozmawiał o tym z nikim, zwłaszcza w szkole.

Przy licznych okazjach Erna opowiadała matce o swoich daremnych próbach uwolnienia męża. Wkrótce wpadła na pomysł zapisania Eriki do organizacji Bund Deutscher Mädel (BDM), żeńskiego odłamu Hitlerjugend. Gdyby dziewczynce udało się zdobyć kierowniczą funkcję, mogłaby szepnąć tu i ówdzie dobre słowo za ojcem. Chociaż plan wydawał się dość dalekosiężny, w swoim czasie odniósł częściowy sukces. W roku 1938, po odsiedzeniu ponad czterech lat, Waltera zwolniono wskutek starań córki, już wtedy wzorowej działaczki i liderki BDM, która bombardowała Kancelarię Rzeszy listami, eksponując swój przykładowy nazistowski styl życia. Ale po wybuchu wojny przyszedł senator Hamburga Walter Schmedemann został powtórnie aresztowany i wywieziony do obozu koncentracyjnego, gdzie przebywał aż do kapitulacji Niemiec. Kolejne listy Eriki w jego sprawie, tym razem adresowane do Reichsführera SS Heinricha Himmlera, pozostały bez odpowiedzi.

## Onkel Max

Moja matka, niezwykle przystojna kobieta o ciemnych włosach, piwnych oczach i różowych policzkach, zwracała na siebie uwagę wielu mężczyzn. Zdążyłem się przyzwyczaić, że ilekroć wychodziliśmy gdzieś razem, zaczynali przy niej krążyć niczym pszczoły wokół kwiatu, pochlebiało mi też, kiedy mówili o „mojej ślicznej mamusi”. Od czasu do czasu jakiś szczęściarz bywał zapraszany na niedzielną *Kaffee und Kuchen* (kawę z ciastem), ale jeśli nie zyskał mojej zdecydowanej aprobaty, kończyło się na tej jednej wizycie.

I tu wchodzi na scenę Max Walz, rozwodnik, starszy od matki o dziesięć lat pracownik szpitalnej kuchni. Od pierwszej chwili, gdy Onkel Max pojawił się w naszym domu, a miałem wtedy pięć lat, polubiłem tego łagodnego olbrzyma o brązowych, wijących się włosach i wielkich wprawnych dłoniach, które – jak się zdawało – umiały absolutnie wszystko. Fakt, że utykał – Mutti wyjaśniła mi, że od urodzenia miał jedną krótszą nogę – przyjąłem za coś zupełnie normalnego, podobnie jak on moją brązową skórę.

Wszechstronnie uzdolniony Onkel Max umiał grać na bandoneonie, a także na lutni i gitarze. Malował i rysował portrety jak profesjonalny artysta, a co najważniejsze – jeździł na motorze, którym w weekendy woził matkę i mnie na długie wycieczki. Wieczorami wypełniał dom muzyką, czytał nam głośno książki, uczył mnie szkicować i budować modele samolotów.

Pewnego dnia oznajmił, że przy pomocy brata stolarza zamierza zbudować dziesięciometrową żaglówkę. Przyzwyczajeni, że dla wujka Maxa nie ma nic niemożliwego, obserwowaliśmy z matką w weekendy, jak deska po desce urzeczywistnia swoje marzenie. Mniej więcej po roku pomogliśmy mu zwodować smukłą łódź, którą nazwał na cześć brata *Kuddel* (w dialekcie hamburskim – Karl), po czym wyruszyliśmy w dziewiczy rejs po Alsterze, podziwiając żeglarskie i nawigacyjne umiejętności Onkela Maxa. Później pływalismy już prawie każdego letniego dnia, kończąc rejsy spotkaniami w gronie przyjaciół z Yacht Clubu Alster, do którego Onkel Max się zapisał.

W moich oczach Onkel Max z matką tworzyli idealną parę. Niecierpliwie wyczekiwałem dnia, kiedy tych dwoje bliskich mi ludzi wreszcie weźmie ślub i dotychczasowy „wujek” zostanie moim tatą. Ale tak się nie stało. Nawet przez myśl mi nie przeszło, że do małżeństwa nie dojdzie właśnie z mojego powodu.

Zawsze wiedziałem, że chociaż Onkel Max nie należał do partii, gorąco popierał Hitlera i przyjmował za dobrą monetę praktycznie wszystkie poczynania nazistów. To mi nie przeszkadzało, bo w swej niedojrzałości i ignorancji tak samo jak on dałem sobie wyprać mózg. Mutti, świadoma jego fascynacji Hitlerem, starannie unikała dyskusji na tematy polityczne, z wyjątkiem jednego razu, kiedy po tradycyjnie sfalszowanych wyborach przyznała, że nie głosowała na Führera.

– Chcesz powiedzieć, że nie głosowałaś na człowieka, który zrobił dla Niemiec więcej niż jakakolwiek żywa istota? – krzyczał, tonem, jakiego nigdy u niego nie słyszałem.

– Ja tam zawdzięczam mu tylko tyle, że wyleciałam z roboty – odcięła się matka, też mocno poirytowana.

Ta krótka wymiana zdań stała się początkiem końca. W miarę jak rosły wpływy Hitlera, Onkel Max stopniowo wycofywał się z naszego życia. Skończyły się wspólne wycieczki zagłówką, a w końcu w ogóle przestał pokazywać się z nami publicznie. W końcu matka miała tego dość. Pewnej nocy wyrwał mnie ze snu jej gniewny głos: „Już ja wiem, jaki masz problem! Ty się po prostu nas wstydzisz! Nie chcesz, żeby nas z tobą widzieli ci twoi nazistowscy kumple. No dobra, więcej nie będziesz się wstydził. Wynoś się stąd i żebym cię więcej nie widziała!”.

I rzeczywiście nigdy już go nie zobaczyłem. Po stracie człowieka, który dał mi tyle, że traktowałem go jak ojca, została bolesna pustka, a co więcej, głębokie poczucie zdrady. Dopiero po kilku latach udało mi się z tego otrząsnąć. I chociaż matka usilnie mnie przekonywała, że nie było w tym mojej winy, w głębi serca wiedziałem swoje: człowiek, którego kochałem jak ojca i który w moim mniemaniu kochał mnie jak syna, odszedł, bo nie chciał się więcej ze mną pokazywać.

## **Zbrodnia i kara**

Jeśli za młodu nie wkroczyłem na ścieżkę przestępstwa, to nie stało się to bynajmniej z powodu moich osobistych wyborów, ale dzięki żelaznemu, nieodwołalnemu imperatywowi narzuconemu przez Mutti. Jako jedno z licznych dzieci zapracowanej, trzeźwo patrzącej na życie wdowy, nie tolerowała żadnych szczeniackich numerów. Jeśli musiała powiedzieć „nie”, nigdy się nie wahała i nie odstępowała od decyzji, zawsze mając na względzie swój główny cel – wychowanie mnie na porządnego człowieka.

Miała swoiste i bardzo skuteczne metody wpajania mi wartości. Chcąc wbić raz na zawsze do młodej głowy zasadę, że zbrodnia nie popłaca, wykazywała się czasem znaczną kreatywnością. Uświadomiłem sobie, że tryby sprawiedliwości Mutti miały szybko i nieubłagane. Szczególnie wryło mi się w pamięć coś, co wydarzyło się, kiedy byłem mniej więcej pięcioletnim urwisem.

Wybraliśmy się z wizytą do jednej z zaprzyjaźnionych pielęgniarek, która miała syna w moim wieku. Podczas gdy nasze matki rozmawiały, my z Kurtem bawiliśmy się spokojnie w kącie żołnierzykami, dopóki nie nadeszła pora powrotu. Minęło może z pięć minut od naszego wyjścia, kiedy matka zauważyła na mojej kieszeni niewielką wypukłość.

– Co masz w kieszeni?

– Nnic – odrzekłem bez przekonania.

– Pokaż – zażądała, sięgając do środka.



– To ma być „nic”? – zapytała, podsuwając mi pod nos żołnierzyka. – Skąd to się tam wzięło?

– Nie wiem...

– Jesteś złodziejem i dopilnuję, żebyś trafił tam, gdzie powinieś: do więzienia. Ale najpierw wrócimy do Kurta i przeprosisz go za to, że go okradłeś.

Głęboko upokorzony piętnem złodzieja i kłamczucha, powlokłem się za matką do mieszkania znajomych, gdzie oddałem Kurtowi żołnierzyka i potulnie go przeprosiłem. Ale najgorsze miało dopiero nadejść. Kiedy znaleźliśmy się znów na ulicy, matka zaprowadziła mnie prosto na pobliski posterunek policji.

– Panie policjancie, co się robi z chłopcem, który ukradł koledze zabawkę?

Policjant zmierzył mnie zza biurka długim, groźnym spojrzeniem, od którego poczułem na plecach zimny dreszcz.

– Chyba trzeba go zamknąć razem z innymi przestępcami – rzekł po namyśle.

W tym momencie nie wytrzymałem i ryknąłem płaczem. Wrzeszcząc wniebogłosy, zacząłem błagać policjanta i matkę, żeby mi darowali, a już nigdy, przenigdy niczego nie ukradnę.

– Wie pani co...? – odezwał się policjant. – Dajmy mu jeszcze jedną szansę. Ale jeśli złapie go pani znowu na kradzieży, to proszę dać mi znać, a natychmiast go aresztuję.

I, mrugnawszy do matki, czego nie umiałem sobie wytłumaczyć, oznajmił, że na razie jestem wolny. To straszne przeżycie, dzieło twórczej inwencji mojej matki, utkwiło mi w pamięci tak, jakby wydarzyło się wczoraj. Już nigdy nie dałem matce powodu do skorzystania z oferty policjanta.

## **Jak związać koniec z końcem?**

Ponieważ babka wychowała dziewięcioro dzieci (pozostałych dwoje zmarło w niemowlęctwie), Mutti nigdy nie uważała nas za biednych ani naszej sytuacji za szczególnie trudną. Dzięki roztropnemu gospodarowaniu skromnymi zarobkami i wyjątkowej smykałce do targowania potrafiła zadbać o nasze życiowe potrzeby, włączając w to ubranie odpowiedniej jakości, zdrowe jedzenie, a nawet od czasu do czasu jakiś luksus w rodzaju poranka w kinie.

Jak większość niemieckich kobiet z jej pokolenia, unikała zaciągania długów, wierząc, że „pożyczki ściągają kłopoty”, i konsekwentnie nie kupowała niczego na kredyt. Zamiast tego oszczędzała na konkretny cel. Realizowała w ten sposób wszystkie ważniejsze inwestycje domowe, włącznie ze swoją prawdziwą dumą – maszyną do szycia Singera z nożnym napędem, którą dawało się złożyć w zgrabny stolik. Świadomość, że w naszym domu nie ma ani jednej rzeczy, za którą nie zapłaciła gotówką, stanowiła źródło jej ogromnej radości.

Na własnym przykładzie uczyła mnie dyscypliny finansowej. W tym czasie moim największym marzeniem był rower. Mutti zaskoczyła mnie pewnego dnia nowiną, że wpłaciła zaliczkę za pojazd używany, lecz w dobrym stanie, taki sam, jaki kiedyś podziwiałem na wy-

stawie sklepu w centrum miasta. Ilekroć szła zapłacić tygodniową ratę, zabierała mnie ze sobą, żebym mógł popatrzeć na rower, który pewnego dnia miał się stać mój. Nie mogłem doczekać się wielkiej chwili, zwłaszcza że już wcześniej nauczyłem się jeździć na rowerze kolegi. Każda wizyta w sklepie napinała moją cierpliwość do granic wytrzymałości, nie umniejszając jednak radości oczekiwania. W dniu, w którym matka wpłaciła ostatnią ratę, zabrała ze sobą także swój rower, żebyśmy mogli uczcić nowy zakup wspólną przejażdżką. Wiele razy wyobrażałem sobie pierwszą jazdę na własnym rowerze, ale to przeżycie prześcignęło najśmielsze marzenia. Przez wiele tygodni jeździłem z głową w chmurach, aż wreszcie stopniowo dotarło do mnie, że ta cudowna maszyna naprawdę jest moją własnością.

Odtąd otworzyły się przede mną zupełnie nowe horyzonty. Przedtem z konieczności poruszałem się tylko po najbliższej okolicy, czasem tylko wyprawiając się do miasta tramwajem. Teraz miałem do dyspozycji środek transportu, który w każdej chwili mógł mnie przenieść w dowolną część Hamburga lub nawet poza jego granice. W rezultacie każdego dnia po odrobieniu lekcji wypuszczałem się z kolegami na zwiedzanie miasta. W niedzielę, przy sprzyjającej pogodzie, jeździliśmy z matką do Walddörfer – jednej z pobliskich malowniczych leśnych wiosek. Wybieraliśmy sobie jakąś przyjemną polankę i urządzaliśmy piknik z kanapkami i lekturą książek. Dla Mutti i dla mnie te ciche godziny na łonie natury stały się odpowiednikiem słowa *Gemütlichkeit*. Pedalując przez okoliczne miasteczka z ich ładnymi, tonącymi w kwiatach domkami, oddawaliśmy się marzeniom, że pewnego dnia my także zamieszkamy w jednym z nich. Jednak poza przedstawicielami wyższej klasy średniej nie znaleźliśmy nikogo, kto osiągnąłby tak niedościgły cel.

## **Ponownie Salza**

Nadal spędzałem letnie wakacje w Salzie, ale jak wszędzie w Niemczech, po dojściu naziistów do władzy nastąpiły tam wyraźne zmiany na gorsze. Nie była to już ta przyjazna, idylliczna wioska, którą nauczyłem się kochać. Moi towarzysze zabaw pozapisywali się do Hitlerjugend i – w odróżnieniu od kolegów z Hamburga – zaczęli mnie ostentacyjnie unikać. Ich rodzice, którzy w dni powszednie nosili brudne od gnoju kombinezony, w niedziele zgrywali waśniaków, paradując po wsi w brunatnych mundurach SA i wypolerowanych wysokich butach. Wyraźnie uderzyło im do głowy to, że Hitler uznał rolnictwo za najbardziej zaszczytną profesję. Na dodatek wmówiono im, że należą do wyższej rasy z powodu swej nieskażonej aryjskiej krwi. Wobec tego wszyscy prześcigali się nawzajem w gorliwości demonstrowania swego ślepego oddania Hitlerowi i jego polityce.

W tak małej, zaledwie kilkusetosobowej społeczności Salzy, nagminnie wścibiano nos w cudze sprawy. Sąsiedzi nagabywali Tante Grete, dlaczego się upiera, że chłopiec, który gości u nich każdego lata, jest ich krewnym, skoro wygląda, jakby uciekł z Afryki. Raz podsłuchałem, jak skarżyła się Onkelowi Karlowi na dwulicowość sąsiadki, która przed rządami Hi-

tera zwykła częstować mnie ciastem i innymi smakołykami. Mąż tej kobiety ze zwykłego fabrycznego robotnika niskiego szczebla wybił się na nazistowską szczybę, ona sama zaś niedawno ostrzegła „w tajemnicy” Tante Grete, że wie z pewnego źródła, jakoby moje wakacyjne wizyty nie były dobrze widziane. Na to ciotka odpowiedziała, że nie będzie się wypierać rodziny, bez względu na to, czy się to komuś podoba, czy nie.

W wieczór poprzedzający mój powrót do Hamburga zostaliśmy uraczeni dziwnym spektaklem. Dziesiątki młodych mężczyzn z chorągiewkami ze swastyką przemaszerowało tam i z powrotem główną ulicą Salzy, wznosząc prowokacyjne okrzyki i śpiewając tradycyjną niemiecką pieśń pożegnalną *Muss i denn, muss i denn zum Städtele hinaus*. Niektórzy z nich, wyraźnie po wielu piwach, zahaczali o gospody, inni łomotali pięściami do okien i drzwi sklepu. Kiedy zapytałem wujka Karla, o co ten cały harmider, wyjaśnił mi, że ci młodzi ludzie właśnie zakwalifikowali się do Arbeitsdienst, rocznej służby pracy (głównie przy budowie państwowych autostrad), obowiązującej przed wcieleniem do wojska. Ponieważ świętują swoją ostatnią noc w cywilu, policja tradycyjnie patrzy przez palce na ich rozróby i pozwala chłopakom zaszaleć.

– Ale dlaczego tak się cieszą, skoro muszą wyjechać z domu i służyć w wojsku?

– Bo to zaszczyt nosić mundur naszego kraju – odparł Onkel Karl, wprowadzie antynazista, ale patriota i weteran I wojny. – Ty też, jak dorośniesz, zostaniesz żołnierzem.

Postanowiłem już wcześniej, że nie pojedę więcej do Salzy na wakacje, chociaż i tak decyzja okazała się czysto teoretyczna. Kiedy w następnym roku matka chciała mnie zapisać na „wakacyjny pociąg”, dowiedziała się, że darmowy przejazd przysługuje tylko członkom Hitlerjugend. Wprowadzie wujostwo nalegali, żebym mimo to przyjechał na ich koszt, ale matka nie chciała o tym słyszeć. Tak skończył się jeden z najmilszych okresów mojego dzieciństwa.

## **Lustereczko, powiedz przecie...**

Musiało upłynąć parę ładnych lat, zanim w pełni zrozumiałem i uwierzyłem, że Hitler to nie-skończenie zły, zdeprawowany psychopata. Na razie desperacko trzymałem się lansowanego przez rząd wizerunku dobrotliwego półboga i zbawcy narodu. Po każdym psychologicznie druzgoczącym ciosie jednego z pupilków Hitlera, tłumaczyłem sobie, że padłem ofiarą nadgorliwego pionka, który nadużył swojej władzy i wypaczył wielki plan Führera. Po prostu nie mogłem się zmusić do obciążenia winą samego architekta polityki rasistowskiej.

Dopiero jako nastolatek, po latach upokorzeń i doświadczania psychicznego okrucieństwa, byłem w stanie przyswoić sobie prawdziwy obraz Hitlera i zobaczyć w nim główne źródło moich coraz większych kłopotów. Aż do tego momentu, zamiast obwiniać za nie rasistów, tak jak należało, szukałem winy w sobie samym, a przede wszystkim w moim wyglądzie. Szczególnie znienawidziłem mocno poskręcane włosy. Chociaż przysięgłem sobie nie dopu-

ścić, by Wriede zyskał nade mną przewagę, zatrute strzały wypuszczane zarówno przez niego, jak innych nauczycieli zbierały swoje żniwo. Pod ciągłym gradem obelg w rodzaju znienawidzonego słowa *Neger* czy równie obraźliwego *Mischling*, moja samoocena w zastraszającym tempie pikowała w dół.

Wreszcie, kiedy pewna towarzyszka zabaw oznajmiła mi, że lepiej wyglądam w czapce, pobiegłem do domu i zrobiłem to, czego od pewnego czasu starałem się unikać: obejrzałem się dokładnie w lustrze. Gdybym powiedział, że nie spodobało mi się to, co zobaczyłem, wyraziłbym się bardzo umiarkowanie. Chłopak, który patrzył na mnie z lustra, był po prostu brzydki. Nos miał krótszy i szerszy niż „normalni” chłopcy, a skórę, chociaż gładszą od innych, stanowczo zbyt ciemną, by uznać ją za opaloną. Ale najgorsze ze wszystkiego były te sprężynki na głowie. Po prostu nie mogłem ich ścierpieć. Przez jakiś czas rzeczywiście próbowałem chodzić w czapce i doszedłem do wniosku, że dziewczynka miała rację. Nakrycie głowy zdecydowanie minimalizowało moją afrykańską aparycję, dzięki czemu wyglądałem lepiej.

Przekonany, że przy prostych włosach zniknie połowa moich problemów, wpadłem w euforię, natrafiwszy na informację, która – jak sądziłem – mogła na zawsze odmienić moje życie. W jednej z książek przygodowych wyczytałem, że członkowie pewnego afrykańskiego plemienia ceremonialnie prostują włosy, zanurzając je w substancji podobnej do cukru, rozpuszczonej w gorącej wodzie. Tak więc pewnego dnia po szkole rozpocząłem stosowne przygotowania do akcji, która miała na celu zaskoczyć matkę zupełnie nowymi, prostymi włosami. Na początek nasypałem cukru do rondelka z wodą i, cały czas mieszając, doprowadziłem miksturę do wrzenia. Następnie, po wystudzeniu, wsmarowałem ją sobie we włosy jak szampon, starłem nadmiar ręcznikiem i z niecierpliwością czekałem na transformację, snując fantazje na temat nowego cudownego życia. Niedawno obejrzałem film *Młody słoniomistrz*<sup>11</sup>, więc wyobraziłem sobie, że wyglądam jak Sabu, przystojny młody Hindus, ulubieniec niemieckiej publiczności. Postanowiłem, że gdy tylko włosy mi się rozprostują, będę je nosił dłuższe, ale na pewno nie tak długie, jak Sabu. Bujając w obłokach, przeczesywałem palcami czuprynę, żeby sprawdzić, czy coś się zmieniło. I rzeczywiście, zmieniło się: w miarę jak mikstura stygła, na głowie robił mi się lepki, zbity kołtun. Odczekałem jeszcze godzinę i w końcu dałem za wygraną: eksperyment okazał się kompletną klapą.

Na szczęście po kilkakrotnym splukaniu gorącą wodą włosy odzyskały swój normalny kędzierzawy wygląd, za to znacznie trudniejsza do nadrobienia była klęska emocjonalna. Z początku zdecydowałem, że nic nie powiem matce, ale kiedy wróciła do domu i zażądała wyjaśnień na temat moich mokrych włosów i pustego słoja po cukrze, wszystko jej wyznałem.

Zamiast się rozgniewać z powodu zmarnowania cukru, wyraziła żal, że nie lubię swoich włosów.

– Może sam o tym nie wiesz, ale są bardzo piękne – próbowała mnie przekonać.

– Łatwo ci mówić – burknąłem i, wskazując jej lśniąca, lekko pofalowaną fryzurę, dodałem: – Ty masz proste włosy, jak wszyscy.

– Chętnie bym ci oddała swoje włosy, gdybym tylko mogła cię w ten sposób uszczęśliwić, ale nie mogę. Będziesz więc musiał nauczyć się je lubić. Kiedyś, gdy będziesz starszy, zrozumiesz to i przyznasz mi rację, że są piękne.

Cóż innego miała wtedy powiedzieć, żebym przestał się martwić o włosy i w ogóle o swój wygląd? Minęły całe wieki, odkąd od bezstronnej osoby usłyszałem na ten temat komplement, natomiast pogardliwy komentarz ktoś rzucił zaledwie wczoraj.

Istniały jednak dwa aspekty mojej aparycji, które nie tylko sobie ceniłem, ale wręcz byłem z nich dumny, mimo ich związku z cechami rasowymi. Pierwszy to budowa ciała: przy przeciętnym wzroście miałem proporcjonalną, wysportowaną sylwetkę o dobrze umięśnionych nogach i ramionach. Drugi to zęby, dzięki którym zbierałem mnóstwo komplementów podczas szkolnych przeglądów dentystycznych. Za każdym razem dentysta zwoływał całą klasę, łącznie z nauczycielem, i kazał im kolejno zaglądać mi do ust, żeby sobie obejrzeni „idealne uzębienie”. Dla mnie ta procesja do mojej rozdziawionej paszczęki stanowiła doroczny moment chwały. Ale nic nie trwa wiecznie. Moja kariera modela skończyła się w dniu, kiedy ku mojemu wielkiemu rozczarowaniu, dentysta wykrył mi dwie dziury w zębie trzonowym. Od tej pory nie było już mowy o „idealnym uzębieniu”.

## **Miałem raz towarzysza<sup>12</sup>**

Do moich najmniej lubianych kolegów z klasy należał Egon Faber, klasowy błazen, a zarazem syn wysokiego funkcjonariusza partii nazistowskiej. Ponieważ na razie nie przejawiałem antyhitlerowskich skłonności, przynależność partyjna ojca nie miała nic wspólnego z moją antypatią do syna. Powodem, dla którego tak nisko ceniłem Egona, był fakt, że po prostu działał mi na nerwy. Robił dosłownie wszystko, by zwrócić na siebie uwagę albo kogoś rozśmieszyć swoimi bezsensownymi popisami. Wykazywał wielką kreatywność w wymyślaniu różnych obrzydliwości; raz na przykład zdobył sobie uznanie klasy, sikając z okna drugiego piętra na szkolny dziedziniec. Numer ten, który w kulminacyjnym punkcie przerwało niezapowiedziane wejście do klasy Herr Grimmelhäusera, niewątpliwie skończyłyby się karą cielesną, gdyby nie wpływy ojca Egona. Wszyscy z wielką niechęcią odnosiliśmy się do tego imunitetu na chłostę.

Na ogół unikałem Egona jak zarazy, a on mnie, ponieważ także mnie nie znosił. Pewnego razu jednak dosłownie na mnie wpadł i to z takim impetem, że ślady tego zderzenia zostały mi na całe życie. Mieliśmy wtedy po dziewięć lat i chodziliśmy do czwartej klasy, a rzecz wydarzyła się na szkolnym dziedzińcu. Zgodnie z regulaminem, musieliśmy na koniec przerwy stawać na baczność w szyku i czekać, aż nauczyciel zaprowadzi nas do klasy. Egon, który stał tuż przede mną, wygłupiał się jak zwykle, łaskocząc stojącego przed nim chłopca.

Kiedy ten obrócił się twarzą do zartownisia, Egon cofnął się gwałtownie, uderzając tyłem głowy prosto w moje lewe oko. Siła uderzenia była tak wielka, że oko natychmiast mi spu-  
chło. Krzywiąc się z bólu, szykowałem się do odwetowego ciosu, ale powstrzymał mnie su-  
rowy wzrok nauczyciela, który od razu do nas podszedł. Zdążyłem tylko syknąć: „Jeszcze  
cię dorwę”, chociaż Egon prawie nie zdawał sobie sprawy, co się stało. Moja złość na niego  
wzrastała w miarę upływu dnia, bo też oko nabrało interesującej ciemnofioletowej barwy, co  
zdawało się bawić wszystkich oprócz mnie. Postanowiłem sobie twardo dotrzymać słowa  
i zaraz następnego dnia wyrównać rachunki.

Rano zjawiłem się w klasie w bojowym nastroju, gotów przy pierwszej okazji zrobić uży-  
tek z pięści. Natychmiast rozejrzałem się za Egonem, ale go nie zobaczyłem: widać, wziął  
moją groźbę na serio i uznał, że lepiej będzie zostać w domu. Właśnie Herr Grimmelhäuser  
szykował się do sprawdzania listy, kiedy drzwi się otworzyły i wszedł jakiś uczeń z wyższej  
klasy. Zamienił z nauczycielem kilka słów, po czym Herr Grimmelhäuser zerwał się z krze-  
sła, wyraźnie wstrząśnięty tym, co usłyszał. Dopiero po chwili odzyskał równowagę i zwrócił  
się do nas: „Chłopcy, mam smutną wiadomość. Właśnie się dowiedziałem, że wasz kolega  
Egon Faber nie żyje. Zastrzelił się przypadkowo wczoraj po powrocie ze szkoły”. Potem  
zwolnił nas z lekcji do końca dnia.

Wiść o śmierci Egona pozostawiła klasę rozdartą pomiędzy żalem a osłupieniem, od któ-  
rego aż odjęło nam mowę. Słowa nauczyciela dotknęły mnie w bardzo osobisty sposób.  
Wmówiłem sobie, że chociaż to nie ja pociągnąłem za spust, to jednak w jakimś stopniu je-  
stem odpowiedzialny za śmierć kolegi z powodu trawiącej mnie ślepej nienawiści. Teraz,  
przepojony żalem, chciałem mu powiedzieć, żeby się nie przejmował moim okiem, bo wiem,  
że nie uderzył mnie umyślnie, i już mu wybaczyłem. Ale nagle uświadomiłem sobie, że już  
nic mu nie powiem i będę musiał żyć dalej z myślą o ostatnich słowach, jakie do niego skie-  
rowałem, czyli o tej pełnej nienawiści groźbie. I w tym momencie moja antypatia do Egona  
ulotniła się, jakby nigdy nie istniała, a jej miejsce zajęła wszechogarniająca potrzeba żałoby,  
niczym po drogim przyjacielu.

Wkrótce dotarły do nas pocztą pantoflową szczegóły wypadku. Okazało się, że strzał padł  
o wpół do piątej po południu na klatce schodowej budynku leżącego zaledwie pięć minut  
drogi od mojego domu. Podobno po powrocie ze szkoły Egon przypadkiem znalazł w szufla-  
dzie służbowy pistolet ojca i po kryjomu przed matką przemycił go na ulicę, gdzie zwołał ko-  
leżków i zapowiedział, że zaraz urządzi specjalny pokaz. Kilkoro dzieciaków dało się skusić  
i weszło za nim do domu. Egon przez jakiś czas wymachiwał bronią, wznosząc okrzyki typu  
„Ręce do góry!”, celując w nich i nawet kilka razy pociągnął za spust, ale nic się nie stało, bo  
broń była zabezpieczona.

Mniej więcej w tym czasie matka Egona odkryła, że pistolet jej męża zniknął. Od razu  
zrozumiała, czyja to sprawa, więc zbiegła na dół z krzykiem: „Egon, Egon, oddaj pistolet”.

Na widok matki Egon już chciał rzucić broń... ale jeszcze raz spojrzął w lufę i jednocześnie pociągnął za spust. Tym razem z jakiegoś powodu zabezpieczenie puściło i broń wypaliła. Kula trafiła Egona w prawe oko. Zmarł w ciągu kilku sekund w ramionach oszalałej z rozpaczy matki, na oczach nic nierozumiejących, zastygłych w grozie kolegów. Chłopiec, który nie cofał się przed niczym, by zwrócić na siebie uwagę, zapłacił za swoje kompulsywne popisy najwyższą cenę.

Po przywróceniu zajęć Herr Grimmelhäuser poinformował nas, że rodzice Egona życzą sobie, by cała klasa wzięła udział w pogrzebie. Z tej okazji odśpiewamy *Ich hatt' einen Kameraden*. Ćwiczyliśmy ten utwór po lekcjach przez całe trzy dni, dopóki Herr Grimmelhäuser nie uznał, że dobrze go umiemy.

W dniu pogrzebu – pierwszego w moim życiu – zawieziono nas autobusem na cmentarz, podobno największy w Europie. Tam zajęliśmy pozycję przy świeżo wykopanym grobie i zamkniętej trumnie, która wydała mi się stanowczo za małą, by pomieścić ciało naszego kolegi. Z drugiej strony stała rodzina Egona: ojciec z surową powagą na twarzy, szlochająca niepowstrzymanie matka i siostra ze łzami w oczach. Na samą myśl, że broń, która odebrała Egonowi życie, należała do jego ojca, przeszły mi ciarki po plecach.

Po kilku słowach Herr Grimmelhäusera i krótkiej modlitwie luterańskiego pastora trumnę opuszczono do grobu przy dźwiękach naszej pożegnalnej, starannie wyćwiczonej pieśni, którą śpiewaliśmy ze ściśniętym gardłem.

Kilka dni po pogrzebie nadal miałem czarne oko. Ale nikt już się ze mnie nie śmiał. Moje oko stało się teraz swego rodzaju znakiem wyróżnienia, który koledzy traktowali z należytą rewerencją, a ja uważałem siniec za powód do dumy, niczym plakietkę honorową, ostatnią pamiątkę po Egonie.

W klasie długo jeszcze przeżywaliśmy tę pierwszą w naszym życiu śmierć, a widok sińca na moim oku wciąż o niej przypominał. Gorąco pragnąłem zachować to niesamowite ogniwo łączące mnie z dopiero co pochowanym chłopcem, ale w miarę upływu dni zasinienie stopniowo bladło, aż wreszcie znikło zupełnie. I w tym właśnie momencie uświadomiłem sobie z ogromnym smutkiem, że Egon Faber, klasowy błazen, którego dawniej tak nie cierpiałem, zniknął z mojego życia na zawsze.

## **Polowanie na neofitów**

Niedługo po dojściu do władzy Hitler jasno dał do zrozumienia, że ci, którzy uparcie odmawiają przyjęcia nazistowskiej ideologii, są częścią starego porządku, ten zaś właśnie się skończył. Niezależnie od przekonań politycznych rodziców – obiecywał Führer – zrobi wszystko, by zdobyć bezgraniczne oddanie i lojalność ich synów i córek. „Niemiecka młodzież będzie należała do mnie” – przechwalał się publicznie.

By mógł się wywiązać z tych obietnic, we wszystkich niemieckich szkołach zaczęto montować skomplikowane kampanie mające na celu werbowanie uczniów do Hitlerjugend. Ministerstwo propagandy pod wodzą Goebbelsa uruchomiło cały arsenał pomocy wizualnych, takich jak mapy, przezrocza, filmy dokumentalne i fabularne, słowem – nie szczędzono wysiłków, by pozyskać wśród młodzieży jak najwięcej neofitów nowej ideologii. Jeden z takich filmów – *Hitlerjunge Quex* – wyświetlony w szkole w ramach zajęć na temat *Volkskunde* (folkloru) wywarł na mnie niezatarte wrażenie. Była to tragiczna historia przystojnego, jasnowłosego chłopaka o pseudonimie Quex<sup>13</sup>, dorastającego w biednej, zdominowanej przez komunistów dzielnicy Berlina. Jego ojca alkoholika, sympatyka komunizmu, który dzielił swój czas między alkohol a maltretowanie żony, grał przekonująco Heinrich George, czołowy aktor niemiecki i zagorzały wielbiciel Hitlera.

Wyrwawszy się na jakiś czas ze swego okropnego środowiska, Quex w tajemnicy bierze udział w wycieczce Hitlerjugend, gdzie w idyllicznej skautowskiej scenerii doświadcza po raz pierwszy w życiu pełni koleżeństwa i poczucia więzi przy wspólnym ognisku. Do swojej ponurej dzielnicy wraca już jako nawrócony *Hitlerjunge* i aktywny działacz nazistowski. Podczas rozrzucania ulotek osaczają go komunistyczni kompani ojca, którzy piętnują go jako zdrajcę i śmiertelnie ranią nożem. Quex umiera na rękach nowych nazistowskich przyjaciół przy dźwiękach hymnu Hitlerjugend *Vorwärts! Vorwärts!* (Naprzód! Naprzód!), do którego słowa napisał sam wódz HJ i wielka nazistowska szczyha Baldur von Schirach, stając się najmłodszym męczennikiem nowego ruchu.

Film wywarł głębokie wrażenie zarówno na moim dziesięcioletnim wrażliwym, niearyjskim umyśle, jak na umysłach moich aryjskich rówieśników. Wiem, bo kiedy po projekcji podniesiono żaluzje, na całej sali rozległy się podejrzanego odgłosy pociągania nosem.

Musiały upłynąć lata, zanim zrozumiałem, że przesłanie filmu, mające na celu przeciwstawienie nazistowskiej cnoty komunistycznemu złu, to ordynarne wypaczanie faktów. W gruncie rzeczy podczas licznych krwawych walk o dominację naziści i komuchy byli sobie wari. Jedni i drudzy dążyli do totalitaryzmu, zawsze gotowi do brutalnej przemocy, byle złamać opór przeciwników wobec swojej ideologii.

Nasza szkoła z arcy nazistą Wriedem na czele prowadziła agresywną indoktrynację i werbunek młodych dusz do Jungvolk, młodszej sekcji Hitlerjugend dla chłopców od dziesięciu do czternastu lat, znanych jako *Pimpfe* (szczeniaki). Nie było dnia, żeby sam Wriede albo inni nauczyciele nie przypominali nam, że dla niemieckiego chłopca niezrzeszonego w tym ruchu właściwie nie ma życia. Dążąc do celu z typową dla siebie determinacją, Wriede nie ustawał w obmyślaniu coraz to nowych chwytów. Pewnego dnia ogłosił swój najświeższy pomysł: ogólnoszkolny konkurs. Klasa, która jako pierwsza osiągnie stuprocentową przynależność do Jungvolk, otrzyma dodatkowy dzień wolny.



Natychmiastowym skutkiem tej decyzji stała się obsesja mojego nowego wychowawcy Herr Schürmanna, który postawił sobie za punkt honoru zdobycie przez naszą klasę nagrody, dzięki czemu i on sam zyskałby kilka dodatkowych punktów. Od tej chwili nie dawał nam spokoju. Poświęcał mnóstwo swojego i naszego czasu, aby perswazją, słodkimi słówkami i innymi sposobami namówić nas do wstępowania w szeregi organizacji. Najbardziej spektakularnym elementem kampanii stał się wykres, który narysował na tablicy. Składał się on z dużej ramy podzielonej na tyle kwadracików, ilu było nas w klasie. Każdego ranka Herr Schürmann pytał, kto ostatnio wstąpił do Jungvolk. Potem liczył podniesione ręce i z wyraźną przyjemnością dodawał nowe nazwiska. Stopniowo kwadracików z nazwiskami przybywało i z czasem zaczęły przeważać nad pustymi.

Aż do tego momentu śledziłem konkurs bez większego zaangażowania, ponieważ całkiem sporo kolegów, włącznie z tymi najbliższymi, dawało do zrozumienia, że nie interesują ich żadne działania HJ i nie zamierzają wstępować, bez względu na to, co Wriede czy Schürmann o tym sądzą. To mi pasowało, bo ja też o tym nie myślałem. Ale stopniowo, pod nieustanną presją Schürmanna, jeden po drugim zaczynali się łamać.

Pewnego dnia, kiedy zostało zaledwie kilka pustych kwadracików, Schürmann zaczął wypytywać opornych o powody ich „braku miłości do Führera i *Vaterlandu*”. Jedni tłumaczyli, że nie mają nic przeciwko Hitlerowi i ojczyźnie, tylko niespecjalnie interesuje ich rodzaj zajęć oferowanych przez Jungvolk – obozy, marsze, trąbki, fanfary i bicie w średniowieczne bębny. Inni wykręcali się brakiem pozwolenia od rodziców, na co Herr Schürmann zaproponował, żeby ich do niego przysłali na rozmowę. Wreszcie nadeszła moja kolej. Już otwierałem usta, ale Herr Schürmann nie dopuścił mnie do głosu: „W porządku, ty jesteś wyłączony z konkursu, bo nie kwalifikujesz się do Jungvolk”.

To było jak grom z jasnego nieba. Ja się nie kwalifikuję? O czym on mówi? Właśnie zamierzałem wyjaśnić, że jeszcze nie zdecydowałem, czy chcę wstąpić, czy nie, a teraz słyszę, że nawet gdybym chciał, to nie mogę? Widząc moje zaskoczenie, Herr Schürmann poprosił, żebym po lekcjach został na rozmowę.

Aż do dzwonka byłem w szoku i nic z tego, o czym mówiono w klasie, do mnie nie docierało. Czułem się zdradzony, opuszczony przez przyjaciół i przerażony perspektywą zostania jedynym uczniem, którego nazwisko nie pojawi się na tablicy. W wieku dziesięciu lat byłem bezwzględny jak każdy mój rówieśnik, mogłem znieść prawie wszystko, co wyniknie w trakcie szkolnych przepychanek, ale nie potrafiłem pogodzić się z wykluczeniem – piętnem wyrzutka, jawnym stwierdzeniem, że jestem nie tylko inny, ale gorszy.

Na przerwie Schürmann poprosił, żebym usiadł przy jego biurku.

– Zawsze sądziłem, że wiesz, dlaczego nie możesz należeć do Jungvolk – zaczął. – Przecież nie jesteś Aryjczykiem. Twój ojciec jest Afrykaninem. Zgodnie z Ustawami norymberskimi, nie-Aryjczykom nie wolno wstępować do ruchu hitlerowskiej młodzieży. – Miłosier-

nie, być może chcąc oszczędzić mi dalszego cierpienia, nie dodał już nic na temat znacznie bardziej znienawidzonych Żydów.

– Ale ja jestem Niemcem – argumentowałem wśród łez. – Moja mama mówi, że jestem takim samym Niemcem, jak każdy inny!

– Rzeczywiście jesteś niemieckim chłopcem – przyznał Herr Schürmann z niezwykłym jak na niego współczuciem. – Tylko niestety nie takim samym, jak każdy.

Pojąwszy aż za dobrze, o co mu chodzi, nie zgłaszałem dalszych pretensji.

– Bardzo mi przykro, mój chłopcze. Chciałbym ci pomóc, ale nie mogę nic zrobić. Takie jest prawo.

Wieczorem, kiedy spotkałem się z matką, nie powiedziałem jej, co wydarzyło się w szkole. Poprosiłem tylko, aby poszła ze mną do pobliskiej siedziby Jungvolk, żebym mógł się zapisać. Ponieważ nigdy nie objawiłem zainteresowania HJ, matka nie uważała za stosowne podsuwać mi myśli, że mogą mnie nie przyjąć, dlatego moja nagła decyzja ją zaskoczyła. Kiedy spróbowała mi ją wyperswadować, napomykając nawet coś o możliwości odrzucenia, wpadłem w szal. Wykrzyczałem, że muszę się zapisać, bo nie będę jedynym uczniem w klasie, który nie należy. Ale Mutti nadal uważała, że to zły pomysł. „Proszę, chodź ze mną – błagałem niemal histerycznie. – Może zrobią wyjątek. Proszę!”

W końcu niechętnie ustąpiła i zgodziła się zrobić, co tylko w jej mocy, aby mi pomóc. Hitlerjugendheim, solidna kamienna budowla, tętniła życiem. Wszędzie kręcili się paramilitarni komandosi. Przez otwarte drzwi sali zebrań, podobnej do szkolnej klasy, widziałem grupę chłopców, przeważnie w moim wieku. Skupieni wokół długiego stołu wyraźnie słuchali wykładu swojego dowódcy. Wszyscy nosili porządne mundury – czarne spodnie i kurtki, koszule khaki i czarne chusty, ściągnięte przy szyi plecionym skórzanym rzemieniem. Wielu miało także – co zauważyłem z zazdrością – krótkie czarne mieczyki (*Dolch*) ze swastyką – emblematem Hitlerjugend. Odkąd zobaczyłem je na wystawie pobliskiego sklepu wojskowego, wzdychałem skrycie do tej ceremonialnej broni. Tak samo słowa *Blut und Ehre* (krew i honor) wygrawerowane na błyszczącym ostrzu totalnie mnie uwiodły. Wiedziałem, że jeśli tylko przyjmą mnie do HJ, nic nie stanie na przeszkodzie, abym kiedyś został dumnym właścicielem *Hitlerjugend Dolch*. Pożądałem go tak mocno, że niemal czułem go w ręku.

W końcu wypatrzył mnie jakiś *Pimpf* i od razu stałem się obiektem kpin i stłumionych chichotów. Wtedy jednak dowódca, zdenerwowany brakiem uwagi, ryknął: „*Ruhe!*” (Cisza!) i zamknął drzwi. Kiedy matka poprosiła przechodzącego chłopaka, żeby zaprowadził nas do kierownictwa, ten stuknął obcasami i wskazał drzwi z napisem *HEIMFÜHRER*. Zapukała, a wtedy ze środka ktoś wrzasnął: „Wejść!”

– *Heil Hitler!* Czym mogę służyć? – spytał zza biurka przystojny dwudziestolatek w mundurze dowódcy HJ średniego szczebla.

Przypominał mi starszą wersję mojego dawnego ochroniarza Wolfganga: wysoki, wysportowany, jasnowłosy i niebieskooki, słowem – typowy hitlerowski Aryjczyk.

Matka odwzajemniła nazistowski salut.

– Czy tu składa się podania o przyjęcie?

Młody człowiek spojrział na nią z niedowierzaniem.

– O przyjęcie kogo? Jego? – Świdrował mnie wzrokiem, jakby wypatrzył jakiegoś paskudnego robala.

– Tak, mojego syna – odpowiedziała bez zmrużenia oka.

Mężczyzna aż się cofnął.

– Proszę natychmiast wyjść! Jeśli jeszcze to do pani nie dotarło, zmuszony jestem przypomnieć, że dla pani syna nie ma miejsca ani w naszej organizacji, ani w Niemczech, które budujemy. *Heil Hitler!* – Powiedziawszy to, wstał i demonstracyjnie otworzył drzwi.

Przez chwilę myślałem, że matka walnie go pięścią. Trzęsła się cała i patrzyła na niego z taką złością, jakiej nigdy w jej oczach nie widziałem. Ale zaraz się opanowała i wzięła mnie za rękę.

– Idziemy.

Przez całą drogę do domu żadne z nas nie odezwało się ani słowem. Czułem się winny, że naraziłem ją na przykrość i upokorzenie, poza tym bałem się, że będzie na mnie zła. Ale kiedy znaleźliśmy się w domu, matka tylko mnie przytuliła i się rozpłakała.

– Tak mi przykro, tak bardzo mi przykro – powtarzała raz po raz.

Nie mogłem na to patrzeć.

– Mutti, proszę cię, nie płacz – błagałem, ale i mnie łzy spływały po policzkach.

Rzadki widok, bo zwykle prześcigaliśmy się w zachowywaniu swoich smutków dla siebie. W końcu byliśmy Niemcami.

Dwa dni później nastąpił moment, którego najbardziej się obawiałem. Herr Schürmann z miną na granicy ekstazy wpisał do swojego wykresu dwa ostatnie nazwiska. Potem wziął gąbkę i starannie wymazał jedyny pusty kwadrat, podkreślając w ten sposób fakt mojego nieistnienia.

„Gratuluję wam, chłopcy! Właśnie dopięliśmy celu: mamy stuprocentowe członkostwo w HJ. Jestem z was niezmiernie dumny i wdzięczny za zaszczyt, jaki przynieśliście naszej klasie i mnie osobiście. Nie pozostaje mi nic innego, jak tylko przekazać dobrą nowinę panu dyrektorowi” – i wyszedł z klasy, by za kilka minut powrócić w towarzystwie Wriedego.

Dyrektor pochwalił klasę za „poświęcenie życia Adolfowi Hitlerowi i jego wizji Trzeciej Rzeszy”, a ponieważ była sobota i lekcje i tak kończyły się wcześniej, obiecany wolny dzień wyznaczył na poniedziałek. Wiadomość została przyjęta ogłuszającym rykiem radości, który ucichł dopiero, kiedy Wriede przypomniał, że to nie *Judenschule*, gdzie brak dyscypliny jest

czymś normalnym. Ponieważ żaden z nas nigdy nie chodził do żydowskiej szkoły, musieliśmy uwierzyć mu na słowo.

Obserwowałem to wszystko z rosnącym zakłopotaniem, gdyż byłem boleśnie świadom, że żadna z pochwał Schürmanna i Wriedego nie odnosi się do mnie. Moje nadwątlone morale podtrzymywała jedynie myśl, że nie muszę pokazywać się w szkole aż do wtorku. Do południa, kiedy wypuszczono nas do domu, zdążyłem odzyskać humor i, przechodząc przez hol, wygłupiałem się w najlepsze z kolegami, aż tuż przed opuszczeniem budynku usłyszałem znajomy ryk:

– Hej, ty! Chodź no tutaj!

Kiedy się obróciłem, zobaczyłem stojącego w drzwiach gabinetu dyrektora. Od razu wiedziałem, że to mnie woła, bo nigdy nie zdarzało mu się zwrócić do mnie po imieniu.

– Wejdź na chwilę, mam ci coś do powiedzenia.

Nagle poczułem, że tonę. Nie miałem pojęcia, o co mu chodzi, ale byłem przekonany, że wolałbym tego nie słyszeć. I okazało się, że instynkt mnie nie zawiódł.

– Jestem uczciwym człowiekiem – zaczął – i przypuszczam, że ty także jesteś uczciwy. Mam rację?

Zapewniłem go, że ma.

– To dobrze, bo w takim razie zgodzisz się ze mną, że byłoby bardzo nieuczciwie, gdybym dał ci wolny dzień, chociaż nie zrobiłeś nic, by na niego zasłużyć. Nie chciałbyś tego, prawda? Nie uważasz, że należy ci się coś za nic?

W ten sposób szydło wyszło z worka i od razu pojąłem, do czego Wriede pije.

– No więc...? – naciskał.

– Nie, ale...

– To dobrze – uciął. – Bo uzgodniłem już z Herr Dutkem, że spędzisz ten dzień w jego klasie. Czyli w poniedziałek meldujesz się u Herr Dutkego, zrozumiano?

– Tak – wykrztusiłem, chociaż w wieku dziesięciu lat naprawdę trudno mi było pojąć, dlaczego Wriede tak srogo mnie traktuje.

– To wszystko. *Heil Hitler!*

– *Heil Hitler!* – zasalutowałem i wyszedłem.

Znowu nie powiedziałem matce, co się stało. Byłem pewien, że gdybym to zrobił, na złość Wriedemu zatrzymałaby mnie w poniedziałek w domu, nie bacząc na konsekwencje. Dlatego, oszczędzając jej zmartwienia, poszedłem w poniedziałek do szkoły, jak gdyby nigdy nic, i zostałem „specjalnym gościem” w klasie Herr Dutkego. Powitany szyderczym uśmiechem, musiałem przez cały dzień znosić jego złośliwe rasistowskie uwagi.

## **Morellowie**

Fakt, że wszyscy moi koledzy z klasy zostali członkami Hitlerjugend, nie wpłynął w żaden sposób na nasze wzajemne stosunki. Nadal bawiliśmy się razem i odwiedzaliśmy się w domach, jak gdyby nic się nie zmieniło. Zbyt młodzi i naiwni, by postrzegać wszystko w szerokiej perspektywie, pozostawaliśmy całkowicie obojętni na wizualny paradoks: chłopak o wyraźnie afrykańskich genach bawi się w braterskiej harmonii z blondynami w nazistowskich mundurkach.

Chociaż moi koledzy byli gorliwymi *Jungvolk Pimpfe*, zaledwie kilku z nich naprawdę nawróciło się na ideologię nazistowską. Niektórzy zapisali się, żeby mieć z głowy Schürmanna i Wriedego, inni pod naciskiem ojców, którzy bali się o pracę. Reszta po prostu przyłączyła się do grupy, nie chcąc się wyróżniać, co rozumiałem aż za dobrze. Bez względu na motywy, większość po kilku miesiącach straciła zapał do aktywnej działalności. Zainteresowanie zebraniami, wycieczkami i demonstracjami przygasło, a w ciągu dwóch lat w ogóle wykruszyli się z organizacji. Wkrótce i dla mnie stało się oczywiste, że większość moich kolegów potraktowała Jungvolk jako przejściową modę, której czas minął.

Typowym przykładem takiej postawy był Eugen Braun, syn kowala. Jako jeden z pierwszych w sąsiedztwie zaczął nosić organizacyjny mundur i nawet udzielał się w zespole fanfarrowo-bębnowym swojego oddziału, ku zachwytowi jednych, a utrapieniu drugich; kiedy marszerowali w pobliżu, zewsząd rozlegał się trzask zamykanych okien. Ale po kilku miesiącach, zanim zdążyłem zupełnie zzielenieć z zazdrości, Eugen porzucił Jungvolk, odwiesił do szafy mundur i zajął się innymi sprawami.

Ta stosunkowo szybka utrata złudzeń co do HJ – co zauważyłem z dużą radością – nie przydarzyła się tylko mojej klasie, ale dała o sobie znać na terenie całej szkoły, a także – jak przypuszczam – miasta i poza jego granicami. Podejrzewam, że pomimo zmasowanej i bardzo nagłaśnianej obecności Hitlerjugend na nazistowskich wiecach, procent niemieckich chłopców i dziewcząt, którzy aktywnie i regularnie uczestniczyli w takich imprezach, był relatywnie niewielki. Naziści zamierzali przekuć Hitlerjugend w narzędzie, które zapewni im kontrolę nad niemiecką młodzieżą i pozwoli kształtować ją aż do chwili, kiedy dojrzeje do wstąpienia do partii. Z wyjątkiem nielicznych fanatyków, którzy podążyli za ustalonym kursem, plan ten pozostał utopią. Chodziły słuchy, że naziści chcieli podnieść żenującą liczbę członków HJ poprzez obowiązek członkostwa dla opornych. Na szczęście, kiedy ów plan wprowadzono w życie, wybuchła wojna, toteż nie przestrzegano go rygorystycznie, a z czasem całkowicie zarzucono.

Istniały też inne aspekty ruchu Hitlerjugend, które nigdy się nie przyjęły. Na przykład bardzo niewiele dziewcząt przestrzegało partyjnego dyktatu dotyczącego mody. Zdaniem naziistów, włosy (najlepiej blond) należało nosić splecione w warkocze i zwinięte w „ślimaczki” nad uszami, ewentualnie upięte w kok. Każda dziewczyna z mojej szkoły czy ulicy prędzej padłaby trupem, niż pokazała się w tego rodzaju fryzurze z propagandowego plakatu.

Wszystkie wołały zesać się po swojemu – na gładkiego pazia czy robiąc modną trwałą ondulację.

Podejrzewam, że ogromna większość mężczyzn z mojej dzielnicy związała się z nazistami z powodów dalekich od ideologii. Byli oni przede wszystkim rzemieślnikami, mechanikami, krawcami i rzeźnikami, a nie studentami czy politykami. System niemieckiej edukacji, który rezerwował średnie i wyższe wykształcenie dla elit intelektualnych, po prostu nie przygotowywał ich do politycznego i filozoficznego sposobu myślenia. Pod rządami Hitlera wielu z nich znakomicie się powodziło, czego nie spodziewali się nawet w najśmielszych marzeniach. Mieli stałą pracę, ulgę podatkową na liczne dzieci, darmową opiekę zdrowotną i wiele innych nieznanych dotąd korzyści. W ich przekonaniu partia polityczna, która wywiązała się z obietnicy likwidacji bezrobocia, tej zmory klasy pracującej, zasługiwała na poparcie. Ich monstrualną, niedającą się wymazać winą jest to, że korzyści, którymi cieszyli się pod rządami nazistów, uczyniły ich ślepych i głuchymi na cierpienia i śmierć niezliczonej rzeszy współobywateli, uznanych przez władze za niepożądanych.

Do takich szeroko nagłaśnianych świadczeń, które uatrakcyjniły nazizm w oczach „szarego człowieka”, należały wszechobecne programy *Kraft durch Freude* (siła przez radość). Stworzono je po to, by utrzymać pracujących ludzi w dobrej formie przez dostarczenie im rozrywki na miarę ich możliwości finansowych – od wizyt w operze i teatrze do rejsów wycieczkowych po Morzu Śródziemnym na luksusowych, specjalnie w tym celu zbudowanych statkach. Niektórzy wstępowali do partii, bo spodobał im się mundur, parady i inne paramilitarne imprezy, z których słynęli naziści. Poza prestiżem i szerokim wachlarzem nowych aktywności partia nazistowska wносиła do monotonii proletariackiego życia powiew ekscytacji, sprawiała, że jej członkowie czuli się jak *macho* czy nawet jak bohaterowie. A nade wszystko zapewniała strukturę, która przydawała ważności ich ulubionemu sposobowi spędzania czasu – hulankom i wystawianiu na ulicy z kumplami.

Przykładem człowieka, który dzięki partii nazistowskiej całkowicie odmienił styl życia i tożsamość, był Wilhelm Morell, typowy robotnik. Ten łysy mechanik, oddany mąż korpu-lentnej żony, ojciec mojego kumpla Karla i jego dwóch braci Hansa i Gerda, pracował w największym domu towarowym znanej sieci. Wszyscy synowie odziedziczyli po ojcu szeroką, słowiańską twarz. Morellowie mieszkali tuż za rogiem, w malutkim mieszkanku na parterze, przy końcu uliczki piętrowych szeregowych domków, łączącej Stückenstrasse z Haferkamp, gdzie znajdowała się kuźnia Eugena Brauna.

Na moich oczach Herr Morell przeszedł najbardziej zdumiewającą transformację, która w pewnym stopniu tłumaczy, co przeciętnego Niemca przyciągało do partii nazistowskiej. W ciągu zaledwie kilku miesięcy od wstąpienia Herr Morell stał się zupełnie inną osobą. Z bezbarwnego, cichego i skromnego pracusia, który szaleństwo wyobrażał sobie jako kilka kufli z kumplami w pobliskiej piwiarni, wyrósł świetnie umundurowany drugorzędny funk-

cjonariusz, który z determinacją bobra budującego tamę, krążył dumnie po okolicy, nieustannie wyszukując sobie nowe obowiązki. Fakt, że jego nowe stanowisko *Blockleitera* (strażnika kwartału) było niepłatne i niepełnoetatowe, nie umniejszało w niczym jego zapału. Jako oczy i uszy partii w naszym kwartale, Morell zajmował się olbrzymią liczbą spraw, poczynając od nadstawiania ucha na antynazistowskie wypowiedzi, a kończąc na składaniu wniosków o *Mutterkreuze* (Krzyże Matki) dla kobiet, które urodziły czworo lub więcej aryjskich dzieci, i śledzeniu, czy odbiorcy zasiłków społecznych przypadkiem nie żyją ponad stan. Poza tym uczęszczał na zebrania, maszerował w paradach, wystawał godzinami na zimnie, potrząsając puszką podczas zbiórek pieniędzy na różne nazistowskie akcje charytatywne, w tym szczytną *Winterhilfswerk* (Dzieło Pomocy Zimowej), której hasło brzmiało: „*Keiner soll hungern! Keiner soll frieren!*” (Nikt się nie zagłodzi, nikt nie zamarznie). Chodził też po domach, rozdając napastliwą literaturę antysemityczną.

*Parteigenosse* (towarzysz partyjny) Morell uwierzył bez zastrzeżeń, że przyczyną wszelkiego zła są Żydzi, chociaż szczerze wątpię, czy w naszej robotniczej dzielnicy miał okazję spotkać twarzą w twarz przedstawicieli tej rasy, a cóż dopiero doznać od nich jakiejś krzywdy. Jednocześnie wykazywał totalną ślepotę na kolory, jeśli chodzi o moją osobę. Z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu jego bigoteryjna mentalność mnie nie obejmowała. Przeciwnie, jako najbliższy kolega Karla uczestniczyłem w większości działań Morellów, którzy traktowali mnie niemal jak członka rodziny. Ku niezadowoleniu matki, która szczerze znienawidziła nazistów, byłem stałym gościem w domu największego partyjniaka w naszym kwartale – w jaskini lwa, że tak powiem. Ale ponieważ lubiła Karla i nie chciała psuć naszej przyjaźni, jedynie odwracała wzrok, zaciskając przy tym zęby.

Jako lojalnemu oku partii, nie mogło umknąć uwagi Herr Morella, że w narodowe święta nie wywieszamy w oknie flagi ze swastyką, co stało się niepisanym prawem. Kiedy zapytał matkę o powód tego poważnego uchybienia, wyjaśniła, że po prostu nie stać jej na zakup flagi, co – jak wiedziałem – było tylko połową prawdy. Herr Morell odrzekł na to, że ma się nie martwić, i już następnego dnia podarował jej nowiutką chorągiew ze swastyką na drzewcu wraz z pozdrowieniami od jego partyjnej jednostki. Pofatygował się nawet osobiście na nasze poddasze i własnymi rękami zamontował flagę za jednym z okien. Nie było mowy o żadnych wykrętach, toteż matka w końcu zdecydowała wywieszać ją w świąteczne dni, żeby uniknąć kłopotów.

Co dziwniejsze, a do tego sprzeczne z tym, czego można by oczekiwać po synach najgorliwszego nazisty w okolicy, tylko jeden z synów Morella aktywnie działał w Jungvolk. Hans, najstarszy, udzielał się jako *Pimpf*, regularnie pełnił różne funkcje, natomiast Karl, przy milczącej akceptacji ojca, należał do organizacji tylko na papierze i nigdy nawet nie chodził na zebrania. Gerd, ze względu na wiek, w ogóle się nie zapisał. Kiedy zapytałem Karla, dlaczego ojciec pozwala mu się tak migać, odpowiedział, że początkowo próbował go zmuszać

do uczestnictwa w zebraniach, ale w końcu go to znużyło. „Przynajmniej dopóki formalnie jestem członkiem, tak żeby mógł każdemu pytającemu powiedzieć, że należę do HJ, obiecał się nie czepiać” – wyjaśnił mi Karl.

Dzięki wieloletnim bliskim kontaktom z Morellami, miałem zawsze informacje z pierwszej ręki o wszystkich prywatnych sprawach mieszkańców, a zwłaszcza o tym, kogo uznawano za lojalnego towarzysza, a na kogo trzeba uważać, bo niedbale wypełnia obowiązki. Herr Morell nie mógł się oprzeć skłonności do plotkowania z rodziną i przyjaciółmi o tym, czego dowiedział się w wyniku swoich różnych dochodzeń. Trzymając usta zamknięte, a uszy otwarte, dowiedziałem się, na przykład, że jeden z naszych sąsiadów siedzi w więzieniu za pogwałcenie paragrafu 175 niemieckiego kodeksu karnego, który uznawał stosunki homoseksualne za przestępstwo. Herr Morell zdawał się mieć haki na każdego, kto zbłądził (albo chociaż sprawiał takie wrażenie) z wąskiej ścieżki cnoty, z partyjnymi kumplami włącznie. „Miał już dwa ostrzeżenia – powiedział kiedyś. – Jak złapiemy go znowu, to wyleci z partii.”

Chociaż wiele z tych rewelacji, których słuchałem, udając głupka, podczas rozmów Morella w ścisłym kółku przyjaciół, przerastało moją zdolność pojmovania, zapadały mi jednak w pamięć. Potem wystarczyło tylko dodać dwa do dwóch, żeby wyszło cztery.

## **Herr Dutke**

Trzeba by mnie porządnie przycisnąć, żebym zdecydował, który z dwóch największych bigotów wśród moich nauczycieli jest groźniejszy – Herr Wriede czy Herr Dutke. Dutke z widoczną przyjemnością obnosił w klasie nazistowski mundur, chcąc nadać świąteczną oprawę swoim lekcjom folkloru, które traktował głównie jako okazję do szerzenia nienawiści rasowej.

„Przestań się szczerzyć! Co to za murzyński uśmiech – wysyczał raz, kiedy mnie przyłapał na niewinnych żartach z kolegami. – Murzyni nie mają powodu do śmiechu w narodowo-socjalistycznych Niemczech.” Aby to podkreślić, często kazał wychodzić na środek klasy uczniom najbardziej zbliżonym do aryjskiego ideału i wskazywał pożądane cechy: blond włosy, niebieskie oczy, „szlachetnie ukształtowaną czaszkę”. Paradoksalnie, za plecami tego arcynazisty moi koledzy określali go słowem, którego matka raz na zawsze zabroniła mi używać w obraźliwym kontekście. Mówili na niego „Żyd” – częściowo ze względu na duży, haczykowany nos, a częściowo z powodu wybitnej smykałki do interesów. Obie te cechy naziści uważali za nieomylnie żydowskie. Dutkego, partyjnego pionka, który nauczał także muzyki i fizyki, znano w całej szkole z tego, że nie przepuszczał żadnej okazji powiększenia swojej nauczycielskiej pensji za pomocą różnych, raczej podejrzanych transakcji. Chociaż jego interesy wydawały się wysoce nieetyczne, jeśli nie nielegalne, uchodziły mu na sucho, prawdopodobnie z powodu przynależności do partii.



Dutke nienawidził mnie serdecznie nie tylko ze względu na swoje nazistowskie przekonania, ale także dlatego, że przy dwóch okazjach absolutnie niechcący utrudniłem mu połączenie edukacji z typową dla niego skłonnością do naciągania uczniów.

Jako nauczyciel muzyki ogłosił pewnego dnia, że chętnie nauczy klasę grać na harmonijce ustnej (którą to sztukę zdążyłem już wcześniej opanować na własną rękę). W tym celu każdy powinien kupić sobie instrument i tak się składa, że on poprzez swoje specjalne koneksje może nam go załatwić po specjalnej cenie.

Jak się okazało, wszyscy moi koledzy chętnie z tego skorzystali i po naradzie z rodzicami złożyli zamówienia. Jediną osobą w klasie, która nie kupiła instrumentu, byłem ja, ale nie dlatego, że chciałem popsuć Dutkemu jego interesik na boku, tylko po prostu miałem już organki, i to znacznie lepsze od tamtych. Kiedy rok wcześniej nauczyłem się grać na tanim instrumencie, matka w nagrodę kupiła mi dość kosztowne i luksusowe chromatyczne organki Hohnera. Dutke jednak moją odmowę przyjął jako osobisty afront i w odwecie zabronił mi przynoszenia mojego instrumentu do klasy, chociaż miał tę samą tonację, a także wszelkiego uczestnictwa w zajęciach.

Podobny scenariusz rozegrał się na lekcji fizyki, kiedy Dutke próbował nas nauczyć, jak działa kryształkowe radio detektorowe. Po kilku wykładach na ten temat pojawił się w klasie z pojedynczą słuchawką, do której wlutował – dość zmyślnie – miniaturowy zespół obwodów elektrycznych kryształkowego radia. Potem zademonstrował nam swój wynalazek: wystarczy tylko przyczepić do kranu jeden z dwóch drucików wychodzących ze słuchawki w celu uziemienia, a drugi trzymać w górze jako antenę, i proszę – już można słuchać hamburskiej rozgłośni miejskiej Norddeutscher Rundfunk.

Następnie poinformował klasę, że za jedyne kilka marek każdy z nich może stać się dumnym posiadaczem „kieszonkowego radia detektorowego”. Ponieważ telewizja pozostawała jeszcze w fazie projektów, a jako środek masowej komunikacji bezdyskusyjnie królowało radio, urządzenie Dutkego, które wydawało się prekursorem radia tranzystorowego, wywarło na wszystkich ogromne wrażenie. Fakt, że można będzie słuchać radia, kiedy tylko przyjdzie ochota, stanowił straszliwą pokusę, toteż wielu kolegów postanowiło wyciągnąć od rodziców gotówkę na zakup owej intrygującej zabawki.

Przenośne miniaturowe radyjko, które nie wymaga ani baterii, ani połączenia z siecią, tak mnie zaciekawiło, że po przyjeździe do domu zabrałem się od razu do majstrowania na własną rękę. Ślęczałem nad tym całą niedzielę i w rezultacie skonstruowałem drewniane pudełeczko, do którego włożyłem zespół obwodów i słuchawkę z kryształkowego radia. Zasadniczo moje radyjko działało tak samo jak pozbawiona obudowy słuchawka Dutkego.

Kiedy przyniosłem moje dzieło do szkoły i zademonstrowałem je kolegom, wzbudziłem ich niekłamanym podziw. Ale jeśli liczyłem na podobne uznanie ze strony Dutkego, to spotkała mnie niespodzianka. Nie bacząc na fakt, że w całej klasie tylko ja jeden nie szczędziłem wy-

siłku, by wykorzystać w praktyce jego lekcję, zgromił mnie za marne naśladownictwo jego własnego wynalazku i zakazał przynosić do klasy ten „szmelc”.

Byłem zdruzgotany, podobnie jak kilku kolegów, którzy próbowali mnie pocieszać; według nich Dutke tylko dlatego tak się wkurzył, że teraz nie mógł sprzedać mi swojej słuchawki. Oczywiście mieli sporo racji, ja jednak wiedziałem, że jest jeszcze jeden powód: kolor mojej skóry.

Te podejrzenia wkrótce się potwierdziły. Kiedy jeden z uczniów, przecząc twierdzeniu Dutkego, iż ludzie „innej niż aryjska” krwi są fizycznie i intelektualnie gorsi, wysunął jako argument moje osiągnięcia w nauce i sporcie, ten zmieszał go z błotem za to, że śmie się z nim nie zgadzać. Potem pouczył klasę, że mój przypadek to tylko wyjątek potwierdzający regułę, a poza tym wszystkie swoje „normalne” cechy na pewno odziedziczyłem po aryjskiej matce. Nie licząc się w najmniejszym stopniu z moimi uczuciami, zasugerował, że w moim przypadku ostatnie słowo nie zostało jeszcze powiedziane i wciąż istnieje możliwość, że ta gorsza krew ujawni się w takiej czy innej formie. „Można na wiele sposobów okazać się gorszym rasowo – argumentował. – Wcale bym się nie dziwił, gdyby wasz kolega okazał się kiedyś elementem aspołecznym, na przykład kryminalistą albo alkoholikiem. Może zresztą już być podatny na choroby prowadzące do debilizmu.”

Po przekazaniu tych rewelacji Dutke kazał mi zostać w klasie po dzwonku. „To, co mam ci do powiedzenia, nie zajmie wiele czasu – zaczął, upewniwszy się, że wszyscy już wyszli. Patrząc na mnie z nieskrywaną nienawiścią przez grube szkła w rogowych okularach, zbeształ mnie za nastawianie klasy przeciwko niemu i brak szacunku widoczny w ciągłym «muryńskim uśmiechu». – Posłuchaj no, młody człowieku – dodał na koniec. – Nie bądź taki cwany, bo kiedy skończymy z Żydami, zabierzemy się za takich jak ty. To wszystko. *Heil Hitler!*”

Chociaż nie dotarło do mnie w pełni, co rozumie przez „skończenie z Żydami”, wiedziałem, że są najbardziej znienawidzoną, a zatem najbardziej zagrożoną grupą w kraju. Przez chwilę białem się z myślami, czy opowiedzieć o tej rozmowie matce, ale ostatecznie postanowiłem tego nie robić. Co by mi to dało? Tylko sprowokowałbym ją do awantury, z której nie wyszłaby zwycięsko. Dlatego zostawiłem sprawy własnemu biegowi w nadziei, że Dutke ze swoim prorocstwem po prostu rozpułnie się w powietrzu.

## **Hańba Nadrenii**

Kiedy przyszedłem do szkoły pewnego ranka na początku marca 1936, w całym budynku aż wrzało od emocji, które emanując od nauczycieli, szybko udzieliły się uczniom. Poinformowano nas, że Führer właśnie odniósł wielki sukces. Oto w proteście przeciwko traktatowi wersalskiemu rozkazał swoim oddziałom wkroczyć do zdemilitaryzowanej Nadrenii, landu

graniczącego z Francją. Przez chwilę cały kraj wstrzymywał oddech w oczekiwaniu na srogi odwet ze strony zachodnich mocarstw, ale nic takiego nie nastąpiło.

Wezwawszy całą szkołę do auli, Herr Wriede wypiął dumnie pierś i obwieścił, że dzięki odwadze naszego ukochanego Führera „zakończył się jeden z najbardziej haniebnych rozdziałów w historii Niemiec”. Następnie zaczął się rozwodzić na temat straszliwego upokorzenia, jakiego doznały Niemcy ze strony aliantów. Zmusili oni nasz kraj do wycofania wojsk z Nadrenii, by zmniejszyć rzekome niebezpieczeństwo agresji. „Ale dzięki naszemu Führerowi wy, chłopcy niemieccy, znowu możecie chodzić z wysoko podniesioną głową.”

Już miałem przyłączyć się do tej powszechnej dumy i rzeczywiście podnieść nieco wyżej głowę, kiedy Wriede na mojego ducha nałożył tłumik. Wyjaśnił mianowicie, że nakaz wycofania niemieckich wojsk po I wojnie otworzył drogę kolejnej „straszliwej obrazie” narodu niemieckiego – nielegalnej okupacji węglowego Zagłębia Ruhry przez około czterdziestotysięczną armię „barbarzyńskich francuskich czarnuchów”. Tym dzikusom z afrykańskiej dżungli – tłumaczył nam z wyrazem najwyższego obrzydzenia – francuscy dowódcy pozwolili dowolnie mieszać się i fraternizować z miejscowymi Niemcami. Skutki tej decyzji okazały się katastrofalne, gdyż Nadrenię zalały tysiące fizycznie i umysłowo upośledzonych dzieci. Dzisiejsza odważna akcja Führera na zawsze zapobiegnie nawrotowi tak upokarzającego naruszenia niemieckiej suwerenności.

Nasz dyrektor nie wspomniał jednak o tym, że Hitler już zdążył wprowadzić w życie radykalny program, który przewidywał obowiązkową sterylizację, a nawet eksterminację „nadreńskich bękartów”. Plany te jawnie popierał minister rolnictwa Richard Walther Darré, który już w 1933 roku pisał: „Likwidacja pozostałości po czarnej hańbie Nadrenii jest sprawą najwyższej wagi. Ci mali mulaci zostali spółdzeni albo wskutek gwałtu, albo dlatego że ich białe matki były kurwami. Nie mamy absolutnie żadnych moralnych obowiązków wobec tego obcego rasowo potomstwa. Minęło prawie czternaście lat; ci mulaci, którzy przeżyli, wkraczają właśnie w wiek dojrzewania, nie ma więc czasu na długie dyskusje. Niech Francja i inne państwa rozwiązują swoje rasowe problemy, jak się im podoba, ale dla nas jest tylko jedno rozwiązanie: eksterminacja wszystkiego, co obce, szczególnie w przypadku tych, którzy przez gwałt i niemoralność sprowadzili na świat kaleki. Jako Nadreńczyk żądam sterylizacji wszystkich mulatów, którzy spadli nam na kark wskutek nadreńskiej hańby.

Akcja powinna potrwać przez następne dwa lata. Inaczej będzie za późno, przez co skutki skażenia rasy będą odczuwalne jeszcze przez setki lat. Prawne zapobieganie małżeństwom z obcymi rasowo elementami jest nieskuteczne, ponieważ to, co nie jest możliwe legalnie, zwykle dzieje się poza prawem”.

Z powodu polityki rasowej Francji Hitler uznał ją za „najstraszliwszego wroga”. Jak pisał w *Mein Kampf*: „Ten naród [Francuzi], coraz bardziej popadający w zmurzynienie, oznacza w swoim powiązaniu z celami żydowskiego panowania nad światem, niebezpieczeństwo czy-

hające na europejską białą rasę. Albowiem zapowietrzenie poprzez murzyńską krew nad Renem w sercu Europy odpowiada sadystyczno-perwersyjnej żądzy odwetu tego szowinistycznego odwiecznego wroga naszego narodu równie silnie, co lodowato zimnej kalkulacji Żydów. Chodzi w niej o rozpoczęcie na tej drodze bastardyzacji kontynentu europejskiego w samym jego środku i o pozbawienie podstaw do samodzielnej egzystencji białej rasy poprzez jej zakażenie człowieczeństwem gorszego gatunku.

To, co Francja, pobudzona własną żądzą odwetu, wiedziona z rozmysłem przez Żydów, wyczynia dzisiaj w Europie, jest grzechem przeciwko białej ludzkości. Będzie on z czasem sprowadzał na ten naród wszystkie duchy zemsty rodzaju ludzkiego, który w pohańbieniu rasy rozpoznał grzech pierworodny ludzkości”.

Dalej Hitler przewiduje, że: „jeśliby rozwój Francji postępował w dzisiejszym stylu jeszcze przez trzysta lat, to ostatnie resztki frankijskiej krwi zaniknęłyby w tworzącym się euro-pafrykańskim państwie Mulatów. Potężny, zamknięty obszar osadnictwa od Renu aż po Kongo, wypełniony podrzędną rasą, tworzącą się powoli wskutek nieustannej bastardyzacji”.<sup>14</sup>

Złowrogi plan Hitlera, zmierzający do sterylizacji, a następnie wymordowania dzieci mieszanej rasy w „wyzwolonej” Nadrenii, wydawał się niepokojąco bliski realizacji. Ale dzięki Bogu o losie owych nieszczęśników dowiedziałem się dopiero po wojnie, toteż na kilka lat oszczędzono mi obaw, że mógłbym podzielić ich tragiczny los.

## Nowi idole

Latem 1936 moje poobijane ego dostało zupełnie niespodziewanie potężnych skrzydeł. Impulsem byli dwaj młodzi czarni amerykańscy sportowcy – zawodowy bokser Joe Louis i lekkoatleta amator Jesse Owens. Obaj wywarli trwały wpływ na moje życie, napełniając mnie prawdziwą dumą z mojego afrykańskiego dziedzictwa w czasach, kiedy miałem niewiele ku niej powodów.

Wiosną 1936 rozeszła się w Niemczech pogłoska, że młody czarny Amerykanin ma walczyć z Maxem Schmelingiem, czyli nazistowską wersją Wielkiej Białej Nadziei<sup>15</sup>. Joe Louis był dwudziestodwuletnim automatem do boksowania, który dzięki nieprzerwanemu ciągowi nokautów zyskał pseudonim Brown Bomber. Widziano w nim głównego kandydata do przejęcia tytułu mistrza świata wagi ciężkiej, który należał wówczas do jego białego rodaka, Jamesa J. Braddocka.

Gdy tylko nowina dotarła do naszej dzielnicy, wszystkie oczy znowu zwróciły się w moją stronę. Jak się okazało, nie tylko biali Amerykanie uważają, że „wszyscy czarni są do siebie podobni”, bo większość moich kolegów uparcie twierdziła: „Wyglądasz dokładnie jak Joe Louis”. I chociaż amerykański bokser ważył co najmniej 75 kilogramów więcej, i tak każdy

chłopak w okolicy uważał, że ze wszystkich kumpli właśnie mnie jest najbliżej do *Braune Bombera*. Nie mogłem się z tym nie zgodzić.

Do moich koleżków dotarło wreszcie, że faceta, który miał doprowadzić do klęski najlepszego boksera na kontynencie europejskim, łączy ze mną nie tylko wygląd, ale co ważniejsze, w naszych żyłach płynie taka sama tajemnicza, wszechpotężna afrykańska krew. Im głośniej niemiecka prasa zachwalała fenomenalną siłę ciosu Brown Bombera, tym bardziej rosły moje notowania u rówieśników. Nigdy się nie zdradziłem, że jak każdy zatwardziały hamburski *Junge*, zawsze kibicowałem Schmelingowi, herosowi z naszego miasta. Skoro jednak moi rówieśnicy okrzyknęli mnie sukcesorem Louisa, poczułem się w obowiązku zapomnieć o lokalnym patriotyzmie i poprzeć czarnego brata ze Stanów. Kosztowało mnie to sporo zmagania z samym sobą, bo jak każdy wrażliwy dziesięciolatek, do lojalności wobec idola przywiązywałem dużą wagę. I nagle wydarzyło się coś, co znacznie ułatwiło mi decyzję. Natknąłem się mianowicie na cytata z rzekomej wypowiedzi mojego bohatera, w której ten obiecywał „zmienić kolor tego czarnucha Brown Bombera z brązowego na sinozielony”. Uwaga ta (której zresztą podobnie jak innych tego typu Schmeling po upadku Trzeciej Rzeszy zdecydowanie się wypierał) dotknęła mnie do żywego. Uznałem, że mój idol mnie zdradził i już bez żadnych skrupułów zmieniłem barwy, stając po stronie człowieka, o którym wszyscy mówili, że wygląda identycznie jak ja.

Chociaż nazistowska prasa przedstawiała Louisa jako groźnego przeciwnika, podkreślała jednak, że to po prostu kupa mięśni z kurzym mózdzkiem. Przewidywano, że inteligencja Schmelinga w połączeniu z jego znakomitą techniką i doświadczeniem zapewni mu przewagę.

Zainteresowanie nazistów boksem jako takim, a Schmelingiem w szczególności, nie wzięło się z przypadku. Hitler, pielęgnując swoje wygórowane marzenia o światowym współzawodnictwie, oczekiwał, że niemieccy chłopcy wyrosną na mężczyzn „twardych jak podeszwy, szybkich jak charty i wytrzymałych jak stal Kruppa”. W tym celu zarządził, aby fizyczna sprawność niemieckiej młodzieży, a chłopców w szczególności, stała się oczkiem w głowie nazistowskiej edukacji. Max Schmeling, człowiek wybrany przez maszynę Goebbelsowskiej propagandy na symbol takich męskich cnót jak siła, refleks, wytrzymałość, odwaga i nieskazitelny tryb życia, niespecjalnie się do tego nadawał. Po pierwsze, ten chronicznie niedogolony brunet o perkatym nosie i krzaczastych brwiach, nie miał ani jasnej karnacji, ani niebieskich oczu, czyli cech faworyzowanych przez twórców aryjskiego mitu. Poza tym miał już trzydzieści jeden lat i wielu znawców boks-u uważało go za spadającą gwiazdę. Ale że na bezrybiu i rak ryba, eksczempion wagi ciężkiej Max Schmeling został okrzyknięty wzorem niemieckiego superatlety.

W roku 1930 jako pierwszy i jedyny Niemiec zdobył tytuł mistrza świata wagi ciężkiej w walce z Amerykaninem Jackiem Sharkeyem, którego zdyskwalifikowano za cios poniżej

pasa. Dwa lata później utracił go w rewanzu. Ale dzięki niesamowitej kampanii prasowej, która uczyniła go idolem mojego pokolenia, otrzymał szansę na powrót do kariery.

19 czerwca, w dzień walki, każdy osobnik płci męskiej z mojej dzielnicy mówił wyłącznie o meczu. Chociaż większość kibicowała Schmelingowi, wielu miało poważne wątpliwości, czy będzie on w stanie wytrzymać niesamowitą siłę ciosu czarnego Amerykanina. Ilekroć włączałem się do dyskusji, chłopaki z mojej ulicy natychmiast powoływali się na mnie jako na autorytet w sprawie Joego Louisa. Świadom swojej nowej pozycji, gorliwie sypałem szczegółami i zapewniałem, że Louis położy kres ambicjom Schmelinga. Ponieważ przeczytałem i zapamiętałem wszystko na temat Amerykanina, co tylko wpadło mi w ręce, mogłem służyć ciekawostkami z życia mojego bohatera, począwszy od zadziwiającej statystyki jego osiągnięć po opisy nokautowania przeciwnika jednym ciosem każdej pięści. Kumpie słuchali tego z zapartym tchem, a ja rozsmakowywałem się własną ważnością. Cudownie było patrzeć, jak ci, którzy zwykle chełpili się przynależnością do białej rasy, z respektem wymawiali nazwisko czarnego boksera, zwłaszcza że odrobina tego respektu spadała i na mnie. Tak wielkiej dumy z afrykańskich przodków nie czułem, odkąd dziadek wyjechał z Niemiec, czyli od sześciu lat, co wydawało mi się wiecznością.

Nie mogłem się doczekać końca tego dnia. Początek walki na nowojorskim stadionie Jankesów zaplanowano na dziewiątą wieczorem miejscowego czasu. Ponieważ w Niemczech była wtedy trzecia w nocy, poprosiłem matkę, żeby nastawiła mi budzik na drugą (na wszelki wypadek). Zamierzałem słuchać transmisji na moim zaufanym zestawie kryształkowym. Punktualnie o drugiej obudził mnie przeraźliwy dzwonek. Musiałem jeszcze odczekać nieznośnie długą godzinę, podczas której niemiecki sprawozdawca opisywał napiętą atmosferę wśród blisko czterdziestu tysięcy widzów. Wreszcie usłyszałem gong na początek pierwszej rundy. Przez pierwsze trzy śledziłem z radością przewagę Brown Bombera, którego sierpowe i proste doprowadziły Schmelinga do zamknięcia lewego oka. Potem, w czwartej rundzie zdarzyło się coś totalnie zaskakującego, wręcz niemożliwego. Dwa proste ciosy Niemca w podbródek Joego Louisa posłały go na deski i zaczęło się wyliczanie do czterech. Wrzeszczałem co sił w płucach, żeby wstawał, ale usłyszała mnie tylko matka, która przybiegła zobaczyć, co się dzieje.

– Joe znokautowany! – krzyknąłem. – Ma kłopoty!

Nie do końca dotarło do niej znaczenie tego, co usłyszała, poza tym nie chciała być znów obudzona, więc poprosiła tylko, żebym tak się nie darł.

– To tylko mecz – próbowała mnie pocieszyć. – Nie możesz brać tego tak poważnie.

W żaden sposób nie mogłem jej wytłumaczyć, że ten czarny mężczyzna za oceanem walczy nie tylko za siebie, ale i za mnie, że jego zwycięstwo będzie moim zwycięstwem, a jego porażka – uchowaj Boże! – moją straszliwą katastrofą.

Aż do tej chwili nawet przez myśl mi nie przeszło, by Joe Louis mógł przegrać walkę. Teraz pojawiło się wyraźne niebezpieczeństwo, że Schmeling, z szansą jeden do dziesięciu, poprawi wynik i okaże się zwycięzcą. Jeśli do tego dojdzie, co powiem chłopakom z sąsiedztwa? Przecież im przysięgałem, że Joe spierze Maxa na kwaśne jabłko! Jak ja im teraz spojrzę w oczy? Te i podobne myśli dręczyły mnie, kiedy wiadomości ze stadionu Jankesów zmieniły się ze złych na jeszcze gorsze, a potem na wręcz nie do zniesienia. Louis, który najwyraźniej poważnie ucierpiał od ciosu w podbródek we wcześniejszej rundzie, odbierał teraz jeden cios za drugim, ale wciąż trzymał się na nogach, podtrzymywany chyba tylko siłą woli. W dwunastej rundzie (z piętnastu planowanych) ziścił się mój największy koszmar: Schmeling zakończył mecz solidnym prawym ciosem w szczękę Louisa, który padł na deski i dał się wyliczyć do dziesięciu. Facet nie do pobicia, moja przepustka do prestiżu i szacunku rówieśników, został unicestwiony!

Długo nie mogłem zasnąć. Leżałem na łóżku, rozpamiętując każdą bolesną chwilę ostatniej godziny walki, aż wreszcie kamienny sen położył na jakiś czas kres mojej męce. Najgorsze jednak miało dopiero nadejść. Następnego dnia – niedzielę – przesiedziałem w domu, żeby nie natknąć się na któregoś z chłopaków. Wiedziałem jednak, że nie mogę się wiecznie ukrywać. W poniedziałek, czy mi się to podobało, czy nie, musiałem pójść do szkoły. Ledwie wszedłem do klasy, przywitał mnie huragan śmiechu tych, którzy jeszcze dwa dni wcześniej patrzyli na mnie z podziwem. „Co się stało z twoim Brown Bomberem?” – spytał ktoś drwiąco. „Brown Bomber wymiękł” – zawtórował mu drugi. „Zdawało mi się, że Louis umie walczyć? – sztydził kolejny. – Tak mówiłeś, nie? To jakim cudem Max przerobił go na worek treningowy? Powiem ci, dlaczego tak się stało: bo Louis to czarnuch i tchórz!”

Patrzył przy tym takim wzrokiem, że resztę z łatwością sobie dośpiewałem: „Coś ci się nie podoba? To stawaj!”. Nie biorąc pod uwagę, że jest ode mnie o rok starszy i odpowiednio większy (powtarzał piątą klasę), rzuciłem się na niego z pięściami i obsypałem takim gradem prawych i lewych, że Joe Louis mógłby być ze mnie dumny.

Symbolizm tej sceny szybko dotarł do moich kolegów z klasy, bo utworzyli wokół nas krąg i, zamiast kontynuować swoje żarty, zaczęli mnie dopingować: „Dołóż mu, Joe Louis! Znokautuj go, Joe! Jeszcze jeden prawy, Joe! Gdzie twój lewy sierpowy?”.

Brutalny atak kompletnie zaskoczył mojego przeciwnika. Straciwszy równowagę, padł jak długi na plecy, ale ja w ferworze walki ani myślałem przestać go okładać. Całe rozgoryczenie, gniew i wstyd, jakie czułem po klęsce mojego bohatera, znalazły ujście w biciu. Zanim jednak zdołałem koleśka poważnie skrzywdzić, ktoś złapał mnie z tyłu i odciągnął.

– Co to ma znaczyć?! – rozległ się głos Herr Dutkego, który niepostrzeżenie wszedł do klasy.

– On powiedział, że Joe Louis przegrał walkę, bo jest Murzynem i tchórzem! – próbowałem się usprawiedliwiać.

– To nie powód, by kogoś bić – ryknął Dutke. – Nie możesz tłuc każdego, kto nie uważa Hotentotów za najlepszych bokserów na świecie. Max Schmeling pokazał w najbardziej przekonujący sposób, że murzyńska brutalna siła nie wystarczy, by pokonać aryjskiego przeciwnika o wyższej inteligencji. Jego wspaniałe zwycięstwo udowodniło przewagę nie tylko Niemiec, ale wszystkich Aryjczyków, jak świat długi i szeroki. A teraz przepros kolegę za to, że go pobijeś!

Nie zamierzałem tego zrobić, bez względu na konsekwencje.

– Słyszałeś?! Kazałem ci go przeprosić! – wrzasnął Herr Dutke.

Łypnąłem na niego ze złością, nie odzywając się ani słowem. Zanim jednak Dutke zdążył zareagować, do klasy wszedł Herr Schürmann, nasz wychowawca. Dutke skwapliwie poinformował go o incydencie, ale według swojej wersji, zgodnie z którą wpadłem w szal i pobiliem kolegę, ponieważ ten uznał Schmelinga za lepszego boksera niż Joe Louis. Zdumiała mnie ta niesprawiedliwość, ale nadal się nie odzywałem. Dutke przed wyjściem zalecił surową karę dla „tego dzdiczalego łobuza”, a Schürmann obiecał podjąć „odpowiednie działanie”.

Gdy tylko Dutke opuścił klasę, wychowawca wysłuchał mojej wersji sporu, co klasa zgodnie potwierdziła. Herr Schürmann udzielił mi surowego ostrzeżenia, bym trzymał swój temperament na wodzy, ale karę zawiesił. Takie samo ostrzeżenie wystosował pod adresem mojego oponenta, któremu zostało na twarzy kilka siniaków i zadrapań. Kazał mu się powstrzymać od wygłaszania rasistowskich uwag. Następnie powiedział klasie, że on też słuchał transmisji, a chociaż Louis został pokonany, to przegrał z honorem, utrzymując się na nogach o co najmniej pięć rund dłużej niż to możliwe przy tak brutalnym ataku.

Poczułem się zrehabilitowany w oczach klasy i chociaż jeszcze nie raz słyszałem o genialnym Schmelingu, który sprął tego półgłówka Louisa, dochodziły mnie też pochlebne komentarze na temat Amerykanina i jego nadludzkich wysiłków, by utrzymać się na nogach. Nigdy nie sądziłem, że przegrywając walkę, Joe Louis mnie także pogrążył, ale jego porażka jednak bardzo mnie dotknęła. Teraz ucieszyłem się, że wiele osób szanuje Louisa jako największego twardziela, który kiedykolwiek stanął na ringu. Dlatego gdy ktoś nazwał mnie Joe Louisem, wypinałem dumnie pierś i czułem się jak czempion.

Niedługo po pamiętnej walce na stadionie Jankesów ukazał się pełnometrażowy film dokumentalny pod tytułem *Max Schmeling's Sieg – ein deutscher Sieg* (Zwycięstwo Maxa Schmelinga to zwycięstwo Niemiec). Grano go we wszystkich hamburskich kinach. Każdy z mojej dzielnicy ruszył oglądać ten zainspirowany Goebbelsowską propagandą dokument – to znaczy, każdy, oprócz mnie. Ja po prostu nie mogłem się zmusić, by jeszcze raz przeżyć ten ból, kiedy bito mojego bohatera. Dopiero dwa lata później przewyciężyłem awersję i obejrzałem dokument, ale tylko dlatego, że w tym czasie Joe Louis zdążył już wyrównać rachunki ze Schmelingiem spektakularnym nokautem w pierwszej rundzie.



Podczas gdy fani niemieckiego sportu wciąż roztrząsali plusy i minusy pierwszej walki Louis-Schmeling, w nagłówkach gazet zaczęło się pojawiać inne ważne sportowe wydarzenie, mianowicie igrzyska olimpijskie w Berlinie w roku 1936. Kilka tygodni przed ich otwarciem prasa donosiła, że w amerykańskiej drużynie wystąpi znaczna liczba czarnoskórych sportowców. Nie chcąc obrażać żadnego z pięćdziesięciu jeden krajów, zwłaszcza tych, które mieli reprezentować zawodnicy niearyjskich ras, prasa powstrzymywała się od zwykłych rasistowskich komentarzy i przekazywała wiadomości z nietypową obiektywnością. Nawet napisy *JUDEN UNERWÜNSCHT* (Żydzi niepożądani), które ostatnio rozmnożyły się w hamburskich restauracjach i innych miejscach użytku publicznego, wycofano na czas olimpiady, żeby nie nadepnąć na czuły cudzoziemski odcisk. Za tą modyfikacją ustalonych rasistowskich praktyk stała oczywiście koncepcja ukazania Hitlera, który „przechwycił” olimpiadę do Niemiec, jako łaskawego i tolerancyjnego gospodarza.

Ta okresowo zmieniona polityka wewnętrzna nie wpłynęła jednak na moich sąsiadów, którzy wiadomości o czarnych zawodnikach przyjmowali z dużą dozą protekcjonalności i przesmiewek. Świadczyło to o ogromnym braku wiedzy przeciętnych Niemców na temat Stanów Zjednoczonych. Wielu z nich wyśmiewało samą myśl, aby „banda *Kanibalen*” miała zwyciężyć słynną niemiecką drużynę olimpijską. Ojciec jednego z moich kolegów z klasy, fryzjer, powiedział nam z całą powagą, że czarni, którzy jadą do Berlina, zostali pojmani w „amerykańskich dżunglach”, gdzie żyli sobie wolno, zanim zmuszono ich przemocą do udziału w olimpiadzie. Słyszał z dobrze poinformowanego źródła, że wyłapano tylko tych, którzy najszybciej biegali i najwyżej skakali, po czym poddano ich przymusowemu treningowi, aby rozwinąć ich wielkie talenty sportowe.

Wiedza ludzi z ulicy nie różniła się zbyt od tego, co głosili lepiej wykształceni Niemcy. Herr Dutke przekreślał z góry każdą możliwość zwycięstwa czarnych w olimpiadzie, wmawiając nam, że to nie są sportowcy „w prawdziwym tego słowa znaczeniu”, ponieważ tak samo jak konie czy inne zwierzęta mają wrodzone zdolności do biegania i skakania. „Dla niemieckiego biegacza przegrana z jednym z tych na pół cywilizowanych osobników z Ameryki to nie większy dyshonor niż przegrana z koniem – zapewniał klasę. – Każdy wie, że koń, chociaż fizycznie sprawniejszy, mentalnie stoi niżej od człowieka. I tak samo jest z tymi Hotentotami z Ameryki.”

Większość tego gadania o Hotentotach, kanibalach i Murzynach z buszu skończyła się jak nożem uciął w momencie przybycia amerykańskiej drużyny lekkoatletów do wioski olimpijskiej w Berlinie. Nawet ci najbardziej niedouczeni i przesądni szybko się zorientowali, że młodzi, porządnie ostrzyżeni czarni zawodnicy w eleganckich białych uniformach, którzy uśmiechali się do nas z gazet i magazynów, nie mają nic wspólnego z prymitywnymi dzikusami. Wiadomość, że czarni sportowcy są studentami college’ów, wywarła głębokie wrażenie na moich rodakach, wśród których panował kult edukacji, ale tym, co naprawdę ich podbiło,

okazała się dżentelmeńska i prawdziwie sportowa postawa czarnoskórych gości zarówno na boisku, jak i poza nim.

Kilka dni przed otwarciem olimpiady Karl Morell zaskoczył mnie sensacyjną wiadomością. Ojciec zabiera go razem ze starszym bratem Hansem i paroma chłopakami z sąsiedztwa na tygodniową wycieczkę do Berlina! I jeśli tylko moja matka się zgodzi – a także wysupła pieniądze na pociąg i parę marek na inne wydatki – to mogę z nimi jechać! Z początku Mutti nie chciała o tym słyszeć, ale kiedy dwugodzinnym strajkiem głodowym przekonałem ją, że umrę, jeśli nie pojedę, zgodziła się pogadać z Morellami na temat ewentualnej podróży. Po długiej dyskusji, w trakcie której zapewnili ją, że będę w dobrych rękach i że dla chłopaka nie ma lepszego sposobu spędzenia wakacji niż zwiedzanie stolicy i oglądanie igrzysk olimpijskich, ustąpiła.

Rankiem w dniu wyjazdu nasza grupka około dziesięciu chłopaków, niektórzy w mundurach Hitlerjugend, z ciężkimi plecakami i menażkami, odjechała na dworzec główny. Zanim wsiedliśmy do ekspresu, Herr Morell ustawił nas na baczność, jak gwardię honorową SS, do krótkiej odprawy na temat tego, co mamy robić, a czego nie robić w czasie wycieczki. On także dźwigał plecak, ale chociaż nie włożył swojego munduru *Amtswaltera*, wypolerowane brązowe buty do konnej jazdy i bryczesy nie pozostawiały wątpliwości co do jego członkostwa w partii.

Pociąg był przepełniony, głównie dziećmi w wieku szkolnym, które podobnie jak my, szukały ujścia swoich emocji w ogłuszającym jazgocie i czasami jakiejś marszowej pieśni. Słuchając tej kakofonii i obserwując krajobraz za oknem, i tak nie mogłem uwierzyć, że za parę godzin będę spacerował po Berlinie – mieście, które uczono nas uważać za pępek świata.

Kiedy późną nocą wjechaliśmy na słynny berliński Anhalter Bahnhof, byliśmy schrypnięci od śpiewów i śmiertelnie zmęczeni. Do młodzieżowego hostelu na obrzeżach miasta dotarliśmy po krótkim przejeździe autobusem przez wciąż tętniącą życiem stolicę. Przy okazji rzuciliśmy okiem na Bramę Brandenburską i Funkturm, czyli niemiecką odpowiedź na wieżę Eiffla. Zanim jednak pozwolono nam paść na materace pod ścianami sypialni na poddaszu, Herr Morell nie omieszkał nam uświadomić, że oddychamy teraz tym samym powietrzem co nasz ukochany Führer, w związku z czym kazał nam oddać nazistowski salut. Na samą myśl o bliskości Führera dostałem gęsiej skórki, która nie ustąpiła, dopóki nie zasnąłem.

W odróżnieniu od pierwotnych uczuć wobec Joego Louisa i Maxa Schmelinga, nigdy nie odczuwałem konfliktu lojalności w stosunku do czarnych sportowców amerykańskich i zawodników kraju mojej matki. Od samego początku igrzysk wiedziałem, że zwycięstwa czarnych będą moimi zwycięstwami, a ich porażki moimi porażkami. Natychmiast poczułem przypływ dumy z powodu szczególnego braterstwa krwi łączącego mnie z tymi Amerykanami. W krótkim czasie ich nazwiska: Harrison Dillard, Dave Albritton, Archie Williams, John Woodruff, Cornelius Johnson i Ralf Metcalfe stały się dla mnie tak swojskie jak te

z drużyny niemieckiej, na przykład asa bieżni Lutza Longa. Chociaż wszystkich traktowano jak gwiazdy, żaden z zaszczytów, którymi obsypano czarnych Amerykanów, nie mógł się równać z tymi, które niemieccy fani zarezerwowali dla nowo odkrytego beniaminka igrzysk (a także mojego najnowszego idola) – Jessego Owensa. Podobnie jak Joe Louis, Owens był uważany za głównego faworyta do olimpijskiego złota w lekkoatletyce, o czym szeroko rozpisywało się prasa. To, co pokazał na miejscu, przeszło najśmielsze marzenia nowo zdobytych niemieckich kibiców. Po wyczerpujących czterech dniach, podczas których wystąpił czternaście razy z rzędu, zaliczył cztery biegi eliminacyjne – każdy po 100 i 200 metrów – i oddał sześć skoków, Owens pobiegł po zwycięstwo w biegu na 100 i 200 metrów (10,3 i 20,7 sekundy), poprowadził zwycięską sztafetę na 400 metrów i ustanowił olimpijski rekord w skoku w dal (8,13 metra). Wprawdzie Herr Morell zdołał załatwić nam wstęp na zaledwie kilka rozgrywek, a z naszych miejsc, wysoko na górze przepełnionego stadionu, prawie nie widzieliśmy akcji na boisku, ale i tak nie zmniejszyło to naszego entuzjazmu.

Rzekomy afront Hitlera wobec czarnoskórego czterokrotnego złotego medalisty, szeroko relacjonowany w Stanach, nazistowska prasa z premedytacją „przeoczyła”. Czy rzeczywiście dyktator odstąpił od wcześniejszej praktyki gratulowania zwycięzcom osobiście, gdyż chciał uniknąć ściskania dłoni „czarnuchowi”, pozostaje w sferze domysłów, ponieważ po Owensie żadnego ze złotych medalistów nie spotkał ten „zaszczyt”. Faktem jest jednak, że Hitler opuścił stadion, zanim Cornelius Johnson, zdobywca złotego medalu w skoku wzwyż, miał szansę wejść na podium, i że od tej pory dyktator nikomu już nie składał gratulacji. Kiedy po latach zapytałem Jessego Owensa, co myśli o sławetnym „afroncie”, odpowiedział, że nie wie, czy Hitler celowo upokorzył czarnych sportowców, nie przyjmując ich w swojej łóży. „Przecież to był naprawdę bardzo zajęty człowiek i zapewne miał na głowie znacznie ważniejsze sprawy niż ściskanie rąk sportowcom – odrzekł, uznając tym samym incydent za niebyły. – Ale jeśli nawet chciał nas poniżyć, to i tak niewiele mnie to obeszło.”

Po powrocie naszej grupki do Hamburga jeszcze co najmniej przez kilka tygodni nie było dnia, żebym nie wspominał tamtych przeżyć i bohaterów olimpiady. W związku ze sławą, jaka przypadła w udziale Jessemu Owensowi, niektórzy moi kumple nie mogli się oprzeć, by nie nazywać mnie Jesse, tak samo jak jeszcze niedawno Joe. I znów uznałem to za komplement, podobnie zresztą jak oni. Razem ze wschodzącą w Berlinie gwiazdą Jessego w oczywisty sposób wschodziła i moja wśród kolegów.

Tak jak w przypadku zwycięstwa Schmelinga, naziści nie przepuścili okazji, by jak najszybciej rozreklamować kolejny wielki sukces swoich rodaków – Niemcy zgarnęli lwią część złotych medali. Wkrótce wszedł na ekrany pełnometrażowy film dokumentalny o igrzyskach w Berlinie, zatytułowany *Olimpia*. Składał się on z dwóch części – *Fest der Völker* (Święto narodu) i *Fest der Schönheit* (Święto piękna) – w reżyserii genialnej Leni Riefenstahl (plot-

kowano, że była kochanką Hitlera), nadal niezwykle cenionej przez miłośników sztuki filmowej.

Tym razem z największą ochotą poszedłem obejrzyć to dzieło. Aż nazbyt dobrze świadom dominujących postaw rasistowskich, pogodziłem się z myślą, że będę musiał patrzeć, jak Jessego pozbawiają kilku najważniejszych występów, ale tu zostałem przyjemnie zaskoczony: film skupiał się właśnie na Owensie, a nie na którymkolwiek z reszty mistrzów olimpijskich. Nie wierzyłem własnym oczom, kiedy kamera Riefenstahl robiła jedno zbliżenie za drugim. Jej głębokie zainteresowanie czarnoskórym sportowcem nie budziło wątpliwości. Świadczyły o tym także liczne ujęcia dobrze umięśnionego, lśniącego od potu hebanowego ciała. Każde z nich podkreślało grację i moc ukrytą w ruchach. Oko kamery często ukazywało wyrazistą twarz Jessego podczas przygotowań do akcji i jego szczerą radość po każdym zwycięstwie. Było też mnóstwo materiału dokumentującego pandemonium na stadionie i ogłuszające ryki tłumu: „Jesse! Jesse! Jesse!”, którymi dopingowano go do zwycięstwa. Film wyraźnie wyprodukowany w celu wzmocnienia nazistowskiej koncepcji aryjskiej supremacji, paradoksalnie stał się pomnikiem niearyjskiego mistrza.

Kiedy po zakończeniu seansu zapalono światła, ludzie nie patrzyli już na mnie ze źle skrywaną pogardą i krzywymi uśmieszkami, ale z wyraźnym podziwem i aprobatą. „Oto braciшек Jessego” – rzucił jakiś pan, pokazując mnie swoim dzieciom. Poczułem przypływ dumy, której mimo wielkich wysiłków nie potrafiłem ukryć. To uczucie pojawiało się już zawsze, ilekroć ktoś wspomniał nazwiska Jessego Owensa i Joego Louisa. Podtrzymywało mnie ono potem na duchu przez całe dzieciństwo.

Wiele lat później, już jako redaktor naczelny „Ebony”, poznałem obydwu moich idoli osobiście: Joego Louisa w Las Vegas, gdzie witał gości w Caesars Palace, a Jessego Owensa w Chicago, gdzie prowadził własną firmę PR. Miałem okazję podziękować im osobiście za wszystko, co dla mnie zrobili. Zaintrygowało ich to, ale kiedy opowiedziałem im, że jako dziesięcioletek w nazistowskich Niemczech mogłem dzięki nim nosić głowę nieco wyżej, przyjęły to z typową dla siebie skromnością.

## **LZ-129 „Hindenburg”**

Wiele nazistowskich programów o wysokim priorytecie realizowano po to, żeby wmówić narodowi i reszcie świata, że Niemcy są na najlepszej drodze do odzyskania statusu mocarstwa. Należały do nich przede wszystkim zaprojektowanie i wdrożenie do eksploatacji największego w dziejach statku powietrznego, monstrualnego sterowca LZ-129 „Hindenburg”, przy którym kolos „Graf Zeppelin” mógł uchodzić za karła.

Już na kilka miesięcy przed inauguracją pierwszych transatlantyckich lotów pasażerskich Goebbelsowska prasa trąbiła o tym „wielkim cudzie techniki narodowego socjalizmu”, wychwalając go jako żywy dowód światowej supremacji Niemiec w zakresie „najważniejszej

technologii XX wieku”. Ponieważ widywaliśmy „Hindenburga” w licznych kronikach filmowych i gazetach, łatwo daliśmy się oszołomić temu niemieckiemu „śmiałemu skokowi w przyszłość” w postaci cacka lżejszego od powietrza i nigdy nie mieliśmy dość dyskusji o jego ogromnych możliwościach. Ale chociaż zapoznałem się dość dobrze z rozmiarami LZ-129, zupełnie nie byłem przygotowany na swoje pierwsze i jedyne spotkanie z owym potworem.

Dzień, w którym „Hindenburg” miał zgodnie z planem przelecieć nisko nad Hamburgiem, był wyjątkowo słoneczny. Mniej więcej godzinę wcześniej mieszkańcy Stückenstrasse 3, oprócz Tante Möller, która uznała, że jest za stara i za bardzo się boi, wdrapali się po drabinie na dach naszej trzypiętrowej kamienicy. Z niecierpliwością wypatrywałem na niebie znajomego kolosa w kształcie cygara, dodatkowo podekscytowany widokiem miasta z góry, bo przedtem matka zabraniała mi wychodzić na dach. Wszystkie okoliczne dachy wypełniali ludzie, którzy tak jak my chcieli być świadkami historycznego wydarzenia. Rozpoznałem wśród nich kilku szkolnych kolegów, więc szybko zaczęliśmy skracać sobie czas machaniem i wzajemnym przekrzykiwaniem.

W końcu ktoś pokazał ręką na południe i wrzasnął: „Leci!”. Spojrzałem w górę i zobaczyłem w pewnej odległości sterowiec zmierzający prosto w naszą stronę. Z początku poczułem zawód, bo wcale nie wyglądał na tak wielki, jak się spodziewałem. A jednak wolno, lecz zdecydowanie rósł w oczach, huk silników stawał się coraz głośniejszy, aż znalazł się tuż przed nami. W pierwszej chwili zaparło mi dech na widok jego gargantuicznych rozmiarów. Wydało mi się, że jeszcze kilka centymetrów, a sterowiec nas wszystkich zmiażdży. Zanim się zorientowałem, był dokładnie nad naszymi głowami, rzucając na ulicę ogromny cień. Wyraźnie widziałem napis „Hindenburg” na kadłubie. Z aluminiowego podbrzusza sterczała gondola pasażerska i cztery dieslowskie turbiny, od których ryku drżały szyby w oknach. W ciągu kilku sekund minął nas tak szybko, jak się pojawił, kurcząc się stopniowo, aż czarno-biało-czerwone swastyki na każdej z dwóch płetw ogonowych zupełnie znikły nam z oczu.

Jeszcze przez wiele dni od lotu „Hindenburga” nie mówiło się w szkole o niczym innym, zupełnie jakby to wyjątkowe wydarzenie wytworzyło szczególną więź między nami a olbrzymim statkiem powietrznym. Potem z wielką gorliwością śledziliśmy w gazetach relacje o jego triumfalnym przelocie przez Atlantyki. A jednak niecały rok później, 7 maja 1937, nasze nadzieje i marzenia o tym cudzie techniki legły w gruzach wraz z wiadomością, że tuż po przylocie do Lakehurst w stanie New Jersey na „Hindenburgu” wybuchł pożar i trzydzieści sześć osób straciło życie. Całe Niemcy zamarły ze zgrozy. Tydzień później obejrzałem dramatyczną kronikę filmową z katastrofy. Widziałem, jak ludzie ratowali się, skacząc z płonącego wraku na ziemię. Nie mogłem się pogodzić z tym, że tak okazały sterowiec, który niedawno przelatywał nad moim domem, rozpadł się na kawałki i został pochłonięty przez ogień.

Chociaż prasa nazistowska zgadzała się z amerykańską oficjalną wersją co do przyczyny katastrofy – przypuszczalnie wskutek warunków atmosferycznych z ładunku elektrycznego poszła iskra, która spowodowała eksplozję – większość Niemców (ja także) wierzyła w tym jakieś oszustwo. Rozeszła się pogłoska, że Stany Zjednoczone, zazdrosne o przewagę techniki niemieckiej w dziedzinie konstrukcji lotniczych, zablokowały nam dostęp do helu, zmuszając do stosowania lżejszego, lecz łatwopalnego wodoru. Potem wystarczyła jedna, dobrze wycelowana kula, żeby wywołać na „Hindenburgu” pożar.

Chociaż wśród peanów na temat zniszczonego sterowca pojawiło się wiele szumnych słów na temat budowy nowego, jeszcze lepszego i większego „Hindenburga”, katastrofa w Lakehurst położyła kres ambicjom Niemiec w zakresie technologii materiałów lżejszych od powietrza, a także wdrażania sterowców do obsługi lotów pasażerskich. Była również końcem moich dziecięcych marzeń o dniu, w którym wzbiję się w niebo na „Hindenburgu”.

## Chmury na horyzoncie

Katastrofa „Hindenburga” wkrótce zniknęła z nagłówków prasowych, ustępując miejsca serii innych ważnych wydarzeń nagłośnionych przez nazistów. „W dniu dzisiejszym – oznajmił z dumą Wriede – Führer na zawsze uwolnił nas od upokarzających kajdan traktatu wersalskiego.” Chodziło o ostatnie przemówienie Hitlera, w którym ten wyraził potrzebę *Lebensraum* (przestrzeni życiowej) i swoją determinację, by poszerzyć ją w miarę możliwości środkami pokojowymi, ale jeśli będzie to konieczne, także militarnymi, w wyraźnej sprzeczności z warunkami traktatu.

Następnie dowiedzieliśmy się, że łajdak nazwiskiem Kurt von Schuschnigg, kanclerz Austrii, nękał członków partii nazistowskiej, chociaż jedyną ich zbrodnią są uporczywe demonstracje na rzecz ponownego zjednoczenia ich kraju z Niemcami. Kiedy pod naciskiem Berlina Schuschnigg podał się do dymisji, jego miejsce zajął dr Arthur Seyss-Inquart, lider austriackich nazistów, który natychmiast po objęciu urzędu poprosił Hitlera o przysłanie oddziałów rzekomo po to, aby zapobiec rozlewowi krwi. O świcie 12 marca 1938 niemieckie wojsko wkroczyło do Austrii, gdzie według kronik filmowych, przyjęto je z otwartymi rami. Tego samego dnia Hitler, rdzenny Austriak, w domu swojego dzieciństwa w Linzu obwieścił, że misja „przywrócenia mojej drogiej ojczyzny na łono Rzeszy Niemieckiej” została zakończona sukcesem.

Ja i moi koledzy z wielkim przejęciem słuchaliśmy, że w ciągu jednej nocy obszar Niemiec powiększył się o prawie 84 tysiące kilometrów kwadratowych z dziewięcioma milionami mieszkańców oraz potężnymi zasobami przemysłowymi, rolniczymi i naturalnymi. Aby nam to w pełni uświadomić, nauczyciele posługiwali się ogromnymi mapami nowego terytorium. Wbijano nam do głów, że od chwili Anschlussu o dawnej Austrii należy mówić: *die Ostmark*. Zanim jednak do szkoły dostarczono nowe mapy, na których uwzględniono zmiany granic,

kolejne wydarzenie zdążyło je unieważnić. 1 października niemieckie oddziały dokonały inwazji na Czechosłowację, tworząc etniczny Sudetenland. Ten nieoprotestowany najazd powiększył Niemcy o ponad 140 tysięcy kilometrów kwadratowych i 3,5 miliona mieszkańców (w tym 700 tysięcy Czechów).

Nasi nauczyciele wychwalali pod niebiosa cnoty Führera i jego geniusz, dzięki któremu nasz *Vaterland* zyskał tak ogromne terytoria „bez jednego wystrzału”. Nie musieli długo nas przekonywać o omnipotencji Hitlera ani wpajać nam niewzruszonej wiary w jego przywództwo. Wszechobecny slogan „*Führer befiehl, wir folgen*” (Wódz rozkazuje, my słuchamy) był dla nas, dziesięciolatków, czymś znacznie ważniejszym niż zwykłym hasłem – stanowił obietnicę, której wielu z nas zamierzało dotrzymać, nawet za cenę życia.

## Zemsta Wriedego

W trakcie tych historycznych wypadków gruchnęła nieoczekiwana wiadomość, która dotknęła nas znacznie głębiej. Powiedziano nam, że nasza szkoła ma być przekształcona w specjalny zakład dla dzieci opóźnionych w rozwoju, czyli jak nazywaliśmy to z dziecięcym okrucieństwem „*Dofenschule*” (szkoła dla matołków). Oznaczało to rozwiązanie wszystkich klas oraz rozparcelowanie uczniów i nauczycieli do innych szkół w dzielnicy. „Ci z was, którzy nie zechcą się przenieść – żartował Herr Schürmann – mogą zostać.” Następnie odczytał nam listę naszych nowych przydziałów. Mnie przypadła szkoła przy Schleidenstrasse 11, nad kanałem Osterbek, do której miałem dwa razy dalej niż dotychczas. Na szczęście razem ze mną miało tam przejść około dwudziestu kolegów, w tym ci najbliżsi.

Z początku przyjąłem tę nowinę z mieszanymi uczuciami. Z jednej strony nie mogłem się doczekać rozstania z Wriedem i Dutkem, z drugiej... obawiałem się konfrontacji z zupełnie nowymi ludźmi i otoczeniem. Szybko jednak ciekawość wzięła górę i zacząłem się zastanawiać, jakie to wyzwania przyniesie mi los.

W końcu nadszedł niecierpliwie wyczekiwany dzień. Rano cała szkoła pomaszerowała do auli na najwyższym piętrze. Wierciliśmy się niespokojnie na miejscach, podczas gdy kilku nauczycieli wygłaszało kolejno kwieciste mowy, nafaszerowane prohitlerowskimi frazesami, lecz pozbawione treści. Potem nastąpił punkt kulminacyjny w postaci pożegnalnego wystąpienia dyrektora Wriedego. Jak zwykle skorzystał z okazji, by przywdziać swój ukochany mundur. Tu i tam rozległy się stłumione chichoty, bo przyjął identyczną pozę jak Hitler z portretu wiszącego na ścianie tuż za jego plecami.

Wyraźnie tym rozdrażniony Wriede zapowiedział na wstępie, że czas rozrywek i zabaw się skończył, bo ani się obejrzymy, jak przestaniemy być chłopcami i staniemy się młodymi mężczyznami, którzy zajmą wyznaczone miejsce w niemieckiej gospodarce i życiu politycznym. Nagle utracił kontrolę nad głosem, który wzniósł się do piskliwego falsetu. Wywołało to na sali huragan śmiechu.

Od początku jego wystąpienia nie mogłem usiedzieć na krześle. Chociaż docierała do mnie śmieszność jego wyprężonej na podium postaci, dawno już nauczyłem się panować nad miką. Nieraz się bowiem zdarzało, że uwaga Wriedego skupiała się na mnie i wtedy musiałem płacić za zbiorowe grzechy całej klasy, dlatego nawet w tym ostatnim dniu władzy Wriedego postanowiłem wytrwać do końca i nie dawać mu pretekstu do odwetu.

Tymczasem dyrektor wmawiał nam, że czeka nas godna zazdrości przyszłość, gdyż za kilka lat będziemy już na tyle dorośli, by zgłosić się na ochotnika do służby w najlepiej zorganizowanej armii świata. Deutche Wehrmacht oferuje bowiem nieograniczone możliwości młodym ludziom, wychowanym zgodnie z wizją Führera. „Jeśli kiedyś zostaniecie wezwani do walki za waszego Führera i *Vaterland*, to wiem, że dacie z siebie wszystko, by *Kätnerkampschule* mogła być z was dumna.”

Następnie nie odmówił sobie uwagi, że w każdym koszu jabłek jest kilka zgniłych, przy czym obrzucił mnie pogardliwym spojrzeniem. „Są bowiem i tacy – kontynuował – którzy z pewnych powodów nie są godni nosić munduru niemieckiego żołnierza.” Dla nich on, Wriede, ma tylko jedną radę: niech wyjadą stąd, póki jeszcze mogą, bo przyszłość Niemiec będzie należała do żołnierzy, a nie tchórzy i mięczaków, którzy migają się od obowiązków. „Dzięki Führerowi – konkludował – Niemcy nigdy nie staną się przystanią dla zdradzieckich niearyjskich mętów, takich jak Żydzi, Murzyni i inni nieudacznicy. Hitler nie dopuści, by skazili szlachetną germańską krew i podstępnie wyłudza od Niemców zasłużone owoce zwycięstwa.”

Przy wzmiance o Murzynach spróbowałem schować się za plecami kolegi, ale daremnie. Jak na komendę, wszystkie oczy zwróciły się na mnie; każdy chciał przyjrzeć się chłopcu, którego Wriede napiętnował jako wroga narodu niemieckiego. Bałem się, że cała sala usłyszy łomot mojego serca. Drżały mi kolana i cały spływałem potem. Chciałem, żeby podłoga się rozstąpiła i pochłonęła mnie, ratując przed upokarzającymi spojrzeniami rówieśników. Ale nic takiego nie nastąpiło i musiałem znieść to wszystko do końca. Wśród udręki powtarzałem sobie, jak zwykle, że „niemieccy chłopcy nie płaczą”. Pomogło mi to pohamować łzy. Przez zamglone oczy widziałem, jak Wriede drwi ze mnie na podium, a potem jego szeroki, złośliwy uśmiech satysfakcji, że udało mu się trafić ulubiony cel w najbardziej czułe miejsce. Jak zawsze mścił się na mnie za wszystkie żarty mojej klasy.

Zbliżając się do kulminacyjnego punktu swojego wystąpienia, nadal rozwodził się nad brodziejstwami kariery wojskowej, wychwalając tych spośród nas, których boski palec losu wskaże jako godnych ofiary życia za naszego ukochanego Führera i *Vaterland*. Tym uczuciowym akcentem pożegnał zebranych i skończył uroczystość.

Nie tyle wzruszeni mową dyrektora, co upojeni chwilową wolnością, uczniowie wydali z siebie ogłuszający ryk, po czym runęli po schodach na ulicę. Nikt już nie zwracał na mnie najmniejszej uwagi. Kto by tam sobie teraz zawracał głowę problemami innych? Ważne, że



przez tydzień nie będzie szkoły, że przyszłość – dzięki Adolfowi Hitlerowi – rysuje się jaśniej niż kiedykolwiek przedtem... a przynajmniej tak się wszystkim zdawało. Powlokłem się za ciżbą na ulicę.

Po powrocie z pracy matka zastała mnie na łóżku, z pustym, utkwionym w suficie wzrokiem.

– Co się stało? – spytała zaniepokojona.

– Nic. Głowa mnie boli – odparłem bez przekonania.

– Jak tam w szkole? – nie dawała za wygraną.

– Normalnie. Nic specjalnego. Kilka przemówień i w ogóle.

Ponieważ widywała już u mnie to puste spojrzenie, wiedziała, że coś tu nie gra.

– Założę się, że to znów ten głupek Wriede. Obiecałeś mi, że nie będziesz się już przejmował gadaniem tego debila. Pomyśl sobie: to już ostatni raz, więcej nie będziesz musiał go znosić. Od razu poprawi ci się humor.

Miała rację. Już nigdy więcej nie udało mu się mnie upokorzyć ani poddać tym swoim sadystycznym gierkom. Wriede – ta zmora mojego dzieciństwa – był już dla mnie martwy. Poczulem się, jakby spadł mi z piersi ogromny ciężar. Nagle życie znowu nabrało blasku, a niespodziewany tydzień wolnego uczynił go jeszcze lepszym.

## **Nowa szkoła**

Po tygodniowej przerwie razem z dwudziestką kolegów zameldowałem się przy Schleidenstrasse 11. W odróżnieniu od nieśmiałego, przerażonego brzdąca, który pojawił się w szkole sześć lat wcześniej, zaprezentowałem się jako dorastający, pewny siebie chłopak, wręcz chojrak, śmiało patrzący w przyszłość. Po pierwsze, wiedziałem, że w kwestii nauki nie mam się czego obawiać, natomiast jeśli chodzi o możliwość natknięcia się na rasistowskich nauczycieli, to nie zamierzałem ustępować im pola. Wychodziłem z założenia, że skoro przetrwałem takich jak Wriede i Dutke, to poradzę sobie niemal z każdym gadem nazistowskiej pedagogiki.

Podzielono nas na dwie grupy i każdą zapisano do innej klasy. Trafiłem do VII B, w której na szczęście znalazło się także moich dwóch najbliższych przyjaciół – Karl Morell i Fiffi Peters. Naszym nowym wychowawcą został Herr Henry Herbst, permanentnie niedogolony młody człowiek o czarnych włosach, krzaczastych brwiach, wystającej szczęce i ostrych, subtelnie rzeźbionych rysach. Z powodu uderzającego podobieństwa do fikcyjnego bohatera bestsellerowych niemieckich kryminałów (w typie Sherlocka Holmesa) uczniowie za plecami nazywali go Tom Shark, co należało traktować bardziej jako komplement niż złośliwość. Herr Herbst bowiem, podobnie jak książkowy detektyw, cieszył się opinią wyjątkowo sprawiedliwego, sensownego i kompetentnego faceta.

Po powitaniu nas odczytał długą listę rzeczy, których nie zamierza tolerować w swojej klasie. „Jeśli ktoś wam kiedyś mówił, że nauka powinna być przyjemnością, to o tym zapomnijcie. W mojej klasie, panowie, nauka to praca, ciężka praca, skoro już o tym mowa. Ci z was, *Neulinge* (nowicjusze), którzy myślą, że mogą tylko siedzieć na swoich leniwych zadkach, grubo się mylą.”

Kiedy rozległ się dzwonek na zakończenie pierwszej lekcji, Herr Herbst kazał mi zostać, więc zebrałem się w sobie, szykując się na jakieś uwagi w stylu Wriedego. Po wyjściu ostatniego chłopca, poprosił, żebym usiadł. „Powiem to tylko raz – zaczął. – Chcę, żebyś wiedział, że twój kolor skóry nie ma dla mnie absolutnie żadnego znaczenia. W mojej klasie będziesz traktowany jak każdy inny chłopak. Widziałem twoje świadectwa i wiem, że jesteś znakomitym uczniem. Jeśli jesteś gotów ciężko pracować i przyzwoicie się zachowywać, to nie widzę powodu, żebyśmy się nie dogadali, a ty?” Przyjemnie zaskoczony, zapewniłem go, że również nie widzę przeszkód. Uścisnął mi rękę i pozwolił odejść. Był moim nauczycielem przez dwa lata i przez cały ten czas dotrzymywał słowa. Nigdy więcej nie wspomniał o moim kolorze skóry ani w żaden sposób nie dał mi do zrozumienia, że zwraca na to uwagę. Z kolegami także obeszło się bez tarć. Jak zwykle mój wygląd wzbudził dużo ciekawości, szczególnie na dziedzińcu podczas przerw, ale wyraźnie nikt nie zamierzał mnie prowokować.

Przez pierwszych kilka tygodni my z *Kätnerkampschule* trzymaliśmy się razem, ale wkrótce pozawieraliśmy nowe przyjaźnie i podział na nowych i starych zaczął się coraz bardziej zacierać, aż wreszcie tylko jedna osoba zwracała się do nas per *Neulinge* – Tom Shark. Wkrótce domyśliłem się przyczyny – po prostu traktował nas jako konkurentów swoich starych uczniów i za wszelką cenę próbował udowodnić, że są od nas bardziej zaawansowani. Okazało się to dość trudne, ponieważ uczyliśmy się tak samo dobrze, a w kilku przypadkach nawet lepiej od tamtych. Na szczęście Tom Shark był sprawiedliwy do bólu i nigdy nie oszukiwał przy ocenach. Ale nic nie sprawiało mu większej przyjemności, niż kiedy przy rzadkich okazjach któryś z *Neulinge* przyznał, że nie przerabialiśmy czegoś, co „starzy” już dawno opanowali.

Tylko jeden z kolegów uparcie okazywał mi niechęć – Arne Arnholdt, szkolny as pływacki. Wrogość ta miała jednak krótki żywot i nie minęło wiele czasu, jak zostaliśmy dobrymi przyjaciółmi. Zapytałem go później, dlaczego z początku tak mnie nie lubił, a on wyznał, że gdy pojawiłem się w szkole, rozeszła się plotka, iż pływam lepiej niż Tarzan. Po prostu bał się, że pozbawię go pierwszego miejsca i dokuczał mi z zazdrości. Wszystkie te nieprzyjemne uczucia znikły w mgnieniu oka, kiedy zobaczył, jak pływam. Przekonał się, że pogłoski o mojej sprawności są mocno przesadzone i że daleko mi do jego umiejętności.

Mimo że większość przedmiotów zaliczałem jak zwykle z łatwością, dwa dały mi nieźle w kość: angielski i matematyka. Z matematyki w końcu udało mi się psim swędem uzyskać dostateczny, głównie dzięki przekonaniu Toma Sharka, że naprawdę się starałem. Z angielski-

skiego jednak byłem kompletna noga. Ponieważ trafiłem do klasy Frau dr Fink, jedynej nauczycielki w całej szkole ze stopniem doktora, przestałem robić jakiegokolwiek postępy. Podczas gdy poprzedni nauczyciel, Herr Neumann, który zastąpił „buldoga” Hardena, ożywiał lekcje poprzez konwersację i zapisywanie tematów po angielsku, Frau dr Fink kazała nam w kółko odmieniać czasowniki. Im nudniejsze stawały się lekcje, tym mniej się nimi interesowałem, aż wreszcie przestało mnie obchodzić, czy wydukam choć jedno słowo. Moje rozgoryczenie podzielała sama Frau Fink. Na koniec roku szkolnego nie wystawiła mi nawet oceny, tylko napisała na świadectwie: „Hans-Jürgen nie wykazuje absolutnie żadnej zdolności do nauki angielskiego”. Podczas swojej czterdziestoletniej pracy w charakterze anglojęzycznego dziennikarza staram się układać zdania w miarę sensownie, ale i tak czasem nawiedza mnie myśl, że być może staruszka miała rację.

Krótko po zamustrowaniu na Schleidenstrasse dokonałem ważnego odkrycia: na świecie istnieją dziewczyny. Kiedy zacząłem chodzić do szkoły, właściwie przestałem je widywać. Tak się złożyło, że przebywały po drugiej stronie dziedzińca i w ogóle nie obchodziły ani mnie, ani żadnego z moich kolegów. I nagle wszystko się zmieniło. Bez żadnego szczególnego powodu, niemal w ciągu jednej nocy dziewczynki wtargnęły do naszych myśli, mowy i uczynków. Chociaż szkolny system zakładał rozdział płci, my, chłopcy z VII klasy, uświadomiliśmy sobie nagle, że w sąsiednim skrzydle szkoły znajdują się osoby, które zaczęły nieodparcie przyciągać naszą uwagę. Sądząc z ciągłych chichotów i prowokacyjnych spojrzeń, niewątpliwie zdawały sobie z tego sprawę.

Na przerwach manifestowaliśmy swoje zainteresowanie na różne sposoby, począwszy od głośnych prowokacji słownych, przez popisy sprawności fizycznej, a skończywszy nawet na bójkach. Miało to coś wspólnego z walkami lwów o względy samicy, ale różnica polegała na tym, że nie chodziło tu o żadne konkretne uczucia, tylko o popisy i zwracanie na siebie uwagi. Subtelniejsza i znacznie bardziej skuteczna metoda polegała na wymianie liścików, które zaczęły krążyć w tę i w tę za pośrednictwem kurierów takich jak ja.

Ponieważ typy w rodzaju Wriedego i Dutkego uczuliły mnie na narzucone przez nazistów tabu dotyczące kontaktów z niemieckimi dziewczętami, sam absolutnie nie uczestniczyłem w tej grze. Czerpałem satysfakcję niejako z drugiej ręki, służąc za romantycznego łącznika i powiernika różnych zakochanych par. Jak Cyrano de Bergerac pouczałem przyjaciela, jak zdobyć uczucie dziewczyny, nie zdradzając się, że mnie samemu także na niej zależy. Choć różniło się to mocno od normalnego sam na sam, jakim cieszyli się moi koledzy, moje podejście do szczeniackiej miłości okazało się w tych okolicznościach najlepsze. Dawało prawo do przebywania w pobliżu i komunikowania się z ukochaną bez ryzyka odrzucenia albo, co gorsza, narażenia się na uwagę kogoś dorosłego – na przykład rodziców dziewczyny – że odpadam w przedbiegach i nie mam na co liczyć.

## Nowe hobby

Dla hamburskich chłopaków z mojego pokolenia nie było nic ważniejszego i bardziej frapującego niż piłka nożna, której najchętniej poświęcali każdą wolną chwilę. Wszyscy w mojej klasie mieli na tym punkcie fioła, a jeśli ktoś niespecjalnie radził sobie w grze, nadrabiał to gorliwym kibicowaniem. Z jakiegoś powodu nie należałem do żadnej z tych grup. Nigdy nie czułem najmniejszej ochoty ani do uganiania się po boisku i kopania piłki, ani do przesiadywania na trybunach i przyglądania się, jak robią to inni. W mieście, które oddychało, jadło i spało z piłką w głowie, obojętność wobec tego sportu stawiała mnie poza nawiasem, podobnie jak kolor skóry. Fakt, że nie obchodziło mnie, czy chluba naszego miasta, drużyna Hamburger SV, przegrała czy wygrała kolejny mecz, uważano za zdradę. W związku z tym, gdy ustalano składy, koledzy z klasy traktowali mnie jak *Flasche* [ofermę] i za nic nie chcieli mnie w swoich drużynach. Tylko sukcesy na polu lekkoatletyki ratowały mnie przed mianem kompletnego zera.

Raniło to moją dumę, ale nie do tego stopnia, żeby chciało mi się podjąć poważny wysiłek i zostać porządnym graczem. Jednocześnie czułem wielką potrzebę uprawiania jakiegoś sportu z takim samym entuzjazmem, jak moi kopiący piłkę rówieśnicy. Sportu, dzięki któremu zyskałbym powszechne uznanie.

Wkrótce z pomocą przyszedł mi przypadek. Pewnego dnia – miałem wtedy około dwunastu lat – wracałem ze szkoły z paroma kolegami, kiedy zaczepił nas młody, atletycznie zbudowany blondyn. Przedstawił się jako Rudi, trener amatorskiego klubu bokserskiego na przedmieściu Bramfeld. Zapytał, czy któryś z nas interesuje się boksem, bo tak się składa, że jego klub ma drużynę młodzików. Zaproponował, żebyśmy się sprawdzili, a jeśli nam się to spodoba, wstąpili do klubu.

Byłem przekonany, że zaproszenie mnie nie dotyczy, gdyż w tym czasie wszelka działalność w zakresie sportów zorganizowanych podlegała przepisom nazistowskiego ministerstwa. Klęska, jaką poniosłem, próbując zapisać się do Hitlerjugend, przekreśliła raz na zawsze moje nadzieje, że jakakolwiek organizacja w tym kraju przyjmie mnie z otwartymi ramionami i potraktuje jak równego. Zanim jednak zrezygnowałem, zakładając, że klub przyjmuje tylko Aryjczyków, trener zwrócił się bezpośrednio do mnie. „Gdybyś zdecydował się wstąpić, mógłbym zrobić z ciebie naprawdę dobrego boksera.” Nie wierzyłem własnym uszom, ale nie potrzebowałem nic więcej, by podjąć błyskawiczną decyzję. „Po prostu przyjdź do Old Gun Club. Trenujemy w każdy czwartek i piątek wieczorem oraz w sobotę rano.” Wszyscy, całą piątką, obiecaliśmy się stawić, oczywiście pod warunkiem, że rodzice pozwolą.

Tak jak się spodziewałem, matka była daleka od zachwyty, ale ku memu zaskoczeniu, wyraziła zgodę. „Wiem, że zrezygnujesz, dopiero gdy sam naprawdę porządnie oberwiesz.” Mutti znała mnie dobrze, ale nie aż tak dobrze.

Treningi odbywały się w sali dawnej piwiarni nieczynnego klubu strzeleckiego, piętnaście minut jazdy rowerem od domu. Kiedy zjawiliśmy się po raz pierwszy, ćwiczyło tam pilnie ze trzydziestu mężczyzn i chłopców, niektórzy w moim wieku. Wśród świstu skakanek słyszeliśmy odgłos szybkiej wymiany ciosów pomiędzy dwoma mężczyznami walczącymi na ringu. Inni tłukli z zapalem cały arsenał ciężkich worków i piłek zwisających z sufitu.

W ciągu kilku miesięcy cały ten samczy światek krwi, postękiwań i ostrej woni potu stał się moim. Trzy razy w tygodniu, w stroju gimnastycznym i z rękawicami bokserskimi na szyi, wskakiwałem na rower i jechałem do Bramfeld. Wkrótce okazało się, że muszę tę drogę odbywać sam, bo czterej kumple odpadli, gdy tylko przekonali się na własnej skórze, że boks to ulica dwukierunkowa: coś z siebie dajesz, ale i coś bierzesz.

Gdy przyszło do nauki subtelności tego sportu, wdrażania naszych ciał i umysłów do walki na ringu, Rudi okazał się twardym trenerem. Z zawodu elektryk, dawny amatorski mistrz Niemiec wagi lekkiej, był też dobrym i wrażliwym przyjacielem, który z niewyczerpaną cierpliwością wpajał nam miłość do boksu i znaczenie prawdziwie sportowej postawy. To od niego dowiedziałem się, że nie ma nic podlejszego jak cios poniżej pasa, uderzenie w nerki czy bicie leżącego. Nigdy nie pozwolił nam rozpocząć rundy bez podania ręki przeciwnikowi ani opuścić ringu bez koleżeńskiego uścisku.

Rudi był przekonany, że posiadam wielki potencjał jako bokser dzięki moim, jak to określił, „wrodzonym zdolnościom” – szybkim nogom, rękom i dobremu refleksowi – które, jego zdaniem, warto rozwijać. Ponieważ zgodnie z przepisami boksu amatorskiego nie mogłem brać udziału w zawodach młodszej ligi przed ukończeniem czternastu lat, Rudi postanowił w ciągu dwóch lat przygotować mnie do walki z każdym zawodnikiem w mojej kategorii wagowej. „Zrobię z ciebie niemieckiego mistrza juniorów – obiecał. – Po prostu rób swoje i pracuj tak ciężko, jak dotąd, a reszta to już moja sprawa.”

O niczym bardziej nie marzyłem – zwłaszcza odkąd Joe Louis, nowy mistrz świata wagi ciężkiej, mój idol i wzór, podźwignął się z porażki, jakiej dwa lata wcześniej doznał w walce z Maxem Schmelingiem. Swoim sensacyjnym nokautem obalił nazistowską „białą nadzieję” i sprowadził do parteru supremację Aryjczyków, przynajmniej w moim mniemaniu. Choć uważałem się za jego zagorzałego fana, zgadzałem się z Rudim i większością Niemców, że amerykańskie wpływowe kręgi bokserskie podstępnie pozbawiły Schmelinga tytułu mistrzowskiego po jego zwycięstwie nad Louisem, nie dopuszczając go do walki z dotychczasowym mistrzem Jimem [Jamesem] Braddockiem. Zamiast tego podstawili mu jako przeciwnika Louisa, który – zgodnie z przewidywaniami – zwyciężył, odbierając tytuł Braddockowi. Sama myśl, że któregoś dnia mógłbym być takim mistrzem jak Brown Bomber z Ameryki, zdawała się niepojęta, aczkolwiek, jeśli wierzyć Rudiemu, niekoniecznie zbyt przesadzona.

Jednak nawet bez takich dalekosiężnych marzeń czas spędzony w klubie okazał się ogromnie owocny i godny wysiłku. Poza częściowym wyładowaniem agresji, jaką zacząłem przejawiać w odpowiedzi na powtarzające się zniewagi, wzmocniło to moją kondycję fizyczną i ogromnie poprawiło notowania wśród rówieśników. Nigdy dotąd nie cieszyłem się takim prestiżem. Nawet starsi i więksi chłopcy zaczęli traktować mnie poważnie i darzyć respektem. W szkole i okolicy rozeszła się wieść, że stałem się prawdziwym twardzielem, więc lepiej ze mną nie zadzierać.

Dziwnym zbiegiem okoliczności, krótko po moim wstąpieniu do klubu, Hitler włączył lekcje boksingu do programu wychowania fizycznego, przekonany, że ta dyscyplina kształtuje charakter i wzmacnia pewność siebie. Zanim nauczyciel po błyskawicznym kursie zaczął w naszej szkole prowadzić zajęcia, miałem już za sobą pewne sukcesy. A ponieważ na bezrybiu i rak ryba, natychmiast zostałem okrzyknięty bokserskim geniuszem. W rezultacie nauczyciel często prosił mnie o zademonstrowanie różnych technik, począwszy od właściwej pracy nóg i prawidłowego wymierzania ciosów po wywijanie skakanką z taką szybkością, żeby nie było widać linki. Kazał mi nawet urządzić pokaz walki z poszczególnymi przeciwnikami. Ponieważ żaden z nich nie miał doświadczenia, sparing z nimi dał mi szansę zademonstrowania mojego kunsztu bez narażenia się na poważne uszkodzenie ciała. Niestety po paru tygodniach nauczyciel oznajmił mi, że musi wstrzymać te pokazówki, ponieważ nie należą do wymaganego programu. Nie miałem jednak wątpliwości, że prawdziwa przyczyna jest inna – po prostu bał się, że ten ciągły pokaz niearyjskiej dominacji w tak popularnym sporcie jak boks może się nie spodobać niektórym jego kolegom. Ale mleko już się rozlało. Moja pozycja jako najlepszego boksera w szkole była ugruntowana i tak zostało do końca moich szkolnych dni.

Tymczasem w klubie na swoją reputację musiałem ciężko pracować, spotykając się na ringu ze starymi wyjadaczami. Rudi pilnował, żebym przyglądał się licznym akcjom, często ustawiając mnie w parze z chłopakami, którzy mieli nade mną przewagę zarówno pod względem wagi, jak i zasięgu ciosu. W ten sposób uczył mnie wykorzystywania mojego błyskawicznego refleksu, dzięki któremu potrafiłem w ułamku sekundy pochylić się lub odskoczyć tuż przed ciosem. Czasem jednak refleks mnie zawodził. Płaciłem za to rozkrwawionym nosem, przeciętą wargą, spuchniętym okiem czy zwichniętą szczęką, przez co tygodniami czułem nieznośny ból przy jedzeniu.

Wiele razy poważnie zastanawiałem się, czy nie zawiesić rękawic na kołku i nie narażać się na kolejny bolesny cios. Ale za każdym razem zmieniałem zdanie na myśl, co będzie, kiedy o mojej rezygnacji dowiedzą się w szkole i okolicy. Poza tym nie starczyłoby mi odwagi, by tak po prostu stanąć przed Rudim i powiedzieć, że dłużej nie wytrzymam. Tak więc, zamiast rzucić boks, wybrałem jedyną drogę wyjścia z tej opresji, w jaką się wpakowałem, i zacząłem traktować rzecz serio. Przy nieustannej zachęcie ze strony Rudiego treno-

wałem coraz ciężej, żeby wyeliminować z mojego stylu boksterskiego wszelkie nieprawidłowości. W przerwie między wyczerpującym okładaniem worka treningowego, bieganiem i skakaniem na skakance, odbywałem walki z każdym z dwunastu dzieciaków z młodszej ligi. Stopniowo, krok po kroku, stałem się celem tak trudnym do trafienia, że mogłem bez żadnych obaw zmierzyć się na ringu z każdym rówieśnikiem. Potrafiłem przewidzieć cios, zanim nastąpił, i zawczasu zrobić stosowny unik.

Obawa przed oskarżeniem o brak wytrwałości nie była jedynym powodem, dla którego nie przestałem trenować. Chodziło też o to, że życie w klubie toczyło się z dala od nazistowskiej polityki, obecnej dosłownie wszędzie. Klub boksterski w Bramfeld stanowił wyspę na morzu zacieklego hitleryzmu. Niedostatki takie jak brak pryszniców czy przestarzały sprzęt wynagradzał nam *esprit de corps*, duch koleżeństwa. Członkowie klubu byli zwykłymi, prostymi robotnikami, którzy się naprawdę lubili i swoją przyjaźń rozciągali też na mnie. Jeśli kilka razy padła jakaś uwaga na temat mojej rasy, to w zdecydowanie pozytywnym kontekście. Większość kolegów z drużyny zgadzała się z Rudim, że afrykańskie geny mojego ojca to na ringu decydująca zaleta. I chociaż ich poglądy odzwierciedlały dość stereotypowy sposób myślenia, nie czułem się urażony, ponieważ sam się pod nimi podpisywałem. Nie wiedziałem, czy ojciec uprawiał jakiś sport, ale byłem przekonany, że moje niezwykle zdolności boksterskie mają z nim wiele wspólnego.

Ani Rudi, ani ja nie wątpiliśmy, że moja harówka doczeka się wkrótce nagrody w postaci tytułu mistrzowskiego dla mnie i dla klubu. Jeszcze zanim skończyłem czternaście lat, Rudi uznał, że jestem gotów do turnieju na szczeblu krajowym. Dlatego poczuł się zdruzgotany tak samo jak ja, kiedy wniosek, który złożył w moim imieniu do Reichssportverband (Narodowego Stowarzyszenia Sportowego), został odrzucony w myśl starej śpiewki: „*Nichtarier*” (nie-Aryjczyk). Słyszałem to dostatecznie często, by wiedzieć, że nie ma nadziei, ale Rudi nie poddawał się. Bez wahania ułożył list do najwyższego sportowego autorytetu w kraju, Reichssportführera Hansa von Tschammer und Osten. Podobno jakiś jego znajomy przez osobiste kontakty mógł spowodować, aby adresat osobiście go przeczytał. W liście tym, który zresztą mi przeczytał, Rudi wychwalał zarówno moją sportową postawę, jak i zdolności boksterskie. Gdyby dano mi szansę wystąpienia w turnieju, mógłbym nie tylko zdobyć tytuł krajowego mistrza juniorów wagi piórkowej, ale przyniosłbym zaszczyt mojemu klubowi i boksowi jako takiemu. Na zakończenie apelował do osobistego poczucia ducha sportowego Reichssportführera, powołując się także na zasadę *fair play*.

Podziękowałem Rudiemu, że zechciał nadstawić za mnie głowy, wiedziałem jednak, że już same argumenty stanowić będą dostateczną podstawę do odmowy. Moje przecucie i tym razem okazało się trafne. Chociaż nigdy się nie dowiem, czy von Tschammer und Osten zobaczył list Rudiego, wystarczyło mi, że mój trener nie doczekał się odpowiedzi. A ponieważ

zbliżał się ostateczny termin rejestracji zawodników, na moje miejsce zgłoszono innego chłopaka, z którym zresztą nie raz uganiałem się po ringu.

Kilka tygodni później z żalem patrzyłem na triumfalne powitanie mojego dublera, który wrócił z turnieju z tytułem mistrza juniorów. Chociaż wiedziałem, że nie był niczemu winien, nie mogłem powstrzymać niechęci do tego chłopaka. W moich oczach przywłaszczył sobie coś, co mi się słusznie należało, dlatego nie mogłem się doczekać spotkania na ringu z nowym mistrzem, choćby tylko treningowego. Dobrze rozumiałem, czemu go unikał, jak tylko mógł, tłumacząc się niedyspozycją. Ale w końcu wymówki mu się skończyły i moje pragnienie się spełniło. Z furją, jakiej nigdy nie czułem, odkąd zacząłem trenować, spuściłem mu taki łomot, że wkrótce poszła mu krew z nosa i zatoczył się na liny. Nawet kiedy Rudi kazał mi przerwać, grzmociłem dalej, jakbym miał przed sobą śmiertelnego wroga. W końcu trener wkroczył na ring i odciągnął mnie od przerażonego mistrza.

– Żałuję, że w tym liście chwaliłem twoją sportową postawę – ryknął na mnie z wyraźnym obrzydzeniem.

– Tylko mi nie mów o sportowej postawie! – wrzasnąłem.

Potem ściągnąłem rękawice, przebrałem się i wyszedłem z klubu, zdecydowany nigdy tam nie wracać.

## Wojna wkracza do Hamburga

Wiadomość, że 1 września 1939 niemieckie wojska na rozkaz Hitlera zaatakowały Polskę, zarówno ja, jak i moi koledzy z klasy, przyjęliśmy z jawnym entuzjazmem. W młodzieńczym patriotyzmie, troskliwie podsycanym przez maszynę Goebbelsowskiej propagandy codziennymi meldunkami o nasileniu polskich prowokacji wobec tamtejszych Niemców, uważaliśmy, że już najwyższa pora, by dać Polakom nauczkę i pokazać, że nie mogą bezkarnie rozstawiać naszych rodaków po kątach. Żałowaliśmy tylko, że jako trzynastolatki jesteśmy o wiele za młodzi, by załapać się na jakąś akcję, a zanim będziemy zdadni do noszenia broni, wojna dawno się skończy. Z zazdrością słuchaliśmy Herr Herbsta, który pewnego dnia oznajmił, że musi porzucić posadę nauczyciela i zgłosić się do służby wojskowej. Kilka tygodni później, już po podstawowym przeszkoleniu, odwiedził nas, żeby pokazać się w nowej fryzurze na jeża i mundurze szeregowca. Kiedy częstował nas żartobliwymi historyjkami na temat życia w koszarach, żadnemu z nas nie przeszło przez myśl, że ani Herr Herbst, ani większość naszych kolegów z klasy nie dożyje końca wojny.

Ku naszemu rozczarowaniu, życie w Hamburgu toczyło się tak, jakbyśmy nadal mieli pokój. O wojnie przypominały nam tylko codzienne relacje prasowe, *Sondermeldungen* (raporty specjalne) w radiu i rozszerzone kroniki filmowe. Te ostatnie stanowiły najpotężniejszą broń w arsenale Goebbelsowskiej propagandy. Materiały na żywo z linii frontu ukazywały niszczycielską siłę niemieckich wojsk, o klasę lepszych od polskiej armii, którą rozniosły



w ciągu osiemnastu dni. Mężne wysiłki Polaków, którzy przeciw niemieckim czołgom wystawili kawalerię, uzbrojoną w lance z minionej epoki, przedstawiano jako jeden wielki dowcip. Cieszyliśmy się bardzo zwycięstwami Niemiec, ale Polska i wojna wydawały się zbyt odległe, by wpłynąć na nasze życie. Dlatego przez jakiś czas kontentowaliśmy się „naszą częstką” wysiłku wojennego, która polegała na tym, że po szkole chodziliśmy od drzwi do drzwi i zbieraliśmy od gospodyń kości potrzebne do produkcji ważnych strategicznie lubrykantów. Wysypywaliśmy je potem na szkolnym dziedzińcu, tworząc wielką, cuchnącą stertę. Poza tym, z wyjątkiem coraz bardziej widocznych mężczyzn w wojskowych mundurach i obowiązującego wieczorem zaciemnienia, które miało utrudniać nieprzyjacielskim samolotom namierzanie celów, życie w Hamburgu toczyło się zwodniczo normalnie i naszym zdaniem nieznośnie nudno.

Po przystąpieniu do wojny Wielkiej Brytanii i Francji zaczęły się liczne akcje, które my, dzieci, powitaliśmy z wielkim entuzjazmem. Idoli sportu szybko zastąpili wojskowi, tacy jak komandor Günther Prien, który swoją łodzią podwodną U-47 wpłynął niepostrzeżenie do silnie ufortyfikowanej, „nieprzenikalnej” brytyjskiej bazy morskiej Scapa Flow i zatopił okręt wojenny „Royal Oak” z 833 członkami załogi, po czym bez żadnych przeszkód ani strat wrócił do bazy. Został przyjęty jak bohater przez samego Hitlera w Reichskanzlei, niemieckim odpowiedniku Białego Domu. Inni wojskowi bohaterowie, których dr Goebbels skutecznie stawiał za wzór niemieckiej młodzieży, to asy walk powietrznych Werner Mölders i Adolf Galland. Rekordową liczbę zestrzelonych przez nich samolotów codzienna prasa podawała tak jak wyniki meczów piłkarskich.

Jednakże nie wszystkie niemieckie zwycięstwa, relacjonowane w kronikach filmowych, sprawiały mi przyjemność. Po wielkiej klęsce armii francuskiej na początku czerwca 1940 Goebbelsowscy kamerzyści z lubością pokazywali tysiące wycieńczonych francuskich żołnierzy pochodzenia afrykańskiego, których w podartych mundurach pędzono do niemieckich obozów, i opatrywali to sarkastycznym komentarzem: „Oto obrońcy cywilizacji Zachodu”. W kolejnym ujęciu z nieszczęsnymi jeńcami żywo kontrastowali niemieccy żołnierze o zdecydowanie aryjskim wyglądem, maszerujący energicznym krokiem w zdyscyplinowanych kolumnach. „A tu – drwił komentator – nadchodzą barbarzyńcy.”

Każdej radiowej wiadomości o niemieckim zwycięstwie towarzyszył dźwięk fanfar, na koniec zaś wojskowy chór śpiewał popularny bojowy hymn *Wir fahren gegen England*, w którym walkę i śmierć w „krucjacie przeciw Anglii” przedstawiano jako czystą radość. Goebbelsowska prasa z triumfem donosiła o praktycznie całkowitym zburzeniu przez niemieckie bombowce brytyjskiego miasta Coventry. Ukuto nawet nowy przymiotnik „*coventriert*” (skowentryzowany). Reichsmarschall Göring, ośmielony pierwszymi zwycięstwami swojej Luftwaffe, chełpił się otwarcie, że jeśli chociaż jeden aliancki samolot wtargnie w niemiecką przestrzeń powietrzną, to „możecie nazywać mnie Meier”. Był to typowy przykład

jego poczucia humoru, ponieważ nazwisko „Meier” należy do najpospolitszych w Niemczech.

Niezależnie od przechwałek Göringa, dowództwo niemieckiej obrony powietrznej wolało nie ryzykować i zainicjowało szeroko zakrojony program budowy schronów przeciwlotniczych. Wkrótce Hamburg był usiany betonowymi bunkrami tuż nad powierzchnią ziemi, włączając w to wysokie, podobne do fortec superbunkry na Heiligengeistfeld, miejscu popularnego karnawału zimowego Hamburger Dom. Dwa superbunkry, mające w oddali niczym zwaliste potwory, stanowiły złowrogi akcent w eleganckiej linii horyzontu hamburskiego nieba, na którym do tej pory królowały wysmukłe wieże kościelne. Bunkry te służyły nie tylko do ochrony tysiącom cywilów, ale i jako platformy dla ciężkiej artylerii przeciwlotniczej. Wyposażono je także w supernowoczesne urządzenia nasłuchowe – *Horchgeräte* – prekursorzy radaru, które wyglądały jak gigantyczne czarne uszy futurystycznego potwora. Dopiero po wojnie dotarła do opinii publicznej informacja, że w dźwiękoszczelnej piwnicy jednego z bunkrów urządzono też izby tortur Gestapo, w których aż do 6 kwietnia 1945 dręczono bojowników ruchu oporu w celu zdobycia informacji o ich towarzyszach.

Aby zapobiec atakom bombowym z niskich wysokości, nieba nad Hamburgiem strzegły liczne balony zaporowe (*Sperrballons*). Liny, na których je uwiązano, były w stanie przeciąć skrzydło atakującego samolotu. Poza tym od zmierzchu do świtu obowiązywało zaciemnienie. Musieliśmy szczelnie zasłaniać okna kocami, aby nawet najsłabszy promień nie przeniknął na ulicę. W nocy szperacze przeczesywały niebo potężnymi słupami światła. Dla zmylenia nieprzyjacielskich lotników i ochrony słynnego mostu Lombardsbrücke, który rozdziela rzekę Alster, tworzącą w Hamburgu dwa jeziora, jedno z nich pokryto w całości siatką kamuflażową, a obok prawdziwego mostu wybudowano drugi, fałszywy.

Oprócz tego podjęto inne środki zabezpieczenia miasta przed tym, co według Göringa miało nigdy się nie wydarzyć. Mieszkańcom rozdano maski gazowe i zarządzano ćwiczenia przeciwpożarowe dla cywilów, w trakcie których musieliśmy przechodzić w maskach przez wielki, wypełniony gazem namiot i gasić niewielki chemiczny ogień. Aby zmniejszyć niebezpieczeństwo pożaru po ataku bombowym, wydano hamburczykom nakaz uczestnictwa w szeroko zakrojonym programie wywozu śmieci (*Entrümpelung*). My z matką także musieliśmy opróżnić nasze poddasze z niepotrzebnych mebli, starych materacy, zabawek, książek. Rzeczy te należało wystawić na chodnik, skąd zabierały je rządowe ciężarówki.

Mimo szerokich przygotowań do obrony przed nalotami, wiele osób nadal podzielało optymizm Göringa w kwestii możliwości Luftwaffe i uważało te wszystkie środki za zbyteczne. Szybko się okazało, jak źle ulokowali swoje zaufanie. 18 maja 1940 nalot bombowców RAF-u zabił trzydziestu czterech cywilów, a wraz z nimi wiarygodność Göringa, który od tej pory stał się tematem licznych żartów o Reichsmarschallu Meierze.

Naloty na Hamburg zdarzały się jednak bardzo rzadko, tak rzadko, że ilekroć jakiś budynek został trafiony, ja i setki innych gapiów biegliśmy na miejsce katastrofy, by napawać się destrukcyjną siłą bomby. Właśnie podczas tej ciszy przed burzą dowiedziałem się od Onkela Fritza, że jego matka, moja ukochana Tante Möller, zmarła po krótkiej chorobie w wieku siedemdziesięciu dwóch lat. Wiadomość ta napełniła mnie głębokim żalem, bo Tante Möller traktowałem jak babcię, której nigdy nie miałem. To przede wszystkim ona zrobiła ze mnie prawdziwego hamburczyka i sprawiła, że pokochałem to miasto do końca moich dni.

Fritz Möller powiedział mi na pociechę, że jego matka, której noga ani na minutę nie powstała w schronie, umarła we śnie, unikając w ten sposób eskalacji bombardowań i trudności, jakie z pewnością nastąpią. Miał oczywiście rację, ale nawet on nie przewidział, w jak straszliwym wymiarze ziszczą się te prorocze słowa.

W miarę nasilania się nalogów, coraz częściej budziło nas nocą wycie syren. Obladowani niczym muły spakowanymi zawczasu walizkami, w których trzymaliśmy najcenniejsze i najpotrzebniejsze rzeczy, wędrowaliśmy razem z sąsiadami do najbliższego schronu. Ten nasz, w przeciwieństwie do innych, ledwie wystających z ziemi, mógł pomieścić około setki osób. Został zorganizowany w porządnie wzmocnionych i pobielonych piwnicach nieczynnej fabryki wafli, tej samej, w której kiedyś zaopatrywaliśmy się w okrawki. Wyposażenie składało się z drewnianych ław i ustawionych pod ścianami piętrowych prycz bez materaców. W każdym z trzech pomieszczeń znajdowała się duża pompa powietrza, przez którą za pomocą ręcznej, podobnej do kija od miotły dźwigni, usuwano zużyte powietrze i zasysano świeże, przefiltrowane.

Z punktu widzenia bezpieczeństwa nasz schron nie budził wielkiego zaufania. Musieliśmy pogodzić się z myślą, że jeśli uderzy w niego bomba, wszystkich nas zmiecie z powierzchni ziemi. Był jednak usytuowany najbliżej i zapewniał tyle ochrony, „ile naprawdę będziemy potrzebowali”. Nie przekonywało nas to, ale robiliśmy dobrą minę do złej gry.

## **Życie toczy się dalej**

Mimo naszej coraz większej niepewności życie w Hamburgu toczyło się względnie normalnie, łącznie z przestrzeganiem pewnych tradycji religijnych, takich jak konfirmacja po ukończeniu podstawówki. Oczekiwano, że jako ochrzczeni luteranie, wszyscy chłopcy z mojej klasy wezmą udział w przygotowaniach do ceremonii. Nie świadczyło to bynajmniej o wielkiej pobożności naszego środowiska, stanowiło jedynie dowód trwałości miejscowej tradycji. Pod względem duchowym byliśmy skończonymi kretynami i szczyciliśmy się tym. Nasi naziści nauczyciele, z których część głosiła powrót do teutońskiego pogaństwa i kultu germańskich bóstw, próbowali nam wmówić, że praktyki religijne, jak nabożeństwa i modlitwy, są dla mięczaków. W rezultacie większość z nas od czasu chrztu, a więc wczesnego dzieciństwa

stwa, nie widziała kościoła od środka. A jednak, chociaż mieliśmy religię w małym poważaniu, uważaliśmy konfirmację za najważniejszy „rytuał przejścia” w naszym życiu.

Aby się do niej zakwalifikować, należało – zgodnie z wymaganiami naszego parafialnego Heiligen Geist Kirche (zboru Ducha Świętego) – uczęszczać co tydzień na specjalne lekcje po szkole i przez cały rok poprzedzający konfirmację uczestniczyć w niedzielnych nabożeństwach. Grupa kandydatów liczyła siedemdziesięciu pięciu chłopców i w przybliżeniu tyle samo dziewcząt, które miały zajęcia w innym dniu. Chociaż niechętnie rezygnowaliśmy z wolnego czasu, musieliśmy podporządkować się programowi, choćby tylko dlatego, że rodzice nie dali nam wyboru.

W odróżnieniu od zdominowanego przez katolicyzm południa i zachodu kraju, gdzie rytuały religijne odgrywały zawsze wielką rolę, protestancka północ była wyraźnie mniej pobożna, a przynajmniej nie tak gorliwa w praktykach. Było to szczególnie widoczne w Hamburgu, gdzie większość przedstawicieli klasy robotniczej żyła wprawdzie uczciwie i praworządnie, ale Panu Bogu wołała się nie narzucać. *„Ich lasse den lieben Gott einen guten Mann sein”* (Pozwalam Bogu być dobrym człowiekiem) – tak wielu hamburczyków podsumowywało swój dystans wobec Stwórcy. W rezultacie do bezpośredniego kontaktu ze zborom dochodziło tylko cztery razy w życiu: przy chrzcie, konfirmacji, ślubie i pogrzebie.

Matka, chociaż nie urodziła się w Hamburgu, nie stanowiła wyjątku – w niedzielę wołała porządnie się wyspać niż przesiadywać w zborze i troszczyć się o duszę. Po tygodniu katorzniczej pracy w fabryce zasługiwała na wypoczynek. A jednak mimo braku gorliwości, wierzyła w Boga i uważała moją konfirmację za niepodlegającą dyskusji.

Człowiekiem, na którego szerokie bary spadła trudna misja przekształcenia bandy niepoważnych półpogan w bogobojnych młodzieńców, i to zaledwie w ciągu dwunastu miesięcy, był pastor Ottmer. Ten zwalisty, beczkowaty mężczyzna nie widział żadnej sprzeczności między głęboką wiarą w Jezusa Chrystusa – Żyda a fanatycznym oddaniem Hitlerowi, największemu antysemitom wszech czasów. Entuzjastyczny zwolennik militarnej napaści na Polskę (wychwalał ją jako usprawiedliwiony krok w kierunku naprawienia zła wyrządzonego Niemcom), każde swoje kazanie kończył prośbą do Boga o kolejne zwycięstwa Niemiec oraz opiekę i błogosławieństwo dla „naszego ukochanego Führera”. Zgodnie z teologią Ottmera, Jezus jako syn „niewątpliwie aryjskiego Boga”, był w najgorszym razie tylko pół-Żydem i w oczywisty sposób nie odziedziczył żadnych niepożądanych cech swoich żydowskich krewnych ze strony matki. W charakterze dowodu pokazywał dwa wielkie malowidła na ścianie. Jedno przedstawiało jasnowłosego i niebieskookiego Jezusa w dojrzałym wieku, drugie – Dzieciątka o kręconych włoskach, które wydawały się jeszcze jaśniejsze.

Ponieważ pastor nie stawiał stopni ani nie zadawał prac domowych, przyszli konfirmanci dość luźno traktowali swoje studia biblijne, a tego, co głosił na spotkaniach, słuchali raczej

jednym uchem. Ta postawa sięgnęła dramatycznego szczytu czy raczej dna podczas jednego z niedzielnych kazań pod koniec roku.

Zwykle z kilkoma chłopakami wchodziliśmy na chór, gdzie nie sięgał surowy wzrok pastora, dzięki czemu mogliśmy zabijać nudę na różne sposoby. Jedni po prostu spali, pozostali grali w karty czy inne gry. Ja z reguły czytałem kryminał. Tej szczególnej niedzieli, z braku lepszego pomysłu, paru kolegów zajęło się składaniem papierowych szybowców z programu nabożeństwa rozdawanego przy wejściu. Nazwaliśmy je *Schwalben* (jaskółki). Na dany sygnał wszyscy puścili samolociki w dół i doprawdy potrzebowałem całej siły woli, by nie parsknąć śmiechem na widok papierowej eskadry, która zgodnie z prawami aerodynamiki sunęła cicho ku kościelnej posadzce. Chociaż kilka sztuk przeleciało niebezpiecznie blisko Ottmera, pastor kontynuował kazanie, jak gdyby nic się nie stało. Dopiero po zwyczajowym wezwaniu do Boga, by otoczył opieką „naszego ukochanego Führera”, zwrócił się ku psotnikom na chórze: „Wiem, kim jesteście – ryknął drżącym z bynajmniej niechrześcijańskiego gniewu głosem, podczas gdy jego wzrok zza grubych szkieł przenikał nas niczym promienie lasera. – Policzę się z wami na następnej lekcji!”.

Nie mieliśmy pojęcia, jak zamierza ukarać sprawców, ale ten wybuch nie wróżył, że pastor nadstawi drugi policzek. Ponieważ jednak nie miałem nic wspólnego z zaimprovizowanym widowiskiem, niespecjalnie się tym przejąłem. Na następnych zajęciach pastor Ottmer wyczytał z pół tuzina nazwisk, w tym, ku mojemu najwyższemu zaskoczeniu, oburzeniu i przerażeniu, także moje. Zanim zdążyłem zaprotestować, kazał nam wyjść na środek klasy, po czym zapowiedział, że dla przykładu zabrania nam dalszego udziału w przygotowaniach do konfirmacji, która miała się odbyć już za kilka tygodni. Kiedy wreszcie udało mi się wyjaśnić, że byłem jedynie biernym obserwatorem i nie brałem udziału w puszczaniu samolocików, odrzekł, że powinienem po prostu „przyjąć karę jak mężczyzna” i nie pomogło nawet potwierdzenie mojej wersji przez kilku prawdziwych sprawców. Przypomniałem sobie ulubione porzekadło matki, którym często ostrzegała mnie przed tego rodzaju figlarzami: „*Mitgefangen, mitgehungen*” (Razem przyłapani, razem powieszni). Teraz widziałem, że miała rację.

Gdyby pastor Ottmer zapowiedział, że za karę obetnie nam kciuki, nie mógłby wywołać większego szoku. Jak tu się wytłumaczyć rodzicom, którzy od roku przygotowują się do uroczystości? Matka zdążyła mi już kupić ciemny garnitur, pierwszy w moim życiu z długimi spodniami. Był to też pierwszy zakup, na który poszły nowo wydane wojenne bony. Co ja powiem znajomym i sąsiadom, zaproszonym już na konfirmacyjne przyjęcie? Że obrzęd został odwołany, bo oskarżono mnie o złe zachowanie w zborze?

Podczas gdy – między jedną a drugą modlitwą o boską interwencję – zastanawiałem się gorączkowo, jak tu przekazać matce złe wieści, pastor Ottmer wygłaszał surową reprimendę. Żądał, abyśmy przestali zachowywać się jak dzieci, wzięli odpowiedzialność za wła-

sne uczynki i wreszcie dojrżeli duchowo. „Może nie zdajecie sobie jeszcze z tego sprawy – upominał trzynasto- i czternastolatków – ale czas waszego dzieciństwa się skończył.”

Odczekawszy, aż jeszcze trochę nasiąknemy poczuciem winy i strachem, zamienił nam łaskawie karę „ekskomuniki” na codzienną godzinę ciężkich robót. Odtąd zaraz po szkole musieliśmy sprzątać teren wokół zboru, grabić, zbierać papiery i wykonywać tego typu prace. Przy okazji zabronił nam także wstępu na chór. „Macie siedzieć na samym przedzie, tak żebym was widział. To wszystko. *Heil Hitler!*” Zadowoleni, że urwaliśmy się ze stryczka, wypadliśmy z salki w stanie takiej euforii, jakby ktoś podarował nam drugie życie. Otarłszy się o katastrofę, przyrzekłem sobie słuchać odtąd pastora i trzymać się prostej, acz wąskiej ścieżki cnoty.

Kilka tygodni później, w słoneczny wielkanocny poranek, po długim kazaniu pastora Ottmera, podążałem do ołtarza w długiej procesji świeżo ostrzyżonych i wystrojonych w nowe ciemne garnitury kolegów. Z drugiej strony zbliżała się taka sama procesja dziewcząt w ciemnych, sztywnych sukienkach. Podchodziliśmy na zmianę – raz chłopak, raz dziewczyna – po błogosławieństwo i uścisk dłoni pastora, który wręczał nam świadectwa konfirmacji. Wiedziałem, że gdzieś w tłumie stoi moja matka. Kiedy nadeszła moja kolej, zauważyłem, że wierni, przeważnie krewni i znajomi konfirmantów, wypełniający szczelnie zbór, wyciągają szyje, żeby lepiej mi się przyjrzeć.

„Niech cię Bóg błogosławi” – powiedział sucho pastor i obojętnie podał mi rękę. Chyba musiał przywołać na pomoc całe swoje chrześcijańskie miłosierdzie, by móc potraktować mnie tak samo jak innych.

## **Nauka zawodu**

Już cztery lata wcześniej mój wychowawca Herr Grimmelhäuser uprzedził mnie, że mimo znakomitych ocen nie mogę liczyć na przyjęcie do żadnej z *Realschule* czy *Oberbau* – niemieckich odpowiedników szkoły średniej – ze względu na niaryjskie pochodzenie. Zgodnie z nazistowskimi przepisami wolna od opłat średnia i wyższa edukacja ograniczała się do tych uczniów, którzy nie tylko wykazali się najwyższymi ocenami w szkole podstawowej, ale także należeli do Hitlerjugend. Dla tych, którzy z takich czy innych względów zostali za burtą, pozostały tylko dwie możliwości: trzyletnia nauka zawodu albo niskopłatna praca w charakterze niewykwalifikowanego robotnika do końca życia.

Wiadomość, że zablokowano mi dostęp do dalszej nauki, bardziej niż mnie zabolala wtedy moją matkę. Odkąd jeszcze w dzieciństwie odkryła we mnie smykałkę do majsterkowania i prac manualnych, widziała mnie w przyszłości jako inżyniera, ale skoro okazało się to niemożliwe, postanowiła pomóc mi zostać przynajmniej wykwalifikowanym operatorem maszyn. Zawód ten zdobywało się poprzez trzyletnie terminowanie pod okiem doświadczonego majstra. Praktykanci nie otrzymywali żadnego wynagrodzenia, poza symboliczną tygo-

dniówką na drobne wydatki, co oznaczało, że matka będzie musiała utrzymywać mnie jeszcze przez kolejne trzy lata. Kiedy jej tłumaczyłem, że nie mogę się na to zgodzić, ucięła wszelką dyskusję. „Idziesz na praktykę i koniec. Ale jeśli ci to poprawi samopoczucie, możesz mi oddać pieniądze, jak się wzbogacisz.” Na fali młodzieńczego optymizmu zgodziłem się na ten układ.

Całkiem sporo moich kolegów z klasy nie miało takiego szczęścia. Wielu rodziców znacznie lepiej sytuowanych niż moja matka, która przy swojej skromnej fabrycznej pensyjce ledwie wiązała koniec z końcem, odmówiło dalszego ponoszenia kosztów kształcenia dzieci. Skazali ich tym samym na natychmiastowe podjęcie ciężkiej i źle opłacanej pracy fizycznej. Kilka miesięcy przed końcem VIII klasy wysłano nas do miejskiego biura Arbeitsamtu (wydziału pracy) na konsultacje w sprawie wyboru zawodu. Był to decydujący moment w naszym młodym życiu, gdyż niedogadanie się w tym względzie z wszechpotężnym doradcą mogło skutkować złym wyborem lub zesłaniem do jakiegoś prymitywnego zakładu. Mając to na uwadze, strasznie bałem się rozmowy z wyznaczonym mi doradcą, von Vett. Jeszcze zanim zapukałem do jego drzwi, byłem kłębkim nerwów, a kiedy usłyszałem: „Wejść!”, serce dosłownie stanęło mi w gardle. Za biurkiem siedział wyprostowany blondyn w średnim wieku, ale w tym momencie widziałem tylko znaczek SS z dwiema czarnymi błyskawicami w klapie jego garnituru. Człowiek, który miał w rękach moją przyszłość, należał do elitarnej, fanatycznie rasistowskiej organizacji! Natychmiast nastawiłem się na kolejne upokorzenie, komentarz w typie Wriedego, że Żydzi i inni nie-Aryjczycy powinni trzymać się z dala od naszych zakładów pracy. Ale nic takiego nie usłyszałem. Ku memu zaskoczeniu i konsternacji von Vett mrugnął do mnie przyjaźnie i poprosił, żebym usiadł. Po uważnym przestudiowaniu moich szkolnych świadectw pokiwał głową z aprobatą i zapytał, czy zgodnie z wcześniejszą instrukcją, mam przy sobie coś wykonanego własnoręcznie. Lękliwie rozpakowałem mały toporek, który wykułem w kuźni ojca mojego kumpla Eugena Brauna.

– Sam zrobiłeś ten toporek? – zdziwił się von Vett, wyraźnie poruszony.

– Tak, proszę pana – odparłem, po czym wyjaśniłem, że większą część dzieciństwa spędziłem w kuźni sąsiada.

– Możesz pewnego dnia oddać wielkie usługi naszemu krajowi.

Pomyślałem, że albo słuch mnie myli, albo temu człowiekowi odebrało rozum. Po wszystkich poniżeniach, jakie znosiłem w przeszłości, sugestia, że mógłbym odegrać pozytywną rolę w nazistowskich Niemczech, graniczyła z absurdem. Ale von Vett zdawał się mówić serio. Przewidywał, że pewnego dnia, w nie tak dalekiej przyszłości, Niemcy odzyskają swoje kolonie we wschodniej i południowo-zachodniej Afryce. Kiedy to nastąpi, będzie ogromne zapotrzebowanie na niemieckich techników, którzy mogliby kształcić i rozwijać afrykańską siłę roboczą.

– Przy twoich zdolnościach, jako wykwalifikowany operator maszyn będziesz się do tego znakomicie nadawał.

Wyraziwszy przypuszczenie, że stanę się „wybitnym operatorem”, von Vett zakończył spotkanie obietnicą doskonałego miejsca w firmie najwyższej klasy. Podziękowałem mu więc i, oddawszy obowiązkowy salut *Heil Hitler*, zamierzałem wyjść. Wtedy zapytał:

– Nie podasz mi ręki?

Obróciłem się na pięcie i uścisnęliśmy sobie dłonie. Kiedy wreszcie wyszedłem, mimo zadowolenia z wyniku rozmowy, miałem w głowie mętlik; nie bardzo wiedziałem, co mam sądzić o tej dziwnej sympatii urzędnika państwowego. Nigdy więcej go nie zobaczyłem.

Von Vett dotrzymał słowa. Kilka dni po naszym spotkaniu otrzymałem zaproszenie na rozmowę kwalifikacyjną od Gottfried Lindner AG, wysoko notowanej hamburskiej firmy produkującej przyczepy do ciężarówek.

W kwietniowy poniedziałek 1940, odziany w nowiutki kombinezon, rozpocząłem trzyletnią praktykę w Lindner AG. Oprócz mnie stało się jeszcze trzech uczniów: Heinz Scheel, spokojny facet o aparycji ciężarowca, tyczkowaty Ingolf Dieter, dobroduszny syn policjanta średniego szczebla, oraz Lisa Röhlting, hoża, swojska dziewczyna, która miała uczyć się w biurze na księgową. Majster Neumann, szef warsztatów, powitał nas w swoim kantorku, po czym zabrał na halę, gdzie moje nienawykłe zmysły zaatakował ogłuszający hałas przeróżnych wielkich maszyn, wszechobecny gęsty dym, który utrudniał oddychanie, a także wiązki oślepiających promieni ze spawarek. „Nie patrzcie tam – ostrzegł nas majster Neumann. – Można sobie uszkodzić oczy.”

Moją pierwszą reakcją był głęboki żal z powodu dokonanego wyboru. W co ja się wpakowałem? Czemu na miejsce pracy aż do emerytury musiałem wybrać takie niebezpieczne, wrogie środowisko? Dlaczego nie wycwaniłem się tak, jak mój kumpel Fiffi Peters, który tego samego dnia zaczął się uczyć na kelnera w eleganckiej Rathauskeller w ratuszu, ubrany w nieskazitelny czarny smoking? Ale w końcu uznałem, że za późno na pretensje i zamiast psioczyć na los, muszę jak najlepiej wykorzystać to, co mi zesłał.

Majster Neumann, wysoki mężczyzna w średnim wieku o szpakowatych, ostrzyżonych na jeża włosach, rumianej twarzy i berlińskim akcencie, zaprowadził nas do wielkiej drucianej klatki z długim stołem warsztatowym. Wisiał nad nim plakat z podobizną muskularnego blond robotnika w typie Zygfryda z podwiniętymi rękawami i wielkim młotem w dłoni. Na tle flagi ze swastyką umieszczono napis: *ARBEIT ADEL!* (praca uszlachetnia). Jeśli ten plakat miał nas zainspirować, to w moim przypadku absolutnie się to nie udało. Widziałem przed sobą jedynie trud, znój i co najwyżej szczyptę – jeśli w ogóle – szlachetności.

„To jest wasze stanowisko pracy” – oznajmił Herr Neumann. Wyjaśnił, że klatka ma nas chronić i możemy z niej wychodzić tylko do toalety, na przerwę i na koniec zmiany. „Od czasu do czasu będziecie przydzielani do pomocy czeladnikom przy różnych fazach produk-



cji przyczep. Macie zawsze odnosić się do nich uprzejmie, zwracać się per «pan», a nie po imieniu, i wykonywać bezzwłocznie każde ich polecenie. Zrozumiano?” Przytaknęliśmy skwapliwie, ale po minach moich nowych kolegów widziałem, że w głębi serca – tak jak ja – są dalecy od zachwyty.

Musiło upłynąć trochę czasu, zanim pogodziłem się z faktem, że – jak przewidział pastor Ottmer – w wieku czternastu lat moje dzieciństwo nieodwołalnie się skończyło. Nastawiwszy się na wstrząs kulturowy, szykowałem się do wkroczenia w szorstki, czasem wręcz okrutny świat dorosłych. Nie potrafiłem jakoś wyrzucić z pamięci pewnego incydentu, który wydarzył się w którymś z hamburskich warsztatów kilka lat wcześniej. Trafiły o nim wtedy wszystkie gazety. Pewien robotnik fabryczny, chcąc zrobić kawał koledze, który zasnął podczas południowej przerwy, podłączył mu do odbyticy wąż tlenowy pod ciśnieniem, żeby go „trochę napompować”. Kiedy próbował stopniowo odkręcić kurek od butli, tlen uderzył z taką siłą, że w mgnieniu oka rozerwał wnętrzości śpiącego, zabijając go na miejscu. Mając ten wypadek cały czas w tyle głowy, postanowiłem nigdy nie ucinać sobie drzemki w pracy.

Jako pierwszorocznicy staliśmy się typowymi chłopcami do wszystkiego. Nauczono nas przestrzegać miejsca w szeregu, czyli zgodnego z umową statusu zależności od wulgarnych i często złośliwych czeladników oraz niesympatycznego majstra. Pod kuratelą tych nieokrzesanych proletariuszy o niewyparzonych gębach, z których każdy przejawiał dziecienną skłonność do skatologicznych i seksualnych dowcipów, nie mieliśmy wyjścia – musieliśmy szybko dorosnąć, jeśli zamierzaliśmy przeżyć w tym raczej nieprzyjaznym środowisku. Wśród ryków aprobaty czeladników, demonstrowaliśmy swoją nowo odkrytą męskość, prześcigając się w gorliwości z zapalem godnym lepszej sprawy. Istniała tylko jedna nienaruszalna granica tego ohydneho zachowania – nigdy nie narażaliśmy naszych rodziców na świństwa, jakich uczono nas w pracy. To oznaczało, że dla matki nadal byłem jej niewinnym synkiem, który nie skrzywdziłby muchy. Na tej samej zasadzie przypuszczałem, że nawet najbardziej wulgarni czeladnicy poza pracą odgrywali role kochających mężów, wzorowych ojców i dobrych sąsiadów, takich jak ci z Barmbeku.

Czeladnicy uważali za swój najświętszy obowiązek wbijać do głów nam, uczniom, przy każdej okazji – a było ich sporo – że jesteśmy bandą półgłówków, hańbą zawodu, do którego absolutnie się nie nadajemy. Jedynym pozytywnym aspektem mojej nowej sytuacji był fakt, że owa niska ocena dotyczyła wszystkich praktykantów, zwłaszcza pierwszorocznych, i z wyjątkiem jednego okropnego incydentu, nigdy nie odczułem napiętnowania na tle rasowym. Chociaż z braku lepszego rozwiązania znosiłem na razie ten *status quo*, niecierpliwie wyczekiwałem dnia, kiedy przybędzie mi parę centymetrów i kilogramów, tak żeby czeladnicy dwa razy się zastanowili, zanim nadepną mi na odcisk. Tymczasem pocieszałem się myślą, że za trzy lata nie będę już niczym popychadłem, nawet majstra Neumanna.

Ponieważ obowiązywała zasada, że uczniów ma się widzieć, a nie słyszeć, nasza komunikacja z czeladnikami była z początku raczej jednostronna i ograniczała się do spraw ściśle związanych z pracą. Mimo to, mając gębę zamkniętą, a oczy i uszy szeroko otwarte, szybko zorientowałem się, co czeladników wkurza. Chociaż zbyt ostrożni, by otwarcie to przyznać, ich sarkastyczne uwagi po każdym radiowym komunikacie nie pozostawiały wątpliwości, że nie należą do admiratorów Hitlera i nazistowskiego reżimu. Nawet Peter Schmidt, ich kolega wybrany na rzecznika załogi, który oficjalnie reprezentował NSDAP, często przyłączał się do żartów z rządu. Schmidt, jak się dowiedziałem, jako jedyny z zakładu został wyróżniony wraz żoną rejsem na Maderę, w ramach mocno nagłośnionego programu *Kraft durch Freude*, dostępnego teoretycznie dla wszystkich pracujących Niemców. W dniach wypłaty często słyszałem narzekania, że od roku 1933 związki zawodowe, podobnie jak podwyżki, zanikły, a zarobki można teraz zwiększyć, tylko pracując szybciej, dłużej i wydajniej.

Kiedy czeladnicy poznali mnie lepiej, przestali się tak pilnować w mojej obecności, dzięki czemu słyszałem znacznie więcej tego, co nie było przeznaczone dla moich uszu, na przykład najbardziej bezczelne plotki na temat Hitlera i jego najwyższych dygnitarzy. Ministra propagandy Josepha Goebbelsa, człowieka żonatego i rzekome wcielenie wszelkich rodzinnych cnót, nazywali *der Bock von Babelsberg* (capem z Babelsbergu), niemieckiej stolicy filmu, z powodu jego znanych skłonności do nadużywania „prawa pierwszej nocy” z kandydatkami do ról i licznych romansów z gwiazdami. Z tych samych niepodważalnych źródeł dowiedziałem się, że szef SA supermacho Ernst Röhm o wyglądzie Olivera Hardy’ego, zanim został uznany za zdrajcę i zamordowany na rozkaz Hitlera, sypiał z młodymi bojówkarzami ze swoich oddziałów. Innym soczystym kąskiem była wiadomość, że dowódcę Luftwaffe Hermanna Göringa utrzymywał w czasach jego młodości bogaty żydowski kochanek matki. Göring nie potrafił się oprzeć pokusie oblekania swego potężnego brzuszyska w coraz strojniesze, obwieszane medalami mundury, przez co był ulubionym obiektem zakładowych żartów. Robotnicy nieustannie drwili z jego szeroko nagłośnionego „ślubu dziesięciolecia” w roku 1935, kiedy to ożenił się z mało znaną aktorką Emmy Sonnemann, a następnie z narodzin córki, mimo plotek, że wskutek obrażeń, których doznał podczas nieudanego puczu monachijskiego w roku 1923, nie mógł mieć dzieci, a nawet stał się impotentem. Dziewczynce nadano imię Edda, co zdaniem żartownisiów stanowiło akronim od *Emmy dankt dem Adjutanten* (Emmy dziękuje adiutantowi).

W prześmiewkach pojawiało się też regularnie nazwisko Roberta Leya, przywódcy Niemieckiego Frontu Pracy. Utrzymyвано, że tak naprawdę jest Żydem, który pozbył się jednej litery z oryginalnego nazwiska Levy, a do tego alkoholikiem. Z kolei tęgawy lider Hitlerjugend Baldur von Schirach według moich kolegów ukrywał swoje homoseksualne skłonności pod przykrywką szacownego małżonka i ojca, a generał Luftwaffe feldmarszałek Erhard

Milch, kolejny Żyd przekształcony w Aryjczyka, kazał swojej aryjskiej matce zeznać, że nie jest biologicznym synem swego żydowskiego ojca.

Dla moich współpracowników wyraźnie nie było nic świętego, co oznaczało, że nawet sam Führer może stać się obiektem ich szyderstw. I tak dowiedziałem się, że Hitler – wbrew oficjalnej wersji, zgodnie z którą nie interesował się kobietami, gdyż całe swoje życie poświęcił narodowi – utrzymywał kiedyś kazirodczy związek z kilkunastoletnią siostrzenicą Geli Raubal. Kiedy stosunki między nimi się popsuky, dziewczyna popełniła samobójstwo. Słyszałem też nieustanne plotki o romansie Führera z Leni Riefenstahl.

Całe to lekkomyślne gadanie, które – gdyby trafiło do niewłaściwych uszu – mogło się skończyć dla żartownisiów obozem koncentracyjnym, stanowiło zwykłą, codzienną pożywkę konwersacyjną. Świadczyło wyraźnie i o tym, jak bardzo spadło masowe poparcie dla Hitlera i jego obozu oraz jak małym szacunkiem cieszyli się wśród klasy robotniczej.

## **Hans Vollmer**

Wprawdzie postanowiłem na zawsze pożegnać się z boksem, jednak szybko zmieniłem zdanie. Mimo wszystko treningi weszły mi w krew. Potrzebowałem wysiłku fizycznego, poczucia, że moje ciało działa na najwyższych obrotach, poza tym cenilem sobie panującą w klubie atmosferę koleżeństwa, a Rudi przekonał mnie, że nawet bez pasa czempiona boks amatorski ma swoje dobre strony. Ale w niedługim czasie on i kilku starszych kolegów dostało powołanie do Wehrmachtu i tak nasz Bramfeld przestał istnieć. Pozostałych członków przejął znacznie większy Box Verein Polizei sponsorowany przez hamburską policję.

Dziwne, ale nikt nie protestował, kiedy wraz z kilkoma zawodnikami z Bramfeld pojawiłem się na treningu w koszarach, chociaż roіło się tam od policjantów, których komendantem był nie kto inny jak sam SS Reichsführer Heinrich Himmler. Do dziś zastanawiam się, dlaczego pozwolono mi ot tak wejść między sam kwiat hamburskiej młodzieży i co mnie opętało, że zdecydowałem się nadstawić głowy. Przecież wystarczyłby jeden policjant z koneksjami z SS, by na zawsze przypiecztować mój niearyjski los.

W czasie treningów w Box Verein Polizei i filii tego klubu przy Bachstrasse poznałem mistrza juniorów wagi średniej Hansa Vollmera, bardzo łbskiego gościa, starszego ode mnie o trzy lata i prawie o głowę wyższego. Mimo młodego wieku posiadał zadziwiającą zdolność posyłania przeciwnika na deski jednym prawym prostym. Wkrótce Hans został moim najlepszym przyjacielem i zastępczym ujściem dla moich urażonych boksterskich ambicji. Za każdym razem kiedy przygotowywał się do walki, czułem takie samo napięcie i podniecenie jak on, a po wygranym meczu odczuwałem jego zwycięstwo jak własne.

Mimo intensywnych treningów nasze kontakty nie ograniczały się tylko do wspólnego uprawiania sportu. Hans, który już trzeci rok uczył się zawodu wulkanizatora, po pracy często testował wraz ze mną różne nocne lokale. Ponieważ mieszkał w sąsiedniej dzielnicy

Hamm, kompletnie pozbawionej miejsc odpowiednich dla młodych ludzi, przesiadywaliśmy albo w Café König w mojej okolicy, albo w którejś z wielu spelunek przy Reeperbahn w dzielnicy St. Pauli.

Wędrówki po miejscach, gdzie kotłują się tłumy zadziornych młodych ludzi, prędzej czy później kończą się kłopotami. Zwykle udawało nam się unikać konfrontacji, po prostu schodząc takim zuchom z drogi, zwłaszcza że trener wbijał nam nieustannie do głów, iż pięści boksera poza ringiem to śmiertelna broń, którą należy się posługiwać z największą ostrożnością. Ale pewnego razu Hans postanowił nie zastosować się do tej przestrogi. Minęliśmy właśnie grupkę mniej więcej dwudziestoletnich facetów, wystających przed wejściem do nocnego baru, gdy nagle jednemu z nich, prawie dwumetrowemu osiłkowi, nie spodobała się moja osoba.

– Co ten czarnuch tu robi? – syknął na tyle głośno, że dotarło to do naszych uszu.

Hansa jakby szerszeń ukłął.

– Coś ty powiedział?

– Zapytałem, co robi tu ten czarnuch – powtórzył tamten, prostując się, i dodał groźnie: – A tobie co do tego?

W tym momencie jego towarzysze zaczęli nas osaczać z wyraźnym zamiarem wszczęcia burdy. Miałem nadzieję, że ten, który mnie obraził, przyjrzy się lepiej Hansowi i zauważy jego spłaszczony nos, bliznę nad lewym okiem, szerokie bary i wąskie biodra, po czym zrozumie, z kim ma do czynienia i da spokój. Ale on tylko nadstawił pięści i, przyjąwszy niezdatną postawę bokserką, wysunął się do przodu. Następnego kroku nie zdążył już zrobić, bo pięść Hansa z szybkością błyskawicy wylądowała na jego szczęce. Rozległ się złowieszczy trzask łamanych kości i dryblas padł na ziemię. Leżał tam, mamrocząc jakieś nieartykułowane słowa, a z kącików ust ciekły mu strużki krwi.

Na widok „rękodziela” Hansa pozostali trzej rozpięchli się, chcąc uniknąć losu kolegi. Mimo że Hans zapraszał ich do powrotu i wyrównania rachunków, trzymali się w bezpiecznej odległości, wyraźnie pozbawieni ducha walki. Ponieważ zawsze uważałem, że należy wycofać się w momencie największej przewagi, namówiłem przyjaciela, żebyśmy odpuścili i wzięli nogi za pas. Miałem poważne obawy, że jeśli Hans złamał przeciwnikowi szczękę, konsekwencje mogą być bardzo nieprzyjemne, zwłaszcza gdyby facet okazał się nazistą. Na szczęście udało nam się zejść ze sceny bez dalszych incydentów i nigdy więcej nie słyszeliśmy o błyskawicznej akcji Hansa w mojej obronie.

Wiele razy odwiedzałem mojego przyjaciela w skromnym mieszkanku w Hamm. Poznałem jego ojca, także wulkanizatora, i matkę – pielęgniarkę Czerwonego Krzyża. Oboje bardzo się szczycili osiągnięciami Hansa na ringu, a ja po kilku spotkaniach doszedłem do wniosku, że są po prostu przeciętnymi, ciężko pracującymi ludźmi, dla których największą przyjemnością jest możliwość oglądania sukcesów własnego dziecka. Szybko jednak przekona-

łem się, że nigdy nie należy sądzić książki po okładce. Pewnego dnia, kiedy zatrzymaliśmy się z Hansem pod drzwiami, usłyszałem, jak jego matka rozmawia z kilkoma mężczyznami w jakimś nieznanym mi języku. Kiedy zapytałem, o co tu chodzi, Hans odpowiedział, że jego matka jest Rosjanką i często pomaga swoim rodakom. Byli to jeńcy pojmani przez Niemców w Rosji i zmuszeni do pracy w tutejszych fabrykach zbrojeniowych.

Nie mogłem uwierzyć, że Frau Vollmer, która wyglądała i mówiła jak najprawdziwsza hamburska *Hausfrau* i nawet posługiwała się czystym Plattem, była Rosjanką. Zapytana, jak trafiła do Niemiec, opowiedziała mi wzruszającą historię, przy której doktor Żywago poziele- niałby z zazdrości. W czasie I wojny jej przyszły mąż został ranny i dostał się do rosyjskiej niewoli, po czym przewieziono go do szpitala w głębi kraju, gdzie ona pracowała jako pielę- gniarka. Zakochali się w sobie, ale po zakończeniu wojny żołnierza odesłano do Niemiec. Przed wyjazdem przysiągł, że przy pierwszej okazji wróci po swoją ukochaną. Podobno przez trzy lata nie dawał znaku życia, ona jednak nie traciła wiary. I nagle pewnej zimowej nocy usłyszała pukanie do drzwi. Na progu stał niemal na śmierć zmarznięty Hans Vollmer senior, gotów zabrać ją do swojej ojczyzny i poślubić. Odkąd usłyszałem tę opowieść, pa- tryłem na Hansa i jego rodziców innymi oczami. Zastanawiałem się, dlaczego niektórzy jadą na koniec świata, byle tylko połączyć się ze swymi ukochanymi, a mój rodzony ojciec nie zrobił dotąd w tym kierunku nawet najmniejszego kroku.

Kilka dni później wpadł do nas Hans ze straszną wieścią, że jego dom został doszczętnie zbombardowany w czasie nocnego nalotu. Jak wielu hamburczyków, on i jego rodzice dość luźno traktowali przepisy i nie zawsze schodzili do schronu na dźwięk syren. Tym razem jed- nak, nie wiadomo czemu, postąpili zgodnie z nakazem. Ich sąsiadów, którzy go zlekceważyli, znaleziono martwych pod gruzami.

W ciągu paru tygodni Vollmerowie dostali przydział na znacznie większe mieszkanie w lep- szej dzielnicy. Wszystkie straty wynagrodzono im z nawiązką w ramach szeroko nagłośnio- nego gestu rządu wobec pierwszych ofiar bombardowań. Kiedy Hans oprowadzał mnie z dumą po nowym, wspaniale wyposażonym i ozdobionym mieszkaniu, gdzie w odróżnieniu od dawnej nory mieli takie luksusy jak duża, wyłożona kafelkami łazienka i elektryczna ku- chenka, marzyłem w duchu, by mój dom znalazł się na kolejnej liście celów do zbombardo- wania.

Kiedy RAF rozpoczął odwetowe naloty na niemieckie miasta, ruiny zbombardowanych budynków stały się w Hamburgu dość powszechnym widokiem. Nieczęsto jednak widywało się na miejscu katastrofy prominentnych nazistów. Słyszałem, jak ludzie szemrali, że Hitler nigdy się tam nie pokazywał, chociaż jego obecność mogła znacznie wpłynąć na zdruzgotane morale ofiar.

## Swingjugend

W drugim roku nauki zawodu nie uważałem się już za tak strasznie pokrzywdzonego przez los tylko dlatego, że musiałem pracować tak ciężko i długo jak dorośli. Była to już dla mnie codzienność. Poza tym, mimo trudnych warunków, moje życie nie składało się wyłącznie z pracy. Każdego dnia po fajrancie, razem z tysiącami hamburskich nastolatków, przechodziłem całkowitą metamorfozę. Po długim szorowaniu, fiokowaniu i szczotkowaniu z roboli w poplamionych kombinezonach zmienialiśmy się w starannie uczesanych, wymanikiurowanych i odzianych światowców... przynajmniej we własnym mniemaniu. Zostawiwszy za sobą maszyny, pył i narzędzia, wkraczaliśmy w wymagowaną krainę Swingjugend – grupy nieformalnej, niezorganizowanej i pozbawionej przywódcy, a jednak wyraźnie sfraternizowanej, przy której bladł sławetny Hitlerjugend.

Ruch Swingjugend, jeśli można go tak nazwać, nie miał ani formalnych, płacących składki członków, ani wybieranych przywódców, tylko samych fanów. Chociaż zrodził się głównie wśród pracowników fizycznych, wykraczał poza granice klas społecznych i przyciągał młodzież z różnych środowisk. W ten sposób wyładowywaliśmy młodzieńczą potrzebę buntu przeciwko konformizmowi, przeciwko reżimowi nazistowskiemu. Nie mieliśmy żadnego *credo* ani programu politycznego. Nosiliśmy się schludnie do przesady, jak miastowi. Nasz niepisany program sprowadzał się do protestów przeciwko establishmentowi (co groziło poważnymi kłopotami ze strony Gestapo), słuchania przy każdej okazji jazzu, który uznaliśmy za swój, ponieważ naziści zakazywali go jako *Negermusik*, brylowania wśród dziewczyn postawą *macho* i klasą oraz – co nie mniej ważne – zaciągania ich do łóżka. W moim przypadku akurat to ostatnie zasadzało się bardziej na fantazjach niż konkretach, gdyż szanse znalezienia sobie chętnej partnerki, a także odpowiednich warunków, były absolutnie zerowe.

Swingjugend zadali sobie wiele trudu, by stać się zdeklarowaną antytezą Hitlerjugend. W opozycji do krótkich, wojskowych fryzur, zalecanych przez kierownictwo HJ nosiliśmy baki i długie włosy. Niestety, moje dopiero po wielu zabiegach i zużyciu mnóstwa pomady z trudem osiągały długość „do kołnierzyka”, zgodną ze stylem swingboyów. Z bakami szło jeszcze gorzej. Żeby nie wiem jak często golił okolice uszu, i tak pozostawały gładkie jak pupa niemowlaka, bez jednego choćby włosa. Ten oczywisty mankament w pełni równoważyła godna pozazdroszczenia, przedwcześnie rozwinięta zdolność do zapuszczania wąsów. Choć nieco za rzadkie, były dobrze widoczne. Nigdy nie dałem się skusić na „patentowany środek” na nagość pod nosem. Sposób ten, mocno rekomendowany przez czeladników, polegał na smarowaniu na noc tego miejsca psim kałem. Wielu moich kolegów odnosiło się do skuteczności owego środka równie sceptycznie jak ja, ale wiem, że nawet ci, którzy publicznie się z niego wyśmiewali, po cichu próbowali go stosować. Najwyraźniej uznali, że styl Swingjugend wart jest poświęcenia.

Naszym ogólnie przyjętym znakiem firmowym była aparycja dandysa, co zadawało kłam opinii, że większość z nas to nieokrzesane prostaki, dobre zarówno do młotka i kłucza fran-

cuskiego, jak i do bitki. Chcąc totalnie pogłębić „zdrowy” styl zalecany przez kierownictwo Hitlerjugend, wybraliśmy sobie na głównego idola i wzorzec do naśladowania Johanna Heestersa, gwiazdora filmów muzycznych o aksamitnym głosie, pożeracza damskich serc, którego blada karnacja i starannie utrefione, długie, czarne włosy uosabiały przeciwieństwo chłopaka z HJ. Za przykładem wytwornego, urodzonego w Holandii Heestersa nosiliśmy dwurzędowe marynarki do kolan, szerokie, zakrywające buty spodnie, sztywne, krochmalone kołnierzyki, dopasowane w tali granatowe płaszcze, kapelusze typu homburg i – jako absolutny szczyt elegancji – białe jedwabne szale. Myśl, że przyszczate, zarośnięte wyrostki przypominają raczej karykaturę Heestersa niż jego samego, w ogóle nie przyszła nam do głowy.

Ponieważ muzycy z orkiestr tanecznych cieszyli się u Swingjugend prawie takim samym prestiżem jak gwiazdorzy filmowi, postanowiłem podbudować wizerunek oraz swoje ego, próbując po raz drugi sił w grze na instrumencie. Pewnego dnia na wystawie zobaczyłem błyszczącą, srebrzystą trąbkę i zakochałem się w niej od pierwszego wejrzenia. Po paru godzinach wróciłem do sklepu z odpowiednią sumą z własnych oszczędności. Rozpytawszy się o dobrego nauczyciela gry, zdecydowałem się na Konserwatorium Vermeerena, które oferowało lekcje płatne od godziny na warunkach, którym mogłem podołać. W przeciwieństwie do poprzedniej, narzuconej próby ze skrzypcami, trąbce poświęciłem się całą duszą i wychodziłem ze skóry, by opanować tajniki gry na instrumencie. Mimo starań i tak nie robiłem zadowalających postępów z ustnikiem. Po dokładnym zbadaniu instrumentu (okazał się w porządku), nauczyciel orzekł, że winne są moje wargi. „Są zbyt pełne jak na trąbkę. – Tu pokazał mi swoje aryjskie usta, które w czasie gry ściągał w poziomą, cienką jak brzytwa kreskę. – Może powinieneś spróbować z jakimś innym instrumentem dętym? Na przykład dla ustnika klarnetu wielkość warg nie gra roli.”

Odpowiedziałem, że przecież najśłynniejszy trębacz jazzowy Louis Armstrong nie ma szczególnie wąskich warg. On jednak uważał, że tego, co Satchmo wydobywa ze swojego instrumentu, nie można nazwać muzyką. I tym gorzkim akcentem zakończyły się moje lekcje w Konserwatorium Vermeerena, ale i tak pozostałem niezachwiany w wierze, że skoro wargi Satchma nie są za duże do trąbki, to i moje ujdą.

Zamiast porzucić marzenie o grze, postanowiłem uczyć się sam – najlepiej jak potrafię. Ku rozpaczy sąsiadów, którzy zostali moimi mimowolnymi słuchaczami, nie ustawałem w ćwiczeniach. W rezultacie nie zostałem wprawdzie nowym Armstrongiem, ale moja gra poprawiła się na tyle, że doczekałem się wyrazów uznania ze strony kilku kolegów z sąsiedztwa.

Na centrum aktywności Swingjugend z mojej okolicy wybrali sobie Café König, ekspansywny nocny klub, w którym występowało kombo złożone z saksofonisty tenorowego, pianisty, perkusisty i basisty. Każdy z nich uważał się za swingboya. Mimo że podawano tam jedynie bezalkoholowe piwo, knajpa pękała w szwach i hulano tam przez siedem dni w tygodniu. Zabawa nie obejmowała jednak tańców. Najnowsze zarządzenie władz zawiesiło wszel-

kie publiczne dancingi. Chodziło o to, żeby nie dostarczać okazji do różnych figli-migli między samotnymi żonami frontowych żołnierzy a snującymi się po mieście cywilami czy wojskowymi samcami na urlopach. Z tego, co zauważyłem, zakaz ten i tak nie powstrzymał mężatek przed szukaniem szczęścia w ramionach obcych mężczyzn.

Załąpać się do towarzystwa w Café König w wieku piętnastu lat? Łatwo powiedzieć, gorzej z realizacją. Młodzieży poniżej osiemnastu lat nie wpuszczano do nocnych klubów z mocy prawa, za którego naruszenie wyznaczano srogie kary. Ponieważ ani ja, ani żaden z moich kumpli nie zamierzaliśmy czekać trzy lata, gwizdaliśmy na przepisy i wchodziliśmy na bezczela. Za każdym razem towarzyszył nam dreszcz emocji. Żeby się dostać do środka, musieliśmy minąć nie tylko napis „MŁODZIEŻY PONIŻEJ 18 LAT WSTĘP WZBROSIONY”, ale co gorsza, prześlizgnąć się koło bramkarza Wilhelma Königa, właściciela lokalu, którego lojalność wobec partii potwierdzała swastyka w klapie. Ten niski, lecz potężnie zbudowany ekszapaśnik, z wyglądu przypominał swojego psa, który nigdy go nie odstępował. König pełnił podwójną funkcję – portiera i wykidajły, zależnie od potrzeby. Widziałem go raz w akcji, kiedy natarł jak czołg na kilkunastu niesfornych gości i w pojedynkę zlikwidował całą burdę, toteż wiedziałem, że nie ma z nim żartów. Ale chociaż regularnie odprawiał tabuny nieletnich chłopaków i dziewcząt po sprawdzeniu ich legitymacji, mnie nie tylko ani razu nie odesłał, ale nawet nie powiedział mi złego słowa. Udawał też głuchego, kiedy muzyków ponosiło i na błagania tłumu wciskali kilka zakazanych jazzowych kawałków do repertuaru złożonego z przepisowych fokstrotów. Gdyby przyłapał ich na tym ktoś niepowołany, mógłby doprowadzić do aresztowania, obłożenia grzywną, zawieszenia, a w przypadku recydywy – wysłania na front wschodni.

Z przynależnością do Swingjugend wiązały się też emocjonujące przepychanki z wszechobecnym Hitlerjugend. Rzadko który tydzień mijał bez konfrontacji z ich patrolem, liczącym od dziesięciu do dwudziestu umundurowanych junaków. Pojawiali się znienacka przy naszych ulubionych knajpach, blokowali wyjścia, a potem chodzili od stolika do stolika, sprawdzając na przykład długość włosów gości. Tych, którzy mieli najdłuższe, wypraszali na zewnątrz i pod strażą prowadzili do zakładu, gdzie kilku fryzjerów czekało z nożyczkami, aby dać im nauczkę na całe życie. Ponieważ przyjęło się, że długie włosy noszą antynaziści, przymusowo ostrzyżeni młodzi ludzie obnosili łyse pały z dumą jako świadectwo odwagi. Traktowaliśmy ich jak męczenników ruchu, którzy zapłacili najwyższą cenę za swoje przekonania.

Raz tylko byłem bliski tego obowiązkowego strzyżenia, kiedy wyprosił mnie z lokalu młodszy członek patrolu. Uszczęśliwiony, że wreszcie dostąpię tego wyróżnienia, wypiąłem dumnie pierś i przygotowałem się do wyjścia. Zanim jednak dotarłem do drzwi, zatrzymał mnie ich dowódca. „Ty możesz sobie nosić włosy takie długie, jak tylko zechcesz, *Kamerad* – oznajmił z przesadną uprzejmością. – W ogóle nas nie obchodzi, co z nimi zrobisz.” Kiedy



wracałem do stolika pod obstrzałem pogardliwych spojrzeń, zrozumiałem, że duch Heinricha Wriedego, który uprzykrzał mi życie w szkole, nadal ma się dobrze.

Chociaż moda na swingboyów w Hamburgu stanowiła raczej uciążliwość niż realne zagrożenie dla państwa nazistowskiego, Gestapo bardzo niechętnie patrzyło na wszechobecnych młodych dandysów. Pod koniec wojny około czterystu fanów Swingjugend zostało aresztowanych, a siedemdziesięciu wysłano do obozów koncentracyjnych.

## Reingruber

Zmiana pracodawcy podczas wojny była absolutnie niemożliwa, toteż zdziwiliśmy się bardzo, kiedy w zakładzie pojawił się nowy czeladnik nazwiskiem Reingruber. O tym siwowłosym, chudym jak patyk facecie po pięćdziesiątce wiedzieliśmy tylko tyle, że pochodził z Bawarii i jak większość jej mieszkańców był katolikiem. W protestanckim Hamburgu kwalifikowało go to do postponowanej mniejszości, określanej jako *Saubayern* (świńscy Bawarczyści). Za ów „komplement” odwzajemniali się, nazywając wszystkich innych Niemców *Saupreussen* (świńscy Prusacy).

Nic mnie nie obchodziło wyznanie Reingrubera ani jego pochodzenie, toteż nigdy nie uczestniczyłem w pogardliwym obrabianiu mu tyłka za jego plecami. Jak dla mnie, facet był w porządku, zwłaszcza że włożył dużo wysiłku, by się ze mną zaprzyjaźnić. Ale inny czeladnik, mój bliski kolega Hannes Mauer, cały czas mnie ostrzegał: „Uważaj, chłopie. Nie wiem, o co tu chodzi, ale z tym Reingruberem coś jest nie tak”.

Żadnej z jego przestróg nie potraktowałem serio, bo Reingruber nigdy nie powiedział ani nie zrobił nic, co wydałoby mi się podejrzane. Dlatego nie miałem nic przeciwko temu, że pewnego dnia wyznaczono nas do wspólnej warty przeciwlotniczej. W czasie wojny wszyscy pracownicy zakładu musieli na zmianę pełnić całonocne dyżury i w razie trafienia bombą zapalającą ugasić ogień.

Była jesień 1942. Naloty bombowe na Hamburg wciąż zdarzały się rzadko, więc Reingruber i ja mogliśmy się spodziewać spokojnego dyżuru. Zanim położyliśmy się na pryczach, skracaliśmy sobie czas czytaniem i słuchaniem przez radio najnowszych meldunków z kwatery głównej Führera. Na razie wszystko układało się zgodnie z jego planami – Polska, Francja, Belgia i Holandia padły. Niemieckie oddziały dotarły w głąb Związku Sowieckiego, pod Stalingrad. Brytyjska flota doznała poważnej klęski podczas obrony Tobruku w północnej Afryce, a Japończycy na potęgę bili Amerykanów na Pacyfiku.

Mimo tych „dobrych wieści” Reingruber był w pesymistycznym nastroju. W związku z nagłówkami w prasie codziennej, które anonsowały kolejne zwycięstwo Japonii na morzu, przekonywał mnie, że teraz Japończyków nic już nie powstrzyma: „Nie myśl, że zadowolą się panowaniem w Azji. Jak tylko wojna się skończy, wyślą do Berlina specjalną grupę i za-

mordują Hitlera. A potem podbiją cały świat. W każdym razie czy to za sprawą aliantów, czy Japońców, niedługo będzie po nazistach”.

Chociaż te przewidywania wydały mi się cokolwiek przedwcześnie, kim byłem, żeby dyskutować ze starszym czeladnikiem? Mając dodatkowo na względzie przestrożę Hannesa Mauera na temat „dziwnego wrażenia”, jakie wywarł na nim Bawarczyk, postanowiłem nie dokładać swoich pięciu groszy i nie wyrażać żadnych opinii. Wyczerpawszy tematy do rozmowy, zgasiliśmy światło i zasnęliśmy. Po nocy, która minęła bez syren alarmowych i niespodziewanych zdarzeń, poszliśmy do pracy.

Zdążyłem już zapomnieć o złych przeczuciach Reingrubera co do wyniku wojny, kiedy sekretarka wezwała mnie do dyrekcji. Tam moja pamięć doczekała się zupełnie niepożądanego i nieoczekiwanego wsparcia ze strony trzech panów: dyrektora zakładu Herr Habichta, majstra Neumanna i mojego towarzysza z nocnego dyżuru Reingrubera, którzy patrzyli na mnie wzrokiem niewróżącym niczego dobrego. Ochrzan wisiał w powietrzu, tylko nie miałem pojęcia za co. A już najmniej zrozumiała wydała mi się obecność w tym gremium Reingrubera.

– Obecny tu Herr Reingruber poinformował nas – przeszedł od razu do rzeczy Herr Habicht – że dziś w nocy robiłeś jakieś wywrotowe uwagi. Konkretnie miałeś się wyrazić, że to tylko kwestia czasu, kiedy Niemcy przegrają wojnę. Rozumiesz chyba powagę takiego zarzutu?

Zaniemówiłem. Gniew i strach na chwilę odebrały mi jasność myślenia. Gniew – na Reingrubera, który patrzył na mnie z krzywym uśmiechem na nieprzeniknionej twarzy, a strach z powodu niebezpieczeństwa, na które jego beczelne kłamstwo mnie naraziło. Często słyszałem, że wypowiedzianie wywrotowych komentarzy traktowane jest na równi ze zdradą i grozi za nie kara śmierci. Na myśl o egzekucji ugięły się podę mną kolana i czułem, że zaraz zwymiotuję. Wiedziałem, że zostałem wrobiony, że człowiek, który udawał przyjaciela, haniebnie mnie zdradził. Ale dlaczego? Czemu Reingruber aż tak mnie nienawidził, że zależało mu na mojej śmierci? Co ja mu zrobiłem? Te i inne myśli przebiegały mi przez głowę, ale odpowiedź się nie nasuwała.

– No więc co masz do powiedzenia na swoją obronę? – przywołał mnie do rzeczywistości głos Herr Habichta.

– To nieprawda – wyjąkałem. – To wszystko kłamstwo. To ontak mówił, nie ja.

W pełni świadom, jak nieprzekonywająco to brzmiało, wodziłem wzrokiem od Herr Habichta do majstra Neumanna, wreszcie z nieskrywaną pogardą spojrzałem na Reingrubera, który nadal miał na ustach ten sam nieprzenikniony uśmiezek. Miałem coraz większą ochotę najpierw dać mu w pysk, a potem tłuc i tłuc, aż z jego twarzy zostanie krwawa masa. Zmusiłem się do odwrócenia wzroku, bo chęć rozprawienia się z nim tu i teraz stawała się coraz trudniejsza do opanowania.

– Może pan wracać do warsztatu, Herr Reingruber.

Herr Habicht wyraźnie wyczuł, co mi chodzi po głowie. Ledwie za Reingrubem zamknęły się drzwi, podjął temat już nieco łagodniejszym tonem:

– Nie wiem, kto tu kłamie, ale to oczywiste, że jeden z was nie mówi prawdy. Nie muszę ci chyba przypominać, mój chłopcze, że tego rodzaju gadanie może na ciebie ściągnąć poważne kłopoty. Ale my tutaj zawsze byliśmy zadowoleni z twojej pracy jako ucznia i naprawdę nie chcielibyśmy, aby spotkało cię coś złego. Dlatego powstrzymamy się od przekazywania władzom tej sprawy do dalszego śledztwa.

Nie miałem wątpliwości, jakie „władze” ma na myśli.

– Rozumiesz chyba – kontynuował – że jeśli Niemcy przegram wojnę, wszyscy będziemy skończeni – ty, ja, każdy z nas. Rozumiesz to, prawda?

– Tak – wykrztusiłem, daremnie starając się nadać swojemu głosowi nutę szczerości.

Prawda, do której nie mogłem się przyznać, była taka, że nigdy nie wierzyłem w powszechnie akceptowaną propagandę Goebbelsa i pogrozki, że gdyby alianci wygrali wojnę, to wszystkich Niemców czeka śmierć, tortury i wieczna niewola.

Za radą Herr Habichta i Herr Neumanna unikałem odtąd Reingrubera jak zarazy, ale nie mogłem się oprzeć, by nie przekazywać mu wzrokiem całej swojej nienawiści, ilekroć nasze drogi się skrzyżowały. Kiedy opowiedziałem Hannesowi Mauerowi, co mi się przydarzyło, utwierdził się tylko w swojej początkowej opinii o Bawarczyku, ale nawet on nie potrafił znaleźć wiarygodnego wyjaśnienia, jaki motyw skłonił Reingrubera do zadenuncjowania mnie mimo wcześniej udawanej przyjaźni.

Niecały rok po tym pamiętnym interludium, w lipcu 1943, bomby zniszczyły większą część miasta, zrównując z ziemią nasz zakład. Ja i inni pracownicy Lindner AG, którzy przeżyli naloty, przenieśliśmy się do innych zakładów. I chociaż miałem szczery zamiar dotrzeć do sedna zdrady Reingrubera, a nawet rozliczyć się z nim po wojnie, nie nadarzyła mi się już taka okazja. Mimo usilnych poszukiwań nigdy już go nie zobaczyłem ani nie natrafiłem na jego ślad.

## **Gretchen**

Mimo paru dość obiecujących kontaktów z płcią przeciwną we wczesnym dzieciństwie, w miarę dorastania moje stosunki z dziewczynami coraz bardziej się rwały, a zanim skończyłem czternaście lat, wszelkie znajomości wygasły. Zastąpiły je pobożne życzenia i sekretne fantazje. Wydarzenie, które doprowadziło do tego przykrego stanu rzeczy, miało miejsce cztery lata wcześniej, jeszcze w szkole. Wtedy to Herr Dutke oznajmił klasie, że nie-Aryjczykom, „jak wasz kolega Hans-Jürgen”, prawa norymberskie zakazują małżeństw i wszelkich związków z niemieckimi kobietami. Przepis ten ma na celu – wyjaśnił Dutke ze źle skrywaną satysfakcją – niedopuszczenie do *Rassenschande*, czyli kardynalnego grzechu skazania szlachetnej aryjskiej krwi domieszką gorszej. Mogłoby to doprowadzić do destrukcji

narodu niemieckiego, dlatego *Rassenschande* uważano za przestępstwo gorsze od morderstwa.

W tamtym czasie o wiele bardziej przejmowałem się swoim statusem klasowego „wstrętnego nie-Aryjczyka” niż wiadomością, że nie będę mógł ożenić się z Niemką. W wieku dziesięciu lat małżeństwo nie zajmowało wysokiej pozycji na liście moich priorytetów. Ale w wieku dojrzewania dziewczęta stawały się dla mnie coraz ważniejsze i słowa Dutkego zaczęły nabierać nowego, złowrogiego znaczenia.

Moje obawy o wejście w konflikt z prawem stanowiły jednak tylko część problemu, który powstrzymywał mnie od przyjemności związków z dziewczętami. Pod tym względem dość długo uważałem się za brzydkie kaczątko. Okazjonalnie wyrażane skrajne obrzydzenie, jakim niektóre dziewczyny reagowały na moje spojrzenia, niekoniecznie podnosiło moją samoocenę. Nawet bez zakazu *Rassenschande*, która dziewczyna przy zdrowych zmysłach zechciałaby takiego jak ja? Całkowicie przekonany, że żadna się mną nie zainteresuje inaczej niż w platoniczny sposób, nigdy się nie zdradziłem, że któraś wpadła mi w oko, choćbym konał z tęsknoty. Przypuszczałem, że w ten sposób oszczędzę sobie upokorzeń odmowy. W odróżnieniu od większości moich kumpli, którzy zaczęli łączyć się w pary z dziewczętami z sąsiedztwa, ja nie miałem na to żadnych szans.

Wszystko to uległo zmianie wraz z pojawieniem się wysokiej, smukłej i szalenie wyniosłej dziewczyny w moim wieku – Gretchen Jahn. W momencie kiedy razem z matką i młodszym bratem wprowadziła się do mieszkania kilka domów dalej, kompletnie straciłem głowę. Niestety o bliższym poznaniu mogłem sobie najwyżej pomarzyć.

Jak dowiedziałem się później pocztą pantoflową, Jahnowie mieszkali przedtem w lepszej dzielnicy, ale po rozwodzie z zamożnym funkcjonariuszem policji Frau Jahn musiała poszukać sobie skromniejszego lokum. Nadal jednak uważała się za kogoś lepszego. Kontakty z sąsiadami ograniczała do absolutnego minimum i do tego samego skutecznie zachęcała swoje latorośle. Ani Gretchen, ani jej brat nie zwracali najmniejszej uwagi na dzieci z sąsiedztwa, te zaś odpłacały się im tą samą monetą. Większość moich kumpli nie mogła patrzeć na Gretchen, która nie dość, że zadzierała nosa, to jeszcze była zbyt koścista i kompletnie pozbawiona seksapilu. Mnie akurat bardzo to odpowiadało, gdyż jakakolwiek konkurencja tylko pogorszyłaby moją i tak beznadziejną sytuację. Co do jej wyglądu i zachowania, to uważałem, że jest najwytworniejszą, najbardziej arystokratyczną istotą, na jakiej kiedykolwiek spoczęło moje oko. Inne dziewczyny z sąsiedztwa wyglądały przy niej jak tłuste wsiowe dziewczuchy. Ale jak zwykle zachowywałem swoje odczucia dla siebie.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności za centrum towarzyskiej aktywności chłopaków z mojej ulicy w wieku od pięciu do piętnastu lat służył szeroki betonowy ganek tuż pod mieszkaniem Jahnow. Tam, ku utrapieniu lokatorów, zbieraliśmy się regularnie w hałaśliwych grup-

kach. Często udawało mi się dostrzec w oknie sylwetkę Gretchen, co sprawiało, że wyowiadałem się i zachowywałem bardziej powściągliwie niż moi luzaccy koledzy.

I pewnie pozostałbym cichym wielbicielem Gretchen do końca moich dni, gdyby nie kolejny przypadek. Pewnego jesiennego popołudnia po drodze do domu mijałem właśnie warzywniak, kiedy zauważyłem, że wychodzi z niego Gretchen z wielką siatką ziemniaków. Nie wierzyłem własnym oczom – dziewczyna wyraźnie ugięła się pod ciężarem, ale zanim zdecydowałem się zaoferować pomoc, sama mnie zapytała, czy będę tak uprzejmy... Czy będę?! Wziąłem od niej siatkę i zacząłem się przedstawiać, kiedy mi przerwała:

– Znam już twoje imię. Hans-Jürgen, prawda?

– Skąd wiedziałaś?

– Dużo o tobie wiem. – Tu zaczęła wyliczać, do której szkoły chodziłem, że mój ojciec mieszka w Afryce, a ja z matką na poddaszu przy Stückenstrasse 3, że jestem bokserem amatorem i tak dalej. Z pewnością odrobiła pracę domową!

Ku jej zdumieniu i rozbawieniu, odwróciłem rolę, opowiadając wszystko, co o niej wiedziałem: że ma na imię Gretchen, a jej brat Ingmar, że jej ojciec jest policyjną szycią, a zanim wprowadzili się na Barmbek, mieszkali w Uhlenhorst, gdzie chodzili z bratem do gimnazjum.

W ciągu paru minut dotarliśmy do jej domu. Na szczęście na ganku nie było nikogo, co oszczędziło nam nieuniknionych żartów kolegów.

– Wniesiesz mi na górę te głupie ziemniaki?

I znów z największą przyjemnością spełniłem jej prośbę. Pod drzwiami mieszkania, kiedy szykowałem się do pospiesznej ucieczki, kazała mi zaczekać.

– Chcę, żebyś poznał moją matkę.

Z tego, co słyszałem o Frau Jahn, niespecjalnie zależało mi na tej znajomości. Ale było już za późno, bo Gretchen zapukała i drzwi otworzyła jej matka.

– Dziękuję ci, Hans-Jürgen, że pomogłeś Gretchen – powiedziała z przyjaznym uśmiechem, nie czekając, aż córka mnie przedstawi. Najwyraźniej musiała już także o mnie słyszeć. Dostojna niewiasta z widocznymi śladami dawnej urody okazała się znacznie miłsza, niż oczekiwałem.

– To drobiazg, Frau Jahn.

Kiedy znikła w głębi mieszkania, a ja po raz drugi zbierałem się, by odejść, Gretchen podziękowała mi za to, że okazałem się tak szarmancki, po czym biorąc mnie z zaskoczenia, zapytała o plany na resztę wieczoru. Nie miałem żadnych, do czego natychmiast się przyznałem, na co ona zapytała, czy nie zechciałbym pójść z nią na spacer „około siódmej”. Zgodziłem się bez wahania, więc umówiliśmy się przed kościołem dwie przecznice dalej.

Przybyłem tam prawie pół godziny wcześniej i z każdą minutą ogarniał mnie coraz większy lęk. Właściwie lepiej pasowałoby tu słowo panika. O czym mam z nią rozmawiać?

A przede wszystkim, czemu zależało jej na moim towarzystwie? Dostatecznie dużo wiedziałem o przewrażliwieniu nazistów na punkcie *Rassenschande*, by zdawać sobie sprawę, że nasza randka, chociaż niewinna, może się źle skończyć. A jeśli zobaczą nas razem i komuś się to nie spodoba? W co my się pakujemy? Nagle uświadomiłem sobie, jak skomplikowane staje się moje życie i jak żałośnie nieprzygotowany jestem na to, co mnie czeka.

Robiło się już ciemno, mimo to wyraźnie widziałem smukłą sylwetkę nadchodzącej Gretchen. W momencie gdy do mnie dotarła, zegar na wieży zadzwonił najpierw cztery, a potem siedem razy. Wyglądało to na idealny początek pierwszej randki.

Gdy tylko pokazała się na horyzoncie, cała panika znikła i wkrótce gadaliśmy w najlepsze o wszystkim, co nam przyszło do głowy: o inwazji Niemiec na Polskę, o naszych zainteresowaniach, o tym, co lubimy, a czego nie, o nauczycielach, sąsiadach. Gretchen wyznała, że nie zależy jej na chłopakach z mojej paczki, bo zachowują się prostacko i są niekulturalni. Ja natomiast jestem zupełnie inny i to właśnie ją we mnie pociąga. Jakoś nie bardzo wiedziałem, czym się od nich różnię, poza oczywistymi cechami rasowymi, a już na pewno nie uważałem się za kulturalnego i wytwornego, ale ona nie przyjmowała żadnych argumentów.

Od pierwszej chwili było jasne, że nasze stosunki muszą pozostać platoniczne, chociaż ani Gretchen, ani ja nie powiedzieliśmy nic, co choćby ocierało się o romans. Nie musieliśmy. Nie miałem bladego pojęcia, co ona widzi w takim – według wszelkich standardów – dziwołągu jak ja. Ale czy mogłem podważać jej gust? Ważne, że między nami była chemia. Jeśli chodzi o mnie, to czułem się jak cała fabryka chemikaliów gotowa do natychmiastowej eksplozji. A jednocześnie w naszych uczuciach nie było nic otwarcie seksualnego, ot, dwoje niewinnych młodych ludzi, którzy ze sobą sympatyzują, ufają sobie i potrzebują się nawzajem.

Kiedy wspomniałem jej o swych obawach, że ktoś zauważy nas razem w miejscu publicznym, znowu mnie zaskoczyła: tak, myślała o tym, wie, że ryzykujemy, ale jest na to gotowa.

– Po prostu musimy uważać – skwitowała cały problem.

Mnie jednak to nie przekonywało. Za żadne skarby nie chciałem, aby wpadła przeze mnie w kłopoty.

– A twoja matka? Co sądzi o tym, że się spotykamy?

– W ogóle o to nie dba. Obserwuje cię od jakiegoś czasu i uważa, że jesteś dżentelmenem. Woli, że chodzę z tobą, a nie z którymś z tych chłopaków z ulicy.

Przyznała, że ojciec, funkcjonariusz policji, jest zupełnie inny, ale przeniesiono go do innego miasta, więc nie musimy się nim przejmować. Kiedy zapytałem, czy za nim tęskni, odpowiedziała szczerze:

– Nie.

Potem zwierzyła mi się, że ojciec dręczył fizycznie ją i matkę, i to dlatego ta ostatnia zerwała z nim wszelkie kontakty. Podobno zmusił Gretchen do wstąpienia do Bund Deutsche Mädel, ale po rozwodzie rodziców przestała chodzić na zebrania. Jako policjant i członek SS,

próbował wzmocnić swoją pozycję, usiłując zainteresować córkę programem Lebensborn (źródło życia), który był oczkiem w głowie SS Reichsführera Himmlera, a polegał na produkowaniu małych Aryjczyków poprzez selektywne kojarzenie kobiet „dobrej krwi” z esesmanami.

Takie zachowanie ojca doprowadziło do tego, że Gretchen zaczęła kwestionować jego narodowosocjalistyczne poglądy, w rezultacie zaś stała się prawdziwą rebeliantką i antynazistką. W tej chwili najbardziej niepokoił ją typ edukacji dziewcząt, który traktował je jak przyszłe „krowy zarodowe” i przygotowywał wyłącznie do roli matek i żon, a nie do konkretnego zawodu. W przeciwieństwie do chłopców, w których szkoła starała się rozbudzić ambicje zawodowe, dziewczęta uczono tylko tego, co przydaje się w domu – gotowania, szydełkowania, pielęgnacji niemowląt w połączeniu z „higieną rasową”, folkloru i gimnastyki. Zanim poznałem Gretchen, która uświadomiła mi całą tę niesprawiedliwość, uważałem nierówne traktowanie dziewcząt i chłopców jako coś zupełnie normalnego. Nauczyciele zawsze wbijali nam do głów, że w narodowosocjalistycznym państwie to mężczyźni grają główne role, a kobiety mają ich tylko w tym wspierać.

Pogrążeni w rozmowie, nie zauważyliśmy, że czas mija. Chodziliśmy po ciemnych już ulicach, aż znaleźliśmy się znów pod kościołem, na którym zegar bił właśnie dziewiątą. Przez cały wieczór nie dotknęliśmy się ani razu. Pod osłoną ciemności odważyłem się w końcu sięgnąć po jej rękę. Ścisnąłem ją delikatnie i trzymałem tak, dopóki nie stanęliśmy pod jej domem. Tam powiedzieliśmy sobie „dobranoc”, nie napomykając nic na temat dalszych spotkań, wiedzieliśmy jednak oboje, że z pewnością wkrótce nastąpią.

Nasza sekretna znajomość stopniowo rozkwitała, a spotkania po zmierzchu stały się coraz częstsze. Przez pewien czas nie wiedziałem, co zrobić z tymi nieplatonycznymi uczuciami do Gretchen ani jak wyrazić swoje romantyczne pragnienia, aż pewnego wieczoru to ona przełamała lody. Już miałem się z nią pożegnać przed domem, jak wiele razy przedtem, kiedy nagle objęła mnie mocno i pocałowała prosto w usta. Od tej chwili nasze stosunki nigdy już nie były takie same. W ciągu kilku następnych spotkań – głównie na ławkach w parku – intensywnie ćwiczyliśmy pocałunki i pieszczoty, aż z nieśmiałych nowicjuszy zmieniliśmy się w najbardziej namiętnych sekretnych kochanków od czasów renesansu, kiedy to inna zrodzona pod nieszczęśliwą gwiazdą para spotykała się potajemnie w Weronie. Gretchen nawet zainicjowała pocałunki w stylu francuskim, którą to umiejętność pozyskała podobno w trakcie lektury jakiejś książki. Z początku sam pomysł wydał mi się odrażający, ale po kilku intensywnych sesjach stałem się zagorzałym entuzjastą tej dziwnej, acz rozkosznej formy kontaktów. A jednak, mimo wielkiej namiętności, Gretchen ustanowiła żelazną zasadę, której jako bokser już dawno nauczyłem się przestrzegać: żadnych akcji poniżej pasa. Było to trudne dla nas obojga, Gretchen jednak z całą determinacją postanowiła oprzeć się pokusom i przez najbliższe lata pozostać dziewicą.

Oczywiście prędzej czy później sąsiedzi musieli się połączyć, że między Gretchen a mną coś iskrzy. Na szczęście, poza paroma docinkami kolegów, że prowadzam się z tym „workiem kości” (Gretchen życzliwe koleżanki zdążyły już ostrzec, że „skończy się to dzieckiem w kratkę”), żadne konsekwencje nie nastąpiły. Mimo to nigdy nie przyszło nam do głowy, by obnosić się z naszą relacją – nadal staraliśmy się jak najmniej rzucać w oczy. Jeśli wyruszaliśmy gdzieś poza najbliższą okolicę – do kina czy na jakiś festyn – zawsze pilnowałem, by towarzyszył nam kolega jako przykrywką. Uważałem, że trójka zawsze będzie mniej podejrzaną kombinacją niż para. Żeby jeszcze bardziej uwiarygodnić ten układ, starałem się stwarzać takie wrażenie, że bym to ja, a nie kolega, wydawał się piątym kołem u wozu.

W krótkim czasie zobaczyłem jasno, że poszczęściło mi się z Gretchen bardziej, niż to sobie z początku uświadamiałem. Zawsze podobała mi się z wyglądu, ale po kilku miesiącach zaczęła wypełniać się w odpowiednich miejscach, aż wreszcie zrobiła się z niej prawdziwa, apetycznie zaokrąglona piękność. Nagle moi koledzy nie tylko zaczęli ją dostrzegać, ale wręcz do niej startować. Mimo to praca wstępna, którą w nią zainwestowałem, wyraźnie mi się opłaciła; Gretchen nadal uważała innych chłopaków za „*primitive Proleten*” i widziała tylko mnie. Uczucie, z którym wcale się nie kryła, bardzo podbudowało moją samoocenę po wielu latach drwin, głupich dowcipów i wrogości.

Pewnego wieczoru, kiedy właśnie odprowadziłem Gretchen do domu po jednym z naszych długich nocnych spacerów po ciemnych ulicach Barmbeku, kiedy oślepił mnie silny promień latarki.

– Sicherheitsdienst! (służba bezpieczeństwa) – rozległ się męski głos, od którego mróz przeszedł mi po kościach. Dobrze znałem opinię o SD, jako najbardziej bezwzględny i przerażającym organie wywiadowczym SS. – Co robisz na ulicy podczas zaciemnienia? – spytał mężczyzna w czarnym skórzanym płaszczu i kapeluszu z szerokim rondem, mignawszy mi przed oczami legitymacją, której nie mogłem odczytać.

– Tylko spacerowałem – odrzekłem niepewnie. – Mieszkam na tej ulicy, tylko kilka domów stąd.

Wyraźnie niezadowolony z odpowiedzi, kazał mi iść ze sobą na najbliższy posterunek. Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie uciec i rozpuścić się w mrokach nocy, ale zmieniłem zdanie. Dokąd miałbym się udać? I nawet gdyby mi się udało, jak długo bym się ukrywał, gdyby funkcjonariusz podał na policji mój rysopis?

Na miejscu mężczyzna przedstawił się oficerowi dyżurnemu, po czym chwycił mnie za ramię i popchnął w stronę biurka.

– Złapałem tego człowieka na wałęsaniu się kilka przecznic stąd. Wygląda mi na to, że poluje na samotne kobiety albo szuka okazji do kradzieży. – I zanim policjant zdążył coś powiedzieć, dodał: – Widzieliście go kiedy? Bo mówi, że mieszka w pobliżu.

Policjant przyjrzał mi się uważnie i pokręcił głową.



– Nie, nie mogę powiedzieć, że go widziałem, ale jestem tu nowy. Zaraz zapytam kogoś z kolegów.

W tym momencie przechodził weteran tutejszego posterunku, którego znałem prawie przez całe życie. Zapytany, czy mnie zna, odpowiedział, że wprowadzi nie z nazwiska, ale widuje mnie w tej dzielnicy od dziecka.

– A co on niby zrobił?

Funkcjonariusz SD powtórzył swoje oskarżenie, ale już bez takiego przekonania.

– To pomyłka – rzekł policjant. – Ten młodzieniec jest praktykantem w Lindner AG, gdzie pracuje o wiele za ciężko, by starczyło mu energii na szukanie kłopotów po nocy. Wiem, bo syn mojego kolegi robi z nim w jednym warsztacie.

– No dobrze, w takim razie uznaję sprawę za zamkniętą. Ale w tych czasach ostrożności nigdy za wiele. – I, nie przeprasząc mnie, oddał hitlerowski salut i wyszedł.

Chętnie uściskałbym tamtego policjanta. Co za szczęście, że znał mojego kumpla i znalazł się tu w odpowiednim czasie! Ale incydent ten uświadomił mi także, po jak kruchym lodzie stąpamy razem z Gretchen. Przecież gdyby ten gestapowiec przyłapał nas razem, dla nas obojga mogłoby się to źle skończyć. Dlatego tu i teraz zdecydowałem, że nasze nocne spotkania muszą natychmiast się skończyć, bez względu na ból, jaki nam to sprawi.

Następnego dnia opowiedziałem Gretchen, co mi się przydarzyło, i wyjaśniłem, że dalsze spotkania oznaczałyby proszenie się o katastrofę. Odrzekła, że rozumie, ale nie zamierza rezygnować. „Musimy tylko być cierpliwi i poczekać, aż sytuacja się zmieni” – sugerowała bez przekonania. Zdawaliśmy sobie sprawę, że aby coś się zmieniło, Niemcy musiałyby przegrać wojnę, a nazistowski rząd upaść. Tak więc nasze nadzieje i marzenia trzeba było odłożyć na bardzo daleką przyszłość.

## **Na domowym froncie**

Im dłużej trwała wojna, tym częściej odwiedzaliśmy schron – wilgotną i zimną piwnicę w starej fabryce wafli, która zaczęła odgrywać w naszym życiu coraz ważniejszą rolę. Właściwie traktowaliśmy ją jak drugi dom, centrum życia towarzyskiego, gdzie znający się tylko z widzenia albo nawet zupełnie obcy sobie ludzie nawiązywali przyjacielskie stosunki i wspólnie przeżywali troski o dzieci, mężów na froncie i inne wojenne problemy. Matka, podobnie jak większość dorosłych, strasznie narzekała na te nocne wędrówki, ja jednak wręcz ich wyczekiwałem, bo dzięki nim zyskiwaliśmy z Gretchen jedyną okazję na jaką taką intymność w jednym z dwóch zupełnie ciemnych pomieszczeń schronu.

Jeśli nie przebywałem z Gretchen, spędzałem czas na pogaduszkach z nowo poznanym kolegą Karlem-Heinzem Bülowem, ciemnowłosym chłopakiem w moim wieku, który kilka miesięcy wcześniej wprowadził się z rodzicami do domu na naszej ulicy. Pracował na poczcie, gdzie uczył się na montera linii telefonicznych. Jego ojciec, operator w kinie Europa

Palast, jako jeden z pierwszych mężczyzn w okolicy został powołany do wojska. Karl-Heinz już po paru miesiącach zdążył zyskać reputację największego donżuana w dzielnicy. Według uporczywych plotek (które ochoczo potwierdził), zaspokajał potrzeby pewnej żony frontowego żołnierza, dopóki go nie przepędziła, przyłapawszy na próbie uwiedzenia jej najlepszej przyjaciółki. Ponieważ wciąż jeszcze byłem „niewinny”, szalenie mi te jego podboje imponowały i kiedy zasugerował, że powinniśmy się bliżej zakumplować, skwapliwie się zgodziłem. Wkrótce staliśmy się nierozłączni. Karl-Heinz nieustannie mnie zabawiał swoją luzacką śmiałością, z którą szedł przez życie i uwodził kobiety. Jak wielu nastolatków w tamtych czasach miał poglądy zdecydowanie antynazistowskie, ale był fanatycznym miłośnikiem munduru, który stanowił ponoć nieodparty sposób na kobiety.

Najlepszym miejscem do sprawdzenia tej hipotezy był nasz schron przeciwlotniczy w weekendy, kiedy jeszcze nie zakazano dancinów. Oprócz nas, stałych bywalców, szczerze wypełniali go żołnierze Wehrmachtu ze swoimi dziewczynami. Schodzili się tam z pobliskiego klubu Café Classen, gdy alarm lotniczy przerywał taneczne wygibasy, ale jeszcze wcześniej zjawiało się kombo, które od razu zaczynało grać, tak że impreza trwała dalej. Jedne pary kręciły się w fokstrocie, inne okupowały najciemniejsze kąty, gdzie ku bezsilnemu oburzeniu starszych osób, a zazdrości Karla-Heinza i mnie, oddawali się czynnościom erotycznym. Patrząc, jak młode kobiety dosłownie rzucają się na mężczyzn w mundurach, dochodziliśmy do wniosku, że wojsko ma jednak swoje zalety.

Nie mając na oku żadnych perspektyw poza monotonią codziennej pracy i nocami w wilgotnym schronie, stale szukaliśmy okazji do działania, obojętne jakiego, byle przerwać tę nudę. W niedługim czasie Karl-Heinz wpadł na pewien pomysł. Machając mi przed nosem kluczami znalezionymi w rzeczach ojca, wyjaśnił, że to nasza przepustka do Europa Palast. Jeśli mam jaja, to zaprasza mnie na absolutnie prywatny pokaz.

Mimo złych przeczuć i – jak zwykle – nie bacząc na zdrowy rozsądek, niechętnie zgodziłem się przyjść. Głównie dlatego, że nie chciałem się przyznać do braku odwagi. Zgodnie z planem odczekaliśmy, aż personel zamknie kino po ostatnim seansie, i około dziesiątej wieczorem wyjdzie. Wśliznęliśmy się do środka przez wyjście pożarowe, które prowadziło do budki projekcyjnej. Po wypróbowaniu kilku kluczy znaleźliśmy się w środku. Karl-Heinz dopasował mi słuchawki i wskazał miejsce przy jednym z dużych otworów, skąd miałem rozległy widok na ekran. Następnie wrzucił do projektorów szpulę i popstrykawszy kilkoma przełącznikami, puścił film, jakby nic innego dotąd nie robił. W połowie filmu pokazał prawdziwe mistrzostwo, uruchamiając błyskawicznie kolejną szpulę z drugiego projektorów.

Zrobiło to na mnie wielkie wrażenie, ale byłem zbyt wystraszony, by docenić jego wysiłki, a nawet sam film, który oglądałem bez żadnej przyjemności. W rezultacie kompletnie zapomniałem zarówno tytuł, jak i treść. Po projekcji Karl-Heinz z zimną krwią odłożył wszystko

na właściwe miejsca, pogasił światła i zamknął drzwi na klucz, po czym ulotniliśmy się jak gdyby nigdy nic.

Dopiero gdy leżałem już bezpiecznie w łóżku, rozmyślając o naszej przygodzie, dotarło do mnie w pełni, co zrobiłem. Bez względu na niewinność i nieszkodliwość naszych intencji, fakt pozostawał faktem – wtargnąłem nielegalnie do cudzej firmy, wykorzystując zaciemnienie. Podczas wojny w Niemczech groziła za to kara śmierci.

Rozważając możliwe konsekwencje naszego czynu – bynajmniej nie najpośledniejszą z nich był zawód, jaki sprawiłem matce – spościłem się jak mysz i poprzysiągłem sobie, że już nigdy nie dam się wciągnąć w coś podobnie głupiego. Niebawem nadarzyła się okazja, by poddać to postanowienie próbie.

Następnego wieczoru po pracy Karl-Heinz zapytał, czy interesowałby mnie jeszcze jeden „prywatny seans”. Nie wierzyłem własnym uszom. Za ledwie wczoraj udało nam się wywinąć z jednego z najśmielszych wyskoków w annałach młodzieńczej głupoty, a tu mój kumpel wyraźnie nie ma dość.

– Przykro mi – odparłem – ale mam inne plany.

Ale mój lekkomyślny przyjaciel tego nie kupił.

– Taa, jasne. Od razu powiedz, że po prostu masz pietra – burknął i odszedł nabzdyczony.

Miał rację, oczywiście, ale nie zamierzałem się tłumaczyć. Przynajmniej raz postąpiłem rozsądnie, o czym wkrótce miałem się przekonać.

Tej samej nocy matkę i mnie obudził jakiś ruch na ulicy. Wyjrzelśmy przez okno i zobaczyliśmy kilku policjantów z latarkami przy tym samym wyjściu pożarowym, przez które wspinałem się za ledwie dobę wcześniej. W ciemności nie widziałem szczegółów, ale domyśliłem się, o co chodzi – Karl-Heinz odstawił ten sam numer i tym razem wpadł.

Rano sam potwierdził moje podejrzenia. Podobno po mojej odmowie namówił innego koleśka i policja ich przyłapała. Resztę nocy spędzili w areszcie, ale na szczęście właścicielka kina, miła starsza pani, którą wezwano rano, rozpoznała syna swojego pracownika i się za nim wstawiła, dzięki czemu zarzut włamania oddalono.

Ucieszyło mnie, że Karlowi-Heinzowi się upiekło, ale gdybym znalazł się na jego miejscu, raczej nie potraktowano by mnie tak łagodnie. Przrzekłem sobie, że odtąd będę jeszcze bardziej uważał na każdy swój krok.

## **Ostatnie tango w Hamburgu**

Ponieważ fanom Swingjugend był w głowie tylko taniec, rząd postanowił im przyłożyć, zakazując swingowania we wszystkich miejscach publicznych. Większość młodzieży niemieckiej nie miała bladego pojęcia, o co tu chodzi, bo swing kojarzył się im z „dzikimi, murzyńskimi, jawnie seksualnymi wygibasami i obrotami”, toteż zakaz pozostał tylko teoretycznym. Ale do czasu, bo wkrótce zabroniono w ogóle wszelkich tańców. Znalazła się jednak furka – zakaz

nie obejmował lekcji tańca. Od razu wielu miłośników swingu płci obojga zapisało się na kursy bez względu na to, czy umieli tańczyć, czy nie. Po jednym kursie dla początkujących, na którym udzielano formalnych instrukcji, „zaawansowani uczniowie” mogli zapisać się na kolejny, już bez lekcji. Polegał on na ćwiczeniu świeżo zdobytych umiejętności, czyli – innymi słowy – na tańczeniu, ile dusza zapagnie.

Wiedziałem o tej luce w prawie i pewnie skorzystałbym z niej jak większość moich kolegów, ale się nie odważyłem, bo byłem przekonany, że mnie nie przyjmą. Jakbym już słyszał te kąśliwe uwagi: „Co, chcesz tańczyć z naszymi niebieskookimi blondynkami czystej aryjskiej krwi? Chyba masz źle w głowie!”. Postanowiłem oszczędzić sobie takich upokorzeń, dopóki pewnego dnia mój kolega Hans Vollmer nie zaproponował, żebyśmy się razem zapisali. Bez podawania powodu odpowiedziałem, że mnie to nie interesuje, ale zgodziłem się mu towarzyszyć.

Kursy odbywały się w *Tanzschule* Arthura Lucasa, zaledwie kilka przecznic od mojego domu. W kolejce do zapisu czekało już kilku chłopaków i dziewcząt ze Swingjugend. Za biurkiem siedział łysy mężczyzna w szklach bez oprawek – jak się dowiedzieliśmy, był to sam właściciel i jednocześnie nauczyciel, Herr Lucas. Gdy nadeszła kolej Hansa, stanąłem z boku, ale Herr Lucas poprosił nas obu o zajęcie miejsca i każdemu wręczył stosowny formularz. Zaraz się zacznie, pomyślałem, wodząc wzrokiem po arkuszu w poszukiwaniu kłopotliwych pytań w rodzaju: „Czy jesteś Aryjczykiem? Jeśli nie, zaznacz”. Ale pytano tylko o nazwisko, wiek, adres, a także na który kurs kandydat chce się zapisać: dla początkujących czy dla zaawansowanych. Kiedy oddaliśmy Herr Lucasowi wypełnione formularze i wnieśliśmy skromną opłatę, ten poinformował nas, że od tej chwili jesteśmy kursantami jego *Tanzschule*. Nic w jego zachowaniu nie wskazywało, że uważa mnie za kogoś odbiegającego od normy.

Kurs dla początkujących, na który zapisaliśmy się z Hansem, trwał trzy miesiące. Dwugodzinne lekcje odbywały się w dużej sali w każdą środę i niedzielę wieczorem. Brało w nich udział dwudziestu paru chłopaków i tyleż dziewcząt w wieku od osiemnastu do dwudziestu pięciu lat. Przygotowałem się na jakieś chichoty, ale – ku mojemu zdumieniu i uldze – żadna z dziewcząt nie zwracała na mnie szczególnej uwagi. Gdyby któryś z chłopaków próbował mnie zaczepiać, wiedziałbym, jak zareagować, ale wobec dziewcząt byłbym bezsilny.

Przed pierwszą lekcją Herr Lucas kazał nam usiąść naprzeciwko siebie w dwóch rzędach krzeseł i wygłosił wykład na temat parkietowej etykiety. Większość jego uwag dotyczyła dżentelmeńskich manier. Próbował w ten sposób zaszczepić prostym robotnikom nieco klasy, ale były to perły rzucone przed wieprze. Ledwie wpuścili coś jednym uchem, zaraz wypuszczali drugim. Szczególnie często ignorowaliśmy surowe wskazówki Herr Lucasa na temat miejsc na ciele partnerki, na których nie wolno nam kłaść dłoni w tańcu, a także czego nie powinniśmy robić z kolanami i udami. Zdawało nam się, że Herr Lucas w ogóle nie rozu-

mie, po co wynaleziono taniec. Inna kardynalna zasada, którą często naruszaliśmy, zakładała, że mamy podchodzić, a nie pędzić jak stado słońi przez parkiet, aby poprosić dziewczynę do tańca. W tym szaleństwie była jednak metoda. My, beznadziejni męscy szowiniści, dość szybko przyswoiliśmy sobie pewną ważną prawdę – kto ostatni przychodzi, ten sam sobie szkodzi i musi zadowolić się resztkami, czyli dziewczynami, które nie miały w sobie za grosz seksapilu. Ponieważ dziewczęta musiały przyjmować zaproszenie na zasadzie „kto pierwszy, ten lepszy”, nie podobało się im to przebieganie czy wręcz unikanie niepożądanego partnerki.

Herr Lucas okazał się znakomitym instruktorem, więc zanim się spostrzegłem, opanowałem w stopniu mistrzowskim pierwszy taniec z listy – walca angielskiego, a po nim następne: tango, polkę i wreszcie mojego ulubionego fokstrota. Ponieważ należałem do najlepszych, nigdy nie podpierałem ściany, gdy Herr Lucas ogłaszał *Damenwahl* (panie proszą panów). Hans musiał za to nieźle się natrudzić przy wydatnej pomocy Herr Lucasa, by zmusić swoje nogi do poruszania się w rytm muzyki i opanować najbardziej podstawowe kroki.

Część naszych ze Swingjugend wiedziała ze słyszenia, że szaleństwem numer jeden w Stanach jest jitterbug i koniecznie chciała włączyć go do naszego repertuaru. Nikt jednak nie wiedział, jak się go tańczy, ponieważ w czasie wojny nie wyświetlano amerykańskich filmów. Musieliśmy więc uruchomić wyobraźnię i tworzyć różne wariacje fokstrota, tak żeby odpowiadało to naszym wizjom jitterbuga. W rezultacie powstał niesamowity miszmasz ruchów i kroków, który – jak przekonałem się po latach – tyle miał wspólnego z prawdziwym jitterbugiem co menuet. Ale ponieważ nie mieliśmy żadnych wzorców, odstawialiśmy do woli jitterbuga „po naszymu” za plecami Herr Lucasa, potwierdzając w ten sposób, że czasem lepiej jest nie wiedzieć za dużo.

Pewnej niedzieli, ledwie Herr Lucas zdążył nam zademonstrować jakieś nowe kroki, drzwi do sali otworzyły się z trzaskiem i do środka wtargnęła banda około dwudziestu członków Hitlerjugend. Dowódca kazał wyłączyć muzykę i zapowiedział przegląd fryzur. Podczas gdy jego ludzie obstawiali wyjścia ewakuacyjne i toalety, on sam przechodził wolno wzdłuż rzędu krzeseł. O włosy niespecjalnie się martwiłem, czułem, że tym razem chodzi o coś znacznie poważniejszego.

Sądząc z poprzednich nalotów tych umundurowanych fanatyków, bałem się, że zakwestionują samą moją obecność w miejscu, gdzie mógłbym wejść w fizyczny kontakt z aryjskimi dziewczętami. Znałem aż nazbyt dobrze moich wrogów, toteż nie spuszczałem oczu z ich dowódcy, aż wreszcie, kiedy znalazłem się w zasięgu jego spojrzenia, skupił na mnie wzrok.

– Co my tu mamy? – spytał takim tonem, jakby miał przed sobą rzadki gatunek fauny. – Co tu, do licha, robisz?

W tym momencie łagodny zwykle Herr Lucas wystąpił do przodu i zaproponował, żeby to, co lider HJ ma do powiedzenia, zakomunikował mu w przyległym do sali gabinecie.

Kiedy znaleźliśmy się tam we trzech, Herr Lucas wyjął kilka dokumentów, które wręczył swemu interlokutorowi. Wylegitymowawszy się jako członek NSDAP i Kulturkammer (Izby Kultury Rzeszy), dodał, że jest weteranem I wojny, podczas której dosłużył się rangi kapitana, został ranny, a następnie otrzymał za swe zasługi Krzyż Żelazny I i II klasy.

– Jestem głęboko urażony, że ośmiela się pan podważać moje kompetencje, sugerując, iż ten młodzieniec nie powinien uczestniczyć w kursie. Być może pan nie wie, że jego ojciec służył jako oficer w siłach generała Lettowa-Vorbecka we wschodniej Afryce i otrzymał za to najwyższe odznaczenie. Zapewniam, że usłyszysz pan o tym, kiedy już sobie porozmawiam z pewnymi osobami, które z wielkim zainteresowaniem dowiedzą się o pańskim nieodpowiedzialnym i nachalnym zachowaniu.

Wyraźnie porażony i upokorzony lider HJ wylewnie przeprosił zarówno Herr Lucasa, jak i mnie.

– Bez urazy – powtarzał raz po raz, po czym stuknął obcasami i oddał salut – *Heil Hitler!*

Po powrocie do sali zauważyłem, że kilku członków HJ zdążyło już otoczyć chłopaków o nieprzepisowej długości włosów.

– Puśćcie tych kolegów – rozkazał dowódca i cały oddział pospiesznie opuścił salę.

Po tym incydencie patrzyłem na Herr Lucasa innymi oczami. Zamiast lekko komicznego faceta, który ze swoimi okularami bez oprawki i puciołowatą twarzą mógłby uchodzić za bliźniaka sowieckiego ministra spraw zagranicznych Mołotowa, zobaczyłem dzielnego człowieka, który nie bał się sprzeciwić nietolerancji rasowej. Z wyjątkiem krótkiego momentu, kiedy zaraz po zejściu podziękowałem mu za to, że przyszedł mi z pomocą, nigdy już nie wracaliśmy do tego wydarzenia. I w rezultacie nie dowiedziałem się, czy świadomie wymyślił tę historyjkę o moim ojcu i jego służbie pod generałem Lettowem-Vorbeckiem, czy też usłyszał ją gdzieś i uwierzył w jej prawdziwość. Wiem tylko, że dzięki niej i sposobowi, w jaki ją przedstawił, miałem z głowy tych obrzydliwych nazistów. W ciągu następnych miesięcy, kiedy chodziliśmy z Hansem na kurs tańca, już dla zaawansowanych, nigdy nie spotkaliśmy patrolu HJ.

## **Pożegnanie z dziewictwem**

Braterstwo w niedoli zacieśniło więzi pomiędzy praktykantami w zakładzie Lindner AG. Chociaż utrzymywałem dobre stosunki ze wszystkimi, szczególnie blisko zaprzyjaźniłem się z chudym jasnowłosym „gwoździkiem”, jak nazywano uczniów drugiego roku. Nazywał się Walter Bauer i mieszkał w małym gospodarstwie w wiejskiej części przedmieścia Langenhorn, gdzie jego rodzina hodowała kury i świnie. Wobec stale malejących przydziałów żywnościowych, Walter często podsuwał mi wielką kanapkę z domowymi wyrobami, dzięki czemu mogłem choć trochę nasycić mój niepohamowany apetyt. Ja ze swej strony odpłaca-

łem mu się pomocą przy trudniejszych zadaniach, kiedy nie dawał sobie rady z jakąś maszyną. Fakt, że należał do Hitlerjugend, w niczym nie naruszał naszej przyjaźni.

Pewnego dnia Walter pojawił się w pracy wyraźnie przygnębiony. Kiedy zapytałem, co się stało, najpierw kazał mi przysiąc, że dochowam tajemnicy, a potem zwierzył się, iż wpadł w niezłe bagno. Razem z przyjacielem z sąsiedniego gospodarstwa dali się przyłapać policjantowi na wzajemnej masturbacji. Po odprowadzeniu winowajców do ich szacownych domów policjant powiedział zmartwionym ojcom, że zgodnie z prawem mógłby oskarżyć chłopców o przestępstwo homoseksualizmu, ale tym razem im daruje. Natomiast osobiście radziłby, aby zgodnie z konwencjonalną wiedzą, jak najszybciej zrobić z chłopaków „prawdziwych mężczyzn”, bo inaczej gotowi na zawsze pozostać „schwul” (zboczeni).

Skutkiem tego ojciec Waltera, kiedy już przykładowo zmieszał syna z błotem, zabronił mu jakichkolwiek kontaktów z tamtym chłopcem. Potem, idąc za radą policjanta, dał mu dziesięć marek i pouczył, że gdy następnym razem „zaczną mu wzbierać soki”, ma się udać do burdelu i tam załatwić sprawę w odpowiedni sposób. Walter powiedział mi, że jeśli chodzi o te soki, to sprawa jest prosta – homoseksualny incydent przydarzył mu się nie dlatego, że jest „pedałem”, tylko po prostu nie zna żadnych chętnych do „współpracy” kobiet. A ponieważ nigdy dotąd nie był nie tylko z prostytutką, ale w ogóle z żadną kobietą, to może zechciałbym mu towarzyszyć? Razem będzie nam różniej, a przy okazji mógłbym wyrównać poziom własnych „soków”.

Przez chwilę się wahałem. Chociaż bardzo wyczekiwałem dnia, w którym „stanę się mężczyzną”, bałem się, czy sprostim zadaniu. Nie pobierałem dotąd praktycznie żadnej edukacji seksualnej, z wyjątkiem tej ze strony czeladników o niewyparzonych gębach. Poza tym czułem lekkie wyrzuty sumienia wobec Gretchen, chociaż sama mi powiedziała, że nie ma mowy o żadnym seksie, dopóki nie skończy dwudziestu jeden lat i nie wyjdzie za mąż. Ale moje największe zmartwienie polegało na tym, że nie wiedziałem, czy nazistowskie prawo zakazujące nie-Aryjczykom seksu z Aryjkami dotyczy także prostitutek. Wziąwszy to wszystko pod uwagę, dałem sobie spokój z ostrożnością i zgodziłem się z nim pójść, ale tylko żeby popatrzeć.

Z trzech znanych ze złej reputacji ulic – Kalkhof, Herbertstrasse i Winkelstrasse – wybraliśmy tę ostatnią. O Kalkhof, położonej w centrum miasta, w pobliżu eleganckiej Jungfernstieg, mówiono, że ma najurodziwsze panienki, ale ponieważ ich klienci składali się głównie z zamożnych biznesmenów, liczyły za swoje usługi jak za zboże. Na Herbertstrasse w St. Pauli rządzą marynarze, poza tym uznaliśmy, że mimo bardziej umiarkowanych cen, trochę to nam nie po drodze. Przed wyprawą Walter i ja postanowiliśmy wziąć na spytki paru młodszych, zaufanych czeladników. Z największą chęcią wprowadzili nas w burdelowe tajniki i poinformowali, na co mogą liczyć nowicjusze z niskim budżetem.

„Pamiętajcie, żeby bez względu na wszystko, nie zostawiać marynarki z portfelem w innym pokoju, bo kiedy będziecie zajęci, podwędzi go wam opiekun waszej dziwki.” Dowiedzieliśmy się też, że obecna stawka na Winkelstrasse wynosi pięć marek za szybki numer, który zwykle trwa od trzech do piętnastu minut, zależnie od sprawności klienta. I absolutnie nie powinniśmy się zdradzać, że jesteśmy prawiczkami, bo doliczą nam dodatkową „opłatę wstępną”.

Nafaszerowani dobrymi radami, spotkaliśmy się z Walterem przy jednym z wylotów Winkelstrasse, wąskiej uliczki w kształcie litery L z rzędami starych szeregowców. Jej krańce specjalnie tak zaprojektowano, żeby zapewnić chętnym dostęp bez wystawiania samej uliczki na widok publiczny. Aż skurczyliśmy się na widok napisu, że młodzieży poniżej osiemnastu lat wstęp wzbroniony. Szesnastoletni Walter, który działał w zasadzie na polecenie ojca, specjalnie się tym nie przejął, ja jednak byłem o rok młodszy i nie miałem takiego upoważnienia od matki.

„Po prostu wejdziemy i się rozejrzemy – zaproponował Walter, widząc, że lada chwila mogę się rozmyślić. – Co z tobą?” W tamtym czasie nie wiedziałem nic na temat presji rówieśników, ale z pewnością jej uległem. Nie zastanawiając się więcej nad treścią napisu, podążyłem za Walterem do zakazanej strefy. Roilo się tam od mężczyzn w różnym wieku, ale przeważali ci o wyglądzie szacownych ojców rodzin. Przechadzali się wolno po ulicy, oceniając „towar” tak, jak inni oglądają wystawy sklepowe.

W parterowych oknach obu rzędów domów siedziały kobiety, wystawiając na pokaz swoje wdzięki. Były wśród nich zwyczajne dziewczęta w skromnych bluzkach i spódnicach, kształtne wampy w obcisłych wieczorowych kreacjach z głębokimi dekolami, twarde zawodniczki w skąpej bieliźnie, otyłe matrony, próbujące zatrzymać dawno utraconą młodość i urodę za pomocą makijażu i przyćmionego czerwonego światła i tlenione blondynki o zaciętych twarzach, z nieodłącznym papierosem w ustach. Wszystkie starały się za wszelką cenę zwrócić na siebie uwagę, przeważnie stukając w szybę kluczem lub monetą.

Chociaż miałem przy sobie przynajmniej piętnaście marek, czyli równowartość dwutygodniowych zarobków ucznia, nie podjąłem jeszcze decyzji, czy się pozbyć dziewictwa. Kiedy jedna z młodszych kobiet próbowała nas przyciągnąć szczególnie uporczywym waleniem kluczami, Walter wziął jej zapal za komplement i zdecydował się zatrzymać.

– Chcesz się zabawić, chłopczyku?

– Ile? – spytał mój kumpel głosem świadczącym, że jego soki niebawem przekroczą stan alarmowy.

– Pięć marek.

Walter poprosił, żebym zaczekał, i zniknął za drzwiami. Wrócił po dziesięciu minutach. Spytałem, czy rzeczywiście to zrobił, na co odpowiedział twierdząco. Poza uśmiechem od ucha do ucha wyglądał zupełnie tak samo jak przedtem. Jakoś zawsze mi się zdawało, że ten



rytuał przejścia zostawia na człowieku wyraźny ślad. Walter powiedział, że to wcale nie takie trudne, jak niektórzy opowiadają. Wystarczy zacząć i wszystko samo toczy się dalej. A sprawił się tak dobrze, że dziewczyna zaprosiła go w najbliższym czasie na powtórkę.

Zrobiło to na mnie takie wrażenie, że natychmiast zdecydowałem się spróbować szczęścia tu i teraz, czemu Walter entuzjastycznie przyklasnął. Chwilowe skrupuły związane z niewiernością wobec Gretchen szybko ustąpiły, bo – jak sam sobie wytłumaczyłem – nasze wzajemne stosunki nie mają, na jej własne życzenie, nic wspólnego z seksem, tak jak seks z prostytutką nie ma nic wspólnego z miłością.

W obawie, by ktoś – zwłaszcza jakiś nazista – nie zobaczył, jak wchodzę do burdelu, a także z powodu ogromnej nieśmiałości, postanowiłem poczekać, aż zrobi się ciemno. Uzgodniliśmy z Walterem, że do tego czasu pooglądamy sobie wystawy. Dowiedziawszy się, że w pobliżu jest specjalny burdel dla zagranicznych robotników, w którym pracują same cudzoziemki, podeszliśmy tam z czystej ciekawości, gdyż Niemcy mieli tam zakaz wstępu. Dodatkową atrakcją stanowił fakt, że zagraniczne prostytutki w odróżnieniu od niemieckich nie upierały się zbyt stanowczo przy zakładaniu kondomów.

Zaraz wmieszaliśmy się między klientów z różnych europejskich nacji. Szybko stało się jasne, że kobiety z terytoriów okupowanych przez nazistów zachowywały się znacznie swobodniej niż Niemki. Zamiast siedzieć w oknach i czekać, aż mężczyźni zrobią pierwszy krok, werbowały ich agresywnie na podwórku przed czteropiętrowym budynkiem. Niektóre dawały im przedsmak tego, co ich czeka, podnosząc spódnice, inne posuwały się jeszcze dalej i łapały facetów za krocze.

Kiedy figlarna *mademoiselle* z Francji zastosowała ten chwyt na Walterze i zaczęła go całować w ucho, ten natychmiast złapał drugi oddech i gotów był wydać pozostałe pięć marek. Ale zanim rozpoczął negocjacje z dziewczyną, jego teutoński wygląd zainteresował dwóch cywilów, którzy machnąwszy legitymacjami, kazali mu natychmiast stamtąd odejść. Mnie zostawili w spokoju, widocznie pomyśleli, że jestem cudzoziemcem.

Dogoniłem Waltera i razem wróciliśmy do burdelu niemieckiego, który w porównaniu z tamtym wydawał się prawie szacowny. Ponieważ zapadła już noc, poczułem się mniej skrępowany i zacząłem intensywniej szukać partnerki, z którą mógłbym przekroczyć bramę męskości. Mój wybór padł na ładną brunetkę w krótkiej spódniczce, której wydatny biust i ponętne uda wydawały się idealne do moich celów.

Widząc moje zainteresowanie, odpowiedziała pukaniem w szybę. Kiedy oznajmiłem, że mam tylko pięć marek, przysięgła, że tacy jak ja faceci na zasłku doprowadzą ją do ruiny, ale „ten jeden raz” zrobi wyjątek. Parę sekund później piąłem się za nią po najbardziej stromych schodach na świecie, z każdym stopniem czując się coraz bardziej jak skazaniec w drodze na szubienicę. Wrażenie to pogłębiło się jeszcze, kiedy podniosłem wzrok i zobaczyłem, że moja wybranka ma zad prawie dwa razy szerszy, niż wydawało mi się przez

szybę. Ponieważ dotąd miałem do czynienia tylko ze szczupłą Gretchen, ten nadmiar kobiecości po prostu mnie poraził.

Na górze gospodyni otworzyła drzwi do malutkiej izdebki, dusznej i przegrzanej, bo chociaż chłody dawno minęły, żelazny piecyk w kącie pracował pełną parą. Pokój, zajęty prawie w całości przez wielkie łóżko, wypełniała mdła woń tanich perfum i palonej gумы.

Dziewczyna nie traciła czasu na rozmowy: „Nie zapomniałeś o czymś?” – spytała, wyciągając rękę. Nie miałem pojęcia, czego mógłbym zapomnieć, dopóki nie przypomniałem sobie żelaznej zasady prostytutek, wbitej mi do głowy przez mentorów z fabryki, że usługa jest płatna z góry. Zawstydzony swoją niedomyślnością, wręczyłem jej pięciomarkowy banknot, który natychmiast zniknął w już i tak nadmiernie wypełnionym biustonoszu.

Gdybym tylko zdołał wymyślić jakiś elegancki pretekst, by stamtąd prysnąć, na pewno bym z niego skorzystał, nawet wyrzucając w błoto ciężko zarobione pieniądze. Ale chociaż wysilałem ze wszystkich sił mózgowicę, nic z tego nie wyszło.

Tymczasem gospodyni kazała mi zdjąć spodnie i dolną bieliznę, a sama – z wprawą kapłanki dokonującej jakiegoś świętego rytuału – nalała wody z czajnika do emaliowanej miski, zanurzyła w niej myjkę i zaczęła mi aplikować minikąpiel poniżej pasa. Wyjaśniła, że musi bardzo uważać z klientami, bo gdyby jej cotygodniowe badanie w Sittenpolizei (obyczajówka) wykazało chorobę weneryczną, straciłaby licencję na „pracę”. Po bezpośrednich oględzinach i masażu suchym ręcznikiem wyciągnęła nowy kondom i nim zdążyłem powiedzieć „*Danke schön*”, byłem gotów do akcji. Bez zbędnych ceregieli rzuciła się na łóżko i, rozłożywszy potężne uda, przypomniała mi zrzędlawie, że czas to pieniądz, a pięć marek nie upoważnia mnie do spędzenia tu całej nocy.

Ku memu zaskoczeniu, nie padłem pod ostrzałem ani nie zrobiłem z siebie głupka. Wiedziony odwiecznymi instynktami, przy minimalnej pomocy mojej konkretnej do bólu partnerki, robiłem, co podpowiedziała mi natura, aż osiągnąłem punkt, od którego nie było już odwrotu.

Z wprawą nabytą zapewne w ciągu wielu lat praktyki, kobieta zdjęła kondom, wrzuciła go do ognia i pobieżnie obtarła mnie ręcznikiem. Kiedy się ubrałem, odprowadziła mnie na dół i beznamiętnie pożegnała.

Misja została spełniona. Według standardów moich koleżków, dokonałem ważnego rytuału przejścia i zasilłem szeregi „prawdziwych mężczyzn”. Ale doświadczenie płatnego seksu pozostawiło mnie w stanie nie tylko emocjonalnego niedosytu, ale także głębokiego obrzydzenia do siebie i całego tego dobrze prosperującego przemysłu. W przeciwieństwie do Waltera, którego uczucia zupełnie nie interesowały i który już planował, że zostanie stałym klientem Winkelstrasse, postanowiłem nigdy więcej nie zadawać się z prostytutką.

## **Zakazany owoc**

Do przyjemniejszych wspomnień z okresu moich praktyk w zakładach Lindner AG należy to o Gerdzie Schmidt, jednej z sekretarek z głównego biura. Ta drobna brunetka tuż po trzydziestce miała ujmujący uśmiech i figurę klepsydry, co zjednało jej sympatię wszystkich facetów w fabryce. W każdy piątek, na godzinę przed fajrantem, wkraczała do warsztatu z wielkim pudłem kopert z naszą wypłatą. Nieodmiennie jej wejściu towarzyszył wybuch gwizdów i innych odgłosów oraz niemoralnych propozycji, które dzisiejsze kobiety z pewnością uznałyby za bezczelność i molestowanie seksualne. Gerda jednak kwitowała to wszystko szerokim uśmiechem i tylko prowokacyjnie kręciła biodrami.

Całymi latami połowa facetów z warsztatu próbowała ją poderwać, ale wszyscy odpadli. W końcu zaczęły krążyć plotki, że Gerda spotyka się potajemnie z jakimś ważnym żonatym mężczyzną, że jest lesbijką albo że uważa pójście do łóżka z prostym robotnikiem za coś uwłaczającego.

Słyszałem to wszystko, ale nic nie mogłem poradzić, że zadurzyłem się w niej po uszy. Z niecierpliwością czekałem na piątek – wcale nie z powodu tych marnych siedmiu marek wypłaty, tylko dlatego, że znów mogłem zobaczyć kobietę moich marzeń. Ledwie przekroczyła próg warsztatu, moje wyostrzone zmysły chłonęły słodki zapach jej perfum, zmieszany z przemysłowym odorem fabryki. Paradoksalnie, kiedy wreszcie nadchodziła długo wyczekiwana chwila i obiekt mojego pożądania przystawał przy moim stanowisku, od razu zapomniałem języka w gębie. Licząc pieniądze, byłem w stanie wyjąkać tylko „*Danke*” i czym prędzej odwracałem wzrok, żeby nie zdradzić się z uczuciami. Za każdym razem po jej wyjściu miałem ochotę kopnąć się w kostkę za swój brak ogłady i natychmiast obiecywałem sobie, że za tydzień zachowam się lepiej.

Byłem święcie przekonany o beznadziejności mojego przypadku. Czy taka seksowna, doświadczona kobieta, której wystarczy kiwnąć palcem, by mieć dosłownie każdego, mogła zainteresować się nastolatkiem? W dodatku skażonym rasowo i po zaledwie jednej przygodzie z prostytutką? Przecież to czysta megalomania. Ale jeśli się myliłem (choć dałbym sobie rękę uciąć, że nie), no to czekałyby mnie straszne kłopoty, bo wiedziałem, że się jej nie oprę.

Znów przypomniały mi się przestrogi Herr Dutkego. Ledwie osiągnąłem dojrzałość, poraziła mnie ta szatańska prawda – ja, idealnie zdrowy mężczyzna, jestem skazany na hamowanie czysto ludzkich pragnień i życie w celibacie. I to bynajmniej nie z wyboru, tylko wskutek bezwzględnej prawa. Gdyby przyszło mi do głowy po prostu je zignorować, spotkałoby mnie to samo, co słyszałem o Żydach, których przyłapano na *Rassenschande* z Niemkami – za swoją zbrodnię zapłacili kastracją, a nawet życiem. Dziwnym zbiegiem okoliczności ciągle znajdowałem w domu gazety tak złożone, żeby mój wzrok padł na artykuł na ten właśnie temat. To matka na swój sposób próbowała mnie ostrzec, gdyż nigdy w życiu nie zmusiłaby

się do otwartej rozmowy o seksie. Ale mimo przestróg i sygnałów niebezpieczeństwa i tak zdecydowałem, że w stosownym czasie zrobię to, co będę musiał.

Pewnego dnia, zaraz po fajrancie, dosłownie wpadłem na Gerdę w pokoju socjalnym. Właśnie przypinała na tablicy jakieś ogłoszenie. Wymamrotałem coś w rodzaju pozdrowienia i już zamierzałem wyminąć ją i wyjść, kiedy mnie zatrzymała.

– Mogę cię o coś zapytać? Czy ty się mnie boisz?

– Nie, wcale – odparłem, kompletnie zaskoczony.

– To dlaczego zachowujesz się tak za każdym razem, gdy mnie widzisz?

– Dlaczego tak sądzisz? – odparowałem, skonfundowany, chociaż doskonale znałem odpowiedź. Za to ona zdawała się nie wiedzieć, że moje skrępowanie nie ma nic wspólnego ze strachem. Naprawdę bałem się tylko tego, że mogę wyjść na głupka.

– No dobrze, skoro się nie boisz, to czemu nie podejdziesz bliżej?

Postąpiłem kilka kroków w jej stronę, aby udowodnić, że się myli, ale jakoś nie wyglądała na przekonaną.

– Bliżej, bliżej...

Zaryzykowałem jeszcze jeden krok i nasze ciała prawie się zetknęły.

– Uważaj, bo mnie pobrudzisz... – wskazała mój poplamiony kombinezon. Potem podniosła głowę i pocałowała mnie w usta.

– No, może jednak się nie boisz – zauważyła. – Jeśli chcesz, moglibyśmy pójść dziś do kina. W Am Zoll Theater grają *Hallo Janine!* z Mariką Röck i Johannesem Heestersem.

Chociaż obie popularne gwiazdy należały do moich ulubionych, tym razem w ogóle mnie to nie obchodziło. Bez wahania zgodziłem się z nią spotkać. W tym szczególnym momencie wszystko działo się bez udziału mojej woli i gdyby nawet zaproponowała mi spotkanie po ciemnej stronie księżyca, też bym się zgodził.

Nagle uświadomiłem sobie, że Gerda może nie zdawać sobie sprawy z ewentualnych konsekwencji schadzki ze mną i uznałem za swój obowiązek ją ostrzec, nawet gdyby miała stchórzyć.

– Ale wiesz, że nazistom mogłoby się to nie spodobać?

– Oczywiście, że wiem. Mogą mnie pocałować tam, gdzie słońce nie dochodzi.

Wieczorem wyszorowałem się do czysta i ubrałem z największą starannością. Jeśli nawet przemknęła mi przez głowę jakaś wątpliwość, szybko ustąpiła stanowi radosnego oczekiwania. Z niemal fatalistyczną rezygnacją przywołałem w pamięci znane niemieckie przysłowie: *Wer A sagt, muss auch B sagen* (Jak się mówi A, trzeba powiedzieć i B). Z pewnością powiedziałem już „A” i nic nie mogło mnie powstrzymać od zmierzenia się z „B”. Jeśli wszystko potoczy się zgodnie z planem, myślałem, to dzisiejszy dzień – 31 lipca 1941 – przejdzie do historii jako ten, w którym po raz pierwszy zaznam prawdziwego smaku miłości fizycznej. Znacznie później dowiedziałem się, że tego samego dnia Reichsmarschall Hermann

Göring wydał pierwszy pisemny rozkaz wymordowania wszystkich Żydów na terenie objętym nazistowską władzą. Akcji tej nadał nazwę Endlösung (ostateczne rozwiązanie).

Gerda czekała na mnie przed wejściem do kinoteatru. Kiedy wypatrzyła mnie w tłumie, kupiła sobie bilet, a ja kupiłem swój. Dla niewprawnego oka byliśmy obcymi sobie ludźmi, którzy przypadkiem usiedli na sąsiednich miejscach. Wkrótce zgąsły światła i zaczęła się *Wochenschau* (kronika tygodniowa). Po wybuchu wojny dotychczasowe informacje ze świata zastąpiono materiałami z frontu, złożonymi głównie z przewidywalnych scen zwycięstw niemieckich na lądzie, morzu i w powietrzu.

Kiedy upewniłem się ponad wszelką wątpliwość, że mężczyznę po mojej lewej stronie interesuje wyłącznie akcja na ekranie, wolno, wolniuteńko położyłem prawą dłoń na udzie Gerdy. Ośmielony brakiem oporu, zacząłem przesuwając ją w górę i w dół, stopniowo zwiększając nacisk. Na szczęście z powodu huk strzałów na ekranie tylko ja słyszałem przyspieszony oddech i pojękiwania Gerdy. Podczas krótkiej przerwy między kroniką a filmem, pochyliła się do mnie i szepnęła: „Spotkajmy się na ulicy”.

Zanim do niej dołączyłem, słońce już zaszło i zrobiło się zupełnie ciemno. „Co ty wyprawiasz? Chcesz mnie doprowadzić do szaleństwa?” – droczyła się ze mną. Zaproponowała, żebyśmy się przeszli na pobliską Wiesendamm, dwupasmową ulicę z plantami pośrodku. Stały tam wśród zarośli ławki, wprost wymarzone dla zakochanych. Znaleźliśmy odludne miejsce, ze strategicznie położoną ławką, osłoniętą dwoma drzewami.

Błyskawicznie pozbywszy się spodni, w dosłowny sposób powierzyłem się doświadczonym dłoniom Gerdy. Nagle usłyszeliśmy kroki i ekstaza zmieszała się ze strachem, kiedy przywarliśmy ciasno do siebie, wstrzymując oddech. W miarę jak się zbliżały, mój niepokój rósł i tylko czekałem, aż usłyszę wrzask: „Sicherheitsdienst!”. Ale kroki minęły nas i wkrótce zaczęły się oddalać. Kiedy ucichły, ożywiliśmy się znowu, aż oboje osiągnęliśmy spełnienie. Poza obawą, że mnie złapią, cały czas czułem znajomy lęk, że się totalnie zbłąźnię. Ale widocznie młodzieńczy zapał i energia zrekompensowały brak doświadczenia, bo Gerda zapewniła mnie, że jak na piętnastolatka, rokuje wielkie nadzieje.

Stanowczo nie zgodziła się, bym odprowadził ją do domu. „Nie przeciągajmy struny” – powiedziała. Tą uwagą sprowadziła mnie z powrotem na ziemię. W przeciwieństwie do moich aryjskich kolegów, którzy mogli romansować do woli, ja musiałem kryć się w ciemnościach jak złodziej i narażać na brutalność gestapowców.

Po powrocie do domu wciąż jeszcze byłem przesiąknięty zapachem jej perfum. Ponieważ matka miała bardzo wyostrożony zmysł powonienia, wiedziałem, że się zorientowała, gdy tylko przestąpiłem próg mieszkania. Ale taktownie powstrzymała się od uwag, zapytała tylko, czy film mi się podobał. Z początku chciałem przytaknąć, ale z jakiegoś powodu kłamstwo nie przeszło mi przez usta.

- Spotkałem przypadkiem znajomą dziewczynę i postanowiliśmy pójść na spacer – odrze-  
kłem, starając trzymać się w miarę blisko prawdy.
- Miła ta dziewczyna?
- O tak, bardzo.
- Tylko uważaj, Hans-Jürgen. Wiesz, o co mi chodzi – ostrzegła mnie z tym zafrasowa-  
nym spojrzeniem, które obciążało moje sumienie niczym tona cegieł.

## **Dawna paczka idzie na wojnę**

Moi dawni kumple jeden po drugim zaczęli znikać z okolicy. Większość dostała powołanie do wojska, a kilku – z przyczyn, które nie miały nic wspólnego z miłością do Hitlera – zgłosiło się do służby na ochotnika. Karl-Heinz Bülow, zdeklarowany antynazista, poszedł do marynarki tylko po to, żeby poprawić swoje szanse u dziewczyn. Liczył, że w marynarskim mundurze cieszyć się będzie wyjątkowym powodzeniem. Według ocenzonego listu, który mi przysłał, zaliczył już sporo akcji na łodzi podwodnej na Atlantyku, ale jak na razie żadnej z dziewczętami w portach. Tak samo inni: Eugen Baun, bracia Hans i Karl Morellowie oraz Fiffi Peters, dawny kandydat na kelnera. Kolejny mój kolega Jakob Spederski wstąpił do wojska, żeby uciec przed nudnym życiem niewykwalifikowanego robotnika, a wylądował w Związku Sowieckim jako kierowca czołgu w sławnej Panzer Division Grossdeutschland. Walter Bauer, mój współnik z tajnej wyprawy do dzielnicy czerwonych latarni, został motocyklistą w jednej ze znanych jednostek KRAD. Tylko Wolfgang Neumann, ekslider Hitlerjugend i mój dawny „ochroniarz”, zgłosił się do sławetnej Waffen-SS z powodu swojej niewzruszonej wiary w Hitlera. Wkrótce znalazł się na stronach wszystkich gazet rodzinnego miasta, kiedy na polu bitwy, gdzieś w Belgii, awansowano go za męstwo na stopień oficerski. Potem – co nikogo nie dziwiło – jego nazwisko trafiło tam ponownie, tym razem na coraz dłuższe kolumny z nekrologami.

Mimo rosnącej liczby ofiar na różnych frontach, z pewną niecierpliwością wyczekiwałem chwili, gdy i ja ruszę na wojnę, choćby po to, żeby pokazać, iż nie jestem gorszy od innych. Nie odważyłem się jednak sam zgłosić, z obawy przed odrzuceniem z powodu – jak zawsze – niearyjskiego pochodzenia. Dlatego nie posiadałem się z radości, kiedy pewnego dnia nadszedł urzędowy list, coś w rodzaju „pозdrowień od Wujka Sama”, a w nim rozkaz stawienia się na badanie lekarskie, w celu sprawdzenia mojej zdatości do odbycia rocznej służby w paramilitarnej jednostce Arbeitsdienst (służba pracy). Obowiązywała ona wszystkich siedemnastolatków jako przygotowanie do Wehrmachtu. Gdybym nie miał się im przydać, myślałem z nadzieją, po co wzywaliby mnie na badanie? Optymistycznie uznałem, że nie ma lepszego sposobu jak powszechnie szanowany mundur na wymazanie rasowej różnicy, która zawsze oddzielała mnie od najbliższych przyjaciół. Gdy już poczuję go na grzbiecie, z pewnością zdołam udowodnić, że jestem tak samo dobry jak wszyscy.

Rankiem w dniu badania spędzono nas – kilkuset młodzików z rocznika 1926, w tym sporą liczbę długowłosych i eleganckich Swingjugend – do dużej sali gimnastycznej publicznej szkoły w centrum miasta. Ponieważ wielu z tych chłopaków nie kryło nadziei, że zostaną odrzuceni, postanowiłem zachować swoje militarne ambicje dla siebie.

Pod ścianami ustawiono stoły, przy których zasiedli oficerowie Wehrmachtu i Arbeitsdienstu w swoich szacownych mundurach. Jeden z nich tubalnym głosem kazał nam się zamknąć, po czym wrzawa ustała, jak nożem uciął. Na wstępie oficer scharakteryzował nas jako nędzną cywilbandę, którą trzeba jak najszybciej postawić do pionu, a następnie polecił ustawić się pojedynczo do zdjęcia i rozebrać do naga, łącznie z butami, skarpetkami i tak dalej, a ubranie złożyć w kostkę na podłodze. Potem musieliśmy przedefilować przed oficerami, którzy każdego z nas oglądali od stóp do głów, wypełniając przy tym pilnie stopy formularzy. Z uwag, jakie udało mi się podsłuchać, wywnioskowałem, że mój ogólny stan zdrowia jest idealny, wzrok, słuch i zęby powyżej normy, tylko mam kilka kilogramów niedowagi, spowodowanej prawdopodobnie racjonowaniem żywności.

„Wielka szkoda, że nie możemy cię wziąć – powiedział sympatyczny oficer Arbeitsdienstu. – Wystarczyłby rok porządnego odżywiania i regularnej pracy na świeżym powietrzu, a zaraz przybyłoby ci mięsa na kościach.” Słowa te, chociaż wypowiedziane w dobrej wierze, cofnęły mnie natychmiast w nazistowską rzeczywistość i rozproszyły nadzieje na wyrwanie się spod przeklętego piętna rasy. Jeśli nie nadają się nawet do kopania dołów i budowy dróg w ramach Arbeitsdienst, tym bardziej nie mam szans nosić broni. Przypuszczenia te potwierdziły się, kiedy przy ostatnim stole oficer wręczył mi nowiutką książeczkę wojskową, w której określono mój stosunek do służby. Taką książeczkę każdy cywil płci męskiej musiał okazywać na żądanie władz. Obok fotografii ktoś napisał małymi literami: „n.z.v.”. Kiedy zapytałem, co to znaczy, lakoniczna odpowiedź brzmiała: „*Nicht zu verwenden*” (niezdatny).

Po wyjeździe kumpli do wojska moje życie na froncie domowym stało się czystym koszmarem – sama praca i zero rozrywek. Nawet w warsztacie wszyscy młodzi ludzie albo dostali powołanie, albo sami się zaciągnęli do jakiejś formacji wojskowej. Pozbawiło mnie to wszelkich kontaktów z rówieśnikami płci męskiej. Ale nuda okazała się najmniejszym z moich problemów. Ponieważ należałem do maleńkiej i wciąż malejącej grupy sprawnych fizycznie, lecz nieumundurowanych mężczyzn, zacząłem się bardziej rzucać w oczy i to wcale nie z powodu rasy, ale cywilnego ubrania. Wśród ciągłych pochwał „naszych mężczyzn w mundurach, którzy dają z siebie wszystko za Führera i *Vaterland*”, dusiło mnie poczucie niższości i totalnej izolacji, które cały czas rosło, aż wreszcie zacząłem się bać, że całkowicie mną zawładnie. Uczucie to sięgnęło szczytu, kiedy ranny oficer Waffen-SS na kulach zaczął mnie na ulicy i głośno zakwestionował moje prawo do bezpiecznego spacerowania, kiedy „dzielni niemieccy żołnierze” ryzykują życie i zdrowie w walce. Zrozumiałem wtedy, że

moja sytuacja niaryjskiego cywila niesie ze sobą potencjalnie poważne niebezpieczeństwo. Pamiętając przepowiednię Herr Dutkego, że po wykończeniu Żydów naziści wezmą się za mnie, miałem wrażenie, że siedzę na bombie zegarowej, która w każdej chwili może wybuchnąć. Jedyne, co mogło mnie uratować, to wstąpienie do wojska i mundur, bo w Niemczech nikt nie cieszy się większym szacunkiem niż niemiecki żołnierz.

Mojej determinacji nie zmniejszała nawet perspektywa śmierci, co w roku 1942 stało się bardzo prawdopodobne, ani narastające przekonanie o nieuchronności klęski Hitlera. Wolałem ryzykować, że zostanę ranny albo zginę na polu bitwy, niż wpaść w łapy SS. W rezultacie byłem gotów wskoczyć na tonącą łódź, chociaż na brzegu mogłem być względnie bezpieczny.

Kluczowe pytanie brzmiało: jak się dostać do wojska. Zaświtało mi w głowie, że może będę miał więcej szczęścia, gdy zgłoszę się jako ochotnik. Ten pomysł zdawał się wart przynajmniej próby. Chociaż przy poborze uznano mnie za niezdatnego, coraz większa liczba ofiar we wszystkich formacjach Wehrmachtu mogła otworzyć przede mną nowe możliwości udziału w walce.

Majster bez problemu dał mi wolny dzień, kiedy wyjaśniłem, co zamierzam zrobić – ochotnicza służba w wojsku znajdowała się na czele listy narodowych priorytetów. Rannym pociągiem pojechałem na przedmieście Rahlstedt, gdzie mieściło się Wehrbezirkskommando (rejonowa komenda wojskowa). W całej okolicy niczym w ulu roiło się od wojska. Żołnierze różnych formacji przemieszczali się pieszo i pojazdami w szarych ochronnych barwach ze znajomym krzyżem Wehrmachtu. Mało który zwracał na mnie uwagę, a jeśli już, to po prostu dziwił go widok sprawnego młodego faceta w cywilnym ubraniu i w dodatku ciemnoskórego. Nie wiem, która z tych cech dziwiła ich bardziej – mój status, wygląd czy jedno i drugie, ale nie obchodziło mnie to; niech tylko wbiję się w mundur, nie przyjdzie im do głowy wyśmiewać się z towarzysza broni.

Tok moich myśli zakłócił pisk opon, kiedy tuż przy mnie zahamował wojskowy otwarty gazik.

– *Sie da! Wer sind Sie und was machen Sie hier?* (Hej, wy! Kim jesteście i co tu robicie?) – spytał podpułkownik z tylnego siedzenia głosem, w którym pogarda mieszała się z podejrzliwością.

Skwapliwie wyciągnąłem *Wehrpass* i podałem oficerowi. Po przekartkowaniu dokumentu przyjrzał się fotografii, porównując ją z moją twarzą.

– No więc czego tu szukacie? – kontynuował przesłuchanie.

– Chciałbym zaciągnąć się do wojska, Herr Oberstleutnant – odparłem w nadziei, że skoro rozpoznałem jego stopień, potraktuje mnie nieco życzliwiej. Ale nie miałem tego szczęścia.

– *Że co?!* – wykrzyknął z takim zdumieniem, jakbym co najmniej prosił go o rękę córki. – Zaciągnąć się do wojska? Wy chyba macie źle w głowie. Nie wiecie, że nie-Aryjczyków nie



przyjmuje się do służby w Wehrmachcie? Nawet w waszej książeczce jest napisane „*untauglich*” (niezdatny).

– Tak, wiem – przyznałem. – Ale myślałem, że wobec wielkich potrzeb armii można zrobić wyjątek.

Oficer wyraźnie tracił cierpliwość.

– Pozwólcie, że coś wam wyjaśnię – wysyczał, zwięzając w szparki swoje stalowe oczy. – Niemcy nie są i nigdy nie będą w tak wielkiej potrzebie, żeby musiały wygrywać wojnę przy pomocy takich jak wy. Radzę wam jak najszybciej wracać do pracy i nie tracić cennego czasu produkcyjnego na głupie mrzonki. *Verstanden?* (zrozumiano) – Nie czekając na odpowiedź, rzucił we mnie dokumentem i kazał szoferowi jechać dalej.

Werbalny atak oficera totalnie mnie zaskoczył. Do tego stopnia się go nie spodziewałem, że popadłem w stan absolutnego zniechęcenia. Byłem przygotowany na ewentualną odmowę, ale nie na tak obraźliwe słowa.

Nie zadając sobie już trudu, by zasięgnąć drugiej opinii w biurze, powlokłem się z powrotem na stację i złapałem najbliższy pociąg do miasta. Po drodze nadal dźwięczał mi w uszach głos oficera: „Niemcy nie są i nigdy nie będą w tak wielkiej potrzebie, żeby musiały wygrywać wojnę przy pomocy takich jak wy”. Przypomniałem sobie, że podobnie się czułem w wieku dziesięciu lat, kiedy matka chciała mnie zapisać do Hitlerjugend.

Stopniowo moje przygnębienie zaczęło ustępować złości. W tym momencie postanowiłem, że skoro nie mogę się do nich przyłączyć ani ich pokonać, to nie pozostaje mi nic innego, jak tylko z całego serca ich znienawidzić. Ta nienawiść do nazistów podtrzymywała mnie przez wszystkie lata wojny, które wciąż miałem przed sobą.

## **Początek końca**

Po ogromnej klęsce armii niemieckiej pod Stalingradem w zimie 1942, nawet dla największych optymistów stało się jasne, że wojna nie toczy się tak gładko, jak przewidywali. Wystarczył sygnał, że oddziały niemieckie nie są przygotowane do temperatur poniżej zera, jakie panowały w Związku Sowieckim, by rząd zwrócił się do kobiet z apelem o dary w postaci futer i odzieży futrzanej, takiej jak muffki i czapki, które po odpowiednich przeróbkach posłużą marznącym na froncie żołnierzom.

Aby podtrzymać morale zarówno tych na froncie, jak i w kraju oraz zminimalizować szkody wyrządzone przez aliantów, machina Goebbelsowskiej propagandy zaczęła zamieniać klęski w zwycięstwa. W trakcie tego procesu wynaleziono zupełnie nowy słownik, a w nim takie eufemizmy jak na przykład *strategische Absetzung* (strategiczne dystansowanie) zamiast „odwrotu”. Kluczowym narzędziem do podtrzymywania ducha walki w narodzie stał się przemysł filmowy. Masowo produkowano obrazy, które albo przedstawiały wojnę jako romantyczną przygodę, a Żydów jako przyczynę wszelkiego zła, albo dawały emocjonalne

wytnienie. Niewątpliwie najbardziej antysemitycznym filmem wyprodukowanym przez nazistów w czasie wojny był *Jud Süß* [Żyd Süß] Veita Harlana z Ferdinandem Marianem (jednym z najwybitniejszych niemieckich aktorów) w roli głównej. Marian, który włożył całe serce w to, by pokazać Żyda takim, jakiego przeciętny widz uwielbiał nienawidzić, po wojnie popełnił samobójstwo, przypuszczalnie ze wstydu i poczucia winy. Inne propagandowe filmy przedstawiały romantyczne przygody urodziwych oficerów. W *Die grosse Liebe* (Wielka miłość) popularna gwiazda Zarah Leander pozostawia widownię z optymistycznym przekazem: *Ich weiss, es wird einmal ein Wunder geschehen* (Wiem, że wydarzy się cud). Wkrótce miliony Niemców śpiewały ów przebój, wierząc na przekór wszystkiemu, że faktycznie jakimś cudem karta się odwróci i położy kres wojnie. Inne produkcje, w typie hollywoodzkich musicali, pozwalały ludziom chociaż na dwie godziny zapomnieć o głodzie, bombach, ofiarach i innych okropnościach wojny.

Goebbelsowska determinacja dawała się odczuć nawet w miejscu pracy. Kilka razy nasz zakład odwiedziły dwu- lub trzyosobowe trupy aktorskie, które przez jakąś godzinę próbowały nas zabawiać dowcipnymi skeczami i dźwiękami akordeonu. Chociaż ceniliśmy sobie nawet najmniejszą chwilę ulgi od nieustannej presji produkcji na potrzeby wojny, doskonale wiedzieliśmy, że rzucają nam tylko ochłapy. Wszyscy oglądaliśmy kroniki z największych zakładów zbrojeniowych, gdzie występowały najwybitniejsze orkiestry symfoniczne, jak choćby Berliner Philharmoniker.

Innym narzędziem podtrzymywania morale poprzez umyślne wprowadzanie Niemców w błąd była kontrolowana przez państwo rozgłośnia Norddeutscher Rundfunk. Nawet bardziej łatwowierni obywatele zaczęli patrzeć z rosnącym sceptycyzmem na płynące z anteny kłamstwa. Aby zrównoważyć te jednostronne wypowiedzi, słuchałem niemieckojęzycznych audycji radia BBC. Ryzykowałem surowymi konsekwencjami, gdyż naziści uważali to za akt zdrady. Za złamanie zakazu groził obóz koncentracyjny, a nawet śmierć. Chociaż nie miałem wtedy dostatecznej wiedzy na temat tego, co działo się w obozach, ludzie gadali, że to piekło na ziemi.

Jak na ironię, alianckich wiadomości słuchałem na małym odbiorniku na baterie – tanim, dotowanym przez rząd aparacie, na który mógł sobie pozwolić każdy Niemiec i tym samym znaleźć się w polu oddziaływania indoktrynacji. Nie bacząc na lamenty matki, że ściągam na nas niebezpieczeństwo, uzależniłem się od BBC, której wierzyłem bardziej niż kłamliwym produktom propagandy. Dzięki tym wiadomościom miałem klarowny obraz katastrofalnej klęski, ku której zmierzała wojenna machina Hitlera, na długo, zanim niemiecka rozgłośnia pozwoliła się czegoś domyślić. Żeby uchronić się przed przyłapaniem na gorącym uczynku, kładłem radio na łóżku i przykrywałem się razem z nim kocem, a matka pełniła straż przy drzwiach. Podczas tej tajnej operacji nasze drewniane, skrzypiące schody służyły za system alarmowy.

Niestety moje wspaniałe źródło informacji wystawiało mnie na ciągłą pokusę dzielenia się tym, co słyszałem, z innymi, a także do zaprzeczania wiadomościom rozsiewanym przez oficjalną prasę. Raz o mało się nie zdradziłem. 10 maja 1941 nazistowskie radio podało sensacyjną wiadomość, że Rudolf Hess, zastępca Hitlera, uciekł samolotem do Anglii w celu wynegocjowania układu pokojowego. Pragnąc dowiedzieć się dalszych szczegółów, wciąż nastawiałem BBC. Kilka dni po incydencie niemieckojęzyczna rozgłośnia londyńska potwierdziła, że Hess wylądował gdzieś w Szkocji. Kiedy w pracy wywiązała się na ten temat dyskusja, z moich ust padło słowo „Szkocja”. Jeden z kolegów mnie poprawił – przecież wszystkie niemieckie raporty mówiły o lądowaniu w Anglii. Na szczęście nie wzbudziło to podejrzeń i nie zaczął mnie dokładniej wypytywać. Gdyby dodał dwa do dwóch i źle mi życzył, bez trudu udowodniłby, że zaangażowałem się w zdradziecką działalność, słuchając i rozpowszechniając wrogą propagandę.

Uciezka tak wysoko postawionego dygnitarza, jak Rudolf Hess, ukazała fatalną sytuację nazistowskiego rządu i Goebbels nie szczędził wysiłku, by odkręcić całą aferę. W ramach tych starań w prasie i radiu podawano, że Hess działał w wielkim napięciu i właściwie „nie był sobą”. Od razu powstało mnóstwo dowcipów na temat „stukniętego Hessa”, na przykład o pechowcu, który przyszedł do biura zatrudnienia z prośbą o pracę:

- Jakiego rodzaju posady pan szuka? – zapytał nazistowski urzędnik.
- Słyszałem, że zwolniło się stanowisko zastępcy Führera.
- Zwariował pan?! – oburzył się urzędnik.
- Nie – odparł petent. – A to konieczne?

Dla porównania relacji BBC z jej niemieckim odpowiednikiem słuchałem – całkowicie legalnie – nocnych raportów Williama Joyce’a, znanego jako Lord Hau-Hau. Ten urodzony w Ameryce, a wychowany w Irlandii wybitny prezenter radiowy głosił Goebbelsowską propagandę z berlińskiej rozgłośni po angielsku. Niestety mój angielski nie był wówczas na tyle zaawansowany, bym wszystko rozumiał, ale wychwytywałem jego groźby pod adresem Brytyjczyków, na których – jeśli się szybko nie poddadzą – miały wkrótce spaść same nieszczęścia. Wygłaszał je mimo miażdżącej klęski Luftwaffe Göringa w bitwie o Anglię, w której Hitler zamierzał ustanowić przewagę powietrzną Niemiec jako preludium do inwazji na Wyspy Brytyjskie.

Oprócz raportów radiowych istniały też inne, bardziej namacalne oznaki poważnych kłopotów Hitlera. Odkąd zacząłem praktyki, majster Neumann zawsze wymagał od nas, uczniów, utrzymywania wysokich standardów niemieckiego rzemiosła w produkcji przyczep do amunicji. Dla pewności, że tylko pojazdy bez żadnych wad zdobędą certyfikaty na pierwszą linię frontu, po fabryce krążyła cała armia kontrolerów. Sprawdzali każdy spaw, każdy nit, każdą śrubę. Najmniejsze odchylenie od specyfikacji skutkowało natychmiastowym odzuceniem pojazdu i srogą reprimendą od brygadzysty. I nagle w ciągu jednej nocy ta proce-

dura uległa zmianie. Wy tłumaczono nam, że po odejściu znacznej liczby ludzi do wojska fabryka boryka się z poważnym niedoborem siły roboczej, wskutek czego grozi nam zawalenie planu produkcji. W związku z tym majster Neumann zarządził, że od tej pory będziemy się starali wypuścić jak najwięcej pojazdów w jak najkrótszym czasie. Następnie zaszokował nas słowami, których nigdy w życiu nie spodziewaliśmy się usłyszeć z ust tego obsesyjnego perfekcjonisty i wroga wszelkiej fuszerki: „Nie przejmujcie się, jeśli te przyczepy nie będą idealne. Ważne, żeby dotarły na czas na linię frontu, inaczej nawet te perfekcyjne będą bezużyteczne i nie pomogą nam wygrać wojny”. Razem z wysokimi standardami produkcji odeszli też wojskowi kontrolerzy. Podobno wrócili na front, gdzie – zdaniem dowództwa – potrzebowano ich bardziej.

Porwany jak wszyscy inni falą wydarzeń wojennych, ledwie zauważyłem, że trzy lata mojego terminowania w fabryce zbliżają się do końca i czeka mnie teraz dwudniowy egzamin na czeladnika, na który składały się testy praktyczne i teoretyczne. Niecierpliwie czekałem na awans do rangi wykwalifikowanego operatora maszyn i emocje opadły ze mnie dopiero w momencie, kiedy mi powiedziano, że zdałem egzamin i otrzymałem dyplom czeladnika. Jednak surowe przepisy stanu wojennego nie pozwalały mi postąpić zgodnie z tradycją mojego fachu i zmienić pracy. Musiałem pozostać w starym miejscu, gdzie mimo nowego statusu, nie mogłem liczyć na szacunek dawnych zwierzchników i uwolnić się od prześladowców. Poza tym miałem serdecznie dość przyczep do amunicji, przy których praca nie oferowała mi już żadnych wyzwań. Nawet myśl o pełnym wynagrodzeniu czeladnika zamiast marnej tygodniówki ucznia nie poprawiała mi nastroju.

Marzyłem, aby stało się coś, co położyłoby kres nudzie i monotonii, co wniosłoby chociaż trochę emocji do mojego szarego życia. Nikt mnie wtedy nie ostrzegł, że bym uważał, bo moje życzenie może się spełnić.

## Operacja Gomora

„Wyobraźcie sobie, że ponad połowa bostońskiej metropolii legła w gruzach i wszędzie jest pełno rozkładających się zwłok. Weźcie każdy jeden budynek w granicach administracyjnego Bostonu i zwalcie na rumowisko; spalcie wszystko, co może strawić ogień; zabijcie dziesiątki tysięcy ludzi. Wyobraźcie sobie Boston zniszczony w ten sposób, leżący w gruzach i popiołach i przesiąknięty trupim odorem. Wyobraźcie sobie to wszystko w najokropniejszej postaci, a pojmiecie rzeczywistość Hamburga”. Tak pisał autor publikacji o lotnictwie wojskowym Martin Caidin w swojej książce z roku 1960 *The Night Hamburg Died* (Noc, kiedy umarł Hamburg). Relacjonuje w niej koszmar operacji Gomora, czyli dziesięciodniowego nieustannego bombardowania Hamburga przez brytyjskie lancastery i halifaxy latem 1943. Miałem szczęście znaleźć się wśród tych, którzy bez jednego zadrapania przeżyli owo „istne piekło ciągłego ognia”. Według Caidina „nawet Hiroszima i Nagasaki, ofiary straszliwych eksplozji atomowych, nie mogły się z tym równać”.

Dla mnie i matki „istne piekło” zaczęło się w czwartek gorącego 29 lipca 1943, około dziewiątej wieczorem. Wtedy to zawyły syreny, sygnalizując, że nieprzyjacielski samolot znów przekroczył kanał La Manche i zmierza w kierunku Hamburga. Jak setki razy przedtem chwyciliśmy walizki z najpotrzebniejszymi rzeczami i udaliśmy się do pobliskiego schronu. Dla nas i innych mieszkańców takie nocne wędrówki stały się już codziennością, ale tym razem było inaczej. W ciągu dwóch poprzednich nocy zrównano z ziemią ogromne połacie miasta, a pod bombami zginęły tysiące ludzi, toteż dźwięk syren nabrał nowego, bardziej złowrogiego znaczenia.

Niektórzy sąsiedzi, w tym Gretchen z matką i bratem, już wcześniej zabrali, co tylko zdołali unieść, i opuścili miasto. Poprzedniej nocy Gretchen powiedziała mi w schronie, że są już spakowani i rano wyruszają do Getyngi w Dolnej Saksonii, gdzie mają krewnych. My także zastanawialiśmy się nad wyjazdem, ale ostatecznie postanowiliśmy zostać, gdyż transport kolejowy z Hamburga był mocno utrudniony z powodu masowej migracji przerażonych ludzi, a bomba równie dobrze mogła trafić w zatłoczony pociąg, jak w schron.

Przez pierwsze dwie godziny alarmu panował pozorny spokój. Poszedłem do malutkiej komórki z przyłączami gazu, w której zebrało się kilkunastu facetów, by palić papierosy i zerkać przez otwarty wąż na wygwieżdżone niebo. Ku mojej wielkiej radości wypatrzyłem wśród starszych mężczyzn dawno niewidzianego kumpla z sąsiedztwa, Jakoba Spederskiego. Ubrany w elegancki mundur Panzer Division Grossdeutschland, wyjaśnił mi, że właśnie ma wątpliwą przyjemność korzystania z urlopu z frontu wschodniego. Imponująca kolekcja medali i baretek świadczyła o jego ponadprzeciętnych zasługach w akcji. Kiedy pogratulowałem mu bohaterstwa, prychnął: „Mam wojny po dziurki w nosie, ale nauczyłem się wyciskać, co się da, nawet z najgorszej sytuacji”.

Powiedział mi też, że wbrew powszechnemu mniemaniu, jego „elitarna” dywizja wcale nie składa się wyłącznie z gorliwych ochotników, ale także ze sporej liczby niechętnych rekrutów, takich jak on. Swoją zasłużoną reputację jednej z najgroźniejszych jednostek bojowych zawdzięcza między innymi temu, że rzadko bierze jeńców. Z początku Jakob czuł obrzydzenie, kiedy kazano mu zastrzelić nieuzbrojonych żołnierzy sowieckich, którzy się poddali. Z czasem jednak, kiedy zobaczył tak wielu własnych towarzyszy broni martwych lub okaleczonych, zabijanie stało się coraz łatwiejsze, aż wreszcie nauczył się to robić niemal bezmyślnie. „To jest tak, że albo my ich, albo oni nas – tłumaczył – więc robisz, co w twojej mocy, żeby to byli oni.” Przyznał, że zasada, aby nie prosić o litość ani jej nie okazywać, miała też swoje minusy. Owszem, wzbudzali przerażenie u nieprzyjaciela, ale także walczyli bardziej bezwzględnie i opierali się dłużej, bo im też groziła pewna śmierć.

Nie bardzo umiałem sobie wyobrazić tego łagodnego, nieco zamkniętego w sobie chłopaka, którego pamiętałem z dzieciństwa, jako twardego, bezwzględnego zabójcę nieuzbrojonej ludzkiej istoty. Ale patrząc na jego medale, zaciętą minę i stalowy błysk w oczach, zrozumiałem, że mój dawny kolega i żołnierz rozprawiający swobodnie o tym, na co on sam i jego towarzysze broni pozwalali sobie wobec rosyjskich kobiet, to dwie różne osoby.

Wyraźnie zapominając, że to Niemcy napadły na Związek Sowiecki, a nie odwrotnie, Jakob zapewniał mnie, iż Rosjanie sami się o to prosili, gdyż nie podjęli uczciwej walki. Jako przykład opowiedział, jak jego oddział został zdziesiątkowany przez rosyjskie psy kamikadze. Podobno najpierw tak wytresowali zwierzęta, aby szukały pożywienia podczołgami, a potem przyczepili im ładunki wybuchowe i wyposażyli w coś w rodzaju anten. W momencie kiedy ukazały się czołgi niemieckie, wystarczyło psy spuścić ze smyczy, by anteny złapały kontakt i zdetonowały pociski, a psy wraz z załogą znalazły się w drodze do Valhali. Jakob, który przed chwilą dał mi do zrozumienia, że nie widzi nic złego w zabijaniu jeńców, płonął oburzeniem z powodu „niehumanicznego okrucieństwa” wobec zwierząt. Zbulwersowało mnie to, co usłyszałem, ale uznałem, że nie ma sensu wytykać mu błędów w rozumowaniu, którym usiłował usprawiedliwić siebie i swoich towarzyszy.

Kiedy, odwróciwszy uwagę od Jakoba, zacząłem się przysłuchiwać rozmowom innych mężczyzn, dobiegły mnie kolejne okropne historie, tym razem już bliższe naszego podwórka. W rozmowie o nalotach z ubiegłego tygodnia jeden z nich opowiedział, jak szukał siostry i szwagra, którzy mieszkali w Hammerbrook. Niestety musiał porzucić wszelką nadzieję, że jeszcze ujrzy ich żywych, bo cała dzielnica została dosłownie zmieciona z powierzchni ziemi. Inny wspominał powolną śmierć w męczarniach setek ludzi, którzy spłonęli żywcem od wybuchu bomby zawierającej płynny fosfor. Z bolesną dokładnością opisywał, jak nieszczęśnicy próbowali się ratować, skacząc do kanału, ale gdy tylko wychodzili na brzeg, fosfor zapalał się znowu, więc musieli siedzieć w wodzie tak długo, aż w końcu nie starczało im sił albo tracili przytomność i tonęli.

Chociaż samo wyartykułowanie wątpliwości w zwycięstwo nazistów uważano za zdradę, ludzie otwarcie zastanawiali się, jak długo jeszcze Niemcy wytrzymają tę masową destrukcję najważniejszych ośrodków przemysłowych. Jeden z mężczyzn, wyraźnie nie przejmując się obecnością żołnierza, dawał reżimowi „najwyżej miesiąc”. Nikt nie oponował. Wydawało się, że im bardziej „szary człowiek” uświadamia sobie kłopoty nazistów, tym śmielej zaczyna mówić, co mu leży na sercu.

Ktoś inny spekulował, że naloty mogą ustać, bo Brytyjczycy pewnie zechcą przejąć jak najmniej zniszczone miasto. Nie zdawał sobie sprawy, podobnie jak ja, że o losie Hamburga dawno już zdecydowali stratedzy operacji Gomora, która zakładała całkowite zburzenie tego drugiego co do wielkości niemieckiego miasta przemysłowego i największego portu morskiego.

Wróciłem do schronu, by przekazać matce, że na zewnątrz się uspokoiło i że przynajmniej tej nocy nic nam nie grozi. Obecni – przeważnie kobiety, dzieci i starcy – siedzący dotąd jak na szpilkach, odetchnęli z ulgą i zaczęli zwykłe pogaduszki. Nagle tuż po północy całe piekło rozpętało się od nowa. Wśród złowrogiego buczenia chyba tysiący ciężkich samolotów wyróżniał się przeraźliwy gwizd bomb, poprzedzający potworny huk detonacji. Za każdym razem cały schron drżał jak przy potężnym trzęsieniu ziemi i natychmiast rozlegały się krzyki przerażonych kobiet i dzieci. Stały się jeszcze głośniejsze, kiedy po kilku minutach zgasło światło i umilkł głośnik radiowy. Po pierwszych uderzeniach następowały chwile ciszy, stopniowo coraz krótsze, aż wreszcie huk nie ustawał w ogóle, a nam się wydawało, że to jedna niekończąca się eksplozja wszelkiego rodzaju bomb. Na miasto spadło około tysiąca dwustu min lądowych, trzydzieści tysięcy ciężkich bomb burzących, ponad trzy miliony świecowych bomb zapalających, osiemdziesiąt tysięcy stufuntowych bomb fosforowych, pięćset kanistrów z fosforem i pięćset flar zapalających.

Sukces swoich nalotów na Hamburg Brytyjczycy przypisali nowej technologii – lotnicy zarzucili miasto dużą ilością pasków metalicznej folii, które przypominały strugi deszczu. Powodowały one błędne odczyty niemieckich radarów, przez co artyleria przeciwlotnicza nie mogła prawidłowo zlokalizować celu. Chociaż przy poprzednich atakach lotnictwo brytyjskie poniosło ciężkie straty, tym razem bombowce manewrowały nad miastem prawie bezkarnie.

Po godzinie temperatura w naszym schronie zaczęła gwałtownie rosnąć. Domyśliśmy się, że w fabrykę nad nami uderzyła bomba zapalająca. Nasze podejrzenia potwierdziły się po kilku minutach, kiedy przez szpary w suficie zaczął przedostawać się gęsty dym. W tym momencie dał o sobie znać nasz domorosły strażnik, kierując na siebie promień latarki. Dotąd często nabijaliśmy się z jego pseudowojskowego sposobu bycia, ale teraz nikomu żarty nie były w głowie. Wyjaśnił nam powagę sytuacji i po ustawieniu kilku lampek na baterie zarządził, aby wszyscy sprawni fizycznie mężczyźni (w tym Jakob i ja) wzięli się do pomp.

Zaczęliśmy pompować, ale wkrótce stało się jasne, że nasze wysiłki dają odwrotny skutek. Zamiast świeżego powietrza zasysaliśmy dym, więc musieliśmy przestać. Jakob zauważył, że wprawdzie konfrontacja z „Iwanem” przy odmrożonych rękach i nogach nie jest zabawna, ale lepsze już to niż czekanie, aż się upiecze żywcem jak kaczka albo udusi w jakiejś „piekielnej dziurze w ziemi”.

Wkrótce bombardowanie ustało. Teraz słyszeliśmy już tylko głośny syk – jak sądziliśmy – węży pożarniczych. Okazało się jednak, że był to odgłos burzy ogniowej, wywołanej przez bomby zapalające, które ulice nad nami zamieniły w piekło o temperaturze sięgającej tysiąca stopni Celsjusza. Schron powoli wypełniał się dymem. Ludzie zaczęli kaszleć i rzeźić. W miarę jak wyczerpywały się baterie, światło prowizorycznych lamp słabło coraz bardziej. Mieliśmy tylko dwie możliwości: albo zostać w schronie i się w nim udusić, albo z niego wyjść i zamienić się w ludzkie pochodnie.

Nagle rozległ się straszliwy rumor – to waliła się nad nami fabryka, blokując wyjścia ze schronu i tym samym dwie makabryczne opcje redukując do jednej. Ktoś dotknął sufitu i się oparzył, co nasunęło nam przerażającą myśl, że lada chwila strop spadnie nam na głowy. W tym momencie ludzi ogarnęła rezygnacja. Zbili się w ciasne rodzinne grupki, wyraźnie straciwszy nadzieję, że wydostaną się stąd żywi. Z wyjątkiem ciągłego suchego kaszlu panowała kompletna cisza, nawet dzieci przestały płakać.

Siedziałem na betonowej posadzce koło matki, która podobnie jak ja miała kłopoty z oddychaniem i piekły ją oczy. Wprawdzie uprzedzono nas, że maski gazowe nie chronią przed dymem, ale z czystej rozpaczy postanowiliśmy i tak je włożyć, na wypadek gdyby jednak się na coś przydały. Szybko przekonaliśmy się, że są absolutnie do niczego, tylko jeszcze bardziej utrudniają oddychanie. W naszym stanie umysłu nie przyjmowaliśmy jednak tego do wiadomości i trzymaliśmy je na twarzach, jakby tylko one zabezpieczały nas przed śmiercią.

Chociaż byłem w pełni świadom powagi sytuacji, nie wyobrażałem sobie, że może to być koniec. Że moja misja – czy co tam – na tej ziemi może mieć finał w tej piekielnej dziurze. Nawet liczba trupów, jakie widziałem w ciągu ostatnich dni w innych częściach miasta, nie przekonywała mnie, że moje szczęście także może się skończyć. Nie czułem ani optymizmu, ani pesymizmu, ani strachu, tylko niedowierzenie, że to już jest „to”. Z każdym coraz trudniejszym oddechem coraz bardziej oddalałem się od rzeczywistości, ale przytomności nie straciłem. Wciąż byłem świadom obecności matki, tego, że trzymamy się za ręce, chociaż w masce wydawała mi się tak nierealna, jak przybysz z innej planety.

Nie wiem, jak długo pozostawałem w tym stuporze. Następną rzeczą, którą sobie uświadomiłem, było szarpnięcie za maskę i głos jakiegoś mężczyzny, który krzyczał, że mam ją zdjąć. Z początku myślałem, że chce się ratować moim kosztem, więc tym mocniej przyciskałem maskę do twarzy. Puściłem dopiero, kiedy zobaczyłem, że mężczyzna ma na sobie mundur. Przez główne wejście do schronu wlewało się oślepiające światło dzienne, a gdy



tylko zdjąłem maskę, do moich spragnionych tlenu płuc popłynęło świeże powietrze. Matka także zdjęła swoją i od razu ożyła. Zegarek wskazywał godzinę dziewiątą rano. Nasza męka trwała dokładnie dwanaście godzin.

## **Zbombardowani**

Wolno, jakby budząc się z koszmaru, wychodziliśmy ze schronu – długi szereg ludzi z nową przepustką do życia. Na szczycie schodów czekali umundurowani ratownicy z Luftschutz, którzy nas uwolnili. Kazali nam osłonić głowy kocami albo ręcznikami, bo w powietrzu latało jeszcze mnóstwo iskier. Ostrzegli nas także, byśmy zachowali spokój wobec tego, co zobaczymy. Niewiele nam pomogła ta rada.

To, co na nas czekało, było najsmutniejszym, najbardziej przerażającym widokiem w naszym życiu. Stückenstrasse... Nie, cały Barmbek, nasza ukochana dzielnica, została totalnie zrównana z ziemią. Wszędzie, jak okiem sięgnąć, same gruzy. I jako kontrast do ogłuszającego huku z ubiegłej nocy – grobowa cisza. Gdzieniegdzie natrafialiśmy na zwęglone, podobne do mumii trupy ludzi, którzy widocznie za późno zdecydowali się na poszukiwanie schronu. Większość budynków spłonęła do gołej ziemi, niektóre jeszcze się tliły, inne wyglądały jak wypalone od środka skorupy. Jeden z nich, z którego została tylko sterta osmalonych cegieł, był naszym domem od czasu mojego dzieciństwa. Kiedy mijaliśmy go z czterema walizkami i kilkoma kocami – teraz całym naszym dobytkiem – zerkając kątem oka na matkę, chcąc zobaczyć, jak zareaguje na utratę wszystkiego, na co tak ciężko i tak długo pracowała. Ale ku memu zdumieniu, oczy miała suche i wyglądała na opanowaną. „Liczy się tylko to, że żyjemy i nic nam się nie stało – zapewniła mnie i siebie samą. – Wszystko inne da się z czasem zastąpić.”

W operacji Gomora zginęło ponad czterdzieści jeden tysięcy ludzi. Większość ofiar umarła, stanąwszy w obliczu nierozwiązywalnego dylematu, czy udusić się w zabarykadowanym schronie, czy zmierzyć z piekłem szalejącym na ulicach. Dziewięćset tysięcy hamburczyków zostało bez dachu nad głową. Prawie połowa budynków w mieście i około sześciuset dużych zakładów przemysłowych, w tym największe stocznie, legły w gruzach. Kiedy dym się rozproszył, okazało się, że przestało istnieć dwieście siedemdziesiąt siedem szkół, dwadzieścia cztery szpitale i pięćdziesiąt osiem kościołów.

Zanim dotarliśmy pod tory kolejki nadziemnej, gdzie spodziewaliśmy się znaleźć jakąś osłonę przed płonącymi śmieciami, które fruwały w powietrzu, matka zdjęła z głowy koc. Nagle usłyszałem jej krzyk: „Moje włosy!”. Zobaczyłem, że spadł jej na głowę kawałek płonącej gazety i błyskawicznie wypalił dziurę w gęstych brązowych włosach. Szybko ugasiłem płomień własnym kocem. Na szczęście, poza kilkoma oparzeniami, matce nic się nie stało.

Jeden po drugim zaczęli się schodzić rozbitkowie ze schronu. Niektórzy zrozpaczeni, inni uradowani, ale wszyscy ze śladami przeżyć ubiegłej nocy na twarzach. Kiedy krążyliśmy do-

okoła, ściskając się nawzajem ze łzami w oczach, nie patrzyliśmy, czy to bliski znajomy, sąsiad czy zupełnie obcy człowiek – wszyscy martwiliśmy się stratą dobytku, ale byliśmy szczęśliwi, że żyjemy.

Wypatrzwszy w tłumie mojego kumpla Jakoba, zapytałem, jak się dostanie do swojej jednostki. „Nie mów nikomu – szepnął konspiracyjnie – ale nie wracam. Po tym, co się stało tej nocy, jestem pewien, że wojna nie potrwa już dłużej niż kilka tygodni, może nawet dni. Do tej pory ewakuuję się z którąś rodziną.” Wskazując na walizkę, którą trzymał w ręku, powiedział, że przy najbliższej okazji przebierze się w cywilne ubranie i pozbędzie się „tego zasranego munduru”. Chociaż zgadzałem się, że bombardowania muszą przyspieszyć klęskę Niemiec, nie podzielałem jego optymizmu.

– A jeśli wojna nie skończy się za kilka tygodni?

– Nie martw się o mnie – odparł zadziornie. – Wiem, co robię.

– Mam nadzieję.

Pożegnałem się z nim, życząc powodzenia. Kiedy uścisnęliśmy sobie ręce i Jakob odszedł, patrzyłem za nim, dopóki jego krępa sylwetka nie zniknęła w tłumie. Zrobiło mi się dziwnie smutno, jakbym przeczuwał, że już nigdy go nie zobaczę.

W południe przyjechało kilka ciężarówek, które zawiozły nas na Moorweide, rozległy plac defiladowy przed dworcem Dammtor, gdzie wyznaczono główny punkt pomocy dla ofiar bombardowania. Tam przyłączyliśmy się do tysięcy stłoczonych ludzi, a potem czekaliśmy w niekończącej się kolejce po kanapki i mleko od Czerwonego Krzyża. Nie mogłem nie podziwiać zdolności organizacyjnych i skuteczności ekip ratowniczych, dowożących ogromne ilości smacznego pożywienia w tak krótkim czasie.

Ponieważ wszyscy uchodźcy mieli prawo do darmowego przejazdu pociągiem do wybranej miejscowości na terenie Niemiec, postanowiliśmy z matką udać się do Salzy, gdzie mogliśmy liczyć na schronienie w domu krewnych. Był z tym pewien problem. Kilka pociągów wyładowanych po dach uchodźcami utknęło na dworcu do czasu rozwiązania problemów z ruchem i zwolnienia torów. Zanosiło się, że potrwa to nawet kilka dni, więc zdecydowaliśmy się na podróż pierwszą lepszą ciężarówką, byle tylko opuścić miasto, a do pociągu wsiąść później. Okazało się, że łatwiej powiedzieć niż wykonać, bo tysiące innych wpadły na ten sam pomysł. Wreszcie po kilku godzinach i licznych próbach udało nam się dostać miejsce w ciężarówce.

Jadąc w ścisku razem z innymi towarzyszami niedoli – wszyscy jednakowo brudni, nieogoleni, spoceni i zmęczeni – myślałem o tym, jak w wielkim nieszczęściu ludzie stają się równi. Mój odmienny wygląd, który wszędzie przyciągał spojrzenia, nagle przestał kogokolwiek interesować. Ludzi zbyt pochłaniały własne problemy, by mieli się przejmować czyjś kolorem skóry i rodzajem włosów.

Młoda kobieta siedząca obok mojej matki na zniszczonej walizce poczęstowała nas ostatnimi papierosami, za które jako niepalący podziękowaliśmy. Duże katastrofy, jak się zdaje, wyzwają w ludziach to, co najlepsze. Gdziekolwiek spojrziałem, widziałem, że każdy stara się ulżyć cierpieniom bliźnich. Niestety ta bezinteresowna troska, tak powszechna w pierwszych dniach po bombardowaniu, szybko się ulotniła przy pierwszych oznakach powrotu do normalności.

Po kilku godzinach jazdy dotarliśmy do Lüneburga, gdzie na szczęście w ostatniej chwili złapaliśmy pociąg w kierunku południowym, zatłoczony po dach ewakuantami z Hamburga. Nie znaleźliśmy miejsca w żadnym przedziale, usiedliśmy więc na walizkach w przejściu.

W połowie drogi między Lüneburgiem a Hanowerem pociąg zahamował z piskiem wśród rozległych łąk. Rozległy się okrzyki „*Fliegeralarm!*” [alarm lotniczy], więc razem z matką ustawiliśmy się w długiej kolejce do najbliższego wyjścia. Po zeskoczeniu na ziemię udzieliła się nam panika całego pociągu. Chwyciłem matkę za rękę i szybko pociągnąłem w stronę kępy krzaków w oddali. Zanim zdążyliśmy tam dotrzeć, usłyszeliśmy męski głos: „Wszyscy na ziemię!”. Dopiero wtedy usłyszeliśmy warkot samolotu nad naszymi głowami. Padając na ziemię, zerknęliśmy w niebo; myśliwiec ze znakami RAF-u przeleciał dwa razy nad pociągiem i zniknął. Wreszcie gwizd lokomotywy zasygnalizował, że niebezpieczeństwo minęło i po kilku minutach z euforyczną ulgą ruszyliśmy w dalszą drogę.

Kiedy wjechaliśmy na hanowerski dworzec, na peron wyległa armia pracowników Czerwonego Krzyża. Personel zaczął rozdawać przez okna kanapki, mleko i jabłka. Kiedy pokazał się nazistowski Amtswalter w swoim brunatnym mundurze, jakaś kobieta zaczęła krzyzczeć: „Wy świnie, to wszystko przez was!”. Zdążyła dodać jeszcze kilka innych wywrotowych komentarzy, aż w końcu ktoś zatkał jej usta ręcznikiem.

Po udęcie trzynastogodzinnej podróży (w normalnych warunkach nie trwałaby dłużej niż pięć godzin) dotarliśmy do małej wioski Salza am Harz, położonej niedaleko od tysiącletniego miasta Nordhausen. Dobrze po północy wysiedliśmy na opuszczonej stacji.

Po raz pierwszy od ucieczki z hamburskiego piekła ogarnęła nas kompletna cisza. Było to coś tak nowego, że nasze własne głosy wydały się nam absurdalnie obce. Żaden związany z wojną cios psychiczny czy fizyczny nie dawał się porównać z tym strasznym uczuciem rozpacz, kiedy po odjeździe pociągu staliśmy na słabo oświetlonym peronie, zmarznięci, wycieńczeni i opuszczeni przez wszystkich. Mimo potwornego zmęczenia, po piętnastu minutach marszu ciemną i wąską Hauptstrasse udało nam się dotrzeć do domu krewnych przy Harzstrasse 6. Nie musieliśmy niczego wyjaśniać. Tante Grete wystarczyło spojrzeć, by zrozumieć, co się nam przydarzyło. Już po chwili ścisnęły się z matką wśród łez. Po raz pierwszy od tamtych katastrofalnych wypadków zobaczyłem matkę tak zdruzgotaną.

Ostatnie wakacje w Salzie spędziłem sześć lat wcześniej jako jedenastoletni chłopiec. Onkel Karl i Tante Grete wyglądali zupełnie tak, jak ich wtedy zapamiętałem. Trudchen, teraz

pulchna młoda panna, miała już dwadzieścia jeden lat i była zaręczona z kapralem walczącym gdzieś na rosyjskim froncie. Wszyscy szczerze cieszyli się z naszego przyjazdu.

Z czasem, nie bez wysiłku, dostosowaliśmy się z matką do życia na prowincji. Rodzina robiła, co w jej mocy, żebyśmy zapomnieli o horrorze i czuli się jak w domu. Nie było to łatwe dla żadnego z nas. W przeciwieństwie do Hamburga, gdzie utrata złudzeń co do rządów Hitlera stała się tak powszechna, że nawet zagorzali naziści coraz niżej spuszczaali głowy, w większości wsi i miasteczek środkowych i południowych Niemiec nadal bezdyskusyjnie rządzili hitlerowscy funkcjonariusze. Ponieważ mieszkańcy Salzy zawsze musieli wiedzieć nawet to, ile kto ma prześcieradeł, Onkel Karl i Tante Grete nauczyli się ukrywać swoje poglądy także przed nami. Nie musieli nas przekonywać, byśmy postępowali tak samo.

Tuż po naszym przyjeździe całą wieś zbulwersowała wiadomość, że kilka dni wcześniej Mussolini wpadł w ręce włoskich antyfaszystów pod wodzą marszałka Pietro Badoglio. Po upadku Duce Włosi zaczęli masowo wycofywać swoje oddziały, co spowodowało załamanie oporu wobec aliantów. Wieśniacy z Salzy, którzy dopiero mieli poznać prawdziwy smak wojny, nowinę o upadku potężnej osi Berlin–Rzym przyjęli jako osobistą klęskę. Wielu wyrażało głośno swoje obrzydzenie do „tchórzliwych makaroniarzy”.

Kilka miesięcy po aresztowaniu Mussoliniego nastroje w Salzie znów poszybowały w górę. Kwatera główna Führera wydała komunikat, że Duce znów jest wolny. Później widzieliśmy w kronice, jak specjalne komando SS pod dowództwem pułkownika Ottona Skorzeneo wyrwało Mussoliniego z rąk porywaczy w górach Abruzji i oszołomionego, lecz całego, wypuściło na wolność.

Kiedy szeregi młodych rekrutów zaczęły się przersedzać, wielu weteranów I wojny, w tym wujka Karla, znów powołano do wojska. Wujek formalnie stacjonował w nieodległym Erfurcie, w rzeczywistości jednak mieszkał w domu, gdzie wiodł prawie normalne życie cywila. Kiedy jego dowódca w randze generała dowiedział się, że Onkel Karl jest krawcem, kazał mu w domu szyć wytworne mundury dla siebie i innych wyższych oficerów. Mundur kaprała wujek zakładał tylko wtedy, gdy odwoził robotę do erfurckiego garnizonu, skąd zaraz wracał z nowym zadaniem.

Od czasu do czasu „powoływał” mnie do służby, kazał mi przymierzać jedną z szarych gabardynowych kurtek ze złotym i srebrnym szamerunkiem, żeby wykonać ostatnie poprawki. Sprawiało mi to coś w rodzaju perwersyjnej satysfakcji, kiedy wyobrażałem sobie, co by taki generał czy pułkownik „von und zu” pomyślał, gdyby wiedział, że jego mundur nosi ktoś niegodny nawet rangi szeregowca. Onkel Karl, który zupełnie nie dostrzegał paradoksalności tej sytuacji, nigdy nie mógł zrozumieć mojego rozbawienia, kiedy patrzyłem na swoje odbicie w lustrze.

– Co cię tak śmieszy? – pytał.

– Nic – odpowiadałem, nawet nie próbując mu tłumaczyć.

Ze wszystkich strat, jakie poniosłem podczas hamburskiej pożogi, żadna nie dotknęła mnie tak mocno, jak utrata ukochanych łyżew hokejówek i nie mniej ukochanej trąbki. Przy niedostatku czy zupełnym braku „nieistotnych dóbr” te dwie rzeczy okazały się nie do zastąpienia. Szczególnie mocno brakowało mi możliwości grania i dlatego tak bardzo ucieszył mnie niespodziewany prezent od wujka Karla – stary poobijany klarnet, który wyłudził od jednego ze swych kumpli. „Wiem, że to nie trąbka i w ogóle nie ma na czym oka zawiesić, ale na nic lepszego mnie nie stać” – tłumaczył się wujek. Wystarczył jednak okazały ładunek prawdziwie czulej miłości i troskliwych zabiegów, żeby stary „kij” zaczął wyglądać i brzmieć prawie jak nowy. Po wielu godzinach ćwiczeń i odkryciu, że gram z ustnikiem założonym na opak, zaskoczyłem wszystkich wpadającymi w ucho melodiami. Ale wobec wciąż toczącej się wojny uprawianie muzycznego hobby miało krótki żywot.

Zgodnie z obowiązującymi przepisami, zarejestrowaliśmy się z matką w miejscowej komendzie policji, powiększając tym samym liczbę mieszkańców Salzy. Aby mieć prawo do kuponów żywnościowych i odzieżowych, wszyscy sprawni fizycznie mężczyźni musieli być zatrudnieni przy produkcji zbrojeniowej. Ja zgłosiłem się na operatora maszyn w dużym zakładzie konstrukcji stalowych w pobliskim Nordhausen i z miejsca zostałem przyjęty. Przy tym zakładzie moja dawna fabryka w Hamburgu wyglądała jak rodzinny sklepik. W przepastnym, ogłuszająco hałaśliwym hangarze czułem się jak mrówka, kiedy gigantyczne stalowe obiekty przesuwają mi się nad głową, sterowane precyzyjnie ręką niewidocznego operatora dźwigu, który siedział w ruchomej kabinie wysoko pod sufitem. Chociaż zatrudniono mnie na stanowisku czeladnika, miałem zdecydowanie za wysokie kwalifikacje jak na niewdzięczne zadania, jakie mi przydzielono. Do największych wyzwań należało zginiatanie obrzynków po skrawaniu i przewożenie ładunków wózkami widłowymi.

## **Tajemnica Góry Kohnstein**

Jesienią zauważyłem niepokojące zjawisko. Pod oknem mojego pokoju przy Harzstrasse 6 codziennie przejeżdżał konwój otwartych wojskowych ciężarówek z niezwykle dużym ładunkiem. Byli to ogoleni na łyso, wychudzeni mężczyźni w pasiakach, o zapadniętych policzkach i dużych, pozbawionych wyrazu oczach, co nadawało ich głowom wygląd czaszek. Stali stłoczeni jak bydło pod czujnym okiem uzbrojonych strażników z SS. Konwoje te, złożone nawet z kilkunastu ciężarówek, zmierzały w stronę Kohnstein, pobliskiej zalesionej góry, na którą swego czasu wyprawialiśmy się w każde wakacje z wujkiem Karlem. Dla konwojowanych mężczyzn musiała to być podróż w jedną stronę, bo ciężarówki zawsze wracały puste.

Na Kohnstein, jak poinformował mnie wujek, wstęp był teraz zakazany. Górę całkowicie zagrodzono i pilnowały jej patrole. Inną widoczną zmianę stanowił wielki otwór w zboczu od strony Salzy, najwyraźniej wlot do gigantycznego tunelu. Kiedy zapytałem wujka, co się tam dzieje, przyłożył palec do ust i szepnął, że to nie nasz interes, bo sprawy te są objęte ścisłą

tajemnicą państwową. „Nie wypytuj ludzi o Kohnstein – ostrzegł mnie – bo tylko ściągniesz na nas kłopoty. Najlepiej rób to co inni – zapomnij, co widziałeś, i zachowuj się tak, jakby ta góra w ogóle nie istniała.”

Łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Nie mogłem zapomnieć. Widok żywych trupów w konwoju SS prześladował mnie, zwłaszcza nocami, kiedy słyszałem pod oknem warkot ciężarówek. Kim byli ci wynędzniali ludzie? Co robili na tej górze?

Dopiero po zakończeniu wojny poznałem – razem z resztą świata – mroczny, przerażający sekret Kohnsteinu i jego oficjalną nazwę: Konzentrationslager Mittelbau-Dora. W programie, który mógł wymyślić tylko szatan, góra służyła dwóm nazistowskim celom: produkcji „cudownej broni”, czyli pocisku raketowego V2, która miała wyrwać Niemcy ze szponów kłęski, oraz likwidacji tysięcy ludzi, uznanych z tego czy innego powodu za wrogów państwa Hitlera.

Chociaż twarze mężczyzn na ciężarówkach zdradzały czystą desperację, nawet w najdzikszych fantazjach nie byłem w stanie domyślić się grozy tortur, głodu i wyniszczającej pracy, która po kilku miesiącach kończyła się śmiercią. Nie miałem pojęcia, że w odległości zaledwie piętnastu minut od miejsca, gdzie żyłem we względnej wygodzie, tysiące ludzi pod przymusem zaharowują się na śmierć, po czym ich ciała są palone w krematoriach. Nie wiedziałem też, że gęsty, czarny dym, który od czasu do czasu docierał aż do Salzy, pochodził z pieców krematoryjnych, ani że wojskowe samochody, przejeżdżające pod domem, przewoziły osoby odpowiedzialne za tę fabrykę śmierci, w tym szefa SS Heinricha Himmlera, szefa uzbrojenia Alberta Speera i wynalazcę pocisku V Wernhera von Brauna.

Gnany ciekawością i nudą, postanowiłem w niedzielę przejść się w stronę Kohnsteinu i przekonać się, jak daleko zdołam zawędrować szlakiem mojego dzieciństwa. Minąwszy ostatni dom przy Harzstrasse i nieczynny basen pływacki, dotarłem do wysokiego ogrodzenia z siatki, zwieńczonego drutem kolczastym. W kilku miejscach wisiły napisy zakazujące wstępu osobom nieuprawnionym. Z miejsca, w którym stałem, wyraźnie widać było wielki wlot tunelu, ale nic poza tym. Żadnego znaku życia, z wyjątkiem uzbrojonego po zęby esesmana, który z drugiej strony parkanu wolno zmierzał w moją stronę z owczarkiem niemieckim przy nodze. Nie chciałem zawierać bliższej znajomości ze strażnikiem ani jego psem, dlatego zrobiłem w tył zwrot i wróciłem do Salzy.

Kiedy kilka dni później wróciłem z pracy, ciotka przywitała mnie z miną jak chmura gradowa. Bez słowa wręczyła mi urzędowy list z biura burmistrza Salzy, a w nim wezwanie do stawienia się „bezzwłocznie w pilnej sprawie”. Tak więc rankiem przed pracą udałem się do jedyne go we wsi urzędowego budynku. Po odczekaniu na swoją kolej pod obstrzałem badawczych spojrzeń kilku mieszkańców, którzy z pewnością wiedzieli, kim jestem, sekretarka wprowadziła mnie do gabinetu, zapowiadając, że burmistrz przyjmie mnie osobiście. Nie

miałem złudzeń, że to zainteresowanie najwyższego rangą nazisty we wsi zawdzięczam kurtuazji wobec mojej osoby; po prostu jego wysokości brakowało personelu.

Duży mężczyzna w brązowym mundurze, siedzący za wielkim biurkiem przed flagą ze swastyką, przypominał mi trochę Herr Wriedego, co uznałem za zły omen. Burmistrz odwzajemnił mój hitlerowski salut z kamienną twarzą, po czym zażądał dowodu tożsamości. Po uważnym przejrzaniu mojego *Wehrpassu* przeszedł do rzeczy:

– Otrzymałem meldunek, że wędzycie koło Kohnstein. Co wy na to?

Zaniemówiłem. Oskarżenie o szpiegowanie najściślejszych tajemnic wojskowych to wyjątkowo poważna sprawa.

– Nigdy w życiu nie wędzyłem ani koło Kohnstein, ani nigdzie indziej.

– To coście tam robili, do licha ciężkiego?

Opowiedziałem mu o moich dziecięcych wyprawach z wujkiem i o tym, jak próbowałem ożywić te wspomnienia. Ale temat dziwnych konwojów starannie przemilczałem.

– Zawróciłem, gdy tylko zobaczyłem ogrodzenie z drutem kolczastym i napis „Wstęp wzbroniony”.

Burmistrz zdawał się usatysfakcjonowany, ale ostrzegł mnie, żebym na przyszłość trzymał się z daleka od tego terenu i w ogóle nie wtykał nosa, gdzie nie należy.

– Znam państwa Baetzów od wielu lat. To porządni ludzie, więc nie chciałbym, żebyście wy i oni wpadli w jakieś kłopoty, rozumiano?

Zapewniłem go, że doskonale rozumiem, po czym wymieniliśmy hitlerowskie saluty i pozwolił mi odejść.

Kiedy opowiedziałem w domu o rozmowie z burmistrzem, Onkel Karl i Tante Grete długo nie mogli mi darować tej głupoty. „Mówiłem ci, żebyś zapomniał o Kohnsteinie i o tym, co się tam dzieje – beształ mnie całkiem słusznie Onkel Karl. – Mamy szczęście, że burmistrz jest moim stałym klientem i uszyłem mu już wiele garniturów i mundurów. Inaczej naprawdę mielibyśmy się z pyszna.” Obiecałem wujowi, tak jak przedtem burmistrzowi, że odtąd będę uważał na każdy krok.

## **Z powrotem w Hamburgu**

Opuszczaliśmy z matką Hamburg w przekonaniu, że całe miasto zostało zrównane z ziemią, ponieważ nie widzieliśmy po drodze ani jednego nieuszkodzonego budynku. Ale w ciągu kolejnych miesięcy spotkaliśmy uchodźców, którzy zapewnili nas, że spore części miasta ocalały.

Wiadomość ta obudziła w nas taką tęsknotę za Hamburgiem, że nie zdołaliśmy się jej oprzeć. W krótkim czasie przekonaliśmy się, że nie nadajemy się do wiejskiego życia, choćby nawet prawdziwie idyllicznego. Okoliczne góry, które kiedyś tak podziwialiśmy jako atrakcję turystyczną, stały się dla nas groźnymi murami więziennymi, dusiliśmy się w nich.

Oboje tęskniliśmy do płaskiego, nieograniczonego krajobrazu wokół Hamburga. Choć wujostwo gorąco namawiali nas do zapuszczenia korzeni, nasza tęsknota rosła z każdym dniem i w końcu podjęliśmy decyzję, że wracamy.

Oczywiście, tak jak przypuszczaliśmy, ogromnie ich to rozzłościło. Onkel Karl krzyczał, że jesteśmy lekkomyślni i głupi, narażając się na śmierć w kolejnym bombardowaniu, kiedy tu, w idyllicznej Salzie, mamy zapewnione bezpieczeństwo od nalotów. Tante Grete też wytoczyła swoje działa, zarzucając nam, że uważamy życie na wsi za nie dość dobre dla nas, „miastowych”. A Trudchen próbowała nakłonić nas do zmiany zdania, wybuchając płaczem, gdy tylko poruszaliśmy temat wyjazdu. Ale kiedy dotarło do nich, że żadne argumenty nie pomogą, dali nam wreszcie błogosławieństwo na drogę i życzyli powodzenia. Kilka dni później, w piękny wiosenny dzień, pożegnali nas wśród licznych uścisków i łez oraz zaklęć, że gdyby sprawy ułożyły się nie po naszej myśli albo znów nastąpiły naloty, to mamy natychmiast wsiadać w pociąg i wracać. Staliśmy na tej samej stacji, na której niecały rok wcześniej wylądowaliśmy totalnie wykończeni w środku nocy, ale teraz w optymistycznych nastrojach niecierpliwie wyczekiwaliśmy starych znajomych widoków i dźwięków.

Ponieważ przywrócono już normalny ruch pociągów, podróż do Hamburga zajęła nam tylko siedem godzin. Wjeżdżaliśmy do miasta już po zapadnięciu zmroku, co oszczędziło nam widoku rozległych zniszczeń. Choć z wielkiego szklanego sklepienia został tylko stalowy szkielet, sam dworzec po staremu tętnił życiem, co przyjęliśmy z nieklamana radością. Nie potrzebowaliśmy słów, by wyrazić, co czuliśmy po powrocie do jedyne miasta na ziemi, które mogliśmy nazwać domem.

W punkcie informacyjnym dla uchodźców dowiedzieliśmy się, że najbliższe naszego dawnego domu schronisko mieści się w dawnej podstawówce przy Brucknerstrasse, którą mijałem codziennie w drodze do własnej szkoły. Kolejka podziemna dowiozła nas w dwadzieścia minut do Barmbeku i po krótkim marszu dotarliśmy do celu.

Po sprawdzeniu dowodów tożsamości i zapisaniu nazwisk uprzejmy kierownik wręczył nam czyste koce, pachnące kulkami na mole, i przedstawił warunki: dwa darmowe gorące posiłki dziennie, toalety i umywalki z zimną wodą w piwnicy. Następnie zaprowadził nas do klasy zamienionej w zbiorową sypialnię z prymitywnymi piętrowymi pryzkami. Poradził nam przy tym, abyśmy nie tracili naszego dobytku z oczu, gdyż nie ma tu żadnych zamkniętych szafek. Ostrzegł też matkę, że sypialnia jest koedukacyjna, więc jeśli zechce zapewnić sobie kilka minut intymności przy myciu, musi wstać, kiedy inni jeszcze śpią.

Mając na uwadze prywatność, wybraliśmy sobie dwie dolne pryzki w najdalszym kącie sali. Na każdej z nich leżało kilka sztywnych, rzadko tkanych worków z bliżej nieokreślonego materiału, wypełnionych kłującym sianem i trocinami – nędzna namiastka grubych materacy, puchowych kołder i poduszek, do których przywykliśmy. Ale nawet perspektywa



spędzenia całej nocy w tych okropnych warunkach nie zmąciła naszej radości z powrotu do ukochanego miasta.

Wsunęliśmy walizki pod prycze i razem z innymi lokatorami zasiedliśmy do kolacji przy dużym stole z przodu sali. Posiłek dostarczono w wielkim podgrzewanym kotle z kuchni polowej w mieście. Podczas rozmowy dowiedzieliśmy się, że wszyscy obecni są dawnymi mieszkańcami Barmbeke, że – tak jak my – stracili w bombardowaniu wszystko prócz życia, a teraz – także jak my – wrócili, bo nie wyobrażają sobie życia poza Hamburgiem. Mają nadzieję nawiązać kontakt z resztą rodziny i przyjaciółmi, a potem ułożyć sobie życie na nowo.

Kiedy w radiu zapowiedziano wieczorne wiadomości, przy stole zapadła cisza. W starannie dobranych słowach spiker przedstawił jeden z Goebbelsowskich raportów o kolejnym „strategicznym wycofaniu” oddziałów niemieckich na froncie wschodnim, co skwitowano kilkoma sarkastycznymi komentarzami. „Stragiczne wycofanie, co? – rzucił jeden z mężczyzn. – Dostajemy w dupę i tyle. Mogliby wreszcie przestać kłamać, bo...” – urwał gwałtownie, gdyż w tym momencie kierownik wsunął głowę przez drzwi i przypomniał, że za pół godziny, czyli o dziesiątej, gasi się światło. „Facet wydaje się w porządku – wyjaśnił nasz współlokator, gdy tylko kierownik zamknął za sobą drzwi – chociaż z tymi nazistami nigdy nic nie wiadomo.” Nie zamierzałem wypowiadać swojej opinii, ale w pełni się z nim zgodziłem.

Dwa dni później do schroniska przybyli dwaj umundurowani urzędnicy na rutynową kontrolę mieszkańców. Uważnie sprawdzili nasze dowody tożsamości i zapisali dane. Polecili nam albo bezzwłocznie wrócić do dawnej pracy, albo, jeśli to niemożliwe, zgłosić się do biura zatrudnienia po nowy przydział. Każdy z nich przypomniał nam o obowiązku wspierania kraju w wysiłku wojennym.

Wiedzieliśmy, że fabryka wyrobów gumowych, w której pracowała matka, poważnie ucierpiała w czasie bombardowania i w związku z tym ograniczyła załogę do niezbędnego minimum, ale postanowiliśmy spróbować. Mieliśmy szczęście. Dyrektor personalny od razu dał matce pracę w kuchni oraz miejsce w damskim dormitorium. Jednocześnie poinformował mnie, że chociaż produkcja stanęła, wolne etaty dla operatorów są w fabryce tej samej kompanii, ale w sąsiednim mieście – Harburgu, na południe od Łaby. Gdybym się na to zdecydował, mógłbym zamieszkać za darmo w tamtejszym zakładowym dormitorium dla mężczyzn. Nie zastanawiając się nad konsekwencjami, podpisałem zgodę i następnego dnia po godzinnej jeździe tramwajem zameldowałem się u nowego szefa, majstra Erdmanna, kierownika warsztatu w harburskiej fabryce.

## **Opowieść o dwóch miastach**

Herr Erdmann i ja poczuliśmy obopólną niechęć od pierwszego wejrzenia. Wysznięty na wiór majster z permanentnym grymasem niezadowolenia na twarzy zapoznał mnie z przy-

szyłymi obowiązkami, które miały polegać głównie na usuwaniu usterek. Przez cały czas rozmowy świdrował mnie podejrzliwie wzrokiem, wyraźnie nie kryjąc obrzydzenia.

W kilkunastu budynkach na terenie fabryki zmagazynowano setki wyłaczarek parowych, używanych do nadawania twardej gumie rozmaitych kształtów. Przed wojną kompania specjalizowała się w wyrabianiu wysokiej jakości grzebieni, cygarniczek i innych przydatnych w domu akcesoriów. Teraz, jak prawie wszystkie zakłady przemysłowe, przestawiono produkcję na potrzeby wojny. Tylko największe kompanijne szychy – jak powiedział majster – wiedzą, do jakich wojskowych celów służą elementy o dziwnych kształtach, które w rekordowym tempie wychodzą spod pras.

Do najważniejszych zadań warsztatu maszynowego należała konserwacja olbrzymiej sieci rur, przez które para z bojlerów przechodziła do maszyn. Do tego dochodziła obsługa wyłaczarek i wymiana zużytych części. „Będziesz pracował na różnych wydziałach, zdany w znacznym stopniu na siebie – konkludował Herr Erdmann – ale żebyśmy się dobrze rozumieli: nie ma mowy o żadnym obijaniu się w robocie.”

Kiedy go zapytałem, skąd mu przyszło do głowy, że jechałem taki kawał do tej nędznej dziury tylko po to, aby się obijać, odparował: „Wy, hamburczycy, uważacie się za takich cwanych, że nie dacie sobie słowa powiedzieć. No dobra, zapamiętaj sobie: ja już dawno mam obwąchane miejsca, w których ty dopiero będziesz srał”. Ponieważ nie interesowały mnie dalsze szczegóły na temat jego wszędobylskiego nosa, pozostawiłem tę uwagę bez komentarza, ale uznałem, że raczej nie nawiążemy dobrych stosunków.

Później kilku operatorów, także przeniesionych z Hamburga, poradziło mi, żebym niczego, co mówi Erdmann, nie brał za bardzo do siebie. Jak wielu tutejszych mieszkańców, żywił wrodzoną podejrzliwość i zazdrość wobec wszystkich wielkomiejskich hamburczyków.

Pomimo niesympatycznego majstra sama robota przypadła mi do gustu. Szczególnie ceniłem sobie samodzielność i mobilność. Ponieważ oprócz mnie w fabryce było tylko kilku wykwalifikowanych spawaczy gazowych i łukowych, wkrótce zaczęto mnie zasypywać specjalnymi zadaniami, co wzbudziło szacunek innych operatorów i nawet niechętną aprobatę Erdmanna. Z kolegami dogadywałem się dobrze, zwłaszcza z tymi z Hamburga, i nawet udało mi się bliżej zaprzyjaźnić z kilkoma robotnikami z Francji, z którymi dzieliłem kwaterę. Szczególnie jeden z nich, przystojny dwudziestoparoletni paryżanin Jean Heideiger stał się moim naprawdę bliskim kumplem. Została mi po nim trwała pamiątka w postaci umiejętności wiązania węzła windsorskiego oraz znajomości wszystkich francuskich brzydkich wyrazów.

Pewnego dnia na fabrycznym dziedzińcu zawrzało – konwój wojskowych ciężarówek przywiózł około setki włoskich jeńców. Stanowili część kilku dywizji, które po obaleniu Mussoliniego i poddaniu się włoskiej armii zostały zagarnięte przez Niemców i zmuszone do pracy w przemyśle zbrojeniowym. Wyglądali żałośnie – wystraszona banda o zapadniętych oczach, nieogolona, wygłodzona, w wytartych, brudnych mundurach. Przy każdej okazji

grzebali w śmietnikach, szukając resztek jedzenia, albo błagalnie wyciągali do nas ręce, prosząc: „*Mangiare!*” [Jeść!]. Nieproszeni, zapewniali nas, że zawsze byli wierni Mussoliniemu: „*Mussolini gut (dobry), Badoglio schlecht (zły)*” – wyraźnie zależało im na zaskarbieciu sobie łask Niemców. Ponieważ ci nigdy nie przepadali za Duce i jego zwolennikami, których zdolności bojowe mieli w głębokiej pogardzie, na tutejszych robotnikach nie robiło to żadnego wrażenia. Mimo to traktowali nowych ze współczuciem, jeśli nie z szacunkiem.

W ciągu kilku tygodni Włosi przeszli zdumiewającą metamorfozę, zamieniając się w dobrze odżywionych i zadbanych osiłków o lśniących fryzurach gwiazdorów filmowych i odpowiednio ekstrawaganckich osobowościach. Początkowe przygnębienie zmieniło się w butę typu *macho*, potargane brody ustąpiły miejsca gładko wygolonym twarzom z wypięłgnowanymi wąsikami. Ta gruntowna przemiana nie uszła uwagi damskiej części załogi i po niedługim czasie obserwowałem z zazdrością, jak nasze najładniejsze dziewczyny prowadzą się z latynoskimi kochankami.

Oprócz Włochów i Francuzów pracowali u nas jeńcy ze Związku Sowieckiego. Obowiązywał ich znacznie większy rygor, mieszkali w oddzielnych obozach. Ponieważ nie wolno im było utrzymywać żadnych kontaktów z Niemcami ani innymi cudzoziemcami, nigdy żadnego z nich nie poznałem.

Życie ułożyłoby mi się całkiem znośnie, gdyby nie fakt, że musiałem mieszkać w Harburgu – brzydkim przemysłowym miasteczku, pozbawionym jakichkolwiek rozrywek, poza kilkoma kinoteatrami i piwiarniami. W związku z tym niecierpliwie wyczekiwałem sobót, kiedy w południe syrena ogłaszała koniec całotygodniowej harówki. Od razu wsiadałem w tramwaj i jechałem do Hamburga, do matki. Za zgodą jej miłej współlokatorki, spędzałem dwie noce w ich sypialni, by w poniedziałek rano wrócić do pracy.

Pewnej soboty tuż przed zamknięciem fabryki, kiedy szykowałem się, by złapać tramwaj do Hamburga, majster Erdmann zawołał mnie do swojego oszklonego kantorka, skąd miał widok na cały warsztat. Wręczył mi polecenie służbowe na piśmie – miałem zlikwidować przeciek w jednej z większych rur tłoczących parę. Złożyłem papier, schowałem go do kieszeni i, obiecawszy Erdmannowi, że w poniedziałek zajmę się tym z samego rana, ruszyłem do wyjścia.

– Nie tak prędko, przyjacielu.

Wyjaśnił mi, że szczeliny nie da się zaspawać, kiedy w rurze jest para pod ciśnieniem, więc trzeba to zrobić po jej odcięciu i wysuszeniu rury, czyli w niedzielę.

– I to – dodał ze złośliwym uśmieszkiem – będzie twoje zadanie.

– Dlaczego moje? – zapytałem, argumentując, że mam już inne plany, których nie mogę zmienić.

Herr Erdmann oznajmił, że ponieważ inni spawacze mają rodziny, oczywiste jest, że padło na mnie, bez względu na to, czy mi się to podoba, czy nie. Wyraziwszy swoje całkowicie od-

mienne zdanie, wypadłem z kantorka jak burza, ścigany pogrózkami Erdmanna, który obiecywał mi surowe konsekwencje, jeśli nie zmienię zdania. Ponieważ absolutnie nie wyobrażałem sobie, że mógłbym stracić cotygodniową wizytę u matki, która wyczekiwała jej tak samo jak ja, żadna zmiana zdania nie wchodziła w rachubę. Poza tym miałem już skończone osiemnaście lat i nie zamierzałem dopuścić, żeby taki głupek jak Erdmann rozstawiał mnie po kątach. Niewiele myśląc, opuściłem fabrykę i w ciągu godziny byłem w drodze do Hamburga.

O Erdmannie przypomniałem sobie dopiero w poniedziałek, kiedy pojawiłem się w warsztacie, dumny, że nie dałem się zastraszyć. Ku mojemu zdumieniu, majster powitał mnie szerokim uśmiechem, a nie zwyczajowym grymasem. Wkrótce miałem poznać powód tej nietypowej wesołości.

„Przejdźmy się kawałeczek” – zaproponował, wciąż uśmiechnięty od ucha do ucha. Po kilku minutach wkroczyliśmy do hali z licznymi rzędami wyłaczarek parowych. Zwykle hala tętniła życiem, wypełniał ją syk pary i stukot maszyn. Teraz panowała tu cisza, z wyjątkiem ściszonych głosów około pięćdziesięciu mężczyzn i kobiet, stojących beczynnym przy swoich stanowiskach.

„Przyłóż tu rękę” – polecił mi Erdmann, wskazując najbliższą wyłaczarkę. Poczułem, że zwykle gorąca powierzchnia jest zimna jak lód. „Masz poważne kłopoty, przyjacielu – oznajmił wyraźnie zachwycony majster – i dobrze ci tak. Ostrzegałem cię, ale nie chciałeś słuchać. To, co zrobiłeś, nazywa się sabotaż, a nie muszę ci chyba przypominać, co czeka sabotażyстів.” Po czym wyjaśnił radośnie, że moja odmowa naprawienia rury w niedzielę spowodowała ogromne i nieusuwalne straty cennych godzin pracy, a w związku z tym także kluczowej dla wojny produkcji. Na zakończenie wykładu poinformował mnie, że sam główny szef chce zamienić ze mną słówko, i zaprowadził do budynku administracji, gdzie poprosił o spotkanie z naczelnym dyrektorem. Perspektywa konfrontacji ze wszechmogącym, lecz rzadko widywanym zwierzchnikiem rozproszyła w mgnieniu oka całą moją wcześniejszą brawurę, ustępując miejsca uczuciu czystej grozy.

W przepastnym, wyłożonym boazerią gabinecie siedział za biurkiem siwowłosy pan w rogowych okularach, a naprzeciwko niego główny inżynier, szef Erdmanna. Obaj mężczyźni, wyraźnie poinformowani o moim akcie „kryminalnej niesubordynacji”, świdrowali mnie surowym wzrokiem.

„Coście *um Himmels Willen* (na miłość boską) sobie myśleli? – przerwał ciszę dyrektor. – Jak mogliście nie przyjść do pracy zgodnie z poleceniem służbowym? Czy nie przyszło wam do głowy, że utrudnianie produkcji na potrzeby wojny to sabotaż?”

Starając się mówić z jak największym przekonaniem, zapewniłem go, że sabotaż w ogóle nie powstał mi w głowie. Jedynym powodem mojego nieposłuszeństwa był fakt, że poczułem się niesprawiedliwie zmuszony do poświęcenia wolnej niedzieli, do której przecież miałem

prawo. W odpowiedzi dyrektor wygłosił całą tyradę, dowodząc, że przepracowanie kilku godzin w niedzielę jest niczym w porównaniu z ofiarami, jakie nasi dzielni żołnierze codziennie ponoszą na froncie.

„Jakim prawem zakwestionowaliście polecenie majstra Erdmanna? – grzmiał. – Naraziliście życie walczących, pozbawiając ich pilnie potrzebnej broni!” Przeklinając w duchu własną głupotę, całym sercem zgodziłem się z jego oceną sytuacji – rzeczywiście groziły mi poważne kłopoty. Ale kiedy moja panika sięgnęła szczytu i byłem już bliski omdlenia, dyrektor nagle się uspokoił. „Ze względu na waszą matkę, która była naszą długoletnią, cenioną pracownicą, zdecydowałem tym razem oszczędzić jej cierpienia i nie powiadamiać Gestapo o waszym postępku. Ale – znów podniósł głos – nie mogę pozwolić, żeby tak rażące nieposłuszeństwo uszło wam płazem. Dlatego będziecie meldować się w pracy przez kolejnych pięć niedziel, rozumiano?”

Zapewniłem go, że zastosuję się do polecenia, po czym pozwolono mi odejść, co uczyniłem z ogromną ulgą. Nie miałem cienia wątpliwości, że gdyby Gestapo dowiedziało się o tym „akcie sabotażu”, mój los zostałby przypieczonegowany. Uważając się zatem za szczęściarza, w pokorze zniosłem pięć niedziel harówki oraz inne kary, wymyślone przez Erdmanna specjalnie dla mnie. Operatorzy nie musieli zwykle wykonywać zadań niewymagających kwalifikacji, ale dla mnie znalazło się jedno z najniewdzięczniejszych: „Zobaczmy, mój przyjacielu, jak sobie poradzisz z czyszczeniem wnętrza bojlerów” – oznajmił z szyderczym uśmiechem Erdmann, który aż się prosił, by mu się postawić.

Chodziło o gigantyczne stalowe zbiorniki używane do wytwarzania pary. Nie miałem wyjścia, musiałem przyjąć zadanie, żeby nie dać Erdmannowi powodu do triumfu. Wcisnąwszy się do środka przez wąski otwór, przez wiele godzin atakowałem pneumatycznym dłutem warstwę po warstwie upartego wapiennego kamienia na wewnętrznych ścianach bojlera, dopóki ogłuszający hałas i gęsty, dławiący pył nie zmusił mnie do wyjścia na powietrze. Pod koniec dnia spędzonego w bojlerze bez maski i zatyczek do uszu byłem na pół głuchy i kaszlałem godzinami, ale w następną niedzielę musiałem podjąć tę samą pracę. Jednakże nawet taka fizyczna udręka nie mogła się równać z psychiczną torturą, jaką była dla mnie uśmiechnięta gęba Erdmanna. Musiałem zebrać całą siłę woli, żeby nie wygarnąć mu, co o nim sądzę, czy nawet nie sprać go na kwaśne jabłko. Ciągle upominałem się w duchu, że Erdmann tylko czeka, żebym dał się sprowokować, a potem wystarczy tylko jeden telefon do Gestapo...

Pewnej soboty, znowu tuż przed fajrantem, Erdmann ponownie kazał mi zaspawać przeciekającą rurę. Tym razem nie usłyszał ode mnie słowa protestu. Właśnie zamierzałem wziąć się do pracy, kiedy zauważyłem, że zarówno rura, jak i sufit, do którego ją przyczepiono, jest powleczone grubą warstwą jakiejś nieznanej mi lepkiej substancji. Zameldowałem o tym

majstrowi, sugerując, że substancja może stanowić zagrożenie pożarowe, ale mi przerwał: „Może choć raz zrobisz, co ci się każe, bez otwierania tej swojej wielkiej japy?”.

Aby uniknąć kolejnego incydentu, zamknąłem „wielką japę”, obróciłem się na pięcie i zacząłem robić, co mi kazano. Ale gdy tylko mały płomyk palnika spawalniczego dotknął rury, buchnął wielki słup ognia, który po chwili ogarnął cały sufit. Byłem pewien, że zawali się cały budynek i tym razem Gestapo niewątpliwie rozpocznie śledztwo w sprawie moich „podejrzanych działań”. Na szczęście ktoś wszczął alarm i po kilku minutach pojawiła się brygada straży pożarnej, która szybko ugasiła ogień.

Ledwie Erdmann dowiedział się o wypadku, od razu próbował uniknąć oskarżenia, przechodząc do ataku:

– No i wreszcie się doigrałeś! – ryknął. – Kazałem ci zaspawać rurę, a nie podpalać fabrykę!

Na szczęście zdążyłem już porozumieć się z kolegą, który słyszał, jak Erdmann ochrzanił mnie za otwieranie „wielkiej japy”, toteż kiedy zapowiedział, że w poniedziałek znów wybieremy się do Wielkiego Człowieka, gdzie z pewnością usłyszę, co trzeba za ten kolejny akt sabotażu, odparłem ze spokojem:

– Wobec tego przyprowadzę ze sobą świadka, który słyszał, jak mnie pan uciszył, kiedy próbowałem wspomnieć o niebezpieczeństwie pożaru.

I to był koniec rozmowy na ten temat. Szybko jednak odkryłem, że to jeszcze nie koniec problemów. Nie wiem, co mnie opętało, ale wskutek młodszej lekkomyślności, a raczej głupoty, nabrałem zwyczaju witania się z kolegami w szatni prześmiewczym hitlerowskim salutem. Założywszy głupio, że wszyscy mają już nazistów po dziurki w nosie, pozwoliłem sobie na szczyptę sarkazmu. Okazało się to grubym błędem. Pewnego dnia odwołał mnie na bok Karl Wedemayer, weteran harburskich operatorów, o którym plotkowano, że tylko cudem zaliczył test na aryjskość. „Były na ciebie skargi – oświadczył konfidencjonalnie. – Pewni harburczycy, którzy i tak nie znoszą facetów z Hamburga, czują się urażeni tym twoim *Heil Hitler*. Wiedzą, że nie jesteś szczery i wcale ich to nie bawi.”

Natychmiast zrozumiałem, że przesadziłem, i podziękowałem mu za ostrzeżenie. Od dawna powinienem wiedzieć, że naziści nie mają za grosz poczucia humoru na swój temat i za każdy żart potrafią się odplącić bezwzględną brutalnością. Mimo wszystko miałem nadzieję, że ostrzeżenie nie okaże się spóźnione i moja głupota nie pociągnie za sobą żadnych konsekwencji. Przyrzekłem sobie odtąd trzymać na kłódkę swoją wielką niewyparzoną „japę” i jakimś cudem szczęście mi nadal sprzyjało.

Dwa nieprzewidziane zbiegi okoliczności sprawiły, że moje życie w Harburgu stało się nieco lepsze. Po pierwsze matkę przeniesiono do tutejszej kuchni. Po drugie znalazła w Hamburgu miejsce, gdzie znów mogliśmy mieszkać pod jednym dachem. Była to dawna szkoła podstawowa przy Von-Essen-Strasse, jeden z nielicznych budynków w dzielnicy Eil-

bek, który ocalał podczas bombardowania w lipcu 1943. Utworzono tam teraz schronisko dla takich jak my, bezdomnych ofiar nalotów. Surowa, rzeczowa kierowniczka wciągnęła nas do rejestru i przydzieliła miejsca w klasach przekształconych we wspólne sypialnie, położone na dwóch końcach szkoły. Wyjaśniła, że do godziny dziewiętej wieczorem mężowie i żony (także synowie i matki) mogą się odwiedzać. Chociaż my z matką musieliśmy w tygodniu wstawać o piątej rano i dojeżdżać przez co najmniej godzinę tramwajem do Harburga, a ja zwykle nie wracałem przed siódmą, po raz pierwszy od dłuższego czasu czuliśmy się wprost bezgranicznie szczęśliwi. Liczyło się tylko to, że znowu jesteśmy razem i, chociaż teraz wydaje się to absurdem, wtedy dawało nam to silne poczucie bezpieczeństwa. Nic nie martwiło nas bardziej niż myśl, że jedno z nas mogłoby utknąć podczas nalotu z dala od drugiego.

Nadal żyło nam się ciężko, ale przynajmniej wpadliśmy w jakiś stały rytm normalności. Wstawaliśmy wcześniej i przez dziesięć minut brnęliśmy przez ruiny do tramwaju w Dehnhaid, gdzie spotykaliśmy kolegów z fabryki. Ponieważ praca w kuchni trwała krócej niż w warsztacie, matka wracała do Hamburga wcześniej i zaczynała przygotowywać skromną kolację w suterenie, gdzie korzystała ze wspólnej kuchni.

Skupieni na codziennych sprawach związanych z przetrwaniem wojny, zapomnieliśmy o rasowych problemach. Ale incydent, który wydarzył się w najbardziej niespodziewanym momencie, przywrócił nas do rzeczywistości. Stało się to w tramwaju, w drodze do pracy. Mieliliśmy z matką zwyczaj zajmować miejsce siedzące na zmianę, jeśli w ogóle udało nam się je znaleźć. Tego ranka to ja siedziałem, przysypiając, a matka stała obok, kiedy nagle jakiś obwieszony medalami żołnierz bez nogi, o kulach, szarpnął mnie za kłapy:

– Rusz się, ty *auslandisches Dreckschwein* (cudzoziemska zaszrana świnio), i zrób miejsce niemieckiej kobiecie! – ryknął, wskazując matkę. – Nie po to walczyliśmy na froncie, żeby takie gówno jak ty bawiło się naszym kosztem!

Szlachetny rycerz najwyraźniej źle ocenił sytuację, a zwłaszcza coraz większe obrzydzenie niemieckich robotników do wszystkiego, co było związane z wojną, łącznie z jej bohaterami.

– A może byś się tak zamknął i zaczął pilnować swego nosa? – wtrącił się jeden z moich kolegów, którego znałem tylko przelotnie.

Kiedy zaskoczony żołnierz wezwał go do bójki, robotnik odparł brutalnie, lecz zgodnie z prawdą:

– Ty już nikogo nie pobijesz, kolego. Może jeszcze o tym nie wiesz, ale dni walki masz już za sobą. A teraz zostaw naszego kolegę w spokoju albo wyrzucę cię z tramwaju.

Na widok kilkunastu par wrogich oczu żołnierz zrozumiał swój błąd i mnie puścił. Potężnie upokorzony, przesunął się do wyjścia i na najbliższym przystanku wysiadł chyłkiem z tramwaju. Patrzyłem, jak smętnie opiera się na kulach i daremnie próbuje odzyskać dobrą minę po zasłużonym poniżeniu, które sam na siebie ściągnął.

I matkę, i mnie wzruszył ten pokaz solidarności naszego kolegi. Kiedy później dziękowaliśmy mu za pomoc w potrzebie, kazał mi o tym zapomnieć: „Już najwyższy czas, żeby tak zwani wojenni bohaterowie uświadomili sobie, że dni ich chwały minęły, a utracone kończyny przestały się liczyć”.

Te wypowiedziane publicznie uwagi uświadomiły mi, jak bardzo zmieniła się sytuacja od momentu rozpoczęcia wojny, ale incydent, który wydarzył się kilka dni później, przypominał, że przynajmniej na razie złe moce nazizmu wciąż mają przewagę. Pewnego mroźnego zimowego dnia Erdmann zlecił mi naprawę metalowej ramy okiennej w jednym z budynków. Z pierwszego piętra miałem pełny widok na ulicę łączącą Harburg z Hamburgiem przez most na Łabie. Nagle zauważyłem dziwną procesję kobiet, która w otoczeniu uzbrojonych esesmanów w hełmach posuwała się wolno w moją stronę. Kiedy podeszły bliżej, okazało się, że większość z nich to młodziutkie dziewczęta. Wszystkie, zgodnie z nazistowskim prawem, miały przypięte żółte gwiazdy Dawida z napisem JUDE. Strażnicy nie spuszczały z nich oka, przy okazji bacznie obserwując przechodniów, one zaś sprzątały ulicę za pomocą mioteł i szpadli. Mimo przejmującego mrozu ubrane były tylko w cienkie kurtki, niektóre nie miały ani czapek, ani rękawiczek, w przeciwieństwie do esesmanów w grubej, zimowej odzieży. Chociaż musiały bardzo cierpieć, żadna nie zdradziła się nawet lekkim grymasem, pracowały z kamiennym wyrazem twarzy, jak żywe trupy.

Po paru minutach zniknęły za zakrętem, a ja skupiłem się na swoim zadaniu. Ale przez najbliższych kilka dni prześladowała mnie pamięć o tej milczącej grupie, którą los na krótko postawił na mojej drodze. Zastanawiałem się, jakie to straszne przeżycia zmieniły je w nieme, pozbawione wyrazu upiory, co jeszcze spotka je z rąk oprawców, a także... czy mnie także czeka podobny los?

Mrożąca krew w żyłach wiadomość, która dotarła do mnie kilka dni później, kiedy przypadkiem wpadłem w Hamburgu na dawną sąsiadkę Gerdę Bayer, bynajmniej nie poprawiła mi nastroju. Gerda, dziewczyna w moim wieku, oraz jej rodzice siedzieli z nami w schronie podczas bombardowania. Kiedy wraz z innymi ofiarami bombardowania ewakuowali się z płonącego miasta, Jakob Spederski – wówczas na urlopie z frontu wschodniego – przebrał się w cywilne ubranie i przyłączył do nich. Trafili do małej wioski, gdzie znaleźli dach nad głową, wyżywienie, a później pracę. Jakob wiódł, jak to określiła, błogie życie w jednym z gospodarstw, gdzie zajmował się głównie intensywnym romansowaniem z Ilse Kormann, piękną brunetką i naszą dawną znajomą z sąsiedztwa. Idylla jednak nie trwała długo. Może wskutek czyjegoś donosu umundurowany nazista z wioski zaczął wypytywać ludzi o Jakoba, a wtedy ten czym prędzej uciekł, nie pozostawiając adresu. Niedługo potem pojawił się oddział Panzer Division Grossdeutschland z psami i zaczął przeczesywać pobliskie lasy. Po paru godzinach znaleźli Jakoba i wywlekli go w kajdankach. Ponieważ wymienił jako swoich krewnych rodzinę Gerdy, Bayerowie wkrótce dostali wiadomość, że Jakob Spederski został



rozstrzelany za dezercję. Chociaż nie przyjaźniłem się z nim blisko, odczułem to jako wielki cios.

## Wojna totalna

Na umeblowanie mojej sypialni w szkole przy Von-Essen-Strasse składało się kilkanaście metalowych prycz i tyle samo szafek. Przy stole pośrodku sali siedziało pięciu mężczyzn – typowych hamburskich robotników – i pilnie słuchało radia. Zaawansowany wiek stawiał ich poza zasięgiem poboru, ale i tak wykonywali pracę na rzecz wojska.

Z początku przyglądali mi się podejrzliwie, ale szybko uznali za swojaka. Ku memu nieustannemu rozbawieniu, stanowili chyba najbardziej swarliwą grupę, z jaką zdarzyło mi się zetknąć. Od wczesnych godzin rannych aż do dziesiątej wieczorem, kiedy gaszono światło, nie przestawali się kłócić. Mimo to łączyła ich solidarna pogarda dla Hitlera i jego reżimu, z czym bynajmniej się nie kryli, nie bacząc na bezpieczeństwo. Najbardziej sarkastyczne uwagi rezerwowali dla codziennych radiowych meldunków z Oberkommando der Wehrmacht, informujących naród o postępach wojny. Przecząc generalnie wszystkiemu, co mówił spiker, rozkoszowali się przewidywaniem, że ten *Schweinehund* [skurczybyk] Hitler i jego banda doczekają się wkrótce nagrody od plutonu egzekucyjnego aliantów.

Słowa te były muzyką dla moich uszu, ale mając na względzie sprawę z Reingruberelem, zdradzieckim czeladnikiem z moich uczniowskich czasów, uznałem, że nie będę uczestniczył w tych pasjonujących dyskusjach. Postanowiłem też nigdy nie zajmować stanowiska w ich sporach.

20 lipca 1944 radio w naszym dormitorium podało najbardziej sensacyjną wiadomość od czasu wybuchu wojny – grupa niemieckich oficerów zorganizowała zamach bombowy na życie Hitlera w jego kwaterze w Kętrzynie. Führer cudem wyszedł z tego tylko z drobnymi obrażeniami. Moi współlokatorzy nie kryli zawodu. Klęli w żywy kamień, niektórzy rzucali się na pryczę w udawanej rozpacz nad faktem, że „*Schweinehund* uciekł”. W miarę jak podawano dalsze szczegóły nieudanego spisku oraz nazwisko głównego konspiratora – pułkownika Clausa von Stauffenberga, te same nastroje, choć wyrażane bardziej powściągliwie, dawało się odczuć wśród wielu robotników na terenie Hamburga. Moi towarzysze z sypialni pocieszali się nadzieją, że tylko patrzeć następnego zamachu i tym razem spiskowcy nie zawiodą. Nie miałem takiej pewności. Błyskawiczny i wyjątkowo brutalny odwet na spiskowcach i ich rodzinach wydał mi się aż nazbyt mocnym środkiem odstraszającym.

Natychmiast po zamachu wprowadzono rozkaz, pochodzący z kwatery głównej Führera, aby wszyscy żołnierze Wehrmachtu zaczęli oddawać salut *Heil Hitler*, który dotychczas obowiązywał tylko oddziały Waffen-SS. Niewątpliwie chciano w ten sposób przypomnieć wspierającemu spiskowców wojsku, kto tu jest szefem.

W walce o podtrzymanie coraz bardziej upadającego morale zarówno na froncie, jak w kraju, Hitler nadal chował w rękawie asa w postaci drobnego człowieczka ze zniekształconą stopą, o rzadziejących ciemnych włosach i przenikliwych ciemnych oczach w za dużej głowie. Joseph Goebbels, *Reichsminister für Volksaufklärung und Propaganda*, zyskał sobie sławę największego spin doktora wszech czasów. W kilka tygodni po zamachu obciążono go odpowiedzialnością za mobilizację kraju do *Totalen Krieg* (wojny totalnej), którą ogłosił już rok wcześniej. Moi współspacze i ja słuchaliśmy z niedowierzaniem jego radiowego apelu o poświęcenie resztek energii potrzebnej do „niechybnego” *Endsieg* (ostatecznego zwycięstwa).

Teraz wspominał o tajnej *Wunderwaffe*, która miała przechylić szalę zwycięstw na korzyść Niemiec. W związku z jego skłonnością do przesady, wypaczania faktów i łamania obietnic, że zwycięstwo jest „tuż za rogiem”, nazwisko Goebbelsa stało się synonimem kłamcy. Nie umknęło uwagi mas, że jak na ironię był on wielbicielem największego łgarza w literaturze, legendarnego barona Münchhausena, i to do tego stopnia, że kazał nakręcić o nim film, który nadal uchodzi za wybitne dzieło sztuki filmowej. Wielu ludzi słusznie uważało kampanię na rzecz wojny totalnej za przestępczy sposób przedłużenia życia nazistowskich elit kosztem narodu o kolejnych kilka miesięcy. Ale ci, którzy zbyt szybko zlekceważyli wojnę totalną, uznając ją za pusty propagandowy slogan, mieli tego gorzko pożałować.

W ślad za nominacją Goebbelsa [na pełnomocnika Rzeszy do spraw totalnej mobilizacji] ukazało się zarządzenie o sześćdziesięciogodzinnym tygodniu pracy, zawieszeniu wszystkich urlopów i zamknięciu wszystkich szkół. W dodatku tak zwane *Etappenschweine* i *Drückeberger* (świnie z tylnych eszelonów i dekownicy), którym udało się uniknąć służby na pierwszej linii frontu i załatwić pracę w jednostkach pomocniczych, mieli zostać ponownie wcieleni do oddziałów bojowych, bez względu na ich sprawność fizyczną.

Wysokie dowództwo wojskowe ogłosiło ponadto utworzenie Volkssturmu – przymusowej formacji złożonej z mężczyzn, którzy poprzednio zostali uznani za zbyt młodych lub starych, niedołączonych czy, jak ja, z innego powodu niezdatnych do służby wojskowej. Wszyscy oni – od szesnastego do sześćdziesiątego piątego roku życia – mieli zameldować się w Volkssturmie, bez względu na poprzedni status.

Zgodnie z tym rozkazem w pewien jesienny niedzielny poranek powędrowałem do pobliskich koszar, które wyznaczono jako punkt rekrutacyjny. Dawno porzuciwszy wszelkie ambicje wojskowe, spodziewałem się, że gdy tylko werbunkowy rzuci na mnie okiem, zostaną odesłany do domu. Ale tym razem nie miałem takiego szczęścia. Zamiast dowiedzieć się, że mam spadać, bo jako nie-Aryjczyk nie jestem godzien umierać za Niemcy, kapral wręczył mi stary, poobijany karabin i kazał dołączyć do grupy obszarpanych starców w cywilnych ubraniach dzierżących broń podobnego typu.

Wszyscy oficerowie i podoficerowie dyżurni bez wyjątku byli zasłużonymi, obwieszonymi medalami weteranami. Kilku nosiło czarne przepaski na oku, inni mieli ręce na temblaku. Najstarszy rangą młody major odznaczony Krzyżem Rycerskim zasalutował nam lewą ręką, z braku prawej. Powitawszy nas w Volkssturmie, zapowiedział, że w celu doprowadzenia do *Endsiegu* mamy zarówno obowiązek, jak honor bronić, w razie potrzeby z narażeniem życia, naszej ojczyzny, która wskutek zdrady na własnym terenie i za granicą znalazła się w największej potrzebie. Następnie wyjaśnił, że to jest tylko spotkanie organizacyjne, a formalnie zaprzysiężeni zostaniemy w najbliższą niedzielę.

Ku memu wielkiemu rozczarowaniu żaden z oficerów nie zwrócił najmniejszej uwagi na mój egzotyczny wygląd. Musiałem przemaszerować, jak wszyscy inni, dookoła koszar i wysłuchać spóźnionej instrukcji na temat obrony *Vaterlandu* przed najeźdźcami, którzy coraz mocniej zaciskają pierścień wokół Niemiec. Kiedy przyjrzałem się moim obszarpanym towarzyszom broni, z których większość kłęła pod nosem albo drwiła z prób utworzenia z nich oddziału bojowego, uderzyła mnie ironiczna prawda, że bez względu na moją permanentną „opaleniznę” jestem z całej grupy z pewnością najbardziej sprawny fizycznie.

Po mniej więcej godzinie powierzchniowej, niezdarnej musztry podzielono nas na małe grupki i przydzielono do instruktorów, którzy zademonstrowali nam działanie panzerfausta, ręcznego granatnika, podobno zdolnego rozwalić czołg – amerykańskiego shermana albo sowieckiego stalina. Trzeba tylko – jak tłumaczył instruktor – poczekać w zasadzce aż nadjedzie, raz nacisnąć spust i fiuuu! – pojazd wraz z załogą przechodzi do historii.

Przypomniałem sobie uwagę oficera, który dwa lata wcześniej mnie wyśmiał, kiedy chciałem zaciągnąć się do wojska. Kipiąc rasową arogancją, powiedział: „Niemcy nie są i nigdy nie będą w tak wielkiej potrzebie, żeby musiały wygrywać wojnę przy pomocy takich jak wy”. Gdybym teraz miał znaleźć jakiś namacalny dowód, że Niemcy dostają w dupę i zaraz przegrają wojnę, wystarczyłoby mi spojrzeć w lustro. Nazistowskie Niemcy wyraźnie i nieodwołalnie osiągnęły punkt, w którym desperacko zależy im na „takich jak ja”. I nie po to, żeby wygrać wojnę, ale chociaż zyskać kilka marnych dni, zanim rozniesie je miazdząca przewaga aliantów. Karta zdecydowanie się odwróciła.

Po kolejnej propagandowej przemowie major pozwolił nam się rozejść i wrócić w niedzielę na dodatkowe szkolenie. Ponieważ o panzerfauscie wiedziałem już wszystko, uznałem to za stratę cennego czasu. Nikt nie zapisał mojego nazwiska ani nie udokumentował w jakikolwiek inny sposób mojej obecności, więc doszedłem do wniosku, że nic się nie stanie, jeśli się tam nie pokażę. Wprawdzie przeszło mi przez myśl, że mógłbym zostać postawiony przed sądem wojskowym za dezercję, ale młodzieńcza brawura szybko zepchnęła tę obawę na dalszy plan. „Przeprowadzę się przez ten most, kiedy do niego dotrę” – powiedziałem sobie. Widocznie jednak szczęście znowu mi dopisało, bo most pozostał nieprzekroczony.

## Niebezpieczna pomyłka

Jesienią 1944 coraz więcej harburczyków ogarniał lęk. Wprawdzie dotąd udało się im uniknąć losu mieszkańców Hamburga, ale czas uciekał i ludzie szykowali się na najgorsze. Większość niemieckich miast przemysłowych leżała już w gruzach, więc z każdym dniem trudniej było mi uwierzyć, że Harburg pozostanie nietknięty.

Pewnego słonecznego popołudnia wymieniałem właśnie przeciekającą rurę, kiedy pracę przerwało mi wycie syren przeciwlotniczych. Zgodnie z przepisami zszedłem razem ze wszystkimi do schronu. Zadowoleni z niespodziewanej przerwy w dziesięciogodzinnej harówce robotnicy gawędzili w najlepsze, dopóki głos z interkomu nie obwieścił, że duża eskadra amerykańskich bombowców leci prosto na Harburg-Wilhelmsburg. Wkrótce rozmowy ustały i w bunkrze zapanowała pełna napięcia cisza. Pomyślałem, że matka powinna być już w Hamburgu, bo personel kuchenny kończył pracę zaraz po wydaniu obiadu i sprzątnięciu kafeterii.

Nagle wśród huku setek samolotów rozległ się świst pierwszych bomb, po czym nastąpiła seria ogłuszających eksplozji, od których trzęsła się ziemia. Wszystko to znałem aż nazbyt dobrze: owo dziwne uczucie oderwania od rzeczywistości, ten spokój, połączony z przekonaniem, że nic złego mnie nie spotka... Tymczasem moi koledzy przeżywali właśnie swój chrzest bojowy.

Z pogardą przyglądałem się dyrekcji, która daremnie próbowała ukryć śmiertelne przerażenie. Co się stało, myślałem, z tą arogancką rasą panów sprzed kilku zaledwie lat, a zwłaszcza z jej przywódcami? Majster Erdmann, to wcielenie bezwzględności i sarkazmu, kulił się żałośnie w kącie, z trudem opanowując dygot. Tak samo dyrektor naczelny – wyniosły siwołosy arcynazista, który jeszcze niedawno groził mi Gestapo, był teraz kupką nieszczęścia, wydającą głośne jęki po każdym uderzeniu bomby.

W grupce fabrycznych dygnitarzy znajdował się też portier nazwiskiem Zervat czy jakoś podobnie, którego za plecami wszyscy nazywali Cerberem od mitycznego trójgłowego psa strzegącego bram Hadesu. Człowieka tego zgodnie nie cierpieli wszyscy szeregowi pracownicy. Fanatyczny nazista, zawsze ze znacznikiem partii w klapie czarnego garnituru, nigdy się nie uśmiechał ani z nikim nie bratał, za to z wyraźną satysfakcją opuszczał szlaban przed każdym, kto spóźnił się chociaż o sekundę. Kiedy raz mi się to przytrafiło, kazał mi wejść do swojej kanciapy, gdzie objechał mnie z góry na dół za zaniedbywanie obowiązku wojennego i zagroził, że jeśli jeszcze raz się spóźnię, złożę na mnie raport w wydziale personalnym.

Widok moich prześladowców trzęsących się ze strachu miał dziwny wpływ na moje własne lęki. Przez chwilę czułem nawet perwersyjne pragnienie, by bomba trafiła w naszą fabrykę i uniemożliwiła dalszą produkcję, przyspieszając koniec wojny.

Tym razem się nie zawiodłem. Kiedy zaledwie kilka minut później schronem wstrząsnęła ogłuszająca eksplozja, jednych zrzucając z siedzisk, innych zwalając z nóg, nie miałem wąt-

pliwości, że moje życzenie się spełniło. Zgasło światło i bunkier pogrzył się w ciemnościach. Gdy tylko wstrząsy ustały, komuś udało się odblokować wyjście i wszyscy na miękkich nogach, ale cali i zdrowi, zaczęli wdrapywać się po schodach na górę. Już na dziedzińcu z trudem ukryłem uśmiezek satysfakcji. Budynek, w którym znajdował się mój znienawidzony warsztat, zmienił się w stertę osmalonego gruzu. Przypomniałem sobie, że gdzieś pod tymi ceglami leży to, co zostało z mojej szafki i rzeczy osobistych: butów, koszuli, spodni i marynarki, ale nawet ta strata nie zmąciła radości z dzieła zniszczenia amerykańskich lotników.

Wobec wyłączenia z użytku ważnego warsztatu mechanicznego i faktu, że większość robotników nie otrząsnęła się jeszcze z szoku, dyrekcja pozwoliła wszystkim iść do domu i zgłosić się do pracy następnego dnia rano. W moim przypadku – łatwiej powiedzieć, niż wykonać. Zniszczenie warsztatu razem z pobliskimi torami tramwajowymi oznaczało dla mnie wielki problem: jak się dostać do Hamburga? Pozostawało tylko jedno wyjście. Zdecydowałem się zaryzykować i dotrzeć do dworca kolejowego w nadziei, że uda mi się złapać jakiś pociąg.

Po ataku powietrznym nad gruzami Harburga zawisła upiorna cisza. Brnąłem wśród osmalonych ruin, wciąż ogłuszony, krztusząc się gęstym dymem. Mijałem spalone budynki, wyrwane z korzeniami drzewa, poskręcane szyny tramwajowe. Z największą ostrożnością obchodziłem odsłonięte zwoje kabli, podobne do rozwścieczonych węży, gotowych przy najbliższym dotknięciu śmiertelnie razić prądem. Starłem się nie patrzeć z bliska na zwęglone zwłoki w groteskowych pozach. Przecież zaledwie kilka godzin wcześniej byli to żywi, oddychający ludzie, tacy jak ja. Nagle moją zadumę przerwał dziki wrzask: „To jeden z nich! – krzyczała co sił w płucach kobieta o posturze walkirii, celując we mnie palcem. – Jeden z tych morderców! Zabijcie tę amerykańską świnię! Niech poczuje, jak to jest palić się żywcem!”.

Ze wszystkich stron zaczęli zbiegać się ludzie. W ciągu paru minut otoczył mnie gniewny, wrogi motłoch. Z początku kompletnie się zagubiłem, nie rozumiejąc, o co im chodzi. Nagle mój wzrok padł na gogle spawalnicze, które wciąż miałem zawieszane na szyi, na zatłuszczony niebieski kombinezon, wreszcie na moje własne brązowe dłonie i dotarła do mnie absurdalna prawda: brali mnie za czarnego amerykańskiego pilota, który wyskoczył z zestrzelonego samolotu! Zachciało mi się śmiać. Zaraz powiem im wszystkim, jaka z nich banda głupków... Ale szybko zrozumiałem, że moja sytuacja nie ma nic wspólnego z komizmem, a jeśli nawet miał to być żart, to ja jestem jego obiektem. Ludzie, rozjuszeni zagładą miasta i liczbą ofiar, nie zechcą słuchać żadnych argumentów, zwłaszcza że wnioski nasuwają się same.

Nastroje w tłumie, zagrzewanym wrzaskami walkirii, by ze mną skończyć, a najlepiej wrzucić do jednego z płonących budynków, coraz bardziej mi się nie podobały. Czułem, że zbliżają się do punktu krytycznego; przy najmniejszej prowokacji z mojej strony ludziom puszcza nerwy i dojdzie do linczu. Wystarczyło spojrzeć na te wykrzywione nienawiścią

twarze. Byłem typowym kozłem ofiarnym, na którym miał się skrupić cały ich bezsilny gniew na powietrznych napastników. Ale od straszliwej śmierci z rąk własnych rodaków dzieliło mnie jeszcze ich wrodzone posłuszeństwo. Przynajmniej na razie nikomu się nie spieszyło do jakiejś akcji bez wyraźnego rozkazu przedstawiciela władzy. Jak długo utrzyma się ten stan, nie śmiałem zgadywać.

W szczytowym punkcie mojego niepokoju nadeszło wsparcie z dość nieoczekiwanego źródła. Akurat kiedy ludzki pierścień wokół mnie jeszcze bardziej zgęstniał i sytuacja zrobiła się naprawdę groźna, na scenie pojawił się porucznik policji. Natychmiast przepuszczono go do środka. „Spokój! – ryknął, kładąc sugestywnie dłoń na kaburze wielkiego służbowego pistoletu. – Wycofać się na drugą stronę ulicy!”

Naród, przyzwyczajony do posłuchu, bezzwłocznie spełnił rozkaz. Chwilowo odetchnąłem z ulgą, ale wciąż nie miałem pewności, po czyjej stronie stanie oficer. Ten, po uważnym zbadaniu mojej niebieskiej *Kennkarte*, dowodu tożsamości, który każdy Niemiec powinien zawsze nosić przy sobie, uznał, że jest w porządku, i od razu złagodniał. Przyglądał mi się teraz z nieskrywaną, niemal ojcowską dobrocią.

„No więc o co tu chodzi?” – zapytał. Kiedy mu opowiedziałem, co się stało w fabryce, natychmiast zorientował się po typowym hamburskim akcencie, że niezależnie od koloru skóry, ma do czynienia z autentycznym rodakiem. „Co za banda rozhisteryzowanych idiotów!” – rzucił pod adresem tłumu po drugiej stronie ulicy. Nie zaprzeczyłem. „Zobaczymy, czy się nam uda wyprawić cię do domu. – Zatrzymał ruchem ręki przeładowany autobus do Hamburga. – Masz pieniądze na bilet?” Wyjaśniłem, że drobna suma, jaką zabrałem z domu, została w szafce pod gruzami fabryki. Oficer sięgnął do kieszeni i dał mi drobne na bilet. Następnie zwrócił się do kierowcy:

– Proszę dopilnować, żeby ten młody człowiek dojechał bezpiecznie do Hamburga. Czynię pana osobiście za to odpowiedzialnym.

– *Jawohl, Herr Leutnant!* Wsiadaj, chłopie.

Zanim go usłuchałem, podziękowałem serdecznie mojemu dobremu Samarytaninowi, ten zaś odwzajemnił mi się życzeniem „*Hals- und Beinbruch*”, niemieckim odpowiednikiem „złamania karku”, czyli „powodzenia”. Kiedy autobus ruszył, wydałem głośne westchnienie ulgi, świadom jednak wlepionych we mnie wrogich oczu tłumu.

Dopiero jakiś czas po wojnie dotarła do mnie w pełni groza śmiertelnego niebezpieczeństwa, w jakim się wówczas znalazłem. Chociaż podczas procesów o zbrodnie wojenne, wytoczonych Niemcom przez aliantów, nigdy nie wspomniano o takich wypadkach, istnieją setki wiarygodnych raportów na temat przestępstw popełnionych przez niemieckich cywilów i wojskowych, zwłaszcza *Waffen-SS*, przeciwko czarnym żołnierzom amerykańskim, w tym lotnikom, którzy wyskoczyli ze spadochronami nad Niemcami czy okupowanymi przez nich terytoriami. Starania naocznych świadków o postawienie sprawców przed sądem kończyły

się przeważnie niczym, z powodu trudności z ich identyfikacją, lokalizacją oraz przez urzędniczą obojętność.

## Rodzina Giordano

Na początku stycznia 1945, wracając z kina w centrum miasta, wysiadłem z pociągu na stacji Friedrichsberg i pomaszerowałem do szkoły, w której od ponad roku mieszkaliśmy z matką. Dziarskim krokiem podążałem ścieżką wijącą się łagodnie przez Eilbektal, ciemny i wyludniony park. Nagle z tyłu dobiegł mnie odgłos kroków. Chociaż nie miałem powodu do obaw, mentalnie przygotowałem się na atak. Nawet ucieszyła mnie możliwość zweryfikowania moich zdolności bokserskich w obronie własnej. Kiedy obejrzałem się przez ramię i wytężyłem wzrok w słabym świetle księżyca, dostrzegłem zarys męskiej sylwetki.

Zwolniłem kroku, żeby mógł się ze mną zrównać. Zobaczyłem faceta w moim wieku, krępej budowy, w grubych rogowych okularach. Natychmiast uświadomiłem sobie, że nieraz widywałem go w swingerskim świątku Café König. Okazało się, że i on mnie rozpoznał.

- Znam cię – odezwał się. – Swego czasu bywałeś w Café König. Jestem Egon Giordano.
- Też cię tam widywałem. – Przedstawiłem się i uścisnęliśmy sobie dłonie.
- Papierosa?
- Dziękuję, nie palę.

Egon zapalił i ruszyliśmy dalej, snując nostalgiczne wspomnienia dobrych czasów w naszej ulubionej melinie, zanim w 1943 roku zburzyła ją bomba. W nieunikniony sposób nasza rozmowa zwekslowała na temat wojny.

- Tylko patrzeć, jak te nazistowskie świny będą skończone – rzucił smętnie Egon.

Uderzyła mnie nienawiść w jego głosie, ale nie odpowiedziałem. Chociaż czułem podobnie, doświadczenie nauczyło mnie trzymać język za zębami, kiedy komuś nie do końca ufam. Egon zauważył moją powściągliwość i roześmiał się.

- Nie musisz się mnie obawiać. Jestem Żydem, myślałem, że o tym wiesz.

Na dźwięk słowa „Żyd” drgnąłem nerwowo. Mimo całego współczucia dla tej nacji, wiedziałem, że w moim niepewnym położeniu, spotykając się z Żydem w podejrzanych okolicznościach, sam się proszę o dziurę w głowie.

- Nie, nie miałem o tym pojęcia – odparłem w końcu. – Dlaczego myślałeś, że wiem?
- Bo chyba wszyscy w Café König wiedzieli.
- To czemu nie nosisz gwiazdy?
- No bo... właściwie jestem tylko pół-Żydem. Tacy nie muszą nosić gwiazdy Dawida.

Moja matka ma pochodzenie żydowskie, a ojciec jest Włochem urodzonym w Niemczech.

Nawet pół-Żyd to za dużo, bym się czuł bezpiecznie. A jeśli wpadniemy na patrol Gestapo? Nigdy nie uwierzą, że nasze spotkanie to czysty przypadek. Już widziałem te na-

## główki: ŻYD I MURZYN POWIESZENI ZA SPISKOWANIE W PARKU PODCZAS ZACIEMNIENIA.

Wyraźnie nieświadomy mojego dyskomfortu, Egon kontynuował spokojnie:

– Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, ale wiem z pewnego źródła, że my wszyscy, nie-Aryjczycy, z tobą włącznie, jesteśmy w poważnym niebezpieczeństwie. Po prostu chcą nas wykończyć. Naziści od pewnego czasu wiedzą, że gra jest skończona, *kaputt*. Ale są zdecydowani pociągnąć za sobą do grobu tyłu z nas, ilu potrafią dostać w swoje łapy.

Opowiedział mi także, że wszędzie tam, gdzie wojsko niemieckie nadal sprawuje władzę, specjalne komanda Gestapo wychodzą ze skóry, by wyłapać wszystkich nie-Aryjczyków, którym udało się uniknąć aresztowania. Rodzice i dwaj bracia Egona na razie się przyczaili, ale są gotowi na pierwszy sygnał zejść pod ziemię i pozostać w kryjówce aż do nadejścia aliantów.

– Jeśli chcesz, możesz się do nas przyłączyć – zaproponował. – Mamy zaufanych niemieckich przyjaciół, którzy nas ukryją i zaopatrzą w żywność, póki ta heca się nie skończy. Tylko nie bądź naiwny i nie myśl, że nic ci się nie stanie, bo Gestapo się tobą nie interesuje. Pomyśl! Czemu naziści mieliby pozwolić takim jak my cieszyć się życiem, skoro lada chwila większość z nich trafi do pudła albo na stryczek?

Przyznam, że mnie zamurowało. To brzmiało całkiem sensownie. Obracałem się dotąd w całkowicie aryjskim środowisku, co uspiło moją czujność i wzbudziło fałszywe poczucie bezpieczeństwa. Egon uświadomił mi, że płyniemy na tej samej łódce, która w każdej chwili może zatonać.

Pomimo świadomości nadciągającego zagrożenia ogarnęła mnie radość bliska euforii. Odkąd pamiętam, zawsze musiałem samotnie stawiać czoła nazistom. Poza matką nie miałem prawdziwego sojusznika. Nikomu nie mogłem zwierzyć się ze skrywanych obaw przed życiem w kraju, który wziął sobie za cel zniszczenie mnie i takich jak ja. Teraz po raz pierwszy spotkałem prawdziwego brata, kogoś, kto z doświadczenia wiedział, jak to jest być uważanym za podczłowieka i wroga przez najwyższe władze w państwie. Kogoś zagrożonego zagładą tak samo jak ja. Nagle poczułem silną braterską więź z Egonem, chociaż jeszcze kilka minut wcześniej był mi zupełnie obcy.

Dotarłszy do końca parku, wkroczyliśmy na rozległy teren masowych zniszczeń – rzędy wypalonych kamienic, których puste zręby odcinały się upiorną czernią na tle nieba. Brnęliśmy między górami gruzu środkiem ulicy, którą poza chodnikami skrupulatnie uprzątnięto ze szczątków. Kiedy doszliśmy do szkoły, jedynej ocalałej budowli na przestrzeni kilometrów, chciałem się pożegnać, ale Egon miał inne plany. „Chodź ze mną, musisz poznać moją rodzinę – prosił. – Mieszkamy w piwnicy, którą sami wyremontowaliśmy, niedaleko stąd. Zobaczysz, jak się ucieszą z twojej wizyty.” Nie potrafiłem mu odmówić, jakoś nie znalazłem właściwych słów, więc chociaż rozum podpowiadał inaczej, zgodziłem się pójść.



Po dziesięciu minutach marszu przez zgłiszcza minęliśmy stację kolejową Barmbek, po czym skręciliśmy w wąską ścieżkę, po której dało się iść tylko pojedynczo. Egon zatrzymał się przed ruiną nieróżniącą się na oko od innych. Przez chwilę staliśmy cicho, nasłuchując, czy nikt nas nie śledzi, a następnie mój towarzysz zapukał w szybę w umówiony sposób. Ktoś wewnątrz powoli odsunął koc i po paru sekundach ukazał się zarys twarzy. Natychmiast otworzyły się drzwi obok szyby i Egon wprowadził mnie do zupełnie ciemnego, cuchnącego wilgocią pomieszczenia, które wydało mi się pełne ludzi, choć nie mogłem nikogo odróżnić. Kiedy zamknięto za nami drzwi, trzasnęła zapalka i ktoś zapalił lampę naftową. W jej nikłym świetle zobaczyłem wreszcie kilku mężczyzn i kobietę.

„To jest Mickey – przedstawił mnie Egon ksywką, którą posługiwałem się za czasów Swingjugend. – Na pewno często widywaliście go w Barmbeku.” Potem wskazał przystojnego pana w średnim wieku o wijących się szpakowatych włosach i wymizerowaną kobietę o dużych podkrążonych oczach: „A to moi rodzice, Alfons i Lilly Giordano, pianista i akordeonista oraz nauczycielka gry na fortepianie”.

Dwaj młodzieńcy w wieku siedemnastu i dwudziestu dwóch lat, Rocco i Ralph, okazali się jego braćmi. Ralph, w którym także rozpoznałem stałego bywalca Café König, powiedział, że pierwszy raz widział mnie jeszcze w dzieciństwie, kiedy nasze ulice były „w stanie wojny”. Zapamiętał, że w pewnym momencie stanęliśmy twarzą w twarz, ale z jakiegoś niejasnego powodu rozeszliśmy się bez bójk.

Zaraz po tej prezentacji wszyscy dosłownie się na mnie rzucili, ściskając mnie jak dawno niewidzianego brata. Najwyraźniej od dawna nikt ich nie odwiedzał. Trzęśli się nade mną i obsypywali komplementami, aż się zaczerwieniłem. Bez skrępowania podziwiali moje włosy, zęby, karnację, wszyscy też zgodnie orzekli, że Afrykanie to prawdziwa superrasa. Następnie przyszła kolej na pytania: jak ci *Nazischweine* mnie traktują, jakie mam plany na przetrwanie (jeśli w ogóle mam jakieś), jak sobie radzi moja matka, co myślę o przebiegu wojny. W tym momencie zaprosili mnie do małego pomieszczenia na tyłach, gdzie mogliśmy posłuchać najnowszych wiadomości. Od razu zrozumiałem, o co im chodzi, kiedy Ralph narzucił sobie na głowę gruby koc i zaczął majstrować przy gałkach małego odbiornika. Po paru sekundach świstów i trzasków usłyszałem znajomy głos spikera niemieckojęzycznej stacji BBC. Ralph zaprosił mnie pod koc i z nieskrywaną radością dowiedzieliśmy się, że Sowieci uwolnili prawie dwa tysiące więźniów nazistowskiego obozu w Auschwitz. Kilka sowieckich oddziałów, zdaniem spikera, zbliża się już do Berlina. Po audycji przekazaliśmy z Ralphem dobre wieści pozostałym, co przyjęli z mieszanymi uczuciami.

Im bliżej końca, teoretyzował Herr Giordano, tym większe niebezpieczeństwo grozi nam ze strony nazistów i tym bardziej niepewna staje się nasza sytuacja. Wyjaśnił, że ich rodzina do minimum ogranicza kontakty ze światem zewnętrznym, żeby nie zwracać na siebie niepotrzebnej uwagi. „Lepiej także zejść do podziemia, póki nie jest za późno” – namawiał mnie,

dodając, że oni wszyscy z radością przyjmą mnie do siebie razem z matką. Podziękowałem i obiecałem, że przemyślę sprawę.

Kiedy w końcu uznałem, że najwyższy czas wracać do domu i trochę się przespać, cała rodzina zaczęła mnie prosić, abym pozostał z nimi w kontakcie i jak najprędzej wrócił. Po wylewnych pożegnaniach, równie serdecznych jak powitanie, ruszyłem do domu przez opustoszałe morze ruin, z natłokiem myśli w głowie i w takich emocjach, że dopiero pod szkołą wróciłem do rzeczywistości.

## **Nie było miejsca w gospodzie**

Ponieważ po bombardowaniu znaczna część fabryki uległa zniszczeniu, zakład zamknięto, a mnie polecono zgłosić się do Arbeitsamtu po natychmiastowy przydział kolejnej posady o wysokim priorytecie. Matka, jako nie tak istotna pracownica, mogła pozostać w domu, dopóki nie znajdzie się dla niej coś odpowiedniego. Zgodnie z obowiązującymi przepisami, nikomu nie było wolno zrezygnować z pracy ani jej zmienić bez stosownego pozwolenia z góry.

W Arbeitsamcie kazano mi się zgłosić do małego warsztatu samochodowego w centrum Harburga, gdzie z powodu coraz większych braków benzyny przerabiano rządowe ciężarówki i inne samochody na zasilanie gazem drzewnym, tak zwanym holzgasem. W tym celu należało wymontować karburator i z tyłu pojazdu zainstalować wielkie palenisko na drewno o wyglądzie dwumetrowego kotła, w którym powstawał gaz. Następnie trzeba było przyspawać rurociąg doprowadzający go do silnika.

Warsztatem kierował pomarszczony mały człowieczek, przesiadujący zwykle w swojej ciasnej kanciapie. Załoga składała się z ośmiu jeńców wojennych, głównie Włochów, i dwóch niemieckich uczniów, jakimś cudem niewcielonych do Wehrmachtu. Włosi, którzy wyczuwali nieuchronną bliskość końca wojny, wypełniali warsztat dźwiękami *O sole mio* i wszystkich popularnych arii operowych od Verdiego do Pucciniego, uważając przy tym, żeby przypadkiem się nie przepracować. Między synami słonecznej Italii a mną błyskawicznie nawiązała się nić porozumienia. Jeden z nich, przystojny Sycylijczyk o lśniących czarnych włosach i karnacji nawet o ton ciemniejszej od mojej, na polecenie szefa zapoznał mnie z robotą.

Nino nie tylko pokazał mi co i jak, ale jeszcze przed fajrantem zdążył wzbogacić mój i tak okazały słownik rosyjskich, polskich i francuskich brzydkich wyrazów o sporą liczbę włoskich. Same zadania, jeśli nie przysparzały szczególnych problemów, podobały mi się znacznie bardziej niż te w dawnym zakładzie. W dodatku panowała tu miła atmosfera, przyjemnie kontrastująca z ciągłymi napaściami majstra Erdmanna.

Na drugi dzień usłyszeliśmy huk wysoko lecącego samolotu. Wyczuleni na wszelki ruch w powietrzu, podnieśliśmy głowy, ale nie zobaczyliśmy bombowca, tylko coś w rodzaju chmury konfetti. Po chwili okazało się, że są to tysiące ulotek, które leniwie szybowały ku

ziemi. Najwyraźniej nieprzyjacielski samolot wtargnął w przestrzeń powietrzną nad Harburgiem na takiej wysokości, że nie włączył się alarm. Było powszechnie wiadomo, że za czytanie i rozpowszechnianie przez cywilów ulotek propagandowych wroga grozi kara śmierci. Ale pewna liczba Włochów oraz ja sam odruchowo podnieśliśmy kilka, które sfrunęły na naszą ulicę. Zadrutowano je po obu stronach drobnymi literkami. Na pierwszy rzut oka udało mi się odcyfrować tylko wytłuszczony nagłówek: DER KRIEG IST VERLOREN (Wojna jest przegrana).

Nie mogłem się doczekać chwili, kiedy przeczytam resztę dobrych nowin. Niestety ledwie zdążyłem wetknąć ulotkę do kieszeni, zaskoczył mnie tubalny męski głos, który z daleka ostrzegał nas, by ich nie tykać. Obróciwszy się na pięcie, zobaczyłem dziko gestykulującego Amtswaltera w brunatnym mundurze. Biegł prosto w naszą stronę. Nagle zaczęła do mnie docierać cała powaga mojego postępków. Wiedziałem, że jeśli nazista złapie mnie z ulotką, znajdę się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Co za straszna głupota z mojej strony, żeby dawać mu do ręki stryczek, na którym zaraz mnie powiesi! Że też ja zawsze muszę w coś takiego wdepnąć! Ale za późno na żale i samooskarżenia. Musiałem działać szybko, aby nie stać się martwym mięsem. Wpadłem do warsztatu i popędziłem do toalety. Nie czytając ulotki, podarłem ją na strzępki i spuściłem z wodą. Dopiero gdy ostatni kawałek zniknął w muszli, usłyszałem gniewny głos nazisty. Krzyczał na naszego szefa, że widział, jak co najmniej dwóch jego makaroniarzy podnosiło ulotki i upierał się przy rewizji.

Korzystając z zamieszania, wymknąłem się z toalety i wmieszałem w tłum. Na rozkaz nazisty ustawiliśmy się w szereg i jeden po drugim opróżnialiśmy kieszenie. Strasznie się bałem, że Nino nie zdążył pozbyć się swojej ulotki. Kiedy nazista kazał mu pokazać zawartość kieszeni, Włoch grał na zwłokę:

– *Ich nix verstehen* (nie rozumiem) – odparł, kalecząc niemiecki. Była to standardowa odpowiedź jeńca, który nie zamierza współpracować.

– Już ja cię zmuszę do *verstehen*! – wrzasnął nazista. Ale Nino dalej udawał głupka, wyprowadzając tamtego z równowagi.

W tym miejscu wtrącił się nasz szef, tłumacząc Włochowi, że odmowa spełnienia rozkazu może mieć bardzo poważne konsekwencje. Kiedy wreszcie Nino usłuchał, zrobił to z bezczelnym uśmiechem, który stawał się coraz szerszy, gdy każda kolejna kieszeń okazywała się pusta. Wreszcie zaproponował, że zdejmie spodnie, na co nazista kazał mu „zamknąć mordę” i zejść z oczu.

Wydałem bezgłośnie westchnienie ulgi. Nie miałem wątpliwości, że Nino podniósł ulotkę, ale nie wiedziałem, jak zdołał wykołować Amtswaltera. Kiedy przyszła kolej na mnie, nazista przyjrzał mi się pilnie i stwierdził, że z całą pewnością jestem jednym z „tych Włochów”, których widział. Ponieważ byłem czysty, odważyłem się spojrzeć mu prosto w oczy i wytknąć pomyłkę: „Po pierwsze, nie jestem Włochem, tylko Niemcem, a po drugie, nie tykałem

żadnych ulotek” – powiedziałem najczystsą niemiecką, wywracając kieszenie na lewą stronę. Amtswalter popatrzył na mnie z niedowierzaniem, ale już nie protestował. Tylko na odchodnym, wyraźnie zawiedziony, przykazał szefowi, żeby miał na oku „tych kłamliwych zdrajców Włochów”.

Pod wieczór wpadłem na Nina w umywalni.

– *Du lesen Deutsch?* – zapytał łamaną niemiecką.

– Oczywiście, że czytam po niemiecku.

– Więc mi to przeczytaj. – To rzekłszy, podał mi znajomo wyglądający świstek. Natychmiast rozpoznałem ulotkę, która omal nie ściągnęła na nas wielkich kłopotów.

– Gdzieś ty to schował? – wykrzyknąłem ze zdumieniem.

– O tu. – Nino ze śmiechem wskazał na krocze.

Z początku nie wiedziałem, czy śmiać się razem z nim, czy go ochrzanić.

– A gdyby rzeczywiście kazał ci ściągnąć gacie, tak jak zaproponowałeś? Co byś zrobił?

– Ale nie kazał.

Upewniwszy się, że jesteśmy sami, przeczytałem mu ulotkę. Przekonywano w niej, że wojna wkroczyła w końcowe stadium, a zwycięstwo aliantów jest nieuniknione. W związku z tym dalszy opór Niemiec nie ma sensu, gdyż przedłuża tylko ich cierpienie, a ze strony wojsk okupantów naprawdę nie mają się czego obawiać.

Nie wiedziałem, czy Nino dostatecznie zrozumiał wszystkie szczegóły, ale i tak wyglądał na zadowolonego.

– Mussolini *kaputt!* – ogłosił rozpromieniony. – Tylko patrzeć, kiedy Hitler i Goebbels także *kaputt*, a wtedy Nino wraca do domu!

Na zakończenie naszego konspiracyjnego spotkania uroczyście podariliśmy ulotkę na drobne kawałeczki, które następnie wyekspediowaliśmy *via* kibel do morza.

Kilka dni później, zaraz po przerwie na obiad, rozległ się znów znajomy jęk syren. Szef polecił jednemu z uczniów wziąć służbową ciężarówkę i wiać czym prędzej z Harburga. On sam postanowił uciekać własnym autem. Reszta załogi mogła albo stłoczyć się na pace ciężarówki, albo zaryzykować wędrówkę do najbliższego schronu. Pamiętając ostatni nalot, zdecydowaliśmy się jechać.

Ledwie dotarliśmy do rogatek miasta, usłyszeliśmy nad głowami wściekły gwizd – jak się później dowiedziałem – amerykańskiego bombowca B-17. W ciągu kilku sekund wokół nas posypały się bomby. Ciężarówka zahamowała, a my zeskoczyliśmy, rzucając się na rozedrganą ziemię. Kiedy pierwsza fala samolotów odleciała, odważyłem się podnieść głowę. Zobaczyłem ludzi biegnących gdzieś ulicą. „Gdzie tu jest jakiś publiczny schron?” – krzyknąłem, ale nikt się nawet nie odwrócił, więc ruszyliśmy ich śladem. Po jakimś czasie zobaczyliśmy znak schronu, lecz kiedy dotarliśmy do wejścia, nadleciała druga fala samolotów. Zadowo-

leni, że jednak zdążyliśmy, szykowaliśmy się do zejścia za innymi, gdy nagle wyrósł przed nami strażnik.

„A wy dokąd? – zapytał retorycznie. Przepuścił dwóch uczniów o nordyckim wyglądem, zagradzając drogę trzem Włochom i mnie. – Nie mamy tu miejsca dla *Ausländerów!*” Byłem pewien, że sam ustanowił tę zasadę, ale nikt nie stanął w naszej obronie. Przeciwnie, za plecami strażnika pojawiły się groźne twarze Niemców, którzy wyraźnie nie zamierzali wpuścić nas do środka. Zauważyłem wśród nich kilku żołnierzy i wystarczył mi rzut oka na ich wrogie miny i pistolety, by zrezygnować z konfrontacji.

Strażnik z potwornym hukiem spuścił stalową pokrywę wjazdu tuż przed moim nosem i w tej samej chwili, jakby na dany sygnał, zaczęło się bombardowanie. W tych okolicznościach mogliśmy tylko położyć się płasko i przywrzeć jak najściślej do ściany schronu. Wokół nas ziemia dygotała, w powietrzu latały ze świstem odłamki, a Nino przesuwiał w palcach swój nieodłączny różaniec, powtarzając raz po raz szeptem: „*Madonna vera! Madonna vera!*”.

Podobnie jak pierwszy nalot, drugi także trwał tylko parę minut, ale zdążyliśmy się przez ten czas zestarzeć o kilka lat. Gdy tylko jako tako doszliśmy do siebie, wróciliśmy do ciężarówki, która na szczęście stała nienaruszona w tym samym miejscu. Poczekaliśmy jeszcze na dwóch uczniów, a potem, klucząc licznymi objazdami, dotarliśmy do warsztatu. I tu kolejne zaskoczenie: została z niego tylko część. Na szczęście tym razem szafka z moim ubraniem ocalała. Przebrałem się i, pożegnawszy Nina oraz jego ziomków, złapałem pierwszy pociąg do Hamburga.

Kiedy po drodze zastanawiałem się nad zburzeniem moich dwóch miejsc pracy, przyszło mi do głowy, że chyba mam w sobie coś z mitycznego Midasa, tylko pod moim dotykiem zamiast w złoto, wszystko zamienia się w gruzy. A bardziej serio – nie mogłem nie zauważyć tego nagromadzenia wypadków, z których w moim dość krótkim życiu tylko o mały włos uszedłem cało. Czy powinienem mieć pretensje do losu, że szykuje mi znacznie więcej pułapek niż innym, czy raczej być mu wdzięcznym, że wychodzę z nich bez szwanku?

## **Max Roepke**

Następnego dnia posłusznie zameldowałem się w hamburskim Arbeitsamcie po przydział do nowego miejsca pracy. Urzędnik wyciągnął moją teczkę, przestudiował uważnie kwalifikacje i kazał mi poczekać. „Chyba mam coś w sam raz dla pana” – oznajmił, wychodząc z pokoju.

Wrócił w towarzystwie wysokiego, potężnie zbudowanego mężczyzny, o czerwonej twarzy i jeszcze czerwiejszym nosie, jak dla mnie, wskazującym na skłonność do sznapsa. Miał na sobie kosztowny płaszcz z wielbłądziej wełny – rzecz, jakiej przeciętny Niemiec nie byłby w stanie kupić od początku wojny.

„Jestem Max Roepke – przedstawił się, wyciągając dłoń wielkości szynki. – Mam w Hohluf firmę przewozową i przyda mi się mechanik «złota rączka».” Wyjaśniłem, że niewiele wiem o silnikach samochodowych, bo nie jestem mechanikiem, natomiast doskonale znam się na wszelkiego rodzaju maszynach.

Roepke przestudiował moją kartę pracy i skinął głową urzędnikowi. „Myślę, że się nada. – Potem zwrócił się do mnie: – No to załatwione. Możesz zacząć od zaraz.” Podpisał jakieś papiery, uściśnął dłoń urzędnikowi i, szepnąwszy coś w rodzaju: „Wszystkim się zajmę”, został oficjalnie moim panem, którego nie mogłem porzucić, nawet gdybym chciał. Nagle doznałem dziwnego uczucia, że właśnie stałem się towarem, zupełnie jak na dawnym targu niewolników. Wrażenie to jeszcze bardziej się pogłębiło, kiedy już na ulicy Roepke kazał mi wsiąść do samochodu – smukłego kanarkowego bmw roadstera. Od razu pojąłem, że mój nowy szef jest człowiekiem o dużych wpływach. Świadczył o tym fakt, że wciąż miał dostęp do benzyny na użytek prywatny w czasie, kiedy przeznaczano ją wyłącznie na potrzeby wojska.

Po paru minutach dotarliśmy do jego firmy – piętrowego budynku z cegły, gdzie mieścił się mały warsztat, garaż i kilka magazynów w obrębie dużego ogrodzonego podwórza. Z wyjątkiem młodego blondyna w kombinezonie i oliwkowej czapce wojska polskiego, plac był pusty.

„To jest Stanisław, mój placowy – wyjaśnił Roepke. – W razie potrzeby będzie ci służył pomocą. Wszystko ci pokaże i wprowadzi w szczegóły. Na razie nie ma wiele pracy, ale się tym nie przejmuj, na pewno będziesz miał co robić.” Wsiadł do roadstera i odjechał. Stanisław zapewnił mnie, że moja nowa robota to bułka z masłem czy jak się wyraził w połowie po niemiecku i polsku „*kein Problema*”. Mogę na niego liczyć, opowie mi, co i jak.

W ciągu następnych tygodni prawie nie widywałem Roepkego i praktycznie nie miałem nic do roboty, poza szlifowaniem polskiego. Pewnego dnia, bez specjalnego powodu, Stanisław „wprowadził mnie w szczegóły” niewątpliwie znacznie głębiej, niż życzyłby sobie Roepke. Swoim barwnym łamanym niemieckim, którego podobno nauczył się podczas pięciu lat niewoli, wyjaśnił mi, że Roepke to rekin czarnego rynku, który w zмовie z wysokimi dygnitarzami nazistowskimi prowadzi lukratywne operacje pomiędzy okupowaną Holandią a Niemcami. Podobno je, pije i ubiera się lepiej niż Hitler, a jego ciężarówki wożą towary, o których istnieniu przeciętny Niemiec dawno zapomniał.

Na dowód Stanisław wyciągnął z kieszeni tabliczkę czekolady, przełamał ją i wręczył mi połowę. Natychmiast zrozumiałem, o co mu chodziło. Rzeczywiście dawno zapomniałem, jak pachnie i smakuje czekolada.

– Skąd to masz? – spytałem.

– Chodź, pokażę ci.

Poszedłem za nim na górę, gdzie otworzył jakieś drzwi, ale przedtem kazał mi wyjrzeć, czy nie widać gdzieś Roepkego. Od tego, co zobaczyłem, oczy wyszły mi na wierzch. Stanisław miał rację – na wyładowanych po sufit półkach leżały artykuły, które zarówno ja sam, jak i większość Niemców dawno wypchnęliśmy z pamięci, bo stały się nieosiągalne. Były tam góry tabliczek czekolady, puszek z sardynkami, wołowiną i szynką, kawa, papierosy, cygara, tytoń fajkowy, luksusowe mydła, perfumy, kosmetyki, nylonowe pończochy i w ogóle, co tylko dusza zapagnie.

Zanim zdążyłem ochłonąć, Stanisław wyznał, że dla odmiany on sam ma pewien *grosses Problema*. Otóż od dłuższego czasu włamuje się do tego magazynu za pomocą prymitywnego wytrychu, który sobie dorobił, i bierze sobie to i owo. Ale tego właśnie ranka, kiedy zamykał drzwi po zdobyciu „dla nas” owej czekolady, klucz złamał mu się w zamku. Jeśli Roepke zastanie otwarte drzwi, on, Stanisław, znajdzie się po szyję w gównie. A żeby tak się nie stało, mam wyteńczyć swój umysł mechanika i naprawić szkodę.

W mgnieniu oka pojąłem, skąd u niego ta nagła skłonność do podziału dóbr. W pierwszej chwili chciałem mu odmówić i posłać go do diabła. Perspektywa współdziałania we włamaniu nie bardzo mi się uśmiechała. Ale potem doszedłem do wniosku, że przyciśnięty do muru Stanisław gotów donieść szefowi, że to ja, a nie on, podbierałem z magazynu towary. Ponieważ Roepke w ogóle mnie nie znał, to komu uwierzy, Stanisławowi czy mnie? Wyperswadowałem sobie, że nie mogę się na to narażać. Zachowując swoje poglądy dla siebie, żeby nie podsuwać Stanisławowi złych myśli, zgodziłem się obejrzeć zamek. A ponieważ liczył się czas, zaproponowałem, żeby Stanisław zajął się dorabianiem nowego klucza, ja zaś spróbuję wydobyć ten złamany.

Z chwilą uzgodnienia planu, zabraliśmy się do roboty. W ciągu paru minut wyjąłem zamek z drzwi, wydobyłem z niego fragment klucza i wstawiłem na miejsce. Ledwie skończyłem robotę, Stanisław miał prawie gotowy duplikat klucza. Ale zanim zdążyliśmy włożyć go do zamka, usłyszeliśmy z podwórza warkot samochodu Roepkego. Starając się nie wyglądać jak kot, który zezarł kanarka, zabraliśmy się pilnie do zamiatania garażu, akurat kiedy wszedł Roepke.

– Wszystko w porządku? – spytał od progu.

– Tak, panie, *kein Problema* – odparł Stanisław, podczas gdy ja, z tłukącym się w piersi sercem, przytakiwałem skwapliwie. Omal nie dostałem zawału, kiedy Roepke skierował się na schody.

– Co mam zrobić z tą klapą od ciężarówki, która odpadła wczoraj jednemu z kierowców?  
– rzuciłem desperacko, byle go tylko powstrzymać.

Udało się! Roepke zawrócił i wyszedł na podwórze obejrzeć poważnie uszkodzoną klapę.

– Potrafisz to naprawić?

– Oczywiście, że potrafię. Będzie jak nowa.

– Doskonale, zobaczymy, na co cię stać.

Zerknął na zegarek, wszedł do bmw i, pomachawszy mi, odjechał. Gdy tylko Roepke zniknął nam z oczu, popędziliśmy na górę wypróbować klucz. Po paru drobnych poprawkach obracał się gładko w obie strony.

Zażegnawszy kryzys, zastanawialiśmy się już na chłodno, co począć dalej z tym rogiem obfitości. Zgodziliśmy się, że cała ta pozyskana w przestępczy sposób kontrabanda nie należy do nas, ale z drugiej strony nie należy także do Roepkego, którego przecież – jak wszystkich obywateli – obowiązuje racjonowanie żywności oraz innych dóbr. A ponieważ najwyraźniej nie zamierza się z nami dzielić, możemy dopomóc sprawiedliwości i od czasu do czasu uszczknąć z magazynu trochę tego i owego.

Tego wieczoru podczas piętnastominutowej jazdy pociągiem do domu ogarnęła mnie taka paranoja, że dosłownie w każdym pasażerze widziałem agenta Gestapo. W każdej chwili spodziewałem się, że ktoś w długim skórzanym płaszczu dotknie mojego ramienia, wygłosi formułkę aresztowania i każe otworzyć wypchaną teczkę, którą ściskałem pod pachą. Ale nic takiego się nie stało. Kiedy dotarłem do szkoły i zobaczyłem, jak oczy matki rozjaśniają się na widok pozyskanych skarbów – kilku tabliczek czekolady, puszek sardynek i mydełek – poczułem się jak Robin Hood po obrabowaniu jakiegoś bogacza i przekazaniu łupu biedakowi.

## **Nareszcie wolni!**

Wiadomość o śmierci Hitlera w dniu 30 kwietnia 1945 dotarła do Hamburga dopiero następnego dnia. Ale jak przystało na człowieka, który okłamał, zdradził i na koniec zniszczył naród niemiecki, jednocześnie dokonując spustoszenia na całym świecie, oficjalny komunikat o jego śmierci okazał się jeszcze jednym groteskowym kłamstwem. Zwięzłe doniesienie z kwatery głównej w Berlinie brzmiało: „Dziś po południu w kancelarii Rzeszy zginął śmiercią żołnierza Führer Adolf Hitler, walcząc do ostatniego oddechu za Niemcy przeciwko bolszewizmowi”. Nie wspomniano o tchórzowskim sposobie, w jaki człowiek, za którego tyłu Niemców oddało życie, na ochotnika i z przymusu, uniknął rozrachunku, popełniając samobójstwo i tym samym pozostawiając kraj na łasce losu. Ale nawet kłamstwo o bohaterskiej śmierci nie zdołało przywrócić wizerunku herosa, za jakiego dawniej uważało go wielu Niemców.

W czasach największej popularności Hitlera wiele razy zastanawiałem się, jak Niemcy zareagowałyby na jego śmierć. Puściwszy wodze fantazji, próbowałem wykreować wizję wybuchu powszechnego żalu, czystej rozpacz, którą z pewnością okazałoby po śmierci człowieka wyniesionego do pozycji niemal boskiej. Toteż zupełnie nie byłem gotów na to, jak naprawdę moi rodacy przyjęli ów komunikat. Kiedy powtarzano go przez radio, nikt w naszym schronisku nie okazywał ani szczególnej radości, ani żalu, tylko głęboką, porażającą obojętność.



Poza rzuconym od czasu do czasu komentarzem w rodzaju „krzyżyk na drogę”, moi współlokatorzy całkowicie zlekceważyli to historyczne wydarzenie i nie wspomnieli nawet o nim podczas codziennych kłótni.

Także w moich własnych uczuciach nie dopatryłem się reakcji, jakiej jeszcze niedawno mógłbym oczekiwać. Zamiast skakać pod sufit z radości i ulgi – tak jak po przetrwaniu pamiętnej burzy ogniowej – zadałem sobie tylko apatyczne pytanie: „I co z tego?”. Doszedłem bowiem do wniosku, że wobec nieustannego zagrożenia własnego życia, śmierć takiego łotra jak Hitler naprawdę nie jest już w stanie wzbudzić większych emocji.

Bardziej sensacyjna okazała się wiadomość podana wkrótce przez aliantów, że Hitler popełnił samobójstwo razem ze swoją kochanką, którą poślubił zaledwie dzień wcześniej: on strzelił sobie w głowę z pistoletu, ona połknęła truciznę. Dopiero kiedy w nagłówkach pojawiło się nazwisko Evy Braun, Niemcy dowiedzieli się o istnieniu tej młodszej o dwadzieścia lat od Führera blondynki. Teraz okazało się nagle, że Hitler nie tylko miał kochankę, ale że ich związek trwał przez całych dwanaście lat jego rządów. W jaki sposób zdołał utrzymywać w tajemnicy tak ważną sprawę pod samym nosem rodaków? Wiele osób wierzyło w oficjalne wyjaśnienie, że Führer żył w celibacie, aby móc poświęcić cały swój czas i energię narodowi. Nikt nie potrafił wytłumaczyć, w jaki sposób najważniejszy człowiek w państwie, którego rozkład dnia krajowa i międzynarodowa prasa zdawała się znać co do minuty, potrafił utrzymać Evę Braun w ukryciu.

Karl Kaufmann, nazistowski gauleiter Hamburga, zanim jeszcze dowiedział się o śmierci Hitlera, w jawnym proteście przeciwko rozkazowi, by bronić miasta do ostatniego mieszkańca, zdecydował się je poddać. Tłumaczył, że chce uratować to, co zostało z Hamburga oraz oszczędzić dalszego rozlewu krwi i cierpień. Wiadomość o rychłej kapitulacji, niecierpliwie oczekiwana przez wycieńczoną wojną ludność, dotarła do nas w wydaniu specjalnym „Hamburger Zeitung”, gazecie utworzonej z trzech głównych dzienników:

**Mieszkańcy Hamburga!**

Po heroicznej walce, po niez mordowanym trudzie na rzecz zwycięstwa i Niemiec, pomimo nieograniczonego poświęcenia, naród nasz uległ liczebnej i materialnej przewadze nieprzyjaciela. Wróg przygotowuje się do okupacji naszego kraju i stoi już u bram naszego miasta. Jednostki Wehrmachtu i Volkssturmu walczyły mężnie przeciwko potężnym siłom przeciwnika. Niezrażeni hamburczycy spełnili swój obowiązek zarówno na froncie, jak i w kraju; twardo i niewzruszenie stawili czoło wojnie.

Nieprzyjaciel zamierza zaatakować Hamburg z ziemi i powietrza z olbrzymią, przeważającą siłą. Dla miasta i jego ludności, dla setek tysięcy kobiet i dzieci oznacza to śmierć i zniszczenie ostatnich środków przetrwania. Wyniku tej wojny nie da się już odwrócić, a walki w obrębie miasta oznaczają jego bezsensowne i całkowite zniszczenie. Ci, którym żołnierski honor nakazuje kontynuować walkę, będą mieli do tego okazję poza granicami

Hamburga. Osobiście kieruję się sercem, sumieniem i wyraźnym rozpoznaniem warunków. W poczuciu pełnej odpowiedzialności zamierzam uratować Hamburg, jego kobiety i dzieci od bezsensownej i nieodpowiedzialnej destrukcji.

Czyniąc to, wiem, czego się podejmuję. Osąd mojej decyzji pozostawiam historii i wam.

Hamburczycy! Cała moja praca i troska zawsze należeć będzie do was, do tego miasta, a tym samym do narodu. Będzie tak, dopóki los się o mnie nie upomni. Ta wojna jest narodową katastrofą dla nas i nieszczęściem dla Europy. Oby zrozumieli to wszyscy, którzy za to odpowiadają.

Niech Bóg ocali nasz naród i kraj!

Karl Kaufmann

Wiadomość o zamiarze poddania Hamburga przez Kaufmanna przyniosła wielką ulgę mnie, mojej matce i z pewnością większości hamburczyków. Jestem absolutnie pewien, że najmniejszy opór ze strony Niemców spowodowałby odwet wojsk alianckich na taką skalę, że pogrzebałoby to wszelkie szanse przeżycia.

Nagle pojąłem, że pokonałiśmy z matką ostatnią przeszkodę na drodze do wolności i jeżeli w ostatniej chwili nie zajdzie nic nieprzewidzianego, możemy uznać nasze przetrwanie za fakt. W przeciwieństwie do wielu moich rodaków, niepewnych, jaki los zgotują im zwycięzcy, z niecierpliwością oczekiwałem dnia, kiedy pałeczkę przejmą alianci – ich naprawdę nie musiałem się obawiać. Co za ironia losu – chociaż nigdy nie popełniłem żadnego przestępstwa przeciwko państwu niemieckiemu, zmuszono mnie do życia przez całe lata w śmiertelnym strachu przed własnym rządem i jego poplecznikami.

Dzień przed planowanym przejęciem Hamburga przez Brytyjczyków (3 maja 1945) wybrałem się do centrum, żeby po raz ostatni rzucić okiem na miasto pod rządami nazistów. Przede wszystkim chciałem zobaczyć więcej widocznych oznak końca niemieckiego oporu. Nie doznałem zawodu. W mieście trwało istne pandemonium: tysiące niemieckich żołnierzy wjeżdżało ciężarówkami i innymi wozami, motocyklami, rowerami, a także przybywało piechotą. Niektórzy zdezerterowali, inni stracili kontakt ze swoimi jednostkami w zamieszaniu spowodowanym totalną dezorganizacją dowództwa. Mimo niepewnej przyszłości wszyscy wydawali się zadowoleni, że uniknęli losu tak wielu kolegów, którzy stali się ofiarami ostatnich godzin przegranej wojny. Wśród kłębiących się tłumów biła w oczy nieobecność członków Waffen-SS, czyli wszechobecnych funkcjonariuszy nazistowskich w ukochanych brunatnych mundurach. Gdzie oni wszyscy się podziali?

Kiedy w końcu się położyłem, wydawało mi się, że już nigdy nie zasnę. Za oknem dudniła brytyjska artyleria, horyzont od południa rozświeślały błyski podobne do piorunów. Nikt już nie upierał się, jak jeszcze przed kilkoma dniami, że błyski i huk pochodziły z niemieckiej, a nie alianckiej broni. Teraz już nawet najbardziej zapiekli wyznawcy niemieckiego zwycię-

stwa – ludzie, którzy od dwóch lat żyli, kompletnie zaprzeczając rzeczywistości – niechętnie przyznawali, że wojna jest przegrana.

Chociaż od dawna czekałem na ten moment, jakoś nie potrafiłem uwierzyć, że już jutro będą tu Brytyjczycy, a naziści znikną na dobre. Łatwiej było wyobrazić sobie, że słońce przestanie świecić. Po dwunastu latach nazistowskich rządów – czyli dwóch trzecich mojego życia – wydawało mi się nie do pomyślenia, że Trzecia Rzesza, która według przechwałek Hitlera miała trwać co najmniej tysiąc lat, zbliża się do sromotnego końca.

Mimo wielkiego wzburzenia musiałem jednak zasnąć, bo następnym, co do mnie dotarło, był głos mojego współlokatora: „Hej, obudź się! Twoi przyjaciele już tu są!”. Gdy tylko jego słowa przebiły się do mojego zaspanego mózgu, wróciła mi pełna świadomość. Był biały dzień. Rzuciłem się do okna, ale mnie powstrzymano: „Nie pokazuj się! Mogą cię wziąć za snajpera i zastrzelić!”.

Ostrożnie wyjrzałem z boku. To, co zobaczyłem, było zbyt piękne, aby mogło dziać się naprawdę. Jak w odwróconych scenach z setek nazistowskich kronik filmowych, wzdłuż całej ulicy sunęły długie rzędy oliwkowych czołgów, samochodów pancernych i ciężarówek z uzbrojonymi po zęby Brytyjczykami. Wszyscy nosili charakterystyczne płaskie hełmy, spowite w kamuflującą siatkę. Długa kolumna pojazdów zatrzymała się przed trzymetrową barykadą koło szkoły. Stanowiła ona część systemu ciągnących się przez całe miasto fortyfikacji przeciwczołgowych, wzniesionych pośpiesznie w ciągu ostatnich miesięcy, by opóźnić nadejście tego, co nieuniknione. Budowano je z wielkich kamieni brukowych, wykopywanych z ulic, i wzmacniano stalowymi dźwigarami, odzyskiwanymi ze zburzonych domów. Zgodnie z nazistowskim planem, jednostki Volkssturmu i cywile mieli zasadzać się na czołgi z koktajlami Mołotowa i inną drobną bronią, włącznie ze sławetnymi panzerfaustami. Dzięki decyzji Kaufmanna, ten przerażający scenariusz nie doczekał się realizacji.

Angole popatrywali podejrzliwie na szkołę – jedyny nietknięty budynek w morzu ruin. Niewielki oddział, może z dziesięciu żołnierzy, wspiął się na barykadę i ruszył w stronę wejścia z bronią gotową do strzału. Kilka minut później usłyszeliśmy z holu głośną komendę w języku angielskim. Wydało mi się, że chodziło o coś w rodzaju „wszyscy wychodzić”.

„Może dowiesz się, czego chcą – poprosił nerwowo jeden z moich współlokatorów. – Tobie nic nie robią, poza tym mówisz po angielsku. Po prostu powiedz, że jesteśmy twoimi znajomymi i chętnie się poddamy. I że żaden z nas nie jest nazistą.” Głęboko pożałowałem swojej dawnej, mocno przesadzonej przechwałki o rzekomej znajomości angielskiego. Mój marny słownik w najlepszym wypadku mógł uchodzić za powierzchowny, a z pewnością nie nadawał się do negocjacji warunków poddania okupantom. Ale skoro grupa wytypowała mnie na rzecznika, nie widziałem sposobu, jak wykręcić się od tego wątpliwego zaszczytu. Szybko się ubrałem i wyszedłem do holu. Na widok uzbrojonych po zęby żołnierzy i ich zło-

wrogich, okrytych pyłem twarzy cała moja odwaga prysła i po raz kolejny pożałowałem, że zgodziłem się pośredniczyć. Niestety na wycofanie się było już za późno.

– Mówicie po angielsku? – spytał dowódca oddziału.

– Trochę – odparłem nieśmiało.

– Znakomicie – warknął, jak dla mnie bez sensu, dowódca, wysoki mężczyzna z bujnym rudym wąsem i takimi samymi brwiami. Tylko on jeden nie celował we mnie z broni palnej. Miał w ręku szpicrutę, a jego ciężki pistolet spoczywał bezpiecznie w płóciennym olstrze. Nie znałem wtedy brytyjskich oznaczeń stopni wojskowych, ale po trzech dużych brązowych gwiazdkach na epoletach wąsacza domyśliłem się, że mam do czynienia z oficerem.

Przedstawił się zresztą zaraz jako kapitan Taki-a-taki i zaczął zadawać pytania: „Wasza narodowość?”. Wyjaśniłem, że jestem pół-Liberyjczykiem i pół-Niemcem. W tej kolejności. „Ile osób tu mieszka i co to za ludzie?” – kontynuował wąsacz, częstując mnie papierosem. Aż do tej chwili opierałem się presji kolegów, którzy usiłowali namówić mnie do palenia, ale teraz uznałem, że nie powinienem odrzucać tego pierwszego odruchu dobrej woli ze strony wybawicieli, toteż z wdzięcznością przyjąłem poczęstunek i zapaliłem w geście solidarności z moimi sprzymierzeńcami. Następnie wytłumaczyłem oficerowi łamanym angielskim, że szkoła służy jako tymczasowe schronienie dla cywilów, którzy stracili dach nad głową wskutek bombardowania. Jest wśród nich osiemdziesiąt procent kobiet, a reszta to starsi mężczyźni. „Przekażcie im, że mają natychmiast zebrać się na dziedzińcu, gdzie do nich przemówię. A ponieważ mój niemiecki jest jeszcze gorszy od waszego angielskiego, posłużycie mi za tłumacza.”

Zapewniłem oficera, że zrobię, co w mojej mocy. Dumny z mojego nowego, półoficjalnego statusu tłumacza w służbie Jego Królewskiej Mości, wróciłem do sypialni i przekazałem polecenie. Natychmiast zauważyłem w głosie i zachowaniu współlokatorów nową nutę czegoś w rodzaju szacunku.

Kiedy chodziłem od jednej sypialni do drugiej, przekazując rozkaz, że wszędzie bombardowano mnie pytaniami i żądaniem pośrednictwa. Ku memu rozbawieniu, nawet ci, którzy dotychczas trzymali się ode mnie z daleka, skwapliwie przypominali, jakimi to bliskimi kumplami zawsze byliśmy. Ta nagła zmiana postawy bynajmniej mnie nie dziwiła, gdyż wiedziałem, że wielu z nich może się spodziewać po Brytyjczykach dość szorstkiego traktowania, włącznie z egzekucją w esesmańskim stylu. Część kobiet, w stanie pełnej histerii, zamknęła się w umywalniach, ze strachu przed gwałtami zapowiedzianymi przez Goebbelsa w przypadku klęski Niemiec. Moje próby przekonywania, że nie mają się czego obawiać, odniosły jedynie częściowy sukces.

Na dziedzińcu zebrała się wymizerowana grupa wciąż zapłakanych kobiet i mężczyzn, usiłujących nadal robić wrażenie nieustraszonych. „Powiedzcie im – polecił kapitan – że mają usunąć część barykady, tak żeby utworzyć drogę dla naszych pojazdów. Za pół godziny chcę

widzieć przed budynkiem każdego sprawnego fizycznie mężczyznę. Kobiety mogą wrócić do swoich pokojów.” Zaskoczyło mnie, jak wiele szkolnego angielskiego pozostało mi w pamięci. Chociaż nie znałem każdego wypowiedzianego przez kapitana słowa, bez trudu rozumiałem sens. Kiedy skończyłem tłumaczyć, zauważyłem, że mieszkańcom szkoły wyraźnie kamień spadł z serca.

Ludzie kapitana skonfiskowali z pobliskiej zbombardowanej firmy kilka jeepów wyładowanych łopatami i kilofami, które rozdali zgromadzonym przy barykadzie Niemcom. Kapitan – znów za moim pośrednictwem – poinstruował ich, że mają pracować najszybciej, jak potrafią. Dał im czas do czwartej po południu, co oznaczało, że w ciągu pięciu godzin muszą rozebrać to, co budowali przez całe miesiące – zadanie raczej niewykonalne.

Pomimo wyznaczonego terminu i równomiernego tempa pracy, dopiero po zmroku powstał na tyle duży wyłom w barykadzie, by mógł się w nim zmieścić najszerszy z pojazdów. Kiedy ostatnia ciężarówka przejechała na drugą stronę, kapitan kazał mi zwolnić ludzi i rozdać im kilka paczek papierosów. Zanim wszedł do jeepa i zniknął w ciemnościach, podziękował mi za pomoc i wręczył dwie puszki zawierające łącznie setkę papierosów. Dopiero po jakimś czasie miałem zrozumieć, że właśnie rozliczył się ze mną w najnowszej niemieckiej walucie.

Było już dobrze po północy, kiedy wreszcie położyłem się spać. Żaden z moich sąsiadów nie odezwał się ani słowem, uświadamiając mi w ten sposób kolejną zmianę w naszych stosunkach, ale tym razem na moją niekorzyść. Już do nich nie należałem. Teraz znalazłem się „po drugiej stronie”. Zaświtało mi w głowie, że za jednym pociągnięciem przestałem być tym, za kogo zawsze się uważałem, czyli Niemcem. Ale jakoś mnie to nie zmartwiło. Niemcy nigdy nie dopuszczali mnie do pełnego udziału w swojej szczęśliwej przeszłości, toteż teraz nie poczuwałem się do uczestnictwa w ich klęsce.

Leżąc bezsennie na pryczy, rozmyślałem nad wydarzeniami tego dnia i doszedłem do wniosku, że w moim życiu właśnie nastąpił przełom. Czułem, że wahadło losu wychyla się w drugą stronę, tylko dlaczego trwało to tak długo? Po raz pierwszy od lat uwolniłem się całkowicie od paraliżującego lęku, do którego duma nie pozwoliła mi nigdy przyznać się nikomu, a już najmniej sobie samemu, a który nękał mnie nieustannie dniem i nocą. To nie był taki zwykły strach, jak przed śmiercią od bomby albo w nazistowskim obozie zagłady, tu chodziło o lęk przed wyśmianiem, poniżeniem, odarciem z godności, przed poczuciem, że jestem istotą niższego rzędu, kimś gorszym od ludzi, wśród których przyszło mi żyć. I nagle ten właśnie lęk opadł ze mnie niczym jakieś ciężkie brzemie, które dźwigałem, nawet nie zdając sobie z tego sprawy.

Krótko po zniesieniu godziny policyjnej wybrałem się do miasta, żeby obejrzeć zmiany. Wciąż nie wiedząc, czego się spodziewać po zwycięzcach, niemieccy cywile starali się nie rzucać w oczy, natomiast ulice zaroily się od brytyjskich oddziałów przemierzających miasto

w wielkich oliwkowych ciężarówkach i jeepach. W ciągu jednej nocy przy głównych skrzyżowaniach wyrosły znaki ze strzałkami i napisami po angielsku Z MIASTA i DO CENTRUM, najwyraźniej po to, aby pomóc brytyjskim kierowcom w poruszaniu się po Hamburgu. Zauważyłem, że ilekroć Niemcy machali do przejeżdżających żołnierzy, ci nie odpowiadali na pozdrowienia. Patrzyli twardo przed siebie albo wręcz celowo odwracali się w inną stronę. Wiedziałem, że wielu hamburczyków miało serdecznie dość wojny Hitlera, a Brytyjczyków uważało bardziej za wyzwolicieli niż zwycięzców, dlatego dziwiły mnie te jawne afronty. Musiałem poczekać jeszcze dwa miesiące na oficjalne wyjaśnienie tego zachowania, kiedy pojawiły się plakaty z nowymi przepisami dla mieszkańców i specjalnym przesłaniem od brytyjskiego marszałka Bernarda Montgomery'ego. Charakteryzując swoich rodaków jako ludzi zasadniczo przyjaznych i pogodnych, marszałek wyjaśniał jednocześnie, że nie pozdrawiają mieszkańców, ponieważ zakazał im fraternizacji. W świetle zaciętych walk, które dopiero co się skończyły, uważa, że jeszcze za wcześnie na uznanie przeszłości za niebyłą. Pierwsza wojna bowiem nie toczyła się na ziemi niemieckiej, tylko we Francji i Belgii, a kiedy pobita armia niemiecka wróciła bez strat, przywódcy niemieccy ukuli kłamstwo, że nie poniosła ona klęski. Aby historia nie powtórzyła się po raz trzeci i aby nie doszło do wybuchu trzeciej wojny światowej, Niemcy muszą dostać nauczkę i zrozumieć, że naród ma takich przywódców, na jakich sobie zasłużył. Dopóki ta prawda do nich nie dotrze, nie może być mowy o jakimkolwiek „brataniu się” i zacieraniu przeszłości. „Naszym celem jest zniszczenie zła w postaci systemu narodowosocjalistycznego. Jeszcze za wcześnie na uznanie, że został on osiągnięty.”

Ta polityka sprzeciwu wobec fraternizacji, chociaż dobrze uzasadniona, miała jednak fatalną wadę. Człowiek, który przechytrył Erwina Rommla, słynnego niemieckiego Lisa Pustyni, nie wziął pod uwagę jednej z najistotniejszych ludzkich cech: popędu seksualnego. Już po tygodniu, a z pewnością na długo zanim Monty zdecydował się zmienić zdanie, sam widziałem, jak Angole i niemieckie panny kpili w żywe oczy z tego „edyktu”, zachowując się niczym nienasyчени idioci. Nie ujmując nic militarnemu geniuszowi Monty'ego, uznałem, że marszałek nie ma bladego pojęcia o „pszczołkach i ptaszkach”.

Często zastanawiałem się, co się stało z rodziną Giordano, ale wciąż nie mogłem się zdobyć na sprawdzenie, bo bałem się, co tam zastanę. W końcu, dwa tygodnie po kapitulacji Hamburga, przełamałem swoje opory i powędrowałem do piwnicy przy Diesterwegstrasse. Ku mojej wielkiej uldze znalazłem całą rodzinę we względnie dobrym stanie, jak na to, że przeżyli niewypowiedziany koszmar ukrywania się tygodniami wśród ruin, z minimalnymi zapasami żywności i wody. Nawet Frau Giordano pozbyła się swojej udręczonej miny i wyraźnie poczuła ulgę, że cierpienia jej rodziny dobiegły końca. Wszyscy byli w euforii z powodu wyzwolenia. Wciąż trudno im było uwierzyć, że koszmar się skończył i że właściwie przetrwali Holocaust. Powtarzaliśmy teraz nasze pierwsze tajne spotkanie: wszyscy mnie ści-

skali, klepali po plecach, ściskali rękę, szczypali w policzki, gratulując sobie i mnie po raz enty śmierci tej *Nazischwein* Hitlera. W jakiś sposób cała scena przypomniła mi zakończenie starej germańskiej baśni o siedmiu kózkach tańczących z matką wokół studni, w której przed chwilą utonął wielki zły wilk.

Kiedy euforia nieco osłabła, wybraliśmy się – Egon, Ralph i ja – na spacer, żeby poobserwować naszych wyzwolicieli i przedyskutować wypadki ostatnich kilku tygodni. Po drodze widzieliśmy długie rzędy zaparkowanych czołgów, ciężarówek i jeepów. Obok porozsiadali się żołnierze w beretach; żarli biały chleb, żłopali herbatę – wyglądało na to, że są w znakomitych humorach. Dawno nie widzieliśmy tak wielu dobrze odżywionych mężczyzn. Ich wygląd wyraźnie kontrastował z wyglądem wycieńczonych niemieckich jeńców wojennych, którzy w otoczeniu brytyjskich strażników byli prowadzeni do ośrodków za miastem. Wielu szło o kulach, z brudnymi bandażami na głowach i kończynach, niektórzy zdradzali objawy niedożywienia. Jakże daleko odbiegli od maszerującego defiladowym krokiem młodych Zygfrydów, którzy jeszcze niedawno w zwycięskiej orgii powalali na kolana jeden europejski naród za drugim. Przypomniały mi się kroniki filmowe, które wyśmiewały francuskich jeńców z Afryki, nazywając ich sarkastycznie „zbawcami cywilizacji zachodniej”; teraz wyraźnie widziałem, kto się śmieje ostatni.

Kiedy Ralph i Egon powiedzieli mi o swoich planach na przyszłość, zorientowałem się, że chociaż mamy ze sobą wiele wspólnego, nasze priorytety bardzo się różnią. Albo, ściślej rzecz biorąc, oni ten program mieli, a ja nie. Cieszyłem się, że wyszedłem z nazistowskiego koszmaru żywy i względnie bez szwanku, a teraz byłem gotów zostawić to wszystko za sobą i spróbować nowych możliwości. Oni, ze swej strony, nie zamierzali jeszcze odpuścić przeszłości. Właściwie dopiero zaczynali swoją walkę z zaprzysięgłymi wrogami politycznymi – nazistami i neonazistami. Nazwali mnie naiwnym i źle poinformowanym, skoro sugeruję, że wraz ze śmiercią Hitlera i klęską Wehrmachtu nazizm przechodzi do historii. Ta ideologia – ich zdaniem – wciąż żyje i cieszy się popularnością w narodzie niemieckim. Obaj bracia przysięgli sobie nie spocząć, dopóki ostatnia *Nazischwein* nie zadynda na stryczku, a nazizm nie zostanie zmieciony z powierzchni ziemi.

Chociaż ja także chciałem zobaczyć nazistowskich zbrodniarzy przed sądem, a wszystkie ślady ich ideologii zniszczone, chętnie powierzyłbym to zadanie aliantom. Egon i Ralph przeciwnie: oni zamierzali rozpocząć karierę jako zwalczający nazizm dziennikarze. Już spędzili większą część nocy, tłukąc teksty na rozklekotanej maszynie, którą gdzieś podwędzili, w nadziei, że jakaś gazeta je wydrukuje. W każdym artykule domagali się od brytyjskich sił okupacyjnych szybkiej i radykalnej czystki elementów nazistowskich.

Niestety brytyjskie młyny sprawiedliwości, jak zdążyliśmy się przekonać, miały strasznie wolno, a w wielu przypadkach utykały w martwym punkcie. Niemniej w wojennych procesach w hamburskim Curiohaus skazano na śmierć przez powieszenie czternaście esesmanów

i funkcjonariuszek SS. Uznano ich za winnych popełnienia niesłychanych potworności w obozie koncentracyjnym w Neuengamme koło Hamburga. Zginęło tam ponad pięćdziesiąt tysięcy osadzonych. Jednocześnie większość prawdziwych nazistowskich szycy wykręciła się sianem. Na przykład hamburski Bürgermeister Carl Vincent Krogmann, który od początku nazistowskiego reżimu należał do elity politycznych liderów NSDAP, dostał tylko wyrok grzywny – 10 tysięcy marek – w zawieszeniu. Jego szef Karl Kaufmann miał jeszcze więcej szczęścia. Ten wierny poplecznik Hitlera aż do momentu, kiedy zdecydował się poddać Hamburg i nie spełnić rozkazu obrony „do ostatniego człowieka”, w ogóle został uznany za niezdolnego do stanięcia przed sądem z powodu dusznicy.

Równie ważne miejsce w programie braci Giordano zajmował temat *Wiedergutmachung* (odszkodowania). Uznali, że należy się ono wszystkim nie-Aryjczykom, którzy w takiej czy innej formie doznali cierpień pod rządami nazistów. Dlatego postanowiliśmy pójść do miasta i zobaczyć, co się da zrobić w naszej sprawie.

Kiedy wkroczyliśmy do kwatery głównej Brytyjczyków w dawnym hotelu Esplanade, skierowano nas do naczelnika od spraw pomocy humanitarnej w randze majora. Życzliwy oficer poinformował Ralpa i Egona, że jako pół-Żydzi są na priorytetowej liście uprawniającej do różnych środków pomocy ustanowionych przez aliantów. Taka pomoc, wyjaśnił, obejmuje między innymi zakwaterowanie, dodatkowe racje żywnościowe i preferencyjne zatrudnienie przez rząd wojskowy. Następnie dał im do wypełnienia kilka formularzy i zapewnił, że poważna pomoc jest już w drodze.

Nadeszła moja kolej. Wyjaśniłem, że podobnie jak rodzina Giordano, byłem przez nazistów prześladowany z powodu niearyjskiego pochodzenia, a także dyskryminowany pod względem edukacyjnym, ekonomicznym, psychologicznym i fizycznym. Wskutek tego także zmuszony jestem prosić o pomoc. Oficer grzecznie mnie wysłuchał, zgodził się, że moja sytuacja pod rządami nazistów musiała być nie do pozazdroszczenia, ale równocześnie uznał, że nic nie może dla mnie zrobić: „Przykro mi bardzo, ale z punktu widzenia rządu brytyjskiego jest pan Niemcem. Mamy prawo pomagać jedynie Żydom, uchodźcom z innych krajów, jeńcom innego niż niemieckie pochodzenia i więźniom obozów koncentracyjnych. Sam pan widzi, że nie należy do żadnej z tych kategorii”.

I tyle w temacie kolejnego wychylenia wahadła. Mimo że „moja strona” wygrała, wciąż prześladował mnie stary pech niedopasowania.

## **Ostrze brzytwy**

Rozczarowała mnie ta niespodziewana odmowa, ale bynajmniej nie miałem poczucia klęski. Nic nie mogło mnie przekonać, że teraz, kiedy skończyła się wojna i nazizm, sprawy nie ułożą się lepiej. Ostatnią komplikację potraktowałem po prostu jako przestrożę, że niczego nie podadzą mi na srebrnej tacy, byłem jednak gotów uczynić wszystko, aby coś w moim



życiu zmienić. Wprawdzie nie miałem na razie żadnych możliwości wyboru, ale wiedziałem jedno: zrobię wszystko, żeby już nigdy nie pracować w niczym warsztacie.

Mimo całej wdzięczności dla matki, która z takim poświęceniem zapewniła mi naukę zawodu, po latach morderczej harówki naprawdę marzyłem o zmianie. Dość już tego hodowania odcisków na palcach, narażania życia i zdrowia w potwornym smrodzie i ogłuszającym hałasie. Za wszelką cenę musiałem, po prostu musiałem, awansować do klasy „białych kołnierzyków”, nie miałem tylko pojęcia, co mógłbym robić. A ponieważ w powojennych Niemczech rządili głównie Amerykanie i Anglicy, doszedłem do wniosku, że moim najwyższym priorytetem powinna stać się porządna nauka języka, gdyż podstawowy angielski nie wystarczy, aby się przebić.

Kupiłem kieszonkowy słownik niemiecko-angielski, który od tej pory stał się moim najwierniejszym towarzyszem. Z początku próbowałem czytać go jak książkę i uczyć się na pamięć słówek w kolejności alfabetycznej. Metoda okazała się nie tylko nudna, ale i całkowicie bezproduktywna. Robiłem minimalne postępy, aż wreszcie zupełnym przypadkiem odkryłem system, który szybko zaczął przynosić fantastyczne rezultaty. Brytyjski żołnierz, z którym zacząłem rozmawiać, dał mi mocno „zaczytany” egzemplarz powieści Williama Somerseta Maughama *Ostrze brzytwy* i uprzedził, że jeśli tylko zacznę czytać, nie będę mógł się oderwać. Próbę podjąłem dopiero po kilku dniach, ale bez powodzenia: już na pierwszej stronie zrozumiałem, jak żałośnie ubogi jest mój zasób słów. W pierwszym odruchu chciałem zrobić to, co Angol uznał za niemożliwe, czyli odłożyć książkę do czasu, aż poduczę się języka, ale po namyśle zacząłem żmudnie sprawdzać każdy wyraz w słowniku, dopóki treść nie nabrała dla mnie sensu. Po przebrnięciu przez pierwszą stronę przeszedłem do następnej i powtórzyłem cały proces. Z początku postępy były irytująco wolne. Czasem zapominałem, co znaczy słowo, które dopiero co sprawdziłem, i znów musiałem szukać go w słowniku. Ale stopniowo akcja zaczęła mnie wciągać i coraz bardziej przejmowały mnie losy młodego Amerykanina, który szukał oświecenia w ośnieżonych górach Indii. Zaczynałem trwale sobie przyswajać słowa i ich znaczenia. W połowie książki – czyli mniej więcej po miesiącu – czytałem już wiele stron bez pomocy słownika.

Aby uzupełnić to, czego nauczyłem się dzięki lekturze, wykorzystywałem każdą okazję do konwersacji z brytyjskimi żołnierzami. Ze zdumieniem zauważyłem, jak szybko wraca do mnie to wszystko, co starał nam się wbić do głów Herr Harden, nasz zniechęcony nauczyciel angielskiego, a co uważałem za bezpowrotnie stracone. Wkrótce moja angielszczyzna nabrała względnej płynności i poczułem się gotów do nowych zadań.

Większości obserwacji związanych z postępującym zbliżeniem brytyjsko-niemieckim dokonywałem z pogwałceniem godziny policyjnej (od zmierzchu do świtu), narzuconej ludności niemieckiej przez brytyjskie władze wojskowe. Zgodnie z tymi przepisami, każdy Niemiec złapany na ulicy po zachodzie słońca podlegał surowym karom – od siedmiu do sześćdziesię-

ciu dni więzienia. Polegając całkowicie na swojej marnej angielszczyźnie i egzotycznym wyglądzie, chodziłem nocami po mieście, jakby godzina policyjna w ogóle mnie nie obowiązywała. Jeśli zatrzymywał mnie brytyjski patrol, mówiłem, że jestem obywatelem Liberii, a więc państwa sprzymierzonego, że lada dzień spodziewam się paszportu i gdy tylko to będzie możliwe, zamierzam wrócić do mojej ojczyzny. I przeważnie na tym się kończyło. Tylko raz mnie zatrzymali, ale kiedy powtórzyłem swoją historyjkę ich zwierzchnikowi, ten przeprosił mnie za przykrość ze strony jego ludzi i puścił wolno.

Po kilku miesiącach przepisy poluzowano i pozwolono Niemcom przebywać poza domem do dziesiątej piętnaście wieczorem. Moje własne wyzwolenie nastąpiło formalnie po dwudziestu jeden dniach od podpisania przez generała Alfreda Jodla bezwarunkowej kapitulacji w dniu 7 maja, co oficjalnie zakończyło działania wojenne. 28 maja aliancki rząd wojskowy odwołał wszystkie nazistowskie przepisy prawne, w tym tak zwane prawa norymberskie, mające na celu „ochronę germańskiej krwi”. Ogłoszono, że „od tej pory nikt nie może czerpać korzyści ze swych związków z NSDAP ani ponosić szkód z powodu swojej rasy, narodowości i wiary”.

### ***Home, sweet home***

Niektórzy mieszkańcy schroniska, zazdroszcząc mi okazjonalnych podarunków w postaci papierosów i żywności, zaczęli robić złośliwe uwagi na temat mojego „bratania się z wrogiem”. Zbyt tchórzliwi, by oskarżyć mnie prosto w oczy, wygłaszali je w obecności matki, kiedy mnie nie było w pobliżu. Kiedy doszło to do moich uszu, powiedziałem Mutti, że najwyraźniej za długo już tu siedzimy i pora się wynieść. Zgodziła się ze mną, a potem zaskoczyła, przekazując ster naszej małej rodzinki w moje ręce. „Teraz ty rządysz. W tej nowej brytyjskiej okupacji zupełnie nie umiem się odnaleźć. Odtąd będziesz podejmował decyzje za nas oboje”. Poczuję się głęboko wzruszony i zaszczycony. Postanowiłem sterować naszą kódką najlepiej, jak potrafię. Pytanie tylko, dokąd moglibyśmy pójść?

Ralph i Egon pocieszali mnie, że prędzej czy później jakaś pomoc się znajdzie. Nie bardzo mnie to przekonywało. Przede wszystkim musiałem jak najszybciej skontaktować się z przedstawicielami rządu Liberii, ale – jak się dowiedziałem – o ustanowieniu konsulatu w Niemczech na razie nie mogło być mowy. Już miałem porzucić nadzieję, że uda się nam znaleźć odpowiednie mieszkanie, kiedy bracia Giordano zapoznali mnie ze starszą wdową, podobno krewną jakiejś dawnej nazistowskiej szychy, która się z nimi zaprzyjaźniła i proponowała pomoc. Natychmiast zgodziła się wynająć nam pokój w swoim domu, niedaleko piwnicy rodziny Giordano: „Możecie z matką tam mieszkać, dopóki nie znajdziecie czegoś lepszego”. Przyjąłem tę ofertę z zadowoleniem i, spakowawszy nasz niewielki dobytek, wynieśliśmy się ze szkoły, która przez całe dwa lata była naszym domem.

Wumeblowanym pokoju na piętrze ledwie mieściło się łóżko, mała sofa, toaletka i szafa, ale dla nas był to raj odnaleziony. Po raz pierwszy od pamiętnego bombardowania cieszyliśmy się luksusem własnej – chociaż niewielkiej – przestrzeni, bez ciągłej obecności obcych. Niestety nasza euforia miała krótki żywot. Szybko stało się jasne, że to, co wzięliśmy za altruistyczny gest, było ze strony naszej gospodyni czystym wyrachowaniem. Podejrzywałem, że jak większość Niemców z nazistowskimi koneksjami, kobieta żyła w śmiertelnym strachu przed tym, co ją czeka ze strony Brytyjczyków. Mając na koncie pomoc ofiarom nazistów, takim jak Giordano i ja, spodziewała się zarobić kilka dodatkowych punktów podczas ewentualnego śledztwa. Kiedy po kilku dniach przekonała się, że Brytyjczycy nie zamierzają traktować nazistów zbyt surowo, przestała się bać i w związku z tym straciła zapał do pomocy. Od razu też zmieniła postawę wobec matki i mnie. Zamiast przyjaznych pozdrowień spotykały nas wrogie spojrzenia i ostentacyjne milczenie. Jeszcze przed upływem miesiąca (za który zapłaciliśmy) gospodyni oznajmiła, że pokój jest jej potrzebny i mamy go jak najszybciej opuścić. Tak bardzo chciała się nas pozbyć, że nawet proponowała zwrot całej sumy, jeśli od razu się wyprowadzimy.

Z czystej rozpaczy – gdyż absolutnie nie zamierzaliśmy wracać do szkoły – ruszyłem na poszukiwanie jakiejś niezamieszkanego piwnicy pod zbombardowanym i opuszczonym budynkiem. Na szczęście udało mi się ją znaleźć, i to zaledwie kilka ulic od domu, z którego zostaliśmy wyrzuceni. Powołując się na niepisane, lecz ogólnie przyjęte prawo pozwalające zajmować opuszczone lokale, natychmiast objęliśmy ją w posiadanie.

Nasz nowy „apartament” miał kilka udogodnień, dzięki którym moglibyśmy go uznać za świetną zdobycz, nawet gdybyśmy musieli za niego płacić. Odkryliśmy w nim czynną spłukiwaną toaletę, bieżącą zimną wodę, światło elektryczne w postaci nieosłoniętej żarówki pod sufitem i drzwi wejściowe, na które dało się założyć kłódkę. Poza tym byli tam wspaniali sąsiedzi – małżeństwo w średnim wieku, mieszkające tuż obok od trzech lat, czyli od czasu bombardowania.

Po złożeniu naszego skromnego dobytku udaliśmy się z matką na „zakup” mebli. Wystarczyło w tym celu przejść się po kilku opuszczonych piwnicach i wybrać spośród pozostawionych tam sprzętów to, co mogło się nam przydać. W ciągu niecałych dwóch godzin skompletowaliśmy umeblowanie w najbardziej eklektycznym stylu: dwie drewniane prycze, cztery różne krzesła, kuchenny stolik na trzech i pół nogach, toaletkę, emaliowaną miednicę bez większości emalii i duży, poważnie wyszczerbiony, ale nadający się do użytku dzbanek na wodę. W ekstatycznym nastroju zasiedliśmy do pierwszego posiłku. Fakt, że jedzenie, przygotowane przez matkę na kuchence elektrycznej, jak zwykle było bez mięsa i składało się tylko z gotowanej kapusty, nie umniejszało w niczym naszej radości.

Do różnych dodatkowych atrakcji naszej rezydencji, należały i te niezbyt przyjemne: pchły. Na szczęście krótko miałem kontakt z tymi małymi krwiopicami, ale zapadły mi one

w pamięć jako najbardziej dokuczliwe stworzenia. Chociaż przed wprowadzeniem się dokładnie wysprzątailiśmy naszą piwnicę, zupełnie nie zauważyliśmy obecności pcheł. Dopiero kiedy zgasiliśmy światło i położyliśmy się spać, zrozumieliśmy, że mamy problem... duży problem. Niczym zaczajone w zasadzce wojsko, opadły nas dosłownie setki insektów. W mgnieniu oka nasze ciała od stóp do głów pokryły się bąblami i plamkami naszej własnej krwi. Całkowicie odporne na tłuczenie z powodu podobnego do zbroi pancerza, kontynuowały żerowanie, chociaż waliliśmy, ile wlezie. Odstraszyć je mogło tylko światło. Dopóki nie zgasiliśmy żarówki i nie przykryliśmy się kocami, dawały nam spokój, toteż woleliśmy palić światło, cierpieć nocny chłód i rozdrapywać swędzące miejsca aż do białego dnia, kiedy to nastawał kres naszej udręki.

Ponieważ nie mieliśmy innego lokum, zdecydowaliśmy, że jeśli ktoś ma się stąd wynieść, będą to pchły, a nie my. Gdy tylko otwarto sklepy, zaopatrzyliśmy się w kilka dużych butelek lizolu i ruszyliśmy na wojnę z sześcionożnymi intruzami. Po całym dniu szorowania i zlania lizolem każdego kąta, szpary oraz większości sprzętów, cała piwnica i my sami śmierdziliśmy niczym fabryka chemikaliów. Czy odór okaże się tak samo nieznośny dla pcheł, mieliśmy się przekonać dopiero w nocy. Zgasiliśmy światło i z zapartym tchem czekaliśmy na kolejny atak. Ale nic się nie stało – nie pokazała się ani jedna pchła. Rano obudziliśmy się bez świeżych ranek i mogliśmy sobie pogratulować kolejnej zwycięskiej batalii.

## **Nowy nieprzyjaciel – głód**

Przez całą wojnę nazistom udawało się zaopatrywać niemieckich cywilów w żywność. Było to możliwe na tak wielką skalę dzięki drakońskim ograniczeniom wprowadzonym w okupowanych krajach i konfiskowaniu lwiej części produkowanej u nich żywności. Dlatego chociaż nie zawsze jadaliśmy zgodnie z upodobaniami, przynajmniej nie groziła nam śmierć głodowa.

Wszystko to zmieniło się wraz z klęską i następującą po niej okupacją Niemiec. Alianci natychmiast wstrzymali dopływ żywności z zagranicy i odtąd byliśmy zdani wyłącznie na własną skromną produkcję rolną. Spowodowało to katastrofalne braki w zaopatrzeniu Hamburga i innych miast; ludzie zaczęli masowo mrzeć z głodu. Po raz pierwszy w życiu poznałem, co to jest prawdziwy głód. Świadomość, że zbieramy teraz owoce polityki Hitlera, nie stanowiła specjalnej pociechy ani dla matki, ani dla mnie. Przy racjach ograniczonych do absolutnego minimum, zbyt małych, by normalnie żyć, a zarazem zbyt dużych, by umrzeć, słabliśmy i chudliśmy w oczach, z każdym dniem popadając w coraz większą apatię. Co gorsza, kupony żywnościowe nie dawały gwarancji, że nawet tę mikroskopijną ilość uda się kupić. Dowiedziawszy się, że do sklepu nadeszły nowe dostawy mięsa, chleba czy ziemniaków, często spędzaliśmy z matką na zmianę długie godziny w kolejkach, aby ostatecznie odejść z kwitkiem, bo wszystko zostało już sprzedane. Trudno opisać uczucia zawodu, gniewu, pa-

niki i bezradności, jakie nas wtedy ogarniały, w połączeniu ze świadomością straconego czasu i resztek energii. Czasem, wycieńczeni fizycznie i psychicznie, nie mieliśmy już siły ustawić się w następnej kolejce. Nasze długo pielęgnowane przekonanie, że większość kłopotów skończy się wraz z zakończeniem wojny, musiało pierzchnąć w obliczu twardej rzeczywistości. Nagle ironia losu, który kazał mi przetrwać hitlerowskie prześladowanie i naloty aliantów tylko po to, bym umarł z głodu w czasie pokoju, stanęła mi przed oczami jako autentyczna możliwość.

W tym powojennym okresie nic nie wywarło na nas tak wyniszczającego i otepiającego efektu jak ten nieustanny głód. Nie dawał nam spać w nocy i uniemożliwiał jakiegokolwiek działanie w ciągu dnia. Jeśli już udało się zasnąć, często śniło nam się – jakżeby inaczej – jedzenie. W takim śnie siedziałem zwykle przy suto zastawionym stole, gotów do pochłonięcia takiego czy innego dania, ale zanim doniosłem pierwszy kęs do ust, następowało gwałtowne przebudzenie. Przez kilka dni budziliśmy się z opuchniętymi i paskudnie zniekształconymi twarzami, co Mutti zdiagnozowała jako obrzęk głodowy – nagromadzenie płynów, spowodowane przez dietę złożoną wyłącznie z gotowanej kapusty i skrajny brak białka. Raz, kiedy stałem w zatłoczonej kolejce podziemnej, tuż przed moją stacją zrobiło mi się ciemno przed oczami – coś, co nigdy dotąd mi się nie przydarzyło. Rozpaczliwie starając się nie dać publicznego przedstawienia i nie upaść, oparłem się plecami o ścianę i zwarłem nogi, zanim straciłem przytomność. Kiedy się ocknałem, odkryłem ze zdumieniem, że nadal stoję i tylko przejechałem swoją stację.

Raz zatrzymał mnie kierowca ciężarówki i zapytał, czy nie pomógłbym mu rozładować wozu, zapchanego po dach kartonami oleju jadalnego, oferując zapłatę w postaci jednej butelki. Ponieważ słabo się czułem, a poza tym nie chciałem popłamić swojego najlepszego – i jedyne – ubrania, w pierwszej chwili odmówiłem. Ale po namyśle zmieniłem zdanie. Olej, podobnie jak masło i inne tłuszcze, należał do najmniej dostępnych, a więc najbardziej pożądanym produktów i matka z pewnością znajdzie dla niego dobre zastosowanie.

Kiedy w samo południe upalnego dnia taszczyłem w pocie czoła jeden karton za drugim, czułem już na języku smak smażonych na oleju ziemniaków, którymi zamierzałem sprawić matce niespodziankę. Po kilku godzinach morderczej harówki odebrałem wreszcie swoją butelkę i triumfalnie wręczyłem ją matce. Kazała mi odpocząć, a sama zaczęła obierać ziemniaki. Ale już w chwili gdy pierwsza kropla oleju spadła na rozgrzaną patelnię, nasza radość zmieniła się w gorzki zawód. Zamiast apetycznego aromatu, piwnicę wypełnił gęsty żółty dym. Z bólem serca zrozumiałem, że zostałem wystawiony do wiatru: „olej jadalny”, na który tak ciężko pracowałem, okazał się przemysłowym, czyli zupełnie nie nadawał się do celów kulinarnych. Dysząc chęcią zemsty, pognałem do magazynu, w nadziei, że zastanę oszusta, ale zobaczyłem tylko zamknięte na głucho drzwi i ani śladu ciężarówki.

Pewnego dnia, kiedy nasz głód sięgnął szczytu, Mutti oznajmiła, że wraz z czterema przyjaciółkami, między innymi niezmordowaną Lisbeth, postanowiły połączyć swe skromne zapasy i upiec prawdziwy rarytas – słynne ciasto „tyle, ile”. Wszyscy z niecierpliwością czekaliśmy na sobotnie popołudnie, bo właśnie tego dnia w ocalałym mieszkaniu jednej z pań miała się odbyć owa uczta.

Wreszcie nadszedł wielki dzień. Zaraz po pracy wszystkie panie zebrały się w kuchni i zaczęły odmierzać i mieszać składniki, fałszując nieco przepis, gdyż tego i owego im brakowało, więc musiały użyć substytutu. Każde z nas dołożyło do puli po jednym jajku, które stanowiło trzymiesięczny przydział. W chwili gdy rozkosznie pachnące, bładożółte ciasto było gotowe do pieczenia, ktoś wpadł na pomysł, że aby uzyskać naprawdę perfekcyjny wyrób, należy jeszcze dodać odrobinę olejku waniliowego. Kiedy ja z Mutti i resztą pań wyruszyliśmy na poszukiwanie brakującego składnika, Lisbeth postanowiła zostać, żeby doprowadzić kuchnię do porządku. Wróciliśmy po godzinie, zupełnie nieprzygotowani na to, co zobaczyliśmy.

Przy kuchennym stole siedziała zapłakana Lisbeth, a wokół niej piętrzyły się brudne naczynia. Z początku z jej płaczliwego monologu nie mogliśmy nic zrozumieć, poza powtarzającymi w kółko słowami „Okropnie mi przykro”. Stopniowo jednak dotarła do nas straszliwa prawda, zwłaszcza gdy ujrzelśmy, że blacha z bezcennym ciastem jest nie tylko pusta, ale wręcz błyszcząca czystością. W urywanych słowach, wśród łkań i pociągania nosem, Lisbeth przyznała, że zaraz po naszym wyjściu zabrała się do sprzątanego, ale popełniła błąd: pozwoliła sobie spróbować łyżeczkę ciasta. Po jednej łyżeczce nastąpiła druga, a potem trzecia, aż wreszcie Lisbeth kompletnie straciła głowę.

– Naprawdę się starałam, ale po prostu nie mogłam przestać jeść. Tak strasznie byłam głodna...

Wszyscy zaniemówili, ale z każdą minutą wzbierała w nas coraz większa złość.

– Najlepiej wyjdź stąd, Lisbeth – odezwała się moja matka – bo jesteśmy tacy głodni i wściekli, że nie ręczymy za siebie. W tej chwili mamy ochotę cię zabić.

Lisbeth złapała swoje rzeczy i wypadła za drzwi. Ledwie wyszła, wszystkie kobiety dały upust swemu rozczarowaniu i złości, lejąc potoki łez i sypiąc inwektywami, wśród których *gemeines Luder* (wredna suka) należało do najpochlebniejszych. Ja nie płakałem, ale wściekłość też podsunęła mi kilka starannie dobranych słówek, których nie odważyłem się wymówić w obecności Mutti. Chociaż wtedy nikt z nas nie mógłby dostrzec w owej sytuacji ani odrobiny humoru, po wielu latach, kiedy znów mieliśmy w bród jedzenia, wyczyn Lisbeth stał się jedną z najśmieszniejszych historii w repertuarze Mutti.

To właśnie w tamtym czasie stałem kiedyś w mieście na skrzyżowaniu, czekając na zmianę świateł. Trzęsąc się w moim cienkim, poprzecieranym płaszczu, zastanawiałem się, jak uciszyć burczenie mojego pustego brzucha.

– Co jest, chłopie? – przerwał mi smętne myśli jakiś tubalny głos.

Obejrzałem się ze zdumieniem. Z wojskowej ciężarówki amerykańskiej, która zatrzymała się przy krawężniku, zeskoczył czarnoskóry żołnierz w sfatygowanym połowym mundurze. Pierwszy amerykański „brat” w moim dwudziestoletnim życiu! Doktor Livingstone nie mógł czuć większej euforii na widok Stanleya niż ja na widok tego cudzoziemca z drugiego kontynentu.

– Co u licha robisz między tymi szkopami? – zapytał.

Skwapliwie wyjaśniłem mu moją świeżą angielszczyznę, że te szkopy to moi autentyczni rodacy, a Hamburg jest moim rodzinnym miastem.

– Gdzie byłeś w czasie wojny? – chciał wiedzieć żołnierz.

– Tutaj.

Rozejrzał się ze zdumieniem po ruinach, następnie przeniósł wzrok na moje znoszone, typowo niemieckie ubranie.

– A teraz jak ci leci? Pewnie nadal nieklawo.

Całkowicie się z nim zgodziłem.

Poprosił, żebym chwilę poczekał, i wrócił na ciężarówkę. Po minucie wyłonił się z hełmem wypchnionym po brzegi tabliczkami czekolady, racjami C<sup>16</sup> i papierosami.

– Założę się, że ci się to przyda – odgadł, chociaż wcale mu nie mówiłem, że słabo mi z głodu. – Na jakiś czas powinno wystarczyć.

Niezdolny wyrazić słowami, co czuję, upychałem te skarby po kieszeniach na oczach przechodniów, którzy śledzili każdy mój ruch. Miałem chęć paść na kolana przed moim czarnym Samarytaninem, ale zanim zdołałem wykrztusić jakieś słowo, wszedł do ciężarówki i pomachał mi ręką.

– Trzym się, chłopie – zawołał i tyle go widziałem.

W ciągu tych kilku minut po raz pierwszy przyszła mi do głowy podyktowana sentymentem myśl, żeby wyjechać z Niemiec i poznać „swojaków” ze Stanów Zjednoczonych. Niewątpliwie mój pusty żołądek walnie się do tej decyzji przyczynił.

Podobnie jak niedostatek żywności, ogromne znaczenie miał dla nas brak węgla i innego opału. Aby uzupełnić skromne przydziały, zdesperowane hordy mężczyzn, kobiet i dzieci kłębiły się jak szarańcza przy stojących pociągach z węglem, placach załadunkowych i innych miejscach, gdzie istniała szansa na napełnienie worka, kubła czy koszyka. Kończyło się to często konfrontacją z policją, która ze wszystkich sił starała się powstrzymać proceder podkradania opału. My z matką – chociaż przydziały węgla zupełnie nie wystarczały na nasze potrzeby – postanowiliśmy jednak nie zdobywać opału w nielegalny sposób. Podjęliśmy tę decyzję po tym, jak o mało nie daliśmy się wciągnąć w walkę między policją a złodziejami, w której obie strony poniosły poważne straty. W razie potrzeby – uznaliśmy – lepiej zwinąć się w koce, niż narażać na utratę ręki czy nogi.

Jako nieuchronny skutek braków tak istotnych środków jak żywność i opał, szybko dał o sobie znać rozwój czarnego rynku. Tam dosłownie wszystko – od produktów żywnościowych do papierosów i ubrań – można było pozyskać w drodze wymiany na biżuterię, aparaty fotograficzne, lornetki, akordeony czy inne cenne przedmioty, które niektórym ludziom udało się przechować przez całą wojnę. Już w kilka dni po wkroczeniu Brytyjczyków widziałem, jak gałęzie tej nowej, lotnej siły ekonomicznej, wyrastają na rogach ulic, w parkach i skwerach całego miasta. Ponieważ w Niemczech wstrzymano produkcję wyrobów tytoniowych, angielskie i amerykańskie papierosy szybko wypełniły próżnię, stając się nową czarnorynkową walutą po astronomicznym kursie: jeden papieros równał się 5 markom.

Mimo absolutnie nielegalnego charakteru czarnorynkowego procederu, niewielu jego uczestników należało do przestępczego świata rodem z filmów kryminalnych. Większość tych, których zaobserwowałem przy ukradkowej wymianie, wywodziła się spośród skądinąd praworządnych obywateli, zdecydowanych poświęcić rodzinne pamiątki, by chociaż trochę rozjaśnić swoją nędzną egzystencję okazjonalnym dymkiem z papierosa, puszką wołowiny, paroma filiżankami kawy czy tabliczką czekolady. Poza tym istnieli też dostawcy-amatorzy, brytyjscy żołnierze. Ci z kolei szukali okazji do zakupu upominków z Niemiec za cenę kilku paczek ściśle racjonowanych papierosów.

Prawdziwymi rekinami czarnego rynku, pełnowymiarowymi graczami byli za to pozabawieni zasad moralnych Niemcy, których tajne magazyny przyjmowały ładunki papierosów od równie niemoralnych brytyjskich zaopatrzeniowców, celem ich dalszej dystrybucji. Łatwo rozpoznawalni w swoich długich skórzanych płaszczach i olbrzymich złotych zegarkach, uchodzili za bezwzględnych. Dysponowali całą armią ulicznych sprzedawców, którzy zbywali towar z maksymalnym zyskiem. Ponieważ nigdy nie paliłem ani nie posiadałem żadnych kosztowności do ewentualnej wymiany na żywność, czarny rynek z początku w ogóle mnie nie interesował.

Chociaż nigdy formalnie nie zrezygnowałem z pracy u Maxa Roepkego, nie zamierzałem tam wracać. Alianci unieważnili nazistowskie przepisy o obowiązku pracy, a ja zdecydowałem się porzucić na dobre zatłuszczony kombinezon mechanika i poszukać szczęścia w jakimś nowym zawodzie. Ufałem, że w nowej epoce alianckiej okupacji mój kolor skóry nie będzie już żadną przeszkodą i że tak czy inaczej znajdę sposób, by zarobić na chleb dla siebie i matki.

## **Mój pierwszy występ**

Nadal poszukiwałem jakiejś okazji, kiedy pewnego dnia spotkałem Herr Giordano. Pochwalił się, że pracuje jako pianista w Służbach Socjalnych Armii Brytyjskiej, więc mimochodem wspomniałem mu, że też jestem kimś w rodzaju muzyka i że kiedyś uczyłem się grać na



klarnecie. „To może cię zainteresuje, że Brytyjczycy wciąż szukają muzyków do zabawiania swoich żołnierzy” – podchwycił żywo i zaczął mnie namawiać na przesłuchanie.

Przyznałem się, że daleko mi do zawodowca, on jednak upierał się, że nie mogę być gorszy od różnych beztalenci, których tam zatrudniają. Nie byłem tego taki pewien, ale ostatecznie, przy pustej kieszeni i żołądku, co miałem do stracenia? Tak więc na drugi dzień odkurzyłem mój stary poczciwy „kij”, którego nie tykałem od miesiący, i zgodnie z radą Herr Giordano, udałem się do Hamburger Staatstheater naprzeciwko Hauptbahnhof. Tam wmieściłem się w tłum muzyków, którzy kłębili się przed wejściem w nadziei na popołudniowy występ. Była to zbieranina, której odzież widziała lepsze dni i w najlepszym razie można by ją uznać za wyświechtaną elegancję. Ja też miałem na sobie dobrze znoszony garnitur i zdarte buty, więc przynajmniej tym razem nikt nie mógł mi zarzucić, że odstaję od reszty.

Pan Giordano, którego wypatrzyłem w tłumie, zapoznał mnie z procedurą zatrudniania. Codziennie w południe Brytyjczycy wybierają pewną liczbę dwunastoosobowych składów różnych instrumentów. „Jak zawołają: «Klarnet!», podnosisz rękę. Jeśli będziesz miał szczęście, to cię wezmą. Po występie zapłacą ci kilkoma papierosami, a czasem dostaniesz herbatę i kanapki. Mnie na razie poszczęściło się tylko dwa razy, bo pianistów tu na pęczki.”

Po godzinie oczekiwania podjechała okryta brezentem wojskowa lora i oficer zaczął wywoływać instrumenty do bandu. Kiedy zebrał dwunastu z tych, którzy podnieśli ręce, kazał im wsiadać do ciężarówka i bez żadnego przesłuchania zawiózł całą grupę do jednego z wielu garnizonów w mieście czy na obrzeżach, gdzie mieli dostarczyć żołnierzom popołudniowej rozrywki.

Ku mojemu zdumieniu, znalazłem się już w drugim składzie. Zrobiło mi się przykro, kiedy ciężarówka ruszyła, a Herr Giordano nadal cierpliwie stał pod teatrem. Miałem nadzieję, że jemu też się uda, teraz jednak miałem pilniejsze zmartwienia. Jakby tu wykiwać innych muzyków i wyjść na zawodowca? Im bardziej ciężarówka zbliżała się do celu, jakiegoś wojskowego obiektu koło hamburskiego lotniska, obsadzonego przez kilka setek brytyjskich szeregowców, tym mocniej żałowałem, że dałem się w to wciągnąć. Ale już nie było odwrotu.

Kiedy dotarliśmy do obozu, zaprowadzono nas do gigantycznego audytorium z blachy falistej, osadzonego na drewnianej platformie. Oficer, który nas eskortował, zapowiedział, że koncert ma się zacząć punktualnie o trzeciej. Mielśmy więc około pół godziny na ustawienie się, nastrojenie instrumentów i zorganizowanie, nie wspominając o próbie. Oficer rozdał nam kilka arkuszy nut popularnych brytyjskich i amerykańskich przebojów i polecił wybrać szefa zespołu. Nasz jednomyślny wybór padł na najstarszego członka grupy, niskiego, brzuchatego okularnika, grającego na saksofonie i klarnecie. Miał około sześćdziesięciu pięciu lat, siwe, rzędzące włosy i na tyle duży autorytet, że wszyscy nazywali go kapelmistrzem Fullerem. Podobno kiedyś miał własną orkiestrę.

Wkrótce audytorium zaczęło wypełniać się żołnierzami. Po krótkiej zapowiedzi oficera nasz zespół zagrział słynną aranżacją Glenna Millera melodii *In the Mood*, która szybko podbiła całe Niemcy. Wypadło to lepiej, niż można by oczekiwać w tych warunkach, ale wyraźnie widziałem, że bez względu na votum zaufania Herr Giordana, jestem najsłabszym ogniwiem tego muzycznego łańcucha.

Siedziałem w pierwszym rzędzie pomiędzy kapelmistrzem Fullerem a młodym, zarozumiałym saksofonistą tenorowym, który dopiero co zabłysnął wspaniałą solówką. Bynajmniej nie wzmocniło to mojej pewności siebie. Dlatego kiedy z powodu przesuszzonego stroika mój klarnet wydał z siebie jakiś świński kwik w samym środku *At Last*, z trudem powstrzymałem się od wyjścia, zanim mnie wyrzucą. Ale zamiast udzielić mi nagany czy wykpić, Herr Fuller mrugnął do mnie zachęcająco. „Nie przejmuj się, chłopcze – pocieszył mnie w przerwie. – Dasz radę”. Nawet Addi Wulf, ten zarozumiały saksofonista, rzucił mi kilka słów zachęty. I tak dzięki moralnemu wsparciu kolegów mój pierwszy występ stał się faktem.

Zaraz po koncercie zaproszono wszystkich muzyków do długiego stołu, zastawionego kanapkami z puszystego białego chleba i dzbankami słodkiej herbaty ze śmietanką. Zapowiedziano, że możemy jeść, ile dusza zapragnie, ale w tym stanie wygłodzenia nie potrzebowaliśmy żadnej zachęty. I chociaż nikt nie wspomniał o wynagrodzeniu, czułem się w pełni usatysfakcjonowany, zwłaszcza że mogłem zabrać torbę kanapek dla Mutti.

Następnego dnia znów wyruszyłem pod teatr. Znów zostałem wybrany; polecono mi grać w tej samej grupie, co wczoraj, i od tej pory się jej trzymać. W rezultacie okazało się, że zamiast być codziennie zdany na łaskę losu, mam stałą pracę! Mimo śmiesznie niskiej płacy i dalekich od ideału warunków, byłem szczęśliwy jak skowronek. Miałem dostęp do jedzenia i w moim życiu nastąpił istotny przełom – awans od brudnego kombinezonu do „białego kołnierzyka”. Tym razem wahadło rzeczywiście wychyliło się w moją stronę.

Pewnego wieczoru, kiedy po występie wróciliśmy do teatru, Herr Fuller złożył mi zaskakującą propozycję: „Masz zadatki na dobrego muzyka, ale sam wiesz: musisz jeszcze sporo się nauczyć. Jeśli chcesz, mogę ci dawać lekcje gry na klarnecie i saksofonie”. Zaproponował nawet, że dostarczy mi saksofon altowy Es, ponieważ ja dysponowałem tylko klarnetem w stroju B. Kiedy zapytałem, ile by mnie te lekcje kosztowały, odpowiedział: „Nic. Tylko obiecaj, że naprawdę dasz z siebie wszystko”. Nie do końca rozumiałem, skąd taka hojna oferta, ale byłem tak uszczęśliwiony moim Wielkim Przełomem, że od razu się zgodziłem, nie zwracając sobie głowy pytaniem, czemu Herr Fuller okazuje tyle dobroci komuś, kogo prawie nie zna.

Następne miesiące upłynęły mi na intensywnych, graniczących z obsesją studiach muzycznych pod surowym kierunkiem mojego nowego mentora. Poza codziennymi popołudniowymi występami w brytyjskich obozach, spędzałem długie godziny w naszym piwnicznym „apartamencie”, ćwicząc szeroko zakrojony repertuar, od słynnej kadencji w *Lekkiej kawale-*

rii Franza von Suppégo do saksofonowej solówki w tonacji Es w *In the Mood* w aranżacji Glenna Millera – słowem wszystko, co polecił mi Fuller – dopóki nie wyszło mi idealnie. Dwa razy w tygodniu chodziłem do skromnego mieszkanka *maestra* na dwugodzinne sesje, podczas których oceniał moje postępy, uczył mnie i wyznaczał nowe utwory do ćwiczeń.

Pewnego dnia, kiedy po skończonej lekcji szykowałem się do wyjścia, Herr Fuller zdradzał jakąś niezwykłą nerwowość. „Chciałbym przedyskutować z tobą pewną sprawę, jeśli pozwolisz” – powiedział z wyraźnym skrępowaniem. Przerywając co pewien czas, jakby szukał odpowiednich słów, wyjaśnił mi, że krótko przed wojną, aby uzyskać certyfikat kapelmistrza, zdecydował się wstąpić do NSDAP. Kiedy wybuchła wojna, został wcielony do Luftwaffe w randze porucznika i dyrygenta zespołu koncertowego. Przez cały okres tej służby wykonywał wyłącznie obowiązki muzyka i nie zajmował się polityką.

Niestety w związku z tym, że alianci ogłosili rozległy program denazyfikacji, zmuszony jest prosić mnie o wielką przysługę. Czy zechciałbym podpisać oświadczenie, że jest starym przyjacielem mojej rodziny i używał swoich wpływów do „złagodzenia mojej sytuacji, jako osoby objętej prześladowaniem na podstawie rasowych praw norymberskich”?

W pierwszej chwili aż się wzdrygnąłem. Mam kłamać, żeby pomóc naziście wykreślić się sianem od kary? To ostatnia rzecz, jaka przyszyłaby mi do głowy. Ale patrząc na żalosego starszego pana, który w krótkim okresie naszej znajomości stał się dla mnie jak ojciec, zacząłem się wahać. Program denazyfikacyjny rządu wojskowego w Hamburgu już zdążył dorobić się opinii jednej wielkiej farsy, skoro najważniejszym dostojnikom udało się wyjść z opresji tylko z symboliczną karą. Taki Herr Fuller był tylko zwykłym pionkiem, a nie poszukiwanym zbrodniarzem wojennym. Kiedy uświadomiłem sobie, ile już dla mnie zrobił, umożliwiając dzięki swoim lekcjom start do nowego życia, podczas gdy alianccy „wyzwoliciele” nie kiwnęli nawet palcem, ostatecznie zgodziłem się naciągnąć nieco prawdę i podpisać oświadczenie. Nawet biorąc pod uwagę, że jednak Herr Fuller nie kierował się czystym altruizmem, czułem, że ten człowiek naprawdę lubi mnie tak samo, jak ja jego, a jego zainteresowanie moją osobą jest szczere.

Sprawy układały się coraz lepiej nie tylko dla mnie, ale także dla matki. Od dawnych koleżanek ze szpitala dowiedziała się, że osoby zwolnione przez nazistów z przyczyn politycznych mogą aplikować o przywrócenie do pracy. Napisała więc stosowne podanie i już po kilku dniach zawiadomiono ją, że może odzyskać dawną posadę. Po trzynastu latach wróciła do swojej ukochanej kliniki laryngologicznej, gdzie wszyscy powitali ją z otwartymi ramionami. Nie wrócił tam za to jeden z jej dawnych współpracowników i bliskich przyjaciół, Walter Schmedemann, socjaldemokrata, ojciec małej Eriki, który za swoją antynazistowską działalność odsiedział kilka lat w obozie koncentracyjnym. W jednych z pierwszych wyborów, ogłoszonych w demokratycznych Niemczech Zachodnich, wybrano go do hamburskiego senatu.

## Obrabowani

Ledwie zdążyliśmy z matką pomyśleć, że skoro oboje mamy pracę i jakie takie dochody, to złe czasy są już za nami, spadł na nas tak straszny cios, że nasze morale spadło znów niemal do zera.

Był wczesny wieczór. Wracalem właśnie z występu w obozie wojskowym, kiedy kilka ulic od naszej piwnicy zobaczyłem biegnącą naprzeciw mnie matkę z twarzą zalaną łzami. Z początku w ogóle nie mogłem zrozumieć, co do mnie wykrzykiwała wśród szlochów. Stopniowo jednak zaczęła się uspokajać i wtedy dotarło do mnie to, co powtarzała w kółko:

– Wszystko zniknęło!

Dopiero po jakimś czasie pojąłem, co próbuje mi przekazać: że po raz kolejny straciliśmy cały dobytek – ubrania, buty, pościel, koce, naczynia – wszystko, co z takim trudem zgromadziliśmy po zburzeniu naszego domu. Ale tym razem nie zawiniły nieprzyjacielskie bomby, tylko nasi własni rodacy.

Matka opowiedziała mi, cały czas łkając, że kiedy zaledwie piętnaście minut temu wróciła ze szpitala, zastała wyłamaną kłódkę i piwnicę całkowicie splądrowaną. Najwyraźniej ktoś, może sąsiad, zorientował się, że w ciągu dnia nikogo tam nie ma i skorzystał z okazji. Małżeństwo z sąsiedniej piwnicy nic nie widziało ani nie słyszało. Trzy lata temu zostaliśmy po bombardowaniu przynajmniej z czterema walizkami, teraz mieliśmy tylko to, co na sobie. Na szczęście klarnet i saksofon miałem ze sobą.

W pierwszej chwili chcieliśmy zgłosić włamanie na policji, ale po namyśle uznaliśmy to za bezcelowe. Słyszeliśmy przecież o licznych przypadkach okradania prowizorycznych schronisk i obojętności policji, której nie chciało się ścigać przestępców. A ponieważ mieliśmy powody przypuszczać, że prędzej czy później złodziej wróci w to samo miejsce, zdecydowaliśmy, że trzeba się stąd jak najszybciej wynieść. Zanim jednak zdążyliśmy całkowicie pograćzyć się w rozpacz, odwiedził nas Egon Giordano z dobrą wiadomością, która mocno podniosła nas na duchu: otóż brytyjski rząd wojskowy zarekwirował dla jego rodziny duże mieszkanie w willi w Blankenese, więc nie potrzebują już piwnicy przy Diesterwegstrasse. Jeśli mamy ochotę, z przyjemnością ją nam przekażą.

Dzięki złodziejowi przeprowadzka do nowego domu – około piętnastu minut piechotą – okazała się nadzwyczaj prosta, bo nie mieliśmy nic do zabrania. Nowy „apartament” był tak samo pozbawiony wygód, jak poprzedni, ale przynajmniej miał drzwi, które dawało się zaryglować, a obok mieszkała wyjątkowo życzliwa i godna zaufania czteroosobowa rodzina.

Krótko po przeprowadzce zrobiłem zaskakujące odkrycie. Mniej więcej sto metrów od wejścia do naszej piwnicy zobaczyłem grupkę mężczyzn, która wybierała cegły z pobliskich ruin i po oczyszczeniu z zaprawy układała je w stosy o wysokości człowieka. Moją ciekawość wzbudził fakt, że zważywszy na rodzaj pracy, wszyscy byli nieodpowiednio ubrani – mieli na sobie garnitury i płaszcze, niektórzy nawet krawaty. Po bliższym przyjrzeniu rozpo-

znałem w jednym siwowłosym panu mojego dawnego szefa, dyrektora fabryki wyrobów gumowych. Kiedy ostatni raz nasze drogi się skrzyżowały, powiedział mi, że jeśli nie zmienię mojego bulwersującego zachowania, będzie musiał oddać mnie pod opiekę Gestapo. Teraz karty zdecydowanie się odwróciły.

Najwyraźniej on i jego współpracownicy zostali ujęci w pierwszej fali denazyfikacji i jak wiele innych osób o nieczystej kartotece, skierowani w ramach kary do służby na rzecz społeczeństwa. Chociaż praca wyglądała na względnie lekką w porównaniu z moją harówką przy czyszczeniu bojlerów, wyczuwałem upokorzenie dawnego dyrektora, który na mój widok od razu odwrócił wzrok. Ponieważ nie miałem powodu dokładać mu przykrości, obróciłem się na pięcie i odszedłem, zostawiając całą grupę ich własnemu sumieniu. Kiedy wieczorem przechodziłem koło tego miejsca, nie było już śladu ani po tych ludziach, ani po stosach cegieł.

## **Fred Gass**

Odbywając w wolnym czasie poranny spacer po mojej nowej okolicy (morze ruin plus jeden czteropiętrowy budynek, który przetrwał wojnę), natknąłem się na drobnego faceta z cieniutkim jak ołówek wąsikiem i długich, zaczesanych do tyłu czarnych włosach. Wydał mi się dziwnie znajomy, a po bliższym przyjrzeniu rozpoznałem w nim stałego bywalca Café König. Tyle że w tamtych czasach miał na sobie mundur kaprała armii niemieckiej i nosił rękę na temblaku. Teraz paradował w nieskazitelnym garniturze przedwojennej jakości, złożonym z eleganckiej marynarki w kratę księcia Walii, brunatnych gabardynowych spodni i stylowych jasnobrązowych butów na słoninie.

„Kopę lat, *amigo* – zagałę rozmowę. – Widzę, że i ty przeżyłeś wojnę.” Wymieniliśmy uwagi na temat starych dobrych czasów w Café König, po czym Fred Gass wyjaśnił mi, że kiedy widywałem go w naszej ulubionej melinie, leczył się jeszcze z obrażeń zadanych przez rosyjski szrapnel, który urwał mu środkowy palec lewej ręki. „Nadal mam tę pamiątkę” – dodał, pokazując mi dłoni o czterech palcach.

Podczas tej wycieczki w krainę wspomnień dowiedziałem się, że Fred mieszka w pobliżu ze starymi rodzicami, w budynku, który ocalał z bombardowań. Przed wojną pracował jako *boy* w prestiżowym kinie Waterloo, gdzie odbywały się premiery z osobistym udziałem znanych gwiazd. Często miał okazję oddawać usługi prominentnym osobistościom, sprzedając im bilety już po zamknięciu kasy. W rezultacie nadal ma znakomite układy i jeśli może coś dla mnie zrobić, to mam się nie wahać, tylko od razu dać mu znać. Prześliznąwszy się pogardliwym spojrzeniem po moim wyświechtanym ubraniu, zasugerował na początek, że gdyby mnie interesowało podniesienie jakości garderoby, to właśnie trafiłem na odpowiedniego człowieka: „Mogę ci załatwić świetny nowy garnitur za względnie małe pieniądze”.

To mnie naprawdę zainteresowało, ponieważ podczas kradzieży straciłem dwa garnitury. Doceniając jakość ubrania Freda, zrozumiałem, że jeśli ktoś ma dostęp do wysokogatunkowej odzieży, to z pewnością jest to mój nowy znajomy. Umówiliśmy się na następny dzień, żeby popchnąć sprawę do przodu, jednak nazajutrz Fredowi nie udało się skontaktować z „człowiekiem od garniturów”, podobnie w ciągu kolejnych kilku dni. Wprawdzie nie chciałem rozstawać się z marzeniem o eleganckim ubraniu, ale w końcu musiałem przyznać, że Fred, chociaż niewątpliwie uroczy, jest tak niezawodny, jak pogoda w kwietniu.

W normalnych okolicznościach skorzystałbym z pierwszej okazji, by kazać mu się wypchać. Ale ponieważ trzymaliśmy się razem od kilku tygodni, Fred przywykł do mojego towarzystwa, ja zaś musiałem przyznać, że mimo tych krętałów zdążyłem go polubić. Kiedy zrozumiałem, że bez względu na jego dobre intencje, nie powinienem nigdy na nim polegać, nasze wzajemne stosunki układały się świetnie, gdyż bardzo sobie ceniłem jego pomysłość, oryginalność, dowcip i talenty towarzyskie. Zresztą ja także miałem mu coś do zaofiarowania. Wkrótce doszedłem do wniosku, że Fred chętnie grzał się w moim blasku tam, gdzie mój egzotyczny wygląd przyciągał uwagę. W rezultacie stworzyliśmy symbiotyczny tandem, w którym każdy z nas był wart, że tak powiem, swoich pieniędzy.

To sprawdziło się szczególnie wobec niezaprzeczalnego talentu Freda do nawiązywania kontaktów z atrakcyjnymi kobietami. Niczym generał szykujący się do wojny, Fred nigdy nie przystępował do batalii bez planu, jeśli obiekt naprawdę wart był grzechu. Na przykład w deszczowy dzień ustawiał się z parasolem pod budynkiem biurowym w porze końca pracy i pilnie rozglądał za damulkami w potrzebie. Gdy tylko któraś przypadła mu do gustu, proponował, że odprowadzi ją na przystanek czy gdzie tam się wybierała. Te, które zdecydowały się skorzystać, szybko ulegały jego urokowi i przeważnie zgadzały się na następne spotkanie.

Ponieważ Fred umawiał się zwykle na więcej randek, niż mógł obsłużyć, pozwalał mi korzystać z superaty. W takim przypadku opisywał mi wygląd dziewczyny, podawał adres, a jeśli po przyjściu na miejsce uznałem, że obiekt mi odpowiada, wkraczałem na scenę. Tłumaczyłem, że Fredowi coś nagle wypadło i prosił, abym go zastąpił. Dziewczyna zwykle wolała pogodzić się z sytuacją niż z faktem, że została wystawiona do wiatru.

Nawet jeśli Fred sporo przesadzał, to w kwestii swoich koneksji wykazywał się nietypową skromnością. Gdziekolwiek szliśmy, pozdrawiali go hamburscy prominenci, w tym gwiazdy sceny i ekranu, osobistości z radia i inni, którzy pamiętali go z czasów Waterloo. Przy każdym takim spotkaniu częstował hojnie papierosami po 5 marek za sztukę, chociaż nie zauważyłem, by miał jakieś konkretne źródła utrzymania.

Przesiadywanie z Fredem w Faun Barze i Haus Vaterland, dwóch prestiżowych nocnych klubach, które przetrwały wojnę, stało się moją ulubioną rozrywką w czasie wolnym od zajęć muzycznych. Zawsze spotykaliśmy się przy jednym z najbardziej widocznych stolików w pobliżu orkiestry. Nieodmiennie przyłączały się do nas różne egzotyczne typy, jak Pallah

Tuba, smagły, zniewalająco przystojny playboy z Iranu, którego starsi bracia zajmowali się importem orientalnych dywanów, czy Coo-koo, młody Kubańczyk, także zawdzięczający swój swobodny styl życia dobrze prosperującej, pracującej rodzinie. Obaj słabo mówili po niemiecku, toteż nasze konwersacje (jeśli w ogóle można je tak nazwać) były kompletnie pozbawione intelektualnych treści. Koncentrowali się głównie na najnowszych trendach w muzyce amerykańskiej, modzie i *last but not least* na tym, która z dziewcząt nadaje się na obiekt ewentualnego podboju. Od czasu do czasu pojawiał się przy naszym stoliku Hugo Zeisse, jedyny prawdziwy kapitalista w naszej grupie. Ten wysoki, nieskazitelnie ubrany młody człowiek, którego poznałem już w czasie wojny, pracował w firmie maklerskiej swojego ojca. Jako że ojciec, Tom Zeisse, pochodził z Anglii, w kwestii manier i stylu zdawaliśmy się całkowicie na syna. Hugo jeździł mercedesem i mieszkał z rodzicami w wytwornym domu w Fuhlsbüttel. Słowem, obracał się w świecie, do którego obaj z Fredem mogliśmy najwyżej aspirować.

W świetle naszych skromnych warunków – Fred mieszkał w malutkim mieszkanku w robotniczej dzielnicy, a ja w piwnicy, której dach przeciekał przy każdym deszczu – niezmiernie bawił mnie nasz wizerunek w oczach kawiarnianego towarzystwa i zainteresowanie, jakie wzbudzaliśmy. Żeby podtrzymać tę fikcję, Fred potrafił posunąć się naprawdę daleko. Raz wybieraliśmy się akurat na podwójną „gorącą” randkę, kiedy trzy przecznice od Haus Vaterland mój przyjaciel zatrzymał elegancki samochód z dystyngowanym panem za kierownicą. Wyciągnąwszy trzy papierosy, zapytał owego dżentelmena, czyby nas nie podwiózł do Haus Vaterland, ponieważ „grozi nam spóźnienie na ważne spotkanie”.

Pomyślałem, że stracił rozum, ale zanim zdążyłem poprosić o wyjaśnienie, kierowca zaprosił nas do wozu. Kiedy po przyjęciu owych trzech papierosów wysadził nas przed klubem, nasze panny dosłownie zamurowały z wrażenia. Chociaż większość drogi przebyliśmy tramwajem, Fred powiedział dziewczętom, że „podrzucił nas tu przyjaciel”.

## Gumowy baron

Pewnego dnia, kiedy wpadłem do Freda, mój ubrany zwykle jak spod igły przyjaciel siedział w malutkiej kuchence w roboczych spodniach i fartuchu, zajęty wyciąganiem obcęgami skrzywionego obcasa w damskim pantoflu.

– Co ty wyprawiasz, u licha? – zapytałem.

– Naprawiam but – odparł takim tonem, jakby przez całe życie nie zajmował się niczym innym.

Węsząc w tym jakąś sensację, poprosiłem o wyjaśnienie.

– Pamiętasz moje buty na słoninie?

– Tak, co z nimi?

– Pamiętasz, że tak zdarłem zelówki, że już miałem je wyrzucić, bo żaden szewc od czasu wojny nie miał kauczukowej gumy?

– Pamiętam, ale co to ma z tym wspólnego?

– Mnóstwo. – Tu pokazał mi rzeczony buty z nowiutką śnieżnobiałą podeszwą.

No więc przypadkiem trafił na pchli targ, gdzie sprzedawano zdarte opony samochodowe. Na jednej z nich zauważył przecięcie, z którego przeświecała warstwa białej gumy. Za kilka marek handlarz sprzedał mu kawałek opony, a on wykroił z niej później dwie idealne zelówki. Na dowód swojego trudu pokazał mi pęcherze na dłoniach.

– Ale to dopiero połowa historii – dodał z błyskiem w oku, jak chłopiec, który chwali się nową zabawką. – Kiedy wyszedłem z domu w butach z nowymi zelówkami, co chwilę ktoś mnie zaczepiał i pytał, gdzie można takie dostać.

Podobno kiedy odpowiadał, że może zrobić to sam, ale naprawa będzie kosztowała 100 marek od pary, nikt nawet nie mrugnął okiem. Już zdążył na tym zarobić 1000 marek. Widząc moje sceptyczne spojrzenie, otworzył szafkę, z której wysypały się dziesiątki męskich i damskich butów.

– Przy tej stawce – ciągnął z niepoohamowanym entuzjazmem i typową dla niego wspaniałomyślnością – za parę miesięcy będę bogaczem. Jeśli chcesz, mogę cię przyjąć do spółki, roboty jest tyle, że starczy dla nas obu.

Chociaż doceniłem jego ofertę, odparłem, że dziękuję, ale nie. Dopiero co udało mi się zamknąć etap pracy fizycznej i nie zamierzałem rezygnować z beztroskiego życia muzyka. Miałem znów zdzierać ręce do kości i spędzać niezliczone godziny przy jakimś warsztacie? Nie, to nie dla mnie, bez względu na wysokość zarobków. Chociaż praca wydawała się uczciwa i dobrze płatna, jakoś nie widziałem się w roli szewca.

Ku mojemu zdumieniu, wytworny Fred, ekspert od kawiarnianego światka, kultywujący dość „twórczą” postawę wobec naszej ponurej rzeczywistości, nie miał takich obiekcji i z wielkim zapałem rzucił się w nowe przedsięwzięcie. Kiedy matka eksmitowała go z kuchni, przeniósł swój warsztat do piwnicy, gdzie tłukł młotkiem, kleił i kroił gumę od rana do wieczora. Jeśli zostawało mu jeszcze trochę siły, zmieniał się potem w dawnego eleganta i przyłączał do paczki znajomych w Faun Barze czy Haus Vaterland z kieszeniami wypchanymi grubymi plikami marek. Wystarczało mu ich w zupełności na zwyczajowe dwie paczki chesterfieldów dziennie. Jednym z denerwujących skutków nowej profesji Freda był fakt, że każdy Klaus, Karl czy Ilse zatrzymywali się teraz przy naszym stoliku nie dla wymiany pozdrowień, tylko żeby zapytać, kiedy wreszcie będą gotowe ich buty.

Kiedy interes rozkręcił się na całego, Fred zwerbował do pomocy swojego czterdziesto-ośmioletniego ojczyma. Odtąd pracowali na dwa warsztaty – papa w kuchni, a Fred w piwnicy, byle tylko zredukować stertę butów i spełnić rosnące zapotrzebowanie na gumowe zelówki, które w Hamburgu wyraźnie stały się ostatnim krzykiem mody. W końcu handlarz,



który dostarczał Fredowi stare opony, nabrał podejrzeń wobec tych coraz większych zakupów. Pewnego dnia, bez żadnego wyjaśnienia, podniósł cenę z 20 marek za sztukę do 200, Fred jednak z łatwością to przełknął.

Mnie także ciągle nagabywali różni ludzie, którzy widząc moje zelówki z białej gumy, chcieli wiedzieć, jak zostać dumnymi posiadaczami takowych. Z początku odsyłałem ich do Freda, ale kiedy okazało się, że ani on, ani jego ojczym nie nadążają z zamówieniami, nie mogłem już dłużej patrzeć, jak forsa przelatuje mi koło nosa. Postanowiłem przystąpić do interesu, ale na mój własny sposób. Zamiast osobiście parać się szewstwem, proponowałem potencjalnym klientom, że załatwię im gumę, natomiast robotę muszą albo wykonać sami, albo poszukać sobie szewca. Zebrawszy stosowny pakiet zamówień, kupowałem starą oponę, wykrawałem z niej kawałki gumy wielkości zelówki i sprzedawałem je po 50 marek. Chociaż zarabiałem na tym o połowę mniej niż Fred, przynajmniej nie musiałem prawie nic robić. Próbowiałem przekonać mojego przyjaciela, że to o wiele sprytniejszy sposób robienia interesów, ale z nieznanym mi powodów upierał się przy swoim. Ja – ponieważ napociłem się już dosyć w nazistowskich Niemczech – zamierzałem trzymać się klasy „białych koźmiarzy”. Za bardzo podobały mi się moje gładkie, pozbawione odcisków dłonie.

## **Przeprowadzka**

Jako ofiara rasistowskich praw norymberskich, kilkakrotnie składałem wnioski o przydział mieszkania, ale bez powodzenia. Miałem już zrezygnować, kiedy brytyjski rząd wojskowy poinformował mnie listownie, że zarekwirovano dla nas dwa pokoje w Othmarschen, jednej z lepszych dzielnic nad Łabą. Za rekomendację dla właścicieli domu miał posłużyć ów list.

Kiedy przybyliśmy z matką pod wskazany adres – zwyczajny dwupiętrowy bliźniak, z którego połowa była zburzona – wyszli nam na powitanie gospodarze – państwo Flemmingowie i ich dwóch dorosłych synów (starszy niedawno został zwolniony z marynarki wojennej, gdzie służył jako oficer). Zdawali się przerażeni koniecznością przyjęcia lokatorów, ale usilnie starali się tego nie okazywać. Nie miałem pojęcia, w jaki sposób ich dom trafił na listę brytyjskich władz, bo nie wszystkich Niemców zmuszano do oddawania lokali, ale mało mnie to obchodziło. Ponieważ przetrwali bombardowanie bez szwanku i los oszczędził im utraty dobytku, trudno abym im współczuł, że muszą wynająć część mieszkania.

Pokoje były małe i położone na różnych piętrach, ale przynajmniej nad ziemią i miały nad sobą porządną, nieprzeciekający dach. Ponieważ zdążyliśmy już z matką przywyknąć do życia jak krety w cuchnących, wilgotnych i zimnych piwnicach, przyjęliśmy je jako powrót do cywilizacji. Już samo to, że mogliśmy chodzić boso po gładkiej drewnianej podłodze, a nie po szorstkim, zawsze wilgotnym betonie, wydawało się czystym luksusem.

Othmarschen, jak większość hamburskich przedmieść, wyszło z bombardowań obronną ręką. Musieliśmy na nowo przywyknąć do chodzenia po ulicach z nienaruszonymi chodni-

kami i budynkami, zamiast przedzierać się wąskimi ścieżkami pośród gór gruzu. Cenilem sobie także fakt, że uniknąłem piętna mieszkańca zaszczurzonej piwnicy pod ruinami zburzonego domu. Nie musiałem już wykręcać się od odpowiedzi, kiedy ktoś mnie zapytał, gdzie mieszkam. Już samo słowo „Othmarschen” budziło natychmiastowy respekt.

Od naszego nowego domu do stacji kolejki miałem tylko pięć minut drogi. Mogłem stąd wygodnie dojechać do centrum, od którego dzieliło mnie sześć przystanków, podobnie jak od Blankenese, gdzie mieszkała rodzina Giordano. Teraz mieliśmy okazję częściej się widywać.

Kiedy złożyłem im wizytę, zastałem ich w dobrym zdrowiu i jak zwykle w stanie wielkiego ożywienia. Tym razem jego źródłem było powiększenie rodziny o malutką siostrzyczkę. Między jednym a drugim pieszczotliwym ćwierknięciem do dziecka Ralph i Egon zdali mi relację ze swojej aktywności na polu dziennikarstwa. Ku mojemu zdumieniu, zauważyłem drastyczną zmianę w poglądach politycznych Ralpha. Jeszcze kilka miesięcy wcześniej kipiał entuzjazmem wobec brytyjskich i amerykańskich oswobodzicieli, a teraz wściekał się na kapitalistów, którzy, jak twierdził, wykorzystywali masy i nawiązywali kontakty z nazistami: „Poczekaj, aż pojedziesz do tej swojej cudownej Ameryki – mówił z goryczą. – Szybko się zorientujesz, o co mi chodzi”.

Wiele lat później, obserwując nędzę amerykańskich miasteczek i wsi, miałem wiele możliwości przyjrzenia się mniej przyjemnej stronie kapitalizmu, ale wtedy ta metamorfoza Ralpha naprawdę mną wstrząsnęła. Oznajmił mi, że został członkiem Niemieckiej Partii Komunistycznej i korespondentem jej organu „Die Hamburger Volkszeitung”. Nie miałem wątpliwości, że za tą drastyczną decyzją kryje się jego oburzenie pobłażliwością, z jaką alianci odnieśli się do dawnych nazistów. Jako ofiara prześladowań rasowych, ja także bardziej ceniłem postawę żołnierzy sowieckich, którzy w swojej strefie okupacyjnej, jak powszechnie wiadomo, rozprawiali się z nazistami niewybaczalną metodą „głowa za oko”. Ale moje poglądy były za bardzo prozachodnie, a wiedza i zainteresowanie materializmem dialektycznym zbyt słabe, bym miał wylać dziecko z kąpielą i wyrzec się mojego „amerykańskiego marzenia”.

Chociaż mocno żałowałem zwrotu Ralpha ku komunistom, których hasła i środki przymusu nie różniły się w moim pojęciu od nazistowskich, postanowiłem nie dopuścić, by polityka zniweczyła naszą przyjaźń. Za dużo przeszliśmy razem, by tak mała kontrowersja jak kapitalizm kontra komunizm mogła nas rozdzielić.

## **Alkazar**

Pewnego dnia spotkałem przypadkiem kolegę, saksofonistę tenorowego Addiego Wulfa. Namówił mnie, bym poszedł z nim na przesłuchanie do młodego kapelmistrza, który kompletuje duży zespół taneczny. Facet – wyjaśnił Addi – nie bierze nikogo starszego od siebie, a ma

niewiele czasu na zmontowanie grupy, bo za miesiąc zamierza wziąć udział w przesłuchaniu do Alkazaru, największego teatru i nocnego klubu w mieście.

Nie wahając się ani chwili, wziąłem saksofon i klarnet i zgłosiłem się razem z Addiem. Kapelmistrz nazwiskiem Rolf Wehlau tylko rzucił na mnie okiem i od razu zdecydował się mnie wziąć. Było oczywiste, że bardziej cenił sobie moją wartość dekoracyjną niż zdolności muzyczne, o których nic wtedy nie wiedział. Wyjaśniłem mu, że nie mogę się jeszcze podjąć partii pierwszego saksu altowego Es z powodu dużej liczby solówek, ale nieźle sobie radzę jako trzeci alt.

Położył przede mną kilka arkuszy nut dla trzeciego altu i poprosił o zagranie współczesnych amerykańskich przebojów do jego akompaniamentu. Kiedy skończyłem, oznajmił, że jestem przyjęty. Addie także znalazł się w zespole jako drugi saksofon tenorowy. Kruczek polegał na tym, że zatrudnienie zależało od przyjęcia nas do Alkazaru, a przesłuchanie miało się odbyć za miesiąc. Aby przez nie przejść, zgodziliśmy się wszyscy na tyle godzin codziennych prób, ile nam zabierze perfekcyjne wyszlifowanie repertuaru.

Alkazar, położony w sercu dzielnicy St. Pauli, był ogromną salą taneczną z parkietem na podnośnikach hydraulicznych, tak aby mógł w razie potrzeby służyć za scenę. Otaczały go dwa piętra balkonów, a wysoki sufit zapewniał odpowiednią ilość powietrza i umożliwiał występy na linie. Chociaż lokal pamiętał lepsze, przedwojenne czasy i wiele z jego blichtru art déco wyblakło, w niczym nie umniejszało to jego popularności wśród mieszkańców Hamburga.

Na przesłuchanie w samo południe przybyliśmy wszyscy prawie godzinę wcześniej, po żmudnych przygotowaniach. Przez cały miesiąc ćwiczyliśmy do utraty tchu, dopóki nie nabraliśmy przekonania, że po tej stronie Łaby nie ma lepszego od nas bandu. Dlatego niski, chuderławny facecik z cygarem w zębach i kapeluszem zsuniętym na tył głowy, który przedstawił się jako szef Alkazaru, zaskoczył nas kompletnie, kiedy kazał nam zagrać marsza *Stars and Stripes Forever* Johna Philipa Sousy: „Wiem, że umiecie czytać nuty i grać wszystkie najnowsze przeboje. Gównu mnie to obchodzi, każdy rzępoła to potrafi. Ja muszę wiedzieć, jak sobie radzicie z improwizacjami i wcale nie chodzi mi o te jazzowe. Jeśli chcecie akompaniować przy różnego rodzaju występach, musicie być w każdej chwili przygotowani na niespodziewane problemy. Artysta może, na przykład, w ogóle się nie pokazać, a wtedy musicie zagrać coś zastępczego, czego dotąd nie widzieliście na oczy. To będzie znaczyło, że umiecie improwizować”.

Patrzyliśmy na siebie w osłupieniu. Jak się okazało, żaden z nas nie miał bladego pojęcia, kim był John Philip Sousa ani co to za utwór *Stars and Stripes Forever*. W ostatecznej rozpaczy, szef Alkazara wyjął cygaro z ust i zagwizdał kilka taktów marsza, który jakbym już gdzieś słyszał. Powoli wyciągnęliśmy instrumenty i zaczęliśmy mu akompaniować, z początku nieśmiało, potem coraz głośniej, w miarę jak coraz więcej kolegów chwyciło melodię.

Kiedy w całym teatrze zabrzmiał nasz donośny finał, facet zaczął entuzjastycznie klaskać i ogłosił, że nas przyjmuje: „Jesteście w porządku, chłopaki. Umiecie improwizować”.

Grać na saksofonie w dużym bandzie w Alkazarze za 610 marek miesięcznie to więcej, niż ośmieliłbym się wymarzyć. Płacili mi – według ówczesnych standardów – wyjątkowo dobrze za coś, co chętnie robiłbym nawet za darmo.

Do moich obowiązków należał udział w dwóch dwugodzinnych występach tygodniowo, w tym w dwóch sesjach tanecznych od czwartej do szóstej i od ósmej do dziesiątej, z dwugodzinną przerwą. Znaczyło to, że z wyjątkiem dwóch porannych prób w każdym tygodniu mogłem sobie pozwolić na sypianie do późna, a następnie niespieszny spacer, połączony z obserwacją, jak pracuje reszta miasta. Uboczną korzyścią z mojego nowego stylu życia był bezpośredni dostęp do rzędu najpiękniejszych nóg, jakie pojawiały się wówczas na hamburskich estradach. Ponieważ większość chórzystek pochodziła spoza Hamburga i mieszkała w różnych tanich kwaterach rozrzuconych po całym St. Pauli, obowiązek uszczęśliwiania ich w wolnym od pracy czasie spadał głównie na członków orkiestry, ci zaś wywiązywali się z niego z najwyższym oddaniem.

Dużą satysfakcję sprawiał mi fakt, że mój kolor skóry, który tak długo uważałem za swoją kulę u nogi, w ciągu dosłownie jednej nocy przeobraził się w atut. Podczas moich dawnych, zwykle potajemnych kontaktów z dziewczynami, rzadko udawało mi się uniknąć wrażenia, że jestem dla nich czymś w rodzaju zakazanego owocu – wprawdzie pożądanego, ale jednak. Teraz wreszcie mogłem dowartościować swoje poobijane ego: dziewczęta wręcz się za mną uganiały. Tuż po wojnie czerń najwyraźniej stawała się modna.

Dzięki mojej nowej wysokiej pozycji saksofonisty w jednym z najpopularniejszych nocnych lokali, podnawiałem sporo znajomości z przedwojennymi kumplami, którzy przychodzili do Alkazaru jako goście. Ze wszystkich takich spotkań najbardziej zapadło mi w pamięć i serce szczególnie jedno.

Podczas pewnego niedzielnego poranka, przechodząc w czasie przerwy koło baru, usłyszałem dziwnie znajomy damski głos, wołający mnie po imieniu. Kiedy się obróciłem, ujrzałem wysoką rudowłosą piękność, którą okazała się ni mniej, ni więcej, tylko Gretchen Jahn. W ciągu dwóch lat od naszego rozstania jej twarz jeszcze bardziej wypiękniała, ale zauważyłem też coś nowego: pewną zaciętość wokół ust i oczu.

„Co tu robisz?” – zapytałem, niezdolny wymyślić nic bardziej błyskotliwego. Gretchen odpowiedziała, że jest tu z matką i zaprosiła mnie do stolika. Pani Jahn zdawała się naprawdę ucieszona moim widokiem: „Mój Boże, aleś ty wydorósł!” – wykrzyknęła, po czym przypomniała, że nie widziała mnie od pamiętnego lipcowego nalotu w 1943 roku, kiedy to większość Hamburga stanęła w płomieniach.

Miałem do Gretchen wiele pytań i w ogóle chciałem jej tyle rzeczy powiedzieć, ale krępowała mnie obecność jej matki. To samo wyczuwałem u Gretchen. Pani Jahn chyba się tego

domyśliła, bo powiedziała, że chce złapać wczesny pociąg do domu na przedmieściu, więc po występie będziemy mogli sobie z Gretchen powspominać dawne czasy.

Po koncercie i szybkim pożegnaniu z panią Jahn udaliśmy się do baru. Widok Gretchen poruszył we mnie stare, długo tłumione uczucia. Była przecież moją pierwszą miłością i to z nią dzieliłem pierwsze nieśmiałe doświadczenia... Nie mogąc oderwać od siebie oczu, wymienialiśmy uwagi na temat tego, co przeobraziło tamtego młodego chłopaka w mężczyznę, i skąd się wziął ów twardy wyraz w oczach i ustach dziewczyny.

Gretchen przygotowała mnie na niespodziankę: ona także trafiła do showbiznesu, została asystentką magika. W jednym z numerów „przepiłowywał” ją na pół, a potem składał jej demonstracyjnie uszkodzony tułów na nowo. Nie wypytywałem o szczegóły tego układu, ale wydało mi się oczywiste, że magik jest dla niej nie tylko szefem.

Przypomniałem sobie nasze pożegnanie i jej upór w kwestii zachowania dziewictwa do ukończenia co najmniej dwudziestu jeden lat. Teraz przyznała, że nie jest już dziewicą, a ja nie wiedziałem, czy mam się tym cieszyć, czy martwić. Z jednej strony czułem ulgę, że główna przeszkoda została usunięta, z drugiej rozczarowanie i głęboką urazę. Gretchen jakby czytała w moich myślach, bo nagle powiedziała: „Bez względu na to, co się wydarzyło i jeszcze wydarzy, zawsze będziesz pierwszym mężczyzną, którego pokochałam”.

Zbliżała się pora zamknięcia baru, więc zaproponowałem, że odprowadzę ją do domu. Okazało się, że to tylko kilka ulic dalej. Kiedy dotarliśmy pod budynek, w którym Gretchen wynajmowała pokój na piętrze, zrobiła to, o czym marzyłem: zaprosiła mnie na górę. Przez całą noc próbowaliśmy rozbudzić dawne oczarowanie – przecież mieliśmy ledwie po czterech latach, kiedy pocałowaliśmy się po raz pierwszy. Ale nic z tego nie wyszło. Musieliśmy przyznać ze smutkiem, że nasza niewinność została bezpowrotnie utracona razem z pierwszą młodością.

Przy pożegnaniu Gretchen powiedziała, że wkrótce wyjeżdża ze swoim magikiem w trasę. Oboje instynktownie wiedzieliśmy, że więcej się nie zobaczymy i że wielka *love story* Hansa-Jürgena i Gretchen dobiegła końca.

## **Werner Jankes**

Pewnej nocy wraz z kolegami z orkiestry staliśmy się świadkami dziwnego spektaklu. Ledwie zdążyliśmy usadowić się na podium, do zarezerwowanego stolika tuż poniżej kelner przyproceedził czarnego jak smoła gościa – żywego sobowtóra Louisa Armstronga – w spodniach khaki i kurtce polowego munduru armii amerykańskiej. Zaraz po zajęciu miejsca pomachał mi ręką i, błysnąwszy szerokim, braterskim uśmiechem, wyjął z kieszeni karnapkę o rozmiarach, jakich dotąd nie widzieliśmy na oczy. Kompletnie obojętny na uczucia innych gości, zatopił śnieżnobiałe zęby w owym rarytasie i unicestwił go dosłownie w ciągu kilku sekund. Następnie sięgnął do drugiej kieszeni i powtórzył całą procedurę, ku zazdrości

zebranych na sali wygłodzonych Niemców. Najwyraźniej kieszenie miał bez dna, bo po skonsumowaniu drugiej kanapki wydobyl pół kartonu cameli i wyjął z niego paczkę, z tej zaś papierosa.

Tego już moim kolegom było za wiele: „Założę się, że dałby ci paczkę, gdybyś go poprosił” – zasugerował jeden, wyraźnie oczekując po mnie poczęstunku. Mnie także zaświtała podobna myśl, toteż na przerwie podszedłem do stolika cudzoziemca.

– Nazywam się Mickey – przedstawiłem się swoim pseudonimem. – Pewnie jesteś amerykańskim żołnierzem?

– Nie, marynarzem floty handlowej. Moje nazwisko Smitty. Skąd się wziął w szwabskiej orkiestrze?

Wyjaśniłem mu, że sam jestem po części „szwabem”, bo moja matka jest Niemką i tu się urodziłem.

– Ja pochodzę z Mobile w Alabamie.

Okazało się, że Smitty dopiero co przyплыł z Nowego Jorku na „Appleton Victory” i miał w Hamburgu spędzić jeszcze parę dni.

Zapaliwszy kolejnego papierosa, zechciał się dowiedzieć, czy palę. Myślałem, że już nigdy nie zapyta.

– *You bet* [żebyś wiedział] – odpowiedziałem świeżo wyuczonym amerykańskim zwrotem.

Wręczył mi prawie całą paczkę i pozwolił ją zatrzymać.

– Musieliście mieć tu nieklawo w czasie wojny – zauważył.

– Wciąż jeszcze tak mamy, zwłaszcza w kwestii żarcia i fajek. Papierosy to rarytas, kupisz za nie, co zechcesz. – I dodałem z naciskiem: – Absolutnie wszystko.

Smitty popatrzył na mnie z niedowierzaniem. W jego oczach pojawił się błysk chytryści.

– Wszystko, powiadasz?

Podał mi kolejną paczkę, a następnie poprosił o przysługę:

– Znasz tę wysoką blondynkę z zespołu rewiewego?

– Znam wszystkie *girlsy* z rewii. Ta ma na imię Gerda i jest główną tancerką.

Nie podobał mi się kierunek, jaki przybierała ta rozmowa... albo przynajmniej zdawało mi się, że przybiera. Gerda nie była tego rodzaju dziewczyną.

– Zapytaj ją, czy nie przyłączyłaby się do nas. Chciałbym się z nią sfotografować.

– Żaden problem – zapewniłem go z wielką ulgą, nieco zawstydzony swoimi podejrzeniami, i poszedłem do Gerdy, która siedziała w barze.

– Chcesz szybko zarobić trochę fajek? Musiałabyś tylko zrobić sobie zdjęcie z moim znajomym.

Smitty rozpromienił się jak skowronek, kiedy Gerda zgodziła się nie tylko na samo zdjęcie, ale nawet na *cheek-to-cheek* [policzek przy policzku] i z ramionami zarzuconymi na szyję. W ciągu kilku minut miejscowa fotografka uwieczniła tę wzruszającą scenę dla przyszłych

pokoleń, a także oczywiście dla zazdrosnych kumpli Smitty'ego w Alabamie Jima Crowa. Gerda i ja otrzymaliśmy „za fatygę” własne pamiątkowe odbitki oraz po paczce cameli, dzięki której tego wieczoru mój łup sięgnął wysokości tygodniowych zarobków.

W przypiływie wspaniałomyślności rzuciłem jedną z paczek moim kolegom na podium. Wielu z nich obserwowało mnie w akcji i niecierpliwie oczekiwało mojego powrotu. Zanim to nastąpiło, Smitty podziękował mi, że się nim zaopiekowałem, i w rewanżu zapowiedział, że mnie „ustawi”. Muszę tylko odwiedzić go jutro na statku: „Po prostu złap *launch* WSA i wysiądź, kiedy dopłyniesz do «Appleton Victory». A na pokładzie pytaj o Smitty'ego z mesy”.

Wyjaśnił mi, że *launch* to mała motorówka, która w godzinnych odstępach wozi za darmo amerykańskich marynarzy między ich statkami i lądem. Nie miałem pojęcia, gdzie mam „złapać” tę łódkę ani co Smitty rozumie przez „ustawienie”, ale bardzo chciałem skorzystać z jego oferty. Od postawienia stopy na amerykańskim statku już tylko krok do postawienia jej na amerykańskiej ziemi, kombinowałem.

„Przyjadę jutro” – obiecałem, a Smitty zapewnił, że będzie na mnie czekał. Z wyjątkiem kilku wycieczek klasowych w podstawówce, nigdy nie byłem w hamburskim porcie, największym oknie na świat Niemiec. Dlatego dopiero po dłuższym czasie odnalazłem nabrzeże koło słynnych *Landungsbrücken* St. Pauli, gdzie wielki napis głosił:

**WAR SHIPPING ADMINISTRATION LAUNCH.  
ADMISSION RESTRICTED TO  
UNITED STATES MERCHANT MARINE PERSONNEL!<sup>17</sup>**

Mimo mojej ograniczonej angielszczyzny nie miałem problemu ze zrozumieniem, że takie niemieckie szczury lądowe jak ja nie są tam mile widziane. Ale żeby dotrzymać obietnicy i nie rezygnować z „ustawienia” przez Smitty'ego, postanowiłem zaryzykować. Na motorówkę czekało już kilkunastu facetów. Wystarczyło rzucić okiem na ich nowe, zagraniczne ciuchy, by pojąć, że są to „*Ami*”, jak ich czule określali Niemcy. Starając się nie wzbudzać podejrzeń, śmiało wmieszałem się w grupę i przyjrzałem każdemu z nich kątem oka. Kilku paliło papierosy, inni żuli gumę, ruszając szczękami jak krowy, jeszcze inni robili jedno i drugie na zmianę. Z wyjątkiem jednego człowieka w płaszczu marynarskim i czapce oficerskiej ze złotym otokiem, wszyscy mieli na sobie cywilne ubrania – od watowanych na ramionach garniturów, kapeluszy z szerokim rondem i jaskrawych krawatów w geometryczne wzory do swobodnych sportowych strojów. Dla mnie, chłopaka, który za cały majątek miał tylko jeden obszarpany garnitur, cała ta grupa na nabrzeżu wyglądała jak rewia męskiej mody. Patrzyłem ze wstydem na moje prymitywne „sportowe” buty z domowej roboty zelówkami, na spodnie i marynarkę tak wytarte i wyświecone od ciągłego prasowania, że przy bliższym spojrzeniu na łokciach i kolanach prześwitywała skóra. Nikt jednak nie zwracał szczególnej uwagi ani na mnie, ani na moją odzież, a przynajmniej tak mi się zdawało. Ledwie zacząłem wyzybywać

się lęku, podszedł do mnie jakiś zadziorny młody facet o twarzy – jak sądziłem – typowo amerykańskiej. Miał na sobie koszulę i spodnie khaki, białe skarpetki i mokasyny, blond włosy starannie zaczesane z przodu w „pompadura”, a z tyłu w „kaczy kuper”.

– Cześć – zagaił, zanim zdążyłem wymyślić, czego może chcieć. Następnie poczęstował mnie papierosem ze świeżo otwartej paczki i zapytał, dokąd się wybieram.

– Na „Appleton Victory” – odparłem, licząc, mimo wszystko, że gość jest z innego statku.

Próbowałem ograniczyć naszą rozmowę do minimum, żeby nie zdradzić się z niemieckim pochodzeniem, ale daremnie.

– Skąd jesteś?

Nie zdążyłem odpowiedzieć, bo ten w marynarskim płaszczu poprosił go o ogień. Zaczęli ze sobą rozmawiać i na jakiś czas mi się upiekło.

– Skąd jesteś? – tym razem to oficer zaczął wypytywać „typowego Amerykanina”.

– Z Nowego Dżorku.

– Nowy Dżork? Gdzie to jest?

Nagle „typowy Amerykanin” stracił całą swoją zadziorność. Z kompletnie bezradną miną powtórzył:

– Miasto Nowy Dżork w stanie Nowy Dżork.

– Masz chyba na myśli Nowy Jork – sprostował oficer.

– Taa, Nowy Jork czy Dżork... jak zwał, tak zwał.

Oficer nie wałkował tematu, ale ja śledziłem tę wymianę zdań z coraz większym zainteresowaniem. Przyszło mi do głowy, że jeśli ktoś nie umie wymówić prawidłowo nazwy swojego rodzinnego miasta, to niekoniecznie musi z niego pochodzić.

W tym momencie – punktualnie o dwunastej – powietrze rozdarł ogłuszający ryk syreny i do nabrzeża przybiła motorówka z gwiazdzistą banderą na rufie. Przy dodatkowych pohukiwaniach syren mgłowych ustawiła się burtą do kei i po chwili wyskoczył z niej młody człowiek z grubą liną, którą wprawnie przywiązał do solidnego stalowego słupka. Nonszalanckim krokiem, jakbym całe życie spędził na morzu, podążyłem za innymi na pokład. Bałem się, że będę musiał okazać jakiś dokument. Czy na pewno wystarczy, jeśli powiem, że jestem gościem Smitty’ego z „Appleton Victory”? Na szczęście nikogo to nie obchodziło. Po kilkuminutowym oczekiwaniu na spóźnialskich motorówka zrobiła zwrot i ruszyła na środek Łaby, mijając zbombardowane stocznie Blohm & Voss i Deutsche Werft. Słynne zakłady, w których uwijały się kiedyś tysiące pracowników i które rozślawiły Hamburg jako największy ośrodek budownictwa okrętowego w Europie, stały teraz w upiornej ciszy, a ich dźwigi i stalowe urządzenia były już tylko kupą splątanego, zardzewiałego złomu.

Wkrótce znów mnie zagadnął „typowy Amerykanin”. Powoli zaczynał mnie wkurzać, ale kiedy znów poczęstował mnie papierosem, zdobył u mnie dodatkowe punkty.

– Nie jesteś z marynarki handlowej, hę?



– Zgadza się – przyznałem. – To mój pierwszy raz w porcie. Jadę odwiedzić znajomego na „Appleton Victory”.

– Też się wybieram na ten statek. Mam tam kilku przyjaciół.

Po kilku minutach wiedziałem już, że nazywa się Werner, mieszka w St. Pauli z matką Niemką i młodszym bratem, a jego ojciec, zanim ulotnił się na początku wojny, służył jako główny płatnik na linii amerykańskiej. Chociaż Werner urodził się pod Berlinem, przed wojną mieszkał przez kilka lat z matką i bratem w Rutherford w New Jersey, a także w Nowym Jorku. Zwierzył mi się, że na wybrzeżu wszyscy nazywają go Werner Janke. W ciągu ostatnich kilku miesięcy odwiedził wiele amerykańskich statków i każda z tych wizyt sownie mu się opłaciła.

Odwzajemniając tę szczerość, opowiedziałem mu o własnych korzeniach. Werner poradził mi, abym nikomu na statku nie wspominał o moim liberyjskim pochodzeniu, tylko mówił, że mój ojciec jest Amerykaninem: „Wystarczy powiedzieć, że utknęliście z matką w Niemczech z powodu wojny, i gotowe”.

Chociaż nie w pełni zrozumiałem, co mianowicie ma być „gotowe”, postąpiłem zgodnie z jego wskazówkami, co – jak się później okazało – zmieniło w zasadniczy sposób moje życie. Werner wytłumaczył mi, że „Appleton Victory” jest jednym z trzech amerykańskich statków w porcie i motorówka zatrzymuje się przy nim w pierwszej kolejności. „O, tam stoi” – pokazał mi w oddali czarny frachtowiec z biało-żółtą nadbudówką i masywnym żółtym kominem. W miarę jak motorówka zbliżała się do statku, ten rósł nam w oczach, aż wreszcie górował nad nami niczym monstrualny klif nad łupinką. Kiedy okrążyliśmy olbrzyma, zobaczyłem ogromną łopatę śruby okrętowej częściowo wynurzona z wody. Znaczyło to – jak wyjaśnił mi Werner – że rozładunek jest prawie zakończony.

Zastanawiałem się, jakim cudem wejdziemy na statek. Kiedy prawda do mnie dotarła, przeraziłem się i w duchu skląłem Smitty’ego, że mnie w to wszystko wplątał. Aby dostać się na pokład, trzeba było się wspinać po wywieszanej z burty drabinie sznurowej z drewnianymi szczeblami, które chwiały się i kołysały na wietrze. Co gorsza, sama motorówka podskakiwała dziko na fali i człowiek musiał w ciągu sekundy uchwycić właściwy moment, kiedy z łodzi da się przeskoczyć na drabinę. Oprócz Wenera i mnie na statek chciało się przedostać jeszcze trzech marynarzy. Werner, który zauważył moje przerażenie, poradził mi: „Po prostu mocno się trzymaj i nie patrz w dół”.

Przez chwilę miałem chęć powiedzieć skiperowi, że się rozmyśliłem i zostaję, ale zaraz w głowie odezwał mi się głos Herr Wriedego: „*Kein Mut! Feigling!* [Za grosz odwagi! Tchórz!] Odejdź i zrób miejsce chłopakom z ikłą!”. I nagle cały mój strach zniknął. Zanim zorientowałem się, co robię, skoczyłem w powietrze, uchwyciłem się drabiny i zacząłem się piąć, nie patrząc ani w górę, ani w dół. Po czasie, który wydał mi się wiecznością, dotarłem na szczyt i przerzuciłem się przez reling na pokład. Zaraz za mną pojawił się Werner i pozo-

stali. „Tak myślałem, że sobie poradzisz. To do zobaczenia” – powiedział i zniknął za drzwiami.

– Czego chcesz? – zapytał facet w przybrudzonych spodniach khaki i takiej samej czapce ze złotym szamerunkiem.

– Szukam Smitty’ego – odparłem zgodnie z instrukcją.

– Smitty! – ryknął tamten. – Ktoś do ciebie!

Po paru chwilach Smitty zmaterializował się w tych samych drzwiach, za którymi zniknął Werner. Był ubrany całkowicie na biało, włącznie z poplamionym fartuchem.

– No widzę, że ci się udało – powitał mnie kordialnie, wyciągając łapę wielkości szynki. – W samą porę na szamanko.

Przez wąski labirynt korytarza, w którym musieliśmy się przeciskać koło członków załogi, dotarliśmy do wąskiego pomieszczenia z długim stołem i krzesłami przymocowanymi do stalowej podłogi, ale tak, że dawały się obracać.

– To jest mesa załogi – wyjaśnił mi Smitty. – Tu jadamy.

Następnie zabrał mnie do czegoś w rodzaju kuchni, co nazywał kambuzem.

– Szefie, poznaj Mickeya, mojego przyjaciela – zwrócił się do czarnego mężczyzny gargantuicznych rozmiarów, przy którym Smitty, chociaż potężnej budowy, wyglądał na przeciętnego wzrostu. Tamten też był ubrany na biało, ale dodatkowo miał jeszcze wielką czapę kucharza. – Mickey, to jest główny kucharz, mój szef.

– Cześć, Mickey – przywitał mnie olbrzym, wycierając ręcznikiem mocno spoconą twarz i ręce.

– To co, szefie, ustawiamy chłopaka na *full*? Od lat nie widział porządnego żarcia – zaproponował Smitty, po czym wyjaśnił mi, że „na *full*” oznacza talerz wypełniony wszystkimi daniami z menu.

– Da się zrobić.

Smitty wskazał mi miejsce w mesie. Kilka minut później postawił przede mną talerz, z którego wylewała się góra jedzenia: purée ziemniaczane, kotlet wieprzowy, kilka klopsików, dwa żółciutkie jajka, kilka rodzajów warzyw. Wszystko to pływało w gęstym sosie mięsny. Kiedy wyznałem Smitty’emu, że muszę część tego zabrać dla matki, powiedział, że mam się nie martwić, bo mają znacznie więcej.

– Przygotuję ci paczkę dla mamy – obiecał, usuwając w ten sposób ostatnią przeszkodę na drodze do uczy. Teraz już mogłem spokojnie zabrać się do jedzenia.

Wkrótce znalazłem się w centrum zainteresowania innych czarnoskórych marynarzy, którzy obsiedli stół i przyglądali się z rozbawieniem, jak góra z mojego talerza znika w oczach.

Pomogłem Smitty’emu sprzątnąć mesę, po czym zaprosił mnie do kajuty, którą dzielił z kucharzem z mesy oficerskiej, wysokim chudzielcem z kozią bródką. Slim – jak mi go przedstawił – pochodził z Galveston w Teksasie. Siedział teraz na jednej z dwóch koi w ma-

lutkiej kabinie z iluminatorem, przez który widziałem port i linię brzegową Hamburga w południowym słońcu.

– Co się z tobom działo, chopie? – zagadnął mnie kordialnie.

Już wcześniej zauważyłem, że Amerykanie, zwłaszcza ci czarni, mówią językiem zupełnie niepodobnym do tego, którego uczyli mnie w szkole Herr Harden, Herr Neumann i Frau Dr Fink. Kiedy na prośbę Smitty’ego opowiadałem jego koledze o swoim życiu pod Hitlerem, Slim, poruszony tym, przerywał mi głośnymi okrzykami: „No nie!”, „Ojacie!” „Ożeż ty!” „Co za suka!”, z których żaden nie miał dla mnie większego sensu.

Potem przysłała moja kolej na zadawanie pytań. Odkąd jeszcze w dzieciństwie przeczytałem *Chatę wuja Toma*, wiedziałem, jak źle traktowano czarnych w Stanach. Później doszły do tej wiedzy artykuły w prasie o zamieszkach na tle rasowym, linczach i prawach Jima Crowa. Ale nigdy nie miałem okazji poznać tych faktów z pierwszej ręki, więc w końcu zadałem nieuniknione pytanie:

– Jak traktuje się Murzynów w Ameryce?

Na co obaj mężczyźni odpowiedzieli chórem:

– Jak gównno.

Potem wytłumaczyli mi, że północne miasta, jak Nowy Jork, Chicago i Detroit są *halfway okay* [w miarę w porządku], ale na południu dosłownie wszędzie jest parszywie.

– A jak się dogadujecie z białymi na statku?

– Wcale z nimi nie gadamy – odparł Smitty. – Robimy swoje i trzymamy się ze sobą, oni tak samo. Krótko mówiąc, my nie wpierdaliśmy się w ich sprawy, a oni w nasze.

Slim ostrzegł mnie, że statek roi się od „*crackerów*”, czyli białych rasistów z południa, i radził unikać ich jak zarazy.

– Ten skurwiel kapitan też jest *crackerem* z Teksasu, mojego rodzinnego stanu. Nienawidzi nas, ale nie może nam przypierdolić, bo wie, że jeśli się odważy, to związek wypierdoli jego. My wszyscy należymy do NMU (National Maritime Union).

Kiedy wyczerpaliśmy temat naszych rasowych stosunków, Slim zaczął się dziwnie zachowywać. Chociaż w kabinie panowała duchota, zamknął iluminator i sprawdził zamek w drzwiach.

– Palisz *reefery* [skręty]?

– Ja wszystko palę – odpowiedziałem, chociaż w życiu nie słyszałem o takiej marce papierosów. Ale on, zamiast paczki fajek, wyjął małą puszkę z dziwnym tytoniem przypominającym trociny, wysypał trochę na kawałeczek papieru i zaczął zwijać sobie papierosa. Jeden koniec mocno skręcił, zostawiając w środku nierówną grudkę, wreszcie oblizał całość, żeby mu się nie rozpadła.

Nie mogłem zrozumieć, dlaczego Amerykanin, który ma na wyciągnięcie ręki te wszystkie *camele*, *lucky strike*’i, *chesterfieldy* i *pall malle*, zawraca sobie głowę takim szajsem.

W końcu Smitty, widząc moją minę, zapytał, czy kiedykolwiek paliłem *weed* albo *grass*. Zgodnie z prawdą odpowiedziałem, że nie.

– To może *tea*? – zaproponował Slim.

Przyznałem naiwnie, że z braku prawdziwego tytoniu, zdesperowani Niemcy rzeczywiście palili czasem w fajkach susz herbaciany, ale o żadnych chwastach i trawie nigdy nie słyszałem.

Slim wyjaśnił, że *reefer*, *weed*, *grass* i *tea* to slangowe określenia marihuany, rośliny, której liście, jeśli się je zapali, potrafią zapewnić człowiekowi odłot jak po alkoholu. Potem zapalił swój papieros przy skręconym końcu i zaczął wciągać urywanymi, syczącymi haustami słodkawy dym. Wstrzymując oddech, wydawał takie dźwięki, jakby połykał ten dym. Po paru minutach, kiedy myślałem, że płuca zaraz mu eksplodują, zrobił długi wydech, a następnie znów zaczął się zaciągać. Na koniec przekazał skręta Smitty’emu, który powtórzył cały ten dziwaczny rytuał. Kiedy większa część skręta poszła z dymem, zaczęli namawiać mnie na spróbowanie.

– To najlepsze zioło, jakie zdarzyło mi się palić od dłuższego czasu – zapewniał Slim.

– Lepsze już być nie może – sekundował mu Smitty.

Odpowiedziałem, że wierzę im na słowo. Nawet nie mając wówczas pojęcia, że palenie marihuany na statku amerykańskiej floty handlowej podczas misji rządowej stanowi poważne przestępstwo, które wszystkich nas mogło zaprowadzić za kratki, ani mi się śniło próbować. Dziwaczne zachowanie obu marynarzy podziało na mnie wybitnie odstręczająco.

Podczas gdy Slim spał w oparach narkotyku, Smitty i ja szykowaliśmy się do powrotu na ląd. Jak w każdy poniedziałek, miałem dzień wolny i obiecałem Smitty’emu, że oprowadzę go po mieście. „Miasto” znaczyło tyle, co St. Pauli, portowa dzielnica, w której wiele się działo. Zanim opuściliśmy kabinę, Smitty „ustawił mnie”, czyli zaopatrzył w wielką paczkę żywnościową dla matki i torbę pełną ubrań. Był tam nowy komplet drelichowy, bielizna, kilka par białych skarpetek, dwa krawaty – chyba najbardziej krzykliwe, jakie widziałem – oraz cały karton chesterfieldów.

Zupełnie nie wiedziałem, co mam mówić i jak mu dziękować. Już same papierosy miały na czarnym rynku wartość 1000 marek, więcej niż moje miesięczne zarobki, a jedzenie było wprost bezcenne. Kiedy wspomniałem Smitty’emu, że nigdy nie dam rady odwdzińczyć mu się za tę dobroć, kazał mi o tym zapomnieć. Ale do dziś mi się to nie udało.

Kiedy wyszliśmy na pokład, żeby nie przegapić motorówki o siódmej, według Smitty’ego ostatniej tego dnia, czekała tam już grupa marynarzy, w tym główny kucharz. Zauważyłem, że zebrani podzielili się na dwie grupy – czarną i białą. Przypomniałem sobie naszą rozmowę w kabinie i zrozumiałem, że to nie przypadek.

Tuż przed siódmą usłyszeliśmy kilka sygnałów syreny mgłowej i po chwili ukazała się pędząca prosto na nas motorówka. Na szczęście tym razem opuszczono trap, co oszczędziło

mi męki schodzenia po drabinie. Gdy tylko łódź dobiła do burty, na pokładzie zjawili się Werner z dwoma białymi marynarzami. On także dźwigał wielkie paki, jak się domyślałem, z takimi samymi darami. Mając w pamięci słowa Smitty'ego: „My trzymamy się ze sobą i oni także”, zachowywałem dystans, ale już na motorówce Werner podszedł do mnie i szepnął z szerokim uśmiechem: „Nie ma to jak paczki CARE<sup>18</sup>, co? Mówiłem, że i tobą się zaopiekują”. Wspomniałem mu, że zamierzam zabrać Smitty'ego w jakieś fajne miejsce, tylko nie wiem gdzie. Werner poradził mi Harms Bar przy Bernhard Nocht Strasse: „Tam się dzieje więcej, niż dacie radę ogarnąć”. Potem wyjaśnił, że wszystkie dziewczyny w Harms to prostytutki, bez względu na to, jak wyglądają, i że stawka wynosi paczkę papierosów za „szybki numer”, a pięć paczek za całą noc. „Jak już tam przyjdziecie, pytajcie o Hannelore – dodał. – Już ona wszystkim się zajmie. Tylko udawaj amerykańskiego marynarza. Jeśli się przyznasz, że jesteś Niemcem, nie powiedzą ci nawet, która godzina.” Ostrzegł mnie także przed Irish Barem za rogiem:

- Tam przesiadują tylko biali Amerykanie, a tacy jak wy mogą najwyżej zarobić w dziób.
- A ty gdzie idziesz? – spytałem.
- Zabieram dwóch *crackerów* z Południa właśnie do Irish Baru. Wyłącznie w interesach – zaznaczył, wskazując na paczki.

Kiedy zauważył wystający z jednej z moich paczek karton chesterfieldów, poradził mi, że bym go otworzył i rozłożył sobie paczki wokół pasa pod koszulą.

- Każdy marynarz ma prawo wziąć na ląd jedną nienaruszoną paczkę i jedną otwartą. Musimy przejść przez brytyjską kontrolę. Angole sami nie mają co palić, więc mają fioła na punkcie amerykańskich papierosów. Dasz takiemu paczkę i masz go z głowy.

Przekazałem tę cenną informację Smitty'emu i reszcie załogi. Wszyscy szybko poupychali swoje kartony w zalecany sposób.

Na lądzie musieliśmy przedefilować pojedynczo przed srogim brytyjskim żandarmem w białych rękawiczkach, białym pasie i z białą kaburą. Przyglądał się nam surowo spod daszka czerwonej czapki, ale kiedy każdy z nas wręczył mu paczkę papierosów, sroga mina roztopiła się w szerokim uśmiechu i jowialnym „*Cheerio, Yanks*”, po czym przepuścił nas już bez żadnej kontroli.

Harms Bar znajdował się w odległości krótkiego spaceru od przystani – odnalazłem go bez problemu. Ledwie weszliśmy, akordeonista uderzył w tony amerykańskiego przeboju, wyraźnie zamierzając tchnąć nieco życia w pustawę, jak dotąd, miejsce, nie licząc kilku dziewcząt, które obsiadły jeden stolik w oczekiwaniu na jakąś akcję. Sposób, w jaki patrzyły na nas i na moje papierosy, wymownie świadczył, co mają na myśli. Kiedy kelner usadowił nas przy sąsiednim stoliku, kilka z nich wyraziło na migi gotowość dotrzymania nam towarzystwa. Smitty już chciał zaprosić całe towarzystwo, ale poradziłem mu wziąć na wstrzymanie.

Dziewczyny – niektóre najwyżej osiemnastoletnie – wyglądały zdrowo i raczej niewyzwijająco w moich niedoświadczonych oczach. Naszą nieznajomość niemieckiego wyraźnie uważały za coś oczywistego, bo głośno spekulowały na temat tego, co je w nas fascynowało. Jedna wyznała, że nigdy nie chodzi do łóżka z bardzo czarnymi „Ami”, bo się ich boi. „A czego tu się bać?” – zdziwiła się druga, dla której „czarni nigdy nie są dość czarni”.

Kiedy przetłumaczyłem to Smitty’emu, wybuchnął konwulsyjnym śmiechem, który zagłuszył gwar przy sąsiednim stoliku.

– Myślisz, że to wszystko są kurwy? – zapytał z niedowierzaniem.

– Co do jednej – zapewniłem go z miną stałego bywalca, który wszystkie tajniki życia nocnego w St. Pauli ma w małym palcu, chociaż naprawdę pobierałem właśnie elementarną edukację.

Nie zdradzając, że mówię po niemiecku, zapytałem kelnera o Hannelore.

– Jest tutaj, to ta wysoka z rudymi włosami – wskazał mi jedną z grupy przy sąsiednim stoliku.

– Mógłby pan ją do nas zaprosić? – spytałem, podsuwając mu otwartą paczkę papierosów. Zgodził się aż nazbyt chętnie.

Hannelore, posągowa ruda kobieta około trzydziestki miała fantastyczne nogi i lekkiego zeza. Kiedy jej wyjaśniłem, że przysłała nas Werner, natychmiast usiadła i zrobiła się bardzo przyjazna.

– Werner to mój kumpel – powiedziała łamaną angielszczyzną. – Ty mówisz Hannelore, co chcesz, i Hannelore stara się pomóc.

Od razu wyłożyłem kawę na ławę łamanym niemieckim ze sztucznym amerykańskim akcentem:

– Smitty i ja jesteśmy z „Appleton Victory”. Smitty szuka jakiejś miłej i ładnej dziewczyny, na całą noc, do szóstej rano. O tej godzinie mamy motorówkę na statek.

– A ty? – chciała wiedzieć Hannelore.

– Ja poznałem dziewczynę na ostatniej przepustce – skłamałem, zdecydowany nie schodzić na manowce. Zależało mi, żeby jak najszybciej dotrzeć do domu i zaskoczyć matkę skarbami ze statku.

Hannelore chciała się dowiedzieć, jaki typ dziewczyn preferuje Smitty. Opis – rude włosy, wysoki wzrost, wspaniałe nogi – tak bardzo pasował do niej samej, że natychmiast pojęła aluzję.

– OK, to co powiesz na mnie?

Smitty uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Może być, *baby*, może być.

Bez dalszych ceregieli Hannelore przysunęła się do niego z krzesłem, dając tym sygnał swoim towarzyszkom, że facet na jakiś czas będzie zajęty.

Stopniowo do baru zaczęli napływać inni goście – kobiety i kolejni czarni marynarze, w tym kilku z „Appleton Victory”. Niektórzy z nich podeszli później do naszego stolika, gdzie Smitty, zerkając z miną posiadacza na rudowłosą piękność, opowiedział im, jak dobrze się nim zaopiekowałem. Wyraźnie pod wrażeniem, zapragnęli, abym i dla nich dokonał takiego cudu, co przy pomocy Hannelore nie stanowiło żadnego problemu. Ponieważ ani mężczyźni, ani kobiety nie byli szczególnie wybredni, w ciągu paru minut każdy z nich miał już swoją *Fräulein*.

Przez cały wieczór widziałem, jak biali marynarze wchodzili do baru, a potem pospiesznie go opuszczali, rzuciwszy tylko okiem na hałaśliwe międzyrasowe towarzystwo. Będąc w wyraźnej mniejszości, okazali się na tyle sprytni, że nie zgłaszali żadnych obiekcji, ale ich miny tchnęły nieskrywaną nienawiścią. Nie miałem cienia wątpliwości, że w ich mniemaniu białe kobiety – nawet prostytutki – nie powinny się zadawać z czarnymi mężczyznami.

Zadowolony, że Smitty i jego kumple wiedzą już, co i jak, raz jeszcze przypomniałem Hannelore, że motorówka odchodzi o szóstej rano i mój przyjaciel musi na nią zdążyć.

„To do zobaczenia jutro na statku” – pożegnałem się ze Smittym, a potem wyciągnąłem spod krzesła torbę z moimi skarbami i, złożonywszy wszystkim życzenia przyjemnego wieczoru, skierowałem się do wyjścia.

Postanowiłem wykręcić się od jutrzejszego występu w Alkazarze i jeszcze raz wybrać się na „Appleton Victory”. Ciężkie czasy od dawna mnie nauczyły nie przepuszczać okazji i kuć żelazo, póki gorące. Kiedy odziany w nowiutki drelich khaki przybyłem do doku, żeby złapać motorówkę, mój kumpel Werner już tam czekał. Na widok mojej transformacji powiedział mi najwyższy komplement: „No, teraz to jesteś wykapany *Ami*. Gdybym nie wiedział, na pewno bym uwierzył”.

Ponownie popłynęliśmy razem na statek i, tak jak poprzednio, od razu rozdzieliliśmy się, aby przyłączyć się do naszych szacownych przyjaciół po dwóch stronach bariery rasowej. Ponieważ Smitty nie miał tego dnia wolnego wieczoru, zaprosił mnie na nocleg. Zgodziłem się, kiedy Slim powiedział, że mogę spać w jego koi, a on pójdzie do kumpla w sąsiedniej kabini. Zanim rozstaliśmy się wieczorem, z zazdrością słuchałem, jak ci dwaj prześcigają się w opowieściach na temat swoich przygód w różnych portach świata. Rozebrałem się już i ułożyłem wygodnie w koi Slima, gdy nagle ktoś załomotał do drzwi. W progu stał jakiś marynarz, który oznajmił Smitty’emu, że do kapitana doszły słuchy o dwóch nieuprawnionych osobach na statku. Mają go natychmiast opuścić. Zrozumiałem, że z pewnością chodzi o Wenera i o mnie.

Smitty przeprosił mnie za ten niespodziewany obrót wypadków, ale potwierdził, że muszę się jak najszybciej ubrać i wynieść. Na pokładzie wpadłem na Wenera, którego również eksmitowano i przez którego, jak się okazało, kapitan tak się wkurzył. Podobno Werner kręcił się sam po pokładzie, kiedy wypatrzył go facet w przybrudzonych drelichach i zaczął wypyty-

wać, co tu robi. Wziąwszy go za jednego z niemieckich dokerów, którzy pomagali przy rozładunku i czyszczeniu statku, „typowy Amerykanin” odpowiedział w typowy dla siebie nonszalancki sposób: „Nie twój interes”. I dopiero kiedy tamten na niego ryknął: „Zabieraj dupę z mojego statku, skurwysynu!”, Wenera oświeciło, że właśnie popełnił poważny błąd, bo ten brudas to nikt inny, jak sam kapitan.

Uwaga Smitty’ego, że stary potrafi być strasznie dupkiem, okazała się wielkim niedomówieniem. Razem z Wernerem pogodziliśmy się z koniecznością czekania na zimnym pokładzie na ostatnią motorówkę, która miała pojawić się za pół godziny, ale młody oficer pokładowy poinformował nas, że kapitan kazał nam opuścić statek „natychmiast”. Oficer zasugerował, żebyśmy poczekali na motorówkę na sznurowej drabinie na zewnątrz statku, bo inaczej kapitan może kazać wyrzucić nas za burtę. Woleliśmy nie testować gotowości kapitana do popełnienia morderstwa, więc niechętnie przeleźliśmy przez reling na drabinę. Ściskaliśmy kurczowo szczeble, aż nam ramiona zdrętwiały w czasie kołysania na zimnej, nocnej bryzie nad czarnymi wodami Łaby. Wreszcie, kiedy zdawało nam się, że upłynęła cała wieczność, pojawiła się motorówka i nasza męka dobiegła końca... a przynajmniej tak nam się zdawało.

Już na pokładzie skiper oznajmił nam, że wysadzi nas w porcie wolnołowym (*Freihafen*), wiele kilometrów od naszego nabrzeża. Ponieważ nie mieliśmy papierosów, za pomocą których moglibyśmy go skłonić do zmiany zdania, wylądowaliśmy na wielkim półwyspie, gdzie wyznaczono strefę wolnołową i powierzchnię magazynową, w niegościnnie ciemnym, opuszczonym i zimnym porcie. Z braku lepszego pomysłu postanowiliśmy iść w kierunku miasta, nawet gdyby miało to trwać całą noc. Na widok świateł zbliżającego się samochodu, szybko wskoczyliśmy do rowu i siedzieliśmy tam, dopóki jeep z brytyjskimi żandarmami nie przejechał. Cały teren roił się od patroli, co zmuszało nas do powtarzania tego manewru raz po raz. W końcu wykończeni i zmarznięci w naszych cienkich drelichach, natrafiliśmy na małą, krytą papą szopę, która przy bliższym zbadaniu okazała się kurnikiem. Kiedy otworzyliśmy drzwi, buchnął nam w nozdrza potworny kwaśny odór, ale przynajmniej było tam cieplej niż pod gołym niebem. W świetle zapalki rozpoznaliśmy kilkanaście kur gdaczących gniewnie na widok intruzów.

Zadowoleni, że nie musimy już marznąć i kryć się przed żandarmami, postanowiliśmy znieść dzielnie smród i przeżyć w towarzystwie drobiu aż do świtu. Podzieliliśmy się ostatnim papierosem, a potem zwinęliśmy się razem na ziemi i zapadliśmy w sen.

Wstaliśmy, gdy tylko przez szpary szopy zaczęło przeświecać światło dnia. Spojrzeliśmy na siebie i jak na komendę wybuchnęliśmy śmiechem; byliśmy od stóp do głów pokryci kurzym gównem. Oczyszcziliśmy się, na ile się dało, i zostawiwszy kury (ale nie ich smród, który długo jeszcze nas prześladował), podjęliśmy wędrówkę. Tym razem nie spotkaliśmy już żadnego patrolu.



Po dwudziestu minutach marszu koło magazynów, żurawi portowych i wagonów towarowych dotarliśmy do głównej bramy portu wolnościowego. Serca nam zamarły na widok drewnianej budki z napisem ŻANDARMERIA WOJSKOWA. Już mieliśmy ją wyminąć, kiedy zaspary typ w czerwonej czapce wysunął głowę przez drzwi i, ziewając, życzył nam miłego dnia.

– Wy, chłopaki, to pewnie Jankesi, co nie? – zagadnął, na co odpowiedzieliśmy unisono nonszalanckim:

– *Yeah!*

Nie przyglądając się papierom, które wyciągnęliśmy z kieszeni, machnął tylko ręką i pożegnał nas kordialnym:

– *Cheerio!*

Gdyby zadał sobie trochę trudu, pewnie uniósłby brew (albo nawet obie), na widok nieważnej przepustki na ląd, którą Werner pożyczył od amerykańskiego kumpla, oraz świstka papieru z adresem Smitty’ego w Alabamie.

Po rozstaniu z Wernerem, którego od domu dzielił już tylko krótki spacer, czekało mnie jeszcze jedno upokorzenie. Jadąc zatłoczonym pociągiem miejskim do Othmarschen, musiałem znosić pogardliwe spojrzenia współpasażerów, którzy ostentacyjnie zatykali sobie nosy. Nie mogli sobie nawet wyobrazić, w jakie popadłem kłopoty.

Podczas kolejnych tygodni przeszedłem zdumiewającą transformację, zarówno fizyczną, jak i psychiczną. Werner przekonał mnie, że na amerykańskich statkach jest tyle waluty – czyli papierosów – że wystarczy się tylko po nie schylić, a mój egzotyczny wygląd stanowi naturalną podstawę do ubicia lukratywnego (to znaczy czarnorynkowego) interesu z czarnymi marynarzami. Poszedłem więc na całość i zrobiłem wszystko, żeby wyglądać, mówić, zachowywać się i nawet myśleć jak Amerykanin. Szybko zorganizowałem sobie kompletną garderobę w stylu US, łącznie z tenisówkami, bokserkami, krzykliwymi krawatami i garniturami z wywatowanymi marynarkami, a także dwoma kapeluszami Stetson o szerokich rondach. Całości dopełniała nowa fryzura: z bólem serca musiałem poświęcić długą hodowaną, wypomadowaną plerezę swingboya na rzecz krótkiego jeża w stylu amerykańskiego marynarza.

Pod kuratelą Wenera nauczyłem się jeść po amerykańsku – samym widelcem, trzymanym w prawej ręce, zamiast dotychczasowego europejskiego sposobu – z widelcem w lewej, a nożem w prawej. Werner pomógł mi także zamerykanizować mój szybko rozszerzający się zasób angielskich słów. Musiałem zapomnieć o takich wyrazach, jak *petrol*, *leftenant*, *bloke* i *lorry*, i zamienić je odpowiednio na *gas*, *lieutnant*, *guy* i *truck* [benzyna, porucznik, facet i ciężarówka]. Czego nie wiedzieliśmy o Stanach, tamtejszych obyczajach i mowie, uczyliśmy się z amerykańskich filmów, które wyświetlano w Uranii, kinoteatrze miejskim. Wprawdzie przybytek ten zarezerwowano tylko dla aliantów, ale dla Wenera i dla mnie nie stano-

wiło to przeszkody. To z filmów dowiedziałem się po raz pierwszy o wspaniałej amerykańskiej rozrywce – baseballu i o zbójczej grze, uprawianej głównie za pomocą piłki, którą z niewyjaśnionych powodów uparli się nazywać futbolem<sup>19</sup>.

Żeby nie wyjść z wprawy i tym samym nie zdradzić się, Werner i ja nabraliśmy zwyczaju porozumiewania się wyłącznie w języku angielskim. To, że brano nas za Amerykanów, miało wiele zalet. Należała do nich możliwość darmowych przejazdów pociągami miejskimi w luźnych, wygodnych wagonach tylko dla aliantów. Poza tym Niemcy traktowali nas z większym respektem, zwłaszcza oficjele, tacy jak policja, która nie miała jurysdykcji nad alianckim personelem. Nigdy nas nie nękali, w przeciwieństwie do swoich ziomków.

Ale istniała też druga strona medalu. Choćbyśmy konali z głodu, musieliśmy omijać niemieckie stragany z jedzeniem. Ponieważ wszyscy wiedzieli, że alianci są aż za dobrze żywieni różnymi przysmakami w swoich kantynach, nikt by nie uwierzył w naszą amerykańską tożsamość, gdyby przyłapano nas na wcinaniu gotowanej kapusty.

Przypominam sobie jeden przypadek, kiedy moje nowe wcielenie przysporzyło mi poważnych kłopotów. Odprowadzałem właśnie pewną młodą damę po naszej pierwszej randce w Haus Vaterland. Nie wiedząc, że mój niemiecki jest co najmniej tak dobry, jak jej, siliła się przez cały wieczór na rozmowę po angielsku, chociaż liźnęła tylko trochę tego języka już po zakończeniu wojny. Mimo tej drobnej przeszkody sprawy między nami toczyły się całkiem gładko i miałem pełne prawo przypuszczać, że to dopiero początek miłej znajomości. Wsiadliśmy do kolejki podziemnej i ze względu na moją towarzyszkę postanowiłem skorzystać z zatłoczonego wagonu dla Niemców. Paplałem z zapałem o życiu w Ameryce, ona zaś słuchała zafascynowana, kiedy nagle w końcu wagonu zauważyłem dawnego znajomego z moich „przedamerykańskich” dni. Pracowałem z nim w czasie wojny w fabryce, a potem nie widzieliśmy się przez parę lat. Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie przenieść się do dalszej części wagonu, ale było za późno. Zanim zdołałem się ruszyć, przepychał się w moją stronę, wołając na cały pociąg nieskażonym hamburskim Plattenem:

– *Hans-Jürgen, bis du dat? Ik hef die bino nich wedder erkannt mit den Bort* (Hans-Jürgen, to ty? Mało brakowało, a nie poznałbym cię z tymi wąsami).

Gorączkowo starając się zachować godność, spojrzałem na niego tępym wzrokiem i odparłem po angielsku:

– Nie rozumiem, co pan mówi.

Facet przyjrzał mi się jeszcze raz, niepewny, czy się nie pomylił, po czym pokręcił z niedowierzaniem głową i odszedł, mamrocząc pod nosem przeprosiny. Niestety nie mogłem mu wyjaśnić, że dawny Hans-Jürgen z Barmbeku został na jakiś czas Mickeyem z Ameryki; po prostu wpadłem we własne sidła.

Kiedy wysiedliśmy z pociągu, moja panna obrzuciła mnie lodowatym spojrzeniem.

– Nie lubię, jak się mnie okłamuje – powiedziała po niemiecku. – Zwłaszcza na pierwszym spotkaniu. *Auf Wiedersehen*, Hans-Jürgen, Mickey czy jak tam się nazywasz.

– Pozwól mi wyjaśnić...

Ale nie chciała słuchać, co specjalnie mnie nie zdziwiło.

Nie pozwalając mi nawet dokończyć zdania, obróciła się na pięcie i zniknęła z mojego życia.

## **Trio AH-JU HON LOUS**

W Alkazarze podczas przerwy zatrzymał się przy podium dla orkiestry jeden ze stepujących solistów, młody Azjata Ah-Ju Hon Lou. Poprosił mnie o chwilę rozmowy po występie. Do tej pory pozdrawialiśmy się tylko z daleka, więc z ciekawości zgodziłem się na spotkanie w barze. Czekał tam na mnie elegancko ubrany w szyty na miarę dwurzędowy szary garnitur i palił papierosa w długiej srebrnej cygarniczce. Po raz pierwszy miałem okazję przyjrzeć mu się z bliska. Był delikatnej, ale krzepkiej budowy, miał podłużne, migdałowe oczy, wysokie kości policzkowe i czarne falujące włosy, za jakie w dzieciństwie dałbym sobie uciąć rękę.

Zaznaczywszy, że koledzy nazywają go Ju, przeszedł do rzeczy: „Mam dla ciebie propozycję, na której obaj możemy skorzystać”. Mimo egzotycznego wyglądu mówił jak rodowity hamburczyk. Wydało mi się to dziwne, ale zaraz sobie uświadomiłem, że ja też nie wyglądam na chrzczonego wodą z Łaby.

Ju wyjaśnił, że urodził się dwadzieścia pięć lat temu w Hamburgu. Jego niemiecki dziadek był marynarzem. Podczas jednej z podróży do Szanghaju zaprzyjaźnił się z młodym Chińczykiem i zaprosił go do Niemiec. Pewnego dnia, ku zdumieniu marynarza, nowy przyjaciel zjawił się w jego domu w Hamburgu, gdzie poznał, a później poślubił córkę marynarza, późniejszą matkę Ju. Zarówno dziadek, jak i ojciec umarli, kiedy Ju jeszcze był mały, ale matka wciąż żyje. To właśnie ona namówiła go do nauki stepowania, akrobacji i tańca estradowego. Jest już żonaty i mimo swojego mieszanego pochodzenia został swego czasu przyjęty do Luftwaffe. W czasie wojny służył w jednostce spadochronowej.

Wtrąciłem, że nie mam bladego pojęcia o stepowaniu, na co Ju odparł, że wcale tego po mnie nie oczekuje: „Tańczę ja i dziewczyna. Ty będziesz nam akompaniował na saksofonie”. Powiedział, że obejrzał już kilka tancerek i jedna wydała mu się obiecująca. „Profesjonalna tancerka to nie problem – zapewnił – ale znaleźć kogoś takiego jak ty... kto wygląda na Amerykanina i gra na saksie to w Niemczech niełatwa sprawa.”

Dalej wyjaśnił, że zamierza promować swój zespół – Trio Ah-Ju Hon Lous – jako „muzyczny mikrokosmos Narodów Zjednoczonych”: Chińczyk, Niemka i Amerykanin. Poprosił, żebym wyobraził sobie siebie pośrodku sceny, grającego „dziki numer” na saksie na wielkiej, podobnej do bębna, podświetlonej od wewnątrz potężną żarówką powierzchni, podczas gdy

on i dziewczyna tańczyliby na dwóch mniejszych, po obu stronach. Żeby dodać występowi czadu, rzucą w tle specjalnie iluminowany obraz nowojorskiego horyzontu nocą.

Jako zdeklarowanemu amerykanofilowi spodobał mi się ten pomysł, z wyjątkiem nazwy zespołu. Ta chińska wydała mi się bezpłciowa i niekasowa. Powojenna niemiecka młodzież identyfikowała się z Bennym Goodmanem, Louisem Armstrongiem i Harrym Jamesem, nie z Konfucjuszem i Mao Zedongiem. Kiedy próbowałem – jak najtaktowniej – uświadomić to Ju, ten upierał się przy swoim, sugerując, że łatwiej będzie zakontraktować numer ze znaną już nazwą.

Jeśli miałem jakiegokolwiek obiekcje co do oferty Ju, to straciły całą moc, kiedy zapowiedział, że niemal podwoi mi miesięczne zarobki, a zamiast pracować po dwie godziny na wieczór, będę występował najwyżej przez kwadrans. Wyciągać dwa razy tyle za jedną ósmą czasu pracy? Tak, to przemawiało do mojej pączkującej świadomości biznesowej. Jeszcze tego samego wieczoru zgodziłem się przystąpić do Trio Ah-Ju Hon Lous, gdy tylko wygaśnie mój obecny kontrakt, czyli w końcu miesiąca.

Następne tygodnie wypełniły nam gorączkowe przygotowania do nowego numeru i wyjazdu w trasę. Dzięki agencji teatralnej obiecano Ju prestiżowy występ w rewii pod patronatem Służb Socjalnych Armii Brytyjskiej, która miała objeżdżać teatry w pobliżu obozów wojskowych w centralnych i zachodnich Niemczech. Musimy tylko być gotowi do przesłuchania na tydzień przed wyjazdem. Po usilnych poszukiwaniach odpowiedniej partnerki Ju zdecydował się wreszcie na jedną ze swoich uzdolnionych pupilek, miłą siedemnastoletnią blondynkę imieniem Ilse. Dziewczyna traktowała naukę stepowania jako hobby i nigdy nie tańczyła zawodowo. Największą przeszkodę stanowił opór rodziców, którzy nie chcieli puścić jej w trasę.

Pod ścisłym nadzorem Ju godzinami ćwiczyliśmy nasze numery, mierzyliśmy kostiumy, studiowaliśmy nuty z aranżerem i na zmianę poganiałiśmy teatralnych zaopatrzeniowców, żeby zdążyli przygotować nam na czas rekwizyty. Nasze niezmordowane wysiłki zdecydowanie się opłaciły. Trio Ah-Ju Hon Lous stawilo się punktualnie na przesłuchanie przed komisją Służb Socjalnych Armii Brytyjskiej, która ich numer wyznaczyła na otwarcie programu miesięcznej trasy.

Patrząc wstecz, nie mogę się nadziwić, jak szybko przystosowałem się do tego nowego, beztroskiego stylu życia wśród barwnych ludzi estrady po mojej dawnej ponurej egzystencji w środowisku statecznych robotników fabrycznych. Wystarczyło kilka tygodni, bym się poczuł jak ryba w wodzie.

### ***„Soir de Paris”***

Jednym z pamiętnych przystanków w trasie z Trio Ah-Ju Hon Lous było małe miasteczko Helmstedt, z przejściem granicznym do sowieckiej strefy okupacyjnej równie ważnym, jak

berliński Checkpoint Charlie. Ponieważ przyjechaliśmy dość późno i w hotelu zostało już mało wolnych miejsc, Ju i ja dostaliśmy pokój w małej gospodzie, a Ilse w takiej samej, położonej w pobliżu.

Ledwie weszliśmy do pokoju, wykończeni po wielu godzinach podróży ciężarówką, natychmiast przywróciły nas do życia dźwięki muzyki gramofonowej i głosy kobiet zza ściany. Bliższe śledztwo wykazało, że nasze pokoje dzielą tylko drzwi i toaletka. Jak przystało na dobrych sąsiadów, przedstawiliśmy się przez ścianę i, ku naszemu zachwytowi, wywiązała się ożywiona rozmowa, w trakcie której postanowiliśmy jednogłośnie sprawdzić, czy drzwi są zamknięte na klucz. Ustaliwszy, że wystarczy tylko nacisnąć klamkę po naszej stronie – znowu za obopólną zgodą – przesunęliśmy toaletkę i otworzyliśmy drzwi. To, co ujrzeliśmy po drugiej stronie, okazało się zbyt piękne, by mogło być prawdą: dwie śliczne dziewczyny, które zdawały się tak samo skłonne do zabawy jak my! Powiedziały, że pochodzą ze wsi koło Lüneburga i jadą do krewnych w Magdeburgu, w sowieckiej strefie. My przedstawiliśmy się jako artyści estradowi, zatrudnieni przez armię brytyjską. Jeśli zechcą, możemy im załatwić miejsca na nasz występ. Chociaż dziewczyny miały rano ruszać w dalszą drogę, doszły do wniosku, że nie muszą się spieszyć i chętnie zostaną na jeszcze jeden dzień.

Nie minęło wiele czasu, a tańczyliśmy przyzytulen przy przyciemnionym świetle. Szczególnie mocno wrył mi się w pamięć silny zapach wypełniający cały pokój. Najwyraźniej pochodził ze stojącej na toalecie kobaltowej buteleczki z napisem „*Soir de Paris*” (Wieczór w Paryżu). Nie zdawałem sobie wtedy z tego sprawy, ale nazwa i zapach miały pozostać mi w pamięci jeszcze na wiele lat.

Po odtworzeniu po raz enty tej samej płyty dziewczęta przypomniały nam, że robi się późno, ale jutro też jest dzień. Ju i ja postanowiliśmy zachować się po dżentelmeńsku i nie przeciągać struny. Ponieważ dziewczyny zgodziły się kontynuować nasze zajęcia, kiedy wrócimy z porannej próby, powiedzieliśmy im „dobranoc”, zamknęliśmy drzwi i przesunęliśmy toaletkę na miejsce. Przed zaśnięciem pogratulowaliśmy sobie jeszcze niezwyklego szczęścia, które zaprowadziło nas do tego właśnie pokoju.

Rano, przygotowując się do wyjścia, chodziliśmy na palcach, żeby nie obudzić nowych przyjaciółek. Uważaliśmy, że potrzebują mnóstwo snu, żeby sprostać programowi, jaki mieliśmy dla nich w zanadrzu. Koło południa, kiedy wróciliśmy z próby, zastaliśmy toaletkę przesuniętą na bok, ale drzwi zamknięte. Nadal dawały się otworzyć z klamki, więc nie doczekawszy się odpowiedzi na pukanie, skorzystaliśmy z tego i – ku naszemu wielkiemu zaskoczeniu – zobaczyliśmy kompletnie pusty pokój, wciąż jednak przesycony owym intensywnym, wszechobecnym zapachem perfum. Jeszcze większa niespodzianka czekała nas po dokładniejszej inspekcji pokoju: większość naszych rzeczy zniknęła. Zostały tylko prawie puste walizki.

Zawiadomiona o wszystkim właścicielka gospody poinformowała nas, że obie kobiety wymeldowały się krótko po naszym wyjściu na próbę i prawdopodobnie są już wiele kilometrów od granicy sowieckiej strefy, gdzie z powodu rosnącego napięcia między Wschodem a Zachodem pościg nie wchodzi w rachubę. Na szczęście oba instrumenty wziąłem ze sobą na próbę, a kostiumy sceniczne zdążyliśmy podrzucić wcześniej do teatru. Strata tych rzeczy mogłaby uniemożliwić nasz występ.

Ochłonawszy nieco po wybuchu bezsilnego gniewu, musieliśmy niechętnie przyznać, że my, obyci i wyrafinowani światowcy, daliśmy się wykiwać jak dwóch wiejskich kmiotków. Nigdy nie ustaliliśmy, co bardziej nas zabolalo – nasze nadwerżone ego czy utrata dobytku, ale jak to bywa w tego rodzaju przykrych przypadkach, czas uleczył nasze rany i niedokończona przygoda w oparach *Soir de Paris* odpłynęła w niebyt.

## **Między występami**

Po zakończeniu pełnego sukcesów miesiąca w trasie, a tym samym wypełnieniu warunków kontraktu, Trio Ah-Ju Hon Lous wróciło do Hamburga w przekonaniu, że po miesiącu znowu wyruszy w drogę. Nasza partnerka Ilse, której rodzice z wielką niechęcią zgodzili się na wspólny wyjazd, znowu stała się „porządną dziewczyną z sąsiedztwa”. Ju, przedsiębiorca z krwi i kości, wrócił do punktu wyjścia, czyli do czarnorynkowych interesów i roli wiernego męża, a ja do mojego nowego hobby, które polegało na tropieniu Amerykanów na hamburskim nabrzeżu.

Werner, gdy się z nim skontaktowałem, zakomunikował mi, że zjawiam się w samą porę, bo zapowiada się szalenie lukratywny interes: jeden z amerykańskich marynarzy potrzebuje pomocy w sprowadzeniu (czytaj: przeszmułowaniu) na ląd dwudziestu kartonów papierosów, którymi zamierza zapłacić pewnemu Niemcowi za nową, wartą 400 dolarów leicę. Za fatygę Amerykanin obiecuje dodatkowo sześć kartonów.

Zgodziłem się bez wahania. Ani przez chwilę nie miałem wrażenia, że uczestniczę w czymś niemoralnym czy niegodnym. Mimo wszystko każdy, dosłownie każdy, w taki czy inny sposób otarł się o czarny rynek: starsze panie wymieniały srebro na papierosy, dziewczęta spędzały noce z Amerykanami za paczkę lucky strike'ów, szacowni biznesmeni przyjmowali papierosy zamiast kuponów na reglamentowane towary, policjanci trzepali czarnorynkowych handlarzy, zatrzymując dla siebie papierosy, wreszcie brytyjscy i amerykańscy marynarze nagabywali Niemców o aparaty fotograficzne, złote zegarki, lornetki, obrączki ślubne i inne kosztowności – wszystko w zamian za kilka marnych papierosów.

Tak więc, mając od dawna z głowy wszelkie moralne skrupuły, skoncentrowałem całą energię wyłącznie na tym, aby nie dać się złapać. Nakreślony przez Wenera plan akcji wiązał się nie tylko z przemytem, ale też z odrobiną przekupstwa. Mój kumpel uważał, że nie wolno nam zdać się na przypadek. Chciał mieć pewność, że nie wpadniemy w kłopoty, kiedy

nasza kontrabanda znajdzie się na łądzie, dlatego na początek udaliśmy się na posterunek brytyjski w doku, gdzie wdaliśmy się w przyjacielską pogawędkę z dyżurnym starszym szeregowym. Rudy Szkot, który z zażenowaniem wyznał, że koledzy nazywają go Ginger, okazał się zatwardziałym jankesofilem. Kiedy zadaliśmy mu hipotetyczne pytanie, jak jego zdaniem najlepiej przemycić z naszego statku na łód „kilka dodatkowych kartonów papierosów”, odpowiedział – też tylko hipotetycznie – że optymalne szanse na taką operację wypadłyby następnego dnia podczas pewnych godzin, kiedy będzie miał wartę. Podziękowaliśmy mu paczką papierosów za cenną informację i obiecaliśmy odwiedzić go nazajutrz.

Dwadzieścia cztery godziny później, około południa, razem z Wernerem i Jeffem – jeszcze jednym czarnym marynarzem z Brooklynu, wysiedliśmy z motorówki w tym samym miejscu, obłożeni w pasie kartonami papierosów. Jeff dodatkowo dźwigał dwie wypchane płóciennie torby.

Zgodnie z umową Ginger pełnił wartę, ale oprócz niego na posterunku znajdował się jeszcze jeden żandarm, o którym Szkot nic nam nie wspomniał. W pierwszej chwili pomyśleliśmy, że nas wystawił, ale kiedy zastanawialiśmy się, czy wskoczyć z powrotem do motorówki, czy zmierzyć się z obydwojema strażnikami, Ginger dał nam znak ręką, żebyśmy przeszli do budki. Tam wyjaśnił nam z uśmiechem, że ten drugi to taki sam „swój chłop”, jak on, i możemy przystępować do interesu. Z wielką ulgą Werner wręczył Szkotowi dwa kartony i ruszyliśmy w swoją drogę. Najtrudniejszą część zadania mieliśmy za sobą... a przynajmniej tak sądziliśmy.

Po pięciu minutach marszu pod wiaduktem kolejki elektrycznej w kierunku na Rödingsmarkt zauważyliśmy, że w pewnej odległości za nami postępuje trzech panów w czarnych płaszczach. Nagle jeden z nich krzyknął:

– *Halt! Polizei!*

– Chodu! – wrzasnął Werner, który specjalnie trzymał się z tyłu, żeby nasza grupa nie rzucała się w oczy.

Kiedy tajniacy zaczęli go doganiać, sięgnął za pazuchę i rzucił w naszą stronę kilka kartonów. Pochwyciliśmy je z wprawą wyćwiczonych zonglerów cyrkowych i rzuciliśmy się do ucieczki. Ostatni raz widzieliśmy Wenera, kiedy szedł w przeciwną stronę, prowadzony z obu stron przez tajniaków. Najwyraźniej nasi prześladowcy, wiedząc, że nie mają władzy nad alianckim personelem, postanowili odpuścić sobie Jeffa i mnie. Chociaż żal nam było Wenera, nie mogliśmy nic dla niego zrobić, więc pokluczyliśmy trochę po ulicach, żeby zgubić ewentualny ogon, a potem ruszyliśmy pod adres właściciela leiki i dokończyliśmy transakcji ku zadowoleniu wszystkich zainteresowanych. Najbardziej skorzystał na niej Jeff, który dostał świetny aparat wart 400 dolarów za dwadzieścia sześć kartonów papierosów. Za każdy z nich zapłacił w sklepiku na statku tylko 75 centów.

Tego wieczoru, dopilnowawszy, żeby Jeff ze swoją leicą dotarł bezpiecznie na statek, wróciłem do domu w Othmarschen z sześcioma lekko pogniecionymi kartonami papierosów. Trudno było mi uznać te moje trzy za nieuczciwie pozyskany łup, a nie rekompensatę za niebezpieczną pracę, jak również za ciężkie życie pod władzą nazistów. Ale owszem, przeszło mi przez myśl, że uliczna wartość trzech kartonów amerykańskich papierosów, jakie „zarobiłem” w jedno popołudnie, wynosi 3 tysiące marek – tyle, ile otrzymuję za trzy miesiące pracy w Trio Ah-Ju Hon Lous. Chociaż ten rodzaj „szybkich pieniędzy” zdawał się sugerować, że jestem na najlepszej drodze do nieprzyzwoitego bogactwa, nic nie mogło być dalsze od prawdy. Faktem jest, że wielkie ilości amerykańskich papierosów, podobnie jak ich źródło – amerykańskie statki – trafiały się rzadko i w rezultacie moja egzystencja opierała się na ciągłych wzlotach i upadkach: od głodu do ucztowania i z powrotem do głodu. Nie da się jednak ukryć, że dodatkowy dochód z mojego dość niekonwencjonalnego stylu życia i tak nie wystarczał, by nadrobić to wszystko, cośmy z matką wycierpieli w czasie wojny i tuż po jej zakończeniu.

Następnego dnia po aresztowaniu Wenera wybrałem się w jego okolice, by sprawdzić, co się z nim stało. Przygotowałem się na wiadomość, że męczy się w pudle, a tymczasem zastałem go przed domem, uśmiechniętego od ucha do ucha i bez śladów jakichś strasznych przeżyć. Rozkoszując się każdym słowem, opowiedział mi, jak to rozżaleni tajniacy musieli go wypuścić już po dwóch godzinach na polecenie przełożonego, który im uświadomił, że bez dowodu w postaci papierosów nic na niego nie mają. Niemniej udzielili mu surowego ostrzeżenia, żeby uważał, bo następnym razem może nie mieć tyle szczęścia. Kiedy mu powiedziałem, że jego trzy kartony są bezpieczne na Othmarschen, Werner uznał, że faktycznie stać go na to, by przyciąć się na jakiś czas, i zasugerował, żebyśmy odpuścili sobie amerykańskie statki, póki sprawa nie przycichnie.

## **Żołnierski blichtr**

Nasza decyzja, by przez jakiś czas unikać amerykańskich statków, okazała się czysto teoretyczna, bo akurat żadnego w porcie nie było, o czym zresztą świadczył brak prostytutek na nabrzeżu. Gdyby jakikolwiek Amerykanin pokazał się w porcie, nocne (albo dzienne, zależnie od zmiany) damy z St. Pauli zjawyłyby się w podskokach, uprzedzone pocztą pantoflową, która działała niezawodnie na trasie Hamburg–Nowy Jork i z powrotem.

Omijając szerokim łukiem doki, w których roіło się od wścibskich wojskowych i cywilnych żandarmów, postanowiliśmy spróbować z Wernerem szczęścia w naszych stałych przybrzeżnych melinach. Z braku amerykańskich marynarzy byliśmy przygotowani na obniżenie lotów i poprzestanie na jakimś biednym Angolu czy, Boże uchroni, jeszcze biedniejszym Greku. W naszym wysoko wyspecjalizowanym biznesie szybko nauczyliśmy się, że żebracy



nie mają wyboru. Ale po kilku próbach nawiązania stosunków z Brytyjczykami, daliśmy za wygraną, uznawszy, że nie ma między nami chemii.

Raz w piwnicy Irish Baru, wypatrzyliśmy przy kontuarze samotnego czarnego Amerykanina. Jako jedyni czarnoskórzy w lokalu, uścisnęliśmy sobie dłonie i wszyscy trzej przedstawiliśmy się sobie nawzajem. Nowy znajomy nazywał się Donald Patterson, pochodził z Chicago i właśnie wracał do swojej jednostki w Grafenwöhr, w pobliżu Norymbergi.

Donald był dobrze zbudowany: szerokie bary, wąska talia, lecz niski – koło metra sześćdziesiąt pięć. Miał brunatną karnację, głęboko osadzone czarne oczy, orli nos i szerokie, pełne usta, nad którymi bez większego sukcesu usiłował wyhodować rudawy wąsik.

Dla Wenera i dla mnie możliwość wstąpienia do armii amerykańskiej była po prostu szczytem marzeń. Nic więc dziwnego, że z zazdrością i podziwem zerkaliśmy na oliwkowy mundur nowego znajomego, elegancką furazerkę, którą nosił naciągniętą nisko na prawy bok, wyczyszczone na błysk wojskowe buty, wypolerowane insygnia na kołnierzu i złote naszywki na rękawach dopasowanej eisenhowerowskiej kurtki. Czego byśmy nie dali, by znaleźć się na jego miejscu! Oczywiście nie mieliśmy bladego pojęcia, co to znaczy być amerykańskim żołnierzem. Według naszych idealistycznych wyobrażeń polegało to na paradowaniu w eleganckim mundurze, rozbijaniu się jeepem zamiast zdzierania nóg na piechotę, nieograniczonym dostępie do pysznego jedzenia, papierosów i niewyczerpanych zasobów dziewczyn, czekających tylko, żeby wziąć je do łóżka.

Kiedy Donald zadał nieuniknione pytanie, skąd ja, z moją ciemną skórą, wziąłem się w Hamburgu, poczęstowałem go, jak zwykle, skróconą wersją życiorysu, z jednym tylko odstępstwem od prawdy, mianowicie z liberyjskiego ojca zrobiłem Amerykanina. Dzięki temu niewinnemu kłamstewku – jak odkryłem – mogłem przedzierzgnąć się z „niepożądanego cudzoziemca” w kordialnie witanego „swojaka”, „brata”. W niedługim czasie zorientowałem się, że większość czarnych Amerykanów, z jakimi zetknąłem się w tuż powojennych latach, uważała Afrykę za zacofany kontynent, a Afrykanów za opóźnionych w rozwoju. Ponieważ sami odzyskali wolność zaledwie kilka pokoleń wcześniej, woleli, aby nie przypomniano im o tym aspekcie ich przeszłości. Ja z pewnością nie zamierzałem psuć sobie szans na zbudowanie obopólnie korzystnych mostów międzynarodowej wymiany handlowej, toteż nie starałem się imponować czarnemu bratu z Wietrznego Miasta<sup>20</sup> swoim królewskim przodkiem z Afryki.

Donaldowi wyraźnie spodobała się moja wersja, zwłaszcza jej prawdziwa część o krewnych, którzy wrócili do Barrington w Illinois.

– Chłopie, to raptem czterdzieści parę mil na północ od Chicago!

Była to dla mnie nowina, ale przytaknąłem skwapliwie, jakbym od dawna o tym wiedział. Donald zwierzył mi się, że ma jeszcze trzy dni urlopu i chętnie spędziłby trochę więcej czasu

w Hamburgu, ale niestety gwałtownie kończą mu się papierosy, więc nie miałyby jak sfinansować swoich hulanków.

– A ile ci zostało? – zapytałem.

Okazało się, że w worku marynarskim ma jeszcze ukryte dwa kartony. Natychmiast zapewniliśmy go z Wernerem, że z tego, co nam wiadomo o tym kraju, wystarczy tego z nawiązką na każdy rodzaj szaleństw dla całej naszej trójki.

Kiedy Donald zgodził się do nas przyłączyć, wpadłem w euforię. Dawało mi to znakomitą okazję do zdobycia wiedzy o kraju moich marzeń – zwyczajach, języku, problemach rasowych, panujących modach. Uznałem też, że pokazywanie się w publicznych miejscach z amerykańskim żołnierzem przyczyni się do zwiększenia mojej wiarygodności jako rzekomego Amerykanina.

Dopiliśmy drinki, po czym wyruszyliśmy na wspólną wędrówkę po najpopularniejszych lokalach – od Faun Baru do Haus Vaterland. Ponieważ w okupowanym przez Brytyjczyków Hamburgu amerykański mundur należał do rzadkości, nasza międzyrasowa trójka nieodmiennie przyciągała uwagę. Ilekroć wpadałem na kogoś znajomego, ostentacyjnie przedstawiałem mu Donalda, który – ku mojemu zachwytowi – zaznaczał, że jest moim kuzynem z Chicago. Czegóż chcieć więcej? Zdawało mi się zresztą, że Donald jest tak samo dumny z niemieckiego kuzyna, jak ja z amerykańskiego.

W dniu swojego powrotu do jednostki w Grafenwöhr poprosił nas, żebyśmy mu towarzyszyli. Kiedy zapytaliśmy, jak sobie wyobraża naszą podróż bez biletów i dokumentów, odpowiedział: „To już moje zmartwienie, tylko umawiamy się, że ja będę gadał”.

I zanim uświadomiliśmy sobie, co robimy, siedzieliśmy w pociągu do Norymbergi, w wagonie dla personelu alianckiego. Wpadliśmy w zrozumiąłą nerwowość, gdy oficer, którego Donald zidentyfikował jako porucznika armii amerykańskiej, zażądał od nas dokumentów. Po krótkiej wymianie zdań, podczas której Donald uraczył go rzewną historyjką, jak to jego biedny kuzyn ze swoim amerykańskim przyjacielem utknęli w Niemczech w czasie wojny, wyraźnie wzruszony oficer przeniósł nas do prawie pustego wagonu i poprosił, żebyśmy się w nim rozgościli, z czego nie omieszkaliśmy skorzystać. Jechaliśmy do Norymbergi w stylu, w którym już zawsze chcielibyśmy podróżować: paliliśmy amerykańskie papierosy, przeglądaliśmy amerykańskie magazyny, słuchaliśmy przez głośniki świetnych amerykańskich zespołów, a w porze obiadowej delektowaliśmy się amerykańskimi przysmakami. Staraliśmy się tylko nie zdradzić naszej przykrywki, żeby nie skończyć jak na „Appleton Victory”, dlatego mając w pamięci mądrą radę Wenera, jadłem samym widelcem, a nie na sposób europejski.

Tak zajechaliśmy na norymberski Hauptbahnhof, gdzie roilo się od czarnych i białych amerykańskich żołnierzy, w tym także niepokojącej liczby żandarmów. Na ulicy Donald ka-

zał nam zatrzymać się przy krawężniku, a sam wyciągnął rękę, wskazując kciukiem kierunek jazdy.

– Możesz mi wyjaśnić, o co ci chodzi? – zapytałem.

– Próbuję złapać stopa. – Zanim zdołał opowiedzieć coś więcej o amerykańskiej tradycji autostopu, zatrzymał się przy nas jeep.

– Wy do obozu? – spytał biały kapitan.

– Tak jest – odparł Donald.

– Wskakujcie.

Kapitan kazał nam się dobrze trzymać i ku naszej radości wcisnął gaz do dechy. Pojazd ruszył z piskiem opon i rwał naprzód, jakby go diabeł gonił. Wkrótce zostawiliśmy w tyle Norymbergę i po szaleńczej jeździe po kocich łbach wiejskiej dwupasmówki dotarliśmy do głównej bramy amerykańskiego obiektu wojskowego w Grafenwöhr. Żandarm w białym hełmie zaszalutował z oszklonej budki kapitanowi i bez żadnych formalności dał mu znak, że może jechać. Ten odpowiedział takim samym salutem i po minięciu rzędu drewnianych baraków wysadził nas przed podobnym do szopy budynkiem z napisem KANCELARIA KOMPANII A. Tam Donald zameldował powrót u dyżurnego sierżanta, a potem zaprowadził nas do swojego baraku, żebyśmy mogli rzucić okiem na jego „dom z dala od domu” i poznać kumpli. Ale barak okazał się pusty, z wyjątkiem jednego ordynansa.

Ani Werner, ani ja nie byliśmy przygotowani na to, co wydarzyło się później. Nagle w całym baraku zaroilo się od żołnierzy, ale zamiast dopasowanych kurtek Eisenhowera i furazelek, dzięki którym tak wytwornie się prezentowali, mieli na sobie jakieś marne kamuflaże, spływali potem i lepili się od brudu. Zrozumieliśmy, że wracają z ciężkiej pracy przy jakimś bynajmniej nieeleganckim zadaniu. Donald wyjaśnił, że to korpus łączności, który właśnie kopał rowy i układał kable. Kiedy popatrzyliśmy na te prymitywne baraki i zbieraninę żołnierzy, zaczęło do nas docierać, że służba w armii amerykańskiej – nasze najczulej pielęgnowane marzenie – znacznie odbiega od naszych fantazji.

Wprawdzie zapoznanie z „urokami” żołnierskiego życia stanowiło dla mnie coś w rodzaju kulturowego szoku, znacznie bardziej zaniepokoiło mnie jednak inne odkrycie. Otóż w jednostce Donalda wszyscy żołnierze byli czarni, a wszyscy oficerowie biali. Nasz przyjaciel nigdy nie wspomniał, że w jego jednostce obowiązuje segregacja rasowa. Przypomniałem sobie lakoniczne słowa Smitty’ego na statku: „My trzymamy ze sobą, a oni ze sobą. Nie wpierdalamy się w ich sprawy, a oni nie wpierdalają się w nasze”. Nie przeszło mi nawet przez myśl, zresztą nie widziałem w tym żadnego sensu, że ta sama zasada obowiązuje w wojsku, które ma za sobą okrutną wojnę światową w obronie demokracji.

Potrzebowałem czasu, żeby przyswoić sobie ten wstęp do amerykańskiego dylematu: niezdolności czy niechęci do życia według swojego *credo*, które zakładało „wolność i sprawiedliwość dla wszystkich”. Od dawna wiedziałem, że biali w Stanach, zwłaszcza tych południo-

wych, nie zawsze go przestrzegają i rzeczywiście mają na sumieniu wiele brutalnych przestępstw przeciwko czarnym współobywatelom. Nie miałem jednak pojęcia, że dyskryminację rasową nie tylko akceptuje, ale jawnie uprawia sam rząd. I chociaż szczerze nienawidziłem nazistów za ich rasizm i odmowę przyjęcia mnie w szeregi armii, to mimo wszystko wydawali mi się uczciwsi niż Amerykanie ze swoją gębą pełną frazesów o demokracji i gotowością werbowania czarnych do wojska, a jednocześnie trzymaniem ich na dystans, w jednostkach o niskim statusie, pod dowództwem białych. Z trudem przyznawałem to przed samym sobą, ale mój świeżo wykreowany ideał Ameryki, która zorganizowała i wygrała krucjatę o wolność dla uciemionych, otrzymał poważny, może nawet śmiertelny cios.

Niemniej, w wieku dwudziestu lat ani mi się śniło rezygnować z dążeń do lepszego życia tylko z powodu różnic ideologicznych. Niezależnie od złego traktowania czarnych w jednostce wojskowej, i tak widziałem, że mają się znacznie lepiej niż zwyciężeni Niemcy. A ponieważ podobieństwo do czarnych Amerykanów dawało mi zdecydowaną przewagę w zniszczonym przez wojnę kraju, postanowiłem kontynuować swoje starania, by mówić i zachowywać się jak oni. Możliwość przyjrzenia się z bliska, jak funkcjonuje prawdziwy czarny żołnierz w swoim środowisku, uznałem za nieoczekiwany dar od losu.

Rano usłyszeliśmy z Wernerem najpierw głosy dwóch mężczyzn wchodzących do baraku, a potem tupot nóg po drewnianych schodach. Po chwili staliśmy przed białym kapitanem i czarnym sierżantem z tabliczką do notatek. Najwyraźniej przeprowadzali inspekcję, bo kapitan zapytał: „Coście za jedni i co tu, u diabła, robicie?”. Kiedy wyjaśniłem, że mój „kuzyn” szeregowy Donald Patterson dostał pozwolenie od sierżanta, abyśmy z przyjacielem przenocowali w koszarach, oficer bez słowa obrócił się na pięcie i wypadł jak burza z pokoju razem ze swoim podwładnym.

Wobec zdecydowanie złych przeczuć, szybko zastąpiłem spóźniony prysznic kilkoma kroplami wody Old Spice. Werner także uznał pospieszne wyjście kapitana za zły omen. Mieliśmy rację. Po niecałych dziesięciu minutach pojawił się Donald w wygniecionych kamuflażach i nietypową dla niego zafrasowaną miną.

– Przykro mi, chłopaki, ale musicie natychmiast opuścić jednostkę. Komendant kompanii wkurzył się na maksa, nie chce tu żadnych nieuprawnionych osobników.

Nigdy nie słyszałem określenia „wkurzyć się na maksa”, ale od razu pojąłem, w czym rzecz.

– To co mamy robić? Samo dojście do bramy zajmie nam dwadzieścia minut. A jak dostaniemy się potem do Norymbergi?

– Tak się składa, że jeden oficer za parę minut tam jedzie i zgodził się was podrzucić. Ale musicie się pospieszyć.

Chociaż nie planowaliśmy z Wernerem dłuższego pobytu w Grafenwöhr, nie spodziewaliśmy się też, że tak szybko staniemy się niepożądanymi gośćmi. Mając jednak w pamięci bly-

skawiczną eksmisję z „Appleton Victory”, złapaliśmy torby, pożegnaliśmy Donalda i wskoczyliśmy do gazika, którego kierowca, czarny porucznik, zerkał już niecierpliwie na zegarek. Niezwykle przystojny, w nieskazitelnym mundurze z diagonalu, był pierwszym czarnym oficerem, którego tu spotkałem. Życzliwy uśmiech nie wskazywał jednak, że zdaje sobie sprawę z naszego położenia. Patrząc, jak biały żandarm przy bramie staje na baczność i saltuje czarnemu oficerowi, poczułem przypływ niesamowitej dumy.

Jeśli kapitan ustanowił wczoraj jakiś rekord prędkości, to porucznik bez trudu go pobił, nie zdejmując ani na chwilę stopy z gazu. „Przepraszam, chłopaki, ale trochę się spieszyłem – tłumaczył się, hamując przed dworcem w Norymberdze. – Chyba was nie wystraszyłem moim stylem jazdy?” Zapewniliśmy go, że nic nie sprawia nam takiej frajdy, jak szybka jazda, i ruszyliśmy na zatłoczoną stację. Niespodziewana eksmisja napełniła nas lękiem i mocno osłabiła entuzjazm do podawania się za Amerykanów, dlatego zamiast zaszczyścić naszą obecnością poczekalnię dla personelu alianckiego, jak mieliśmy to w zwyczaju, udaliśmy się do części przeznaczanej dla Niemców.

Odrapane i pozbawione wszelkich wygód pomieszczenie wypełniał tłum wycieńczonych podróżnych z podniszczonymi walizkami i plecakami. Wielu pożywiało się kanapkami, które musieli przynieść ze sobą, bo nigdzie nie było śladu żadnych sprzedawców. Mało brakowało, a z głodu schowalibyśmy dumę do kieszeni i poprosili o coś do jedzenia w zamian za kilka papierosów, ale ostatecznie zapaliliśmy sami, by zagłuszyć burczenie w brzuchu. W tej samej chwili staliśmy się celem zazdrosnych, wręcz nienawistnych spojrzeń ludzi, którzy najwyraźniej uznali, że zamożni Amerykanie nie mają czego szukać w „ich” poczekalni.

Nie im jednym przyszło to do głowy. Wkrótce w poczekalni pojawili się dwaj czarni żandarmi w białych hełmach i białych pasach. Zdecydowanym krokiem zmierzali prosto do nas.

– Umiesz czytać po angielsku? – spytał jeden z wyraźną nutą sarkazmu. A ponieważ w pierwszej chwili nie zrozumiałem, o co mu chodzi, powtórzył: – No umiesz czy nie?

– Oczywiście, że umiem – odparłem, bardziej zdenerwowany niż wystraszony. W końcu tym razem, dla odmiany, nie miałem nic na sumieniu.

– To se przeczytaj! – I machnął groźnie pałką w stronę wielkiego napisu na ścianie: **ALIANCKIEMU PERSONELOWI WSTĘP WZBRONIONY.**

Już miałem pójść za pierwszym odruchem i odpyskować mu: „I co z tego?”, kiedy żandarm dobrodusznie poprosił nas, żebyśmy przestali się wygłupiać, wzięli w troki nasze już-wiemy-co i wynieśli się do poczekalni po drugiej stronie dworca, gdzie nasze miejsce. Dodał jeszcze, że nie rozumie, czemu wolimy siedzieć w tym syfie razem ze szwabami.

Prawdę rzekłszy, my także tego nie rozumieliśmy, toteż po paru minutach korzystaliśmy już – absolutnie nielegalnie – z hojnej gościnności Wuja Sama w wygodnej kantynie. Raczyliliśmy się tam pysznymi, gorącymi naleśnikami i aromatyczną kawą, podaną przez miłe panie z USO<sup>21</sup>, które wychodziły ze skóry, by „nasi chłopcy” czuli się jak w domu. Tyle, że tym

razem napis na ścianie głosił: USO – NUR FÜR ALLIERTES PERSONAL (USO – TYLKO DLA PERSONELU ALIANCKIEGO).

Kiedy podjedliśmy sobie i doprowadziliśmy się do porządku w toalecie, postanowiliśmy rzucić okiem na Norymbergę przed wyjazdem do Hamburga. Widok zrujnowanych ulic przypominał mi o istotnej, lecz głównie negatywnej roli, jaką to miasto odegrało w moim życiu. To właśnie w Norymberdze odbył się w roku 1935 *Parteitag*, nazwany, jak na ironię, Zjazdem Wolności, który dał podstawę dla pogromów Żydów i innych nie-Aryjczyków. Prawa norymberskie pozbawiły Żydów i osoby o innym niż niemieckie pochodzeniu obywatelstwa tego kraju, jednocześnie zakazując im zawierania małżeństw i utrzymywania stosunków seksualnych z Aryjczykami.

Dzięki Leni Riefenstahl, której filmy dokumentalne pokazały wiele z tego dramatu, Norymberga, oficjalna stolica partii nazistowskiej, utkwiła w mojej pamięci bardziej niż jakiekolwiek inne miasto, z Berlinem włącznie. To właśnie tam, w samej kolebce nazizmu, odbywała się co roku tygodniowa orgia samozadowolenia z widowiskowymi masowymi wiecami, prohitlerowskimi demonstracjami i marszami do późna w nocy. Za sprawą Alberta Speera, architekta, a w czasie wojny hitlerowskiego ministra do spraw uzbrojenia i amunicji, na estradach zainstalowano ogromne reflektory skierowane ku niebu, które po włączeniu utworzyły tak zwaną katedrę światła.

Zastanawiałem się, ilu spośród tych setek sponiewieranych ludzi, którzy mijali nas na ulicach, było wśród tych fanatycznie wiwatujących na cześć ukochanego Führera. Dopóty zdzierali sobie gardła, dopóki wreszcie go nie przekonali, że może podbić cały świat. Patrzyłem twardo w twarze mężczyzn i kobiet, żeby sprawdzić, czy wyśledzę w nich resztki nazistowskiej arogancji, tego przeświadczenia o wyższości własnej rasy. Ale u nikogo nie dostrzegłem żadnego śladu niechlubnej przeszłości; w ich obojętnych oczach kryła się jedynie rezygnacja i niekwestionowana akceptacja obecnego *status quo*.

Moim zdaniem, alianci nie mogli wybrać lepszego niż Norymberga miejsca na procesy zbrodniarzy wojennych. W wyrokach, które zapadły przed kilkoma miesiącami, dwunastu łajdaków skazano na śmierć przez powieszenie, w tym (*in absentia*) Martina Bormanna, szefa kancelarii Hitlera. Plotkowano, że uciekł do Argentyny, ale po kilku dekadach odnaleziono w Berlinie jego szczątki, co świadczyło o prawdziwości przypuszczeń, jakoby popełnił samobójstwo w maju 1945. Także Göringowi udało się oszukać kata i połknąć tabletkę z cyjankiem, którą podobno przekazała mu żona podczas pożegnalnego pocałunku. Tak jak po śmierci Hitlera obeszło się i w tym wypadku bez publicznych (i prawdopodobnie także prywatnych) wyrazów żalu. Eksnaziści i ich sympatycy trzymali gęby na kłódkę w obawie, by nie zwrócić na siebie uwagi, a „zwykli” ludzie mówili „*Gott sei Dank*” (Dzięki Bogu) z braku niemieckiego odpowiednika „krzyżyk na drogę”.

Pod wieczór uznaliśmy z Wernerem, że już dość zobaczyliśmy i pora wracać na dworzec. Po drodze spotkaliśmy trzech czarnych żołnierzy, którzy chcieli wiedzieć, co tu robimy w cywilnych ubraniach.

– Jesteśmy marynarzami floty handlowej i zwiedzamy Bawarię – wyjaśnił Werner, wyraźnie nie budząc podejrzeń.

– To zapraszamy wieczorem na tańce do naszych koszar!

Ponieważ niespecjalnie spieszyło nam się do Hamburga, przyjęliśmy zaproszenie, przewidując nową przygodę.

Żołnierze stacjonowali w dawnych norymberskich koszarach SS – masywnym, trzypiętrowym kompleksie, który jeszcze nie tak dawno mieścił jakąś elitarną dywizję Hitlera. Poza brakiem swastyki, wyciętej z wieńca, który trzymał w szponach gigantyczny kamienny orzeł nad bramą, budynki wydawały się nietknięte przez wojnę.

Spodziewając się, że zaraz nas stąd wyrzucą, rozglądaliśmy się pilnie za wścibskimi żandarmami i innymi przedstawicielami władz wojskowych, którzy mogliby mieć obiekcje co do naszej obecności. Ale wszyscy traktowali nas jak dawno niewidzianych braci. Jedyny niebezpieczny moment nastąpił, kiedy wchodziliśmy na salę taneczną i żołnierz siedzący przy stole przy drzwiach zaczął Wernerem:

– Ty aby na pewno jesteś kolorowy?

Na co Werner, niebieskooki blondyn, bez mrugnięcia okiem odparował:

– A ty myślałeś, że co?

Żołnierz wzruszył przepaszająco ramionami i go przepuścił.

Wielką salę wypełniały setki czarnych żołnierzy i ich niemieckich dziewczyn. Nigdy w życiu nie widziałem tylu czarnych naraz. I co za wachlarz kolorów – od bieli, przez wszystkie odcienie czerni, aż do hebanu.

Kiedy orkiestra złożona z kilkunastu czarnych dała czadu, a saksofonista tenorowy podszedł do mikrofonu i bez najmniejszego wysiłku zaimprovizował niewiarygodnie skomplikowane wariacje na główny temat, moja wiara we własne muzyczne zdolności legła w gruzach. Z przykrością musiałem przyznać, że nigdy w życiu tak nie zagram i już niedługo będę musiał szukać innej pracy.

Akrobacje, jakie żołnierze wyczyniali na parkiecie ze swoimi partnerkami w jitterbugu, wyglądały jak profesjonalne układy choreograficzne. Musieli mieć nielichą praktykę! Obserwując wyraz najwyższej ekstazy na spoconych twarzach dziewcząt „jive’ujących” w takt tego, co naziści nazywali *Negermusik*, byłem pewien, że nawet gdyby Führer nie palnął sobie w łeb, to na sam widok swoich bezcennych *Deutsche Mädchen* z „czarnymi małpami” padłby trupem.

Nagle orkiestra uderzyła w mocne, podniosłe tony melodii, którą po raz pierwszy słyszałem dziesięć lat wcześniej, w roku 1936 na igrzyskach olimpijskich w Berlinie. Na pierwsze

takty wszyscy żołnierze stanęli na baczność, a my z Wernerem poszliśmy za ich przykładem. Jeden podszedł do mikrofonu i głębokim barytonem zaczął śpiewać. Chociaż nie wszystko rozumiałem, słuchałem ich z wielkim wzruszeniem, zwłaszcza zakończenia: „*o'er the land of the free, and the home of the brave*”<sup>22</sup>. Pomysł, by kiedyś zostać obywatelem amerykańskim, nigdy nie przemówił do mojej wyobraźni tak mocno, jak właśnie w tej chwili.

Zabawa dobiegła końca i żołnierze ze swoimi pannami zaczęli wysypywać się z sali. Byliśmy śmiertelnie zmęczeni, toteż chętnie przyjęliśmy propozycję jednego z nowych przyjaciół, aby zanocować w koszarach, i ruszyliśmy za nim na piętro. Pod drzwiami uprzedził nas, że w środku śpią dwaj jego koledzy, ale za godzinę muszą wstać na służbę. Dał nam znak, że mamy być cicho, otworzył drzwi i bez zapalania światła skierował nas do dwóch pustych prycz. „Rano po was przyjdę” – obiecał. Byliśmy tak skonani, że głośnie chrapanie współlokatorów nie zrobiło na nas żadnego wrażenia i już po chwili spaliśmy kamiennym snem.

Kiedy się obudziłem, był biały dzień, a obaj żołnierze zniknęli. Werner na sąsiedniej pryczy wciąż jeszcze spał. Rozglądałem się leniwie po pokoju: kilka starannie pościelonych prycz, stół z czterema krzesłami, szafki w ścianie... Nagle zdrętwiałem. Na szczycie każdej szafki leżała biała wkładka do hełmu z literami, które budziły w nas najwyższy strach: MP<sup>23</sup>. Wzdłuż jednej ze ścian ciągnął się rząd haczyków, a na nich wisały białe pasy z pustymi białymi kaburami. Mogło to znaczyć tylko jedno: nasi wczorajsi przyjaciele to wolni od służby żandarmi.

Gdy tylko dotarło do mnie w pełni znaczenie mojego odkrycia, obudziłem Wenera i zakomunikowałem mu, że właśnie spędziliśmy noc w jaskini lwa. W ciągu paru sekund byliśmy całkowicie ubrani i, przemywszy twarze w przyległej umywalni, dziarskim krokiem maszerowaliśmy przez niekończące się korytarze. Potem już tylko kilka pięter po schodach i dalej, za bramę z wyciętą swastyką. Dopiero kiedy budynki *Kaserne* zupełnie znikły nam z oczu, odważyliśmy się biec. Na dworcu kusilo nas, by raz jeszcze odwiedzić poczekalnię dla alianckiego personelu, ale zrezygnowaliśmy, bo właśnie ogłoszono, że pociąg do Hamburga zaraz odjeżdża.

Bez Donalda musieliśmy zadowolić się wagonem dla Niemców, pozbawionym tych wszystkich wygod, do których zdążyliśmy przywyknąć. „Gdzie ci żandarmi, kiedy akurat są potrzebni?” – zastanawiałem się w nadziei, że pojawi się patrol i może znowu każe nam się przenieść. Ale tym razem nie mieliśmy szczęścia. Jedyнным oficjelem, który się pokazał w wagonie, był stary, burkliwy konduktor. Sprawdził bilety wszystkim pasażerom, oprócz nas – widocznie wziął nas za aliancki personel, uprawniony do darmowych przejazdów.

Po długiej podróży, którą udało nam się w większości przespać bez żadnych przygód, dotarliśmy szczęśliwie do Hamburga.

## **Werner wyjeżdża do Ameryki**



Krótko po naszej norymberskiej przygodzie, wiosną 1947 Werner zaskoczył mnie niezwykle nowiną. Po wielu latach ubiegania się o repatriację rząd Stanów Zjednoczonych nareszcie dał mu pozytywną odpowiedź. „Niemcy nie będą już musieli znosić na swojej ziemi Wenera Jankesa” – oznajmił z szerokim uśmiechem, pokazując mi list z Departamentu Stanu, który po zbadaniu załączonych dokumentów postanowił w pełni potwierdzić jego prawo do obywatelstwa Stanów Zjednoczonych. Podjęto już przygotowania do podróży Wenera z Bremerhaven do Nowego Jorku na koszt rządu amerykańskiego. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, najpóźniej za trzy miesiące powinien się znaleźć na statku. W najbliższym czasie otrzyma z konsulatu generalnego w Hamburgu zawiadomienie, że ma się zgłosić po odbiór paszportu.

Ta pomyślna dla Wenera wiadomość wyzwoliła we mnie całą masę emocji. Chociaż cieszyło mnie, że jego – nie, nasze! – marzenia są tak bliskie spełnienia, już sama myśl o jego wyjeździe napełniała mnie grozą, bo ostatnio staliśmy się prawie nierozłączni. Wprawdzie poznaliśmy się tylko półtora roku wcześniej, ale mnie się wydawało, że przyjaźnimy się całe życie. Zawsze fantazjowałem, że pewnego dnia razem wyruszymy w podróż do Stanów. Tak długo i z takim przekonaniem grałem rolę czarnego Amerykanina, którego wojna zatrzymała w Niemczech, że sam zacząłem wierzyć w swoje prawo do repatriacji na równi z Wenerem. Dobra nowina dla Wenera sprowadziła mnie do rzeczywistości. Zrozumiałem, że do tej pory tylko grałem, oszukując nie tylko innych, ale i siebie samego. Ameryka nie przybliżyła się ani trochę od tamtego dnia, kiedy poznałem Wenera na nabrzeżu i zaświtała mi myśl o szukaniu szczęścia za morzem.

Z trudem ukryłem rozczarowanie faktem, że moje marzenie musi na razie pozostać tylko marzeniem. Natomiast dla Wenera rola zadowolonego z życia Amerykanina nagle dobiegła końca. Z amerykańskim paszportem w kieszeni nie musiał już udawać, on po prostu był obywatelem Stanów Zjednoczonych. Teraz mógł korzystać ze wszystkich alianckich uprawnień – chodzić do kina, jeździć pociągami – nie oglądając się na amerykańskich czy brytyjskich żandarmów. Wyłącznie z racji swojego urodzenia, mógł pozwolić sobie nawet na największą rozkosz, czyli kłaść nogi na przeciwległym siedzeniu, w prawdziwie jankeskim stylu, i nie musiał nikogo za to przepraszać.

W żadnym wypadku nie chciałem, aby Werner posądził mnie o zazdrość, chociaż – uczciwie przyznaję – wolałbym, żeby Departament Stanu opóźnił nieco jego wyjazd. Na szczęście mój przyjaciel miał takie urwanie głowy, że w ogóle nie zwrócił uwagi na moją niezbyt entuzjastyczną reakcję.

Dzięki pomyślnemu dla wszystkich zainteresowanych zbiegowi okoliczności, musiałem przestać zajmować się Wenerem, bo Ju kazał mi się szykować do kolejnej, tym razem dwumiesięcznej trasy po środkowych Niemczech. Oszczędziło mi to długich pożegnań i udawania, że cieszę się szczęściem Wenera, co pewnie i tak by mi nie wyszło. Zanim wróciłem do

Hamburga, on zdążył już wylądować w Nowym Jorku, który – jak donosił w swoim pierwszym liście – przeszedł jego najśmielsze oczekiwania.

Poza wszystkim, wyjazd Wenera podziałał na mnie trochę jak kubeł zimnej wody. Nagle zdałem sobie sprawę, że jeśli kiedykolwiek mam się wyrwać z Niemiec, to muszę przestać bujać w obłokach i uprawiać gierki, tylko zacząć działać. Ponieważ nie miałem podstaw prawnych do ubiegania się o obywatelstwo Stanów Zjednoczonych, uznałem, że muszę grać takimi kartami, jakie los mi przeznaczył. W żadnym wypadku nie zamierzałem się poddawać i siedzieć do końca życia w Niemczech.

Ledwie skończyła się wojna, rozpocząłem starania o nawiązanie kontaktu z ojcem, który przebywał w Liberii. Oficjalny ruch pocztowy pomiędzy naszymi krajami nie został jeszcze wznowiony, przekazywałem więc moje listy (zaadresowane z braku innych danych: „Mr Al-Haj Massaquoi, Monrovia, Liber, West Africa”) zaprzyjaźnionym żołnierzom brytyjskim z prośbą o wysłanie tamtejszą pocztą. Pisałem w nich, że razem z matką przeżyliśmy wojnę, że zarabiam na życie jako muzyk, ale nadal mamy poważne problemy i najchętniej byśmy stąd wyjechali. Kiedy przez ponad pół roku niecierpliwego oczekiwania nie otrzymałem żadnej odpowiedzi, w zasadzie straciłem nadzieję.

Dopiero po wyjeździe Wenera, gdy przysło moje marzenie o przyszłości w Ameryce, postanowiłem dać ojcu jeszcze jedną szansę. Przy pomocy braci Giordano, którzy zaczęli wyrabiać sobie nazwisko jako młodzi, obiecujący dziennikarze, wystukałem na ich rozklekotanej maszynie jeszcze kilkanaście listów. Tym razem rozesłałem je za pośrednictwem Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, agencji UNRRA i kilku konsulatów, w tym amerykańskiego. Napisałem także do Marthy, córki mojej ciotki Clary w Barrington, w Illinois oraz do Ilse, córki wuja Paula w Chicago. Jedną i drugą powiadomiłem, że chcemy z matką wyostać się z Niemiec i prosimy o pomoc.

Wprawdzie od ojca nadal nie miałem znaku życia, ale kilka tygodni później niespodziewanie przyszły listy od obu kuzynek. Ten od Marthy – pozytywny. Obie z matką dostały mój list i zasięgnęły rady prawnika w kwestii sprowadzenia nas do Stanów. Niestety główną przeszkodę stanowi brak oficjalnego traktatu pokojowego z Niemcami, które wciąż podlegają alianckiemu prawu wojskowemu. W rezultacie Niemcom w Stanach nie przysługuje kontyngent imigracyjny, a bez tego ich obywatele nie mogą uzyskać tam prawa pobytu. Martha zakończyła swój list optymistyczną uwagą, że jej matka nie rezygnuje ze starań o nasz przyjazd i już umówiła się na spotkanie ze swoim kongresmenem w tej sprawie.

List od Ilse był zupełnie inny. W odróżnieniu od gawędziarskiego tonu, który charakteryzował jej poprzednią korespondencję, zawierał tylko kilka frazesów w rodzaju „jak miło, że się odezwałeś”. Na końcu wuj Paul dopisał kilka zdań, sprowadzających się w zasadzie do jednego: „Drogi siostrzeńcze, w żadnym wypadku nie przyjeżdżaj do Chicago”. Pisał, że chce po prostu oszczędzić mi rozczarowania, bo jak większość Niemców, wyraźnie uległem

mylnemu przekonaniu, że Stany Zjednoczone to kraina mlekiem i miodem płynąca. Tymczasem prawda jest taka, że Amerykanie musieli w pocie czoła pracować na to, co posiadają, a wiele rzeczy, w tym niektóre produkty żywnościowe, nadal są rzadkością. Dlatego najlepiej zrobimy, pozostając tam, gdzie jesteśmy i znosząc nasz los, dopóki sytuacja się nie poprawi.

Przeczytawszy te uwagi, matka zawrzała gniewem na brata, którego zawsze kochała całym sercem. „To my tu głodujemy i często nawet nie wiemy, kiedy znów będzie coś do jedzenia, a mój kochany braciszek śmie nam pisać, że mamy nie przyjeżdżać, bo w jego caca-nej Ameryce ludzie ciężko pracują i niektóre produkty są rzadkością! Nie przypominam sobie, abym kiedykolwiek mu pisała, że nie chcemy pracować!”

Jeszcze bardziej wściekła się po otrzymaniu listu od swojej siostry Clary. Ta bowiem wyjaśniła matce prawdziwy powód, dla którego wuj nie chce nas widzieć w Chicago: otóż boi się, że jej ciemnoskóry syn może być źle widziany w jego białej społeczności. Po śmierci pierwszej żony, urodzonej w Niemczech matki jego dzieci – donosiła Clara – Paul poślubił Amerykankę z Południa i najwyraźniej uległ jej rasistowskim przekonaniom. Więcej matce nie było trzeba. „Paul chyba zapomniał, że dwadzieścia pięć lat temu był zagłodzonym nędzarzem, który nigdy nie dostałby się do Stanów, gdyby nie pomoc naszej siostry Marthy i brata Hermanna! I on teraz śmie patrzeć z góry na ludzi innej rasy! Ale już nie musi się martwić, bo od dziś nie mam brata imieniem Paul! Dla mnie jest już martwy!”

Danego wtedy słowa dotrzymała do końca życia. Paul ze swej strony także nie wycofał się ze swych rasowych uprzedzeń i nigdy nie wyciągnął ręki ani do matki, ani do mnie. I chociaż Mutti niedługo potem rzeczywiście przeniosła się do Stanów, gdzie przez dwadzieścia pięć lat mieszkała o czterdzieści minut jazdy samochodem od Paula, nigdy go nie odwiedziła ani do niego nie zadzwoniła, a kiedy umarł, nie wzięła udziału w pogrzebie.

## Oblawa

Prowadzenie interesów na nabrzeżu bez logistycznego i moralnego wsparcia Wenera z początku sprawiało mi trudności, ale jakoś sobie radziłem. Jednak pewnego dnia, kiedy najmniej się tego spodziewałem, po raz pierwszy wpadłem w naprawdę poważne kłopoty.

Właśnie wróciłem z amerykańskiego statku i z grupką czarnych marynarzy udałem się do baru na tradycyjny zestaw biznes–gorzała–dziewczynki. Mimo wczesnej pory w lokalu panował tłok. Przebywaliśmy tam może z piętnaście minut, kiedy nagle z zewnątrz dobiegły nas ostre gwizdy i głośne rozkazy. Wyjrzawszy przez okno, zobaczyłem przy krawężniku rząd jeepów. Parę sekund później do środka wpadli uzbrojeni brytyjscy kontrolerzy portowi w niebieskich mundurach i białych czapkach. Wybrali spośród zebranych pewną liczbę Amerykanów – czarnych i białych – i wyprowadzili ich do oczekujących jeepów. Pech chciał, że znalazłem się wśród zatrzymanych. Po krótkiej jeździe do biura kontroli portu kazano nam czekać w dużym pomieszczeniu, skąd już pojedynczo wzywano nas na przesłuchanie.

Kiedy przyszła moja kolej, stanąłem przed kilkoma oficerami siedzącymi za długim stołem. Jeden z nich kazał mi opróżnić kieszenie. Na widok nieotwartego kartonu chesterfiel-dów, który wyjąłem spod kurtki, uśmiechnął się radośnie, wyraźnie zadowolony, że przynajmniej jednego winowajcę złapał na gorącym uczynku.

– Poproszę waszą przepustkę na ląd.

– Nie mam.

– Więc opuściliście statek bez przepustki?

– Nie.

– Skoro nie posiadacie ważnej przepustki od płatnika, to jesteście na lądzie nielegalnie i podlegacie aresztowaniu.

Zdając sobie sprawę, że w gruncie rzeczy nie złamałem żadnego prawa, zacząłem bawić się z brytyjskim waźniakiem w kotka i myszkę.

– Macie przy sobie jakiś dokument tożsamości? – wypytywał wyraźnie poirytowany oficer.

Wskazałem na niebieską Kennkartę bez fotografii, którą położyłem na stole razem z kilkoma innymi przedmiotami, m.in. zapalniczką i paczką gumy do żucia. Oficer wziął dokument i uważnie przestudiował dane.

– Według tego dokumentu, jesteście narodowości niemieckiej i nie należycie do załogi amerykańskiego statku?

– Zgadza się.

– Więc jak weszliście w posiadanie tego kartonu papierosów? Jak za niego zapłaciliście? I co zamierzacie z nim zrobić? Zdajecie sobie sprawę, że handel na czarnym rynku jest po-

ważnym przestępstwem? – dociskał mnie oficer, wyraźnie przekonany, że już się nie wywinę.

– Nic nie zapłaciłem za te papierosy. Podarował mi je amerykański marynarz podczas wizyty na statku.

– Chcecie mi wmówić, że wystarczyłoby mi wejść na pokład, żeby dostać za darmo karton papierosów? – uderzył w sarkastyczną nutę oficer.

– Bardzo w to wątpię.

– Więc dlaczego wy – tak, a ja – nie?

Tym razem odpaliłem bombę:

– Bo pan jest biały, a ja czarny! Marynarzowi, który dał mi ten karton, zrobiło się mnie żal, kiedy usłyszał, że przeżyłem wojnę w nazistowskich Niemczech.

Zapadła krępująca cisza. W końcu inny oficer przeprosił mnie za kłopot i powiedział, że mogę zabrać swoje rzeczy, z papierosami włącznie, i opuścić budynek. Po drodze do wyjścia zauważyłem, że idzie za mną młody porucznik. Przez chwilę myślałem, że oficerowie zmienili zdanie i jednak chcą mnie zatrzymać, ale porucznikowi chodziło o coś innego.

– Chciałbym z panem chwilę porozmawiać.

Rozumiejąc, że w zasadzie nie mam wyboru, podążyłem za nim do pustego biurowego pokoju. Tam poinformował mnie, że jego urząd otrzymał meldunek o czterech „kolorowych” żołnierzach amerykańskich, którzy zdezerterowali z jednostki w Bremie i prawdopodobnie ukrywają się w okolicy hamburskiego nabrzeża z pomocą niemieckich kobiet. Zgodnie z meldunkami, mężczyźni ci są odpowiedzialni za szereg włamań i napadów z bronią w rękę, dlatego należy ich uważać za niebezpiecznych. Rzeczywiście przypominałem sobie, że niedawno natknąłem się w St. Pauli na trzech czarnych żołnierzach w towarzystwie kobiet. Powiedzieliśmy sobie „hi”, ale ponieważ nie zdradzali ochoty na zawarcie bliższej znajomości, poszedłem dalej. Amerykańskich żołnierzach, zwłaszcza czarnych, nadzwyczaj rzadko widywało się w okupowanym przez Brytyjczyków Hamburgu, toteż nie miałem wątpliwości, że tych trzech stanowiło część poszukiwanego „kwartetu”.

Jak powiedział mi porucznik, dezercerzy przypuszczalnie szukają na nabrzeżu okazji do zawarcia znajomości z czarnymi marynarzami w nadziei, że ci przemycą ich na amerykański statek i ułatwią podróż na gapę.

– Wiem, że pan nie popiera włamywaczy i bandytów – kontynuował, wyraźnie próbując mi się podlizać. – Dlatego pomyślałem, że może zechce nam pan pomóc w ich ujęciu. W zamian otrzyma pan stałą przepustkę uprawniającą do wejścia na teren doków i na statki, bez opowiadania się władzom portowym. Wystarczy, że będzie pan miał oko na wszystkich kolorowych Amerykanów. – To rzekłszy, wypełnił ważną przez miesiąc przepustkę na moje nazwisko. Dał mi też kartkę ze swoim nazwiskiem, stopniem i numerem telefonu. – Jeśli za-

uważy pan coś podejrzanego, proszę dzwonić pod ten numer, bez względu na porę dnia czy nocy. Zrobi pan to dla nas?

– Z przyjemnością – skłamałem. Nie miałem najmniejszego zamiaru odgrywać Judasza wobec czarnych żołnierzy, którzy chcieli wrócić do kraju, bo prawdopodobnie mieli po dziurki w nosie życia w wojsku, gdzie traktowano ich jak obywateli drugiej kategorii. Ani przez chwilę nie wierzyłem w te „meldunki” o włamaniach i napadach, ale jeśli nawet były prawdziwe, nie interesowała mnie funkcja brytyjskiego kapusia.

W ciągu następnych tygodni przepustka do doków okazała się wielce przydatna, bo dzięki niej mogłem tam wchodzić i wychodzić, nie przejmując się wścibskimi żandarmami. Ponieważ każdy z nich szczególnie uważnie wypatrywał czarnych dezertersów, mój kolor skóry szybko zmienił się z atutu w sporą niedogodność, ale dzięki przepustce mogłem wymknąć się każdej obławie.

Dzięki poczcie pantoflowej szybko dowiedziałem się, że jeden z czwórki został już złapany i odesłany do jednostki w Bremie na proces przed sądem wojskowym, natomiast reszta wciąż jeszcze ukrywa się u przyjaciółek Hannelore i czeka na okazję, by zrobić następny krok. Porucznik miał rację co do jednego: Hannelore potwierdziła, że dezertersy zamierzają dostać się na amerykański statek. Podobno jej przyjaciółki są w nich zakochane po uszy i zrobią wszystko, aby im pomóc w ucieczce. I kategorycznie zaprzeczają wszelkim pogłoskom o kradzieżach.

Parę tygodni później, podczas jednej z nocnych rundek po ulubionych melinach, zauważyłem, że kilkanaście jeepów wyładowanych żandarmami podjeżdża pod budynek, który Hannelore wskazała mi jako kryjówkę dezertersów. Na komendę dowódcy odbezpieczyli broń i hurmem ruszyli do środka. W ciągu paru minut przed domem zebrał się tłum gapiów zaciekawionych nocnymi hałasami. Niektórzy spekulowali, że to nalot na rekiny czarnego rynku. Ja podejrzewałem zupełnie co innego, ale trzymałem głowę na kłódkę. Miałem nadzieję, że ptaszki zdążyły już wyfrunąć z gniazdka, ale nic z tego. Kilka minut później wyprowadzono trzech czarnych żołnierzy ze skutymi rękami. Gdy tylko jeepy odjechały z piskiem opon, tłum się rozproszył i życie na ulicy wróciło do normy, jakby nic się nie wydarzyło.

Nie wiem, jaki los spotkał tych nieszczęśników, ale cieszę się, że nie miałem nic wspólnego z ich aresztowaniem.

## **Kierunek Afryka**

Już prawie straciłem nadzieję, że mój ojciec da jeszcze o sobie znać, kiedy pewnego dnia otrzymałem pocztą lotniczą nietypowo dużą kopertę, wyróżniającą się wśród innych kolorami egzotycznych znaczków. Był to długo oczekiwany list od ojca.

Jeszcze zanim go otworzyłem, zaalała mnie fala sprzecznych emocji: oto pierwszy od osiemnastu lat namacalny dowód związku z człowiekiem, którego kazano mi nazywać „oj-

cem”, chociaż odkąd nas opuścił, stał mi się zupełnie obcy. Nie byłem teraz w stanie obdarzyć go cieplejszymi uczuciami, najwyżej bezosobową ciekawością. Kim był ten Al-Haj Massaquoi, o którym tyle słyszałem i którego, zdaniem matki, tak bardzo pod wieloma względami przypominałem? Dlaczego zostawił nas w Niemczech, nie kiwnąwszy palcem, aby nam pomóc, kiedy najbardziej tego potrzebowaliśmy?

List, napisany po angielsku na maszynie, zaczynał się zwyczajnie: „Drogi Hansie-Jürge-nie!”. Dalej ojciec dziękował mi za list z 8 stycznia 1948 i wyrażał ulgę, że przeżyliśmy z matką wojnę, bo od dłuższego czasu obawiał się, iż zostaliśmy zabici. Natychmiast po otrzymaniu tej radosnej wiadomości złożył wniosek o paszport liberyjski dla mnie, co umożliwi mi przyjazd do Liberii. Aby nadać bieg sprawie, mam mu jak najszybciej przysłać swoje zdjęcia paszportowe. Jednocześnie sugerował, abym na razie wyruszył w podróż sam, a jeśli Liberia przypadnie mi do gustu, zorganizuje przyjazd także dla matki.

Potem nadeszła kolej na złe wieści, których zresztą się spodziewałem: „Z przykrością muszę Ci donieść, że Twój dziadek Momolu nie żyje od roku 1938”. Przypomniałem sobie, jak jeszcze w dzieciństwie dziadek obiecał mi pokazać koronę, którą nosił jako król plemienia Vai. Przez chwilę brzmiał mi w uszach ryk jego śmiechu w odpowiedzi na moje opowieści, miałem też przed oczami obraz nas obu na spacerze nad Alsterem, gdzie karmiliśmy łąbędzie kawałkami kantalupy. Świadomość, że odszedł na zawsze, napełniła mnie uczuciem straty nie do naprawienia. „Pomiędzy rokiem 1930 a 1943 – czytałem dalej – nie mogłem wiele zdziałać. Odkąd jednak mamy nowego, życzliwie do mnie nastawionego prezydenta (William V.S. Tubmana), sprawy wyglądają nieco lepiej.”

Nie podkreślając specjalnie swego bogactwa, ojciec wspominał, że nieźle sobie radzi jako przedsiębiorca. Zaangażował się w handel import–eksport z Danią, posiada udziały w agencji parowców i szeregu firm transportowych, które dysponują kilkoma ciężarówkami i autobusami z napędem Diesla oraz wielkim statkiem do wożenia pasażerów wzdłuż wybrzeża.

Wyznał, że on i ciocia Fatima nie rozmawiają już ze sobą, ponieważ po powrocie ze studiów w Stanach Zjednoczonych ciocie „nagle strzeliło do głowy, że Twój dziadek zostawił miliony, które jakoby powinny jej przypaść w udziale. Zamiast zwrócić się do mnie, jak człowiek, połączyła siły z tym moim wrednym braciszkiem [Natem] i razem wystąpili na drogę sądową. Nadal marnują tych swoich nędznych kilka dolarów na prawników, ale na razie nic nie osiągnęli. Teraz Fatimie jest głupio i omija mnie szerokim łukiem. Prawdopodobnie opowie ci wszystko, jak już przyjedziesz”.

Po tej porcji rodzinnych brudów ojciec napomknął, że porozumiał się już ze swoim duńskim partnerem biznesowym Haroldem Nissenem, który był konsulem generalnym Liberii w Kopenhadze. Ma się on ze mną skontaktować i zorganizować mi podróż do Liberii via Dania na duńskim frachtowcu „Bornholm”. Kończąc, obiecał napisać do mnie jeszcze, po czym

zapytał z głupia frant: „Dlaczego Twoja matka w ogóle do mnie nie pisze? Może już jej na mnie nie zależy?!!!”.

Chociaż zawsze marzyłem o ułożeniu sobie życia w Stanach, szybko dokonałem korekty i zdecydowałem się – na razie – na Afrykę. Plan ojca zyskał pełne poparcie matki, która od dawna pogodziła się z myślą, że kiedyś ją opuszcze. Świście przekonana, że dopóki nie wydestanę się z Niemiec, nie będę mógł rozwinąć w pełni swojego potencjału, zawsze podtrzymywała we mnie dążenie do wyjazdu za granicę, nawet gdyby oznaczało to okresowe rozstanie. Ja także chciałem wyjechać z Niemiec, ale czy akurat do Afryki? Tu miałem mieszane uczucia. Ale po przedyskutowaniu sprawy z różnymi osobami, zrozumiałem, że lepsza Liberia niż zrujnowane Niemcy, poza tym jeśli mi się tam nie spodoba, zawsze będę mógł pojechać do Stanów.

Po paru tygodniach konsul Stanów Zjednoczonych w Hamburgu, działając jako reprezentant interesów Liberii, zawiadomił mnie, że paszport liberyjski na moje nazwisko już nadzedł i mogę go odebrać w dogodnym terminie. Dokument musi być podpisany w obecności konsula i dlatego nie mogą mi go wysłać pocztą. Paszport liberyjski raz na zawsze miał zakończyć moją egzystencję w szarej strefie narodowości, w której tak długo żyłem pod rządami nazistów. Co ważniejsze, paszport ten umożliwiał mi legalne opuszczenie Niemiec, kiedy tylko zechcę – przywilej, który nie przysługiwał obywatelom niemieckim w alianckiej strefie okupacyjnej.

Następnie – zgodnie z zapowiedzią ojca – otrzymałem list od konsula generalnego Nissena, a w nim wiadomość, że przygotowania do mojej podróży zostały zakończone. „Bornholm” wypłynął właśnie z Liberii i w drodze do macierzystego portu Aalborg w Danii zatrzyma się na krótko w Hamburgu. Konsul radzi, żebym przy tej okazji spotkał się z kapitanem Hartmannem w celu omówienia szczegółów podróży.

Mając za sobą liczne wizyty na amerykańskich frachtowcach, na pokładzie „Bornholmu” od razu poczułem się jak w domu. Uświadomiłem sobie przy tym, że po raz pierwszy całkowicie legalnie wkraczam na teren portu. Kapitan, mężczyzna krzepkiej budowy, o siwych rzadkich włosach i ogorzałej twarzy, potraktował mnie z początku dość opryskliwie, ale kiedy się przedstawiłem, od razu stopniał: „Więc pan jest młodym Massaquoiem! No, no...”.

Nie miałem pojęcia, co „no, no” znaczy w tym kontekście, a Hartmann nie kwapił się z wyjaśnieniem. Zapowiedział mi, że w ciągu dwóch miesięcy mam być gotów do podróży pociągiem do Aalborgu, gdzie przesiądę się na „Bornholm”. Teraz, kiedy mój rychły wyjazd stał się przesądzony, nabrałem nagle wątpliwości co do tego pośpiechu, niemniej zapewniłem kapitana, że stawię się w Aalborgu na czas.

Zapytałem go także, czy długo zna mojego ojca i jak się żyje w Afryce. Kapitan odparł, że od lat robi z nim interesy, a co do mojego przyszłego życia, na pewno dam sobie radę: „Pański ojciec jest doskonale ustawiony. – Na poparcie tych słów, wyjął z szuflady biurka ko-



pertę, którą mi wręczył. – Prosił, żebym to panu dał na przetrwanie i wydatki związane z podróżą do Monrovii. Na wypadek, gdyby pan musiał kupić sobie parę rzeczy”.

Gdy tylko opuściłem statek, rozdarłem kopertę i policzyłem pieniądze. Było tam 500 dolarów w nowych dziesięciodolarowych banknotach – licząc po kursie czarnorynkowym, prawdziwy majątek. Z początku wzruszyła mnie hojność ojca, ale szybko przypomniałem sobie, że to pierwsze pieniądze, jakie wydał na mnie od dwudziestu lat.

Od chwili, gdy poznałem datę wyjazdu, zacząłem z niecierpliwością liczyć dni. Nagle jednak wydarzyło się coś, czego nie przewidziałem, a co o mały włos zmieniłoby moje plany.

Właśnie odbywaliśmy z Fredem jedną z naszych zwyczajowych rundek po Hamburgu. Na stacji Kellinghusen czekaliśmy na przesiadkę, kiedy na sąsiednim peronie zauważyliśmy dwie kobiety: młodą prześliczną blondynkę z włosami do ramion i drugą w średnim wieku, jak dla nas, nieokreślonej urody. Uśmiechnęliśmy się do tej młodej z aprobatą, ona zaś, ku naszemu zdumieniu, nie tylko odwzajemniła uśmiech, ale kiwnęła zapraszająco ręką. Ponieważ proces produkcji mojego testosteronu gwałtownie przyspieszył, zacząłem intensywnie myśleć, co by tu zrobić, żeby ten anioł mi się nie wymknął. Lada moment mógł nadjechać pociąg i uwieźć ją tam, gdzie już nigdy jej nie odnajdę.

Nagle wpadłem na pomysł. Wskazując na duży dworcowy zegar, który wskazywał około czwartej, wyciągnąłem osiem palców, a potem pokazałem siebie i peron, na którym stałem. Ku mojej wielkiej radości blondynka odpowiedziała na migi, że rozumie i zgadza się wrócić na peron o ósmej. Po paru następnych sekundach zniknęła w pociągu.

Cztery godziny później, po niekończących się spekulacjach na temat „przyjdzie–nie przyjdzie”, wróciliśmy z Fredem na peron. Z zaskoczeniem zauważyliśmy, że blondynka już tam jest, tym razem w towarzystwie wysokiej rudowłosej koleżanki o zgrabnej figurze, lecz dość pospolitej twarzy. Z bliska blondynka wydała mi się jeszcze piękniejsza.

Chociaż głównie to Fred podtrzymywał rozmowę, jej uśmiechnięte błękitne oczy, które badały mnie z nieskrywaną ciekawością, uwolniły mnie od lęku, że może bardziej interesuje ją mój kolega. Na szczęście Fred całkowicie zadowolił się tą rudą imieniem Hannah. Od razu zaprosił ją do kina, zostawiając mi wolne pole do zawarcia bliższej znajomości z jasnowłosą Ingeborg. Powiedziała mi, że ma osiemnaście lat (o cztery lata młodsza!) i mieszka z matką (to z nią widziałem ją przedtem), ojcem inwalidą oraz młodszą siostrą i bratem.

Dotąd raz tylko przeżyłem miłość – do Gretchen – ale nie od pierwszego wejrzenia. Tym razem strzała Kupida spadła jak grom z jasnego nieba. Jeszcze nim skończył się wieczór, Ingeborg wyznała mi, że czuje to samo do mnie, co tylko wzmogło intensywność moich uczuć. Nie istniał żaden racjonalny powód – przecież znałem ją zaledwie kilka godzin, ale rozum nie miał z tym nic wspólnego: po prostu zakochałem się po uszy.

Już zaczynałem budować zamki na lodzie, snując marzenia o życiu z tym aniołem u mego boku, kiedy uświadomiłem sobie, że za niecały miesiąc mam wyjechać z Niemiec. Nagle

moja chęć wydostania się w świat kompletnie się ulotniła. Jak mógłbym wyruszyć w jakieś nieznane strony i zostawić to śliczne stworzenie, aby kto inny bardziej je docenił? Przez chwilę rozważałem możliwość rezygnacji z podróży, ale szybko się z tego wycofałem. Rozumiałem, że okazja opuszczenia Niemiec może się już nigdy nie nadarzyć.

Kiedy przyznałem się Ingeborg, że moje dni w Hamburgu są policzone, dziewczyna zaczęła płakać. „Od początku wiedziałam, że to zbyt piękne, by mogło być prawdą. Że musi w tym tkwić jakiś haczyk. I rzeczywiście...”

Pocieszałem ją, że to nie żaden „haczyk”. Albo ściągnę ją do Liberii tak samo, jak matkę, kiedy już ułożę sobie tam życie, albo wrócę do Niemiec. Na razie jej to wystarczyło i do mojego wyjazdu postanowiliśmy jak najwięcej przebywać razem. Ponieważ nie planowałem już żadnych występów, a interesy z marynarzami dawno porzuciłem, miałem sporo wolnego czasu.

Niczym kochankowie zrodzeni pod nieszczęśliwą gwiazdą, próbowaliśmy zmieścić całe nasze życie i miłość w tych krótkich trzech tygodniach. Ingeborg przedstawiła mnie swojej rodzinie, która przyjęła mnie z otwartymi ramionami. Moja matka też od razu do niej przyłączyła się. W dzień chodziliśmy na romantyczne spacerunki po okolicznych lasach, wieczory spędzaliśmy w przytulnych barach albo w przepastnym Haus Vaterland. Gdziekolwiek pokazaliśmy się razem, natychmiast skupialiśmy na sobie uwagę, oczywiście z powodu trudnego do zignorowania kontrastu. Ci, którym podobał się ten widok, uśmiechali się życzliwie, inni mieli dość rozumu, żeby nie okazywać dezaprobaty.

Trzy tygodnie minęły jak z bicza strzelił i wreszcie nadszedł dzień mojego wyjazdu. Aby oszczędzić matce bolesnego rozstania, uzgodniliśmy, że pożegnam się z nią w domu, a Fred i Inge odprowadzą mnie na dworzec, skąd miałem wyruszyć do Aalborgu. Myśl o pozostawieniu matki zupełnie samej w Niemczech wydała mi się w pewnej chwili nie do zniesienia, lecz kiedy sama Mutti zauważyła moje skrupuły, oznajmiła twardo, że nic jej nie będzie, a mój wyjazd do Afryki wyjdzie na dobre nam obojgu. Mając zatem jej błogosławieństwo, uściskałem ją jeszcze raz i wyszedłem razem z Inge i Fredem. Już na ulicy podniosłem głowę i zobaczyłem, jak Mutti macha mi z okna.

Kiedy dotarliśmy na dworzec, pociąg do Danii już czekał. Od razu wsiadłem, umieściłem bagaż w przedziale, a potem wróciłem na peron, żeby pożegnać Inge i Freda. Kilka minut później machałem do nich z odjeżdżającego pociągu, zastanawiając się, czy ich jeszcze kiedyś zobaczę.

## **Dakar**

Tak mnie pochłaniały myśli o tym, co zostawiłem za sobą i co mnie czeka w przyszłości, że podczas krótkiej jazdy taksówką z dworca do doku nie zwracałem szczególnej uwagi na Aalborg, wielki port morski i jedno z największych duńskich miast. Na pokładzie siedmiotysięcz-

nika „Bornholm” powitał mnie główny steward, który polecił jakiemuś nastoletniemu chłopcu zaprowadzić mnie do kabiny, a następnie pokazać mi prywatny salonik kapitana, gdzie – jak wyjaśnił – będą mi podawać posiłki, gdyż na frachtowcu nie ma oddzielnej jadalni dla pasażerów.

Kiedy zjawiłem się tam na pierwszą kolację, kapitan Hartmann przedstawił mnie młodemu Duńczykowi nazwiskiem Aage Kelstedt, przyjacielowi i gościowi właściciela „Bornholmu”. Byliśmy jedynymi pasażerami statku. Od razu złapaliśmy kontakt. Aage właśnie ukończył pierwszy semestr college’u i tak samo jak ja po raz pierwszy wybierał się do Afryki, której nie mógł się wprost doczekać.

Aż do Dakaru, gdzie „Bornholm” miał na kilka dni zacumować w suchym doku celem dokonania koniecznych napraw, nasza podróż przebiegała przyjemnie i bez niespodzianek. W dzień buszowaliśmy z Aagem po statku, gawędziliśmy z wolnymi od służby członkami załogi, czytaliśmy książki albo wylegiwaliśmy się na leżakach. Noce spędzaliśmy w kabinach, które w porównaniu z tymi na amerykańskich frachtowcach wydawały mi się mikroskopijne.

Jedyne urozmaicenie codziennej monotonii stanowiły posiłki przy kapitańskim stole. Chłopak okrętowy uprzedził nas, że kapitan Hartmann lubi punktualność, więc jeśli chcemy go zadowolić, powinniśmy siedzieć na swoich miejscach co najmniej dziesięć minut przed jego planowym przybyciem. Wbrew podobieństwu do świętego Mikołaja, kapitan okazał się ponurakiem bez poczucia humoru. Najwyraźniej nie przypadło mu do gustu, że musi poświęcać swój prywatny czas dwóm młodym facetom, którzy w najmniejszym stopniu go nie interesowali. W rezultacie rozmowa przy stole ciągnęła się jak melasa i dotyczyła głównie nasilających się upałów. Kiedy kapitan zauważył, że mocno się pocę, udzielił mi dobroduszej rady: „Lepiej przyzwyczaj się do tego, bo później będzie jeszcze goręcej”. Widać nie darzył mnie specjalną sympatią, a ja zdecydowanie odwzajemniałem to uczucie.

Pierwszym lądem, jaki wypatrzyliśmy po kilku dniach na morzu, okazały się Wyspy Kanaryjskie. Jeden z oficerów wyjaśnił nam, że wyspy te służyły jako bazy Krzysztofa Kolumba podczas jego eksploracji Ameryki, a generał Franco tu właśnie rozpoczął swoją narodową rewolucję. „Stąd już niedaleko do Dakaru” – dodał.

Kiedy statek ugrzązł w doku w Dakarze, po raz pierwszy zobaczyłem tak dawno wyczekiwaną Afrykę. Patrząc z pokładu „Bornholmu” na sąsiedni statek, który właśnie rozładowywano, zauważyłem dziwną, ciągnącą się bez końca procesję tyczkowatych, prawie nagich robotników, którzy taszczyli na głowach do podstawionych ciężarówek wielkie worki z szarym proszkiem. Jak się okazało, substancją, która pokrywała ich od stóp do głów, był cement.

Mimo potwornego upału ludzie ci śpiewali głośno jakąś monotonną pieśń i poruszali się zgodnie z jej rytmem, wzbijając tumany zatykającego płuca cementu. Totalnie obojętni na swój nędzny los, sprawiali wrażenie zupełnie zadowolonych z życia. Od czasu do czasu czarny nadzorca w drelichu khaki puszczal na nich strumień wody z węża, w jednej chwili

zmieniając szare postaci w młodych mężczyzn, czasem nastolatków o połyskliwej hebanowej skórze.

Zbulwersował mnie widok tych chłopców. Przecież powinni bawić się i chodzić do szkoły, a nie harować w tak niehumanitarnych warunkach za przypuszczalnie nędzne zarobki. „I co? Jak ci się podoba Afryka?” – przerwał moje myśli głos kapitana Hartmanna. Kiedy mu powiedziałem, co myślę na temat owego przerażającego spektaklu, ostrzegł mnie przed pochopnymi sądami: „Twój ojciec kieruje armią robotników, często niewiele starszych od tych. I, jak się wkrótce przekonasz, nieźle się na tym bogaci”.

Ta uwaga nie wzbudziła we mnie sympatii dla ojca, ale postanowiłem wstrzymać się z oceną, dopóki nie zobaczę wszystkiego na własne oczy. Z jakiegoś powodu wątpiłem w czyste intencje kapitana, chociaż nie miałem powodu podejrzewać go o mijanie się z prawdą.

Trzech młodych duńskich oficerów, z którymi zaprzyjaźniłem się na statku, zaprosiło mnie po południu na wspólną wyprawę na ląd. Z przyjemnością się zgodziłem, bo nie mogłem się już doczekać, kiedy postawię stopę na ziemi matki Afryki. Ze względu na moje afrykańskie korzenie nie przyswoiłem sobie ani eurocentrycznego wizerunku „Czarnego Lądu”, ani hollywoodzko-romantycznej idylli dżungli Tarzana. Mimo to nie pozostałem obojętny na egzotyczny urok Afryki i obietnicę wielkiej przygody. Jeśli chodzi o to ostatnie, na pewno się nie zawiodłem.

W roku 1948 Dakar, stolica Senegalu, był tętniącym życiem, kosmopolitycznym miastem, nadal jednak pełnym symboli głęboko zakorzonego francuskiego kolonializmu. Na każdym rządowym budynku powiewały trójkolorowe flagi, a czarni żołnierze i ich biali dowódcy, a także oddziały Legii Cudzoziemskiej należeli do powszechnych widoków. Na bazarach uwijali się ludzie w powiewnych szatach, od czasu do czasu przejeżdżał obładowany ponad wszelką miarę wielbłąd albo osioł. Do egzotycznych widoków, które wciąż przypominały mi, że wreszcie wyrwałem się z Niemiec, dołączył wszechobecny słodki zapach tropikalnej roślinności. Teraz uświadomiłem sobie w pełni, jak daleko stąd do dotychczasowej ojczyzny.

Przy straganie z owocami moją uwagę przykuły piękne, dojrzałe banany. Wskutek surowych ograniczeń importu owoców tropikalnych w czasie wojny i tuż po jej zakończeniu, nie widziałem ich, a tym bardziej nie jadłem, od co najmniej ośmiu lat. Kiedy zapytałem sprzedawcę, ile sobie życzy za sześć sztuk, pokazał mi na palcach liczbę kolonialnych franków. Ledwie zdążyłem odliczyć żądaną sumę wielkorozmiarowych banknotów, odciągnął mnie na bok drugi sprzedawca i zasygnalizował na migi, że gotów jest mi odstąpić tyle samo bananów za pół ceny. Duńczycy poradzili mi, abym skorzystał z lepszej oferty, ale zanim sfinalizowałem transakcję, pierwszy sprzedawca podniósł taki raban, że ściągnął na nas uwagę całego bazaru. Wkrótce pojawił się czarny policjant. Po wysłuchaniu skargi kupca polecił nam nie-

omylnym ruchem pałki udać się ze sobą na posterunek. Z jazgoczącym cały czas sprzedawcą przepychaliśmy się przez gęsty tłum, pod obstrzałem wrogich spojrzeń. Ponieważ handlarz wymyślał nam po francusku, nie mieliśmy bladego pojęcia, o co właściwie mu chodzi. Wprawdzie rozumiałem jego rozczarowanie przegraną, ale nie wiedziałem, jakim prawem żąda, abym kupował właśnie u niego.

Na posterunku wprowadzono nas do dużego pokoju, gdzie przy biurkach siedziało kilku afrykańskich policjantów. Kiedy czekaliśmy w kolejce do prefekta, jakiś biały aresztant z jednej z cel szepnął nam po angielsku, żebyśmy zachowali spokój i „na miłość boską nie robili szumu”, chyba że chcemy się do niego przyłączyć. Powiedział, że jest holenderskim marynarzem i że odmówił zapłacenia łapówki dwóm policjantom, których w nocy zapytał o drogę, za co natychmiast został aresztowany za zakłócanie spokoju. „Siedzę tu już tydzień i nawet mój konsul nie był w stanie mnie uwolnić.”

W końcu stanęliśmy przed prefektem – Francuzem w mundurze khaki. Kiedy oddał głos sprzedawcy, ten przez kilkanaście minut rozprawiał i szalał tak samo jak przedtem na bazarze, wskazując od czasu do czasu palcem moich towarzyszy i mnie, dopóki Francuz nie zasignalizował, że usłyszał już dosyć. Pomyślałem, że teraz pozwoli nam przedstawić naszą wersję, ale się myliłem. Zanim skończyłem pierwsze zdanie, oficer przerwał mi grubiańsko: „*Ferme ta quelle*” – co nawet ja zrozumiałem jako „Stul pysk”. Mając w pamięci radę holenderskiego marynarza, to właśnie zrobiłem.

Płynną, lecz mocno akcentowaną angielszczyzną, Francuz nakazał nam opróżnić kieszenie z pieniędzy i położyć je przed nim na biurku. Po przeliczeniu grubego pliku banknotów prefekt wręczył sprzedawcy kwotę, jakiej ten zażądał za banany, i wrzuciwszy resztę do szuflady, pokazał nam drzwi. „*Allez!*” – wrzasnął, a my w mgnieniu oka zrozumieliśmy, że mamy się wynosić.

Byliśmy wszyscy wściekli, ale mając na uwadze galijski system sprawiedliwości, rozsądnie powstrzymaliśmy się od komentarzy, dopóki nie znaleźliśmy się poza zasięgiem słuchu policjantów. To, co nas spotkało, mogliśmy sobie tłumaczyć tylko w jeden sposób: padliśmy ofiarą przekrętu, jaki naszym kosztem rozegrali sprzedawca z prefektem.

Banany wydały mi się nagle przeklętym dobrem, które zawsze wymykało mi się z rąk. Nie przejąłem się wtedy specjalnie ich stratą, bo podczas owego krótkiego incydentu straciłem na nie apetyt. Dopiero po wielu miesiącach mogłem patrzeć na te owoce bez uczucia złości, a jeszcze dłużej trwało, zanim przyszło mi do głowy ich spróbować.

Następnego wieczoru, kiedy oficerowie znów chcieli mnie zabrać ze sobą do miasta, postanowiłem dać Dakarowi jeszcze jedną szansę. Nocą miasto zdawało się bardziej egzotyczne i tajemnicze niż za dnia. Poza kilkoma przemykającymi się chyłkiem postaciami i śpiącymi na chodniku bezdomnymi słabo oświetlone ulice były puste. Na szczęście mogliśmy sobie pozwolić na taksówkę. Kiedy po duńsku, niemiecku i angielsku zapytaliśmy miej-

scowego kierowcę, czy wie, gdzie tu się można zabawić, w jego oczach pojawił się błysk zrozumienia. „*Oui, Monsigneurs!* – cmoknął przeciągle i ucałował czubki swoich palców. – *Beaucoup* pięknych *la femme*.”

Po ciągnącym się w nieskończoność rajdzie przez miasto – niewątpliwie „widokową trasą” – stanęliśmy przed nocnym klubem o nazwie *Le Moulin Rouge*, poza reputacją niewiele mającym wspólnego ze słynnym dziewiętnastowiecznym paryskim odpowiednikiem.

Kelnerka, ładna Euroafrykanka o oliwkowej karnacji z króciutką fryzurą afro, poinformowała nas perfekcyjną angielszczyzną, że wraz z koleżankami pozostaje „do usług” i chętnie podwyższy nasze poczucie komfortu. Wszędzie wokół nas biali mężczyźni i afrykańskie kobiety jawnie oddawali się czynnościom, przy których bary *St. Pauli* mogłyby się wydać pruderyjne. Postanowiliśmy na razie zamówić szampana i wypić go przy upojnych dźwiękach francuskich piosenek, śpiewanych przez afrykańskiego pianistę o aksamitnym głosie.

Na „*Bornholm*” wróciliśmy dość późno. Ponieważ zupełnie nie miałem ochoty patrzeć przy śniadaniu na skwaszoną gębę kapitana, szybko napisałem na kawałku tektury „Proszę nie przeszkadzać!”, przyczepiłem go na drzwiach, po czym zapadłem w kamienny sen.

Kiedy się obudziłem i wyjrzałem przez iluminator, był już biały dzień. Godzina na zegarku wskazywała, że zbliża się pora lunchu. Najwyraźniej chłopak okrętowy przeczytał moją wywieszkę i zostawił mnie w spokoju. Wciąż na lekkim kacu, pogratulowałem sobie w duchu przezorności, dzięki której zyskałem kilka godzin snu. Wychodząc z kabiny, zauważyłem, że wywieszka zniknęła.

Aage już czekał przy stole: „Kapitan wściekł się, że nie przyszedłeś rano. Powiedział, że kartka, którą wywiesiłeś, go obraża”. Choć rzeczywiście zdecydowałem się zrezygnować ze śniadania z powodu nieprzyjaznej postawy Hartmanna, nie przyszło mi do głowy, że moja nieobecność dotknie go osobiście. Postanowiłem go przeprosić i ugłaskać nieco, na wypadek gdyby miało to oczyścić atmosferę. Niestety nie dostałem szansy na pojednanie. „Kapitan nie przyjdzie – poinformował nas steward. – Mogą panowie zacząć jeść.” Kiedy nie pojawił się także na kolacji ani na śniadaniu nazajutrz, zaświtało mi, że zamierza pozbawić nas wątpliwej przyjemności swojego towarzystwa, dopóki pozostanę na pokładzie. Jak dla mnie, w porządku – i tak nie znosiłem dziada, więc im mniej będę go widywał, tym lepiej.

Pewnego skwarne poranka wyremontowany „*Bornholm*” opuścił port w Dakarze, biorąc kurs na Atlantyck. Po paru dniach naszym oczom znów ukazał się afrykański brzeg i niebawem zamajaczyły skąpane w słońcu wzgórza *Monrovia*.

Przez całą drogę z Dakaru widywałem kapitana jedynie z daleka, kiedy stał na mostku, a jeśli nawet kilka razy nasze ścieżki się skrzyżowały, to ostentacyjnie mnie ignorował. Moi duńscy przyjaciele powiedzieli, żebym się nie przejmował; kapitan jest zły, że się przed nim nie pokajałem i że nie może mnie terroryzować tak jak załogę.

Oficer pokładowy poinformował mnie, że port w Monrovi, budowany właśnie przez amerykańską flotę, będzie gotowy za kilka miesięcy. Do tej pory „Bornholm” musi stać na kotwicy parę kilometrów od brzegu, dlatego ojciec przyplynie po mnie łodzią. „O, już go widać!” – wykrzyknął, pokazując małą łódeczkę w oddali. Kiedy podpłynęła bliżej, rozpoznałem ośmiu wioślarzy, wyśpiewujących rytmicznie w odpowiedzi na pokrzykiwania sternika. Ich obszarpane, brudne łachy żywo kontrastowały z niepokalaną bielą garnituru czarnego mężczyzny, który siedział tuż za sternikiem. Nie widziałem jego twarzy, bo zasłaniał ją biały hełm tropikalny, ale nie miałem wątpliwości, że cieszy się wielkim autorytetem.

Ojciec wszedł na pokład po specjalnie opuszczonym trapie. Kapitan Hartmann powitał go jak wizytującego potentata, czemu załoga przyglądała się z nieskrywaną ciekawością. Pomyślałem, że brakuje tu tylko salutu armatniego. Rzeczywiście oficerowie nie przesadzili, opisując ojca jako sztywnego formalistę. Chociaż nieco niższy ode mnie, oddziaływał onieśmielająco na swoje otoczenie, emanując dużym autorytetem. Setki razy ćwiczyłem w myśli scenę naszego powitania; chciałem po prostu mocno go uściskać i powiedzieć, jak bardzo się cieszę. Ale kiedy stanąłem przed nim twarzą w twarz i spojrzałem mu w oczy, które po prawie dwóch dekadach nic nie wyrażały, wydał mi się totalnie obcy i straciłem cały kontenans.

– Dobrze, że wreszcie udało ci się tu dotrzeć – powiedział, ściskając mi oficjalnie rękę.

Nastąpiła chwila niezręcznej ciszy, podczas której na próżno szukałem odpowiednich słów. Ostatecznie wydukałem tylko:

– Jak pan się ma, *sir*?

Wcale nie to chciałem powiedzieć. Jakoś nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że obaj sprawiliśmy sobie zawód.

Moje skrępowanie długo jeszcze nie miało minąć. Musiałem zdecydować, jak zwracać się do człowieka, któremu zawdzięczałem egzystencję, a który aż do tej chwili był mi zupełnie obcy. Niemieckie słowo „*Vati*” (tatuś), jakim nazywałem go w dzieciństwie, brzmiało zbyt cudzoziemsko w anglojęzycznym kraju. I zbyt uczuciowo, co wydawało mi się niewłaściwe. „Ojczy”? To zbyt oficjalne. „Tato”? – zbyt poufałe. Na razie postanowiłem unikać bezpośrednich zwrotów i poczekać, aż przyjdzie mi do głowy jakiś lepszy pomysł.

Kiedy żegnałem się z duńskimi przyjaciółmi, ojciec z kapitanem Hartmannem udali się do saloniku na rozmowę o interesach. Transakcja – jak mi powiedziano – dotyczyła okresowego wynajęcia przez „Bornholm” ponad dwudziestu afrykańskich dokerów za pośrednictwem agencji mojego ojca.

Po powrocie z kapitańskiej kwatery twarz ojca zdradzała zdenerwowanie. W rękę trzymał kartonową wywieszkę z moich drzwi. „Coś ty zrobił? – spytał z oburzeniem. – Kapitan mówił, że zachowałeś się niezwykle ordynarnie i ostrzegł mnie, że dasz mi się nieźle we znaki.” A więc to tak. Kapitan Hartmann w swojej dziecinnej potrzebie odwetu obsmarował mnie przed ojcem i w ten sposób jeszcze bardziej utrudnił nasze i tak niełatwe połączenie. Zamiast

pozwoić, aby ojciec sam się przekonał, jakim jestem człowiekiem, postanowił popsuć nasze stosunki, zanim zdążyliśmy je na dobre nawiązać.

Próbowałem szukać słów wyjaśnienia, ale ojciec mi przerwał: „Porozmawiamy o tym innym razem” – zapowiedział tonem niewróżącym niczego dobrego.

## Połączenie z rodziną

Kiedy płynęliśmy łodzią do brzegu, gniew mojego ojca zdawał się ulatniać. Z wyraźną dumą pokazywał mi różne lśniąca bielą budynki rządowe, rozsiane na odległych wzgórzach, w tym ambasadę Stanów Zjednoczonych przy Mamba Point. Na brzegu oczekiwał nas bosy młody człowiek w szortach khaki i koszuli. Ojciec przedstawił mi go jako *houseboya* Jasona.

– To jest mój syn, pan Hans – poinformował go.

– Miło mi pana poznać, mista<sup>24</sup> Haans – rzekł Jason z obojętnym skinieniem głowy, po czym chwycił moją walizkę i poszedł przodem. Dom – jak wyjaśnił mi ojciec – znajdował się w niewielkiej odległości, przy tej samej ulicy.

Ulica roła się od ludzi – zarówno w strojach afrykańskich, jak i ubranych w zachodnim stylu. Większość budynków stanowiły nędzne baraki ze ścianami z pustaków i dachami z blachy falistej. Natomiast ludzie zwrócili moją uwagę swoją niebywałą beztróską, swobodą i śmiechem – klepali się po plecach, ściskali sobie ręce. Na chodnikach siedziały w kucki rzędy kolorowo ubranych kobiet, które oferowały różnego rodzaju towary – od tradycyjnych, ręcznie tkanych materiałów po świeżo upieczony chleb. Gadały głośno jedna przez drugą w swoich narodowych językach, co w pierwszej chwili wydało mi się kłótnią. Dopiero później zrozumiałem, że to zwykła rozmowa. Niektóre z nich, owinięte ciasno kolorowymi *lapas*, podkreślającymi krągłości ciała, przechadzały się leniwie, balansując różnymi przedmiotami na głowach – od pudeł i wiader po maszyny do szycia – ani na chwilę nie przestając trajkotać. Kilka z nich, jak zauważyłem, niosły śpiące dzieci, przytroczone do pleców.

„To tutaj – oznajmił ojciec, wskazując duży, raczej nieciekawo piętrowy dom, ozdobiony stiukami. – Na parterze mamy biura i garaż, a na piętrze pomieszczenia mieszkalne.” Poleciał Jasonowi, żeby zanim przygotuje mi kąpiel, zaprowadził mnie do mojego pokoju. „Kiedy doprowadzisz się do porządku i trochę odpoczniesz, wrzucimy coś na ząb. – Wyjaśnił, że w liberyjskim slangu oznacza to jedzenie. – Daj Jasonowi znać, jak już będziesz gotów. Będę w biurze.”

W przestronnym i jasnym pokoju dominowało wielkie łóżce z przymocowaną do sufitu moskitierą. Duży sufitowy wiatrak utrzymywał ruch powietrza, który jednak niewiele pomógł na duszny upał.

– Pańska kąpiel jest gotowa, mista Haans – zaanonsował Jason.

– Dziękuję, Jasonie. Jak długo pracujesz u mojego ojca?

– Cztery lata, *sah*<sup>25</sup>.



Wkrótce miałem odkryć, że określenie „houseboy” nie odzwierciedla w najmniejszym stopniu licznych funkcji, które Jason spełniał z największą pewnością siebie i efektywnością. Jako prawdziwy totumfacki, był szoferem ojca, mechanikiem samochodowym, posłańcem, praczem, lokajem, sekretarzem, specjalistą od znajdowania zagubionych przedmiotów oraz podręczną pamięcią ważnych faktów. Kiedy poznałem go lepiej, nabrałem przekonania, że gdyby pouczył się w szkole misyjnej trochę dłużej niż te trzy lata, mógłby spokojnie poprowadzić agencję parowców ojca.

Odświeżony w letniej kąpieli, włożyłem świeżo upraną białą koszulę i spodnie, które przygotował mi Jason, i udałem się za nim do dużego pokoju, gdzie na długim stole czekały dwa nakrycia. Wkrótce dołączył do mnie ojciec. Oznajmił mi, że wyłącznie na moją cześć zamknął dziś wcześniej biuro.

Jason postawił przede mną dużą, przykrytą serwetą tacę z szeregiem apetycznych dań, jak kurczak w sosie, jarmuż, banany rajske i góra ryżu. Kilka sekund później doświadczyłem po raz pierwszy w życiu szoku trzewnego. Ponieważ na statku nie zjadłem śniadania, miałem ogromny apetyt, toteż z wielką przyjemnością przełknąłem kopiały widelec kurczaka w sosie. Nagle moje usta i gardło zmieniły się w piekło. Chwycił mnie straszny kaszel i długo nie mogłem złapać tchu.

„Widzę, że nie przywykłeś do ostrych przypraw – zachichotał ojciec, kiedy już przyszedłem do siebie. – Zapomniałem, że mój syn jest Europejczykiem, a nie Afrykaninem. Ale nic się nie martw, znajdą się dla ciebie kurczaki bez pieprzu – to rzekłszy, polecił Jasonowi przekazać kucharce Maimie, żeby szybko mi je przygotowała. – Niech sprowadzi tu swojego kuzyna, tego, który gotował dla Amerykanów.” Ojciec wyjaśnił, że zamierza rozwiązać mój problem, zatrudniając kucharza, który wcześniej pracował u amerykańskich misjonarzy i umie przyrządzać potrawy bez ostrych przypraw.

Kiedy ja czekałem na jedzenie, ojciec zajął się drugą tacą, przeznaczoną dla niego. Stały tam nieznanne mi afrykańskie dania, z których kilka pachniało rybą, jak dla mnie wyjątkowo nieapetyczne. Pokazał mi papkowatą potrawę o ostrym, nieprzyjemnym zapachu, podobno wielki afrykański przysmak o nazwie *fufu*. Przyrządza się go ze sfermentowanej skrobi uzyskanej z korzeni manioku. Polał sobie obficie to *fufu* ciemnozielonym sosem na bazie okry, który ciągnął się w cienkich smużkach za łyżką z talerza aż do ust. „Nazywamy to «trajkotliwym sosem», bo jeśli kapnie ci na ubranie, to taką plamę bardzo trudno wywabić i twoja kobieta długo potem trajkocze ci nad uchem.” Wybuchnął gromkim śmiechem, a ja uświadomiłem sobie, że właśnie po raz pierwszy usłyszałem jego śmiech. Z zadowoleniem zauważyłem, że ma też inną, nie tak sztywną stronę.

Wykorzystując sposobny, moim zdaniem, moment, poruszyłem sprawę starcia z kapitanem. Kiedy zapewniłem ojca raz jeszcze, że nie miałem na myśli nic niewłaściwego, kazał mi o tym zapomnieć i sam także obiecał nie wracać do tematu.

Z samego rana zapowiedział mi, że mam się zgłosić do jego osobistego lekarza, doktora Jeana Baptista Titusa, szefa liberyjskiego wydziału zdrowia, na badanie ogólne i po instrukcje, jak się chronić przed chorobami tropikalnymi, a zwłaszcza przed malarią. Przy okazji ostrzegł mnie, żebym nigdy nie kładł się spać bez moskitiery. „Szkoda, że sam nie posłuchałem tej rady po powrocie z Europy dwadzieścia lat temu, bo malaria, którą wtedy złapałem, nadal się czasem odnawia i wyłącza mnie na szereg dni z obiegu.”

Kiedy wreszcie mogłem się delektować kurczakiem bez pieprzu, do pokoju wszedł młody szczupły człowiek o zdumiewająco wyczelowanych rysach. „Jak się miewasz, bracie Lahai? – powitał ojca, używając drugiej wersji jego imienia. Potem z szerokim uśmiechem zapytał mnie żartobliwie – I jak tam mój mały bratanek? Jejku, aleś ty wyrósł!”

Uświadomiłem sobie, że musi to być Fritz, młodziutki brat ojca, a mój, młodszy zaledwie o pół roku, stryjek, którego ostatni raz widziałem w Hamburgu przy Johnsallee, kiedy obaj ledwie odrośliśmy od ziemi. Teraz powitał mnie w Monrovi i oznajmił, że reszta rodzeństwa – Fasia, Fatima i Arthur – nie mogą się już doczekać spotkania. „Jutro, jak już trochę odpoczniesz, przyjdę po ciebie i pokażę ci Monrovię” – obiecał.

Po wyjściu Fritza ojciec wygłosił dłuższe przemówienie na temat „rodzinnych nieporozumień” ze swoim rodzeństwem, a zwłaszcza z siostrą Fatimą i bratem Natem, o których wcześniej wspominał w liście. Kiedy „staruszek” [Momolu Massaquoi] bezskutecznie ubiegał się o prezydenturę, obciążył hipotekę swoich licznych posiadłości, aby zdobyć fundusze na kampanię. Po jego śmierci w roku 1938 zostały więc same długi, które po latach ciężkiej pracy ojcu udało się spłacić.

„Teraz Fatima i Nat uważają, że mają prawo do części tych odzyskanych posiadłości. Nie chcą zrozumieć, że nasz ojciec nie zostawił po sobie niczego oprócz długów. Tracą mnóstwo pieniędzy na prawników, żeby zmusić mnie do podzielenia się z nimi tym, co do mnie należy. Ale sąd za każdym razem bierze moją stronę.”

Chociaż ojciec i Fatima od dawna się do siebie nie odzywali, nie miał nic przeciwko temu, żebym ją odwiedził. „Nie chcę ograniczać twoich kontaktów – zapewnił mnie – poza jednym wyjątkiem. Jest tu taki facet, nazywa się Morris. Wmawia, komu się da, że jest moim synem. A to kłamstwo. Nie da się o tym człowieku powiedzieć niczego dobrego. Prawdopodobnie będzie się starał dotrzeć do ciebie z tymi rewelacjami, ale nie chcę, żebyś w ogóle wdawał się z nim w jakieś rozmowy. Jeśli zdecydujesz się stanąć po jego stronie, przestasz być moim synem. Będziesz zdany na samego siebie, bo ja się ciebie wyrzeknę.”

Ultimatum było twarde, nie widziałem jednak żadnego problemu, aby je przyjąć i zapewniłem ojca, że jeśli chodzi o mnie, Morris w ogóle nie istnieje. To dziwne żądanie wzbudziło jednak moją ciekawość.

– A poza tym, że uważa się za twojego syna i że nie ma w sobie nic dobrego, jaki jest ten Morris?

Chociaż rozmowa na ten temat wyraźnie mu nie odpowiadała, opowiedział mi historię, która pozwoliła mi zobaczyć Morrisa w zupełnie innym świetle.

– Gdyby nie był taki stuknięty, mógłby pewnego dnia stać się jednym z najpotężniejszych ludzi we współczesnej Liberii. Jedno muszę mu przyznać: ma więcej jaj niż rozumu.

Po czym wyjaśnił mi, że kilka lat temu Morris zatrudnił się jako operator ciężkiego sprzętu przy budowie portu w Monrovi. Kiedy miejscowi robotnicy ogłosili strajk z powodu marnych zarobków i złych warunków pracy, po czym ruszyli tłumnie pod siedzibę dyrekcji, prezydent William Tubman, zaniepokojony perspektywą rozruchów i opóźnienia prac, poprosił ich o wyznaczenie przedstawiciela, który wyraziłby ich pretensje. Żaden z robotników nie miał odwagi stanąć oko w oko z prezydentem, poza jednym Morrisem. „No i wychodzi takie chuchro i oznajmia prezydentowi, że żaden z nich nie wróci do roboty, jeśli nie dostaną pożądanego podwyżek i prawa do krótszego dnia pracy!”

Prezydent obiecał wyjść naprzeciw tym żądaniom i Morris namówił robotników do podjęcia pracy. Od tej pory, jako oficjalny przedstawiciel robotników, rozbijał się rządowym jeepem z szoferem, miał też do dyspozycji subsydiowane przez rząd biuro w porcie. Gdyby zajął się biznesem – perorował ojciec – mógłby dojść do potęgi jako założyciel pierwszego związku zawodowego w Liberii. Niestety zachował się jak kretyn, któremu w głowie były jedynie kobiety. Zamiast troszczyć się o swoich kolegów, pojawiał się w pracy tylko wtedy, gdy miał ochotę. No i pewnego razu przyszła do jego biura delegacja robotników, która zawiadomiła go, że nie jest już ich rzecznikiem. „Z tego, co mi wiadomo, od tamtej pory nie ma żadnej pracy” – zakończył.

Domyśliłem się, że relacja ojca na temat piętnastominutowej sławy Morrisa miała nastawić mnie przeciwko niemu, ale stało się wręcz przeciwnie. Byłem pod wielkim wrażeniem odwagi tego faceta, który w wieku zaledwie dwudziestu trzech lat postawił się najpotężniejszemu człowiekowi w kraju.

Następnego dnia, po kolejnej długiej pogawędce z ojcem przy śniadaniu, wybrałem się do doktora Titusa, przystojnego Haitańczyka w średnim wieku. Powiedział mi, że niedługo zostaniemy powinowatymi, bo zamierza poślubić moją kuzynkę Emmę Shannon, córkę sędziego Sądu Najwyższego Eugene’a Shannona, który – jak wszyscy w Monrovi wiedzieli – był nieślubnym synem Momolu. Po dokładnym zbadaniu udzielił mi porady, jak przeżyć w tropikach, i zapisał dzienną dawkę atebryny, środka przeciwko malarii, bardziej skutecznego niż stosowana dotychczas chinina.

Wieczorem ojciec zabrał mnie na przejażdżkę po mieście. Odbiliśmy rundkę po licznych nocnych lokalach, gdzie zapoznał mnie ze swoimi przyjaciółmi obojga płci, po czym zauważyłem, że chyba będę miał poważny problem.

– Jakiego rodzaju problem?

Niechętnie wyznałem, że jak dotąd, żadna z liberyjskich kobiet nie przypadła mi do gustu.

– Jak mogę żyć w kraju, w którym nie podoba mi się żadna kobieta?

Ojciec wybuchnął śmiechem.

– Jeśli tylko to cię gnębi, to w ogóle się nie przejmuj. Czułem się dokładnie tak samo, kiedy po raz pierwszy znalazłem się w Niemczech.

Żadna z kobiet, które tam zobaczyłem, nie wydała mi się piękna, ale – zaznaczyłem – jeśli potrzebuję dowodu, że przewyciężyłem swoje „wizualne uprzedzenia”, to wystarczy mi spojrzeć w lustro.

– Po paru tygodniach twoja percepcja i standardy piękna się zmieniają. Cierpliwości.

I rzeczywiście, nie minęło wiele czasu, a przekonałem się, że przynajmniej pod tym względem miał rację.

Po tej męskiej pogawędce zdecydowaliśmy zakończyć wieczór. Kiedy ojciec usiadł za kierownicą swojego nowego dwunastocylindrowego lincolna, podszedł do niego jakiś facet i bez słowa uderzył go w twarz. Więcej nie było mi trzeba. Wyskoczyłem z auta i stanąłem przed napastnikiem. Za pomocą paru dobrze wymierzonych ciosów w głowę, które w moich bokserkich czasach dałyby mi powód do dumy, powaliłem gościa na ziemię.

„Wybrałeś sobie zły obiekt – warknąłem. – Następnym razem, jeśli będziesz miał sprawę do mojego ojca, zwróć się najpierw do mnie.” Zamiast próbować wyrównać rachunki, napastnik wziął nogi za pas, ledwie udało mu się na nich stanąć. Dopiero z bezpiecznej odległości obrzucił mnie wyzwiskami.

Chociaż incydent trwał tylko kilka minut, zdążył przyciągnąć tłumek gapiów.

„Wsiadaj, wynośmy się stąd” – krzyknął ojciec. Kiedy odjeżdżaliśmy pełnym gazem, czułem się dumny i szczęśliwy, że miałem okazję zademonstrować ojcu swoją lojalność i gotowość do walki w jego obronie. Ale on zamiast mi podziękować – nie wspominając o pochwalę – porządnie mnie zwymyślał. Jego zdaniem przesadziłem, a moja akcja może go sporo kosztować, gdyby facet zechciał wytoczyć mu proces. Byłem zdruzgotany.

Następnego dnia, zgodnie z obietnicą, zjawił się Fritz, żeby zabrać mnie do ciotek. Zarówno Fatima, jak i Fasia mieszkają z Ma Rachel, wdową po Momolu i matriarchinią rodu Massaquoi. Ciotka Fatima, świeżo po powrocie ze Stanów, gdzie spędziła wiele lat, studiując, a potem wykładając na Fisk University w Tennessee, była teraz profesorem w Monrovia College of Liberia. Uczyła tam większości przedmiotów ścisłych. Odkąd widzieliśmy się w Niemczech przed samą wojną, prawie się nie zmieniła, podobnie jak Ma Rachel, której przybyło jedynie parę kilogramów i sporo siwych włosów.

Spotkałem tam również Arthura, mojego stryjka i towarzysza zabaw z dzieciństwa przy Johnsallee, który teraz był wpływowym i zamożnym dyrektorem w Biurze do spraw Kopalń i Geologii. Arthur, absolwent Colorado School of Mines, najbardziej ze wszystkich zaskoczył mnie swoim wyglądem, bo ważył chyba ponad 150 kilogramów. Także najmłodsza ciotka Fasia zmieniła się nie do poznania. Z drobnego małego w pieluchach wyrosła około dwu-

dziesięcioletnia urodziwa młoda dama. Przy okazji poznałem też stryja Abrahama, wysokiego urzędnika departamentu rolnictwa i przyszłego szefa Liberyjskiej Komisji Morskiej, który wydawał licencje znacznej liczbie światowych tankowców.

Kiedy już wszyscy krewni kolejno mnie wyściskali, ciotka Fatima zapowiedziała, że ma dla mnie niespodziankę. Opuściwszy na chwilę pokój, wróciła w towarzystwie młodego, niewysokiego i szczupłego człowieka. Przez chwilę myślałem, że wzrok mnie myli, bo zobaczyłem odmłodzoną twarz ojca.

„To jest twój brat – Morris. Morrisie, to twój brat – Hans.” Uścisnęliśmy sobie ręce i wtedy przyjrzałem mu się bliżej. Wbrew temu, co słyszałem, nie miałem cienia wątpliwości, że facet, który porusza się, mówi i wygląda jak mój ojciec, musi być jego synem, a moim bratem. Dlatego też od razu zrozumiałem, jak mam się do niego odnosić.

– Wiesz, że przez ciebie o mało nie trafiłem do pudła? – zapytał.

Podobno poprzedniej nocy wyrwała go ze snu policja. Kazali mu się ubrać i jechać z nimi na posterunek. Tam skonfrontowali go z facetem o zakrwawionej gębie, który wniósł skargę, że syn Al-Haja Massaquoia wybił mu ząb. „Ale to nie on – powiedział policjantom, ledwie rzuciwszy okiem na Morrisa. – Tamten był wyższy i lżejszy. Wyglądał i gadał jak Amerykanin.”

Morrisowi od razu zaświtało, że człowiekiem poszukiwanym przez policję musi być jego brat z Niemiec.

– Słyszałem, że przypląnąłeś do Monrovii, ale nie puściłem pary, kim jesteś i gdzie mogą cię znaleźć.

Opowiedziałem mu, co się wydarzyło, i dlaczego wdałem się w bójkę.

– Bardzo mi przykro – dodałem. – Chyba jestem ci winien jednego.

Mimo samych negatywnych rzeczy, jakie słyszałem o nim od ojca, od razu go polubiłem. W ciągu tego popołudnia, kiedy zapoznał mnie z historią swojego życia, czułem się szczęśliwy, że moje dziecięce marzenie o starszym bracie nareszcie się spełniło.

Morris urodził się w chatce na obrzeżach Monrovii. Jego matka pochodziła z plemienia Kru. Nigdy nie nauczyła się czytać i pisać, a zmarła, kiedy Morris był jeszcze dzieckiem. Przed śmiercią wyznała mu, że jego ojciec, Al-Haj Massaquoui, jest bogaczem z plemienia Vai i mieszka w dużym domu przy Water Street. Ponieważ starsza ciotka, która „odziedziczyła” chłopca, nie miała z niego żadnego pożytku, oddała go na *houseboya* amerykańoliberyjskiemu małżeństwu nazwiskiem Williams. Ci państwo nazwali go Morris Williams i posłali do szkoły misyjnej, choć formalnie go nie adoptowali. Już jako nastolatek Morris wybrał się do domu przy Water Street i przedstawił panu Al-Hajowi Massaquouiowi jako jego kochający syn. „Stary nie chciał o niczym słyszeć i kazał mi się wynosić.”

Ale zamiast go posłuchać, chłopak odwiedził wszystkich członków rodu i poinformował ich, kim jest jego tatuś. Im zaś wystarczyło rzucić na niego okiem: „Nie mów nic więcej,

sami widzimy”. Powitawszy go jak swego, poradzili mu, żeby nie przejmował się tym „zwarowanym tatusiem”, bo on prędzej czy później odzyska rozum. Odtąd Morris nabrał zwyczaju wpadania co najmniej raz w tygodniu do ojcowskiego domu, gdzie witał Al-Haja wesółym „Dzień dobry, pa!” i pytał: „Mogę coś dla ciebie zrobić, pa?”.

Niebawem został za swój upór wynagrodzony. Pewnego dnia, ku zaskoczeniu Morrisa, „stary” dał mu coś do załatwienia. Później zdarzało się to coraz częściej, aż wreszcie z różnych praktycznych względów właściwie go zatrudnił. Stosunki ułożyły się na tyle dobrze, że kiedy Morris porzucił nazwisko Williams na rzecz Massaquoi, ojciec nie tylko nie zaprotestował, ale nawet czasem zwracał się do niego per „synu”.

Na pytanie, dlaczego ich stosunki się popsuły, Morris wymamrotał coś na temat „babskiego gadania”. Kiedy próbowałem wydobyć z niego jakieś szczegóły, z początku odmówił odpowiedzi, ale potem pękł: „Do diabła z tym, w końcu masz prawo wiedzieć”.

Podobno ojciec dał mu delikatną misję; kazał mu sprowadzić z wioski w liberyjskim interiorze pewną młodą kobietę z plemienia Kru, do której zamierzał się „zalecać”. Dla ułatwienia zadania, na które Morris musiał poświęcić prawie cały dzień, a także po to, aby wywrzeć na damie odpowiednie wrażenie, ojciec pozwolił mu wziąć w tym celu swój nowy luksusowy amerykański samochód.

Morris zaklinał się, że miał szczerzy zamiar lojalnie wywiązać się ze zlecenia, ale widok pięknej panny po prostu zwałił go z nóg, do tego stopnia, że postanowił sam o nią zawalczyć. A ponieważ w przeciwieństwie do ojca, mówił płynnie językiem Kru, sprawa okazała się łatwa.

Tydzień później ojciec zobaczył zaparkowany przed domem brudny samochód z pustym bakiem, bez śladu Morrisa i panny. Rozgłosił potem w całej Liberii i poza jej granicami, że ten „przeklęty łajdak z plemienia Kru”, który występuje pod nazwiskiem Morris Massaquoi, nie jest jego synem. Dopiero po wielu miesiącach mój brat odważył się pokazać ojcu na oczy, a wtedy „stary sklął mnie od skurwysynów i kazał trzymać się od siebie z daleka”. Zgodnie ze słowami Morrisa, taki stan rzeczy trwa już cztery lata.

Zakończył swoją opowieść figlarnym uśmiechem, który zdradzał wszystko, oprócz wyrzutów sumienia.

– Jak rozumiem, stary zabronił ci wszelkich kontaktów z „tym przeklętym łajdakiem Morrisem” – dodał, małpując brytyjski akcent ojca.

– Masz mu to za złe? – odpaliłem. – Przecież zrobiłeś świństwo.

Morris przyznał mi rację, ale nadal nie okazywał żadnej skruchy.

– Doszedłem do wniosku, że jeśli wypożyczę sobie na tydzień jego auto i dziewczynę, to i tak nie będzie to wygórowana cena za lata zaniedbywania mojej matki i mnie.

Biorąc pod uwagę to, co przecierpieliliśmy z matką w Niemczech, uznałem, że Morris zdecydowanie miał rację.

Postanowiliśmy utrzymywać kontakty, ale w tajemnicy, żeby nie narażać na szwank mojej pozycji. Nie miałem wątpliwości, że ojciec gotów jest wyrwać mi dywanik spod nóg, jeśli się dowie, że stoję po stronie Morrisa. Dla ułatwienia naszych przyszłych spotkań, zdecydowaliśmy się zwerbować Fritza na pośrednika. Miałem straszne poczucie winy, że muszę tak oszukiwać ojca, ale odcięcie się od własnego brata uważałem za jeszcze gorszy wybór.

Kiedy wróciłem z wizyty u rodziny, ojciec oznajmił, że szukała mnie policja. „Nic się nie martw – dodał, widząc mój niepokój – już to załatwiłem.” Następnie wyjaśnił, że dwóch policjantów i facet, którego pobitem, wpadli, żeby ze mną pogadać. „Podobno wybiłeś mu ząb. Wiedziałem, czego chcą, więc dałem im trochę pieniędzy i kazałem zapomnieć o sprawie. A na przyszłość nie rwij się tak do bitki, bo pójdę przez ciebie z torbami.”

Jasne, pomyślałem, dowiedziawszy się właśnie od krewnych, że mój „biedny” ojciec jest nie tylko właścicielem najbardziej lukratywnej agencji parostatków, ale także wyłącznym importerem duńskiego piwa Tuborg, jednej z najpopularniejszych marek w kraju. Nie zdradziłem się, że historię o wybitym zębie znam już od Morrisa. Zamiast tego przeprosiłem ojca za kłopoty, chociaż w sercu wcale nie czułem skruchy. Nadal uważałem, że powinien docenić moją postawę, a na przyszłość postanowiłem zostawić go w takiej sytuacji samemu sobie. Kiedy zapytałem, o co w ogóle chodziło temu napastnikowi, odparł, że to jego dawny pracownik, który uważa się za pokrzywdzonego w zarobkach. „To nieprawda – dodał – ale zapłaciłem mu, ile chciał, po prostu dla świętego spokoju.”

## Spotkanie z prezydentem

Z niezwykle zadowoloną miną ojciec powiadomił mnie, że jego przyjaciel prezydent Tubman zaprosił nas do swojej siedziby – Executive Mansion, ponieważ życzy sobie mnie poznać. Z początku ucieszył mnie ten zaszczyt, ale w miarę jak zbliżała się niedziela, czyli dzień spotkania, coraz bardziej się denerwowałem.

– Co powinienem mówić? – spytałem ojca. – Nigdy w życiu nie poznałem żadnego prezydenta.

– Nie przejmuj się, on nie gryzie. Masz tylko pamiętać, żeby odzywać się jedynie wtedy, kiedy się do ciebie zwróci, i zawsze mówić „Tak, panie prezydencie” i „Nie, panie prezydencie”, a nie po prostu „Tak” albo „Nie”. Poza tym po prostu bądź sobą.

W wyznaczony dzień, uzbrojony w ojcowskie rady, świeżo ostrzyżony i w nieskazitelnie białym garniturze, towarzyszyłem ojcu do pałacu prezydenckiego. Mój narastający niepokój zmienił się w totalną panikę. Wciąż miałem nadzieję, że prezydent odwoła to przekłete spotkanie, ale nie dane mi było takie szczęście. Punktualnie o czwartej ojciec zameldował straży pałacowej nasze przybycie. Po paru minutach powitał nas adiutant prezydenta, pułkownik Alexander Brewer, który zaprowadził nas na przestronną werandę na piętrze. Prezydent był w trakcie ożywionej rozmowy z dwoma białymi dżentelmenami. Na widok ojca wstał, po-

chwycił jego wyciągniętą rękę i splótł z nim palce w tradycyjnym liberyjskim geście powitalnym.

– Tak się cieszę, Mass, że udało ci się przyjść!

Następnie zwrócił się do mnie i, ściskając mi dłoń z takim samym entuzjazmem, przyglądał mi się uważnie oczami, które zdawały się przewiercać mnie na wylot.

– To pewnie ten młody człowiek, o którym tyle słyszeliśmy. Widzę, Mass, że nie traciłeś w Niemczech czasu – dodał, mrugając znacząco do ojca.

– Rzeczywiście nie traciłem, panie prezydencie – przyznał ojciec.

Prezydent przedstawił nas swoim gościom – amerykańskiemu kapitanowi, który nadzorował budowę portu, oraz młodemu amerykańskiemu biznesmenowi w typie Ivy League<sup>26</sup>, nazwiskiem Stettinius, po czym poprosił, abyśmy usiedli. Zapaliwszy wielkie hawańskie cygaro, wrócił do przerwanej rozmowy, ale jej tematy zdecydowanie mnie przerastały. Kiedy kamerdyner zaproponował mi cygaro i szklaneczkę Vat 69 Gold, ulubionej szkockiej prezydenta, miałem dość rozsądku, by odmówić jednego i drugiego. Chociaż bardzo chciałem sprawić wrażenie wyrafinowanego znawcy, instynkt podpowiedział mi, że skoro nigdy dotąd nie próbowałem whisky ani cygar, lepiej będzie poćwiczyć to w innym miejscu i czasie. Z niepokojem jednak patrzyłem na Stettinusa. Ten, chociaż niewiele starszy ode mnie, rozprawił z zapalem na takie tematy jak wkład finansowy Stanów Zjednoczonych w wyceniony na wiele milionów dolarów program budowy portu w Monrovi, system waluty złotej i zamiary Rosji sowieckiej od zakończenia wojny. Ja, jak dotąd, nie poświęciłem im nawet jednej myśli. W dodatku zauważyłem z zazdrością, że młody biznesmen tankował whisky jak wodę i kurzył cygaro do samego końca.

Czułem się jak muł w zarodowym stadzie. Boleśnie świadom własnych braków w edukacji, zdecydowałem tu i teraz, że zrobię, co tylko się da, aby to nadrobić. W momencie kiedy postanowiłem przesiedzieć to popołudnie w kłopotliwym milczeniu, przyszedł mi z pomocą sam prezydent: „A teraz posłuchajmy, co ma nam do powiedzenia młody Massaquoi, który dopiero co przyjechał z Niemiec, gdzie spędził całą wojnę. Rozumiem, że mieszkałeś w Hamburgu. Jak ci się udało przeżyć te naloty bombowe?”

Nagle dostałem możliwość wypowiedzi na temat, o którym wiedziałem więcej niż ktokolwiek z obecnych. Przez kilka następnych minut prezydent i jego goście słuchali z uwagą mojej relacji z koszmaru brytyjskich i amerykańskich ataków powietrznych. Od czasu do czasu przerywano mi pytaniami o szczegóły. Kiedy prezydent Tubman zapytał, w jakim momencie naród niemiecki zorientował się, że wojna jest przegrana, odpowiedziałem, że to zależy, o których Niemcach mówimy. Zatwardziali wyznawcy Hitlera nie uwierzyli w zwycięstwo aliantów, dopóki nie zobaczyli na ulicach ich wojska. Natomiast przeciwnicy hitlerowskiego reżimu przewidywali jego klęskę już od chwili wybuchu wojny. „To bardzo interesujące –



skomentował prezydent. – Masz szczęście, że wyszedłeś z tego żywy i bez jednego zadrapania.”

Na zakończenie wizyty prezydent podziękował ojcu za to, że mnie przyprowadził.

– Mass, musisz mi obiecać, że niedługo znów przyprowadzisz syna. Chciałbym usłyszeć więcej o jego wojennych doświadczeniach.

– Oczywiście, panie prezydencie, może pan na mnie liczyć – obiecał ojciec, prężąc pierś pełną ojcowskiej dumy.

W drodze do domu pogratulował mi właściwego zachowania i powiedział, że jest ze mnie dumny. „A tak przy okazji – ten młody człowiek, któregośmy spotkali u prezydenta, jest synem dawnego amerykańskiego sekretarza stanu Edwarda Stettiniusa, przemysłowca i multimilionera.”

Kiedy wyznałem, że czułem się żałośnie niekompetentny, głównie z powodu oglądy tamtego, ojciec obiecał mi pomoc w nadrobieniu braków wykształcenia. Pośle mnie do college’u, być może w Stanach. Słowa te były muzyką dla moich uszu; zamierzałem zrobić dosłownie wszystko, aby zasłużyć na jego wsparcie i zaufanie.

Wkrótce po spotkaniu z prezydentem ojciec zaplanował dla mnie kolejną atrakcję: „Pora, żebyś poznał nasz naród. W przyszłą niedzielę zabiorę cię do Vai Town”. Była to mała osada chat z gliny z dachami krytymi strzechą usytuowana malowniczo na wybrzeżu Oceanu Atlantyckiego o dziesięć minut jazdy od Monrovi. Natomiast prawdziwa ziemia Vai – dodał – dawne królestwo jego ojca, obejmuje Liberię i brytyjską kolonię Sierra Leone.

Nie paliłem się specjalnie do spotkania z „naszym narodem”, jeśli miało to oznaczać ludzi żyjących w glinianych lepiankach zamiast w domach z kanalizacją. Dla mnie „nasi” to tacy jak ciocia Fatima, Fritz, Arthur oraz dziadek Momolu, a nie jacyś analfabeci. Z powodu mojego europejskiego wychowania, którego lwia część przypadła na rasistowski reżim nazistów, moje poglądy na „prymitywnych tubylców” były dość żałosne.

Kiedy zajechaliśmy do wioski, powitały nas ogłuszające bębny, mężczyźni i kobiety w kolorowych szatach oraz dzieci o pękatych brzuskach z szerokimi uśmiechami i ogolonymi głowami. Najwyraźniej uprzedzono ich o naszym przybyciu. Przedzierając się wolno przez tłum, ściskaliśmy po drodze licznie wyciągnięte ręce.

Na centralnym placu powitał nas wódz osady, siwy mężczyzna w niepokalanie białej szacie i czarnej, haftowanej złotem czapce. Zaprosił nas do wielkiej sali ze słomianym dachem, gdzie wskazał nam miejsca obok siebie, na bogato rzeźbionych krzesłach, przed siedzącą w półkolu starszyzną. Wódz wygłosił dłuższą mowę w języku Vai, w której – jak mi powiedziano później – złożył hołd mojemu dziadkowi i ojcu, a mnie powitał „w domu”. Ojciec odpowiedział mu krótko, także w języku Vai. Następnie podano nam mleczny napój zwany winem palmowym oraz duże kawałki kukurydzianego chleba, po czym rozpoczęła się długa procesja mężczyzn i kobiet, którzy ściskali nam ręce, życząc długich lat życia i szczęścia.

Było już prawie ciemno, kiedy wymieniwszy uścisk dłoni z ostatnią osobą, wróciliśmy do samochodu w otoczeniu wodza i starszyny. Wkrótce Vai Town znikło nam z oczu, ale długo jeszcze dobiegał nas odgłos bębnów. Chociaż nie rozumiałem ani jednego słowa z tego, co do nas mówiono, wyczuwałem szczerą gospodarzy. Słuchając bębnów i wspominając ogromną serdeczność skromnych mieszkańców Vai Town – naszego ludu, poczułem nagle głęboką dumę z mojego dziedzictwa.

Mimo marnej opinii o „amerykańskich Murzynach”, którzy rzekomo uważali się za lepszych od Afrykanów, ojciec przyjął zaproszenie na raut do domu jednego z wyższych urzędników ambasady USA, której personel składał się z samych czarnych. Już w momencie naszego przybycia zrozumiałem, że moje poprzednie doświadczenia z Amerykanami, ograniczone do marynarzy i prostych żołnierzy, z którymi włóczyłem się po hamburskim nabrzeżu, marząc, aby kiedyś się do nich upodobnić, nie przydadzą mi się na nic w nowym środowisku. Czarni pracownicy ambasady różnili się o niebo od wyluzowanych, mówiących slangiem facetów w długich marynarkach o wywatowanych ramionach. Tutaj wszyscy bez wyjątku mieli nienaganne maniery i wymowę, nosili konserwatywne ubrania i znać było po nich wyższe wykształcenie.

Żeby nie wyjść na kompletnego głupka w tym wyrafinowanym środowisku, musiałem szybko się do niego dostosować. Przypomniawszy sobie wizytę u prezydenta Tubmana, postanowiłem być dobrym słuchaczem i otwierać gębę tylko wtedy, kiedy będę znał się na rzeczy. Nie minęło wiele czasu, a kręciłem się swobodnie między gośćmi, wymieniając zdawkowe zwroty typu „Jak się pan miewa” czy „Miło mi pana poznać” i zachowując się tak, jakbym dopiero co ukończył *summa cum laude* szkołę dobrych manier.

Ponieważ prawie wszyscy czarni Amerykanie, których dotąd poznałem, byli płci męskiej, z przyjemnością odkryłem, że istnieje też zupełnie nowy dla mnie gatunek: czarne Amerykanki. Większość z nich była pracownikami ambasady albo ich żonami. Poza wysoką inteligencją i nienagannym wychowaniem cieszyły się też wielką urodą, toteż po pierwszej zachęce ze strony ojca ruszyłem na parkiet, gdzie przy dźwiękach fortepianu i ku zachwytowi partnerek udało mi się zaprezentować kilka najbardziej wyrafinowanych kroków ze szkoły Herr Lucasa w Barmbeku.

Zachęcony pięknymi dźwiękami fortepianu, przyłączyłem się do gości, którzy zebrali się wokół pianisty i śpiewali najpopularniejsze amerykańskie przeboje. Ku mojemu zdumieniu, muzyk okazał się niewidomym Liberyjczykiem, znanym powszechnie jako profesor Hayes. Kiedy przyłączyłem się do chóru, ojciec klepnął mnie w ramię i szepnął, że musi wyjść, bo ma do załatwienia „pewien niecierpiący zwłoki interes”, ale niedługo wróci. „Baw się dobrze” – dodał. Nie miałem z tym problemu.

Po powrocie wręczył mi mój saksofon w pokrowcu: „Pokaż im, co potrafisz. Profesor Hayes na pewno nie będzie miał nic przeciwko temu”. Ponieważ kilka kieliszków wina wy-

plukało ze mnie resztki oporów, z przyjemnością spełniłem jego życzenie. Po paru minutach mój altowy saks przyłączył się gładko do melodii *Till the End of Time* granej przez profesora. Po pierwszym zaskoczeniu na twarzy niewidomego muzyka ukazał się szeroki uśmiech aprobaty. Na koniec, kiedy goście oklaskami domagali się dalszego ciągu, profesor Hayes wstał i serdecznie mnie uściskał.

Tego wieczoru zyskałem jeszcze jednego, nadzwyczaj cennego przyjaciela: wicekonsula Charlesa Hansona z Nowego Jorku, prawie dwumetrowego okularnika z dyplomami Harvardu i Yale. „Wpadnij do ambasady po godzinach pracy – zaproponował mi ów trzydziestoparoletni kawaler. – Może pomożesz mi doszlifować mój nieco zardzewiały niemiecki.” Odpowiedziałem, że jeśli on zrobi to samo z moją angielszczyzną, to umowa stoi.

Ojciec, który przez cały wieczór chodził dumny jak paw z miną „to-mój-chłopak”, zapewnił mnie później, że doskonale się spisałem. Nic nie mogło mnie bardziej ucieszyć.

Mój zwykły dzień w nowym otoczeniu zaczynał się około ósmej, kiedy spotykaliśmy się z ojcem na lekkim śniadaniu, złożonym z tosta, owoców i herbaty. Prosto spod prysznic, w szlafroku i rannych pantoflach, ojciec krążył po jadalni między jednym a drugim łykiem herbaty, z papierosem w ręku rozprawiając na prawie każdy temat. To właśnie podczas tych codziennych rozmów przy śniadaniu zbliżyliśmy się do siebie tak bardzo, jak tylko to możliwe między ojcem a synem. Z łobuzerskim uśmiechem opowiadał mi o swoich prawnych przepychankach z bratem Natem, którego uważał za mózg rodzinnej rebelii przeciwko sobie. „Na razie nic im to nie dało, a teraz, kiedy już tu jesteś, zaczyna do nich dochodzić, że nigdy nie położą łapy na moim majątku.”

Często raczył mnie opowieściami ze swoich studenckich czasów w Anglii i Irlandii. Nigdy nie miał dość pokazywania mi fotografii wyciętej ze starej gazety, gdzie jako „książę Al-Haj” siedzi obok Edwarda, księcia Walii i przyszłego króla na bankiecie w pałacu Buckingham. Z niekłamanym zachwytem informował mnie, że to on na początku lat dwudziestych sprowadził do Liberii pierwszy automobil marki Mercedes-Benz, na długo, zanim w kraju powstały pierwsze brukowane drogi. „Jaka szkoda, że twój dziadek nie może zobaczyć, na kogo wyrosłeś” – wzdychał, kiedy zdał mi już szczegółową relację z niezwykłego życiorysu swojego ojca.

W przeciwieństwie do innych dzieci Vai, Momolu musiał wcześniej rozpocząć naukę ich języka. W wieku zaledwie ośmiu lat opanował wyrafinowany, właściwy tylko temu jednemu językowi system pisma, którego alfabet, złożony z ponad stu znaków, wyróżnia Vai z większości niepiśmiennych plemion afrykańskich. Królewscy rodzice, muzułmanie, oddali syna pod opiekę imama, aby ten zapoznał go z Koranem. Dwa lata później dziesięcioletniego Momolu wysłano do episkopalnej szkoły St. John's w Cape Mount, żeby nauczył się angielskiego. Pod kilkuletnim wpływem chrześcijańskich wychowawców przyjął ich wiarę, został ochrzczony i przystąpił do confirmacji. W roku 1888, jako nad wiek rozwinięty szesnastola-

tek, wyjechał do Stanów, gdzie rozpoczął naukę w Central Tennessee College w Nashville. Nagła śmierć matki w roku 1892, a cztery lata później także ojca, dała mu prawo do objęcia władzy nad terytorium Vai. Odmówił jednak, a zamiast tego wybrał stanowisko dyrektora swojej *alma mater*. Po sześciu latach ostatecznie zgodził się zasiąść na tronie i podczas spektakularnej ceremonii z udziałem miejscowych dygnitarzy i brytyjskich urzędników kolonialnych dał się ukoronować na króla Momolu IV. Swoją siedzibę ustanowił na terytorium Vai, liczącym sześćset mil kwadratowych i rozciągającym się wzdłuż wybrzeża Atlantyku od rzeki Gallinas w Sierra Leone po okręg Grand Cape Mount w Liberii. W niedługim czasie – kończył swą opowieść ojciec – wewnętrzne spory plemienne rozpletane przez intrygi Brytyjczyków, którzy obawiali się silnego, charyzmatycznego i wykształconego przywódcy, podkopały pozycję Momolu i zmusiły go do abdykacji na rzecz mniej kompetentnego kuzyna.

Odwzajemniłem mu się opisem życia pod rządami nazistów i podczas wojny. Nigdy nie miał dość słuchania tych historii.

Podczas naszych codziennych dyskusji, które można by porównać do wykładów z zakresu sztuk wyzwolonych – począwszy od prawnej koncepcji *habeas corpus*, a skończywszy na prawach dziedziczości Mendla – nabrałem szacunku dla jego niesamowitego intelektu i wiedzy. Zacząłem także odkrywać w nim sympatyczną stronę, której przedtem nie dostrzegałem. Jednocześnie coraz bardziej uświadamiałem sobie jego liczne dziwactwa. Kiedy rozmowa zeszła na tematy religii, okazało się, że ojciec wciąż nie może się zdecydować, czy uznać się za chrześcijanina czy muzułmanina. Swoje wywody popierał, lawirując zręcznie cytatami to z Biblii, to z Koranu, zależnie od tego, co mu lepiej pasowało. Konsekwentnie jednak trzymał się trzech zasad: pogardy dla „amerykańskich Murzynów” (z wyjątkiem bliskiego przyjaciela, dawnego ministra pełnomocnego USA Williama P. Laniera), lekceważącego stosunku do kariery w rządzie (niewątpliwie wskutek niepowodzeń jego ojca) i kultu prezydenta Tubmana, którego cytował przy każdej sposobności: „Biały czy czarny, Tubman jest bez gadania największym żyjącym mężem stanu” – mawiał. I na poparcie tego stwierdzenia przedstawiał dwa najważniejsze środki, za pomocą których prezydent stworzył swoją administrację i przeniósł Liberię w XX wiek. Polityka otwartych drzwi otworzyła kraj na zagraniczne inwestycje, natomiast polityka unifikacji wprowadziła ludy plemienne, dawniej celowo separowane i trzymane w ignorancji przez rządzących Amerykanoliberyjczyków, w życie polityczne kraju.

Ojciec miał także inny powód do faworyzowania prezydenta. Pod poprzednimi rządami Edwina Barclaya on i reszta rodu Massaquoi znalazła się w życiowym dołku. Tubman, który został prezydentem w roku 1944, odmienił ich los. Odwracając politykę neutralności Barclaya wobec Niemiec i wypowiadając wojnę nazistowskiemu państwu, usunął z kraju niemieckich dyplomatów i rezydentów, po czym ustanowił mojego ojca wyłącznym administratorem ich pokaźnego majątku. Zadanie ojca polegało na zinwentaryzowaniu niemieckich aktywów,

budynków biurowych z całym wyposażeniem, domów, jachtów, wypełnionych towarami magazynów, a następnie sprzedaniu ich rządowi na zasadzie pierwokupu albo zamożnym zagranicznym i krajowym biznesmenom z pokaźną dziesięcioprocentową prowizją. Ten nieoczekiwany przyływ gotówki wystarczył, by postawić ojca z powrotem na nogi i umożliwić mu odzyskanie różnych nieruchomości, które Momolu przed śmiercią obciążył kredytem hipotecznym. W ich skład wchodziły liczne powynajmowane domy w Monrovi i okolicach, a także znaczne obszary ziemi. „Niedługo zabiorę cię w objazd – obiecał – i pokażę to, co kiedyś będzie twoje.”

Mimo dostatku, ojciec pozostał pracoholikiem, który tyrał z determinacją od chwili wejścia do biura punktualnie o dziewiątej do późnej nocy. Jedyne odstępstwo od tego zwyczaju stanowił udział w cotygodniowych spotkaniach w ekskluzywnym Saturday Afternoon Club na wybrzeżu, gdzie prezydent Tubman w ściśle męskim gronie zażywał rozrywki przy dobrej brandy, whisky i cygarach.

## Adaptacja

Ojciec raz po raz wyrażał nadzieję, że mój przyjazd do Monrovi da mu z czasem możliwość zwolnienia tempa, a może nawet zrobienia sobie wakacji. Po wielu latach rozłąki chciał wreszcie złożyć długo odkładaną wizytę swojej sędziwej matce w Lagos, w Nigerii. Rozwiódłszy się z Momolu na długo przed moim urodzeniem, babka zamieszkała w kolonii brytyjskiej, gdzie poślubiła niejakiego pana Sonii, urodzonego w Liberii brygadzystę w stoczni w Lagos. „Obiecałem, że cię do niej wyślę, gdy tylko się trochę zadamowisz. Nie może się ciebie doczekać.”

Wszystko to brzmiało dość interesująco, ale nie ułatwiało mi sytuacji. Każdego ranka drżałem na myśl o chwili, kiedy ojciec zejdzie do biura, zostawiając mnie na rozmyślaniach, jak by tu spędzić resztę dnia.

Żeby się nie zanudzić, odbywałem długie spacery po tętniącym życiem nabrzeżu albo włóczyłem się z Fritzem i jego towarzystwem złożonym z synów i córek tutejszej amerykańskoliberyjskiej elity. Byli wśród nich Sewell Brewer, syn adiutanta prezydenta Tubmana, jego kuzyn Herbert Brewer, syn liberyjskiego ambasadora w Paryżu, Calista Dennis, bratanica sekretarza stanu Gabriela Dennisa oraz inne uprzywilejowane osoby. Wszyscy po dyplomach albo w trakcie studiów w College of West Africa, uczelni na wysokim poziomie, zamierzali kształcić się dalej w różnych college'ach i uniwersytetach amerykańskich dzięki stypendiom rządu liberyjskiego. Po uzyskaniu stopni naukowych i powrocie do kraju czekały na nich lukratywne rządowe posady. Fritz jako pierwszy miał niebawem wyjechać na studia w dziedzinie mleczarstwa na University of Iowa. Jakoś nie mogłem sobie wyobrazić, żeby wymuskany galant Fritz zbliżył się choćby na kilometr do krowy, a cóż dopiero zabrał się do jej dojenia.

Moja paczka rozprawiała ciągle o balach absolwentów i innych tego typu atrakcjach. Mnie w ogóle ten temat nie interesował, zazdrościłem im jednak beztroskiego życia. Patrząc na nich, uświadomiłem sobie, że moja własna młodość upłynęła głównie na walce o przetrwanie. Zazdrościłem im także starannie zaplanowanych przez rodziny karier życiowych, z małżeństwami włącznie; ja musiałem żyć z dnia na dzień i polegać tylko na sobie.

Stało się dla mnie jasne, że bez formalnego wykształcenia nigdy nie dojdę do niczego w kraju, gdzie liczy się status, ale ilekroć próbowałem poruszać ten temat z ojcem, odpowiadał wymijająco i tylko prosił mnie o cierpliwość.

Sporo czasu spędzałem, tłukąc w klawisze maszyny do pisania. Uważałem, że jeśli nabiorę wprawy, ojciec prędzej dopuści mnie do interesów, a poza tym chciałem na bieżąco informować matkę i Inge, jak sobie radzę. Matka napisała mi, że zaraz po moim wyjeździe i tak już wysoka inflacja wzrosła do takiego poziomu, że dawna marka niemiecka – Deutsche Reichsmark – straciła jakąkolwiek wartość. Na jej miejsce wprowadzono do obiegu nową walutę o nazwie Deutschmark. Każdemu przyznano po 40 nowych marek i pozostawiono samemu sobie. W ciągu jednej nocy puste dotąd sklepy zapełniły się po sufity towarami, jakich nie widywano tu od początku wojny. List kończył się optymistyczną nutą: najgorsze już za nimi i niebawem spotkamy się w Liberii.

Inge pisała, że jej stosunki z moją matką układają się nadspodziewanie dobrze: dużo czasu spędzają razem, chodząc do kina i rozmawiając – o kim by, jak nie o mnie. Zaklinała się także, iż nawet nie patrzy na innych mężczyzn. Koniecznie chciała dowiedzieć się jak najwięcej o Liberii, a zwłaszcza o tamtejszych kobietach. Moja natychmiastowa i absolutnie szczerą odpowiedź brzmiała: „Nie martw się o liberyjskie dziewczęta. One w ogóle nie są w moim typie”.

Trochę to trwało, ale zgodnie z przewidywaniami ojca, coś w moim postrzeganiu powoli się zmieniało. Zanim zdążyłem to sobie w pełni uświadomić, kilka liberyjskich dziewcząt zaczęło mnie coraz bardziej pociągać.

Morris już od pewnego czasu pokpiwał sobie ze mnie i namawiał do „przetestowania towaru”. Obiecywał, że w kwestii życia towarzyskiego mogę na nim całkowicie polegać. Wiedział już o paru młodych damach, które chętnie zawarłyby ze mną znajomość. Im bardziej upierałem się, że jeszcze nie jestem gotowy, tym goręcej wychwalał ich zalety. Zwłaszcza jedna – jak twierdził – była szczególnie chętna. Podobno żyła z pewnym wpływowym Liberyjczykiem, który odwiedzał ją może z raz na miesiąc.

– Sam rozumiesz – dodał. – Co to jest raz na miesiąc?

Kiedy zacząłem go przyciskać, żeby powiedział mi, co to za jeden ten jej kochaś, wykrztusił w końcu, że to sam prezydent.

– Masz źle w głowie czy co? Jak mógłbym kręcić z dziewczyną prezydenta? Przecież gdyby nas nakrył, urwałby mi łeb!

Morris jednak namawiał mnie dalej. Prezydent się nie dowie, a nawet jeżeli, to nic mi nie grozi.

– On ma kobiety w całym kraju i nawet nie jest w stanie obsługiwać regularnie ich wszystkich. Czemu nie miałbyś po prostu jej poznać? Mieszka raptem kilka ulic od ciebie.

Morris z zachwytem przyjął fakt, że zlekceważyłem głos rozsądku i dałem mu się namówić na spotkanie z tą dziewczyną.

– Ale tylko na chwilę – zaznaczyłem.

Kiedy dotarliśmy pod jej dom, zobaczyłem, że przez poręcz werandy na piętrze wychyla się kobieta o wydatnym biuście, obleczona w płaszcz kąpielowy.

– To ona – szepnął Morris.

– Morris, to twój braciszek? – zagadnęła kobieta kokieteryjnie dzieciennym głosem.

– Tak, to ten dzidzius z Niemiec.

– Może wejdziecie na górę, żebyśmy mogli się poznać?

Już na werandzie zauważyłem jej rzeczywiście śliczną twarz, ale także i to, że musiała ważyć ze 20 kilogramów więcej ode mnie. Niedobrze – pomyślałem – bo poza tym widziałem w niej duży potencjał.

Kolejny wstrząs przeżyłem na widok pełnowymiarowej fotografii portretowej prezydenta Tubmana, która wisiała w salonie. Posłużyła mi jako złowieszcze ostrzeżenie, że pakuję się w niebezpieczną sytuację, która może mnie przerosnąć.

Morris przedstawił mnie Evie.

– Nie mówileś, że twój brat jest prawie o głowę wyższy od ciebie – zbeształa go, po czym zniknęła w kuchni, żeby przygotować coś zimnego do picia.

Morris zaczął mamrotać, że niby zostawił gdzieś portfel, i zanim zdążyłem go powstrzymać, obrócił się na pięcie i zbiegł po schodach na dół.

– Nie ruszaj się stąd, zaraz wracam – wrzasnął z ulicy i po chwili zniknął za rogiem. Byłem pewien, że już go tego dnia nie zobaczę.

Przysiągłem sobie wyrównać z nim rachunki za wciągnięcie mnie w tę awanturę. Gawędząc z Evą o wszystkim i o niczym, wyteżalem umysł nad stosownym pretekstem, który pozwoliłby mi stąd zwać, ale nic mi nie przychodziło do głowy. Tymczasem moja gospodyni wlewała we mnie jedną po drugiej szklaneczki mocno przyprawionego ponczu. Kiedy zacząłem narzekać na gorąco, zaproponowała odświeżającą kąpiel. Po kolejnej szklaneczce propozycja wydała mi się całkiem sensowna, toteż nie wdając się w dalsze rozważania, wkrótce pławilem się w wannie z letnią wodą. Eva pochyliła się, żeby otrzeć mi pot z czoła, szlafrok się jej rozchylił, odsłaniając gładką brązową skórę, co przynajmniej w tej chwili kompletnie zmieniło moje poglądy na temat kobiet z nadwagą.

Kiedy kilka godzin później, zalany w trupa i fizycznie wykończony, wyszedłem na słoneczną ulicę, nie żywiłem już wobec Morrisa żadnych złych uczuć.

Jednak nawet jego niezmordowane wysiłki na rzecz ożywienia mojego życia towarzyskiego nie powstrzymały mnie przed obmyśleniem sensowniejszego planu na przyszłość. Któregoś dnia poskarżyłem się ojcu, że nuda mnie zabija i zapytałem, czy nie ma dla mnie jakiegoś konstruktywnego zajęcia. Od razu się na mnie wkurzył: „To jest Afryka, nie Europa. Tu się nikomu nie spieszy. Dopiero co przyjechałeś, a chciałbyś się wzbogacić w ciągu jednej nocy. Tymczasem tutaj takie sprawy załatwia się całkiem inaczej”.

Chociaż nie powiedziałem ani słowa na temat wzbogacenia się w jedną noc, zniosłem ten wykład potulnie. Kilka dni później ojciec zabrał mnie do pobliskiego magazynu, wypełnionego jakimś – tak mi się przynajmniej zdawało – badziewiem. W jednym kącie leżało kilkanaście wielkich, zakurzonych wag towarowych, takich do ważenia worków z produktami.

„Kiedyś ten magazyn należał do Niemców – wyjaśnił mi ojciec. – Te wagi zostawili tu po wojnie niemieccy biznesmeni. Chyba są w kiepskim stanie, ale jeśli potrafisz je naprawić, będziesz miał jakieś zajęcie.

Po szybkich oględzinach kilku zardzewiałych wag oznajmiłem, że chyba potrafię doprowadzić je do stanu używalności. Po gruntownej naprawie można by za każdą wziąć około 50 dolarów – wyjaśnił ojciec. „Zawrzyjmy umowę. Zatrudnię ci dwóch pomocników i jeśli uruchomisz wagi, to ci je sprzedam, a zyskiem podzielimy się po połowie.” Szybko wyliczyłem, że zarobiłbym na tym około 300 dolarów, więc skwapliwie się zgodziłem.

Pewnego ranka wybrałem sobie z garażu ojca kilka narzędzi i razem ze świeżo pozyskaną dwuosobową ekipą wziąłem się do roboty. Od tygodni nie czułem się tak dobrze. Nagle okazało się, że znowu mogę się do czegoś przydać. To zabawne, jak kilka zardzewiałych wag potrafiło przywrócić mi poczucie sensu, które kompletnie zatraciłem w ciągu tych gnuśnych tygodni po podróży. Tak więc z ogromnym entuzjazmem rzuciłem się w wir pracy.

Moi dwaj bosonodzy pomocnicy, mniej więcej w moim wieku, należeli do plemienia Bassa. Wprawdzie brakowało im doświadczenia w pracach mechanicznych, ale szybko łapali, o co chodzi, i wychodzili ze skóry, aby mnie zadowolić. Kiedy dokładnie wyjaśniłem każdemu, co ma robić, zabrali się do pracy z wesołym śpiewem na ustach, zupełnie nie przejmując się dusznym upałem i pyłem.

Codziennie o dwunastej, zgodnie z obyczajem, którego przestrzegałem, odkąd w wieku czternastu lat zgłosiłem się na naukę zawodu, ogłaszałem godzinną przerwę. Sam w tym czasie jadłem z ojcem lunch. Po tygodniu zagadnął mnie o postępy. „Sam zobacz” – zaproponowałem, dumny z dotychczasowych osiągnięć.

Kiedy weszliśmy do magazynu, moi pomocnicy siedzieli na kartonach i jedli swój nędzny posiłek, złożony z surowych korzonków manioku. „Co tu się dzieje?” – zapytał ojciec surowo. Z początku ani ja, ani moi ludzie nie zrozumieli, o co mu chodzi. „Wracać do roboty!” – huknął.



Bez najmniejszych oznak niezadowolenia zabrali się do pracy. Kiedy próbowałem tłumaczyć ojcu, że zgodnie z moim zarządzeniem, ludzie ci wciąż mają zasłużoną przerwę na lunch, odprowadził mnie na bok i poczęstował dłuższym przemówieniem na temat afrykańskich zwyczajów: „Oni nie wiedzą, co to jest przerwa na lunch – upierał się z całą powagą. – Mieszasz im tylko w głowach tymi cudzoziemskimi pomysłami. Płacę im dobre pieniądze za pracę, a nie za jakieś przerwy”.

Dla mnie było nie do pojęcia, że „ci ludzie” nie wiedzą o przerwie na lunch, skoro codziennie widzą, jak korzystają z niej ich bogaci szefowie. Podczas jednego z naszych wspólnych śniadań przedstawiłem mu swój pogląd i zasugerowałem, że pewnie obawia się, aby inni robotnicy także nie zaczęli domagać się przerw. Wtedy się rozgniewał: „Ty po prostu nie rozumiesz Afryki i tutejszych zwyczajów, więc przestań się do tego mieszać!”.

Wydawało mi się, że doskonale wszystko rozumiem, ale dla świętego spokoju trzymałem gębę na kłódkę. Później zapytałem moich pomocników, ile ojciec im płaci. Powiedzieli, że dniówka wynosi 25 centów, czyli tyle, co paczka papierosów. Przywołałem w pamięci ten epizod po trzydziestu latach, kiedy w roku 1980 sierżant Samuel Doe wszczął krwawą rewolucję przeciwko rządowi Amerykanoliberyjczyków, co ani trochę mnie nie zaskoczyło.

Po trzech tygodniach sumiennej pracy zakończyliśmy zadanie. Przed rozstaniem powiedziałem moim pomocnikom, żeby zajrzeli do mnie dyskretnie za miesiąc, kiedy otrzymam już swój procent od sprzedaży, to wypłacę im jakąś premię. Chyba mi nie uwierzyli, bo już nigdy żadnego z nich nie zobaczyłem.

Widok dwunastu błyszczących świeżym lakierem wag wywarł na ojcu spodziewane wrażenie. Po sprawdzeniu dokładności pomiaru z obowiązującymi normami, ogłosił mnie geniuszem mechaniki i zawiadomił, że chętni do zakupu stoją już w kolejce. Kilka dni później wręczył mi trzydzieści dziesięciodolarowych banknotów – mój pierwszy zarobek od chwili opuszczenia Niemiec.

## Wesele

Wiadomość o zbliżającej się uroczystości rodzinnej uderzyła mojego ojca z siłą huraganu. Fatima ogłosiła swoje zaręczyny i rychły ślub z elektrykiem z Freetown w Sierra Leone, terytorium pod rządami Wielkiej Brytanii. Chociaż reszty rodziny także nie zachwycał ów straszny mezalians, wszyscy z czasem przyzwyczaili się stopniowo do tej myśli i żyli dalej po swojemu. Mój ojciec jednak uważał to małżeństwo za jedną z największych klęsk swojego życia. Wprawdzie z powodu „afery spadkowej” i tak z Fatimą nie rozmawiał, ale szczylił się jej osiągnięciami i często przechwalał się swoją „genialną siostrzyczką”. Jako najstarszy syn Momolu i tytularna głowa rodu Massaquoi, uważał, że ma coś do powiedzenia w kwestii wyboru małżonka siostry. Mógł jej zresztą wybaczyć, że nie zapytała go o zdanie (co uznał za akt buntu), gdyby chociaż wybrała kogoś stosownego. A tak? Przecież to „cholerny busz-

men” o niewolniczym nazwisku „Freeman”<sup>27</sup> – jak dla niego, najlepszy dowcip wszech czasów, a zarazem najgorsza obelga! W jego elitarnym pojęciu Fatima zhańbiła rodzinę i pamięć ich ojca, Momolu.

W pełni świadoma braterskich uczuć, Fatima kontynuowała przygotowania do ślubu. Ceremonia kolidowała z Dniem Niepodległości Liberii, który obchodzono 26 lipca 1948 roku, razem ze 101. rocznicą ustanowienia republiki. Ojciec ostentacyjnie nie pokazał się na ślubie, ogłaszając, że nie może zaszczyścić swoją obecnością tego „śmiesznego spektaklu”, ale mnie życzył dobrej zabawy. Do końca nie dał się udobruchać i nie pomógł nawet fakt, że ulegając dumie rodowej, Fatima przetłumaczyła mężowskie nazwisko na język Vai i odtąd nazywała się Fatima Massaquoi Fahnbulleh.

Ceremonia kościelna zakończyła się w samą porę, abyśmy z Fritzem i Morrisem zdążyli na paradę z okazji Dnia Niepodległości. Wysadzana palmami Broad Street była obstawiona widzami, z których wielu – jak wyjaśnił Morris – przybyło z odległych wiosek specjalnie na tę doroczną uroczystość. Mnie przypomniło się zaraz dzieciństwo i moje ówczesne upodobanie do nazistowskich parad.

Pochód otwierała fałszująca orkiestra wojskowa, za którą postępowała zbieranina mężczyzn w strojach koloru khaki z przestarzałymi karabinami. Każdy z nich zdawał się maszerować w takt jakiegoś własnego dobosza. Tylko wymachujący szablami oficerowie na czele oddziałów mieli na sobie buty i długie spodnie ze źle dopasowanymi kurtkami w stylu armii amerykańskiej. Z nieskrywaną dumą Morris poinformował mnie, że mam przed oczami słynną Liberian Frontier Force – całą militarną potęgę naszego kraju. Kusilo mnie, by rzucić niepochlebne porównanie do parad nazistowskich i alianckich, ale ugryzłem się w język.

Punkt kulminacyjny defilady stanowił przemarsz przed prezydentem Tubmanem i rządem. Mimo potwornego skwaru panowie mieli na sobie czarne fraki z szarymi sztuczkowymi spodniami i czarne cylindry. Do tego nosili kolorowe jedwabne szarfy i ordery z błyszczącymi kamieniami, przy czym najbardziej obwieszony był prezydent. Nawet przy tak uroczystej okazji nie rozstawał się z ulubionym hawańskim cygarem, które trzymał w lewej ręce. Prawą pozdrawiał wiwatujące tłumy, puszczając jednocześnie wielkie kłęby dymu.

Tuż za prezydentem stali dwaj inni najpotężniejsi liberyjscy dygnitarze: wiceprezydent Clarence Simpson i sekretarz stanu Dennis. Przypomniałem sobie, że ojciec uważał ich za swoich starych kumpli, a minister Dennis osobiście załatwiał mi na jego prośbę liberyjski paszport. Teraz zrozumiałem, co ojciec miał na myśli, mówiąc, że lepiej być dużą żabą w małej sadzawce niż na odwrót.

Zanim wróciłem do domu, zapytałem Morrisa, czy nie pomógłby mi znaleźć pracy, ponieważ miałem już dość obijania się po całych dniach. Odparł, że właśnie sam jest „między jedną posiadą a drugą” i też szuka czegoś dla siebie. „Słyszałem, że Liberyjska Kompania Górnicza, filia Republikańskiej Stali, przyjmuje do pracy w nowym obiekcie w Brewerville.

Jeśli chcesz, możemy się zgłosić choćby jutro.” Oczywiście, że mnie to interesowało, więc od razu umówiliśmy się na następny dzień.

Wieczorem, po wyjściu z przyjęcia Fatimy musiałem złożyć ojcu szczegółową relację z wesela: kto był, a kogo nie było, o czym się rozmawiało i tak dalej.

– Jak ci się podobała defilada? – chciał wiedzieć.

Mając jeszcze przed oczami doskonale wyćwiczony krok oddziałów SS, z trudem powstrzymałem się od złośliwych komentarzy. Ale ojciec zdążył już dostrzec mój protekcyjny uśmiezek.

– Co się tak głupio szczerzysz?

– Cóż, jeśli naprawdę chcesz wiedzieć... – Nabrałem tchu. – Uważam waszą Frontier Force za jedną wielką farsę.

Zamiast się rozgniewać, ojciec przyznał mi rację.

– Wiem, że żadni z nich żołnierze. Rekrutowano ich wprost z buszu i nigdy nie poddano porządnemu wojskowemu dryłowi. Prezydent też zdaje sobie z tego sprawę... Powiem więcej – chce, żeby tak zostało.

Wychowany w kraju, gdzie potęgę militarną uważano za główną miarę wartości i prestiżu narodowego, nie mogłem pojąć takiego braku ambicji, dopóki ojciec mi tego nie wyjaśnił. Otóż Tubman, który widział, jak wielu latynoamerykańskich przywódców zostało obalonych przez własnych generałów i pułkowników, na samym początku kadencji zdecydował, że chce mieć państwo z jak najsłabszym wojskiem, złożonym z „ludzi tak niekompetentnych i zdeorganizowanych, żeby nie mogli obalić nawet własnych babek”.

Uznałem to wyjaśnienie za sensowne i odtąd zacząłem patrzeć na przebiegłego prezydenta z uznaniem. Ale nagle przyszło mi do głowy kolejne pytanie:

– A co zrobi prezydent w razie ataku z zewnątrz?

– Takie ryzyko jak najbardziej gotów jest podjąć, ponieważ prawdopodobieństwo napaści ze strony naszych trzech sąsiadów, czyli brytyjskiej Sierra Leone oraz francuskich Wybrzeża Kości Słoniowej i Gwinei jest praktycznie żadne. Tubman wie, że gwarantami granic są zarówno mocarstwa europejskie, jak i Stany Zjednoczone, a na nich może polegać.

## **Brewerville**

Rano, gdy tylko ojciec udał się do swojego gabinetu, spotkałem się z Morrisem przed biurem zatrudnienia Liberyjskiej Kompanii Górniczej. Po złożeniu wypełnionego wniosku jasnowłosy Holender zaprosił mnie do gabinetu. Przeczytał mój formularz z dużym zainteresowaniem, po czym oznajmił mi, że jako wykształconemu w Niemczech czeladnikowi może mi zaproponować doskonałe stanowisko operatora za 10 dolarów dziennie. Poczułem się, jakbym wygrał na loterii. Z takimi zarobkami z łatwością potrafię się utrzymać i nawet posyłać pieniądze matce.

Uzgodniliśmy, że zacznę od najbliższego poniedziałku. Zbierałem się już do wyjścia, kiedy Holender oddał mi wniosek, wytykając, że nie wpisałem narodowości.

– Jestem Liberyjczykiem – odparłem.

Na to Holender zrobił zakłopotaną minę. Przeprósiwszy za zbyt pochopną decyzję, wyznał, że wziął mnie za obywatela amerykańskiego.

– To jest w zasadzie firma amerykańska. Mamy z rządem Liberii porozumienie o maksymalnej płacy dla tutejszych obywateli. Ale w związku z pańskim stażem w Niemczech, mogę zrobić wyjątek i zaproponować panu 5 dolarów dziennie.

Byłem zdruzgotany. Z powodu jakiejś podejrzanego ugody liberyjskiego rządu z zagraniczną spółką miałem pracować za ułamek należnej mi sumy! Ale, zdając sobie sprawę, że nie stoję na pozycji przetargowej, z bólem serca przyjąłem proponowane warunki.

Kiedy ponownie spotkałem się z Morrisem, ten poinformował mnie z radością, że trafiła mu się praca w charakterze mechanika samochodowego za 3 dolary dziennie. Nauczył się tego zawodu podczas wojny w wojskowym parku maszynowym. Wysłuchawszy mojej historii, powiedział, że powinienem skłamać i nie przyznawać się do narodowości liberyjskiej. Wyjaśnił, że gdyby zagraniczne spółki mogły płacić wyższe wynagrodzenia, żaden Liberyjczyk nie zechciałby pracować za niewolnicze stawki na tutejszych plantacjach kauczuku czy na posadach rządowych. W rezultacie takie obce firmy jak Firestone płacą tylko 25 centów dziennie robotnikom, którzy łamią sobie grzbiety przy zbiorach kauczuku dla amerykańskich milionerów.

Na wiadomość, że przyjąłem posadę w Brewerville, ojciec się wściekł. Miotając gromy za ten rzekomy akt zdrady, wspominał o prorocztwie kapitana „Bornholmu”. „Teraz rozumiem, o co mu chodziło! To ja cię ściągam z Niemiec, przyjmuję do swojego domu, karmię, jakbym miał fabrykę mięsa, a ty odwdzięczasz się, wchodząc w układy z moimi wrogami!”

Nie zdawałem sobie sprawy, że mieszkając z ojcem przez trzy miesiące po tym, jak latami nie płacił ani centa na moje utrzymanie, staję się jego dłużnikiem. Niemniej starałem się usprawiedliwić, że zawiodłem jego oczekiwania. Tłumaczyłem, że zależało mi na pracy, abym nie musiał prosić go o pieniądze za każdym razem, kiedy chcę sobie kupić pastę do zębów czy pójść do kina. Poza tym miałem dość nudzenia się po całych dniach.

Mogłem równie dobrze gadać do ściany, bo do ojca nie dotarło nic z tego, co mówiłem. Wciąż tylko powtarzał swoje i oskarżał mnie o zdradę.

Ponieważ nie mieliśmy z Morrisem żadnego środka transportu, ucieszyliśmy się z oferty Charlesa Hansona, naszego znajomego z ambasady amerykańskiej, który zaproponował nam podwózkę do Brewerville. Kiedy rano przyjechali po mnie z Morrisem, próbowałem pożegnać się z ojcem, ale nigdzie nie mogłem go znaleźć. Jason powiedział, że *mista* wyruszył wczesnym rankiem swoim samochodem, nie mówiąc, dokąd się wybiera ani kiedy wróci. Zostawiłem więc karteczkę z wyrazami żalu, że moja decyzja podjęcia pracy sprawiła mu aż

taką przykrość, ale nie mogę zrezygnować z samodzielności tylko dlatego, że przyjechałem do Afryki. Na zakończenie dodałem: „Będzie mi brakowało naszych porannych pogawędek. Uważaj na siebie. Twój kochający syn Hans”.

Zamiast świeżo otwartej autostrady Charles wybrał prymitywną drogę przez busz, dlatego wziął z ambasady jeepa, a nie sedana. Ledwie ruszyliśmy spod domu, poczułem się jak wypuszczony z więzienia. Uświadomiłem sobie, że przez cały czas najbardziej brakowało mi wolności i że bałem się ojca, który traktował mnie jak swoją własność. Postanowiłem, że już nigdy nie postawię się w tak kłopotliwym położeniu.

Na razie chciałem przede wszystkim puścić wodze mojej awanturniczej naturze i robić dobrą minę do złej gry. Gdyby tak moi koledzy z Hamburga, zwłaszcza Fred Gass, zobaczyli mnie teraz, jak w drelichu khaki i kasku tropikalnym chybotę się na wyboistej drodze, z dala od wszelkich oznak cywilizacji...

Kiedy zapytałem, jakie mamy szanse na spotkanie z lwami albo jakimiś innymi okazami tutejszej fauny, Morris odparł, że największe szanse mamy na spotkanie z „krową z buszu”, czyli z liberyjskim dzikim bawołem. Ledwie wyraziłem swój sceptycyzm, mój brat poprosił Charlesa, by zatrzymał wóz.

– Spójrz – zachęcił mnie, wskazując na ziemię.

To, co zobaczyłem, sprawiło, że w jednej chwili mu uwierzyłem.

– Wynośmy się stąd! – wrzasnąłem na widok ogromnych śladów racic i równie wielkich odchodów, które nieomylnie wskazywały na jakiś gatunek bydła.

Wkrótce kręta droga doprowadziła nas na brzeg szerokiej rzeki.

– Koniec jazdy – oznajmił Morris. – Dalej jeep nie przejedzie. Brewerville jest kawałek stąd, w górę rzeki, po drugiej stronie.

– Jak się tam przeprawimy?

– Nic się nie martw.

I wydał z siebie przeraźliwy krzyk, po którym stado kolorowych ptaków frunęło w niebo, a mały i inne stworzenia zaczęły sobie szukać bezpieczniejszych miejsc na drzewach. Niebawem przybiło do brzegu kanoe z dwoma wieśniakami. Wręczyliśmy im nasz skromny dobytek i, podziękowawszy Charlesowi za podwózkę, weszliśmy na łódź.

– Uważaj na krowy z buszu! – krzyknąłem do Charlesa, który machał nam z brzegu, dopóki nie weszliśmy w zakole rzeki i nie zniknęliśmy mu z oczu.

Oprócz plusku wiosła kanoe pruć woda w absolutnej ciszy. Od czasu do czasu mijaliśmy wioskę, której mieszkańcy krzatali się wokół chat przy codziennych zajęciach takich jak sprzątanie, ucieranie kukurydzy na mączkę, pieczenie, gotowanie, pranie, pilnowanie dzieci – jak to robili od stuleci. Z każdej z wioski dzieci machały do nas, a my do nich.

Niedaleko od miejsca, gdzie mieliśmy wysiąść, zauważyłem duży czarny obiekt unoszący się na wodzie tuż przed nami. Zasugerowałem Morrisowi, że może to wywrócone do góry

dnem kanoe, ale on wyszczerzył zęby w uśmiechu. „Kanoe, powiadasz?”

Kiedy podpłynęliśmy bliżej, dotarła do mnie straszliwa prawda. To, co wziąłem za łódź, a co znajdowało się kilkanaście metrów przed nami, okazało się ogromnym krokodylem. Instynkt podpowiadał mi, żeby wynosić się do wszystkich diabłów, byle dalej od bestii, która obserwowała nas leniwie półprzymkniętymi wyłupiastymi ślepiami. Ale zamiast tego nasze kanoe zastygło w miejscu, a Morris szepnął, że mam być cicho i ani drgnąć. „Nie przejmuj się – dodał, widząc moje przerażenie. – Jeśli zostawimy go w spokoju, to i on nas zostawi.”

Zdawał się wiedzieć, o czym mówi, bo gad trzymał dystans, a po kilku minutach, kiedy już się na nas napatrzył, zniknął z głośnym pluskiem w głębokiej mętnej wodzie, zostawiając po sobie długą falę, która rozkołysała niebezpiecznie naszą łódź. Poczulem wielką ulgę, gdy dobiliśmy do brzegu i mogliśmy odbyć resztę drogi na własnych nogach. W parę minut dotarliśmy do biura Kompanii, gdzie przydzielono nam kwatery i kazano zameldować się następnego dnia do pracy. Nasz dom składał się z pokoju w drewnianym baraku, wyposażonym w dwie drewniane prycze, dwie metalowe szafki i zlew z bieżącą zimną wodą, która jednak nie nadawała się do picia. Zbyt zmęczeni, by się przejmować nędznym otoczeniem, walnęliśmy się od razu na prycze mimo potwornego upału i roju komarów, bez przerwy brzęczących nam nad głowami.

Rano wyznaczono mi pracę przy spawaniu, a Morrisa przydzielono do parku maszynowego. Z początku trochę się denerwowałem, bo od trzech lat nie miałem w ręku narzędzi, ale po kilku próbach dłoń odzyskała stabilność i moje spawy nabrały szacownego wyglądu.

Ani się obejrzałem, jak pierwszy dzień pracy dobiegł końca i razem z Morrisem znaleźliśmy się znów w naszym niegościnnym baraku. Już myślałem, że wpadnę w depresję z powodu tego obskurnego otoczenia, kiedy mój brat zaproponował, żeby sprawdzić, co się dzieje w jedynej tu tawernie. Nie musiał mnie ciągnąć siłą. Tawernę wypełniali głównie robotnicy Kompanii i miejscowe kobiety, które uznałem za odpowiedniki hamburskich królowych nabrzeża. Kilka par tańczyło przy ryczącej z głośnika prostej melodii *Be Honest with Me, Girl*. Ponieważ zdecydowanie nie byłem fanem ani tego rodzaju muzyki, ani takich kobiet, grzecznie odmówiłem, kiedy jedna z nich zaprosiła mnie do tańca.

„Mój braciszek jest po prostu onieśmielony” – wyjaśnił Morris, który nie podzielał żadnej z moich obaw i zupełnie opacznie rozumiał brak zainteresowania z mojej strony. Podczas gdy ja podpierałem ścianę, popijając piwo, on złapał za rękę odrzuconą przeze mnie dziewczynę i ruszył z nią na parkiet, dowodząc, że brak talentu do tańca nie stanowi przeszkody w balowaniu.

Przez następny tydzień tawerna stała się naszą regularną i jedyłą rozrywką po pracy. Mogliśmy albo gapić się w ścianę baraku i wariować z nudów i nieustannego bzyczenia komarów, albo topić naszą nędzę w piwie przy prymitywnej muzyce w towarzystwie łatwych kobiet. Pewnej nocy, kiedy położyliśmy się spać, poczułem, że jakoś dziwnie kręci mi się

w głowie. Z początku przypisałem to wielogodzinnemu spawaniu w upale – może nałykałem się jakichś toksycznych wyziewów? Ale rano obudziłem się, dygocząc z zimna, i w tym momencie zrozumiałem, że dzieje się coś naprawdę niedobrego. Morris dotknął mojego czoła i zbadał puls, po czym orzekł autorytarnie: „Masz malarię, brachu”. Potem wypadł z baraku. Słyszałem, jak pędzi w stronę zakładu.

Wrócił po kilku minutach i oznajmił, że załatwił nam miejsca w firmowej ciężarówce, która w ciągu godziny wyjeżdża do Monrovi. Przykrył mnie kilkoma kocami, kazał leżeć spokojnie i zdać się na niego. Tym razem mieliśmy podróżować autostradą, bez żadnych przepraw przez rzekę i spotkań z krokodylami.

Prawie całą drogę przespałem i nawet gdy ciężarówka zatrzymała się przed domem ojca, nie obudziłem się jeszcze do końca. Morris wszedł do środka i po chwili wrócił z ojcem i Jasonem. Zastanawiałem się, jak ojciec zareaguje na fakt, że znów znajdę się pod jego dachem i na jego łasce, ale byłem zbyt chory, aby się tym przejmować. Chciałem tylko zostać sam i spać. Pamiętam, jak Morris z Jasonem wyciągali mnie z ciężarówki i nieśli po schodach na górę, a potem przebierali w piżamę i kładli do łóżka. „Uważaj na siebie, brachu. Niedługo się zobaczymy.”

Zapamiętałem jeszcze wizytę doktora Titusa.

– To paskudny przypadek malarii, ale się nie martw. Raz-dwa postawimy cię z powrotem na nogi – oświadczył, po czym zwrócił się do ojca: – Niech pije dużo wody sodowej i regularnie bierze lekarstwo, które mu zostawiam.

Zaraz po wyjściu lekarza ojciec dał upust całemu potokowi pretensji:

– Zdajesz sobie sprawę, że jeśli zechcę, to nie dostaniesz już ani jednego listu od matki?

Było to zagrożenie najokrutniejszą z kar, jakie mogło zrodzić się w jego umyśle. Na szczęście mój umysł i zdolność rozumienia pozostawały drętwe. Głos ojca dryfował coraz dalej i wkrótce zapadłem w głęboki, rozkoszny sen.

Jason do swojego i tak wypełnionego kalendarza musiał dodać jeszcze obowiązki pielęgniarza. Ilekroć budziłem się z niespokojnego snu między jednym a drugim atakiem dreszczy, siedział przy moim łóżku, ocierając mi czoło ręcznikiem zmoczonym w zimnej wodzie, karmiąc mnie po łyżeczce zupą i podając wodę sodową oraz strasznie gorzkie lekarstwo.

Raz, w środku nocy, obudziło mnie dziwne skrobanie do drzwi. Poprosiłem Jasona, żeby sprawdził, co to takiego. Drzwi powoli się otworzyły i zobaczyłem najpierw dłoń, a potem całe ramię. Długie palce wyciągały się w moją stronę, jakby mnie chciały pochwycić. Ale nie zmaterializowała się żadna osoba. Przycisnąłem się do wezgłowia, bo te palce zdawały się sięgać mi do gardła. Już miały mnie dotknąć, kiedy wrzasnąłem:

– Jason!!!

– Pan okej, mista Haans? – usłyszałem cichy głos Jasona i wtedy zrozumiałem, że to gorączka płata mi figle. Kilka sekund później ojciec wsunął głowę przez drzwi, ale kiedy Jason

powiedział mu, że mista Hans miał tylko zły sen, zaraz się wycofał. Jak zrozumiałem, był to pierwszy raz od szeregu dni, kiedy w ogóle do mnie zajrzał, chociaż słyszałem za drzwiami jego dyskusje z Jasonem i innymi. Nagle przyszła mi do głowy absurdalna myśl, że dłoń, która wyciągała się do mnie w delirium, grożąc uduszeniem, należała do mojego ojca.

Gorączka stopniowo ustępowała, a odloty zdarzały się coraz rzadziej i trwały znacznie krócej. Wciąż byłem zbyt słaby, by wstać, z wyjątkiem kilku kroków do łazienki, ale kryzys miałem zdecydowanie za sobą. W rezultacie skończyły się całodobowe dyżury Jasona przy moim łóżku – teraz odwiedzał mnie tylko od czasu do czasu.

## Ucieczka

Byłem jeszcze przykuty do łóżka, kiedy usłyszałem, że ojciec wraca z jednego ze swoich okazjonalnych wypadów do miasta. Tym razem jednak towarzyszyła mu kobieta nie z plemienia Vai – jedyne, z jakim się dotąd zadawał. Wiedziałem o tym, bo kiedy weszli do salonu, jego głos brzmiał nietypowo uprzejmie:

– Mogę ci zaproponować coś do picia? Może whisky?

Na co odpowiedział głos żeński:

– Whisky z wodą będzie w sam raz.

Mówiła kulturalną angielszczyzną, ani liberyjską, ani amerykańską, a jednak nie potrafiłem zlokalizować pochodzenia tej dziwnie śpiewnej intonacji. Wreszcie sama dała mi klucz, kiedy poskarżyła się ojcu, że wciąż tęskni za rodzinnym Kingston. Wtedy domyśliłem się, że należy do grupy imigrantów z Jamajki, świeżo przybyłych do Monrovii.

Z początku krępowało mnie, że podsłuchuję ojca i starałem się nie śledzić ich rozmowy. Ale ponieważ ojciec nawet nie próbował ściszyć głosu, nie mogłem nic na to poradzić. Słuchałem pilnie, kiedy rozmowa zeszła na „tego przekłętą hultaja, mojego syna, który odkąd wrócił z Niemiec, sprawia mi same kłopoty”. Następnie wygłosił całą tyradę, podczas której opisał mnie w najbardziej niepocholebny sposób, poczynając od „niemal kryminalnego zachowania” na pokładzie „Bornholmu”. „Na dobitkę miał czelność zwalić mi się na głowę z malarią i korzystać z mojej wspaniałomyślności, kiedy potrzebował wyżywienia, dachu nad głową i opieki medycznej.”

W tym momencie uznałem, że mam dość. To luksusowe życie od dawna było moim osobistym piekłem. W pierwszym odruchu chciałem wparować do salonu i powiedzieć ojcu, że może się już nie martwić, bo zaraz przestanę być mu ciężarem; z samego rana stąd wyjdę i już nigdy nie wrócę. Trzęsąc się z gniewu i bezradności, zdecydowałem jednak inaczej.

Mniej więcej po dwóch godzinach randka dobiegła końca i ojciec zaczął się szykować do odwiezienia kobiety do domu. Gdy tylko usłyszałem odjeżdżający samochód, szybko się ubrałem, wrzuciłem do walizki mój skromny dobytek i zbiegłem na dół, wymijając Jasona, który przyglądał mi się ze zdumieniem, ale nie śmiał protestować. Powiedziałem mu, żeby się



nie martwił, i podziękowałem za dotychczasową pomoc. Zamierzałem udać się do ciotki Fatimy, zaledwie kilka ulic dalej, i poprosić, aby przyjęła mnie, dopóki sobie nie załatwię jakiegoś lokum. Mimo całkowitej ciemności bałem się, żeby nie wpaść na wracającego do domu ojca, więc zamiast iść drogą, wspiąłem się na dość strome i błotniste wzgórze za budynkiem. Kolana mi drżały, serce waliło jak młotem i dosłownie ze wszystkich porów łały się strugi potu. Czulem, że zaraz zemdleję, ale strach przed ojcem trzymał mnie w ryzach i dodawał sił. Wiedziałem, że w moim kiepskim stanie raczej nie potrafiłbym stawiać oporu.

W pewnym momencie walizka wysliznęła mi się z ręki i zsunęła w dół, więc musiałem całą wspinaczkę powtórzyć. Przypomniał mi się mityczny król Syzyf, którego bogowie skazali na toczenie pod górę ciężkiego głazu. Za każdym razem, gdy zbliżał się do szczytu, głaz wymykał mu się z rąk i leciał w dół, a Syzyf musiał zaczynać swą harówkę od nowa. Pamiętałem, że wcześniej mieszkał z bogami na Olimpie, ale kiedyś obraził ich, próbując przechytrzyć śmierć... Ciekawe, czym zasłużyłem na podobny los.

Po – jak mi się zdawało – najdłuższej w życiu pieszej wędrówce, chociaż miałem do pokonania tylko kilka przecznic, dotarłem do domu ciotki Fatimy. Mimo późnej pory, doglądała jeszcze swojej nowo narodzonej córeczki imieniem Püpchen (Lalusia), nazwanej tak na pamiątkę lat spędzonych w Niemczech. Ponieważ nie byłem w stanie wykrztusić nawet jednego sensownego zdania, z wdzięcznością przyjąłem jej pomoc. Rzuciwszy tylko okiem na moją wynędzniałą postać i przepoconą odzież, kazała mi się kłaść do łóżka, a szczegóły zostawić na jutro.

Mimo skrajnego wyczerpania długo nie mogłem zasnąć. Za każdym razem, kiedy pod domem przejeżdżał samochód, wyobrażałem sobie, że to ojciec mnie szuka. Wiedziałem, że ugodziłem go w wyjątkowo czuły punkt – dumę. Monrovia to małe miasto; wiadomość o mojej ucieczce z pewnością szybko się rozniesie, rodząc masę pytań.

Obudziłem się po południu. Od tygodni nie było mi tak dobrze. Rozpamiętując wydarzenia ostatnich dwudziestu czterech godzin, czulem przypływ świeżych sił zarówno fizycznych, jak i psychicznych, zupełnie jakbym znalazł jakieś nowe źródło energii. Nagle uwolniłem się od opresyjnej dominacji ojca, któremu nie mieściło się w głowie, że jestem już dorosły, mam własny rozum i od dawna przywykłem do niezależności i odpowiedzialności.

Kilka dni później, kiedy już byłem na najlepszej drodze do wyzdrowienia, ciotka Fatima zwołała do swojego salonu radę rodzinną, żeby zdecydować, co dalej. W zebraniu nie brał udziału jej mąż, którego nie dopuszczano do spraw rodziny Massaquoi. Stryj Nat, architekt prawnej wojny z moim ojcem, specjalnie przyjechał z Bundeway na plantacji Firestone, gdzie pełnił funkcję sędziego okręgowego. Zjawił się również stryj Abraham, wysoki urzędnik w departamencie rolnictwa, oraz Morris. Wszyscy poparli moją decyzję opuszczenia ojca, wyrażając spóźnione zdziwienie, że tak długo z nim wytrzymałem.

Kiedy podzieliłem się z nimi obawą, że matka na pewno bardzo się przejmie moim zerwaniem stosunków z ojcem, stryj Abraham napisał do niej długi list, w którym wyjaśnił nieuchronność tej decyzji: „Al-Haj to człowiek, z którym nikt, kto ma dobrze w głowie, nie umie się dogadać”, ona zaś nie powinna się o mnie martwić, gdyż reszta rodziny Massaquoi dobrze się mną zaopiekuje. Potem ciotka Fatima zaproponowała, żebym napisał do ojca i wytłumaczył mu, dlaczego uznałem za niemożliwe dalsze mieszkanie w jego domu. Zadowolony, że zrzucę wreszcie ten ciężar z piersi, ułożyłem list, w którym przedstawiłem moje nadzieje i marzenia po przyjeździe do Liberii. Wyraziłem także rozczarowanie, że nie okazał się tym cudownym ojcem z wieloletnich opowiadań matki. „Jeśli chciałeś mieć we mnie bezwzględnie posłusznego syna, powinienes być przy mnie od mojego dzieciństwa. Teraz, po dwudziestu dwóch latach, jest już na to za późno.” Wszyscy zebrani uznali, że list jest po prostu w punkt.

Odkąd wprowadziłem się do ciotki Fatimy, było oczywiste, że ten układ może trwać najwyżej kilka dni, bo po narodzinach Püppchen zrobiło się tam trochę ciasno. Nie chcąc nadużywać gościnności ciotki, przyjąłem propozycję Morrisa i zgodziłem się zamieszkać u niego.

Nie wiedziałem jednak, jak wielka niespodzianka mnie czeka. Niefrasobliwa uwaga Morrisa, że jego miejscówka to „nic nadzwyczajnego”, okazała się niedomówieniem roku. Była to po prostu jednoizbowa lepianka z zardzewiałym dachem z blachy falistej, usytuowana w dzielnicy slumsów przy Camp Johnson Road nad samym oceanem. Na mikroskopijnym ganeczku stało kilka drewnianych skrzynek, które udawały meble. Drewnianą żaluzję w jedynym oknie podnosiło się za pomocą kija. Dostępu do wody – bieżącej czy innej – nie było tam w ogóle, nie wspominając o kanalizacji. Ku mojemu (umiarkowanemu) rozbawieniu, zauważyłem obfitość materiałów do czytania, gdyż wewnętrzne ściany ze słomianych mat pokrywało kilka warstw gazet, sprzed zaledwie paru lat. Całe wyposażenie pokoju składało się z materaca z prześcieradłami i wojskowym kocem oraz wysłużonej lampy naftowej, stojącej na betonowej podłodze. Kiedy zapytałem, co to za ciemne grudki zalegają na pościeli, kocu i podłodze, Morris odparł lakonicznie: „Szczurze gównno”.

Przy tej norze nasza piwnica w zbombardowanym Hamburgu wyglądała jak przytulne gniazdko. Miałem spore trudności z ukryciem szoku na widok nędzy, w jakiej żył mój brat, i wzdragałem się na samą myśl, że mógłbym uznać to miejsce za swój dom. Ale wolałem się powstrzymać od nadmiernej krytyki, poza tym matka już dawno wpoila mi zasadę, że darowanemu koniowi nie zagłada się w zęby. Morris wyjaśnił, że odziedziczył tę budę po siostrze swojej matki z plemienia Kru, zmarłej kilka lat temu, i że sypia tu tylko „od czasu do czasu”. Większość mieszkańców tej okolicy stanowią Kru, ale mogę się czuć bezpiecznie. „Nigdy nie zamykam drzwi na klucz i nikt nigdy ani mnie nie obrabował, ani nie niepokoił. To tak jak ze szczurami – wszyscy się znamy i szanujemy.” Ta liberalna filozofia pokojowego współistnienia nie wywarła na mnie większego wrażenia, zwłaszcza w kwestii szczurów.

Po zapoznaniu mnie z niektórymi „wygodami”, w rodzaju pobliskiego wychodka i ręcznej pompy, Morris powiedział, że mogę korzystać z tego miejsca, jak długo zechcę i kiedy zechcę. „Możesz nawet zapraszać sobie gości” – dodał z krzywym uśmiechem.

Nie mogłem sobie wyobrazić, ile dumy kosztowałoby mnie sprowadzenie kogokolwiek do tej nory, ale podziękowałem Morrisowi, że nie opuścił mnie w potrzebie.

Pierwsza noc w moim nowym „domu” okazała się przygodą, której nie zapomnę do końca życia. Ponieważ Morris zapowiedział, że ma inne plany, specjalnie wróciłem późno, żeby spędzić tam jak najmniej czasu. Ledwie położyłem się w niezbyt świeżej pościeli i zdmuchnąłem lampę, między ścianami ze słomianych pustaków rozpętało się piekło. Wokół mnie ożywiła się armia setek szcurów, które gonily się z piskiem, nie dając mi ani chwili spokoju.

Ponieważ o śnie nie mogło być mowy, zapaliłem lampę. I jak na czarodziejskie zaklęcie, gonitwa ustała. Jako jedyny ślad po gryzoniach została chmura kapiących z sufitu odchodów. Żeby utrzymać nieproszonych gości w spokoju, postanowiłem spać przy zapalanej lampie. Nie mając innego wyjścia, większość nocy spędziłem w towarzystwie szcurów i wkrótce rzeczywiście nauczyłem się nie zwracać na nie uwagi, przyjmując filozofię Morrisa: „Jeśli ty nie będziesz im przeszkadzał, to i one zostawią cię w spokoju”.

## **Stryj Nat**

Na szczęście z gościny Morrisa nie musiałem korzystać zbyt długo. Akurat gdy zaczynałem przyzwyczajać się do szcurów, w domu ciotki Fatimy pojawił się stryj Nat i zaprosił Morrisa i mnie na swoją plantację kauczuku w Firestone. Obiecał też, że użyje wszelkich wpływów, by załatwić nam posady w Liberian International Airways, amerykańskiej kompanii, która dysponowała niewielką flotą samolotów DC-3, korzystającą z przyległego do plantacji lotniska Robertsfield.

Życie ze stryjem Natem – w przeciwieństwie do mieszkania z wiecznie spiętym ojcem – zapowiadało się jako jedno pasmo przyjemności. Gdy tylko przenieśliśmy się z Morrisem do przestronnego bungalowu pośrodku plantacji kauczukowców, traktował nas bardziej jak młodszych braci niż bratanków. Ponieważ jego żona Julia przebywała w Monrovi z córeczką Marią, oczekując narodzin drugiego dziecka, Nat, skądinąd zdeklarowany katolik, korzystał ze słomianego wdowieństwa, sypiając z młodą osobą z sąsiedniej wioski. Stosunki pozamałżeńskie liberyjskich mężczyzn należały do okresowo tolerowanych zwyczajów. Kiedy Nat oznajmił nam, że nie ma nic przeciwko temu, abyśmy także cieszyli się damskim towarzystwem, skwapliwie skorzystaliśmy z okazji i znaleźliśmy sobie dwie atrakcyjne kobiety, które ratowały nas od nudy.

Jednak oprócz pozornej jowialności, stryj Nat miał jeszcze drugą, mniej przyjemną stronę charakteru. Odkryłem ją niespodziewanie, kiedy pewnego ranka naszą śniadaniową pogawędkę przerwał głośny krzyk. Wyjrzawszy przez duże panoramiczne okno, zobaczyłem na

końcu podwórka przed małym więzieniem wielkiego policjanta, który bezlitośnie tłukł kijem skutego kajdankami człowieka. Stryj jadł jednak dalej śniadanie, jak gdyby nic się nie działo, chociaż krzyki i bicie były coraz intensywniejsze. Zapytałem, czy nie zamierza przerwać tego barbarzyńskiego spektaklu, na co odrzekł, że nie ma najmniejszego zamiaru, a więzień, którego skazał na chłostę, zasłużył na każde uderzenie, jeśli nie więcej.

– Niektórzy z tych tubylców – wyjaśnił, widząc nasze przerażenie – nie respektują niczego poza brutalną siłą, bo tak zostali wychowani. Wszelkie dyskusje i tłumaczenia byłyby tylko całkowitą stratą czasu.

– A nie można po prostu skazać ich na odsiadkę?

– Niestety brakuje nam środków na przetrzymywanie tysięcy przestępców w więzieniu przez tak długi okres. Najlepiej rozprawić się z nimi od razu na plantacji i spuścić im porządne lanie, które nieprędko zapomną.

Może stryj Nat miał rację, że plemienni Liberyjczycy mają brutalność we krwi. Przypomniałem sobie, jak jedna z ciotek Morrisa związała kiedyś sześciolatniego chłopczyka, przemyła mu oczy i usta szmatą zmoczoną w roztworze pieprzu, a potem bezlitośnie wychłostała kijem. Przystępstwo polegało na ukryciu monety, którą wypluł podczas swojej karności.

Krzyki stopniowo cichły, zmieniając się w jęki. Policjant skończył swoje makabryczne zadanie i, chwyciwszy skazańca za kark, wtrącił go do dołu. Następnie zakrył go deską, którą obciążył metalową baryłką. Już miałem podjąć na nowo dyskusję na temat traktowania więźniów, ale Morris dał mi znak, że bym się zamknął.

„Jutro, jeśli zechcecie – zaproponował stryj – możecie pójść ze mną do sądu i zobaczyć, jak wygląda tutejsza sprawiedliwość. Tylko miejcie na uwadze, że to jest Liberia, a nie Niemcy. U nas obowiązują inne standardy.” Z chęcią przyjęliśmy zaproszenie. Co do tych „innych standardów”, miałem jeszcze w pamięci nazistowskie sądy. Byłem przekonany, że liberyjskie więzienia w porównaniu z gestapowskimi izbami tortur to luksusowe kurorty.

Zdążyłem się już dowiedzieć, że mój stryj, jako najwyższy przedstawiciel liberyjskiego rządu na plantacji Firestone, był dla tysięcy tutejszych robotników ostatecznym autorytetem i że nie tylko czarni darzyli go czią. Biały amerykański personel także nauczył się szanować tego niskiego, pękatego człowieka, którego nazywano „niemieckim sędzią”, bo uwielbiał podkreślać, że większość studiów prawniczych odbył w prenazistowskich Niemczech. W odróżnieniu od swych poprzedników, którzy z białymi przestępcami obchodzili się w białych rękawiczkach, Nat dorobił się opinii twardego i bezstronnego sędziego, który jako pierwszy odważył się aresztować i skazać na więzienie białych wicherzycieli. Większość tych przypadków dotyczyła znęcania się nad afrykańskimi robotnikami. Za każdym razem Nat pozostawał przez szereg dni w odosobnieniu, oficjalnie „odwiedzając swoją wiejską farmę”, żeby żaden z firestońskich oficjeli nie próbował ratować od więzienia swoich krnąbrnych pracowników pospiesznie wpłaconą kaucją. Takie numery cieszyły się pełnym poparciem prezydenta Tub-

mana, który uwielbiał raczyć swoich klubowych kumpli opowieściami o oryginalnym sposobie wymierzania sprawiedliwości przez „niemieckiego sędziego”.

Malutką salkę rozpraw obok pomieszczeń więziennych szczelnie wypełniali wieśniacy w narodowych strojach. Policjant, który pełnił też funkcję woźnego, kazał im „wstać i być cicho”, podczas gdy stryj w białym garniturze zajmował miejsce na podium, a my z Morrisem na zarezerwowanych dla nas krzesłach przy „ringu”.

Przez kolejne trzy godziny przewijała się przez salkę długa procesja powodów, których oskarżenia dotyczyły szerokiego wachlarza przestępstw – od kradzieży kozy do cudzołóstwa. W każdym przypadku stryj cierpliwie wysłuchiwał obu stron, zadawał kilka pytań – często w rodzimym żargonie wieśniaków, który opanował do perfekcji – a potem, po krótkim namyśle, ogłaszał werdykt oparty bardziej na zdrowym rozsądku niż kodeksie prawnym. W większości spraw wyrok stanowił kompromis, mający na celu zadowolenie obu stron. Przypadek cudzołóstwa został odrzucony, a mężowi odmówiono tradycyjnej rekompensaty, o którą wnosił, ponieważ materiał dowodowy ujawnił, że w celu zgarnięcia odszkodowania sam zachęcał żonę do romansu z oskarżonym – brygadzystą na plantacji: „Już drugi raz próbujesz tego numeru – upomniał go stryj Nat. – Jak jeszcze raz pokażesz się w sądzie z tą samą historią, wsadzę cię do pudła za stręczycielstwo”.

Mając na uwadze wyjątkowo niską stawkę 25 centów za dzień pracy, Nat rzadko zasądzał grzywny wyższe niż 3 dolary. W niektórych przypadkach kazał skazanym uiszczać grzywny w kurach albo kozach, ewentualnie nakazywał odpracowanie zasądzonej sumy przy budowie nowej chaty. Teraz wyraźnie widziałem, co stryj miał na myśli, mówiąc o „innych standardach”.

## Robertsfield

Następnego dnia po naszym zapoznaniu z wiejskim stylem sprawiedliwości Nat zabrał nas do Robertsfield na rozmowy kwalifikacyjne z Matem Adamsem, prezesem Liberian International Airways. Od razu stało się jasne, że Adamsa, krępego Jankesa z Nowego Jorku, bardziej niż pozyskanie nowych pracowników interesują ewentualne korzyści polityczne. Decyzję powziął, zanim jeszcze przedstawiliśmy mu nasze kwalifikacje do szacownych zawodów operatora maszyn i mechanika samochodowego: możemy od jutra zacząć pracę ze stawką 10 dolarów dziennie i podziękować gorąco stryjowi za to, że mógł mu się czymś przysłużyć.

Kiedy włączyłem się z czarnymi marynarzami po hamburskim nabrzeżu, zapoznano mnie z pojęciem „wujotomizmu”<sup>28</sup>, czyli służalczej postawy czarnych wobec białych. To, czego przed chwilą byłem świadkiem, przekonało mnie, że czarni bynajmniej nie mają monopolu na takie zachowanie. Zrozumiałem, że nie kolor skóry, tylko władza jest tu najważniejszym czynnikiem, a ponieważ w Liberii władza należy do czarnych, „wujotomizm” często udziela się białym.

Życie w Robertsfield znacznie bardziej przypadło nam do gustu niż nędzna egzystencja w pełnej komarów dżungli Brewerville. Lotnisko stanowiło bazę dla amerykańskich bombowców, które rozpoczynały stąd naloty na jednostki pancerne marszałka Rommla w Północnej Afryce. Nie był to może pępek świata dla komunikacji lotniczej, ale miał pewne udogodnienia, których brakowało nam w Brewerville, w tym małą restaurację i urząd pocztowy.

Morrisa i mnie przydzielono do warsztatu naprawczego lotniskowego parku samochodowego. Szefował mu Mike Omsted, urodzony w Kalifornii Szwed po czterdziestce, który znalazł się w bazie nie wiadomo skąd. Zatrudniono go tam z miejsca, kiedy w ciągu jednego dnia udowodnił, że zna się na swojej robocie. Ten dwumetrowy dryblas z długimi bakami i ospowatą gębą odpowiadał za utrzymywanie na chodzie małej floty pick-upów, jeepów i sedanów. W kwestii samochodów uchodził bezdyskusyjnie za geniusza zdolnego tchnąć nowe życie w największego gruchota, dawno spisanego na złom. Nawet Morris, sam mechanik pełną gębą, podziwiał jego talent.

Ponieważ nowe części zapasowe bywały często nie do dostania, Mike wymontowywał je z setek pojazdów armii amerykańskiej, pozostawionych pod koniec wojny na skraju pasa startowego. Zdarzało się jednak, że nie mógł znaleźć jakiejś metalowej części i wtedy wkraçałem ja. Mając za wzór prymitywny szkic sporządzony przez Mike'a, zaprzęgałem do roboty moje niemieckie kwalifikacje i zwykle bez problemów dorabiałem, co trzeba. Morris także szybko dał się poznać jako znawca silników. Obaj mieliśmy sporą satysfakcję, mogąc zademonstrować szefowi Kompanii, że zatrudniając nas, wykazał się nie tylko zmysłem politycznym, ale działaniem w interesie firmy.

W znacznej mierze odpowiadał nam też tutejszy styl życia. W weekendy łapaliśmy zwykle okazję do Monrovii, co pozwalało nam podtrzymywać kontakty towarzyskie, które dzięki nowemu statusowi kawalerów ze stałym zatrudnieniem, zaczęły przynosić owoce. Ale akurat w momencie kiedy wszystko szło jak po maśle, uświadomiono nam boleśnie chwiejność naszej pozycji.

Przypomnienie nadeszło w formie eksplozji, która mogła okaleczyć nas na resztę życia. Jak wiele razy przedtem, Morris próbował przełamać niechęć jakiegoś silnika do startu, wlewając mu do gaźnika kubek benzyny. Kiedy po krótkim ożywieniu ponownie zgasł, Morris poprosił, żebym stanął obok z drugim kubkiem benzyny i pomógł mu zasilać gaźnik, tak aby utrzymać silnik w ruchu. Ale zamiast warkotu buchnął wielki płomień, który błyskawicznie przeskoczył na kubek Morrisa. Ten odruchowo odrzucił płonące naczynie, niestety w moim kierunku, podpalając benzynę także w moim kubku. W jednej chwili nasze dłonie zmieniły się w pochodnie. Wymachiwanie ramionami w celu ugaszenia ognia tylko pogorszyło sytuację – dodatkowy dopływ tlenu sprawił, że płonęły intensywniej. Po wypaleniu całej benzyny, zgasły tak samo szybko, jak wybuchły, za to nasza męka dopiero wtedy zaczęła się na dobre. Ręce po początkowym odrętwieniu piekły nas tak strasznie, że chciało nam się krzy-

czeń co sił w płucach, ale w drodze do szpitala, z naszych ust wydobywały się od czasu do czasu tylko jęki. Jak w ciągu tych dwudziestu minut udało nam się zachować przytomność, tego nigdy nie zrozumieć.

Liberyjska pielęgniarka oczyściła i zabandażowała nam dłonie, a biały amerykański lekarz zaaplikował środki przeciwbólowe. Powiedział, że na szczęście mamy tylko oparzenia drugiego stopnia, które powinny się zagoić w ciągu dwóch tygodni, jeśli obejdzie się bez infekcji. Po udzieleniu pierwszej pomocy zawieziono nas na przepełniony oddział dla „miejscowych”. Nie wiem, co było gorsze: głośnie trajkotanie pacjentów czy smród jedzenia i środków odkażających.

Kiedy nadeszła pora posiłku, dwie pielęgniarki usiłowały nas nakarmić jakąś breją o podejrzanym zapachu, ale obaj odmówiliśmy. „Nie będziemy jedli tego paskudztwa” – zbuntował się Morris i pielęgniarki posłusznie odniosły nasze miski do kuchni.

Ponieważ nikt nie zareagował na nasz protest, zaczęliśmy po jakimś czasie zmieniać zdanie. Może zareagowaliśmy zbyt gwałtownie? Może niedobre jedzenie jest jednak lepsze od żadnego? Wkrótce jednak pojawił się biały administrator i poinformował nas, że właśnie polecono mu przenieść nas do oddzielnej sali. Przepraszając nas wylewnie za „pomyłkę”, obiecał osobiście dopilnować, żeby zrobiono dla naszej wygody, co tylko możliwe. Później, gdy złożył nam wizytę stryj Nat, pojęliśmy, o jakiej to „pomyłce” mówił administrator. Przyjmując nas, personel nie wiedział, że jesteśmy bratankami wszechmocnego „niemieckiego sędziego”. Dopiero kiedy ten dowiedział się o wypadku i zatelefonował do szpitala, dopytując się o nasz stan, okazało się, że dwa nagłe przypadki, które dopiero co przyjęli na oddział dla miejscowych, to krewni liberyjskiego VIP-a. Ponieważ jednak nawet w rządzonej przez czarnych Liberii było nie do pomyślenia, żeby położyć czarnych razem z białymi, zwyczajowo przenoszono czarnych VIP-ów do oddzielnych pokoi na oddziale dla białych. Nie mieliśmy nic przeciwko temu, zwłaszcza że posiłek, który natychmiast nam podano, wyglądał i smakował znacznie lepiej.

Wracając do zdrowia, mieliśmy z Morrisem mnóstwo czasu, by zastanowić się nad naszym smutnym położeniem. W jednej chwili byliśmy panami świata, w następnej – pacjentami podrzędnego oddziału szpitala, nafaszerowani morfiną, z rękami zabandażowanymi po łokcie. Wdzięczny lekarzowi za zapewnienie, iż wypadek nie pozostawi trwałych szkód, postanowiłem nie oskarżać Morrisa i puścić wszystko w niepamięć.

Chcąc wykorzystać lepiej ów nadmiar czasu, zaczęliśmy zacieśniać przyjaźń z kilkoma pielęgniarkami. Wkrótce wpadały do nas znacznie częściej, niż wynikało to z ich obowiązków, po prostu żeby dotrzymać nam towarzystwa. Naszą uwagę przyciągnęła zwłaszcza jedna piękność, która przy licznych okazjach dawała mi do zrozumienia, że chętnie poznałaby mnie bliżej. Ponieważ wiedziałem, co Morrisowi chodzi po głowie, postanowiłem ugodzić go w czułe miejsce – taki drobny rewanż za dwie poparzone dłonie.

Do jej obowiązków należało podawanie nam co wieczór pigułek nasennych przed zgaszeniem światła. Za każdym razem szeptałem jej do ucha, że gdy tylko pozbędę się bandaży, umówimy się na randkę. W odpowiedzi gładziła mnie po policzku i życząc mi dobrej nocy, obiecywała spojrzeniem rajske rozkosze.

Pewnego ranka, gdy tylko się obudziłem, Morris powitał mnie, siedząc prosto na łożku, z uśmiechem od ucha do ucha. Nagle mnie oświeciło: zaliczył pielęgniarkę, podczas gdy ja spałem! Wyznał radośnie, że było to względnie łatwe. Przy rozdawaniu pigułek odczekał, aż połknę swoje, a sam tylko udał, że połyka. Potem wszystko okazało się tak proste, jak odebranie dziecku cukierka – wystarczyło poczekać, aż zasnę.

To interludium, które jeśli chodzi o Morrisa, powinno się zakończyć wraz z wypisem ze szpitala, miało jednak nieprzewidziany, bardziej trwały skutek. Kilka miesięcy później Morris odebrał wiadomość, że niebawem zostanie dumnym tatusiem. Jako coś w rodzaju nagrody pocieszenia dla mnie, swojemu pierworodnemu synowi dał na imię Hans, na cześć wujka, który chociaż pogrążony we śnie, był obecny przy jego poczęciu.

Parę dni po powrocie do pracy w Robertsfield, Morris zawiadomił mnie, że odchodzi. Zamierza aplikować do prezydenta Tubmana o jakąś rządową posadę i namawia mnie do tego samego. „Wiem, że stary nam pomoże, jeśli tylko go poprosimy. W każdym razie mam już po dziurki w nosie tej brudnej roboty. Tym razem dostanę prawdziwą posadę i wiem, jak się do tego zabrać.” Po czym spakował swój niewielki dobytek i złapał okazję do Monrovi.

Zdążyłem się już przyzwyczać, że mam przy sobie brata, toteż próbowałem namówić go do pozostania, ale bezskutecznie. Sam nie zamierzałem rzucać pracy, dopóki nie załatwię sobie lepszej.

Morris często powtarzał, że w Liberii nie dojdzie się do niczego, jeśli nie wstąpi się do masonerii, dlatego nie zdziwiło mnie, kiedy po paru miesiącach odwiedził mnie już jako mason i poinformował, że dzięki swoim koneksjom szybko awansuje w hierarchii. Zapytany o szczegóły, mój tak zwykle gadatliwy braciszek nabrał wody w usta. Powiedział tylko, że zupełnym przypadkiem wpadł na prezydenta Tubmana, który dla liberyjskich masonów był mniej więcej tym, czym papież dla katolików. Gdy tylko uścisnął mu rękę i przekazał sekretny znak, ten wybałuszył oczy. Idąc za ciosem, Morris poprosił go o spotkanie w przyszłym tygodniu, zamierzając zwrócić się do niego z prośbą o posadę rządową. „Możesz szepnąć słowo i za mną” – poprosiłem bez specjalnego zapaku, bo siedzenie za biurkiem to ostatnia rzecz, jakiej pragnąłem.

## Sammy

Chociaż nie zarabiałem wiele, byłem dość zadowolony z posady, przynajmniej w tym momencie, ponieważ dawała mi poczucie bezpieczeństwa i niezależność. Mogłem nawet pozwolić sobie na zatrudnienie *houseboya*, bystrego młodego chłopaka z plemienia Bassa. Sammy,



który uważał, że ma około piętnastu lat, zapukał pewnego dnia do moich drzwi i zapytał, czy nie potrzeba mi kogoś do prowadzenia domu. Odparłem, że nie ma u mnie nic szczególnego do roboty, a poza tym nie zarabiam tyle, żebym mógł kogokolwiek zatrudnić. On jednak stwierdził, że w ogóle nie chodzi mu o wynagrodzenie, tylko o to, abym „nauczył go książki”, czyli czytać i pisać. Zgodziłem się płacić mu 5 dolarów tygodniowo, co jak na liberyjskie standardy było astronomiczną sumą, i nauczyć wszystkich książek, jakie tylko zdoła wchłonąć. W zamian ma sprzątać mój pokój, prac i prasować tych kilka sztuk mojej garderoby, a przez resztę dnia może gadać z innymi *houseboyami* o wszystkim i o niczym. Po powrocie z pracy będę zamieniał się w belfra i przez około godziny pomagał mu zgłębiać tajniki alfabetu. Na szczęście szybko się uczył i chociaż zaczynał od zera, w niecały miesiąc wynagrodził moje wysiłki, czytając proste zdania.

W sumie całkiem odpowiadało mi jego podejście do pracy. Jak na chłopaka, który nie miał zegarka, był punktualny jak pociągi Benita Mussoliniego; przychodził na krótko przed moim wyjściem do warsztatu. Okazał się też na swój sposób uczciwy, choć jego definicja słowa „kradzież” trochę się różniła od mojej. Mimo że nosiłem znacznie większy rozmiar ubrań, Sammy nie mógł się oprzeć pokusie „pożyczenia sobie” moich koszul, spodni i skarpetek na specjalne okazje w swojej wiosce. Zwracał je następnego dnia poplamione i ze smugami wokół kołnierzyka. I chociaż powtarzałem mu w kółko, że zabieranie cudzych rzeczy, nawet z zamiarem oddania, to kradzież, Sammy odczuwał nieprzeparty pociąg do moich ubrań. Pewnego dnia, kiedy po raz kolejny palnąłem mu kazanie i nawet zagroziłem zwolnieniem, wyznał mi, że dla jego rówieśników odzież białego człowieka, a zwłaszcza długie spodnie, jest symbolem statusu. Bez nich zawsze będą cię traktować jak chłopczyka.

Przy następnej wyprawie do Monrovii kupiłem mu więc drelichowe spodnie i dwie koszule: „Są twoje – zapowiedziałem mu – pod warunkiem, że odtąd zostawisz moje rzeczy w spokoju”.

Przebrawszy się w nowe ciuchy, Sammy rozjaśnił się jak latarnia morska i przyrzekł poprawę. Po raz pierwszy zobaczyłem go wtedy w długich spodniach i musiałem przyznać, że nawet bez butów, którymi gardził, wyglądał całkiem szacownie. „Chyba będę musiał mówić do ciebie «panie Sammy»” – zażartowałem, ale on wziął to na serio i skinął głową na znak zgody. Od tej pory pilnowałem się, żeby nigdy nie pomijać słowa „pan”.

## Pojednanie w ostatniej chwili

Ponieważ ojciec nie odpowiedział na mój długi list z pretensjami, doszedłem do wniosku, że nasze zerwanie, przynajmniej z jego strony, jest nieodwołalne. Zdążyłem się jednak przekonać, że potrafię przeżyć w Liberii bez niczyjej pomocy, więc nie obawiałem się już jego gniewu. Raczej współczułem mu, że z powodu swojej małości skazuje się na życie w izolacji, praktycznie bez przyjaciół i rodziny, w więzieniu własnego umysłu. Wkrótce jed-

nak zrozumiałem, że być może to ja pierwszy powinienem wyciągnąć rękę na zgodę. A że i Morris przyklasnął mojej decyzji, postanowiliśmy skorzystać ze zbliżającej się wigilii Nowego Roku i razem złożyć ojcu wizytę.

Drzwi otworzył nam Jason: „Wasz ojciec jest sam, idźcie prosto na górę”.

Nie postawiłem nogi w domu ojca od owej fatalnej nocy siedem miesięcy temu, kiedy stamtąd uciekłem.

„No i co my tu mamy? – zachichotał ojciec na nasz widok. – A niech mnie, przecież to moi łajdaccy synkowie!”

Muszę przyznać, że nawet się ucieszył. Wyciągnąwszy naszą gałązkę oliwną w formie butelki dobrej whisky, nabytej za ciężko zarobione pieniądze, powiedziałem, że przypadkiem przechodziliśmy obok i postanowiliśmy złożyć mu noworoczne życzenia.

„Najpierw zobaczmy, co to za tandetę przynieśliście ojcu” – zażartował, wyraźnie starając się ukryć emocje.

Żaden z nas nie wziął mu tego za złe i po krótkiej rozmowie, podczas której nie padło ani jedno słowo na temat naszych problemów, zaczęliśmy się żegnać. Zanim wyszliśmy, ojciec sięgnął do portfela i wręczył nam po studolarowym banknocie.

„Szczęśliwego Nowego Roku, chłopaki. Napijcie się na koszt ojca. Nawiasem mówiąc, czy mówiłem wam już, że jesteście jak Pat i Patachon?” Ten najpopularniejszy tandem komików z lat dwudziestych i trzydziestych przypominaliśmy mu zapewne z powodu różnicy wzrostu. Uznaliśmy jowialną uwagę ojca za sygnał, że zaczyna mięknąć i że być może istnieje jakaś szansa na pojednanie.

Zabrakło nam okazji, aby to sprawdzić. Dwa miesiące później w środku nocy obudziło mnie pukanie do drzwi. Był to mój brygadzysta Mike Omsted. Właśnie dowiedział się od lotniskowego radiooperatora, że ojciec miał gdzieś w interiorze poważny wypadek samochodowy. Małe ambulatorium w Gancie, gdzie udzielono mu pierwszej pomocy, wysłało drogą radiową pilną prośbę o tlen. „Wskakuj w ciuchy i jedziemy! – krzyknął Mike. – Mam już w pick-upie dwie butle z tlenem.”

Zmieniając się za kółkiem, gnaliśmy w milczeniu przez nieutwardzone gliniaste drogi. Miżeliśmy małe osady i rozklekotane mosty, złożone nieraz tylko z dwóch pni. W głowie kołatała mi tylko jedna uparta myśl: „On nie może umrzeć”. O świcie dotarliśmy do Ganty, małej wioski glinianych lepiarek. Ktoś wskazał nam drogę do ambulatorium, gdzie w jednym z pokojów na dużym łóżku leżał mój ojciec. Szyję i klatkę piersiową zasłaniały mu zakrwawione bandaże. Kiedy weszliśmy, otworzył oczy, w których na chwilę pojawił się błysk rozpoznania. Poruszył wargami, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Mogłem tylko wziąć go za rękę. Trzymałem ją, zdumiewając się siłą, z jaką odwzajemniał mój uścisk. Zupełnie jakby się bał mnie puścić. Patrzyłem w dół, na jego prawą dłoń, tę samą, która kiedyś wyciągała się

do mnie w mojej absurdalnej, spowodowanej gorączką halucynacji, i zachodziłem w głowę, jak mogłem się go kiedyś bać.

Za drzwiami medyk z ambulatorium poinformował nas o stanie ojca. Miał przeciętą tchawicę i poważne obrażenia klatki piersiowej. Jeśli uda się przetransportować go do Monrovia na operację, ma szansę wyzdrowieć. Niestety z powodu wyboistych i mocno zapyłonych dróg prawdopodobnie nie przeżyje długiej jazdy do stolicy. W dodatku mały samolot, używany do przewozu osób do Monrovia i z powrotem, wymagał poważnego remontu i wyłączono go z eksploatacji. Pozostawała tylko jedna opcja: żeby któryś z dojeżdżających do ambulatorium lekarzy podjął na miejscu próbę operacji, i dopiero kiedy stan ojca trochę się poprawi, przetransportuje się go do Monrovia.

Dowiedzieliśmy się, że ojciec, niezmordowany w swojej pogoni za zyskiem, prowadził vana wyładowanego po czubek workami z ryżem. Nagle z naprzeciwka nadjechała ciężarówka. Ponieważ ciągnęła się za nią chmura czerwonego pyłu, ojciec nie zauważył, że próbuje ją właśnie wyprzedzić inny samochód. I to właśnie ten drugi uderzył czołowo w vana. Ojciec był w stanie krytycznym, van nadawał się do kasacji, natomiast ciężarówka i jej kierowca wyszli z wypadku prawie bez szwanku. Jednemu z *houseboyów* ojca, który jechał z tyłu vana, jakimś cudem także nic się nie stało.

Mike uświadomił mi, że pozostaje nam tylko wracać do Robertsfield. Przedtem jednak postanowiliśmy obejrzeć miejsce wypadku kilka kilometrów za Gantą. Widok przyprawił mnie o wstrząs: nadal jeszcze było tam mnóstwo krwi, prawdopodobnie mojego ojca. Obok leżał wrak vana – kłębowisko powyginanych blach, części silnika i rozbitego szkła. Koła – jak się zdawało – zdążyli już wymontować i pozbawić opon „zbieracze”, wewnątrz też doszczętnie splądrowano, bo po ładunku ryżu wszelki ślad zaginął. Przypomniało mi się stare porzekadło: „Co dla jednego jest mięsem, to dla drugiego trucizną”. Dla pustych brzuchów mieszkańców Ganty wypadek mojego ojca i kilka ton ryżu musiało być darem niebios.

Po dziesięciu dniach nerwowego oczekiwania dowiedzieliśmy się z Morrisem, że ojciec zmarł. Nie pozostało nam nic innego, jak przewieźć ciało do Monrovia i pogrześć się w żałobie. Chociaż próbowałem się pocieszać, wmawiając sobie, że nigdy nie był dla mnie prawdziwym ojcem, zwłaszcza w tych latach, kiedy najbardziej go potrzebowałem, obezwładniał mnie smutek i poczucie nieodwracalnej straty. Może nie był to ojciec, o jakim marzył mały chłopiec i nastolatek, ale przecież jedyny, jakiego miałem.

W pogrzebie zorganizowanym przez stryja Nata wzięły udział setki żałobników ze społeczności Vai, a także z liberyjskiego rządu, włącznie z wiceprezydentem Simpsonem, który reprezentował prezydenta Tubmana. Po ceremonii dowiedzieliśmy się z Morrisem, że nasz drogi stryj, pozujący na nieutulonego w bólu brata, pilnie krzątał się już za naszymi plecami wokół własnych interesów. Wykorzystując swoje wpływy i znajomość prawa, ustanowił sam

siebie wyłącznym administratorem nieruchomości ojca. Niewątpliwie pomógł mu w tym fakt, że zmarły nie pozostawił testamentu.

Ponieważ ze stryjem zawsze łączyły nas przyjacielskie stosunki, nie zaprotestowaliśmy przeciwko temu przejściu władzy. Uznaliśmy je jednak za wysoce niewłaściwe, gdyż obaj byliśmy pełnoletni i nie potrzebowaliśmy opiekuna. Po niedługim czasie zorientowaliśmy się, że stryj po prostu zamierzał nas pozbawić należnego dziedzictwa. Mając na uwadze to, co wyjawiał mi ojciec, mianowicie że Nat jako prowodyr rodzinnego spisku usiłował ukraść jego pieniądze, zażądałem wprost, aby stryj informował nas na bieżąco o wszystkim, co dotyczy posiadłości, a zwłaszcza jej rozmiarów i postępowania w sprawie wynajęcia domu ojca libańskim kupcom. Nat niby chętnie się zgodził, ale przeciągał sprawę. Zniecierpliwieni czekaniem, naciskaliśmy go, usiłując wydusić jakieś informacje. Wreszcie oświadczył nam, że ku swemu wielkiemu zaskoczeniu i oburzeniu, odkrył, iż nasz ojciec zmarł wcale nie jako milioner, ale wręcz jako nędzarz, bez prawie żadnych aktywów na swoje nazwisko. W tych okolicznościach najlepiej będzie trzymać gębę na kłódkę i pilnować, aby nasza „kłopotliwa sytuacja” nie przedostała się do wiadomości publicznej.

Byliśmy pewni, że stryj kłamie; na pewno sfałszował coś w księgach, aby samemu dobrać się do majątku ojca. W związku z tym powiedzieliśmy, że ani nam się śni trzymać gęby na kłódkę czy poddawać się bez walki. Mieliśmy przeciwko sobie jednego z najchytrzejszych i najpotężniejszych polityków, ale także nic do stracenia, toteż napisaliśmy krótki list do prezydenta Tubmana, z wyjaśnieniem naszej trudnej sytuacji i prośbą o interwencję w imieniu naszego zmarłego ojca. Odpowiedź nadeszła w ciągu tygodnia: prezydent zapraszał Morrisa i mnie oraz Nata na spotkanie.

Stryj zdradzał wyraźny niepokój, kiedy prezydent poprosił nas o zajęcie miejsc w swoim okazałym gabinecie. Po zapaleniu nieodłącznego hawańskiego cygara polecił mi zreferować nasz przypadek. Drżącym głosem podziękowałem mu najpierw, że zgodził się spotkać z nami w tak osobistej sprawie, a następnie, zachęcony życzliwym uśmiechem, wyznałem, iż razem z Morrisem straciliśmy zaufanie do stryja. Nie wierzymy, że właściwie zarządza majątkiem ojca i podejrzewamy, że ukrywa przed nami jego rozmiary.

Kiedy skończyłem, prezydent uprzedził, że nie ma prawnej podstawy do interwencji i działa tylko jako zwykły obywatel i osobisty przyjaciel rodziny Massaquoi.

– Ale – dodał, zwracając się do Nata – apeluję do twojej uczciwości, abyś dopilnował właściwego załatwienia tej sprawy, mając na względzie tego młodego człowieka, który dopiero co przyjechał z Niemiec i był całkowicie zależny od swojego ojca.

Zauważyłem, że Nat wiercił się na krześle podczas tej przemowy, ale szybko odzyskał rezon.

– Zanim zbyt mocno uzali się pan nad losem tego chłopca, panie prezydencie, chciałbym, żeby zerknął pan na to. Może wtedy zrozumie pan lepiej, jakim człowiekiem jest mój brata-

nek. – I z triumfalną miną oskarżyciela, który prezentuje w sądzie dymiący pistolet, wyciągnął z kieszeni jakiś list. – Proszę przeczytać ten bardzo obraźliwy i pozbawiony szacunku list, który napisał do mojego brata tuż przed jego śmiercią.

Natychmiast rozpoznałem list, który za namową rodziny napisałem zaraz po ucieczce od ojca. Ku mojemu najgłębszemu zakłopotaniu, prezydent odczytał go na głos. Kiedy skończył, pogratulował mi angielszczyzny, po czym zwrócił się do Nata:

– Panie sędzio, nie widzę tu nic obraźliwego czy pozbawionego szacunku, ale nawet gdyby tak było, nie zmienia to faktu, że jest pan zobowiązany dopilnować, by ten młody człowiek nie zaznał krzywdy. To ojciec go tu sprowadził, więc nie może być zdany na łaskę losu. Na pewno potrafi pan jakoś tę sprawę załatwić. Natomiast jeśli chodzi o Morrisa, to jestem spokojny. Da sobie radę nawet bez pieniędzy ojca.

– Zajmę się tym, panie prezydencie – wymamrotał Nat.

Ledwie wyszliśmy na ulicę, odwrócił się do nas z jawną nienawiścią w oczach.

– Zapłacicie mi za to. Niech wam się nie zdaje, że możecie mnie ciągać do prezydenta i wprawiać w zakłopotanie za nic. Jedno wam mogę obiecać: tak jak ja musiałem czekać na śmierć waszego ojca, żeby się dostać do mojego majątku, tak wy przed moją śmiercią nie zobaczycie nic ze swojej schedy.

Nie zrobiło to na mnie wrażenia. W wieku dwudziestu trzech lat nie umiałem sobie nawet wyobrazić, jak to jest być bogatym, więc groźbą stryja w ogóle się nie przejąłem. Morris jednak dostał szau i pewnie doszłoby do awantury, gdybym go nie odciągnął i nie uświadomił mu, że obraza sędziego przed Executive Mansion oznaczałoby oddanie majątku naszego ojca prosto w ręce Nata, przy czym obaj wylądowalibyśmy w pudle.

## Lagos

Kilka tygodni później otrzymałem krótki list na papeterii Executive Mansion. Prezydent życzył sobie widzieć mnie w ważnej sprawie osobistej, najwcześniej jak to możliwe. W ciągu godziny byłem na miejscu.

Nie nawiązując do naszego ostatniego spotkania, prezydent przeszedł do rzeczy: „Otrzymałem list od pańskiej babki, pani Mary Sonii, z Lagos w Nigerii. Słyszała o pańskim przyjeździe do Liberii oraz o śmierci pańskiego ojca i chciałaby, abym zaaranżował pańską wizytę u niej”.

Babka prosiła, aby sfinansował mi morską podróż z Monrovi do Lagos, i zobowiązywała się zwrócić tę pożyczkę za moim pośrednictwem, kiedy wrócę. Na poparcie tych słów wyjął z koperty plik dwudziestodolarówek. „To powinno wystarczyć. Proszę przekazać ode mnie pani Mary Sonii wyrazy najgłębszego szacunku.” Podziękowałem prezydentowi, który uściśnął mi rękę i życzył przyjemnej podróży.

W przewidywaniu dłuższej nieobecności w Monrovi, udałem się do Robertsfield, żeby złożyć wymówienie. Pożegnawszy się z Sammym i przyjaciółmi z warsztatu, pierwszą lepszą okazją wróciłem do Monrovi. Morris, który już kilkakrotnie odwiedzał naszą babkę, gorąco przyklasnął mojej wyprawie, ale doradził mi inny sposób podróżowania. Nie muszę kupować drogiego biletu. On, Morris, za kilka dolców załatwi mi u ludzi z plemienia Kru miejsce w kwaterze dla załogi na jakimś frachtowcu, i dzięki temu zaoszczędzę większość gotówki, w którą zaopatrzył mnie prezydent. Z początku odmówiłem, bo ten plan wydawał się niezupełnie uczciwy, ale kiedy Morris wytłumaczył mi, że wszyscy tutaj podróżują w ten sposób, ustąpiłem.

W dniu wyjazdu Morris odprowadził mnie do świeżo ukończonego portu, gdzie weszliśmy na pokład brytyjskiego frachtowca płynącego do Lagos. Tam, po krótkich negocjacjach w języku Kru z szefem „chłopaków z pokładu”, zapewnił mnie, że wszystko jest załatwione, dostanę kabinę tylko dla siebie, a posiłki będą jadał z załogą. Wkrótce potem wyruszyłem w drogę do nowego kraju, na spotkanie z nową przygodą.

Brytyjska balia, która na następne trzy dni miała stać się moim domem, mocno odbiegała standardem od wymuskanych statków amerykańskich, znanych mi z Hamburga. Wszystko na niej lepiło się od brudu i wymagało naprawy. Po mojej koi łążyły karaluchy i wszędzie unosił się mdlący fetor. Od pierwszej chwili żałowałem, że posłuchałem Morrisa i przeklinałem pomysł zaoszczędzenia kilku dolarów. Mój żal jednak szybko ustąpił złości wymieszanej ze wstrętem, kiedy w porze posiłku moi gospodarze podsunęli mi brudną miskę z ryżem i jakimś niezidentyfikowanym śmierdzącym sosem. Grzecznie podziękowałem za ów poczęstunek, ale rano ten sam sos z ryżem podano na śniadanie. Tym razem głód skłonił mnie do ustępstw i udało mi się trochę zjeść.

Po południu dotarliśmy do portu Takoradi na Złotym Wybrzeżu (obecnie w Ghanie), gdzie wybrałem się na krótką wycieczkę krajoznawczą, podczas której po raz pierwszy miałem okazję stanąć na terytorium brytyjskiej kolonii. Następnego dnia weszliśmy do Lagos, stolicy największej i najgęściej zaludnionej kolonii afrykańskiej. Z ulgą opuściłem statek i przysiągłem sobie, że powrotną podróż odbędę w lepszych warunkach.

Po krótkiej jeździe taksówką z karkołomną prędkością przez tętniący życiem Tinubu Square na Igbosere Road 157, gdzie mieszkała babka, wkroczyłem na dziedziniec rzędu parterowych domów. Powitała mnie tam szczupła starsza pani o ładnej, jasnobrązowej twarzy okolonej gąszczem krótkich siwych loczków. Ściskając mnie, nie mogła opanować płaczu: „Mój syn, mój syn, mój biedny, biedny syn” – powtarzała cały czas z wyraźnym brytyjskim akcentem, odnosząc się chyba zarówno do mojego zmarłego ojca, jak i mnie samego.

Kiedy odzyskała panowanie nad sobą, przedstawiła mnie miłemu dżentelmanowi o delikatnych rysach: „To jest Pa Sonii, twój przybrany dziadek”. Uścisnęliśmy sobie dłonie i natychmiast poczułem do niego sympatię.

Pa Sonii zapytał, czy miałem przyjemną podróż, gdyż płynąłem na frachtowcu jego kompanii. Przyznałem mu się od razu do oszczędnościowego planu Morrisa i tego, jak na nim wyszedłem. zaproponowałem też zwrot zaoszczędzonych pieniędzy, ale Pa Sonii nie chciał o tym słyszeć: „Zatrzymaj je. Zasłużyłeś na każdego centa. Morris jednak powinien wiedzieć, że nie wolno mu było namawiać cię na podróż w takich warunkach. Zawsze mówiłem, że ten chłopak ma źle w głowie”.

Potem Ma Sonii pokazała mi dwie szczupłe kilkunastoletnie dziewczynki. „Te młode damy pomagają mi prowadzić dom. Ta tutaj nazywa się Howa, a tamta szelmutka to Kpakanya.” Obie miały aksamitną brązową skórę, okrągłe buzie z dołeczkami i nieskazitelnie białe zęby.

– Zanieście bagaż mojego wnuka do jego pokoju, a potem przygotujcie mu kąpiel – zarządziła.

– Tak, psze pani – odpowiedziały chórem i, chichocząc, pobiegły spełnić polecenie.

Dopiero w tym momencie zauważyłem, że moja babka jest częściowo sparaliżowana. Lewe ramię zwisało jej bezwładnie i chodziła z wyraźnym wysiłkiem, powłócząc lewą nogą i podpierając się laską. „Tak, tak, jestem starym wrakiem – powiedziała, widząc, że bezwiednie się jej przyglądam. – Mniej więcej rok temu przeszłam udar i odtąd do niczego się nie nadaję.”

Po kąpieli przebrałem się w czyste ubranie i resztę dnia spędziłem na ucztowaniu przy stole suto zastawionym przeróżnymi afrykańskimi przysmakami. Musiałem przy tym ścisnąć nieskończoną liczbę rąk przyjaciół i sąsiadów mojej babki. Wszyscy oni słyszeli o moim przyjeździe, więc zadawali mi mnóstwo pytań na temat życia w Niemczech, „tego nicponia Morrisa” i wypadku ojca. Nie dało się też uniknąć tematu stryja Nata i jego zawładnięcia majątkiem ojca. „Zostaw to mnie – orzekła babka. – Nie ujdzie mu to na sucho, moja w tym głowa.”

Nie bardzo rozumiałem, co ta krucha staruszka ma na myśli, ale wkrótce miałem się przekonać. Kilka dni po moim przyjeździe, gdy tylko Pa Sonii wyszedł do pracy w stoczni, w domu pojawiła się dziwna grupa kilkunastu mężczyzn w plemiennych strojach. Na zaproszenie babki wszyscy zajęli miejsca w przestronnym salonie, gdzie Howa i Kpakanya podały im świeżo zaparzoną herbatę.

„Wiem, że będziesz się śmiał, z tego, co ci teraz powiem – szepnęła mi do ucha, kiedy na jej prośbę usiadłem obok – ale ci ludzie mają moc powstrzymania Nata od kradzieży pieniędzy twojego ojca. Nie musisz w to wierzyć ani nic robić, tylko siedź tu i patrz.”

Mimo całego sceptycyzmu, przez wzgląd na babkę, postąpiłem, jak sobie życzyła. W ciągu następnej godziny stałem się widzem dziwnego rytuału, złożonego głównie z monotonnych śpiewów i podawania sobie kolejno drobnych przedmiotów, które wyglądały jak zwykłe kamyki, paciorki i patyczki. Na ile mogłem ocenić, nie wiązały się one z niczym szczególnym, a już najmniej z pieniędzmi ojca. Po skończonej ceremonii mężczyźni przede-

filowali przede mną, dotykając mnie, a potem schowali wyplaconą im przez babkę „dolę” i zniknęli równie cicho, jak się pojawili.

Wieczorem po powrocie z pracy Pa Sonii powitał mnie szerokim uśmiechem.

– Jak ci się podobał ten poranny cyrk?

– Całkiem interesujący – odpowiedziałem dyplomatycznie, żeby nie zranić uczuć babki.

– Twoja babcia głęboko wierzy w to głupie *juju* – kontynuował, nie bacząc na obecność żony. – Jest bardziej przesądna niż kobiety z buszu. Jej cała edukacja w Anglii to czysta strata czasu.

– Możesz się śmiać, ile chcesz, Sonii – odparła babka, na której nie zrobiło to żadnego wrażenia. – Ja i tak wiem swoje.

Po odprężającej kąpieli Pa Sonii przebrał się ze spodni i koszuli w wygodną afrykańską szatę i usiadł z nami do kolacji. „Czasem się zastanawiam, co gorsze: kolonializm czy przesady” – powiedział, nawiązując do swoich dwóch największych bolączek. Następnie wyjaśnił, że parę lat temu administracja miasta zainstalowała przy Igbosere Road latarnie elektryczne, ale „ci przesądni buszmeni” obawiali się, że duchy mogą się obrazić, kiedy „noc zmieni się w dzień”. I dotąd rzucali w lampy kamieniami i patykami, aż miasto ustąpiło. Odtąd ulice znów toną w ciemnościach.

Po posiłku przesiadł się na swój ulubiony fotel i zabrał się do tego, co najbardziej lubił, czyli do lektury „West African Pilot”. Tę wojującą antykolonialną gazetę wydawał jego idol Nnamdi Azikiwe z plemienia Ibo, znany w całej Nigerii jako Zik. „Zik to jedyny Nigeryjczyk, którego boją się Brytole – wyjaśnił. – Dzięki swoim mocnym wstępniakom wymierzonym w rząd kolonialny Zik stał się tak popularny, że Brytyjczycy nie śmiały go zaczepiać w obawie o potężny wybuch – tłumaczył Pa Sonii. – Jeśli dobrze rozegra swoje karty, może zostać pierwszym prezydentem niepodległej Nigerii” – dodał z nadzieją w głosie.

Niestety Pa Sonii nie dożył spełnienia swojej przepowiedni. Nie mógł wiedzieć, że zaledwie czternaście lat później, jako dziennikarz magazynu „Ebony”, przeprowadzę osobisty wywiad z prezydentem Nnamdi Azikiwe na jego jachcie, zakotwiczonym w porcie Lagos, w odległości krótkiego spaceru od domu Pa Sonii.

Wiele czasu spędzałem na rozmowach z moją babką, która według jej własnych zapewnień była za swych młodych lat „niezłym ziółkiem”. Zrywałem boki, słuchając o jej licznych numerach. W pewnym momencie – jak wyznała – uganiało się za nią w nieznośnie natarczywy sposób trzech panów, z których żaden nie wiedział o istnieniu pozostałych. Ponieważ żaden nie przyjmował do wiadomości odmowy, umówiła się z każdym z nich dokładnie o tej samej godzinie na tej samej ławce w londyńskim Hyde Parku. Nadal chichocząc na wspomnienie ich min, kiedy zrozumieli, że wystrychnęła ich na dudków, dodała, że od tej pory żaden już się jej nie narzucał.



Babka zwierzyła mi się także, że dziadek Momolu był wprawdzie miłością jej życia, ale także nieuleczalnym babiarzem. „To nie do uwierzenia, jak ten człowiek potrafił namącić kobietom w głowach” – wspominała z pewnym podziwem. Podobno przyznał się sam do spłodzenia ponad dwudziestki dzieci zarówno ślubnych, jak i nieślubnych, a to dopiero wierzchołek góry lodowej. Wiele lat po ich rozstaniu, kiedy mój ojciec studiował już w Irlandii, poznała w Monrovii Pa Sonii. Właśnie zaproponowano mu w Lagos stanowisko brygadzysty, więc kiedy się oświadczył, skorzystała z tej szansy i nigdy nie pożałowała swojej decyzji. „To dobry człowiek – stwierdziła – ale Momolu był królem.”

Od czasu do czasu spacerowałem po ulicach Lagos i patrzyłem zafascynowany na pulsujący rytm wielkiego afrykańskiego miasta portowego. W odróżnieniu od Monrovii, która w latach czterdziestych nie obudziła się jeszcze ze stuletniego snu, Lagos tętniło życiem i tłumy ludzi wprost wylewały się na chodniki i ulice.

Oprócz budynków rządowych działało tam mnóstwo komercyjnych przedsiębiorstw, począwszy od sklepików z orzeszkami z jednoosobową obsługą po wielkie domy towarowe. Mój szlak wiódł wzdłuż popularnej mariny – malowniczej, wysadzonej palmami arterii nad laguną, od której miasto wzięło swą nazwę, przez gwarny Tinubu Square – centrum tutejszego handlu. Biorąc pod uwagę spójny obraz Afrykanów przyjmujących często służalczą postawę wobec białych nadzorców, czułem się szczęśliwy, że nie jestem kolonialnym poddanym, ale wolnym Liberyjczykiem.

Z wyjątkiem moich przepychanek z francuskimi władzami w Dakarze, nie stykałem się dotąd z kolonializmem. Wkrótce jednak miałem się zapoznać bezpośrednio z jego brytyjską wersją. Zdarzyło się to, kiedy próbowałem kupić znaczki pocztowe. Na poczcie w centrum Lagos zobaczyłem koszmarne długą kolejkę klientów – samych Afrykanów – stojących na rozżarzoną do białości słońcu przed jednym okienkiem. Postanowiłem czekać na swoją kolej, w przeciwieństwie do białego Brytyjczyka w tropikalnym hełmie i kolonialnych drellichach khaki. Ten pomaszerował prosto do okienka i kazał się obsłużyć. W tłumie rozległy się stłumione szmery, ale nikt nie zaprotestował. I tu na scenę wkroczył Hans Massaquoi. „Co pan sobie myśli, do wszystkich diabłów? – usłyszałem własny głos. – Dlaczego nie stoi pan w kolejce jak każdy?”

Nagle tłum zafalował i dołączyły się inne głosy, żądające, aby Brytyjczyk stanął w kolejce. Biały mężczyzna wyraźnie nie wierzył własnym uszom: ktoś się ośmiela kwestionować to, co należy mu się z racji urodzenia? Musiał dojść do wniosku, że chodzi o kogoś upośledzonego umysłowo, bo gdy tylko mnie wypatrzył, zrobił w tył zwrot i odmaszerował przy wtórze wzywających tłumów.

Kiedy wieczorem opowiedziałem o tym Pa Sonii i babce, dziadek wygłosił długie i surowe pouczenie: „Masz szczęście, że ten biały nie wrócił i nie kazał cię zamknąć w pace pod pierwszym lepszym pretekstem, na przykład za podżeganie ludzi do buntu. Tu nie Liberia,

gdzie rządy należą do czarnych. To jest kolonia brytyjska, tutejsi biali są niezwykle nerwowi, bo czują, że zbliża się kres ich panowania. W tej chwili każdy, nawet najbardziej błahy incydent, traktują jak iskrę, która może wywołać eksplozję. A oni zrobią wszystko, naprawdę wszystko, żeby tylko przedłużyć swoje rządy. Więc kiedy następnym razem zobaczysz, że jakiś Brytyjczyk robi coś nie po twojej myśli, trzymaj gębę na kłódkę, choćby ze względu na twoją babkę i mnie”.

Rada Pa Sonii, chociaż słuszna, przyspieszyła moją decyzję wyjazdu. Chciałem jak najprędzej wrócić do Liberii, bo nie zamierzałem znowu żyć w rasistowskiej kolonii. Uznałem, że w ciągu dwunastu lat w nazistowskich Niemczech odsłużyłem swoje zawiązanie.

Po czterech miesiącach pobytu moje postanowienie sprawiło babce dużą przykrość. W głębi duszy miała nadzieję, że polubię Lagos na tyle, by zamieszkać u niej na stałe. Pa Sonii zdążył już znaleźć mi posadę operatora w swojej kompanii Elder Dempster Line ze „znakomitą pensją”, oczywiście w kategorii dla niebiałych. Odpowiedziałem, że dziękuję, ale nie. Chociaż żal mi było babki, która myślała, że zastąpię jej utraconego syna, nadal hołubiłem swoje marzenie o wyjeździe do Ameryki.

Tak więc z ciężkim sercem pożegnałem się z babką i Pa Sonii, którego zdążyłem szczerze polubić. Kiedy zajechała taksówka, po raz ostatni uściskałem zapłakaną Ma. „Będę bardzo za tobą tęsknić” – szepnęła.

Coś mi mówiło, że już nigdy jej nie zobaczę.

## **Powrót do Monrovii**

Tym razem zarezerwowałem kabinę na amerykańskim parowcu, który zawijał do Monrovii w drodze przez Atlantyk do Nowego Orleanu. Zostawiłem bagaż w kabinie, gdzie czekała na mnie czysta koja ze śnieżnobiałymi prześcieradłami, i wyszedłem na pokład, żeby po raz ostatni rzucić okiem na Lagos.

Na statku od razu poczułem się jak w domu. Tak jak wszystkie jednostki amerykańskie, które odwiedzałem w Hamburgu, lśnił czystością i pachniał świeżą farbą. Stewardzi, poza szefem, byli czarni. Jak większość frachtowców, także i ten miał dość ograniczoną przestrzeń dla pasażerów. Pozostałych dwoje poznałem w porze kolacji w naszej małej jadalni. Felix Osi, nigeryjski student, syn naczelnika Yoruby, wybierał się za ocean, by rozpocząć studia w college’u dla czarnych na Południu. Oprócz niego płynęła z nami Virginia Langston, przyjemna blondynka po trzydziestce o wyraźnie południowym akcencie. Ginny – prosiła, by tak ją nazywać – wracała do rodzinnego miasta Mobile w Alabamie po dwóch latach w Nigerii, gdzie pracowała jako misjonarka metodystów.

Właśnie zabieraliśmy się do jedzenia, kiedy główny steward przekazał Ginny polecenie kapitana: począwszy od tej chwili wszystkie posiłki ma jadać z oficerami. Wyraźnie zdenerwowana misjonarka powiedziała nam przed wyjściem, że bardzo się cieszyła na nasze towarzy-

stwo i będzie go jej brakowało. My jednak przypomnieliśmy sobie, że macierzystym portem statku jest Nowy Orlean, gdzie obowiązuje segregacja rasowa. Zaproszenie kapitana z pewnością miało na celu oszczędzenie białej kobiecie przykrości dzielenia stołu z czarnymi mężczyznami. Wciąż jeszcze omawialiśmy ten afront, zwłaszcza że znajdowaliśmy się na afrykańskich wodach, kiedy Ginny wróciła i z szerokim uśmiechem oświadczyła, że jednak będzie jadać z nami. Podobno gdy usiadła obok kapitana w mesie oficerskiej, czarny steward z ironicznym grymasem oznajmił, iż zgodnie z przepisami, nie wolno mu obsługiwać pasażerów, co przestrzegający południowych tradycji kapitan wyraźnie przeoczył.

Następne trzy dni spędziliśmy, wylegując się na pokładzie, podczas gdy biała załoga dwoiła się i troiła, żeby utrzymać statek w doskonałym stanie. Bombardowali nas wrogimi spojrzeniami, wyraźnie sugerując, że nie podoba się im, kiedy dwóch czarnych zażywa relaksu w towarzystwie białej kobiety, podczas gdy oni muszą harować. Ponieważ zajmowali się tylko skrobaniem i malowaniem, nie rozumiałem z początku, co tak fascynuje Felixa w ich pracy, że potrafi się jej godzinami przyglądać z niezmiennym zainteresowaniem. Kiedy w końcu go o to zapytałem, wyjaśnił, że jak żyje, nigdy jeszcze nie widział białego człowieka przy tak niewdzięcznej robocie.

– W Nigerii biali tylko sprawują nadzór albo pracują w biurze. Brudna robota jest dla Afrykanów.

– Cóż, w Stanach jest inaczej – zapewniła go Ginny. – Zobaczysz, że biali wykonują każdego rodzaju pracę, także tę niewdzięczną. W Anglii jest tak samo. Tylko w koloniach biali uważają pracę fizyczną za poniżej swojej godności.

Dodała też, że w różnych misjach, gdzie stacjonowała, zarówno kobiety, jak i mężczyźni, pracowali fizycznie. Ale Felixa, który był muzułmaninem, to nie zadowoliło. Dowodził ze złością, że to głównie chrześcijańscy misjonarze odpowiadają za kolonizację Afryki przez europejskie państwa. Gdyby nie nauczyli „nas, pogan” nadstawiać drugiego policzka i nie zmusili czarnych wojowników do uległości, biali nigdy nie podbiliby całego kontynentu.

– Jeśli wy, muzułmanie, chcecie obwiniać chrześcijańskich misjonarzy za pomoc w kolonizowaniu Afryki, musicie wziąć na siebie winę za zapoczątkowanie niewolnictwa – odparowała Ginny, po czym wygłosiła długi wykład o tym, jak grupy arabskich muzułmanów przemierzały Afrykę, porywając bądź kupując od chciwych wodzów liczne grupy tubylców, odsprzedawanych następnie europejskim i amerykańskim handlarzom niewolników.

W Takoradi na Złotym Wybrzeżu, gdzie zatrzymaliśmy się na krótko w drodze do Nigerii, załoga złożona z kilkudziesięciu Afrykanów ze śpiewem na ustach przygotowywała się w piekielnym upale do załadunku ogromnej ilości kakao.

– Tylko spójrz na nich – zagadnął mnie wysoki blond oficer w drelichu khaki z ciężkim niemieckim akcentem – co za banda leniwych nierobów!

– Czemu nazywasz ich nierobami?

– Bo nie chce im się pracować. Nic, tylko by tańczyli i śpiewali. Załadunek statku zabiera im trzy razy więcej czasu niż amerykańskiej załodze w Stanach.

Tego rodzaju komentarze białych na temat czarnych przeważały w koloniach. Afrykanie mieli nie tylko być posłuszni i godzić się na wyzysk, ale robić to z uśmiechem i w warunkach, których żaden biały by nie przyjął.

Nie chciało mi się kłócić z tym zadufanym w sobie *Landsmannem*. Skoro sam nie rozumiał, dlaczego ludzie próbujący przeżyć w systemie, który zapewniał im tylko głodowe pensyjki, nie mają takiej motywacji do pracy, jak ci, którzy zarabiają kilkadziesiąt razy więcej plus różne gwarantowane przez związki dodatki, to jak mógłbym go o tym przekonać? Ci Afrykanie w żaden sposób nie dorobiliby się ani domu, ani samochodu. Jak ciężko taki ładowacz musiał pracować na palącym słońcu, żeby pod koniec dnia dostać równowartość paczki papierosów albo butelki piwa?

Kiedy statek przybił do portu w Monrovi, pożegnałem się z Felixem i Ginny, szczerze im zazdroszcząc, że wkrótce znajdą się w kraju moich marzeń. Powiedziałem, że mam nadzieję spotkać się z nimi w Stanach, ale raczej na Północy, ponieważ nie zamierzałem postawić kiedykolwiek stopy na ziemi Jima Crowa.

W Monrovi chciałem przede wszystkim oddać prezydentowi pieniądze, które na prośbę babki wypłacił mi na podróż. Tym razem nie spotkałem się z nim osobiście, ale zostawiłem stosowną sumę u pułkownika Brewera, jego adiutanta.

Następnie zdwoiłem starania o wyjazd do Stanów. Uznałem, że mój dalszy pobyt w Liberii jest kompletnie bezcelowy. Nawiązawszy korespondencję z ciotką Clarą w Barrington, w Illinois, wyjaśniłem jej, że bardziej niż kiedykolwiek zależy mi na wyjeździe, i błagałem na wszystko, aby skompletowała dokumenty potrzebne do poparcia mojego wniosku o wizę. W odpowiedzi zapewniła mnie, że już podjęła odpowiednie kroki, ale w tym momencie może uzyskać dla mnie tylko okresową wizę studencką. Kwota imigracyjna dla Niemców została na razie zawieszona, ponieważ normalizacja stosunków między obu krajami ciągle się odwleka.

Abym mógł otrzymać wizę studencką, ciotka Clara zapisała mnie na Aeronautical University of Chicago, renomowaną uczelnię, która – jak się spodziewała – spotka się z moją aprobatą. Czym prędzej odpisałem, że zgadzam się na wszystko, byle tylko dostać się do Stanów.

## **Inspektor Morris**

Spotkaniu z Morrisem towarzyszyła spora niespodzianka. Zjawił się w wykrochmalonym mundurze khaki z odznaką oficera policji. Na pytanie, co to ma znaczyć, odpowiedział, że jego masoński brat prezydent Tubman mianował go właśnie inspektorem Liberyjskiej Policji Narodowej. „Jedno obraźliwe słowo, brachu, i twój żaloszny tyłek idzie siedzieć” – zażartował.

Potem już na serio poinformował mnie, że do jego nowych obowiązków należy patrolowanie dróg interioru policyjnym pick-upem i sprawdzanie, czy ładunek ciężarówek nie przekracza limitu wagi. Chodziło o to, żeby nie dopuszczać do nadmiernego obciążenia krajowych dróg i mostów, co prowadzi do uszkodzeń nawierzchni. „Jeśli chcesz – dodał – możesz jutro wybrać się ze mną na patrol. Wyruszam o świcie.”

Przyjąłem propozycję i w ten sposób zostałem nieoficjalnym towarzyszem podróży przez setki kilometrów gruntowych, pylistych dróg w poszukiwaniu przeładowanych ciężarówek z ryżem. Po dogonieniu podejrzanego pojazdu Morris polecał kierowcy jechać za sobą do najbliższego punktu kontroli wagi, gdzie wypisywał mu odpowiedni mandat i kazał zrzucić na ziemię nadprogramowe worki. Właścicielami ciężarówek byli przeważnie libańscy albo syryjscy biznesmeni z Monrovii, którzy za każdym razem upierali się, że rządowe wagi są sfalszowane. Ponieważ na Morrisie nie robiło to wrażenia, spuszczała z tonu i proponowali załatwić to „małe nieporozumienie” za pomocą łapówki. Morris znał liberalną politykę prezydenta Tubmana w tej kwestii: na kradzieże funkcjonariuszy patrzy się przez palce pod warunkiem, że sięgają do rządowej kasy nie głębiej niż po łokcie. W związku z tym zatrzymywał dla siebie tylko drobny procent zainkasowanej sumy, natomiast etyka zawodowa nie pozwalała mu przyjmować żadnych łapówek. Taka postawa, jak mnie zapewnił, całkowicie zgadzała się z prezydencką zasadą „tylko do łokcia”.

Po długim dniu za kółkiem, na zmianę z Morrisem, czułem, jak szybko uchodzi ze mnie para, a do następnego rządowego kompleksu mieliśmy jeszcze około dwóch godzin jazdy. Morris potrafił niezwykle długo obywać się bez posiłku i snu, dzięki temu, że żuł gorzkie orzeszki koła, ale ja nie. Kiedy wjechaliśmy na otwarty plac w małej wiosce, nasz samochód otoczył rój dzieci wyciągających prosząco ręce. Po wyzbyciu się wszystkich drobnych monet Morris zapytał malców w ich języku o wodza. Pokazali mu grupkę mężczyzn siedzących wokół ogniska przy wieczornym posiłku. Oddzielnie, w pewnej odległości pożywiały się także kobiety.

Nie mogło być pomyłki co do osoby wodza. Starszy mężczyzna siedział na rzeźbionym fotelu, a wszyscy inni na ziemi. Morris przedstawił mu się jako oficer policji i powiedział, że razem z bratem szuka miejsca na nocleg i czegoś do jedzenia. Wódz natychmiast zaprosił nas do towarzystwa jako honorowych gości i zachęcił, abyśmy się częstowali. W centrum kręgu stały dwie gigantyczne misy – jedna z ryżem, druga z mięsem w sosie. Morris szepnął mi, że kiedy wejdiesz między wrony, trzeba krakać jak i one, więc za jego przykładem nabrałem ręką trochę ryżu, zrobiłem z niego kulkę i zanurzyłem w drugiej misie. Pachniało to i smakowało wspaniale, toteż wkrótce wcinałem, aż mi się uszy trzęsły. Nagle zauważyłem, że jeden z mężczyzn otarł sobie ręką pot z czoła, a potem tą samą ręką sięgnął do misy. Od razu jedzenie utknęło mi w gardle. Morris, widząc to, prychnął:

– Nie możesz ich obrażać, rzygając poczęstunkiem!

– Nie wiem, czy się powstrzymam – odparłem, ale dzielnie przeżulem i połknąłem to, co miałem w ustach.

Na wszelki wypadek, gdyby ktoś zauważył moje zmagania, Morris wyjaśnił, że niedawno przyjechałem z „dalekiego kraju białych” i nie zdążyłem przywyknąć do przysmaków afrykańskich.

Później młody chłopak zaprowadził nas do chaty, którą wódz przeznaczył na nasz nocleg. Podłoga i ściany lśniły czystością. Zerkając na obdarte ze skóry trupy jakichś małych zwierzątek z długimi ogonami, które zwisały z belek pod sufitem, zapytałem, co to za jedne.

– Małpy, *sah*. Bardzo pyszne.

Po raz drugi tego wieczoru zebrało mi się na wymioty.

– Kto, u licha, jada małpy? – zastanawiałem się głośno.

– Ty – odparł Morris, nie kryjąc wesołości. – Myślisz, że co przed chwilą jadłeś? Smakowało ci, no nie?

Niechętnie musiałem przyznać mu rację.

– Ojciec ostrzegął mnie, że z ciebie jest niezły gagatek. Teraz wiem, co miał na myśli.

Daliśmy spokój małpom i położyliśmy się spać.

Po jakimś czasie obudziły nas głośne wrzaski. Wyjrawszy na zewnątrz, zobaczyliśmy słup ognia nad sąsiednią chatą. Kilkoro ludzi gorączkowo gasiło go wiadrami wody ze studni, ale bezskutecznie. W ciągu paru minut chatę strawiły płomienie, zostawiając tylko gliniane ściany.

Rano chcieliśmy podziękować wodzowi za gościnę i się pożegnać. Zobaczyliśmy, że zebrała się tam cała wioska. Nasz mały koleżka z poprzedniego wieczoru wyjaśnił, że szykuje się „dużo gadania” na temat pożaru. Podejrzewa się podpalenie i wytypowano już trzech podejrzanych. A ponieważ żaden nie chce się przyznać, wódz poprosił wioskowego szamana, żeby wykrył sprawcę za pomocą czarów.

Ponieważ nie spieszyliśmy się specjalnie, Morris zaproponował, żebyśmy jeszcze zostali i popatrzyli. „Zainteresuje cię to – obiecał – zwłaszcza że wy, Europejczycy wierzycie, że tylko Jezus czynił cuda.”

Przepchnęliśmy się jakoś do pierwszego rzędu. Kiedy wódz ze starszyzną zajęli swoje miejsca, tłum ucichł. Na dany przez wodza znak krąg się rozstąpił i wkroczyło trzech „konstabli” w sfatygowanych mundurach khaki. Każdy z nich prowadził na sznurku jednego podejznanego z rękami związanymi z tyłu. Kazali im usiąść na ziemi pośrodku kręgu.

Na kolejny znak wodza, wśród pomruku uwielbienia, krąg rozstąpił się znowu, przepuszczając drobnego człowieczka z potarganą białą brodą, którego wszyscy nazywali mędrce. Ubrany w luźne białe spodnie i skórzane sandały, na odsłoniętej piersi i plecach miał wymalowane białe znaki. U prawego boku zwisała mu stara kawaleryjska szabla, która mimo zardzewiałego ostrza wyglądała dość groźnie. Kiedy mędrzec obchodził wolno oskarżonych, kilku

mężczyzn zaczęło wznosić wysoki do pasa stos drewna opałowego, który następnie podpalono. Gdy ogień sięgnął szczytu, mędrzec wyciągnął szablę nad płomieniami, potrzymał ją tak przez kilka minut, po czym przyjrzał się jej krytycznie. Zauważyłem, że ostrze przybrało czerwoną barwę, a powietrze wokół niego zawibrowało. Mędrzec przyłożył sobie rozżarzone ostrze do policzków, piersi i pleców bez żadnych niepożądanych skutków. Potem obszedł krąg i zapytał o ochotników. Natychmiast zgłosiło się kilku mieszkańców i nadstawiło pod ostrze policzki, piersi i plecy. Oni także nie doznali żadnych widocznych oparzeń. Wreszcie mędrzec zatrzymał się przede mną i gestem zaprosił mnie, bym przyłączył się do ochotników. Wahałem się, ale wtedy wystąpił do przodu Morris.

– Jeśli nie ty podłożyłeś ogień, to nic ci się nie stanie – obiecał.

– Dlaczego?

– Bo to jest magia. Afrykańska magia.

Ponieważ już raz za sprawą Morrisa doznałem poważnych oparzeń, nie kwapiłem się do dawania mu drugiej szansy, ale ostatecznie ciekawość wzięła górę. Ośmielony tym, co przed chwilą widziałem na własne oczy, pozwoliłem szamanowi dotknąć ostrzem mojego policzka. Poczulem chłód.

Kiedy mędrzec ponownie rozgrzewał szablę, wódz przesłuchiwał krótko oskarżonych, którzy nadal utrzymywali, że są niewinni. Wreszcie dał szamanowi znak, że może kontynuować, a wtedy ten zbliżył się do nich z szablą. Patrzyli na niego z przerażeniem. Szaman błyskawicznym ruchem dotknął ostrzem policzka najpierw pierwszego podejrzanego, potem drugiego, za każdym razem nie zostawiając śladu oparzenia. Zanim jednak zwrócił się ku trzeciemu, ten zerwał się na nogi, wyszarpnął strażnikowi i śmignął przez tłum ze związanymi nadal rękami.

W ciągu kilku minut strażnicy dogonili zbiega i doprowadzili go z powrotem na środek kręgu, gdzie szaman dokończył swego testu prawdomówności, tym razem z zupełnie innym skutkiem. Gdy tylko ostrze dotknęło policzka mężczyzny, ten wydał dziki wrzask, a na jego skórze od ucha do podbródka została żywoczerwona rana. Szaman powtórzył procedurę na drugim policzku – z tym samym rezultatem. Tłum obwieścił swój aplauz głośnym rykiem, a oskarżony przyznał się do winy, po czym go zabrano.

– To, co przed chwilą widziałeś, nazywa się *juju*. Na Haiti mówią na to *voodoo*.

– Nie wiem, jak on to zrobił – przyznałem – ale z pewnością musi to być jakaś sztuczka. Tylko mi nie mów o magii, nie ma czegoś takiego.

Udawałem, że trzymam się tego zdania, ale w głębi duszy nie byłem już taki pewny. Czyżby Afrykanie dysponowali czymś, co przeczy logice Zachodu i można to wyjaśnić tylko czarami? Z czasem dowiedziałem się, że w Liberii niemal wszyscy, z prezydentem włącznie, wierzyli w moc *juju* i obawiali się jej, chociaż ci najlepiej wykształceni woleli się do tego nie przyznawać.

Pewnego dnia Morris postanowił udać się na patrol do Sanniquellie, przy północnej granicy z francuską Gwineą, i przy okazji złożyć wizytę stryjowi Jaiah, jednemu z licznych synów Momolu. Zajmował on wysokie stanowisko komisarza prowincji i reprezentował rząd Liberii w całym przygranicznym okręgu Nimba. Spotkałem go już na pogrzebie ojca i z radością wyczekiwałem okazji do zawarcia bliższej znajomości. Według Morrisa, był to porządny facet, który doszedł do swej pozycji dzięki pracowitości i oddaniu dla służby, a nie poprzez polityczne manipulacje. Mimo to nie cieszył się wielkim szacunkiem wśród reszty rodziny, między innymi dlatego, że chociaż w odróżnieniu od rodzeństwa zachował nazwisko Massaquoi, brakowało mu poloru europejskiego wykształcenia. Innym powodem był fakt, że miał kilka miejscowych żon, na co krzywili się „cywilizowani” Liberyjczycy.

Przy bramie kompleksu złożonego z kilku budynków biurowych, prywatnej rezydencji i wojskowych koszar, sierżant służby granicznej przepuścił nas, prezentując broń. W środku kolejny żołnierz zaprowadził nas do biura. Stryj Jaiah, krępy łyse mężczyzna z dołkami w policzkach, podniósł się z miejsca, gdy tylko nas rozpoznał.

„Cześć, gruba rybo – powitał Morrisa, wyraźnie odnosząc się do jego nowego statusu. – Jak się masz, Hans? – zwrócił się z kolei do mnie, ściskając mi dłoń. – Niestety za niecałą godzinę wyjeżdżam na granicę, gdzie mam spotkanie z jakimiś kolonialnymi urzędnikami z Gwinei. Nie będzie mnie około tygodnia, ale wy możecie zostać, jak długo chcecie. Czujcie się jak w domu.” Przedstawił mnie jednej ze swych żon, smukłej piękności, młodszej od niego o połowę, i polecił jej, aby zadbała o nasz komfort oraz pilnowała, żebyśmy się dobrze odżywiali.

Podczas krótkiej pogawędki zdążył nas zapewnić, że nie pochwala sposobu, w jaki jego brat Nat zarządza majątkiem ojca, zaraz jednak wszedł żołnierz z meldunkiem, że samochód już czeka. Stryj poprosił, abyśmy go znów odwiedzili, po czym wsiadł do jeepa i po chwili zniknął w tumanie kurzu.

## **Miej się na baczności, pułkowniku Sanders<sup>29</sup>**

Kiedy przyjechaliśmy do Monrovii, aby Morris mógł złożyć swój okresowy raport w Komendzie Głównej Policji, dowiedziałem się, że państwo Johnson (on – Liberyjczyk, ona – Niemka), którzy niedawno przybyli z Europy i których zdążyłem poznać w Robertsfield, otworzyli knajpkę. Powitali nas z otwartymi ramionami i z dumą pokazali swój nowy, przytulny lokalik. Knajpka przeważnie pękała w szwach, co – jak wyjaśnił pan Johnson – należało zawdzięczać doskonałemu rosółowi z kury, przygotowywanemu przez jego żonę. Kiedy już każdy z nas pochłonął miskę owego przysmaku, musieliśmy przyznać, że istotnie nie ma sobie równych.

– Obyście mieli rację – odparł pan Johnson – ale na razie mamy pewien problem. Otóż popyt na rosół znacznie przewyższa podaż kur. Gdybym tylko dysponował dostateczną liczbą



kur, to miejsce byłoby żyłą złota.

– Ile pan płaci za jedną kurę? – zainteresował się Morris.

– To zależy od wielkości... Mniej więcej około dolara.

– W takim razie może my z bratem zajmujemy się dostawą?

Przez chwilę myślałem, że mu odbiło. Skąd on chce wziąć kury? Morris pokazał mi na migi, że mam siedzieć cicho. Później uświadomił mi, że w każdej odwiedzanej przez nas wiosce widzieliśmy jakieś stadko drobiu. Moglibyśmy w drodze do interioru ogłaszać we wszystkich osadach, że kupimy od nich tyle kur, ile zdołają dostarczyć, po 50 centów za sztukę. Potem wrócimy do Monrovii i sprzedamy je panu Johnsonowi z pięćdziesięciocentowym zyskiem. Żeby nie wzbudzać niepotrzebnego zainteresowania faktem, że policja z Monrovii zarabia na transporcie kur, postara się, aby nasz przyjazd do miasta odbywał się w nocy.

Plan Morrisa okazał się magiczny. Kiedy następnym razem zjechaliśmy do Monrovii, mieliśmy policyjny pick-up załadowany pod niebo klatkami z gdaczącym drobiem. A gdy pan Johnson wypłacił nam prawie 100 dolarów, wpadliśmy w euforię. „Tylko tak dalej” – prosił.

Postanowiliśmy zainwestować cały nasz dochód w kury i po paru dniach zgarnęliśmy 500 dolarów – czyli jak na tutejsze standardy, prawdziwą fortunę. Rozmawialiśmy już tylko o kurach, marząc o jeszcze większym majątku. Morris poważnie się zastanawiał, czy nie odejść z policji. Kupilibyśmy własny wóz dostawczy i zajęli się już tylko kurzym biznesem. Ale nasze marzenie szybko prysło, gdy dostawcy oświadczyli, że kończy się im towar. Po prostu wykupywali tyle kur, że wieśniacy nie nadążali z hodowlą. W każdej odwiedzanej wiosce liczba oferowanego na sprzedaż drobiu coraz bardziej spadała, aż w końcu usłyszeliśmy: „Przykro nam, ale nie ma już kur”.

To położyło kres naszym nadziejom na tytuł magnatów drobiowych. Ale zanim pogrążyłem się w żalobie po tak wielkiej stracie, mój nastrój otrzymał takiego kopa w górę, jakiego nie zapewniłby żaden tutejszy biznes. Mój przyjaciel konsul Hanson z ambasady amerykańskiej zawiadomił mnie, że został upoważniony do wydania mi rocznej wizy studenckiej do Stanów Zjednoczonych. Kiedy napisałem o tym do ciotki Clary, natychmiast przysłała mi bilet lotniczy za 600 dolarów. Kazała mi jak najprędzej szykować się do podróży i zatelefonować zaraz po wylądowaniu w Nowym Jorku.

Nie potrzebowałem żadnego ponaglenia, zastanawiałem się tylko, dlaczego chce, żebym leciał samolotem, skoro podróż statkiem kosztowałaby znacznie mniej. W końcu doszedłem do wniosku, że skoro zapisała mnie na uniwersytet, wiedząc, że nie mam pieniędzy na studia i nie wolno mi będzie pracować, to pewnie jest bogata. Zresztą bez względu na powody tak królewskiego traktowania, całkiem mi to pasowało.

**W ojczyźnie „odwagi i nadziei”<sup>30</sup>**

22 maja 1950, z obowiązkową sfatygowaną walizką, w której wiozłem mój najlepszy (i jedyny) garnitur oraz dwanaście koszul i krawatów, ze 100 dolarami (pozostałość mojej części kurzego biznesu) w kieszeni, przygotowywałem się w Robertsfield do wejścia na pokład samolotu linii Pan Am do Nowego Jorku. Niecierpliwie wyczekiwałem przyłączenia się do mojego kumpla Wenera Jankesa i innych biednych, udęczonych ludzi, marzących o tchnieniu wolności i zarobieniu jakiegoś dolara.

Moją radość z osiągniętego nareszcie celu mąciła jedynie myśl o rozstaniu z Morrisem. W ciągu ostatnich dwóch lat staliśmy się prawie nierozłączni. Chociaż wychowani w różnych kulturach, na różnych kontynentach, w nieświadomości istnienia tego drugiego aż do dorosłości, czuliśmy się związani bardziej niż niejedni razem dorastający bracia.

Żaden z nas za żadne skarby nie zdradziłby się ze swymi uczuciami, toteż w małej poczekalni dla pasażerów rozmawialiśmy wyłącznie na neutralne tematy.

„Uważaj na siebie, braciszku. – Morris, jak zwykle, nie zważał na dziesięć centymetrów różnicy wzrostu, która w zasadzie to jego predestynowała do roli «braciszka». – I napisz mi wszystko, jak tam sobie radzisz.” Obiecał odwiedzić mnie w Stanach, gdy tylko finansowo stanie na nogi. Ja jednak zęgnąłem go ze smutkiem, bo mając na względzie jego chroniczny brak gotówki, podejrzewałem, że nieprędko się zobaczymy.

Od chwili startu byłem tak zafascynowany nową lotniczą przygodą, że mój ponury, refleksyjny nastrój szybko ustąpił radosnemu oczekiwaniu. Po międzylądowaniu w Lizbonie kontynuowaliśmy lot do Stanów. Im bardziej zbliżaliśmy się do celu, tym mocniej się niecierpliwiłem, zastanawiając się, czy mój idealistyczny obraz Ameryki ma jakiegokolwiek potwierdzenie w rzeczywistości. Chociaż Werner w swoich listach odmalowywał życie w Nowym Jorku w różowych barwach, niektórzy liberyjscy znajomi, w tym Charles Hanson, opowiadali mi o dalekich od ideału stosunkach rasowych i przestrzegali, że mogę nigdy nie przywyknąć do „amerykańskiego obyczaju”.

Te negatywne myśli rozwiały się chwilowo, kiedy we wczesnych godzinach rannych, z prawie godzinnym opóźnieniem, schodziliśmy do lądowania na międzynarodowym lotnisku LaGuardia, a pod nami rozpościerał się dywan miliona świateł. Napisałem Wernerowi, kiedy przylatuję, i niepokoilem się, czy dostał mój list i czy będzie na lotnisku. Ale ledwie stanąłem na ostatnim schodku, jakiś umundurowany pracownik linii lotniczych zapytał, czy nazywam się Hans Massaquoi. Potwierdziłem skwapliwie, na co on wykrzyknął: „Dzięki Bogu! Bo tu jakiś facet nazwiskiem Werner męczy nas od kilku godzin pytaniami, czy już wylądowałeś”.

Werner machał do mnie z daleka, stojąc w tłumie oczekujących. Po zakończeniu kontroli granicznej i celnej mogliśmy się wreszcie uściskać po blisko trzech latach rozłąki. Wyglądał fantastycznie. W odróżnieniu od tego, co nosił w Hamburgu – wściekle niebieskich prążkowanych garniturów i krawatów ręcznie malowanych w piękności w kąpieli – miał na sobie konserwatywny, szary dwurzędowy garnitur ze starannie dobranym krawatem.

Tak samo duże wrażenie zrobił na mnie portier w liberii, który powitał nas przy Riverside Drive 210 jak członków rodziny królewskiej. Zastanawiałem się, jak ze skromnej urzędniczej pensyjki stać Wenera na mieszkanie w tak wielkim stylu, dopóki winda nie zawiozła nas na jedenaste piętro i nie zobaczyłem rozmiaru jego mieszkania. Chociaż mikroskopijne, było jednak bardzo schludne i miało fantastyczny widok na rzekę Hudson oraz nieprzerwany strumień samochodów na Riverside Drive. „Wolę mieszkać w małym apartamencie w dobrej dzielnicy niż w wielkim, ale w slumsie, zwłaszcza przy tej samej cenie” – wytłumaczył mi Werner.

W następnych dniach Werner pokazywał mi swój Nowy Jork: Broadway, Central Park, Empire State Building, Rockefeller Center, Statuę Wolności, Village, Germantown, Chinatown, Bowery i Grand Central Station. Na Manhattanie od razu poczułem się jak w domu. Zupełnie jakbym doświadczał *déjà vu*, jakbym już kiedyś tu był. Wszystko wydawało mi się znajome – prawdopodobnie dlatego, że wcześniej naoglądałem się amerykańskich filmów. Nowy Jork okazał się dokładnie taki, jak się spodziewałem.

Na własną rękę wypuściłem się do Harlemu, gdzie zgodnie z obietnicą daną Charlesowi Hansonowi, miałem odwiedzić jego ojca. I tu właśnie spotkała mnie jedyna niespodzianka. Zamiast niebezpiecznych slumsów z podejrzanymi osobnikami, tak często widywanymi w filmach, zobaczyłem dzielnicę zamieszkaną przez ludzi z klasy pracującej, w typie moich sąsiadów z Hamburga. Różnili się od nich jedynie tym, że tutaj każdy – od listonosza, fryzjera, policjanta czy zbieracza śmieci po szychę w cadillacu cabrio – był czarny. Kiedy chodziłem po ruchliwej 125 Ulicy i nikt nie zwracał na mnie najmniejszej uwagi, po raz pierwszy w życiu miałem okazję przekonać się, co to znaczy „wmieszać się w tłum”. Jednocześnie zdawałem sobie sprawę, że miną lata świetlne, zanim się tu naprawdę zadomowię.

Przed wyjazdem do Chicago Werner kazał mi przyrzec, że jeśli sprawy w Illinois nie ułożą się po mojej myśli, natychmiast wrócę i zamieszkać u niego. W Chicago na dworcu autobusowym czekała na mnie ciotka Clara z córką Martha i jej mężem Rudolphem. Rozpoznałem ich od razu ze zdjęć, które Martha przysłała mi do Niemiec. Clara, chociaż młodsza o trzy lata od mojej matki, wyglądała znacznie starzej i wcale jej nie przypominała. Martha, posągowa brunetka o ładnej, lalkowatej twarzy, i jej mąż, wysoki okularnik w typie naukowca, tworzyli niezwykłą parę. Nie bacząc na wścibskie spojrzenia czarnych i białych gapiów, wszyscy uściskali mnie serdecznie – zdawali się szczerze cieszyć z mojego przyjazdu.

Żeby pomóc mi się zorientować, Rudolph i Martha (mieszkający w Chicago) pojechali z nami na przedmieście Barrington, gdzie mieszkała Clara z najmłodszym synem Williamem. Podczas godzinnej jazdy pociągiem siedziałem obok Rudolpha. Kiedy powiedziałem mu, że nie mogę się już doczekać, kiedy dotrzemy na miejsce, spojrzał na mnie z ukosa i rzekł:

– Wyrazy najgłębszego współczucia.

Aż podskoczyłem na tę uwagę.

– Co masz na myśli?

– Nie mogę ci powiedzieć, ale wkrótce sam się przekonasz.

Miał rację. Od stacji w Barrington szliśmy jeszcze około kilometra wzdłuż torów, mijając szereg szacownych na oko domów, aż dotarliśmy do zapuszczonej posesji, na której stał tandetny niski barak kryty papą.

– To twój nowy dom – szepnął Rudolph. – Witamy w Barrington.

Oślupiałem. Niezdolny wykrztusić słowa, ruszyłem za ciotką do rudery, której wewnątrz nie odbiegało od tego, co sugerował wygląd. Nagle zrobiło mi się żal ciotki, a jednocześnie siebie samego. Jak Clara, która najwyraźniej żyła w nędzy i ledwie mogła się utrzymać, zamierzała przepchnąć mnie przez college? Dlaczego nie była ze mną szczerą? Skąd wzięła 600 dolarów na mój bilet?

Całkowicie nieświadoma myśli, które galopowały mi pod czaszką, ciotka Clara poprosiła, żebym czuł się jak u siebie. „Możesz zająć pokój Hermanna” – powiedziała. Hermann był jej najstarszym synem, który już się ożenił i podobnie jak siostra, przeprowadził do miasta.

Wieczorem, kiedy Martha i Rudolph odjechali, przyszedł Willie. W odróżnieniu od matki i siostry przywitał mnie z nieskrywaną pogardą, co – jak zrozumiałem później – nie miało nic wspólnego z rasą, za to wiele z ekonomią. Postawny dwumetrowy blondyn, który zarabiał na życie przycinaniem drzew, nie robił tajemnicy z faktu, że uważa mnie za kłopotliwe obciążenie dla i tak już nadszarpniętego budżetu matki, która dodatkowej gęby przy stole potrzebuje tak samo jak dziury w moście. Nie mogłem go za to winić, chociaż nie ja odpowiadałem za zaistniałą sytuację. Jedynym błędem, jaki popełniłem, było najwyraźniej mylne przeświadczenie, że ciotka wie, co robi. Gdyby dała mi najmniejszą wskazówkę co do prawdziwego stanu swoich finansów, gdybym wiedział, że pieniądze na mój bilet pożyczyła od wuja Hermanna, najstarszego brata matki, że na swoje nędzne utrzymanie zarabia, sprzątając domy bogatych sąsiadów – nigdy w życiu nie zgodziłbym się na taką nierealistyczną wspaniałość.

Dopiero później zrozumiałem, że osobowość ciotki Clary zasadzała się na przeczącej zdrowemu rozsądkowi wierze, iż „jakoś to będzie”. To właśnie ta naiwna wiara kazała jej zapisać mnie do college’u, chociaż nie miała bladego pojęcia, jak rozwiązać sprawę chesnego. Z tego samego powodu namówiła mnie do aplikowania o wizę studencką, chociaż powiedziano jej, że zagraniczni studenci nie mają prawa do pracy. „Będziemy się o to martwić, jak już tu przyjedziesz” – napisała beztróska. Niestety, gdy sprawy nie potoczyły się tak, jak sobie wyobrażała, zaczęła się rozglądać za kozłem ofiarnym. I padło na mnie.

Przez dwa tygodnie próbowałem układać stosunki z ciotką i coraz bardziej wrogo nastawionym kuzynem. Starając się przystosować do nowego życia w obskurnej norze obok zaможnej, białej społeczności, myślałem z utęsknieniem o beztróskich czasach, kiedy razem z Morrisem włóczyliśmy się po liberyjskich wioskach. Ale akurat wtedy, gdy dumałem nad

bagnem, w jakim się znalazłem, i wysilałem mózgownicę w poszukiwaniu jakiegoś rozwiązania, odwiedziła nas ciotka Hedwig i jej mąż Gust Galske, którzy zapragnęli mnie poznać. Ze swojej małej farmy w pobliskim Bartlett przyjechali formą Model A, prezentem od wuja Hermanna, który zrezygnował już z prowadzenia samochodu. Między ciotką Hedwig, starszą kopią mojej matki, a mną wybuchła miłość od pierwszego wejrzenia. Od razu polubiłem też wuja Gustę, rumianego olbrzyma w kombinezonie, z siwą czupryną i tubalnym głosem. Ku wiecznemu utrapieniu ciotki Hedwig, Gust kłął jak szewc i śmiał się zaraźliwie z własnych ryzykownych dowcipów.

Kiedy wuj rozśmieszał do łez ciotkę Clare, Hedwig wzięła mnie na bok. Okazało się, że jeszcze zanim przyjechałem do Stanów, całkowicie zdawała sobie sprawę, w jak kłopotliwą sytuację się pakuję. „Chcemy z wujem, żebyś na jakiś czas przyjechał do nas na farmę. Mamy tam mnóstwo miejsca i jedzenia. Jeśli zechcesz, ale tylko wtedy, możesz pomagać Gustowi w jego codziennych obowiązkach. Potem zastanowimy się, co dalej.” Miałem chęć ją uściskać.

– Ale jak powiedzieć o tym ciotce Clarze? W końcu to ona ściągnęła mnie do Stanów.

– Już ja to załatwię. Powiem jej prawdę: też jestem twoją ciotką i mam prawo spędzić z tobą trochę czasu, to przecież jasne. Jak znam moją siostrę, na pewno się ucieszy, że będzie cię miała z głowy.

Ciotka Hedwig miała rację. Kiedy powiedziała Clarze, że chce mnie ze sobą zabrać, ta nawet nie mrugnęła okiem, jeszcze pomogła mi się spakować. Żegnając się z nią, miałem niejasne wrażenie, że nasze stosunki właśnie doszły do ściany.

Pomagając ciotce Hedwig karmić kury, a wujowi Gustowi krowy i muły, szybko zapomniałem o kłopotach i wróciłem myślą do wizyt w Salsie. Ciotka Hedwig od początku wydała mi się równą babką, a wuj Gust w niczym jej nie ustępował. Stosunki z kuzynem Johnnym, małomównym weteranem marynarki wojennej z wiecznym cieniem zarostu, a także z jego żoną, ciemnowłosą Shirley, również dobrze się ułożyły. Oni także mieszkali na farmie razem z małym synkiem Johnem juniorem.

Co do ciotki Hedwig, to zwierzyła mi się, że po nieudanym małżeństwie ze szwajcarskim farmerem, alkoholikiem, który przegrał farmę i zostawił ciotkę z dwoma synkami Lotharem i Johnnym, przyjęła posadę gospodyni u kawalera Gustę i jego niewidomej matki. Ta, krótko przed śmiercią, poprosiła Hedwig, żeby została na gospodarstwie i wyszła za jej syna: „Gust to dobry człowiek – przekonywała ją – tylko czasem nieco chropowaty przy brzegach”.

Usłyszawszy to, Gust ryknął:

– Co to znaczy „chropowaty przy brzegach”? Cały problem z babami jest taki, że nie macie za grosz poczucia humoru, prawda, Junior?

I nie czekając na moje potwierdzenie, trzepnął się w udo i wybuchnął gromkim śmiechem, przerywanym okrzykami „Chryste Panie!”. Potem umieścił swą masywną postać na kuchen-

nym krzesła, kielbaskowatymi paluchami zwinął sobie papierosa i zapalił go wielką zapalką, którą potarł o metalowy guzik kombinezonu.

– Za grosz poczucia humoru – powtarzał, napełniając kuchnię kłębamii dymu.

– Widzisz, o co mi chodzi? – zwróciła się do mnie ciotka, przekonana, że Gust pomógł jej postawić kropkę nad „i”.

W pewien weekend odwiedziliśmy wujka Hermanna, najstarszego brata Mutti, o którego hojności dla krewnych tak wiele słyshałem, a także sam jej doświadczyłem. Od razu wspomniałem mu, że gdy tylko będę mógł, zwrócę mu 600 dolarów wyłożonych na moją podróż, ale wuj, krępy siwy mężczyzna, kazał mi spać spokojnie. „Nie przejmuj się tym, zapłacisz, jak będziesz miał. Wiem, że mogę ci zaufać, bo jesteś synem Berthy.”

Miło mi było to słyseć. Chociaż nie widzieli się przez ponad trzydzieści lat, wuj nadal wierzył, że wpoila mi swoją uczciwość. Natychmiast postanowiłem udowodnić mu, że się nie zawiedzie, i jak najszybciej spłacić dług.

Chociaż zdrowy styl życia na farmie zdecydowanie mi służył, nie mogłem zapomnieć, że za cztery miesiące muszę albo zameldować się na Aeronautical University, albo zrezygnować ze statusu studenta. Wykombinowałem, że gdybym znalazł sobie w tym czasie jakąś pracę, chociaż legalnie nie było to możliwe, mógłbym opłacić przynajmniej część chesnego. Poprosiłem więc Johnny’ego, żeby pomógł mi znaleźć coś w Elgin Watch Company, gdzie sam pracował. Odpowiedział, że teraz nie przyjmują nowych pracowników, ale zabierze mnie do odlewni Woodruff and Edwards, także w Elgin, bo słyshał, że szukają operatorów.

Następnego dnia pojechaliśmy tam jego prawie nowym, lśniącym hudsonem. Kiedy Johnny przedstawił mnie jako swojego kuzyna, szef personelu zdziwił się nieco, ale powstrzymał od komentarza. Po dziesięćminutowej rozmowie zaprowadził mnie do hali, gdzie warczały ustawione w rzędach tokarki. Co ciekawe, wszyscy operatorzy byli biali; kilku czarnych ciągnęło ręczne wózki i obsługiwało wózki widłowe. „Zaczynasz w poniedziałek” – oznajmił kierownik i uścisnął mi rękę.

W poniedziałek świeży i rześki zameldowałem się do pracy. Kierownik przedstawił mnie brygadziście, który wytłumaczył mi, co mam robić – chodziło o dość prostą operację cięcia rury na tuleje o określonych wymiarach. Chociaż od hamburskich czasów nie tykałem tokarki, szybko oswoiłem się z korbami i dźwigniami stojącej przede mną maszyny. Matka miała rację, mawiając: „*gelernt is gelernt*” (co nauczone, to nauczone).

Zanim miałem szansę ucieszyć się z tak pomyślnego obrotu spraw, brygadzista przekazał mi przykrą wiadomość: „Naprawdę mi wstyd, że muszę ci to powiedzieć, ale doszły nas słychy, że większość operatorów opuściła stanowiska pracy dlatego, żeśmy cię zatrudnili. Nigdy dotąd nie mieliśmy tu czarnego tokarza”. Dopiero w tym momencie zauważyłem, że z wyjątkiem paru osób hala maszyn świeci pustkami. „Nie powinieneś się martwić – ciągnął brygadzista. – Wydaje mi się, że sobie poradzisz. Po prostu rób swoje, jak gdyby nic się nie stało.

Kierownictwo zajęło bardzo zdecydowaną postawę i poinformowało już operatorów, że jeśli nie wrócą na stanowiska po przerwie na lunch, mogą sobie szukać innej roboty.”

Nie po raz pierwszy zetknąłem się z rasizmem już po obaleniu nazistowskiego reżimu w Niemczech, ale tym razem był to rasizm w amerykańskim wydaniu, i to na rzekomo liberalnej Północy. Wspomniawszy słowa Charlesa Hansona i innych czarnych Amerykanów w Liberii, nie mogłem powiedzieć, że mnie nie ostrzegano.

W porze lunchu siedziałem smętnie przy tokarce, gryząc bez przekonania kanapkę od ciotki Hedwig, kiedy kilku robotników, w tym także kobiet, przyszło na pogawędkę. Zapewnili mnie, że są zdecydowanie przeciwni akcji swoich kolegów i zachęcili, żebym się trzymał, bo nie wszyscy w zakładzie są bigotami.

Podniosło mnie to na duchu, tym bardziej że hala stopniowo zaczęła się wypełniać tymi, którzy postanowili wrócić do pracy. Stanowisko kierownictwa i zwykła przyzwoitość wygrały i po paru dniach incydent poszedł w zapomnienie. Przynajmniej nikt otwarcie nie kwestionował mojego prawa do pracy. Oczywiście decyzja kierownictwa z pewnością nie zmieniła niczych poglądów, wpłynęła jednak znacznie na zachowanie moich współtowarzyszy.

Mając na uwadze uprzedzenia rasowe w Ameryce, z reguły starałem się nie rzucać w oczy, kiedy wujostwo czy Johnny z żoną przyjmowali gości. Zwykle siedziałem wtedy w moim pokoju na górze, ale po jakimś czasie wuj Gust zauważył moją nieobecność na spotkaniach towarzyskich i dodał dwa do dwóch. „Pozwól, że coś ci powiem, Junior, i więcej nie będę tego powtarzał – ryknął. – To jest twój dom. Gównu mnie obchodzi, że komuś to się nie podoba. Następnym razem, kiedy będziemy mieli gości, masz zejść na dół i usiąść razem ze wszystkimi. Gdyby jakiś *Arschloch* (dupek) z Pittsburga kręcił nosem, może iść prosto do diabła.” I w ten obrazowy sposób, wyłożywszy kawę na ławę, trzepnął się po udzie, z okrzykiem: „Niech to szlag!”. Dzięki tej prostej deklaracji od razu poczułem się prawdziwym, mile widzianym domownikiem. Przekonałem się także, że zwykła, ludzka przyzwoitość nie jest funkcją wykształcenia czy religii, ale po prostu kwestią serca.

Wkrótce nadeszła jesień, a wraz z nią rozpoczęcie zajęć na Aeronautical University. Program studiów, zmierzający do uzyskania dyplomu mechanika lotniczego, był podzielony na dwie części: teorię oraz praktykę, odbywaną w hangarze lotniska Midway, w owym czasie najbardziej ruchliwego na świecie.

Ponieważ nie chciałem rzucać pracy w odlewni, przenieśliem się na drugą zmianę. Oznaczało to, że musiałem wstawać bladym świtem, łapać pierwszy pociąg do Chicago's Union Station, przesiadać się do autobusu i uczestniczyć w zajęciach aż do południa. Potem znowu: autobus, pociąg do Elgin, praca od drugiej do dziesiątej wieczorem, pociąg do Bartlett i piesza wędrówka – około półtora kilometra – na farmę tylko po to, żeby następnego dnia powtórzyć cały cykl. Nie minęło wiele czasu, kiedy się zorientowałem, że długo tak nie pociągnę, bo po prostu umrę z wyczerpania. Nie widziałem jednak wyjścia. Gdybym rzucił pracę,

zostałbym bez pieniędzy na chesne i możliwości studiowania. Gdybym rzucił szkołę, straciłbym status studenta i deportowano by mnie ze Stanów.

Akurat kiedy biłem się z myślami, nie wiedząc, co począc, ciotka Hedwig wręczyła mi list od Wuja Sama. Oprócz dość sztywnych pozdrowień list zawierał zaproszenie na badania lekarskie przed komisją poborową w centrum Chicago oraz przypomnienie, że kiedy wydawano mi w Monrovi wize do Stanów, zobowiązałem się stawić przed rzeczoną komisją zaraz po przybyciu na miejsce. To akurat spełniłem, ale wtedy poinformowano mnie, że rejestracja jest czystą formalnością, gdyż jako obcokrajowiec nie podlegam poborowi. Dlatego przepisałem ów list pomyłce urzędnika.

Zamiast jednak – jak się spodziewałem – odesłać mnie do domu, poddano mnie badaniu, uznano, że jestem zdrow jak ryba, i polecono zgłosić się do służby czynnej w dniu 19 lutego 1951, w samym środku wojny z Koreą. Tego dnia, chociaż nie byłem ani obywatelem amerykańskim, ani stałym rezydentem w tym kraju, dogoniło mnie moje dawne marzenie o zostaniu amerykańskim żołnierzem. Mógłbym wprawdzie wykręcić się od poboru, uzasadniając to moim statusem studenta, ale postanowiłem poddać się losowi. Stawienie czoła kulom w Korei wydało mi się bardziej kuszące od śmierci z wyczerpania podczas całodobowej harówki. Przyszło mi też do głowy, że służba w armii Stanów Zjednoczonych przyda mi się w przyszłości jako argument przy staraniu się o obywatelstwo.

Tak więc zaledwie dziewięć miesięcy po wylądowaniu w Nowym Jorku jechałem pociągiem z Chicago do Camp (obecnie Fort) Breckinridge w Kentucky, jako świeżo wcielony rekrut. Jeśli jeszcze miałem jakieś złudzenia co do luksusowego życia amerykańskich żołnierzy, to wyzbyłem się ich całkowicie podczas czternastu tygodni zasadniczego szkolenia w piechocie. Z pewnością nie zauważyłem żadnych luksusów w biegach z wywieszonym językiem, marszach do zdarcia skóry z tyłka i ud, kuleniu się w lisiej norze przed monstrualnym czołgiem i czołganiu w błocie pod świszczącymi nad głową kulami kaliber .50 z karabinu maszynowego.

Wysiłki zmierzające do zrobienia ze mnie żołnierza zostały przerwane, kiedy sierżant kazał mi natychmiast zameldować się u komendanta żandarmerii polowej. Chociaż nie przychodziło mi na myśl nic, czym mogłem się narazić, i tak się zdenerwowałem, kiedy recepcjonistka wskazała mi dwóch cywili, którzy na mnie czekali. Przedstawivszy się jako urzędnicy INS<sup>31</sup>, oznajmili, że szukają mnie, ponieważ nie dopełniłem obowiązku zgłoszenia się do wymaganej przez władze federalne corocznej rejestracji cudzoziemców. Moja studencka wiza się skończyła, więc uznali, że się urwałem, dopóki nie dowiedzieli się od moich krewnych, że wcielono mnie do armii. Zbesztali mnie za „niedopatrzenie” i wspomnieli o możliwości natychmiastowego wszczęcia procedury deportacyjnej. Tego już było za wiele. Dając upust długo tłumionemu gniewowi, powiedziałem, że proszę bardzo, mogą mnie deportować, i tak mam już po dziurki w nosie tej całej armii. Kiedy wspomniałem, że wcale nie trafiłem do



wojska z własnej inicjatywy, tylko po prostu wykonałem rozkaz kogoś, kto nie wiedział, co robi, zaczęli mnie przeproszać. Wystarczy, że mój dowódca poświadczy na piśmie, że jestem dobrym żołnierzem i wartościowym członkiem tej jednostki, i INS zostawi mnie w spokoju, przynajmniej dopóki będę w służbie czynnej. Poprosiłem więc dowódcę o wystawienie zaświadczenia, na co chętnie się zgodził.

Stosunki rasowe w naszych zintegrowanych kompaniach szkoleniowych układały się wyjątkowo dobrze. Czarni rekruci kolegowali się z białymi towarzyszami broni, zawiązało się wiele międzyrasowych przyjaźni. Ale w połowie podstawowego szkolenia doznałem wstrząsu, który zdruzgotał moje gorliwie pielęgnowane zaufanie do Stanów Zjednoczonych. Pewnej nocy, podczas warty, którą pełniłem z jednym z białych kolegów, ten zaczął narzekać, że Żydzi w naszej kompanii (było ich kilku) korzystają z wolnego podczas świąt Bożego Narodzenia tak samo jak podczas świąt żydowskich, natomiast cała reszta ma wolne tylko z okazji tych pierwszych. „Mam już po dziurki w nosie tych pierdolonych Żydów – lamentowałem. – Szkoda, że nie poszliśmy w ślady Hitlera i nie pozbyliśmy się ich.”

Nie wierzyłem własnym uszom. Zawsze zakładałem – dość naiwnie – że Ameryka poszła na wojnę przeciwko Niemcom, żeby położyć kres agresji, zmieść z powierzchni ziemi totalitaryzm i rasizm, wprowadzić na powrót demokrację i uwolnić Żydów. A teraz Amerykanin przemawiał tym samym językiem nienawiści i nietolerancji, który znałem tak dobrze z naziistowskich Niemiec! Z przykrością doszedłem do wniosku, że antysemityzm żył i miał się dobrze również w starych pocziwych Stanach Zjednoczonych.

Próbowałem kumpłowi wyperswadować, że likwidacja milionów ludzi tylko dlatego, że przysługuje im kilka dodatkowych dni urlopu, to raczej ekstremalne rozwiązanie. W odpowiedzi usłyszałem, jaki to ze mnie naiwniak, skoro biorę stronę Żydów. „Po prostu nie znasz ich tak dobrze, jak ja – upierał się. – Inaczej wiedziałbyś, że puściliby cię z torbami, gdybyś tylko dał im cień szansy. My z ojcem pracowaliśmy u Żydów i wynajmowaliśmy u nich mieszkanie.”

Powiedziałem, że nie chcę więcej słuchać tych bigoteryjnych bzdur. Musiało jednak upłynąć nieco czasu, zanim zrewidowałem swoje poglądy do tego stopnia, że nie miałem już potrzeby idealizowania Stanów Zjednoczonych. W tym momencie czułem tylko potworne rozczarowanie do „ziemi wolności i ojczyzny śmiałych”<sup>32</sup>.

Pod koniec podstawowego szkolenia zyskałem kolejny powód do sceptycyzmu wobec amerykańskich zwyczajów. Kiedy nadszedł czas przydzielania rekrutów do stałych jednostek, zauważyłem pewną prawidłowość. Otóż przedziwnym zbiegiem okoliczności wszyscy biali żołnierze dostali przydziały do pokojowej Europy, natomiast czarnych wysłano do rozdartej wojną Korei, gdzie istniało wysokie prawdopodobieństwo powrotu w worku na zwłoki. Niektórzy z czarnych kolegów próbowali indagować białego komendanta na temat tak niezwykłego zrządzenia losu, ale w odpowiedzi słyszeli, że nie ma to absolutnie nic

wspólnego z uprzedzeniami rasowymi, a rozkazy „pochodzą z samego Waszyngtonu”, gdzie wydający je nie mają pojęcia, kto jest czarny, a kto biały. No jasne.

Jako cudzoziemiec niespecjalnie paliłem się do przelewania krwi za Stany Zjednoczone, zwłaszcza że mieszkałem tu krótko i nie korzystałem z przywilejów obywatelstwa. Dlatego gorliwie szukałem sposobu pozostania w tym kraju nieco dłużej. Dowiedziałem się, że są dwie możliwości pozwalające uniknąć zsyłki za morze: Szkoła Oficerska bądź szkolenie powietrznodesantowe w Szkole Piechoty w Fort Benning. Do tej pierwszej nie mogłem aplikować jako nieobywatel, wybrałem więc drugą opcję. Było to – jak zrozumiałem – tylko okresowe rozwiązanie, ponieważ szkolenie powietrznodesantowe trwało tylko trzy tygodnie i nie mogłem przewidzieć, dokąd mnie później skierują.

Do Kentucky jechałem pociągiem razem z Billem Tolerem, mieszkańcem stanu Mississippi, z którym serdecznie się zaprzyjaźniłem podczas zasadniczego szkolenia. Podzielając moją niechęć do zostania mięsem armatnim w Korei, Bill poszedł za moim przykładem i zgłosił się jako ochotnik na spadochroniarza. Żaden z nas nie miał pojęcia, w co się pakujemy.

Na pierwszej zbiórce, tuż po naszym przybyciu do Fort Benning muskularny instruktor w opiętym śnieżnobiałym podkoszulku, wykrochmalonych maskujących spodniach i wypolerowanych na błysk butach do skoków, przytknął nos do mojej twarzy: „Co macie pod nosem?” – ryknął. Nie miałem pojęcia, o co mu chodzi. „Wszyscy, którzy hoduja pod nosem to, co hoduja, mają dziesięć minut, żeby się tego pozbyć.” Zerknąwszy na zegarek, oznajmił, że jest 8.20, a o 8.30 chce nas widzieć z powrotem, gładko wygolonych, bo inaczej...

Wraz z innymi wąsaczami – czyli wszystkimi czarnymi żołnierzami, stanowiącymi połowę plutonu – runęliśmy niczym stado bawołów do koszarowej umywalni, gdzie uzbrojeni w brzytwy pozbyliśmy się naszej dumy i radości. Bill i ja ledwie zmieściliśmy się w czasie. Ci, którzy nie domyślili się, co muskularny miał na myśli, dodając „...bo inaczej”, musieli wykonać dziesięć pompek za każdą minutę spóźnienia.

Po powrocie z pierwszego treningu spadochronowego, który składał się głównie z biegów tak intensywnych, że zsiniały nam twarze, obejrzelśmy sobie z Billem w lustrze efekt naszej porannej działalności i doznaliśmy szoku. Dziwnie obce, nijakie twarze, które na nas patrzyły, w niczym nie przypominały dawnych wspaniałych *machos*. Pocieszałem Billa, że to tylko chwilowe i gdy tylko skończymy szkolenie, wyhodujemy sobie nowe wąsy, ale on wzruszył tylko ramionami. Dla czarnego mężczyzny – wyjaśnił – utrata wąsów to katastrofa, ponieważ czarne kobiety lubią swoich mężczyzn z wąsami. „Uważają, że pocałunek faceta bez wąsów, to jak jedzenie jajka bez soli.” Natychmiast pojąłem w czym rzecz i gdy tylko wojsko pozwoliło mi zapuścić wąsy, już zawsze je nosiłem.

Parę dni później Bill, nie mogąc czy nie chcąc przywyknąć do coraz większych napięć związanych ze szkoleniem, postanowił zrezygnować. Żegnałem go z żalem, bo miałem nadzieję, że razem przejdziemy przez wojsko, ale on podjął już ostateczną decyzję. Zgłoszenie

na ochotnika i tak mu się opłaciło, ponieważ otrzymał nowy przydział i to – uwaga, uwaga – do Niemiec!

Ja również zastanawiałem się nad rezygnacją, kiedy przez trzy lipcowe tygodnie pod rozgrzanym do białości niebem Georgii kontemplowałem nieuchronność opuszczenia samolotu z wysokości 360 metrów. Kadry zapewniały nas, że jeśli spadochron zawiedzie, zawsze możemy wymienić go na dobry, kiedy już znajdziemy się z powrotem na ziemi. Ten dowcip jakoś nie podnosił mojego morale. Ale po paru dopingujących odzywkach oficerów zaciskałem zęby i robiłem swoje, bo bardziej obawiałem się etykiety tchórze niż „spisania na straty” w wypadku spadochronowym. Nieustannie poszturchiwany przez oficerów, którzy utrzymywali nas na krawędzi fizycznego i psychicznego wycieńczenia, osiągnąłem poziom mistrzowski – w trenowaniu karnych pompek, będących podstawą życia desantowca, w przyziemieniu ze spadochronem, czyli upadaniu na ziemię, w ćwiczeniach podwieszenia w spadochronowej uprzęży, zwanych – nie wiedzieć czemu – suitą z *Dziadka do orzechów*<sup>33</sup>, i w końcu w symulowanych skokach z wieży o wysokości 10 i 75 metrów, aby wreszcie oddać pięć kwalifikacyjnych skoków z Air Force C46.

Nigdy nie próbowałem skoków na bungee ani ich nie planowałem, ale założyłbym się, że dreszcz emocji z nimi związany nie może się równać z kopem adrenaliny, jaki czuje się przy skoku prosto w podmuch ze śmigła samolotu. Chociaż ćwiczyliśmy to setki razy na ziemi, w górze było to jednak całkiem inne uczucie, kiedy po osiągnięciu wysokości wyrzutu instruktor ryczał: „Wstać!... Przypiąć się! Cisza do kontroli sprzętu”, a potem do pierwszego skoczka: „Gotów!... Stań w drzwiach!” i wreszcie rzucał komendę: „Skacz!”.

Gdy po raz pierwszy rzuciłem się w otwartą przestrzeń rzadkiego powietrza, poziom euforii – niektórzy nazywają to strachem – doszedł do absolutnego szczytu. Kompletnie zapomniałem o konieczności obowiązkowego odliczania: tysiąc, dwa tysiące, trzy tysiące – przed otwarciem spadochronu. W ciągu paru sekund odkryłem, że mało który widok (jeśli w ogóle) dorównuje piękną kopułę niebios nade mną. Potem wszystko było już czystą przyjemnością, czasa niosła mnie łagodnie ku ziemi, a kiedy dzięki ostrożnemu manewrowaniu udało mi się ominąć drzewa i inne przeszkody, zaliczyłem perfekcyjne przyziemienie. Wkrótce spadochroniarstwo przestało budzić w nas lęk. Baliśmy się raczej wzajemnego podejrzenia o tchórzostwo niż strachu jako takiego.

Na zakończenie kursu prężyliśmy się w naszych mundurach kategorii A i pierwszych w życiu wypolerowanych na błysk butach do skoków, podczas gdy oficer przypinał nam do piersi srebrne skrzydełka wojsk powietrznodesantowych. Jestem pewien, że byłem najbardziej dumny.

Po zaliczeniu kursu otrzymałem wraz z sześcioma kolegami stały przydział do Fort Bragg w Karolinie Północnej. Stacjonowała tam 82. Dywizja Powietrznodesantowa, która w czasie II wojny odznaczyła się w bitwie o Ardeny czy Berlin. Naszą nową jednostką była bateria B

80. Batalionu Powietrznodesantowej Artylerii Przeciwlotniczej, złożona z samych czarnych pod dowództwem kapitana Jeffersona S. Boone'a („Człowieka”), najsroźszego oficera, z jakim się zetknąłem, odkąd nosiłem mundur. Niski, brzuchaty, z wiecznym marsem na twarzy, mógłby uchodzić za czarną wersję mojego nauczyciela angielskiego, Herr Hardena, owej niezapomnianej postaci mojego dzieciństwa. Zamiast powitania kapitan Boone obrzucił nas, nowych, miazdzącym spojrzeniem, od którego, mimo lipcowego upału, poczułem na plecach lodowaty dreszcz, po czym dał nam próbkę swoich małych dziwactw: „Są dwie rzeczy, których nienawidzę z całego serca – obwieścił groźnie, jakby złapał nas na gorącym uczynku na obu tych przestępstwach: – Samowolka i tryper”.

Pierwsza noc jako spadochroniarza całą gębą upłynęła mi niewiele lepiej niż spotkanie z „Człowiekiem”. Gdzieś po północy obudził mnie straszliwy rumor. Ktoś zapalił światło i zobaczyłem, że dwóch moich nowych kumpli napażra się, nie wiadomo o co. Wszyscy się przyglądali, ale nikt się nie wtrącał, kiedy zakrwawieni faceci okładali się pięściami i kopali. Bójka dobiegła końca, gdy jeden z walczących, Oscar Ford, pochwycił drugiego, Roberta Stone'a, i rzucił go ze stromych schodów. Tamten już się nie podniósł, tylko od czasu do czasu pojękiwał. W pierwszym odruchu chciałem biec na pomoc, ale ledwie zrobiłem pierwszy krok, koledzy krzyknęli, że mam „trzymać się z daleka”. Potem ktoś zgasił światło i wszyscy, łącznie ze zwycięzcą, zasnęli, jak gdyby nigdy nic. Ja jednak nie mogłem, cały czas martwiłem się, że ciężko pobity żołnierz nie przeżyje. Rano okazało się, że niepotrzebnie. Jeszcze przed pobudką wszedł Stone, z przekrwionymi, napuchniętymi od walki oczami. W ręku dzierżył stalowy pręt, wyrwany z jakiejś pryczy. Zanim ktokolwiek się zorientował, podszedł do swojego wroga, który siedząc na szafce, polerował buty, i rąbnął go w nasadę karku. Ford bez słowa padł na twarz i znieruchomiał na podłodze tak samo, jak poprzednio Stone. Tym razem pojawił się sierżant i po paru minutach ambulans zabrał Forda w stanie śpiączki do szpitala. Tymczasem żandarmi powlekli Stone'a do aresztu, gdzie zatrzymano go na wypadek, gdyby ofiara nie przeżyła. Ale po paru dniach Ford wrócił i Stone'a uwolniono. Ku mojemu zdumieniu, obaj podjęli swoje obowiązki, jak gdyby nic się nie wydarzyło. Incydent dał mi cenną w nowym środowisku nauczkę: nie ma tu taryfy ulgowej.

Zrozumiałem to jeszcze lepiej kilka miesięcy później, kiedy nasza dywizja znalazła się w konwoju do Teksasu na rozszerzone manewry operacji Longhorn, do tej pory największych ćwiczeń wojskowych zorganizowanych w Stanach. Po jednym z postojów mój kumpel, przesympatyczny facet z Nowego Jorku nazwiskiem Homer Travis, wdał się w kłótnię o łakome miejsce przy kłapie ciężarówki. Kiedy Homer prawem kaduka nie zgodził się zwolnić miejsca, które przed postojem zajmował kto inny, rozwścieczony żołnierz zeskoczył z wozu, złapał kamień wielkości kokosa i rzucił nim w Homera, trafiając prosto w czoło. Zanim nadjechali medycy, Homer nie żył. Za to bezsensowne zabójstwo, zakwalifikowane ofi-

cialnie jako „nieumyślne spowodowanie śmierci” sprawca dostał wyrok ledwie czterech miesięcy więzienia.

W 80. potrójnym batalionie A wartość człowieka i jego pozycję w porządku dziobania określano po prostu według liczby oddanych skoków albo – jak się mawiało – tego, ile razy zaliczył jedwab. Zgodnie z tą miarą, mnie wraz z innymi nowicjuszami po kursie spadochroniarskim relegowano na sam dół i pogardliwie nazywano „pięcioskokowymi charlies”, przez co staliśmy się ulubionym celem dla popisujących się brutalnością osiłków. Było tylko kwestią czasu, kiedy nadejdzie moja kolej. Zdarzyło się to, kiedy żołnierz z imponującą liczbą skoków zdecydował się na osobistą rozgrywkę, zauważywszy na szafce oprawione zdjęcie mojej matki.

– Po co czarnuchowi foto białej baby? – zapytał na tyle głośno, aby wszyscy usłyszeli.

– To moja matka – poinformowałem go surowym tonem, dając do zrozumienia, że ma się odczepić.

– Jakim cudem czarnuch może mieć matkę białaskę?

Zapadła taka cisza, że można by słyszeć, jak szpilka upada. Wszyscy byli ciekawi, jak zareaguję na tę nachalną ingerencję w moje prywatne życie. Świadom, że tylko siłowa odpowiedź ustrzeże mnie przed etykietką tchórza i dalszymi zaczepkami do końca mojej służby w osiemdziesiątce, zdecydowałem dać temu bratu nauczkę, jakiej szybko nie zapomni. Zdając sobie sprawę ze swojej szczytowej formy, rzuciłem się na szydercę i poczęstowałem go kilkoma mocnymi ciosami w głowę, czym bardzo go zaskoczyłem. Od razu ugięły się pod nim kolana i zaliczył glebę. Pochylając się nad nim, poznałem po błędnym spojrzeniu, że przynajmniej na pewien czas stracił bojowego ducha.

– Wyluzuj, brachu, bez urazy – wymamrotał pojednawczym tonem. – Nie musisz zaraz tak się wkurzać.

Dziwne, ale mu uwierzyłem. Mając jednak w żywej pamięci Stone’a i jego stalowy pręt, przez wiele miesięcy nie odwracałem się do niego plecami. Mimo wszystko odniosłem zamierzony skutek: w jednostce rozeszła się wieść, żeby „nie zadzierać z tym czarnuchem z Niemiec”, i rzeczywiście przez całą moją służbę w wojsku nikt się na to nie ważył.

Moje stosunki ze wszystkimi czarnymi żołnierzami z osiemdziesiątki układały się dobrze, mimo ich wiecznej gotowości do „brania się za łby”. Stanowili prawdziwą zbieraninę – od poczciwych wiejskich chłopaków z Alabamy i Missisipi, przez miejskich cwaniaków z Harlemów całej Ameryki, po odcytanych i wykształconych w college’ach. Wszyscy bez wyjątku byli wybitnymi żołnierzami, niezawodnymi kolegami i nieustraszonymi spadochroniarzami, z którymi chętnie „zaliczałbym jedwab”, gdybym kiedykolwiek musiał stawić czoło zamorskiemu nieprzyjacielowi. Służba w jednostce, w której obowiązywała segregacja rasowa, stała się dla mnie równie pouczającym doświadczeniem, jak życie w wojsku jako takie. Szybko pojąłem, że aksjomat tak elokwentnie wyrażony przez Smitty’ego, stewarda z mesy

na „Appleton Victory”, sprawdza się nie tylko w naszym batalionie, ale i w całej 82. Dywizji: „My nie wpierdalamy się w ich sprawy, a oni w nasze”. Ta genialna ocena stosunków rasowych na statku odnosiła się także do życia w Fort Bragg, gdzie nie wiedziała prawica, co czyni lewica. Między pobudką a capstrzykiem wypełnialiśmy swoje obowiązki i prawie nie widywaliśmy białych współtowarzyszy broni, którzy robili dokładnie to samo, ale w innych częściach rozległego terenu. Poza dowódcą batalionu, podpułkownikiem Lawrenceem Linderelem i nielicznymi oficerami, nie kontaktowaliśmy się w ogóle z białymi. Rozkaz prezydenta Harry’ego Trumana dotyczący integracji w siłach zbrojnych nie dotarł jeszcze do sennego Fort Bragg, gdzie obowiązywały południowe zwyczaje. Jim Crow nadal rządził praktycznie we wszystkich dziedzinach, z fryzjerami wojskowymi włącznie. To znaczy, dopóki pewnego dnia generał 82. Dywizji nie postanowił się ostrzec. Zauważył wtedy, że jedyny czarny fryzjer strzyże w razie potrzeby zarówno czarnych, jak białych żołnierzy, natomiast żaden z czwórki białych fryzjerów nie tknie czarnego, nawet jeśli nie ma nic do roboty, a do czarnego kolegi stoi kolejka. Kiedy generał zapytał, dlaczego biali fryzjerzy nie strzygą czarnych, usłyszał w odpowiedzi, że po prostu nie umieją. „W takim razie – oznajmił generał – macie się do rana nauczyć. Jeśli nie dacie rady, możecie się więcej nie pokazywać.” Tylko jeden z całej czwórki stawiał się rano do pracy.

Segregacji jeszcze ściślej przestrzegano w czasie wolnym od służby. Gdy tylko dojeżdżaliśmy do pobliskiego Fayetteville, często tym samym autobusem, biali żołnierze udawali się do licznych knajp przy głównym trakcie, gdzie czekały na nich białe kobiety. My natomiast musieliśmy drałować na koniec miasta, gdzie przy niewybrukowanych ulicach stało kilka zrujnowanych szop, które robiły za nocne kluby. Tam mogliśmy się spotkać z czarnymi kobietami. Oficerowie ostrzegli nas, że gdyby któryś z nas wszedł poza służbę w konflikt z prawem, będzie zdany całkowicie na siebie, bo oni nie mogliby nam pomóc. Ponieważ swego czasu ledwie wymknąłem się z rąk Gestapo, twardo postanowiłem nie mieszać się w żadne głupoty, żeby nie wylądować na dołku u burakowatego szeryfa. Nasłuchałem się zbyt wielu relacji – zapewne w większości prawdziwych – o czarnych żołnierzach, którzy zostali „przykładnie ukarani” albo w ogóle zniknęli bez śladu, bo nadepnęli na odcisk białej władzy.

Większość moich czarnych kolegów poddało się prawom Jima Crowa, a niektórym nawet to odpowiadało. Dla mnie jednak było czymś absurdalnym, że naród, który chwali się swoimi demokratycznymi tradycjami i patrzy z góry na nazistów z powodu ich rasistowskich poglądów, stosuje segregację rasową wobec żołnierzy tej samej armii, szkolonych do walki z tym samym wrogiem. Ale mimo złych przeczuć nauczyłem się godzić zarówno z jasnymi, jak i ciemnymi stronami życia.

Pewnego dnia urzędnik pocztowy z pokoju ordynansów wręczył mi telegram, który uczynił mnie najszczęśliwszym człowiekiem wśród dwudziestu tysięcy żołnierzy 82. Dywizji. Zawierał on informację od matki, że pomyślnie wylądowała w nowojorskim porcie i jest w dro-

dze na farmę swojej siostry Hedwig w Bartlett. Słowa nie są w stanie opisać tego, co czułem. Moment, na który czekałem, odkąd cztery lata wcześniej opuściłem Hamburg i bałem się, że nigdy nie nastąpi, wreszcie nadszedł. Dotarliśmy oboje do Stanów i chociaż nie było nam dane od razu zamieszkać pod jednym dachem, mogliśmy czerpać pociechę z faktu, że przynajmniej nie dzielą nas już granice państw ani ocean.

Dzięki interwencji Czerwonego Krzyża otrzymałem krótki urlop z powodu nadzwyczajnej sytuacji i oto pewnego pięknego letniego popołudnia wysiadłem w Bartlett. Ponad kilometr wiejskiej drogi przebyłem biegiem z ciężkim workiem na ramieniu. Tymczasem matka, znając czas mojego przyjazdu, wyruszyła mi na spotkanie – także biegiem. Gdzieś w połowie drogi rzuciliśmy się sobie w ramiona, co wyglądało jak powtórka klimatycznej sceny z filmu *Wichrowe wzgórza*. Nie widzieliśmy się przez cztery lata... Cztery lata, które wydawały się nam wiecznością.

Niedługo po powrocie do jednostki usłyszałem dobiegające z koszar znajome dźwięki instrumentów muzycznych. Okazało się, że mieszkańcy są członkami Orkiestry Dywizji Artylerii, czarnego odpowiednika czysto białej Orkiestry 82. Dywizji Powietrznodesantowej. W krótkim czasie zdołali mnie przekonać, że dmuchanie w saksofon na paradach jest o niebo lepsze niż kopanie wielkich dołów dla dział artylerii przeciwlotniczej, toteż po takiej zachęcie złożyłem wniosek o przeniesienie do orkiestry. Dwa tygodnie później, po zaliczonym przesłuchaniu, moja prośba została spełniona. Nowe obowiązki okazały się o wiele przyjemniejsze niż dotychczasowe codzienne trudy w syfie artylerii przeciwlotniczej. Składało się na nie głównie polerowanie butów i blachy, udział w próbach, wystawianie i maszerowanie na paradach, granie na koncertach muzyki klasycznej, uczestniczenie w ceremoniach powitalnych różnych waszyngtońskich dygnitarzy na lotnisku i od czasu do czasu wykonywanie jakiegoś ćwiczebnego skoku ze spadochronem.

Niedługo po moim wstąpieniu do orkiestry kazano nam spakować manatki i przenieść się do innych koszar, w pobliżu dowództwa. Integracja sił zbrojnych Stanów Zjednoczonych doszła w końcu do skutku, a wraz z nią także integracja czarnej i białej orkiestry. Pomimo obaw kilku kolegów, którzy nie kontaktowali się dotąd bliżej z białymi, poszło nam całkiem gładko. Ani się obejrzelśmy, jak nasi nowi koledzy i my staliśmy się jak ziarenka grochu w jednym strączku. Z rozbawieniem obserwowałem zapał, z jakim biali starali się przyswoić sobie wymowę „kolorowych”. Zdawało się im, że wystarczy w tym celu poprzedzić słowo na „p” odpowiednio dobranymi przedrostkami. W uszach nas, czarnych, nigdy nie brzmiało to właściwie, ale docenialiśmy dobre intencje kolegów, chłonących „czarną kulturę”. Co ważniejsze, po kilku połączonych próbach nasza świeżo zintegrowana orkiestra nie tylko wyglądała jak jeden zgrany zespół, ale też brzmiała lepiej i mocniej niż dwie oddzielne.

Jedyną rzeczą, która mogła położyć kres mojej niemal błogiej egzystencji, był rozkaz wyjazdu do Korei. Ale nigdy do tego nie doszło. Po odsłużeniu obowiązkowych dwóch lat jako

rekrut w garnizonach południowych stanów, z ich dzielnicami nędzy zarezerwowanymi dla czarnych, doczekałem się zaszczytnego zwolnienia ze służby i zgody na powrót do życia w cywilu.

W następnych latach moje zauroczenie Stanami zostało wielokrotnie poddane ciężkiej próbie. Zacząłem się wtedy zastanawiać, czy moja długo hołubiona wizja Nowego Świata nie była tylko młodzieńczą mrzonką i czy decydując się na przyjazd, nie popełniłem przypadkiem ogromnego błędu.

Niestety przestawienie się na zawód muzyka nie uchroniło mnie od pracy fizycznej. Kraj, który był ojczyzną takich tuzów saksofonu jak Ben Webster, Chick Webb, Ornette Coleman, Dexter Gordon, Coleman Hawkins, Charlie Parker i Johnny Hodges, z pewnością nie rozglądał się za chłopakiem z Niemiec, który mógł się pochwalić najwyżej grą w Trio Ah-Ju Hon Lous. I chociaż z całego serca nie cierpiałem pracy fizycznej, miałem przynajmniej to szczęście, że było jej pod dostatkiem (w tym posada kierowcy dostawczej ciężarówki w magazynie z alkoholem oraz – co za degradacja! – pomocnika operatora w fabryce) i mogłem dzięki niej utrzymać się na powierzchni.

Po kilku latach spłacania należności – w tym za studia dziennikarskie na dwóch uniwersytetach – moje sprawy zaczęły się wreszcie układać i na końcu długiego tunelu zabłysło nagle światelko. Zrozumiałem, że nie tylko przetrwałem, ale wręcz odniosłem sukces, kiedy jechałem z pierwszym poważnym zleceniem dla magazynu „Ebony”: na wywiad z prezydentem niepodległej Gwinei Sékou Touré w domu ambasadora ONZ Adlai Stevensona w Libertyville w Illinois. Kiedy obydwie osobistości zasiadły do ożywionej rozmowy ze mną – „rasowym wyrzutkiem” z hitlerowskich Niemiec, przemknęło mi przez myśl, że jednak mój przyjazd do Ameryki nie był takim złym pomysłem.

## **Z powrotem w Niemczech**

Był rok 1966. Minęło osiemnaście lat, odkąd opuściłem powojenne Niemcy, by szukać szczęścia najpierw w Afryce, potem w Stanach. Z Chicago do Frankfurtu podróżowaliśmy samolotem Boeing 707 linii Lufthansa na wysokości około 9 tysięcy metrów. Jak zwykle podczas długiego lotu zapadłem w sen.

– Dobrze się pan czuje? – zatroskany głos stewardesy przerwał mój sen o mrozącym krew w żyłach wydarzeniu sprzed dwudziestu lat, kiedy to o mały włos nie zlinczował mnie tłum, który wziął mnie za amerykańskiego pilota.

– Nic mi nie jest – zapewniłem młodą kobietę, ocierając pot z twarzy.

– Dać panu poduszkę?

– *Ja, bitte, wenn's Ihnen nichts ausmacht* (Tak, poproszę, jeśli to nie kłopot.) – popisałem się moją nieskazitelną niemczyzną, ubawiony zaskoczeniem stewardesy. Dawno odkryłem, że po Afroamerykanach nikt nie spodziewa się wolnego od akcentu niemieckiego.



Wkrótce miałem znowu być w Niemczech, kraju mojego urodzenia, który opuściłem bez żalu. Nadal dźwięczały mi w uszach szydercze śpiewy dzieci: *Neger, Neger, Schornsteinfeger!*

Przez te dwie dekady spędzone z dala od ojczyzny dużo wydarzyło się zarówno w moim życiu, jak i na całym świecie. Po okresie szarpaniny i „spłacania należności” okopałem się wygodnie w klasie średniej, poślubiłem Afroamerykankę wolnego zawodu i zostałem dumnym ojcem dwóch uroczych synków. Starszy miał teraz dziesięć lat, młodszy sześć. Oprócz dyplomu wydziału dziennikarstwa na University of Illinois i dobrze płatnej posady redaktora naczelnego w magazynie „Ebony”, dorobiłem się domu w jednej z „pożądanych” dzielnic Chicago oraz kredytu, który wykluczał jakąkolwiek myśl o wcześniejszej emeryturze. Krótko mówiąc, zrealizowałem swoje amerykańskie marzenie.

Koła boeinga uderzyły głucho o pas. Nadeszła dawno oczekiwana chwila. Przez wiele lat dobrowolnego wygnania często zastanawiałem się, czy postawy rasowe w postnazistowskich Niemczech uległy zmianie i czy tak zwani nie-Aryjczycy doczekali się wreszcie sprawiedliwości.

Setki pytań kłębiły mi się w głowie. Teraz, kiedy Niemcy odzyskali władzę we własnym kraju, czy zmieniło się ich nastawienie do czarnych? Czy dręczy ich poczucie winy z powodu eksterminacji sześciu milionów Żydów oraz innych mniejszości rasowych i etnicznych? Czy nowo zdobyty sukces materialny i członkostwo w NATO rozbudziły w nich bezwzględność i ożywiły dawną butę? Miałem trzy tygodnie, aby się o tym przekonać.

Pierwsze wrażenie z nowoczesnego frankfurckiego lotniska okazało się niezwykle intensywne. Wmieszawszy się w tłum pasażerów, wpadłem w wirującą masę kolorów i kakofonię języków. Terminal roił się od ludzi ze wszystkich zakątków ziemi, tworzących typowy kosmopolityczny tłum, jaki można spotkać na skrzyżowaniach międzynarodowych szlaków całego świata. Ale dla podróżnego, który pamiętał tylko obskurne, beznadziejne Niemcy końca lat czterdziestych, bez portów lotniczych, samolotów i ruchu pasażerskiego, był to widok nieoczekiwane krzepiący.

Po wygodnej siedmiogodzinnej podróży pociągiem dotarłem do miasta mojego urodzenia. „*Hamburg Hauptbahnhof!*” – obwieścił w korytarzu konduktor w niebieskim mundurze. Pociąg z głośnym zgrzytem kół szarpnął i stanął.

Wciąż mając w oczach obraz spalonego miasta, zupełnie nie spodziewałem się tego, co zobaczyłem. Hamburg, z którego wyjechałem, był jedną wielką ruiną. Między pustymi szkieleciami domów snuli się ludzie zdemoralizowani przez głód i klęskę, z trudem wiążący koniec z końcem dzięki potajemnym transakcjom na czarnym rynku. W tamtym mieście kobiety sprzedawały swoje ciała za parę nylonów, matki wymieniały względy nastoletnich córek za jedzenie, a mężowie uczucia żon za paczkę papierosów. Nawet gdyby Brytyjczycy przewi-

dzieli dalekosiężne skutki swoich nalotów, nie mogliby wymyśleć stosowniejszej nazwy niż „Gomora”.

Nie mieściło mi się w głowie, że ktoś jednak potrafił poskładać Hamburg na powrót do kupy. Spodziewałem się zobaczyć ledwie odbudowaną Gomorę, a tymczasem miałem przed sobą zapierającą dech w piersiach metropolię z jasno oświetlonymi bulwarami, po których zderzak w zderzak sunął niekończący się strumień błyszczących aut. Całymi kilometrami ciągnęły się tętniące życiem ulice z rzędami sklepów, gdzie nieustannie kłębił się tłum dobrze ubranych klientów.

Na modnej Jungfernstieg, hamburskim odpowiedniku nowojorskiej Piątej Alei, spragnione rozrywki chmary ustawiały się w kolejce pod markizami kina, na którym wielkie litery krzyzczały: *WAS GIBT'S NEUES, PUSSY?* (Co nowego, kotku?), przypominając o wszechobecnych amerykańskich wpływach. Szeroko nagłośniony cud gospodarczy Niemiec, dokonany dzięki nabijanej dolarami czarodziejskiej różdżce Wuja Sama i utrzymany dzięki niemieckiej pracowitości, bynajmniej nie mógł uchodzić za przesadę.

Ale były też inne, zupełnie odmienne widoki. Dotarwszy do mojej dawnej dzielnicy na północy miasta, stanąłem jak zamurowany przed kraterem ziejącym na pustej posesji, gdzie w pamiętną letnią noc mój dom został zmieciony z powierzchni ziemi w ataku bombowym. Najwyraźniej „cud” tu jeszcze nie sięgnął. Zatrzymałem się też na krótko w miejscu dawnego schronu, gdzie przeżyłem najgorszy nalot, ten, który zmienił moją dzielnicę w piekło. Wspominałem zwęglone trupy nieszczęśników, którzy nie zdążyli się ukryć. Stał tam teraz błyszczący nowością kompleks mieszkalny z zielonymi placami zabaw, gdzie dzieci bawiły się w te same stare, znane mi od dzieciństwa gry. Wręcz marzyłem w duchu, żeby któreś z nich zaśpiewało *Neger, Neger, Schornsteinfeger*, po prostu przez pamięć dawnych czasów. Ale albo niemieckie dzieci się zmieniły, albo ja nie przyciągałem ich uwagi. Niczym współczesny Rip van Winkle<sup>34</sup> chodziłem po tych prawie obcych ulicach, na których dawniej znałem każdą latarnię, każde drzewo, każdą twarz. Nikt z przechodniów mnie nie rozpoznawał i ja także nie rozpoznawałem nikogo. Dla mnie, swego czasu celebryty Barmbeku, którego każdy znał – jeśli nie z nazwiska, to przynajmniej jako *der Negerjunge* – było to coś przedziwnego. W tym momencie dotarło do mnie w pełni słynne stwierdzenie Thomasa Wolfe'a: „Nie ma powrotu do domu”<sup>35</sup>.

Poszedłem na stary cmentarz Ohlsdorf, aby oddać cześć 41 tysiącom hamburczyków, którym nie poszczęściło się tak jak mnie podczas nalotów w lipcu 1943 i którzy stracili życie w rozszalałym piekle. Stałem w oszołomieniu, patrząc na ciągnące się w nieskończoność regularne prostokąty masowych grobów, oznaczone tylko nazwą dzielnicy, w której znaleziono szczątki – często tak spalone, że niemożliwe do rozpoznania. Spacerując po spokojnych, pięknie utrzymanych alejkach, zastanawiałem się, czemu oszczędzono mi tego losu i czemu osoby leżące w tych grobach spotkała taka straszliwa śmierć.

Jako czarnego osobnika urodzonego w Niemczech najbardziej ze wszystkich grup społecznych interesowała mnie rosnąca populacja tysięcy tak zwanych brązowych dzieci, przeważnie nieślubnych potomków czarnych żołnierzy amerykańskich i niemieckich kobiet. Przy przeciągającej się okupacji kraju przez wojska amerykańskie, rósł wpływ „starej czarnej magii” na niemieckie dziewczęta, co owocowało coraz większą liczbą brązowych dzieci. Władze Niemiec Zachodnich uparcie twierdziły, że nie odnotowują przynależności rasowej i że wszystkie osoby urodzone w Niemczech są bezwzględnie równe wobec prawa. Z kolei władze amerykańskie całkowicie umyły ręce od pozamałżeńskich dzieci spółdzonych przez swoich żołnierzy, ponieważ miały one niemieckie obywatelstwo.

Aby dowiedzieć się o nich czegoś więcej, wybrałem się do Ala Hoosemana, podobno największego znawcy tematu. Zamieszkały obecnie w Monachium, dawny zawodnik wagi ciężkiej z Waterloo w Iowa był założycielem i prezesem organizacji Help for Colored and Parentless Children. Do Niemiec przyjechał w roku 1950, aby podtrzymać swoją upadającą karierę bokserską, ale kiedy dostał rolę ojca „brązowego dziecka” w niemieckim filmie *Schwarzer Engel* (Czarny anioł), tak go poruszył los tych dzieci, że zawiesił rękawice na kołku i poświęcił się sprawie na dobre. W trakcie pracy, między dodatkowymi występami w filmie i na scenie, zakochał się w Niemczech i Niemcach, więc postanowił zostać tu na stałe. W czasie kiedy dotarłem do Hoosemana, był już w Monachium znaną osobistością, którą rozpoznawał i szanował każdy, łącznie z burmistrzem.

„Proszę wejść – rozległ się tubalny głos, po czym stanąłem przed obliczem brązowego brodatego olbrzyma między czterdziestką a pięćdziesiątką. – Ale niech się pan nie rozgląda” – ostrzegł mnie, prowadząc do zagraconej kawalerki, której ściany prawie całkowicie pokrywał fotograficzny zapis życia właściciela. Wisiały tam zdjęcia z jego walk, spotkań z różnymi celebrytami, od Eleanor Roosevelt do Martina Luthera Kinga, a także z brązowymi dziećmi.

Rozdając na oślep ciosy wyimaginowanym celom i jednocześnie torując sobie kopniakami drogę przez bałagan, Hooseman przede wszystkim przypomniał o kilku swoich sukcesach na ringu, po czym dał upust starym pretensjom do Joe Louisa: miał żal do Brown Bombera za to, że po jego nokaucie na pokazowym meczu doznał urazu oka i musiał zakończyć karierę. Następnie przeszedł do swojej pracy społecznej. Jego poznaczona bliznami, nadal jednak przystojna twarz drgała z emocji, kiedy tłumaczył, jak bardzo przygnębia go fakt, że wszystkie jego wysiłki utknęły w martwym punkcie z powodu braku funduszy. „Gdybym tylko mógł dorwać się do jakiejś forsy... na początek wystarczyłoby choćby 10 tysięcy dolarów. Pokazałbym im, co można zrobić. Niestety skromne fundusze, które dotąd zebrałem, nie wystarczają nawet na zatrudnienie profesjonalnej pomocy i utrzymanie organizacji. Ale największy problem – ciągnął – polega na tym, że większość matek i dziadków tych dzieci należy do grupy o niskim dochodzie. W tej sytuacji dzieci wchodzą w życie nieprzygotowane do współzawodnictwa z tymi, które korzystają z dóbr dostępnych zamożnym rodzinom.

Niemcy to kulturalny kraj sztuki, muzyki i literatury. Każde dziecko, które nie ma o tym pojęcia, od razu jest odrzucane. Zasiłki z opieki społecznej wystarczają ich opiekunom tylko na zaspokojenie podstawowych potrzeb i nie ma mowy o rozwijaniu jakichkolwiek talentów.

Inną nieszczęśliwą okoliczność stanowi świadomość klasowa Niemców. Zbyt często w tym kraju człowiek na zawsze pozostaje w klasie swego urodzenia. To samo dotyczy brązowych dzieci. I tak w największym skrócie wygląda problem wielu z nich. Nie jest to kwestia rasy, gdyż w Niemczech każde dziecko urodzone w biednej rodzinie lub poza małżeństwem staje wobec tych samych trudności. Ogólnie rzecz biorąc, te dzieci są akceptowane jako jednostki. Powiedziałbym bez wahania, że czarne dzieci z podobnych rodzin w Stanach nie mogą nawet marzyć o takiej społecznej akceptacji jak tutaj. Co do mnie, to nie zarabiam wiele, a role filmowe trafiają mi się ostatnio coraz rzadziej, ale przynajmniej mam spokojne sumienie. Jakoś bardziej przemawia do mnie ten mocny, staromodny uścisk dłoni niż amerykańskie poklepywanie po ramieniu i to ciągle «Cześć, stary!».

Po odwiedzeniu większych miast Niemiec Zachodnich, stwierdziłem jeden nieodwracalny fakt: dawna Trzecia Rzesza, ta świątynia pozornego kultu rasowej czystości, przestała być „biała”. Niezależnie od dzieci czarnych żołnierzy, nie sposób było przejść ulicą, aby nie zobaczyć kolorowych Amerykanów, Afrykanów, Latynosów i Hindusów. Wszechobecni, na luzie, tak wtopili się w niemiecki krajobraz jak *Knackwurst*, piwo i samochody marki Mercedes-Benz. Kontrastowało to mocno z rasową sytuacją pod koniec wojny, kiedy sam widok czarnoskórej osoby na ulicy był sensacją.

Nowej generacji Niemców wyraźnie spodobała się kalka amerykańskiego stylu życia. Najbardziej przejawiało się to w fanatycznym powielaniu przez młodych amerykańskiej mody, tańca i muzyki, zwłaszcza soulu i jazzu. W odróżnieniu od czasów nazizmu, kiedy granie i słuchanie jazzu było prostą drogą do paki, teraz ten rodzaj muzyki cieszył się całkowitą aprobatą. Z wystaw sklepowych w całym kraju pozdrawiały mnie twarze czarnych jazzmenów i muzyków pop, cieszących się wreszcie w Niemczech taką samą popularnością, jak w Stanach.

„Posłuchaj tylko, jak te koty ciągną dźwięk. Mógłbyś pomyśleć, że jesteś w jakiejś spelunie Harlemu” – zauważył jakiś czarny żołnierz, kiedy razem zaglądaliśmy do zatłoczonej monachijskiej dyskoteki. Przez kilka minut przyglądałem się zafascynowanym twarzom nowego pokolenia Niemców, którzy podrygiwali, skakali i szaleli przy beatowych rytmach Counta Basiego<sup>36</sup>. Mając żywo w pamięci sztywne przytupywanie brunatnych koszul z mojego dzieciństwa i szyderstwa, jakie musiałem znosić z powodu koloru mojej skóry, czułem, jak wzbiera we mnie nowa nadzieja dla kraju mojego urodzenia.

## Refleksje

Niestety, od czasu kiedy miałem możliwość poczynić te obserwacje, czyli od roku 1966, wszystko się znowu zmieniło. Poważny wzrost przestępstw na tle rasowym i rosnąca liczba grup neonazistowskich sprawiły, że moje optymistyczne wrażenia odeszły w siną dal.

Może i przesadą byłoby twierdzić, że pod względem rasowym Niemcy wróciły do punktu wyjścia, ale pozostaje smutnym faktem, że rasizm w Niemczech bynajmniej nie odszedł w niepamięć. W roku 1997 spotkałem się z około setką młodych czarnoskórych ludzi urodzonych w Niemczech, różniących się między sobą zarówno wykształceniem, jak i pochodzeniem społecznym czy sytuacją ekonomiczną. Wszyscy należeli do organizacji Initiative Schwarze Menschen in Deutschland (Przedsiębiorczy Czarni Niemcy) i przekonali mnie, że wciąż jeszcze potrzeba wiele pracy – ze strony rządu federalnego i sektora prywatnego oraz poszczególnych obywateli – aby zapewnić całkowitą równość, a także integrację społeczno-ekonomiczną głównego nurtu społeczeństwa niemieckiego z desantem Afrykanów oraz innych mniejszości rasowych. Tylko poprzez nieustanną zdecydowaną czujność Niemcy mogą zapobiec powtórce koszmaru Holokaustu.

Mam nadzieję, że moja opowieść przekaże nieuniknioną lekcję, jaką wyciągnąłem z fragmentu historii, którą oglądałem na własne oczy z nieznośnie bliskiej odległości: skoro wydarzyło się to raz, może wydarzyć się znowu. A jeśli mogło się to wydarzyć w Niemczech, kraju wychowanym na mądrości takich intelektualnych gigantów jak Goethe i Schiller, wzbogaconym ponadczasowym dorobkiem takich muzycznych geniuszy jak Beethoven, Bach i Brahms – może wydarzyć się wszędzie.

Takie same brutalne pogromy w imię rasy, religii czy etnicznej czystości i dominacji plemiennej praktykowali już na nowo Afrykanerzy w Afryce Południowej, Serbowie w Kosowie, Tutsi w Rwandzie, a także protestanci i katolicy w Irlandii Północnej, że wymienię tylko kilka przykładów. Z początku szerzycielom rasizmu wystarczała niema przychylność opinii publicznej. W przypadku nazistowskich Niemiec, najpierw naród, a później cały świat, przymykał oko na poważne naruszenia praw człowieka, aż wreszcie było za późno, by powstrzymać architektów rasowego szaleństwa przed wprowadzeniem w czyn ich niegodziwego programu. Ten smutny rozdział historii sugeruje, że nigdy nie jest za wcześnie na konfrontację z bigoterią i rasizmem, bez względu na to, gdzie, kiedy i jak podniesie swój ohydny łeb. Należy przyjąć zasadę „zero tolerancji” dla nawet najmniejszego śladu rasistowskiej myśli.

Ci z nas, którzy doświadczyli deprawacji, do której kraj mógł się zniżyć pod wpływem sterowanych przez rząd bezwzględnych manipulatorów, są winni innym ludzkim istotom za chowanie na zawsze w pamięci publicznej tego potwornego widma.

## **Gdzie są teraz?**

Ludzie często mnie pytają, co stało się z rozproszoną grupą krewnych i znajomych z Niemiec, Liberii i Stanów, którzy swego czasu odegrali mniej lub bardziej istotne role w moim

życiu. Ponieważ wojna pochłonęła wiele ofiar, zarówno wśród personelu wojskowego, jak ludności cywilnej, a po zbombardowaniu Hamburga i innych miast niemieckich nastąpiła fala masowych migracji, los wielu z nich pozostaje wciąż nieznany. Z wieloma osobami utraciłem kontakty tylko z powodu odległości. Mogę się jednak uważać za szczęściarza, bo udało mi się utrzymać bliskie więzy z częścią krewnych i przyjaciół, a w kilku przypadkach je odnowić, mimo wieloletniej przerwy.

Dwie siostry mojej matki, Clara i Hedwig, oraz jej najstarszy brat Hermann, którzy pomogli mi zapuścić korzenie w Stanach, nie żyją. Oprócz wuja Hermanna, który aż do śmierci nie założył rodziny, pozostała mi po nich cała armia bliższych i dalszych kuzynów.

Podczas częstych podróży służbowych do Niemiec dla „Ebony” zwykłem odwiedzać w NRD moją owdowiałą Tante Grete, która wraz z wnuczką Karłą, jej mężem Bernardem i ich dwiema córkami mieszkała w Nordhausen. Chociaż odkąd wkroczyła w wiek średni, co roku przewidywała swą rychłą śmierć, okazała się złym prorokiem, gdyż dożyła prawie dziewięćdziesiątki. Jej córka Trudchen, którą w czasie wakacji w górach Harzu traktowałem prawie jak siostrę, umarła w młodym wieku, znacznie przed swoją matką.

W połowie lat sześćdziesiątych spotkała mnie wielka niespodzianka: biuro sekretarza obrony Roberta McNamary zaprosiło mnie na przyjęcie w chicagowskim hotelu Sheraton, wydane na cześć czcigodnego Morrisa W. Massaquoia, liberyjskiego wiceministra obrony i kilku towarzyszących mu generałów. Kiedy po przejściu przez bramki ochrony wpuszczono mnie wreszcie do apartamentu mojego brata, czekało mnie tam kolejne zaskoczenie. Zamiast żylastego inspektora policji powitał mnie korpulentny, starannie ubrany dżentelmen, który w otaczającym go przepychu zdawał się czuć jak u siebie. Obaj nie mogliśmy się dość nadziwić olbrzymiemu skokowi, który wyniósł nas z nędznej, zaszczurzonej budy do prawdziwego komfortu i powszechnego uznania.

Po śmierci prezydenta Tubmana w 1971 roku wybrałem się do Monrovii na jego pogrzeb jako sprawozdawca „Ebony”. Leciłem rządowym samolotem razem z oficjalną delegacją państwową, która miała reprezentować prezydenta Richarda Nixona. Po wylądowaniu na międzynarodowym lotnisku Robertsfield po raz kolejny spotkałem się z Morrisem. Monrovia, podobnie jak mój brat, przeżywała okres świetności. Z sennego miasta, jakie zapamiętałem, przedzierzgnęła się w tętniącą życiem metropolię z ciągłą zabudową i korkami na ulicach.

Patrząc na wystawione ciało prezydenta, wspominaliśmy z Morrisem, jak wysłuchał naszej skargi, kiedy odkryliśmy, że stryj Nat nas ograbia. Dowiedziałem się od brata, że stryj zmarł w 1962 roku po ciężkiej chorobie, a batalię o majątek podjęła ciotka Fatima, która zębami i pazurami walczyła o schedę po naszym ojcu. Pogratulowałem sobie w duchu, że dawno zapomniałem o tym dziedzictwie, zwłaszcza że i Morris nie zyskał niczego oprócz wielu lat przykrości.

Podczas krótkiego pobytu w Monrovi Morris, jako komendant Straży Przybrzeżnej, zabrał mnie osobiście na „rejs lustracyjny” jednym ze swoich szybkich kutrów. Opowiedział mi wtedy o swojej prywatnej wojnie ze Stephenem Tolbertem, młodszym bratem nowego prezydenta i prezesem rodzinnej firmy rybackiej. Morris upierał się, że prywatna flota Tolberta korzysta z doków Straży Przybrzeżnej.

– Za każdym razem, kiedy przyłapuję ich łodzie w naszych dokach, każę je konfiskować na jego koszt.

Kiedy przekonywałem go, że nie powinien narażać się bratu aktualnej głowy państwa, Morris po prostu mnie wyśmiał:

– Nie bój nic. Tolbert zostanie tylko do końca kadencji, potem się go przegłosuje. Wszystko już jest przygotowane.

Ponieważ wcześniej przeprowadziłem z prezydentem Williamem Tolbertem wywiad na wyłączność, w którym zapewnił mnie, że zamierza kontynuować politykę Tubmana, nie byłem tego taki pewien.

– Może i tak – odrzekłem – ale nadal uważam, że powinieneś być ostrożniejszy wobec jego brata.

Niestety moja rada okazała się mocno spóźniona. Gdy tylko wróciłem do Chicago, dowiedziałem się, że prezydent Tolbert zwolnił sporą liczbę urzędników nominowanych przez poprzednika, a wśród nich także Morrisa.

Z perspektywy czasu ta dymisja wyszła mi na dobre, ponieważ dzięki niej nie znalazł się na linii ognia, kiedy dziewięć lat później Samuel Doe w krwawej masakrze usunął prezydenta Tolberta i innych czołowych polityków z liberyjskiej klasy rządzącej. Morris tymczasem wiodł spokojne życie biznesmena, od czasu do czasu odwiedzając mnie w Stanach, dopóki w roku 1985, w wieku sześćdziesięciu ośmiu lat nie upomniła się o niego śmiertelna choroba. Jego gorące życzenie odzyskania spadku po ojcu do końca pozostało niespełnione.

Wierny swojej decyzji, by trzymać się od tej sprawy z daleka, nie wspominałem o niej także podczas krótkiej wizyty u ciotki Fatimy, która była dziekanem Uniwersytetu Liberyjskiego i jednym z najbardziej szanowanych wykładowców w kraju. Z dumą poinformowała mnie, że jej córka Püppchen studiuje w Niemczech. Od Fatimy (zmarłej w roku 1978), dowiedziałem się, że Ma Sonii po śmierci męża przeprowadziła się do Monrovi, gdzie umarła w roku 1958. Z Fritzem i Fasią straciłem kontakt aż do roku 1991. Po zamachu sierżanta Doe przenieśli się do Knoxville w Tennessee, gdzie Fritz wyrobił sobie pozycję jako artysta i diler dzieł sztuki. Oboje z Fasią zamieszkali w pobliżu swoich dzieci i wnuków; wydaje się wątpliwe, żeby jeszcze wrócili do Liberii. Ich matka Ma Rachel i brat Arthur, dawny dyrektor Biura do spraw Kopalń i Geologii, zmarli odpowiednio w roku 1986 i 1984.

Podczas całej tej odysei przez trzy kontynenty nigdy nie straciłem kontaktu z moim starym współpiskowcem Wernerem Jankesem, który ponad pół wieku temu pokazał mi, jak się

robi interesy na hamburskim nabrzeżu, i któremu częściowo zawdzięczam swoją obsesję na punkcie Ameryki. Od chwili mojego przyjazdu do Stanów w maju 1950 roku aż do dziś podtrzymywaliśmy naszą przyjaźń poprzez telefony, kartki świąteczne i okazjonalne wizyty. Werner rozwiódł się, ożenił po raz drugi, ma dorosłą córkę. Przez wiele lat pracował w jednej z większych linii lotniczych, a teraz razem z żoną Birgid żyje szczęśliwie na emeryturze w słonecznej Kalifornii.

Na największą szychę z mojej starej paczki wyrósł nie-Aryjczyk Ralph Giordano. Rozczarowany do partii komunistycznej, której służył przez jedenaście lat jako korespondent i publicysta, został popularnym prezenterem telewizyjnych filmów dokumentalnych, a następnie kronikarzem własnej rodziny. W książce *Die Bertinis*, wydanej w roku 1982, opisał historię ich przetrwania pod rządami nazistów, odnosząc swój pierwszy sukces literacki. Powieść, w której unieśmiertnił też niejakiego Mickeya Massakona, stała się w Niemczech bestsellerem, rozślawiając nazwisko Giordano i czyniąc Ralpha bogaczem. Po śmierci pierwszej żony ożenił się powtórnie i mieszka z żoną Rosie w Kolonii, wypuszczając na rynek kolejne książki na tak rozbieżne tematy jak Izrael, Irlandia i Niemcy (dawne i obecne). Jego rodzice już nie żyją, podobnie jak starszy brat Egon (zmarł na atak serca niedługo po sukcesie pierwszej książki Ralpha w roku 1982) i urodzona po wojnie siostra Gabriela. Młodszy brat Rocco nadal mieszka w Hamburgu.

W roku 1992, po przeczytaniu artykułu o mnie w hamburskiej prasie, odezwała się Erika, moja towarzyszka zabaw z dzieciństwa. Puściwszy w niepamięć swoją wschodzącą karierę czteroletniej striptizerki, córka Waltera Schmedemanna, późniejszego senatora, została gospodynią domową, żoną, matką i babką Haralda Stobbe, obecnie emerytowanego pracownika ochrony. Podróżuje do różnych egzotycznych miejsc na całym świecie, odwiedza także mój dom w Stanach, a resztę czasu spędza w zaciszu domowym w Hamburgu-Fuhlsbüttel.

Inge, która jako ostatnia zdobyła moje serce przed opuszczeniem Niemiec, także znalazła się wśród tych, którzy przetrwali. Wprawdzie obiecała mi wieczną miłość, ale ostatecznie zmieniła zdanie i poślubiła brytyjskiego lotnika z RAF-u, z którym wiodła koczownicze, ale interesujące życie w jednym z najbardziej egzotycznych kolonialnych zakątków Imperium Brytyjskiego. Po rozwodzie wróciła do Hamburga i w tym właśnie czasie, ponad dwadzieścia lat temu, nawiązała ze mną kontakt. Odkąd jednak – jak mi powiedziano – wyprowadziła się z Hamburga, ślad po niej zaginął.

Jeden z moich dawnych kumpli, którego zdążyłem opłakać, kiedy rzekomo zginął w wypadku ulicznym, zaskoczył mnie, objawiając się w jak najbardziej żywej postaci. Pod koniec lat sześćdziesiątych zatrzymałem się na krótko w Hamburgu w trakcie podróży służbowej i wtedy przypadkiem natknąłem się w książce telefonicznej na nazwisko „Fred Gass”. Mimo przekonania, że mój dawny kompan z Haus Vaterland i innych hamburskich melin nie żyje,



z czystej ciekawości wybrałem numer. Odebrała jakaś kobieta, która przedstawiła się jako Frau Giesela Gass, żona pracownika poczty Freda Gassa.

Nie minęła godzina, jak ścisiałem mojego kolegę, który nie tylko zmartwychwstał, ale z kościstego chuchra zmienił się w podtatusiałego jegomościa. Od tego pamiętnego spotkania Fred i Giesela, wówczas kierowniczką w firmie ubezpieczeniowej, żyją na emeryturze w przytulnym mieszkanku w Hamburgu, gdzie bywam regularnym gościem, ilekroć przywieje mnie tam tęsknota za mglistym powietrzem rodzinnego miasta. Jesienią roku 1989 odniosłem niebywały sukces: namówiłem Freda, by przewyciężył swój lęk przed lataniem i wraz z Gieselą spędził trochę czasu u nas, w Chicago i z Wernerem Jankesem w Kalifornii. Uznali ten pobyt za nadzwyczaj udany i obiecali go powtórzyć.

Innym znajomym z mojego ścisłego kręgu, który stanął na nogach, jest Ah-Ju Hon Lou, mój partner z pamiętnego Tria. Po rozwiązaniu naszego zespołu Ju zaczął występować jako solista i wkrótce trafił do filmu, gdzie grywał rolę Azjatów. Owdowiał, ożenił się powtórnie, ma dwóch dorosłych synów i córkę. Razem z żoną Giesel mieszka na hamburskim przedmieściu Blankenese, gdzie czasem go odwiedzam.

Z klanu Morellów, którego głową był nazistowski *Blockleiter* Wilhelm, ostał się tylko mój przyjaciel i kolega z klasy Karl, obecnie na emeryturze. Ku memu wielkiemu zaskoczeniu, odnalazłem go zaledwie kilka ulic od miejsca, gdzie się wychowałem. Opowiedział mi, że kiedy uznano go za zaginionego w akcji, dostał się do sowieckiego łagru, skąd powrócił na pół zagłodzony i w łachmanach, by swoich rodziców i braci zastać w trakcie domowej imprezy. „Zawsze sobie wyobrażałem, jak mnie oplakują – wspominał – a tymczasem w najlepsze używali życia!”

Karlowi przynajmniej los oszczędził cierpienia innych niemieckich żołnierzy, którzy po powrocie z wojny zastali swoje żony z nowymi mężami – Anglikami lub Amerykanami – zgodnie z przysłowiem „Łupy trafiają do zwycięzców”.

Rozczarowanie, jakiego Karl doznał po powrocie, na zawsze poróżniło go z rodziną, szczególnie z ojcem, którego nazistowskie poglądy – jak twierdził – zawsze budziły w nim wstręt. Niedługo potem jego brat Gerd, utalentowany perkusista mający własny zespół, zmarł na atak serca w trakcie występu w nadmorskim kurorcie. Potem zmarli także rodzice. Najstarszy brat Hans przeżył wojnę w Związku Sowieckim i zmarł zaledwie kilka lat przed naszym spotkaniem.

Przygnębiająco długa jest lista ofiar wojny spośród moich krewnych, przyjaciół i znajomych. Jest na niej mój kolega z klasy Fiffi Peters, kelner w Rathauskeller, który – jak niedawno się dowiedziałem – poległ w akcji, podobnie jak nasz nauczyciel Herr Herbst. Jeden z najtragiczniejszych losów spotkał moją pierwszą wielką miłość, Gretchen Jahn. Po moim udziale w popularnym hamburskim programie telewizyjnym w roku 1976 odebrałem mnóstwo telefonów od osób, które mnie rozpoznały, w tym od kuzynki Gretchen. Dowiedziałem

się od niej, że Gretchen z matką i bratem zamierzała wyemigrować do Stanów, ale kiedy okazało się, że ma gruźlicę, odmówiono jej wizy. Pozostawiona samej sobie, pracowała jako barmanka w nocnym klubie i w roku 1946, kilka lat po naszym ostatnim spotkaniu, zmarła samotna i opuszczona przez wszystkich.

Nigdy nie udało mi się dowiedzieć, co się stało z moimi dwoma największymi wrogami – dyrektorem szkoły Wriedem i nauczycielem Dutkem. Sądząc z ich wieku, muszę przyjąć, że w taki czy inny sposób przenieśli się już tam, gdzie spotkała ich sprawiedliwość, adekwatna do sadystycznej przyjemności, jaką czerpali z dręczenia swojego ciemnoskórego ucznia.

Znaczną pociechę stanowi dla mnie fakt, że moja matka, która przyjechała za mną do Stanów w roku 1952, wyszła tu szczęśliwie za mąż za Milecę Nikodijevica, Serba uwolnionego przez aliantów z niemieckiego obozu jenieckiego. U tego zapracowanego człowieka znalazła wreszcie miłość i zrozumienie, na które tak bardzo zasługiwała. Małżonkowie żyli długo i szczęśliwie w wygodnym, otwartym dla przyjaciół (i jak Mutti zawsze podkreślała – całkowicie spalonym) domu na przedmieściu Chicago. Był to dokładnie taki dom z małym ogródkiem warzywnym, o jakim kiedyś w Niemczech oboje beznadziejnie marzyliśmy. Szczęście trwało, dopóki w wigilię dwudziestej piątej rocznicy ślubu Mileca nie zmarł na atak serca. Mutti dołączyła do niego w 1986 roku, dożywszy 83 lat.

Najlepszym sposobem, aby odwdzińczyć się matce za wszystko, co dla mnie zrobiła, było „stać się kimś” i podarować jej dwóch wnuków, którzy także „stali się kimś”. Po dyplomie Steve’a Gordona na Harvard Medical School i przyjęciu Hansa na University of Michigan Law School nic nie sprawiało jej większej przyjemności niż przechwałki „moim wnukiem lekarzem” i „moim wnukiem przyszłym prawnikiem”. Jak zawsze mawiała: „*Ende gut, alles gut*”.

## POSŁOWIE

**A**utobiograficzna relacja Hansa-Jürgena Massaquoia (1926–2013), dziennikarza i pisarza pochodzenia niemiecko-liberyjskiego, wprowadza czytelnika nie tylko w świat subiektywnych doznań ciemnoskórego dziecka, któremu przyszło dorastać w klimacie i realiach narodowosocjalistycznych Niemiec. To również przejmująca opowieść niemieckiego obywatela, uznanego za *outsidera*, który z odległej czasowej i geograficznej perspektywy próbował zrozumieć zawłość ludzkiej natury w czasach pogardy.

Autor należał do około 3 tysięcy żyjących w okresie 1918–45 czarnoskórych na obszarze Niemiec. Byli wśród nich m.in. nieliczni przybysze z Niemieckiej Afryki Południowo-Zachodniej oraz Niemieckiej Afryki Wschodniej; kolonialni żołnierze francuscy, którzy w latach 1919–20 uczestniczyli w militarnej okupacji Nadrenii (dzieci pochodzące z ich związków z niemieckimi partnerkami naznaczono obelżywym określeniem „bękartów nadreńskich” lub „czarną hańbą”); czarnoskórzy żołnierze z USA, z francuskich kolonii zamorskich, walczący przeciw Niemcom pod dowództwem belgijskim i brytyjskim; przedstawiciele dyplomacji i ich rodziny; ludzie interesu, sztuki oraz związani z przemysłem rozrywkowym.

Zanim ideologia narodowego socjalizmu zadomowiła się w III Rzeszy, już w odezwie do niemieckich lekarzy w fachowym czasopiśmie „Ärztliche Rundschau” z 1920 roku pisano wprost: „Czarna hańba to mulatyzacja i syfilizacja naszego narodu, ruina naszego narodowego zdrowia cielesnego i duchowego! Czyż mamy milcząco znosić, że w przyszłości nad brzegami Renu zamiast pogodnych pieśni białych, rośłych, bogatych duchowo, zdrowych Niemców o pięknych twarzach, zabrzmia chrapliwe dźwięki tłustych, szarych, szerokogębnych, półzwierzęcych, syfilitycznych, tępych Mulatów o niskich czołach?”<sup>37</sup>.

Przeciętny Niemiec nie miał na co dzień kontaktu z osobami o innym kolorze skóry. Mógł je zobaczyć tylko na ilustracjach, w widowiskach cyrkowych lub „pokazach kulturowych” w ogrodach zoologicznych. Zanim spotkał bezpośrednio ludzi o ciemnej karnacji, miał już jednak o nich utrwalone przez stereotypy wyobrażenie. Wprawdzie Niemcy były krótko, na przełomie XIX i XX wieku, państwem kolonialnym, jednak dokonana przez nie ekstermina-

cja plemion Herero i Nama w południowej Afryce w latach 1904–07 miała znaczny wpływ na ukształtowanie się rasistowskich postaw.

Niemcy nie byli wynalazcami rasizmu, lecz jego gorliwymi praktykami. Od czasów średniowiecza w chrześcijańskiej Europie rozwijały się ambiwalentne uczucia wobec mieszkańców Afryki. Z jednej strony, była to fascynacja odmiennością, „przedmiotem” godnym misji cywilizacyjnej o charakterze religijnym oraz kulturowym, którą traktowano jako element humanitaryzmu. Z drugiej – wylewała się zewsząd pogarda i odraza wobec „czarnego diabła”, niewolnika, „dzikiego zwierza”, obiektu widowiskowego. W literaturze, karykaturze, mitologii czarnoskóry jawił się jako odhumanizowany, odpersonifikowany abstrakcyjny byt.

Hans-Jürgen, urodzony i żyjący w Hamburgu z niemiecką matką, zanim utracił dziecięcą ufność w relacjach z otaczającą go rzeczywistością, chciał żyć jak każdy normalny mieszkaniec Niemiec. Do świata jego wyobraźni nie miała jeszcze dostępu ideologia twórcy koncepcji „krwi i rasy” Richarda Walthera Darré, hitlerowskiego ministra ds. żywności i rolnictwa, który domagał się wykluczenia wszystkich osób obcej krwi z niemieckiego narodu. Niewielka populacja tych, którzy w nazistowskiej terminologii naznaczeni byli jako *Neger*, *Farbige*, *Mischling* żyła jednak w ciągłym napięciu, mimo iż – jak pisze Autor wspomnień – w kolejce do komór gazowych byli dopiero na dalszym miejscu, za Żydami. Jak stać się niewidzialnym w „białym” otoczeniu, gdy kolor skóry wystawiał na widok publiczny? To pytanie, które wyznaczało charakter strategii przetrwania. Lojalni obywatele, mimo ciągłych starań o przyznanie statusu „normalnego” członka społeczeństwa, stanowili skazane na odrzucenie „obce ciało”.

Dzieciństwo i wczesna młodość bohatera książki przypadły na okres erupcji ideologii i propagandy narodowego socjalizmu oraz jej realizacji w III Rzeszy (1933–45). Okres formowania się osobowości, kiedy młody człowiek łapczywie wchłania wszystko, co oferuje mu otoczenie, był dla Autora czasem ciągłego napięcia między wiarą, ufnością i potrzebą dopasowania się a lękiem i rozczarowaniem. Ten przyspieszony kurs dorastania i nauki w niezwykłym środowisku mógł bezpiecznie przetrwać tylko dzięki niezwyklej matce oraz losowi, który zetknął go z życzliwymi sąsiadami i mieszkańcami dzielnicy. Dla większości chłopiec posługujący się hamburskim dialektem, szkolny kolega ich dzieci, był jednym z nich.

Zafascynowany paradami paramilitarnych oddziałów hitlerowskich akolitów, mundurami Hitlerjugend, nazistowskimi rytuałami, wiwatujący jako ośmioletni uczeń na cześć przejeżdżającego ulicami Hamburga nowego boga Niemiec – Führera, śpiewający na apelach szkolnych *Deutschland, Deutschland über alles*, bawiący się plastikowymi figurkami żołnierzy SS i SA, dał się ponieść tej samej fali entuzjazmu, co jego błękitnoocy i jasnowłosi koledzy. Pierwszy życiowy przełom stał się jego udziałem, gdy z luksusowych warunków willi dziadka, uprzywilejowanego życia rodziny dyplomaty, zmuszony był przenieść się z matką do jednopokojowego mieszkania w dzielnicy robotniczej.

Nie zmiana statusu społecznego była jednak przedmiotem troski chłopca. Ta stała się wręcz przez różnorodność doznań wręcz atrakcyjna. Rewolucyjnym doznaniem był fakt, iż z kameralnego środowiska, w którym całe jego otoczenie było jak on, przeniósł się do świata, w którym zewnętrznie się wyróżniał. To nowe doświadczenie było głęboko ambiwalentne. Kędzierzawe włosy i brązowy kolor skóry Hansa-Jürgena nie były już przywilejem, lecz często stygmatyzowały; nie napawały dumą, lecz stały się powodem do wstydu. Po komfortowym życiu pod kloszem rozległej rodziny znalazł się w dzielnicy, w której znalazł wprawdzie ciekawsze dla odkrywczego umysłu i żadnego przygody dziecka środowisko rówieśników, ale też nie mógł uniknąć zderzenia z ulicznymi dręczycielami.

W jego życiu jak w soczewce odbijały się sprzeczności codziennej egzystencji w narodowo-socjalistycznej Rzeszy. Na swej drodze Autor spotykał mądrych i odważnych, ale także konformistów, tchórzy i fanatyków hitlerowskich. Najważniejszym laboratorium doznań była szkoła, naturalne środowisko Hansa-Jürgena. Taktowi i mądrości pierwszej wychowawczyni i nauczycielki *Fräulein* Beyle, zawdzięczał przejście obronną ręką przez szkolną inicjację. Ona zaraziła go radością nauki. W szkolnych ławach znalazł też wielu przyjaciół. W miarę umacniania się władzy hitlerowskiej zaczęły się jednak mnożyć incydenty, które dawały chłopcu wiele do myślenia. Chociaż nie ustępowała fascynacja wodzem narodu i zewnętrznymi atrybutami rządów nazistowskich, jak fajerwerkami czy marszami bojówkarzy SA, to jednak coraz częstsze doświadczenie dyskryminacji i wykluczenia ze społeczności poprzez chociażby dotkliwy dla chłopca zakaz wstępu na plac zabaw dla nie-Aryjczyków, wymuszały wypracowanie nowej strategii dopasowania.

Zanim prawodawstwo Rzeszy zaordynowało, poprzez ustawę *O ochronie krwi i czci niemieckiej* w 1935 roku, oddzielenie rasy „białej” od „czarnej”, propaganda i ideologia rasistowska zadomowiły się w szkolnych klasach. Dla hitlerowskiej władzy nie było ważniejszego zadania, jak pozyskanie dla swoich celów młodej generacji. Hitler dopatrywał się przyczyn klęski Niemiec w I wojnie światowej właśnie we wrogim elemencie, który wtargnął z zamiarem osłabienia germańskiej witalności. W swoim programie wychowania „młodych towarzyszy rasy” i dla zabezpieczenia „czystości rasy aryjskiej” Hitler kreślił zadanie „ukoronowania pracy wychowawczej volkistowskiego państwa” poprzez „rozpalenie w sercach i umysłach młodzieży sensu i uczucia rasy”. „Szkoły nie powinien opuścić żaden chłopiec i żadna niemiecka dziewczynka, którzy nie uznaliby konieczności i właściwości czystości krwi. W ten sposób zostaną zapewnione warunki do utrzymania rasistowskich podstaw naszego narodu i zabezpieczenia dla późniejszego rozwoju kulturowego.”<sup>38</sup>

Fotografując się w towarzystwie młodych ludzi, wybranych ideałów aryjskich dzieci, Hitler słał czytelne przesłanie dla nauczycieli, wychowawców i młodzieży szkolnej. I nie chodziło bynajmniej wyłącznie o zewnętrzny wizerunek. Ważne były duchowe właściwości. Firmy produkowały lalki o aryjskim wyglądem w uniformie SA. Plakaty, literatura dla dzieci

i młodzieży zawierały ostrzeżenia przed degeneracją poprzez kontakt z inną rasą. Już 13 września 1933 ukazało się pierwsze ministerialne zarządzenie o wprowadzeniu do szkół wiedzy o dziedziczeniu i rasie – w związku z programem rozdzielania ras. Mnożyły się rozporządzenia i programy określające cele pracy nauczycielskiej. Założenia eugeniki forsowały obraz nordyckiej rasy i nakaz dbania o osoby wcielające w życie ten duchowy ideał. Nakazywano jednocześnie „oddzielanie obcych, przynależących do rasy orientalnej (Żydzi), afrykańskiej i wewnątrzazjatyckiej”<sup>39</sup>. Nauczyciele zostali zobowiązani do szkoleń z zakresu nowego przedmiotu oraz składania publicznego wyznania na rzecz ideologii narodowosocjalistycznej. Nie pominięto również szkół dla niewidomych, dla których przy wsparciu antropologów przygotowano specjalne pomoce dla rozróżnienia swojej i obcej rasy.

Władze oświatowe Hamburga zasłynęły ze swej gorliwości, gdy zaledwie kilka dni po ministerialnych zaleceniach zorganizowały publiczną wystawę zatytułowaną *Materiał dziedziczony w rodzinie, rasie i narodzie*. „Hamburger Tageblatt” komentował: „Nikt nie powinien przeoczyć wystawy” i wyjaśniał: „Wystawa zaczyna się pytaniem «Co to jest dziedziczenie?»” oraz nawiązywał do prostego spostrzeżenia: „Czarny ma czarne dzieci. Anomalie powtarzają się u potomków”<sup>40</sup>. Podczas nauczania języka niemieckiego, religii, historii, przestrzegano przed śmiertelnym niebezpieczeństwem mieszania ras i „zanikiem instynktu rasowego”.

Zagrożenia dla białej rasy dopatrzono się również w popularnej literaturze gloryfikującej „szlachetnych Indian”. „Mieszkańcy”, jak Hans-Jürgen – w retoryce wydawanych wówczas pomocy naukowych i pedagogicznych wytycznych dla nauczycieli – mieli wywoływać nie współczucie, lecz strach. Wskazywano na sześciuset „nadreńskich bękartów”, „tragicznych świadków zdrady białej rasy”: „Nie będą oni nigdy szczęśliwi, nigdy nie będą uznani za równouprawnionych. Pozostaną na zawsze na najniższym szczeblu ludzkiej wspólnoty. Dla nich nie ma nowego życia. Sama natura odmówiła im tego”<sup>41</sup>. W 1937 roku zapadła decyzja „specjalnej komisji” o ich sterylizacji. Autor broszury poświęconej konieczności zmycia „czarnej hańby” Hans Macco domagał się przyspieszenia akcji, gdyż – jak pisał – osoby te „wchodzą właśnie w wiek rozrodczy, nie ma więc wiele czasu na długie dywagacje [...]. Dla nas pozostaje tylko jedno wyjście: wytrzebiecie wszystkich obcych szkodników, szczególnie tych powstałych w wyniku brutalnej przemocy i niemoralności”<sup>42</sup>.

W ciągu trwającej osiem lat edukacji szkolnej Massaquoi spotkał w większości życzliwych sobie nauczycieli. Wystarczyło jednak dwóch, w tym dyrektora Heinricha Wriedego, by pamięć doznanych upokorzeń pozostała do końca życia. Dyskryminacja i jawna niesprawiedliwość ze strony dyrektora, gorliwego wyznawcy idei narodu niemieckiego jako nosiciela misji kulturowej i jego niekwestionowanej dominacji w świecie, mieściła się w nazistowskiej koncepcji wykluczenia ze wspólnoty narodowej, w tym odebrania możliwości kształcenia

„wszelkich Hotentotów”. Młody Hans-Jürgen zawdzięczał przetrwanie tylko nieuleczalnemu optymizmowi matki.

Istniały jednak dziedziny życia, które stanowiły wręcz zaprzeczenie nazistowskiej ideologii wyższości cywilizacyjnej Niemiec. Dla młodego Hansa-Jürgena był to świat sportu i rywalizacji. Sukcesy i powodzenie czarnoskórych artystów i sportowców w Niemczech oraz w Europie były dlań jak plaster na zbolełą duszę. Nie tylko napawały dumą, ale wzmacniały poczucie własnej wartości. Wraz ze zwycięstwami czarnoskórych sportowców rosła pozycja Hansa-Jürgena w szkole i w najbliższym otoczeniu. Sam Autor – wysportowany, o atrakcyjnej powierzchowności, uprawiający jako nastolatek boks – był antytezą pseudonauki o genetycznym wywyższeniu rasy aryjskiej. Amerykańscy sportowcy, przede wszystkim bokser Joe Louis oraz lekkoatleta Jesse Owens, którzy mieli wystąpić w amerykańskiej drużynie olimpijskiej, w żadnym razie nie kojarzyli się z wykreowanym przez propagandę obrazem „bandy dzikusów” i „kanibali”.

Chociaż wiedza przeciętnego Niemca na temat przygotowań USA do olimpiady ograniczała się do szerzonych przez Goebbelsa absurdów o łapanych w dżungli przyszłych zawodnikach, propagandyści Rzeszy mieli od początku problem, jak wyjaśnić sukcesy sportowe przedstawicieli „gorszej” rasy. Jak w obliczu entuzjazmu widzów i kibiców zdezawuować wyniki „podludzi”, które wbrew doktrynie nazistowskiej przewyższały osiągnięcia Aryjczyków.

Prasa nazistowska reagowała nerwowo na dokonania Owensa, „kolorowego, cudownego biegacza”, czterokrotnego zwycięzcy na olimpiadzie w Berlinie w 1936 roku. W końcu Hitler wyjaśnił, że w przypadku „czarnych” chodzi o „prymitywną rasę” ludzi, których przodkowie wywodzili się z dżungli. Dlatego „są bardziej atletycznie zbudowani aniżeli cywilizowani biali [...] i nie stanowią porównywalnej konkurencji [...]. W przyszłości winni być wyeliminowani z igrzysk i zawodów sportowych”<sup>43</sup>.

Segregacji podlegali nie tylko ludzie. Problemem dla nazistowskiego państwa stała się również sztuka. Tak zwana czarna sztuka, odkryta przez wybitnych malarzy, jak Pablo Picasso, Ernst Ludwig Kirchner, Henri Matisse stanowiła dla większości źródło inspiracji nowoczesnego europejskiego malarstwa i rzeźby. Dla hitlerowskich dygnitarzy była tylko „sztuką zdegenerowaną”, wytworem „obcego barbarzyństwa”. Dlatego spotkał ją taki sam los jak twórczość żydowską.

Najbardziej odczuli to czarnoskórzy artyści związani ze sztuką filmową. Najpierw spontanicznie, a następnie w formie instytucjonalnej „oczyszczono” kino. Krytycy filmowi domagali się – pod dyktando Goebbelsa – „heroicznego obrazu”, związanego z „krwią i ziemią niemiecką”. „Od lekkiego filmu [...] oczekujemy odprężenia i odświeżenia, gdy chcemy oglądać obrazy bez tańczących rumbę czarnych”<sup>44</sup> – głosiły wytyczne aparatu władzy. Nie mniejszym wyzwaniem stała się dla nazistów swingująca młodzież. *Swingjugend* stało się poję-

ciem mieszczącym w sobie rodzaj alternatywnej dla oficjalnie obowiązującej kultury młodzieżowej. To czarnoskórzy muzycy, śpiewacy i tancerze stali się idolami młodych Niemców, tworząc odskocznnię od wojennej rzeczywistości. Dla młodego Massaquoia była to jeszcze jedna możliwość wyrażenia identyfikacji z tymi, którzy pomogli mu przezwyciężyć poczucie niższej wartości.

W życiu dorastającego Hansa-Jürgena miały miejsce wydarzenia, których sens docierał do niego z opóźnieniem. Miało to miejsce w przypadku jego ukochanej pierwszej nauczycielki i wychowawczyni oraz kolegów i przyjaciół spotykanych na różnych etapach życia. Powodów ich nagłego zniknięcia nie mógł wówczas zrozumieć. Dopiero po II wojnie w pełni pojął, iż w hierarchicznie uporządkowanym świecie nazistowskim na pierwszym miejscu zarezerwowanym dla wrogów stali Żydzi. Nie mógł też wiedzieć, że Hitler już w *Mein Kampf* wskazał na Żydów jako tych, którzy sprowadzili nad Ren Murzynów i to w celu bastardyzacji znienawidzonej przez nich białej rasy, strącenia jej z politycznej i kulturowej wysokości oraz przejęcia ich roli panów.

Wrogości wobec czarnoskórych nie można porównywać z nienawiścią do Żydów, ugruntowaną przez antyjudaizm i antysemityzm. Czarnoskórych obywateli Niemiec nie można było oskarżyć o dominację gospodarczą, polityczną czy kulturalną. Nie mieli oni na terenie Rzeszy swoich elit, które – jak elity żydowskie – budziłyby zazdrość. Wobec „czarnych” można było w najlepszym razie wykazać się wielkodusznym paternalizmem. Niemiecka idea *Kulturnation* obecna była wprawdzie wcześniej w świadomości niemieckich elit, jednak dopiero epoka kolonizacji zmieniła nastawienie społeczne. Potrzebna była legitymizacja dla dokonanych w Afryce podbojów. Stąd konstrukcja mitów o niebezpiecznych, agresywnych i prymitywnych ludach.

Fotomontaże, wszechobecne plakaty, karykatura, wystawy epatowały w miejscach publicznych przerażającym obrazem Żyda. Ukazaniu zagrożenia ze strony „żydostwa” służyła cała edukacja nazistowska. Wskazywała ona na pewne podobieństwa Żydów i „czarnych” jako „naturalnych” sojuszników. Odbiegali oni od germańskiego ideału piękna. Przedstawianie ich na ilustracjach jako zagrożenie dla białych kobiet, dzieci, nade wszystko dla niemieckiej kultury, służyło uzasadnieniu pilnej segregacji i separacji<sup>45</sup>.

Naziści doskonale posługiwali się najnowszym i najskuteczniejszym narzędziem propagandy, jakim był film. Hans-Jürgen po obejrzeniu wraz ze swoją klasą antysemitycznych filmów i wysłuchaniu komentarzy nauczyciela mógł tylko ugruntować i wzbogacić swoje wyobrażenia o mit Żyda wiecznego tułacza, bogobójcy i dzieciobójcy, pasożyta żerującego na uczciwym narodzie niemieckim. Jakież było więc jego zdziwienie, gdy po zniknięciu rodziny jego przyjaciela Klausa, dotarła do niego dzięki wyjaśnieniu matki cała prawda o losie Żydów: „Jak mój drogi przyjaciel Klaus i jego dobrzy rodzice mogli być tymi obrzydliwymi Żydami, których widziałem w kinie”.



Wykluczenie ze wspólnoty niemieckiej odczuł nasz bohater najdotkliwiej w dwóch sytuacjach. W obu chodziło o uzyskanie statusu „normalnego”, gorliwie oddanego jedynej ojczyźnie Niemca. Po raz pierwszy doświadczył odrzucenia, gdy odmówiono mu przyjęcia w szeregi Jungvolk (organizacji dla młodzieży od 10 do 14 lat mieszczącej się w strukturach Hitlerjugend), po raz drugi, gdy nie przyjęto go w szeregi Wehrmachtu, gdy chciał jak inni bronić swego kraju. Gdy w niedzielę całe rodziny wiejskie w Salsie, gdzie spędzał wakacje, paradowały w brunatnych mundurach, odczuwał taki sam żal, jak wtedy, gdy jako jedyny w klasie został wykluczony z możliwości uczestniczenia w konkursie o stu procentowy udział w Jungvolk. Dotkliwość tego odrzucenia potęgował fakt, że dla młodego Hansa-Jürgena była to kara, której przyczyny pozostawały niezrozumiałe. Chciał przecież być jak inni, nosić mundur i czarny miecz z wygrawerowanym napisem *Blut und Ehre*. Dlatego słowa wychowawcy, iż „nie jest takim samym Niemcem jak inni” miały dlań siłę rażenia.

Los oszczędził jednak dorastającemu Massaquoiowi doświadczeń, jakie stały się udziałem wielu czarnoskórych na obszarze III Rzeszy. Niewinne z pozoru komentarze serwowane w szkole w ramach higieny rasowej znalazły podczas wojny praktyczne zastosowanie. Już Fritz Lenz, pierwszy profesor zwyczajny nowej dziedziny „naukowej” – „higieny rasowej”, uzasadniał w 1927 roku różnice duchowe i cielesne zasadą dziedziczenia. Murzynów usytuował tuż za „prymitywnymi pierwotnymi mieszkańcami Australii”. Określił ich jako „niespecjalnie inteligentnych”, „bez duchowej siły twórczej”, „pozbawionych fantazji”. „Charakteryzują ich niestałość, brak umiejętności przewidywania, przedsiębiorczości, wytrwałości”. Według niego, mogli służyć tylko do badań i eksperymentów, które przeprowadzano już podczas I wojny światowej.<sup>46</sup>

Zapracowana i zatroskana o codzienną egzystencję matka Hansa-Jürgena instynktownie chroniła syna przed indoktrynacją oraz nową moralnością i etyką propagowaną w nazistowskiej Rzeszy. Czasopismo „Rasse”, powołane do życia w 1934 roku, stanowiło wykładnię światopoglądu wyznającego dychotomiczny podział świata na dobro i zło, któremu odpowiadał podział na ludzi, w których żyłach płynęła szlachetna i nieczysta krew. Była to afirmacja moralności zgodnej z prawami natury i życia, tym samym zaś – z wolą Boga. Miała wzmocnić „etniczne sumienie” i forsowała moralny system wartości rasy germańskiej jako historyczny wzór ideału życia, w centrum którego znajdowała się idea honoru. Tylko czystej krwi Germanie – nowa biologiczna szlachta rasy nordyckiej – byli zdolni do rozwinięcia takiej moralności.

Wielu naukowców w całej Europie było zainfekowanych w okresie międzywojennym ideologią rasistowską. Przeciw „czarnej hańbie” występował m.in. laburzystowski poseł do Izby Gmin Edmund D. Morel. Oskarżał on Afrykanów jako „hordy, które szaleją dziś w niemieckich miastach”, które „są właśnie tym, czym były jeszcze wczoraj – nieszczęśliwymi niewolnikami, w których prymitywnych mózgach Europejczyk [...] rozniecił pragnienie i ideę de-

gradacji, gwałtu i morderstwa”<sup>47</sup>. Winą za ten stan obarczał „francuski militarizm”. Nauka, szczególnie antropologia, uległa silnie wpływom nazistowskiej ideologii. Poddawała eksperymentom „negroidalnych podludzi”. Rasistowscy lekarze, członkowie SS oraz policjanci dokonywali w obozach na „kolorowych królikach doświadczalnych” pomiarów czaszki, tułowia, ramion, pośladków, penisa, a hobbyści fotografii uwieczniali na zdjęciach materiał dla edukacji.

Wraz z napaścią na Związek Radziecki w czerwcu 1941, kiedy kolonialne ambicje Niemiec straciły na znaczeniu, pogorszyła się sytuacja czarnoskórych obywateli żyjących na terenie Rzeszy. Nazistowscy antropolodzy, lekarze, hobbyści etnografii zyskali w miarę pochodu Wehrmachtu nowy „materiał badawczy”. Kiedy tysiące kolonialnych żołnierzy dostało się do niewoli, w tym 16 tysięcy Senegalczyków, proceder przybrał na sile.

Hans-Jürgen Massaquoi przeżył w szkole wszystkie etapy przybierającej coraz bardziej dramatyczne wymiary polityki rasistowskiej Rzeszy. Z entuzjazmem przyjął *Anschluss* Austrii 12 marca 1938 oraz agresję na Polskę 1 września 1939, przekonany – jak znakomita większość lojalnych obywateli – o wiarygodności hitlerowskiej argumentacji. Tym dotkliwiej więc odczuł pożegnalną mowę dyrektora szkoły o „niearyjskich mętach” – Żydach i Murzynach – w której został osobiście napiętnowany jako wróg Rzeszy.

Sens głoszonej na co dzień propagandy odczuł na własnej skórze, kiedy ze względów rasowych zamknięte zostały przed nim, nieprzeciętnie uzdolnionym uczniem, bramy do dalszej edukacji. Zgodnie z zaleceniami ministerialnymi egzystencja „obcych rasowo elementów” mogła być tylko uzasadniona czasowym wykonywaniem przez nich użytecznych zajęć służącym narodom wyższym kulturowo. Jak bowiem głosiła ideologia, wszelkie próby doskonalenia słabych, chorych, kryminalistów, obcych rasowo mogłyby doprowadzić do rozpadu własnej rasy i byłoby balastem dla kultury i gospodarki narodu<sup>48</sup>. Nieprzydatnych czekały albo wypędzenie, albo likwidacja.

Przydatny Rzeszy jako przyuczony do zawodu operatora maszyn przeżył naloty na Hamburg, w wyniku których zginęło ponad 41 tysięcy mieszkańców miasta. Wejście Brytyjczyków uwolniło go od strachu, w którym żył od lat, a przyjaźń z rodziną Giordano, która z uwagi na żydowskie pochodzenie ukrywała się w ostatnich latach wojny, uświadomiła po raz pierwszy, że nie jest sam, że są inni, którzy nie tylko nie godzili się na system, ale wypowiedzieli mu walkę. Ralph Giordano spełnił swą obietnicę. Został sumieniem tych, którzy nie mogli już przemówić własnym głosem. Zmarły w 2014 roku intelektualista, pisarz i publicysta stanowił dla wielu Niemców autorytet skłaniający do rozrachunku z najbardziej mrocznym rozdziałem ich historii.

Wojenne losy czarnoskórych obywateli III Rzeszy nie są przedmiotem odrębnych badań. Ślady ich obecności w obozach koncentracyjnych, jenieckich oraz pracy przymusowej na obszarze Rzeszy lub na terenach okupowanych można znaleźć jedynie w pojedynczych do-

kumentach muzealnych, wystawienniczych, w literaturze wspomnieniowej ich towarzyszy obozowych lub – jak chociażby w przypadku Francji – sojuszników z ruchu oporu. Ich zdjęcia z opisem charakterystyki antropologicznej można spotkać również w zachowanej dokumentacji hańbiących zabiegów medycznych i eksperymentów dokonywanych przez nazistowskich lekarzy. Historia ich walki o przetrwanie w nieludzkich czasach czeka ciągle na swego kronikarza.

Hans-Jürgen Massaquoi otrzymał od życia drugą szansę. Dane mu było po wojnie dołączyć w Stanach Zjednoczonych do tych, którzy poświęcili długie lata, by zakwestionować polityczną religię rasową: „Co Bóg rozdzielił, człowiek nie powinien mieszać”. Jego wkład w dzieło naprawy świata jest godny uznania, szczególnie dzisiaj, kiedy kryzys migracyjny, narastająca fala antyislamizmu i radykalizmu w Europie skłaniać muszą do refleksji nad odpowiedzialnością za wnioski wynikające z historii.

*prof. dr hab. Anna Wolff-Powęska*

- 
- [1](#) Joseph Louis Barrow, znany jako Joe Louis (1914–1981) – słynny amerykański bokser, mistrz świata wagi ciężkiej (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).
  - [2](#) Louis „Studs” Terkel (1912–2008) – amerykański historyk, aktor oraz dziennikarz radiowy i prasowy. Za swoją książkę, będącą zbiorem rozmów z ludźmi, którzy przeżyli wojnę, otrzymał Nagrodę Pulitzera (1985). Tytułowa wojna zyskała określenie „dobrej” w nawiązaniu do wypowiedzi jednego z żołnierzy cytowanych w książce, według którego człowieka nie może spotkać nic lepszego od zobaczenia klęski nazizmu.
  - [3](#) Prawa Jima Crowa – zbiór przepisów dotyczących segregacji rasowej. Nazwa pochodzi od pogardliwego określenia czarnoskórych Amerykanów (ang.: crow – wrona).
  - [4](#) G.I. Bill – potoczna nazwa Servicemen’s Readjustment Act z 1944 roku – kompleksowego pakietu świadczeń (w tym pomocy finansowej na uzupełnienie edukacji) dla weteranów wojennych, później obejmującego także żołnierzy służby czynnej.
  - [5](#) National Association for the Advancement of Colored People (Krajowe Stowarzyszenie na Rzecz Rozwoju Kolorowych).
  - [6](#) Struwelpeter znany jest polskim czytelnikom jako Staś Straszycło ze słynnego zbioru Heinricha Hoffmanna, który na polski jako *Staś Straszycło. Złota różdżka, czyli bajki dla niegrzecznych dzieci* przetłumaczył Wacław Nowakowski.
  - [7](#) Nawiązanie do nazwy pierwszego słynnego boysbandu New Kids on the Block założonego w Bostonie przez Maurice’a Starra w 1984 roku.
  - [8](#) Robert Burns, *Do myszy*, tłum. Zofia Kierszys.
  - [9](#) Film Fritza Hipplera *Der ewige Jude* (1940). Tytuł nawiązuje do średniowiecznej legendy o Żydzie „wiecznym tułaczem”.
  - [10](#) Adolf Hitler, *Mein Kampf*, München 1944. Z języka niemieckiego przełożył Eugeniusz Cezary Król.
  - [11](#) *The Elephant Boy* – film Zoltana Kordy i Roberta J. Flaherty’ego z 1937 roku na podstawie opowiadania Rudyarda Kiplinga *Tumaj słoniomistrz z Księgi dżungli*.
  - [12](#) *Ich hatt’ einen Kameraden* – pieśń pogrzebowa żołnierzy niemieckich, popularna szczególnie podczas I wojny.
  - [13](#) Niem.: Żywe srebro.
  - [14](#) Adolf Hitler, *op. cit.*
  - [15](#) *The Great White Hope* – tytuł sztuki Howarda Sacklera z 1967 roku, opartej na historii życia afroamerykańskiego mistrza bokserskiego Jacka Johnsona. Pokazuje, jak dążenie białych do wykreowania własnego mistrza boksów, który zwyciężyłby czarnego, wpłynęło na życie Johnsona.
  - [16](#) Racje żywnościowe typu C dla żołnierzy amerykańskich zawierały po trzy puszki z daniami mięsnymi i tzw. dodatkami – chlebem, cukrem, kawą, słodyczami itp.
  - [17](#) Motorówka Administracji Floty Wojennej. Wstęp tylko dla personelu marynarki handlowej USA!
  - [18](#) Nazwa organizacji pomocowej CARE (tu w znaczeniu ironicznym) znaczy także „opieka”.
  - [19](#) Chodzi o futbol amerykański.
  - [20](#) Tzn. Chicago.

- <sup>21</sup> United Service Organizations – organizacja zajmująca się żołnierzami i ich rodzinami poza granicami USA.
- <sup>22</sup> Słowa *Gwiaździstego sztandaru*, hymnu państwowego Stanów Zjednoczonych.
- <sup>23</sup> Military Police – żandarmeria wojskowa.
- <sup>24</sup> W języku Liberian English (odmianie angielskiego używanej przez Liberyjczyków) – pan (z ang.: *mister*).
- <sup>25</sup> W języku Liberian English – panie (z ang.: *sir*).
- <sup>26</sup> Liga Bluszczowa – jedna z najlepszych lig sportowych w ramach systemu międzyuczelnianych zawodów sportowych w Stanach Zjednoczonych; w szerszym znaczeniu – najlepsze uczelnie w kraju.
- <sup>27</sup> Ang.: wolny człowiek, wyzwoleniec.
- <sup>28</sup> Tytułowy bohater powieści *Chata Wuja Toma* Harriet Beecher Stowe, stał się z czasem wśród Afroamerykanów synonimem zdrajcy.
- <sup>29</sup> Pułkownik Harland Sanders (1890–1980) założył popularną sieć KFC (Kentucky Fried Chicken) serwującą dania z kurczaków, która jako logo wykorzystuje jego portret.
- <sup>30</sup> Cytat z *Gwiaździstego sztandaru*.
- <sup>31</sup> Immigration and Naturalization Service – Służba Imigracji i Naturalizacji.
- <sup>32</sup> Fragment *Gwiaździstego sztandaru*.
- <sup>33</sup> Chodzi zapewne o szczególne właściwości upręży spadochronowej, powodującej podczas zwisania gniotący ból w okolicach genitaliów, porównany przez amerykańskich spadochroniarzy do tłuczenia orzechów.
- <sup>34</sup> Tytułowy bohater opowiadania Washingtona Irvinga. Uśpiony przez duchy w czasach kolonialnych, budzi się po dwudziestu latach w niepodległych Stanach Zjednoczonych.
- <sup>35</sup> Thomas Clayton Wolfe (1900–1938) – powieściopisarz amerykański. Sentencja przytoczona przez autora stanowi tytuł powieści Wolfe’a *You can’t go home again*, która ukazała się w Polsce w 1959 roku pod tytułem *Nie ma powrotu* w przekładzie Marii Skibniewskiej.
- <sup>36</sup> Count Basie (1904–1984) – amerykański kompozytor i pianista jazzowy.
- <sup>37</sup> Za: Gisela Lebzelter, *Die „Schwarze Schmach“*. *Vorurteile – Propaganda – Mythos*, „Geschichte und Gesellschaft“ 11, 1985, nr 1.
- <sup>38</sup> Adolf Hitler, *Mein Kampf*, 66. wydanie, München 1933, s. 475.
- <sup>39</sup> Rudolf Benze, *Rasse und Schule*, Braunschweig 1934, s. 8.
- <sup>40</sup> Peter Martin, Christine Alonzo (Hg.), *Zwischen Charleston und Stechschritt. Schwarze im Nationalsozialismus*, München 2004, s. 511.
- <sup>41</sup> „Westfälischer Beobachter”, 8 lipca 1934, za: Peter Martin, Christine Alonzo (Hg.), *op. cit.*, s. 513.
- <sup>42</sup> Hans Macco, *Rassenprobleme im Dritten Reich*, Berlin 1933, za: Maciej Górny, *Wielka wojna profesorów. Nauki o człowieku (1912–1923)*, Warszawa 2014, s. 213.
- <sup>43</sup> „Besondere Kennzeichen: Neger”. *Schwarze im NS-Staat*. Ein Ausstellungsprojekt des NS-Dokumentationszentrum Köln 2002/2003, [www.museenkoeln.de/ausstellungen/nsd\\_0211\\_schwarze/index.html](http://www.museenkoeln.de/ausstellungen/nsd_0211_schwarze/index.html) [dostęp 14 lipca 2016].
- <sup>44</sup> Eduard Schläfer-Wolfram, *Der Film im neuen Deutschland*, „NS-Frauenwarte” 1934/1935, za: Peter Martin, Christine Alonzo (Hg.), *op. cit.*, s. 85.

<sup>45</sup> Por. m.in. Peter Martin, *Schwarze Teufel, edle Mohren. Afrikaner im Bewusstsein und Geschichte der Deutschen*, Hamburg 1993; M. Schubert, *Der schwarze Fremde. Das Bild des Schwarzafrikaners in der parlamentarischen und publizistischen Kolonialdiskussion in Deutschland von den 1870er bis in die 1930er Jahre*, Stuttgart 2003.

<sup>46</sup> Za: Erwin Bauer, Eugen Fischer und Fritz Lenz, *Menschliche Erblichkeitslehre*, 3. wydanie, München 1927, s. 524.

<sup>47</sup> Za: Maciej Górny, *op. cit.*, s. 211.

<sup>48</sup> Zob. Wolfgang Bialas, *Moralische Ordnungen des Nationalsozialismus*, Göttingen 2014.



**Ufrungen, ok. 1890. Hermann Baetz (drugi z prawej w pierwszym rzędzie), dziadek ze strony matki Hansa-Jürgena Massaquoia, jako robotnik w niemieckim kamieniołomie**

**Jeśli nie zaznaczono inaczej, zdjęcia pochodzą z kolekcji H.-J. Massaquoia**



**Liberia, ok. 1905. Momolu IV, dziadek ze strony ojca, w koronie i szacie, które odziedziczył po swoim ojcu, królu Lahai. Jako król ludu Vai panował aż do abdykacji w wieku trzydziestu lat**





**Hamburg, 1927. Momolu Massaquoi jako konsul generalny Liberii w mundurze korpusu dyplomatycznego**



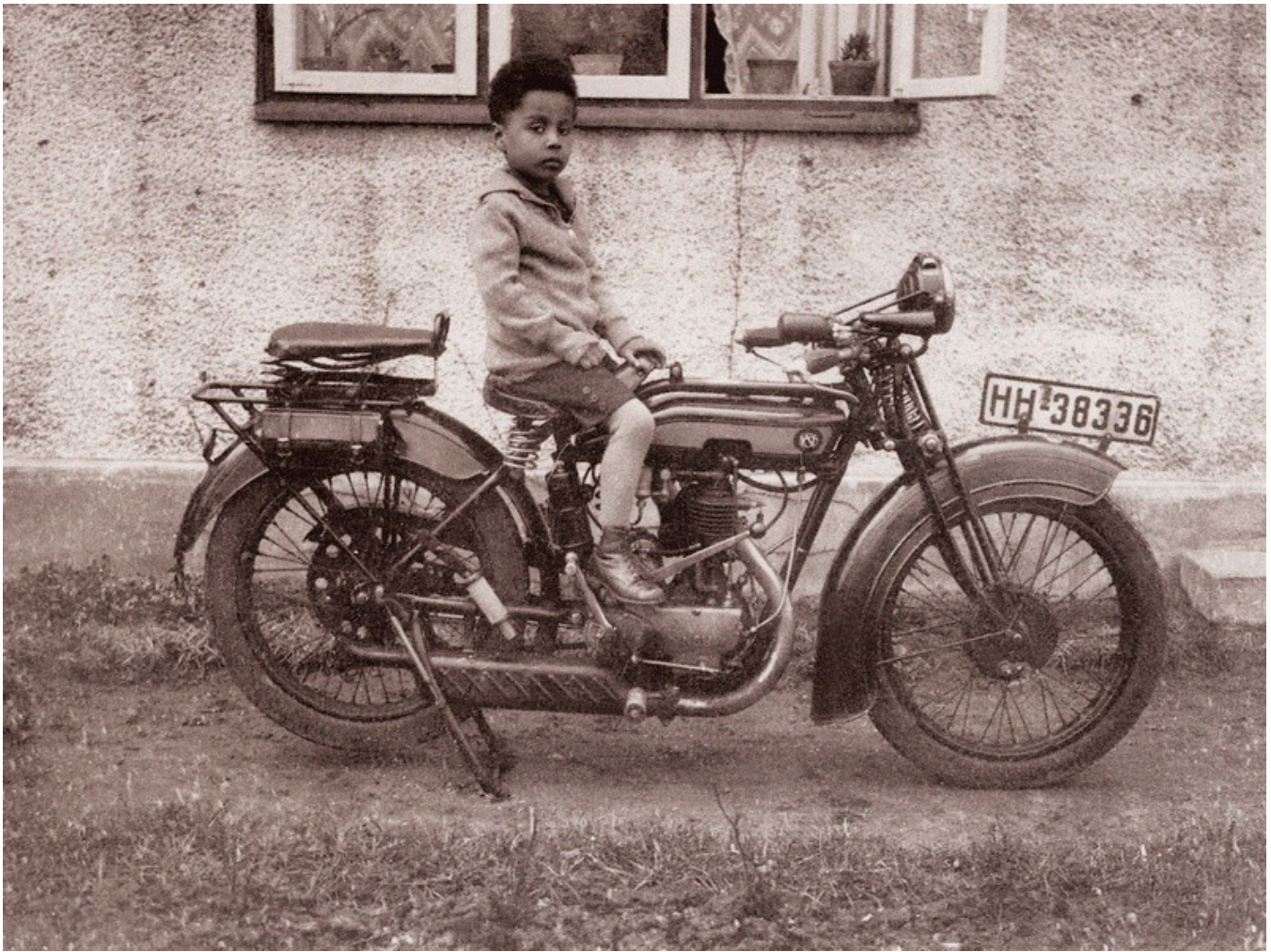
**Hamburg, 1928. Bertha Baetz z dwuletnim synem**



**Hamburg, 1931. Z Hellą Möller (w środku), wnuczką opiekunki Hansa-Jürgena i dwiema koleżankami z sąsiedztwa: Susi (po lewej) i Irmgard Neuhoff, na podwórku rodziny Neuhoffów**



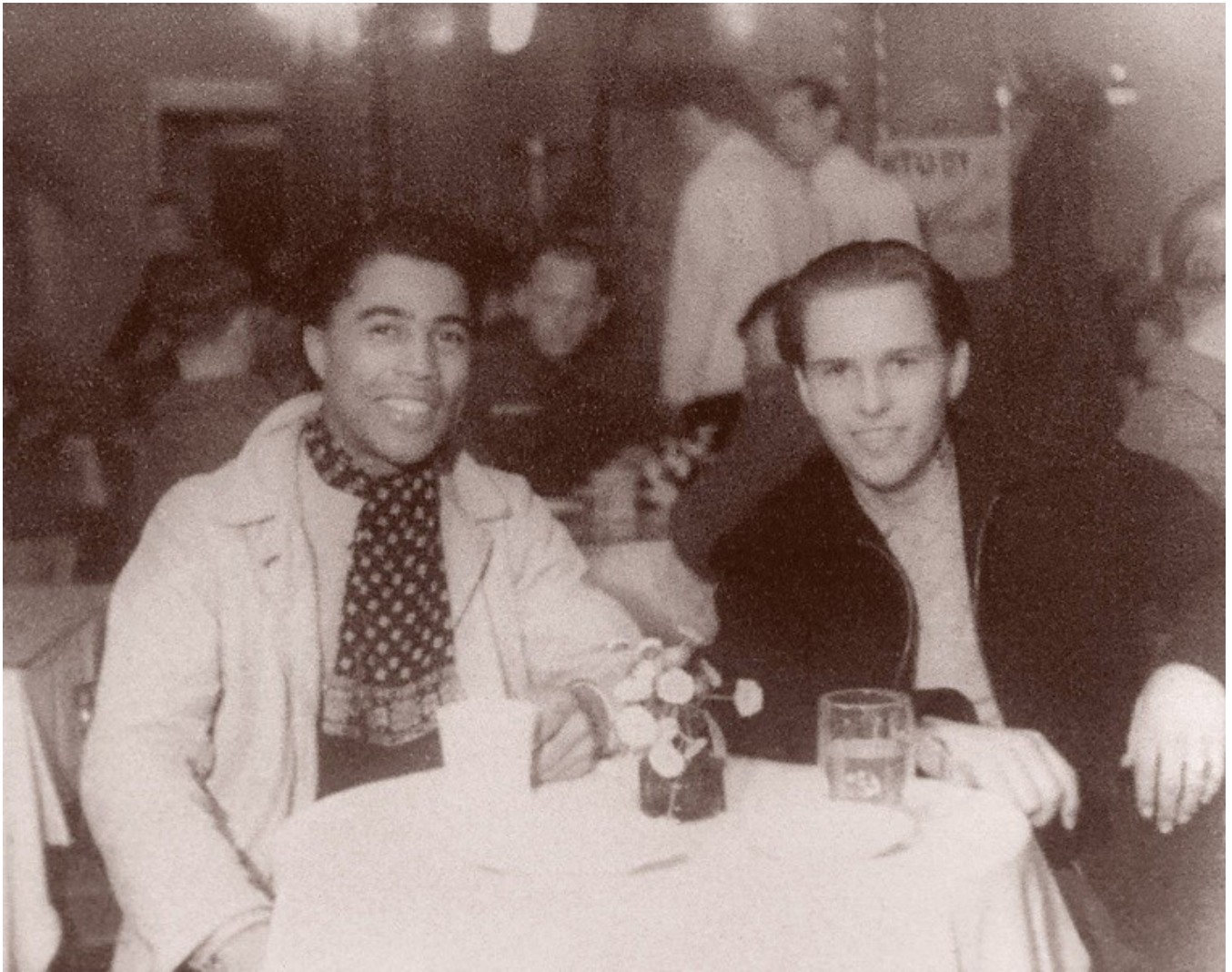
**Hamburg-Ohlsdorf, 1931. Z Tante Möller (druga z prawej) i koleżanką Eriką Schmedemann w weekendowym domku jej krewnych**



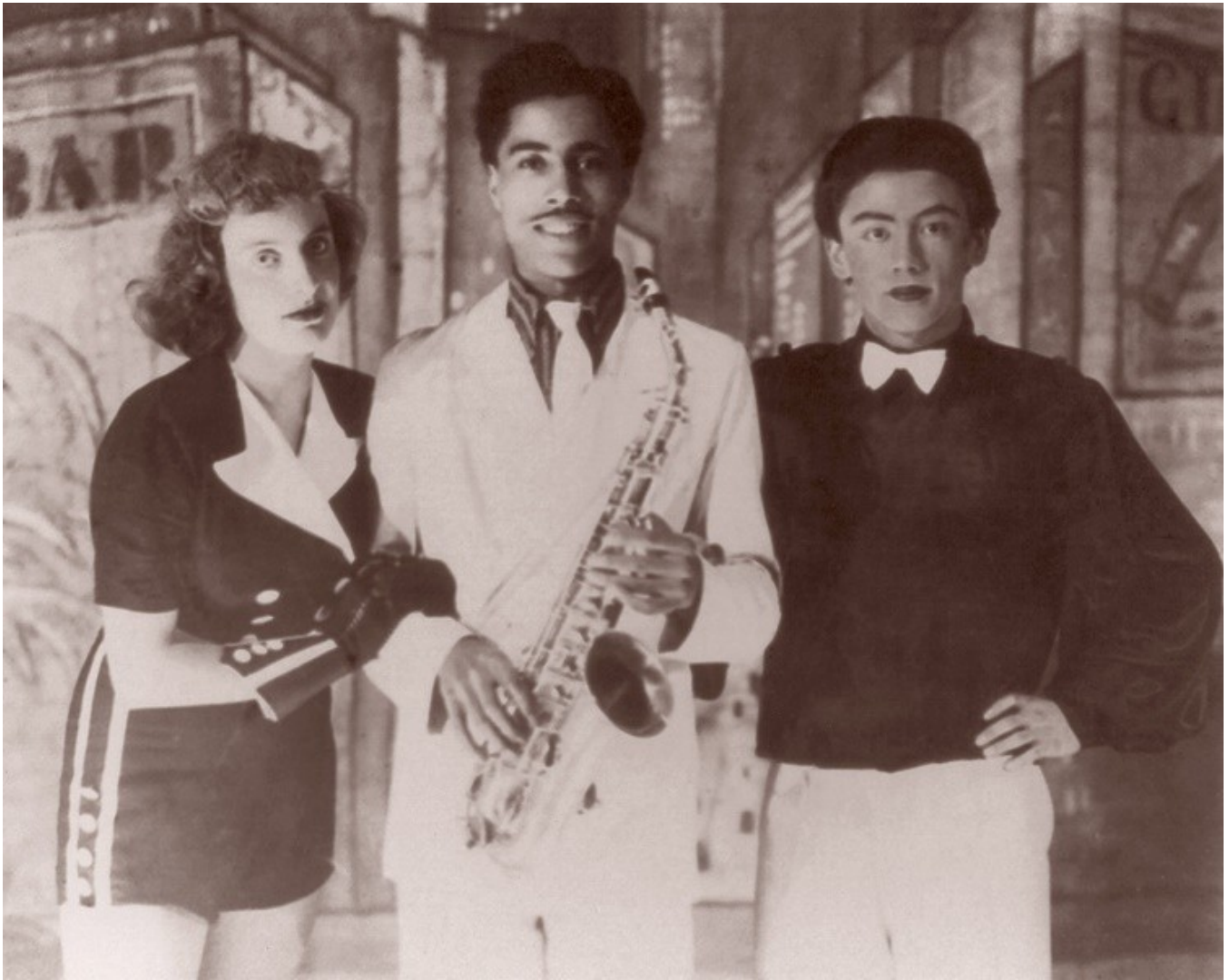
Hamburg, ok. 1932. Hans-Jürgen Massaquoi



**Hamburg, ok. 1935. Hans-Jürgen z przyjacielem Karlem Morellem**



**Hamburg, 1946. Z przyjacielem Wernerem Jankesem**



**Hamburg, 1947. Trio Ah-Ju Hon Lous – Hans-Jürgen z partnerami: Ilse Hadje i Ju w Hansa Theater**





**Liberia, 1947. Hans-Jürgen Massaquoi w ojczyźnie ojca**



**Nowy Jork, 1948. Hans-Jürgen Massaquoi na Times Square**



**Fort Bragg, Karolina Północna, 1952. Z kolegami spadochroniarzami z 82. Dywizji Powietrznej**



**Chicago, 1966. Wywiad z Martinem Lutherem Kingiem po wygranej batalii o przestrzeganie praw obywatelskich na Północy. Fot. Isaac Sutton, dzięki uprzejmości Johnson Publishing Co.**



**Miami, 1969. Hans-Jürgen Massaquoi i Muhammad Ali. Fot. Isaac Sutton, dzięki uprzejmości Johnson Publishing Co.**